



Roberto Costantini

Jestes' zTem



Roberto Costantini
Jestes' zTem

Przełożył z włoskiego
Tomasz Kwiecień



Tytuł oryginału:
TU SEI IL MALE

Copyright © 2011 by Marsilio Editori S.p.A. in Venezia
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: *Vavox* (Wojciech Wawoczny)

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan, Magdalena Światała

ISBN: 978-83-7999-607-0

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część pierwsza

Styczeń 1982

Maj 1982

Niedziela, 11 lipca 1982

Poniedziałek, 12 lipca 1982

Piątek, 16 lipca 1982

Sobota, 17 lipca 1982

Niedziela, 18 lipca 1982

Poniedziałek, 19 lipca 1982

Wtorek, 20 lipca 1982

Piątek, 23 lipca 1982

Sobota, 24 lipca 1982

Niedziela, 25 lipca 1982

Interludium

Rok 2005

23–24 lipca 2005

Część druga

Czwartek, 29 grudnia 2005

Piątek, 30 grudnia 2005

Sobota, 31 grudnia 2005

Niedziela, 1 stycznia 2006

Poniedziałek, 2 stycznia 2006

Wtorek, 3 stycznia 2006

Środa, 4 stycznia 2006

Interludium

Czwartek, 5 stycznia 2006

Wtorek, 10 stycznia 2006

Luty–marzec 2006

Wiosna 2006

Część trzecia

Niedziela, 9 lipca 2006

Poniedziałek, 10 lipca 2006

Wtorek, 11 lipca 2006

Środa, 12 lipca 2006

Czwartek, 13 lipca 2006

Piątek, 14 lipca 2006

Sobota, 15 lipca 2006

Niedziela, 16 lipca 2006

Czwartek, 20 lipca 2006

Piątek, 21 lipca 2006

Sobota, 22 lipca 2006

Niedziela, 23 lipca 2006

Noc z niedzieli na poniedziałek, 23/24 lipca 2006

Poniedziałek, 24 lipca 2006

Poniedziałek, 31 lipca 2006

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Dla Lorenza
Dla ludu Libii*

*Potrzeba jest światła, aby rozum zmienił swe zdanie,
żadną jednak miarą nie może tego światła
wykrzesać kara cielesna.*

J. Locke, *List o tolerancji*,
przeł. L. Jachimowicz

9 lipca 2006
Niewidzialny Człowiek

Gdyby za pierwszym razem sprawy potoczyły się inaczej, może nie zabiłbym wszystkich pozostałych. Z początku często sam siebie o to pytałem. Po tylu latach nie wiem już nawet, ile ich było, i moje pytanie brzmi inaczej: Czy byłbym lepszą istotą, gdybym w przebiegu szaleństwa zabił tylko ją jedną? Dziś nie żywię już nienawiści do kobiet, które zabijam, przez te wszystkie lata stały się dla mnie lalkami z gałganków, niczym więcej. Nienawidzę za to zarozumiałców, którzy patrzą na ciebie z góry i tonem nieznoszącym sprzeciwu wygłaszają wielkie prawdy. To nimi, żyjącymi bez wyrzutów sumienia i bez honoru, pragnę się zająć. A szczególnie jednym.

9 lipca 2006
Matka

W chwili gdy lewy pomocnik włoskiej reprezentacji narodowej brał rozbieg do rzutu karnego, który miał zdecydować o wyniku finału mistrzostw świata, Giovanna Sordi wstała z wysłużonej kanapy stojącej w małym mieszkaniu, gdzie mieszkała od pięćdziesięciu lat. Nie miała nikogo, z kim trzeba by się pożegnać; jej mąż Amedeo dołączył do Elisy dziesięć lat wcześniej. Od tamtego czasu codziennie zanosila świeże kwiaty na ich groby. I choć przez wszystkie te lata nie uzyskała sprawiedliwości, teraz wreszcie pozna prawdę. Bez pośpiechu przeszła przez salonik. Minęła zamknięte drzwi do pokoju, w którym narodziło się i przepadło jej marzenie. Wyszła na balkon, ignorując rozwrzeszczane szaleństwo ludzkiej masy, która wyległa na ulice. Wiedziała już, jak to się robi. Spadła na bruk dwadzieścia metrów niżej, gdy cała Italia wybuchła niepohamowaną radością.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Styczeń 1982

– Za wszystko. – To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ust Angela Dioguardiego.

Wszedłem do zadymionego pokoju tylko dlatego, że stał w nim barek, a ja miałem ochotę nalać sobie do szklanki nieco zawartości butelki z napisem Lagavulin, którą w nim zauważyłem.

Z czterech mężczyzn grających w pokera znałem z widzenia trzech, ale nie tego niebieskookiego wysokiego chłopaka o długich rozczochranych blond włosach i z bokobrodami. Przed nim leżała sterta żetonów. Niemal wszystkie.

– Angelo, kurwa, to więcej niż moja miesięczna wypłata – jęknął młody adwokat do nieznajomego. Co nawiasem mówiąc, oznaczało, że adwokat zarabiał dziesięć razy tyle co ja.

Blondas uśmiechnął się ze skruchą, niemal przepaszając. Był jedynym, który nie palił, i tylko on nie miał przed sobą szklanki z whisky. Kiedy napełniałem swoją szklankę, rzuciłem okiem na stół. Grali w teresinę, odmianę pokera five-card stud. Odkryte karty dawały zwycięstwo adwokatowi. Tylko jedna możliwa karta – gdyby akurat blondas ją posiadał – dawałaby mu punkt, którego adwokat nie mógłby przebić.

Rzuciłem mu szybkie spojrzenie, na które odpowiedział uprzejmym uśmiechem. Potem wyszedłem z pokoju, zanim adwokat podjął decyzję.

Tam czekała na mnie Camilla – z jej powodu znalazłem się tam owego wieczoru. Gospodynię mieszkania, Paolę, poznałem, gdy przysłała do dzielnicowego komisariatu policji, by zgłosić prawdopodobną kradzież swojego sznaucera. Pies znikł jej podczas spaceru w parku. Bardzo ładna dziewczyna, choć jak na mój gust trochę zbyt delikatna. Pomogłem jej znaleźć psa, który jak się okazało, tylko się zabłąkał, i zaprosiłem ją na pizzę. W dziewięciu wypadkach na dziesięć mój urok mrocznego typu połączony z autorytetem policyjnej blachy działał jak należy. Ona jednak roześmiała się głośno i odpowiedziała:

– Jestem zaręczona i wierna. Ale mogłabym cię przedstawić jednej mojej ślicznej przyjaciółce, która lubi takich mrocznych macho jak ty. Jeśli wpadniesz do mnie jutro wieczorem...

Mieszkała w luksusowym apartamencie w Vigna Clara, jednej z lepszych dzielnic Rzymu. Mieszkanie na trzecim piętrze, okna wychodzące na spokojny placyk: drzewa, świeże powietrze, żadnych hałasów. Płacili za nie rodzice mieszkający w Palermo, by ich córka mogła studiować w Rzymie. Jej przyjaciółka Camilla była całkiem niezła, choć także lekko snobistyczna. Ale dwanaście lat wcześniej, po utracie jedynej kobiety, która naprawdę coś dla mnie znaczyła, postanowiłem, że od tej pory będę się

zadowalał poszczególnymi przymiotami u innych. W wieku trzydziestu dwóch lat udawało mi się odnaleźć przynajmniej jeden pozytywny szczegół u każdej ładnej laski, która mi się trafiała. Naturalnie już dawno odkryłem, że „szczęgół” u kobiety odkrywa się poprzez seks. Kiedy gesty, spojrzenia, słowa i westchnienia stają się nieomal prawdziwe.

Jednak tego wieczoru nie dało się wiele ugrać. Przyjaciółka Paoli zostawała u niej na noc, nie było więc jak przejść do sedna. Około północy zacząłem szukać wymówki, by się wymknąć. Ja, młody komisarz policji, byłem w tym towarzystwie nadzianej młodzieży z pewnością jedyną osobą, która następnego ranka musiała wstać o szóstej trzydzieści. Zbierałem się już do pożegnania, kiedy pokerzyści weszli do salonu: trzy zbite psy i blondas o błękitnych, nieco błyszczących teraz oczach.

– Paola, twój narzeczony ma obrzydliwe pieprzone szczęście – powiedział adwokat, wraz z innymi żegnając się z panią domu.

Blondyn rozwalił się na fotelu naprzeciwko mnie. Teraz, kiedy już oskubał ich do ostatniego grosza, trzymał w ręku butelkę lagavulina. Nalał sobie szcudrze i widząc moją pustą szklanę, napełnił ją bez pytania. Podniósł swoją jak do toastu. Ubranie, zmierzwione włosy, bokobrody, wszystko to sprawiało, że nie pasował ani do tego miejsca, ani do tej kobiety, mniej więcej tak samo jak ja. Tyle że ja byłem artystą hipokryzji, kameleonem, który w tajnych służbach jako przykrywkę używał pogardy. A on był chłopakiem z przedmieścia tak bardzo nie na swoim miejscu, jak to tylko możliwe.

– Za tę wspaniałą whisky. I za tych, którzy ją potrafią docenić – powiedział z zaśpiewem mieszkańca rzymskich peryferii.

Podsunał mi papierosa. Palił obrzydliwe gitanes’y bez filtra, które pozostawiały kawałki tytoniu na języku i smród na wszystkim wokół.

– Bardzo mi smakują – powiedział na zachętę. – Poza tym liczę: nigdy więcej niż dziesięć dziennie.

Nikt w rzymskiej wyższej klasie średniej nie palił takich papierosów. Na topie była marihuana, ale fajki bez filtra trąciły wiochą. Krótko mówiąc, blondas nie należał do tego środowiska, to było oczywiste. Ale pomyślałem, że skoro Paola wybrała tego gościa i jest mu wierna, musi mieć inne ukryte zalety. A jedyne, jakie mogłem sobie wyobrazić, to te, które można zademonstrować w łóżku.

– Wygrałeś to rozdanie? – zapytałem.

Przytaknął, lecz nie okazał żadnego zainteresowania tematem.

– No to naprawdę masz wielkie szczęście. Mogłeś go przebić tylko królem. Na co najmniej dziesięć możliwości...

Nie odpowiedział. Dopiero po dwóch szklankach whisky udało mi się wydobyć z niego, że miał zaledwie dwie dziewiątki.

– Tajemnica zawodowa – powiedział, dając mi do zrozumienia, że wyznaje coś

niezwykłej wagi. – Ale adwokat narobił w gacie i spasował.

Kiedy Paola i Camilla plotkowały w kuchni, Angelo zainteresował się moim zawodem.

– Gratulacje, Michele, przynajmniej masz powód, by wstawać codziennie rano.

Pokręciłem głową.

– W rzeczywistości to czysta rutyna. W dzielnicy takiej jak ta jedną z największych przygód było odnalezienie sznaucera twojej narzeczonej.

– Aaa, to ty go znalazłeś. A w zamian... – Z uśmiechem wskazał na kuchnię.

– Cóż, Camilla jest całkiem, całkiem. Szkoda tylko, że na noc zostaje tutaj.

Zastanowił się przez chwilę. Potem zobaczyłem, jak się zrywa, zatacza i biegnie do łazienki, nie zamykając za sobą drzwi. Usłyszałem odgłos wymiotów i jęki. Dziewczyny przybiegły, ja zaraz za nimi. Leżał blady na podłodze, zwymiotował do umywalki.

– Zadzwońię po lekarza. – Paola była zaniepokojona.

– Nie, nie – wyjącał. – Michele, pomóż mi, proszę. A wy, dziewczyny, idźcie sobie stąd i zaparście mi, proszę, czarnej kawy.

Kiedy Paola i Camilla wracały do kuchni, Angelo mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Nie przejmuj się, nic mi nie jest. Ale teraz trzeba je jeszcze trochę postraszyć.

Włożył dwa palce do gardła. Kolejna fala wymiotów. Dziewczyny wróciły do łazienki.

– Dzwonię po lekarza – powiedziała Paola jeszcze bardziej zaniepokojona.

Przybrałem ten sam ton co wtedy, kiedy przyszła zgłosić zaginięcie sznaucera. Zdecydowany, spokojny, dający poczucie bezpieczeństwa. Głos człowieka, który wie, co robi.

– Nie trzeba, najgorsze już minęło. Zajmę się nim.

Jeszcze przez jakiś czas udawał wymioty i jęcał. Z dużym talentem. Potem wziąłem go pod pachę, by zanieść do małżeńskiego łóżka w sypialni Paoli.

– Aleś ty, kurwa, ciężki – powiedziałem, uwalniając się od balastu.

– Musisz się trochę pomęczyć, żeby zasłużyć. – Znów puścił do mnie oko i zaczął słabo jęczeć.

Pojawiły się dziewczyny z kawą. Angelo upił łyk z grymasem obrzydzenia.

– I co robimy? – Dziewczyny, pozostające pod wrażeniem mojej zimnej krwi, oczekiwały instrukcji.

– Niech on zostanie tu na noc – powiedział Angelo, biorąc Paolę za rękę. – Będzie blisko, gdybym poczuł się gorzej.

Bohatersko zaoferowałem gotowość spania na kanapie w salonie razem ze sznaucerem, skoro Camilla zajmowała pokój gościnny. Później, już w nocy, Camilla wyraziła obawę, że sznaucer będzie chrapał i nie pozwoli mi zasnąć, zaproponowała

mi więc przeniesienie się do jej łóżka.

W taki sposób zawarłem znajomość z Angelem Dioguardim.

Komisariat w Vigna Clara był miejscem równie emocjonującym jak pijalnia wód w uzdrowisku. W dzielnicy zasiedlonej przez rzymską klasę średnią życie policjanta upływało spokojnie jak na emeryturze. Porządne ulice, piękne domy, dużo zieleni, ludzie legitymujący się papierkiem wyższej uczelni i materialnym sukcesem osiągniętym wszelakimi sposobami, zgodnymi z prawem i nie całkiem legalnymi. Włosi, a zwłaszcza mieszkańcy Rzymu, na fali powojennego dążenia do dobrobytu za wszelką cenę nauczyli się do perfekcji, jak dokonywać oszustw podatkowych, dawać łapówki i dobrze ustawiać przetargi.

Pracowałem tam już dwa lata dzięki mojemu bratu Albertowi i jego znajomościom w kręgach chrześcijańskich demokratów.

– Potraktuj to jako rekonwalescencję, Mike – pocieszał mnie na początku. – Jako parę lat urlopu na odzyskanie równowagi i przemyślenie, co chcesz dalej zrobić ze swoim życiem. Na dogadanie się z samym sobą.

Jakby się dało ot tak wymazać trzydzieści dwa burzliwe lata życia jego młodszego brata. Lecz Alberto zawsze był taki. Pełen optymizmu, niezwykle inteligentny, tryskający energią. Łudząco podobny w tym do tatusia, który po drugiej wojnie światowej wyjechał z Palermo do Trypolisu. Sycylijczyk z ubogiej rodziny, któremu udało się skończyć studia inżynieryjne w Rzymie, stał się bogatym przedsiębiorcą w Libii i jak niewielu potrafił żeglować po mętnych wodach włoskiej polityki, oddając jej konieczne minimum i wykorzystując ją, kiedy tylko miał po temu interes. Tatuś z przekonania i dla zysku gotów był stać się bardziej katolicki od papieża, ożenić się z córką największego włoskiego posiadacza ziemskiego w Libii po to, by znaleźć się od razu we właściwych kręgach, i lewą ręką robić interesy z Żydami, prawą – z Arabami, a z ludźmi Zachodu – obiema.

Alberto przypominał ojca, jeśli chodzi o zdolności, jednak był nieporównywalnie lepszym człowiekiem: wrażliwym, zrównoważonym, wielkodusznym i sprawiedliwym. Tak czy inaczej był synem doskonałym. Mnie zaś przypadła rola tego, który od dziecka niechętnie chodził do szkoły prowadzonej przez zgromadzenie Braci w Chrystusie i całymi godzinami wystawał z wiatrówką marki Diana 50, strzelając ze stu metrów do gołębi. Tego, który przechodził z klasy do klasy tylko dlatego, że inżynier Balistreri był naprawdę grubą rybą.

Moje niespokojne dzieciństwo, upływające między księdzem o zbyt długich rękach i unikaniem służenia do mszy a bójkami z włoskimi i arabskimi rówieśnikami, przeszło w młodość: samotną, burzliwą i pełną wściekłości. Dojrzewałem, karmiąc się Homerem, Nietzschem i wczesnym Mussolinim. Żadnych kalkulacji, żadnych

kompromisów: tylko honor, działanie, odwaga. Ścieżka życia od razu naznaczona śladami krwi: mając siedemnaście lat, zostawiłem za sobą pierwszych zabitych w Kairze wstrząsanym wydarzeniami wojny sześciodniowej, mając lat osiemnaście, zabiłem swojego pierwszego lwa. W wieku lat dwudziestu spiskowałem przeciwko Kaddafiemu, który właśnie doszedł do władzy, i uzurpowałem sobie prawo decydowania o karze śmierci dla zdrajców.

Potem był Rzym i uniwersytet. Zacząłem studia w 1970 roku. Nawet udało mi się zdać parę egzaminów. Z biegiem czasu w naturalny sposób przeszedłem od Ruchu Społecznego¹ do radykalnego skrzydła pozaparlamentarnej prawicy zwanego Ordine nuovo, Nowy Porządek, pieczętującego się dwusiecznym toporem i wziętym od SS hasłem „Mój honor to wierność”. Trzy lata upłynęły mi na bójkach z czerwonymi, rozklejaniu plakatów po nocy i płomiennych zebraniach w dzień. Potem w 1973 roku chadecki minister zdelegalizował Ordine nuovo i nakazał aresztowanie jego przywódców. To była głupota, która zostawiła na pastwę losu dziesiątki młodzików, po części zbyt młodych i naiwnych, by dostrzec granicę między walką a zatraceniem. Podczas gdy wielu z moich przyjaciół opowiadało się za walką zbrojną i zabijaniem wrogów, ja zatrzymałem się, by pomyśleć. Zrozumiałem, że moi towarzysze właśnie przechodzą do etapu zamachów bombowych przeciwko zwykłym ludziom, do współpracy ze zwyczajnymi kryminalistami, do zdrady naszych wspólnych ideałów – i zgodziłem się pomóc służbom specjalnym zablokować te inicjatywy. Przez cztery lata byłem agentem tajnych służb i wciąż mogłem zachowywać przynajmniej pozory przekonania, że jestem po stronie tych dobrych, którzy starają się zapobiec rzezi niewiniątek. Jednak później, w 1978 roku, Czerwone Brygady porwały Aldo Moro i prawicowa przestępczość złączyła się z lewicowym terroryzmem. Dostarczane informacje zignorowano, Aldo Moro zginął, ja zaprotestowałem i zostałem spalony. W tej sytuacji mogłem protestować bardziej i skończyć w betonowych kamazach na dnie morza albo wyrzec się chęci zmieniania świata i poprosić brata o pomoc.

Właśnie on, inżynier Alberto Balistreri, odciągnął mnie od skraju przepaści. Minister spraw wewnętrznych winien był mu przysługę, ja przy odrobinie cudzej pomocy do zdanych na początku lat siedemdziesiątych egzaminów dołączyłem brakującą resztę i ukończyłem filozofię. Potem przyjęli mnie do policji i pozwolili wygrać konkurs na komisarza. I tak w roku 1980 otrzymałem swoją pierwszą posadę właśnie tu, w Vigna Clara, jednej z najspokojniejszych dzielnic Rzymu.

Jednak nocami chciałem uwolnić się od tego ociekającego fałszem Rzymu i trzymałem się z dala od bogatych dzielnic i jeszcze gorszego historycznego centrum, gdzie degrengolada miasta biła po oczach. Wynająłem kawalerkę w robotniczej dzielnicy wybudowanej przez Mussoliniego, Garbatelli, gdzie nieruchomości były tanie, a prawdziwi rzymianie cieszyli się wiosenną pogodą przy stolikach wystawionych przed knajpkami podającymi najlepsze w mieście jedzenie i wino.

I oddawałem się ostatniej prawdziwej życiowej pasji, jaka mi została. Kobietom. Wszystkim kobietom, każdego typu, koloru skóry, wieku, byle były piękne i nie marnowały mojego czasu na zwyczajowe preambuły. Byłem zachłanny, nie szukałem przyjaźni, porozumienia, schronienia. Wszystkie historie trwały tak krótko, że nawet nie starałem się zapamiętywać imion. Pragnąłem tylko poznawać ich jak najwięcej, co dla młodego, przystojnego funkcjonariusza policji nie było szczególnie trudne. Michele Balistreri uznawał tylko to co tu i teraz. Żadnych żalów, rozpamiętywań, wyrzutów sumienia. Należałem do wybranych, do tych, których świat nie rozumiał i osąd świata nie obchodził. Ani też osąd Boga.

To co słyszałem od Alberta, powtarzałem sobie: że to tylko czas na przemyślenie, odrobina odpoczynku, powolnego płynięcia z prądem po spokojnej rzece. Po burzliwych latach, które przeżyłem, tego mi właśnie było trzeba. Samotności rozcieńczonej banalną pracą, dobrym jedzeniem, częstym dymaniem, grą w pokera, brakiem trosk. Kruchej równowagi pomiędzy rozrywką a nudą. Żadnych emocjonalnych więzów: miłość to była ziemia, na którą spadł słony deszcz i przeobraził ją w pustynię.

Ale nieustannie powtarzałem sobie, że jak tylko to będzie możliwe, ruszę dalej w drogę. Za nic w świecie nie zostanę starym, zramolałym gliną zamkniętym w swoim biurze, służącym tchórzliwemu, zepsutemu państwu. Raczej wrócę do Afryki, żeby polować na lwy i tygrysy, ucieknę daleko od tej burżuazyjnej, fałszywej, bigoteryjnej Italii. Daleko od tego, czym gardziłem. Daleko od wszystkich moich klęsk.

Kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu Dioguardi bez problemów zgodził się zagrać w pokera ze mną i dwoma kolegami z policji. Dziwna rzecz, przecież poznaliśmy się dopiero co. Sam nigdy bym się nie odważył wyłożyć na stół własnych pieniędzy przy trzech obcych ludziach, na dodatek dobrze się ze sobą znających. Ale jak jeszcze miałem się okazję przekonać, Dioguardi był moim przeciwieństwem w wielu sprawach, a jedną z nich była właśnie wiara w bliźniego.

Zjedliśmy kolację i graliśmy aż do drugiej w nocy na zapleczu baru położonego w pobliżu piazza di Spagna. W mniej niż pół godziny uświadomiłem sobie, że gość jest poza wszelką konkurencją. Miał wszystko: technikę, wyobraźnię, brawurę. W dwie godziny wygrał bardzo wiele. W ciągu ostatniej stracił ponad połowę z tego, co wygrał.

– Specjalnie zacząłeś przegrywać – powiedziałem, kiedy moi dwaj koledzy już sobie poszli.

Z zawstydzeniem pokręcił głową.

– Zrobiłem tylko parę eksperymentów, żeby się doskonalić w grze. Robię tak, kiedy dużo wygrywam.

– Jak podczas rozgrywek towarzyskich z amatorami...

Uśmiechnął się. Wyznał mi, że grywa rzadko i tylko z bogatymi gnojkami. Wygrywa kolosalne sumy z niejakim wstydem i nigdy się tym nie chwali. Wygrane, jak miałem odkryć później, przeznaczzał na dobroczynność, swoje słynne pokerowe blefy traktował tak, jakby były małymi oszustwami. Czymś, czym przy jego katolickiej moralności nie wypada się chwalić.

Przeszliśmy do sali barowej po brzegi wypełnionej ludźmi. Grupa młodzieży śpiewała przy akompaniamencie pianina pod przewodem ślicznej ciemnoskórej śpiewaczki, która gdy tylko go zobaczyła, zawołała:

– Angelo, Angelo, chodź do nas!

Próbował się wymigać, ale nalegała. Wreszcie podszedł do dziewczyny, a ona przysłała się wargami do jego ust. Zobaczyłem, że Angelo się czerwieni i cofa. Potem dziewczyna podniosła jego rękę, jakby właśnie wygrał walkę bokerską, i zwróciła się do publiczności:

– To mój przyjaciel Angelo, najlepszy spośród nieznanych śpiewaków Rzymu. Zaśpiewa dla nas.

Również w tej dziedzinie okazał się bezkonkurencyjny. Śpiewał wszystko, czego zażądała publiczność, a na końcu wykonał *My Way* niemal na poziomie Sinatry. Zakończywszy swe wokalne wyczyny, przedstawił mnie śpiewaczce i zostawił nas samych na tyle czasu, ile potrzebowałem, by dostać jej numer telefonu. Już wiedział, jaki jestem.

Wyszliśmy z lokalu po trzeciej.

– Michele, jeśli masz jeszcze siłę, pojedziemy do Ostii.

– Do Ostii? Jest styczeń, co niby mielibyśmy robić nad morzem?

– Tam jest taka mała piekarenka. O szóstej wychodzą z pieca najlepsze rogaliki w Rzymie i okolicy.

Miał chęć porozmawiać. Ja też. Naprawdę dziwne, bo moje pragnienie podtrzymywania kontaktów towarzyskich z płcią męską z biegiem lat uległo niemal całkowitej atrofii. Pojechaliśmy jego rozklekotanym cinquecento i pół godziny później zaparkowaliśmy nad morzem. Noc była gwiazdna, zimna, ale bezwietrzna. Opuściliśmy szyby, żeby zapalić. Morze było gładkie jak stół, czuliśmy jego zapach i lekki szmer fal parę metrów od nas. Wokół nie było żywej duszy.

Angelo w przeciwieństwie do mnie chętnie mówił o sobie. Urodził się w biednej rzymskiej rodzinie. Chłopak z przedmieść, syn śpiewaka z traktierni i wróżki przepowiadającej przyszłość. Dwojga artystów bez grosza przy duszy, którzy pod koniec życia przeprowadzili się na wieś. Według aktualnie obowiązujących kryteriów społecznych: ludzi przegranych. Oboje zmarli na marskość wątroby, kiedy Angelo był jeszcze nastolatkiem. Twierdził jednak, że zawdzięcza im bardzo wiele. Po tacie śpiewaku miał głos, po mamie wróżce – zdolność blefowania i improwizowania.

Z czasem zdobył dwie rzeczy: Paolę, bogatą narzeczoną, która za nim szalała – mieli

się pobrać w następnym roku – oraz niewielką działalność w branży nieruchomości, co zawdzięczał jej stryjowi. Kardynał Alessandrini, mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, zajmował się znajdowaniem mieszkań dla księży i zakonnic, którzy w Rzymie studiowali albo jedynie przyjeżdżali tu na krótki czas z pielgrzymką czy w innych sprawach. Zarządzanie setkami pokoi gościnnych w klasztorach, pensjonatach i mieszkaniach należących do Watykanu oddano w ręce Angela Dioguardiego, ponieważ był dobrym katolikiem, chociaż rzucił szkoły. I oczywiście dlatego, że był narzeczonym bratanicy kardynała. Tej biurowej aktywności, do której ewidentnie nie był stworzony, poświęcał się z oddaniem i energią. Czyli dokładnie odwrotnie niż ja traktowałem swoją pracę. Również w kwestii kobiet byliśmy przeciwieństwami. Znał mnóstwo dziewczyn, ale niezachwiana wierność nie pozwalała mu na żadne wysoki. W miłości był idealistą szukającym związku jedyne i doskonałego. Ta jego postawa okazała się z czasem czymś wymarzonym dla mnie, wiecznego łowcy: on przyciągał dziewczyny, ja stawiałem kropkę nad „i”.

– Naprawdę jesteś bezwzględnie wierny Paoli?

W odpowiedzi oczekiwałem panegiryku na cześć miłości, lecz Angelo mnie zaskoczył.

– Jest piękna, dobra, inteligentna, bogata, jej stryj kardynał daje mi pracę. Ja jestem wygłodniałym biedakiem, który nie skończył liceum. Mogę być jedynie wdzięczny, nie mam prawa nawet pomyśleć o innej kobiecie.

Świt zastał nas w tym samym miejscu. Wyszliśmy, by rozprostować nogi, zza rolet jeszcze zamkniętej piekarni sączyło się światło i dobiegał do nas wspaniały zapach pieczonego ciasta. Wyciągnąłem papierosa z drugiej paczki. Jemu się już skończyły, zaproponowałem mu swoje.

– Dzięki, Michele, ale nie. Jedna paczka gitanes’ów na dwa dni. Ani jednego więcej.

– Zanadto się kontrolujesz, Angelo, od czasu do czasu powinieneś dać sobie trochę luzu.

Przecięgnął rękami po jak zwykle zmierzwionych włosach. Spojrzał na mnie i wskazał na morze.

– Masz ochotę popływać?

– Oszalałeś? O świcie? W styczniu?

– Kiedy już wejdiesz do wody, nie czujesz zimna. A potem masz doskonały apetyt.

Właśnie tak powiedział: doskonały apetyt. Włączył reflektory samochodu, żeby oświetliły parę metrów plaży, która dzieliła nas od morza. Minutę później był w samych majtkach.

– No rusz się, Michele, powinieneś dać sobie trochę luzu – powiedział.

Potem wziął rozbieg i wskoczył do wody. W świetle reflektorów widziałem, z jaką energią pływa.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Z pewnością coś, czego nie doświadczałem od wielu lat. Minutę później byłem w wodzie. Zimno zatykało mnie, ale im dłużej płynąłem, tym większą odczuwałem radość: zapomnianą, bezczelną, nieodpartą, która brała w posiadanie całe moje ciało.

A gorące rogaliki z kremowym nadzieniem były godnym zakończeniem nocy.

I tak oto zacząłem poznawać go lepiej. Pod obliczem czułego, pogodnego aniołka skrywało się przedwcześnie osierocone serce, które szukało stałego, pewnego portu. Tym były dla niego praca i miłość. Żadnych dziwnych ambicji, żadnych przygód. Uregulowane życie. Nigdy więcej niż dziesięć gitanes'ów dziennie, nigdy ponad dwie szklaneczki whisky. Żeby zachować jasny umysł podczas gry w pokera. Za każdym razem gdy wchodziliśmy do jakiegoś klubu muzycznego, co w ciągu kolejnych miesięcy zdarzało się nam bardzo często, powtarzała się ta sama scena. Solistka rozpoznawała Angela i zapraszała go do mikrofonu. Śpiewaczki próbowały go poderwać, ale był niewzruszony. W tej kwestii był moim przeciwieństwem albo może był taki, jaki ja mógłbym być, ale z różnych względów nie byłem. Krótko mówiąc, Angelo był nieskazitelny.

Co do pokera, Angelo ustanowił między nami żelazne reguły. Ograniczone stałe stawki, a na koniec wieczoru pula dzielona proporcjonalnie do liczby żetonów, które każdy miał przed sobą. Niemal zawsze wygrywał, a jeśli już z rzadka przegrywał, byłem przekonany, że robił to celowo, jak podczas naszej pierwszej partii. Na początku graliśmy z moim bratem Albertem i jego kolegą, też inżynierem. Próbowali namówić Angela, by wykorzystał ich wysokie pensje i posiadane akcje do rozbicia banku w kasynie, ale Angelo, wierny swojej katolickiej moralności, nie chciał o tym słyszeć.

Widywaliśmy się niemal każdego wieczoru. Standardowy schemat zakładał pizzę we czworo (ja, Angelo, Paola i moja dziewczyna dnia). Potem krótki spacer wśród wesołych lunatyków na Zatybrzu. Zatrzymywaliśmy się na bajecznie pięknym placu przed bazyliką Santa Maria in Trastevere na ostatnie piwo i papierosa. Wreszcie dwa możliwe scenariusze: albo zostawiałem ich dwoje i odchodziłem z moją aktualną dziewczyną, albo za pozwoleniem Paoli żegnaliśmy dziewczyny i jechaliśmy pokręcić się po Rzymie moją alfą duetto albo jego fiatem cinquecento. To zwykle zdarzało się wtedy, kiedy moja towarzyszka nie intrygowała mnie aż tak bardzo, bym miał ochotę na spędzenie z nią całej nocy. Jeździliśmy wtedy samochodem i gadaliśmy. Przez całe długie, chłodne zimowe noce, przy opuszczonych szybach, by pozbyć się kłębow papierosowego dymu. W ciepłe wiosenne noce, kiedy mordowaliśmy pierwsze komary. Tematy naszych rozmów rozciągały się od banałów o sporcie i polityce do głębszych egzystencjalnych problemów. Mimo że Angelo przerwał naukę, był bardzo sprawnym dyskutantem, potrafił argumentować i bronić swojej chrześcijańskiej wizji

świata rozdartego między dobrem a złem.

W ciągu tych nocy, magicznych i metafizycznych, które bez żadnego oczywistego powodu wypełniały czas naszego życia, staliśmy się nierozłącznymi towarzyszami.

Maj 1982

Biuro Angela znajdowało się w tym samym miejscu, gdzie mieszkał kardynał Alessandrini. Cały kompleks składał się z dwóch bliźniaczych trzypiętrowych budynków otoczonych parkiem i mieścił się na posesji przy via della Camilluccia, w jednej z najbardziej zielonych dzielnic mieszkalnych Rzymu. Alessandrini zajmował trzecie piętro jednego budynku, dwa pozostałe pozostawiając Dioguardiemu na biura. Na drugim piętrze mieściła się część administracyjna, pierwsze zaś było otwarte dla klientów, to znaczy dla księży i zakonnic szukających zakwaterowania w Rzymie.

Odwiedziłem go tam któreś soboty na początku maja, miałem akurat wolne. Wspaniałe przedpołudnie, czyste niebo, coraz gorętsze słońce. Starą alfą romeo duetto jechałem przez historyczne centrum, w którym tłoczyli się już zwiedzający. Od czasu do czasu zatrzymywałem się, by z podziwem popatrzeć na jedną czy drugą młodą turystkę. Koloseum: Niemka, blondynka, wielkie cycki i napis „Über alles” na T-shirtcie. Piazza di Spagna: Amerykanki w szortach siedzące na Schodach Hiszpańskich. Piazza del Popolo: bary pełne ludzi i dwie zachwycające Japonki fotografujące się nawzajem. W końcu wjechałem na Monte Mario i dotarłem na via della Camilluccia. Wielka zielona brama zamykała drogę do parku, w którym wznosiły się dwa budynki przedzielone wielką fontanną, kortem tenisowym i basenem. Rajski zakątek pozwalający jego uprzywilejowanym mieszkańcom żyć na uboczu i patrzeć z góry na wspaniałe, chaotyczne miasto, na kotłowanie ludzi i ruchu ulicznego.

Podjechałem do bramy. Z portierni wyszła ponura kobieta około sześćdziesiątki. Podejrzliwie zmierzyła mnie wzrokiem, nie potrafiła ustalić, czy jestem wędrownym sprzedawcą encyklopedii, czy może chłopcem na posyłki któregoś z miejscowych bogaczy. Odwzajemniłem się jednym z moich ponurych spojrzeń, mam to z natury.

– Pan do kogo? – zapytała opryskliwie z południowym akcentem.

– Jestem przyjacielem Angela Dioguardiego.

– Musi pan zaparkować na zewnątrz, w środku jest miejsce tylko dla mieszkańców.

Zauważyła moje zdziwione spojrzenie błędzące po ogromnych przestrzeniach parku, gdzie stało tylko kilka samochodów, a między nimi wspaniały aston martin, zdezelowane cinquecento Angela i lśniący w słońcu motocykl harley-davidson panhead.

– Pan hrabia nie chce widzieć obcych samochodów za bramą. A gdyby to od niego zależało, obcy nie mieliby tu w ogóle wstępu – dodała kobieta z nutą dezaprobaty odnoszącej się nie wiadomo do kogo: do hrabiego czy do obcych.

Szczęśliwym trafem zaparkowanie na tej pełnej zieleni, spokojnej ulicy nie

stanowiło problemu. Wszyscy mieszkańcy mieli swoje garaże, nie było tu ani sklepów, ani restauracji. Tylko drzewa, wypielęgnowane trawniki i filipińskie opiekunki pchające wózki z dziećmi bogatych rodziców, którzy pili właśnie kawę na piazza Navona albo na polach golfowych.

– Pójdzie w głąb parku, obejdzie basen i kort tenisowy, aż do budynku B. Widać stąd jego taras, niech się nie zgubi – wyjaśniła mi, jakbym był przygłupim dzieciakiem.

Przechodząc obok budynku A, położonego bliżej bramy wejściowej, poczułem się obserwowany. Spojrzałem w górę. Coś błysnęło na tarasie trzeciego piętra. Ktoś stamtąd przyglądał się obcemu przez lornetkę. Zatrzymałem się, podziwiając astona martina zaparkowanego przed wejściem do budynku. Harley stał obok. Obszedłem fontannę i ruszyłem w alejki pomiędzy kortem a basenem. Wysokie drzewa zasłaniały mi widok na budynek, który widziałem ze stróżówki.

Natknąłem się na chudego, pełnego energii młodzieńca. Gęste rude loki, niebieskie oczy, piegi, niewiele ponad dwadzieścia lat. I sutanna.

– Pan zagubiony?

– Nie wiem, mam się spotkać z Angelem Dioguardim w budynku B.

– Pan nie ksiądz. – Zaśmiał się z własnego żartu i ciągnął koszmarną włoszczyznę: – Pan wie, do Angelo tylko księża i siostry. Ja jestem ksiądz Paul, *assistant* kardynała Alessandriniiego.

Zaprowadził mnie do budynku B.

– Angelo drugie piętro. *Call me*, jeśli kiedyś pan księdzem.

Naprawdę, jak na pierwsze spotkanie był za bardzo dowcipny. W locie rozpoznawałem maski nakładane na brak pewności siebie. Maską księdza Paula była tragicznie wybrakowana.

Wszedłem po schodach. Kiedy byłem na pierwszym piętrze, z jakiegoś pomieszczenia wyszła dziewczyna o ciele bogini. Miała na sobie długi biały fartuch podobny do tych, które noszą pielęgniarki, a ja natychmiast poczułem się gotowy, by poważnie zachorować. Ten rodzaj mundurka próbował zamaskować jej kształty, ale nie istniało ubranie zdolne zakryć takie krągłości.

Stała bez ruchu, ze spuszczonej oczyma.

– Proszę – powiedziała, zatrzymując się, by mnie przepuścić. Miała ciepły, dziecinny głos i pełen skrępowania uśmiech. W ramionach trzymała stos skoroszytów.

– Może pani pomoże?

Wciąż unikała mojego spojrzenia. Zawstydzona pokręciła przecząco głową. Jeden ze skoroszytów upadł na ziemię. Kiedy schylałem się, by go podnieść, poczułem zapach mydła.

– Naprawdę bardzo przepraszam – powiedziała bez sensu.

Nie udało mi się jej przekonać, żeby pozwoliła mi ponieść te papierzyska, i razem weszliśmy na drugie piętro. Podprowadziła mnie do niewielkiego przejścia, za którym

ciągnął się długi korytarz z wieloma drzwiami.

– Pan Dioguardi jest w ostatnim pokoju – powiedziała, nie patrząc na mnie, i znikła w pierwszym pokoju przy wejściu.

Zostałem Angela siedzącego za biurkiem, zasypanego stertami papierów, segregatorami, przeróżnymi skoroszytami. Na ścianie za plecami miał wielkie zdjęcie papieża. Ujrzenie go w takiej zupełnie nowej i niezwykłej sytuacji rozbawiło mnie. Jego całkowita niezdolność do zachowania porządku w kontekście wykonywanej przez niego pracy sprawiała, że wyglądał groteskowo.

– Wiem, wiem, Michele, twój brat Alberto jest stworzony do siedzenia za biurkiem, a ja jestem tylko śmieszny. Do tego robię diabelny bałagan i zamieszanie w pracy, która wymaga zdolności organizacyjnych.

– Ale coś mi się zdaje, że masz wartościowych pomocników. – Wskazałem na korytarz.

Roześmiał się.

– Już wypatrzyłeś Elisę?

– Jeśli ci chodzi o to bóstwo, które zatrudniasz do dźwigania skoroszytów...

Wyjaśnił mi, że Elisa pracuje tu od dwóch miesięcy jako weekendowa pomoc, ponieważ chodzi jeszcze do szkoły i w czerwcu ma zdawać egzamin na księgową. Miała zaledwie osiemnaście lat.

– A jakim cudem trafia do ciebie taka manna z nieba?

– A to przez kardynała Alessandrinięgo, stryja Paoli. Rekomendował mu ją nasz szlachetnie urodzony sąsiad, hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno, skądinąd senator Republiki. Kardynał i hrabia często wyświadczają sobie nawzajem przysługi, choć politycznie i moralnie są po przeciwnych stronach barykady: katolicki demokrat i antyklerykalny zwolennik władzy absolutnej.

– Prawdę mówiąc, przysługę wyświadczyli tobie, Angelo! Trochę jeszcze młoda, ale wiesz, że ja się nie cofam przed wyzwaniem.

Z uśmiechem pokręcił głową.

– To nie twój typ, Michele.

– A to dlaczego?

– Jest odrobinę niezdarna, przeraźliwie nieśmiała, a poza tym to arcy-pobożna katoliczka jak ja, taka, co to wierzy na serio.

– To tak o mnie myślisz, Angelo Dioguardi? Że jestem tylko kolekcjonerem łatwego bzykanka z luksusowymi dziwkami? – powiedziałem z kiepsko udawanym świętym oburzeniem.

Oczekiwałem, że się roześmieje, tymczasem ze zdumieniem ujrzałem rozpaczliwy grymas na jego twarzy. Dopiero dźwięk skoroszytów padających mi na plecy uświadomił mi rozmiar nieszczęścia. Angelo, cały czerwony na twarzy, wstał, żeby pomóc dziewczynie pozbierać je z podłogi. Ja się odwróciłem, przywołując na twarz

najlepszy z moich kretyńskich uśmiechów. Patrzyły na mnie przerażone oczy Elisy. Nie posiadając czapki niewidki, natychmiast postanowiłem odwiedzić toaletę, gdzie pozostałem przez dłuższą chwilę, złorzeczając sobie w myślach. Twarz, którą widziałem w lustrze, należała do wulgarnego idioty, który właśnie popełnił idiotyczną gafę.

Wróciłem do Angela, upewniwszy się, że Elisa już od niego wyszła. Przywitał mnie sardonycznym grymasem, który mnie wkurzył.

– A ty czego się śmiesz, imbecyłu? Nie mogłeś mnie ostrzec?

– Próbowałem, Michele. Za to teraz Elisa już ma pojęcie, co z ciebie za ziółko. Ale kto wie, a nuż dostanie udaru i wszystko zapomni, masz ciągle szanse...

Skończyło się na tym, że zamknęliśmy drzwi, żeby wypić piwo i zamienić dwa słowa. Nigdzie nie było popielniczki, Angelo nie palił w biurze. Użyłem kosza na papiery. Angelo pokazał mi, na czym polega jego praca. Watykan przysyłał plan przyjazdów. Trzej stali pracownicy umieszczali księży i zakonnice, oczywiście oddzielnie, w domach, gdzie były wolne miejsca. On zajmował się ustaleniami z klasztorami i konwiktami. No i sytuacjami nadzwyczajnymi, jak na przykład przyjazd niezapowiedzianych gości. Był zawsze do dyspozycji, w każdej chwili. Dlatego potrzebował dodatkowej pomocy w soboty, a w krytycznych sytuacjach także w niedziele. Ową pomocą była Elisa Sordi mająca wkrótce zostać dyplomowaną księgową.

– A więc w soboty jesteś tu z nią sam na sam. Jak ty to robisz, że potrafisz się oprzeć pokusie?

– Nie ma się specjalnie czemu opierać. Już ci mówiłem, że Elisa to brama zamknięta na klucz. A tak naprawdę chodzi o to, że masz problem z moją wiernością wobec Paoli i poczułbyś się lepiej, gdybym od czasu do czasu skoczył w bok.

To nie była prawda. Nie zazdrościłem mu jego samokontroli. Sam musiałem bardzo ciężko pracować nad samokontrolą i to, że żyję, zawdzięczam temu, że nauczyłem się jej na własnej skórze, szczęśliwie jeszcze zanim ktoś zdążył mnie zabić. Ale samokontroli w dziedzinie seksu zupełnie nie rozumiałem, była dla mnie jak miętowy cukierek służący do przykrycia nieprzyjemnego zapachu z ust. I chciałem, by mój serdeczny przyjaciel widział to tak samo jak ja: narzucona sobie wierność jest wyrzeczeniem się życia. A to zaiste grzech śmiertelny.

O pierwszej trzydzięci Elisa zapukała do drzwi. Zajrzała tylko do środka, starając się na mnie nie patrzeć.

– Chciałabym wyjść, żeby coś zjeść.

Prośba była zupełnie nie z tych czasów, prawie jak pytanie o pozwolenie pójścia do łazienki. Wyjrzałem za okno, by zobaczyć, jak wychodzi. Przy wejściu do budynku B czekał na nią jakiś chłopak.

– A mówiłeś, że to święta... – powiedziałem do Angela nieco stropiony.

– No kurwa, Michele, na dodatek jesteś zazdrosny! Valerio Bona smali do niej

cholewki od bardzo dawna. Poza tym to nie nasza sprawa.

Wyrząłem raz jeszcze za okno. Bogini oddalała się ze swoim rówieśnikiem – niskim, chudym, w okularach. Prawdziwy absurd, niedopuszczalne marnotrawstwo. Na dodatek wyglądał, jakby się słaniał z głodu. Ona zdjęła biały fartuch. Ubrana była skromnie i prosto: nieprzylegające do ciała spodnie i przewiązana w talii bluzka, która jeszcze bardziej podkreślała wspaniałe pośladki.

Z taką byłoby jeszcze przyjemniej.

Obiecałem sobie, że zrobię wszystko, by naprawić swoją gafę. W końcu to było dopiero nasze pierwsze spotkanie.

Przed wyjściem na obiad Angelo musiał jeszcze poinformować kardynała Alessandriniego o paru sprawach.

– Chodź ze mną, Michele, będzie zadowolony. Znajomość z policjantem zawsze może się przydać – zażartował.

Mieszkanie duchownego było ogromne: przestronny salon, dużo pokoi, kilka łazienek. I górujący nad parkiem wielki taras, z którego widać było bramę wjazdową do całego kompleksu i portiernię. Salon był pełen młodych księży i zakonnicy – samych ciemnoskórych – którzy rozmawiali ze sobą po francusku. Coś w rodzaju katolickiego hostelu dla młodzieży, tyle że luksusowego.

– Musimy ich gdzieś porozmieszczać, mieli wyjechać dziś rano, ale w ich kraju właśnie nastąpił zamach stanu i zamknięto lotnisko – wyjaśnił Angelo.

Ubrany po świecku Alessandrini, oprócz nas jedyny biały w tym towarzystwie, chodził między duchowną młodzieżą, częstując wszystkich świeżą lemoniadą z wielkiej karafki. Niski mężczyzna w średnim wieku, od którego biła niezwykła siła. Krótkie siwe włosy kontrastowały z czarnymi oczami, ruchliwymi i inteligentnymi.

Podszedł, z uśmiechem podając mi rękę.

– Pan to zapewne Michele Balistreri. – Potem, zwracając się do Angela, dodał: – Należcie sobie lemoniady. Ja zaraz wracam.

Zobaczyłem, że podchodzi do telefonu. Rozmowa była krótka, prowadzona w doskonałej angielszczyźnie.

– Proszę powiedzieć ode mnie Jego Świątobliwości, że z całą pokorą, ale jestem innego zdania. Nie ma przemocy, to bezkrwawy zamach stanu. A że nie są katolikami, to już inna sprawa, ale znajdzie się sposób, by nawiązać dialog.

Wrócił do nas, poprawiając okulary na haczykowatym nosie.

– Aktualne władze watykańskie nie żywią sympatii do komunistów, zupełnie tak jak pan.

Spojrzałem na Angela, lecz przecząco pokręcił głową. Nie, on nie był typem człowieka, który opowiada kardynałowi o moich sprawach. Albo Alessandrini miał

zdolność czytania w myślach, albo zasięgnął języka na mój temat, wiedząc, że przyjaźnię się z narzeczonym jego bratanicy. Zresztą miałem to gdzieś.

– Nie sądzę, bym o czymkolwiek myślał tak samo jak watykańskie władze. Nawet o komunistach.

Kardynał zbył milczeniem moją odpowiedź i zaprowadził nas do jedynego kąta w salonie, którego nie zajmowali hałaśliwi Afrykańczycy.

– Eminencjo, mamy problem – powiedział Angelo. – Nie damy rady znaleźć miejsca dla wszystkich w naszych domach, a hotele są przepełnione. Brakuje nam około dwudziestu miejsc do spania.

To był inny niż zwykle Angelo Dioguardi. Nieporadny, niepewny siebie. Kardynał był dla niego zbyt ważny.

Alessandrini się roześmiał.

– Biedaku, nie umiesz rozmnożyć łóżek, jak Pan Jezus rozmnożył chleb! Ale to nie problem. Księża śpią u mnie. Oczywiście musisz gdzieś umieścić siostry, bo nigdy nic nie wiadomo...

– Ale eminencjo! Nawet w tym wielkim mieszkaniu nie wystarczy łóżek. Mówimy o dwudziestu księżach. Gdzie ich umieścić?

Kardynał wskazał na taras.

– Tej nocy na nim spałem, tak było gorąco. A co dopiero oni, przyzwyczajeni do wysokich temperatur. Wysłałem już Paula, żeby przywiózł śpiwory z San Valente.

Angelo odetchnął z ulgą, a kardynał zwrócił się do mnie:

– Pan jest policjantem.

Słyszałem to zdanie wypowiedane na tysiąc sposobów, z przeróżnymi odcieniami, często z ironicznym podtekstem, niekiedy niemal obraźliwie. W tonie Alessandriniego była jedynie ciekawość. Jednocześnie potwierdzał, że wie o mnie wszystko. Do tego kompleksu można było się dostać dopiero po szczegółowej kontroli i bez samochodu.

– Kiedy byłem dzieckiem, chciałem zostać policjantem – wyjaśnił kardynał – ale Pan zechciał, bym służył innemu rodzajowi sprawiedliwości.

Miałem własne dobrze wyrobione zdanie o pełnej konfliktów relacji między sprawiedliwością ziemską a boską. Ale to nie był dobry moment na dyskusję o Nietzschem i ewangeliach. Ten człowiek, jednocześnie potężny i uprzejmy, był godzien podziwu, lecz nie wzbudzał mojej sympatii. Był księdzem, a ja po latach spędzonych w katolickich szkołach wiedziałem, że jego uprzejmość może być tylko popiołem pokrywającym rozżarzone polano. Nauczyłem się nie wierzyć im od małego, od kiedy w piątej klasie podstawówki mojemu koledze wsunięto mięką dłoń w majtki, jednocześnie mówiąc o tym, jak dobry jest Pan.

Czytał mi w myślach.

– Wiem, pan jest niewierzący, może antyklerykalny albo nawet antyreligijny. Widzi pan, ja szanuję sprawiedliwość ziemską, ale widzę również jej tragiczne pomyłki.

W tym świecie wymierzanie sprawiedliwości często trafia w niewłaściwe ręce.

Zaczynałem już mieć tego powyżej uszu.

– Gdybyśmy czekali na sprawiedliwość w przyszłym życiu, żylibyśmy, oplakując jedynie własne grzechy. Żal, który zmienia się w skruchę i rozgrzeszenie, jest tylko sposobem na ucieczkę od życia.

Urwałem, widząc ostrzegawcze spojrzenie Angela, ale kardynał nie należał do ludzi obrażających się na niedowiarków, tym bardziej na takiego nic nieznaczącego niedowiarka jak ja.

– Wiem, *dottor*² Balistreri, dla pana grzechem jest tylko to, co nazywa się przestępstwem. A karę odbywa się na ziemi, najlepiej w więzieniu. Ale to nie wiara, tylko sprawiedliwość ludzi oświecenia wprawiała w ruch rewolucyjną gilotynę, a głowę pod nią kładli nie tylko winowajcy.

– Podczas gdy inkwizycja, jak rozumiem, nigdy się nie myliła.

– Inkwizycja jest jedną z wielu hańb Kościoła. I w swej istocie należy do porządku sprawiedliwości ziemskiej.

I tak oto odkryłem, że kardynał Alessandrini ma jasne, sprecyzowane poglądy i kiedy trzeba, otwarcie je głosi, nawet gdy nie do końca pokrywają się z opinią innych watykańskich hierarchów.

Wolałbym poczekać na Elisę w biurze Angela. Zdawałem sobie jednak sprawę, że po tym, jak wystrzeliłem z tekstem o łatwym bzykanku i luksusowych dziwkach, lepiej poczekać, aż wino odetchnie. Dałem się więc przekonać, że powinienem towarzyszyć Angelowi do parafii San Valente, by pomóc bratu Paulowi.

Kiedy przechodziliśmy przez park w stronę wyjścia, rzuciłem okiem na drugie piętro. Szeroko otwarte okno było jedynie w pokoju Elisy. Zapaliłem papierosa i znów zobaczyłem błysk na górnym tarasie budynku A.

– Ktoś tam u góry zabawia się lornetką.

Angelo potwierdził.

– To pewnie Manfredi, syn hrabiego Tommasa. Dziwny chłopak, ale na jego miejscu i ja miałbym problemy.

Wydawało się niemożliwe, by istniały jakieś problemy w tym przedsionku nieba. Z własnego doświadczenia jednak dobrze wiedziałem, że rodzinne bogactwo nie uodparnia nas na świat, zwłaszcza gdy jesteśmy nastolatkami.

– A jakie on ma problemy, nie licząc podglądania przechodniów?

– Głównym problemem Manfrediego jest jego ojciec. Hrabia to ważny polityk, przewodzi partii, która chciałaby przywrócić monarchię. Dzięki rodzinnym inwestycjom w Afryce dysponuje ogromnymi środkami materialnymi. Drewno, minerały, hodowla zwierząt.

Ja też miałem ważnego ojca. Zaczynałem rozumieć, jakiego rodzaju problemy ma Manfredi. Chociaż było jeszcze gorzej, zaraz usłyszałem od Angela:

– Hrabia ożenił się z bardzo młodą arystokratką z północnej Europy, Ullą. Miała wtedy ledwie siedemnaście lat. Szybko zaszła w ciążę. Podczas ciąży nie przestawała jeździć konno i płód doznał urazu. Manfredi urodził się z ogromnym naczyniakiem i zajęczką wargą. Ledwie da się na niego patrzeć. Poza tym jest zdrowy, bardzo inteligentny, ale charakter ma wybitnie ciężki. Mnie go po prostu żal, nie wiem, co bym zrobił na jego miejscu.

We mnie potworek z lornetką nie wzbudzał cienia litości.

– Są gorsze rzeczy w życiu, Angelo. Są ludzie, którzy żyją ze znacznie gorszym kalectwem. Nie mogą go po prostu operować?

– Konsultowali się u chirurgów plastycznych z połowy świata. Wszyscy doradzają, by operację przeprowadzić dopiero wtedy, kiedy chłopak przestanie rosnąć. Mam nadzieję, że pewnego dnia...

Do parku wjechał rządowy samochód, zatrzymując się obok astona martina. Jeden z ochroniarzy wysiadł i pospieszył, by otworzyć prawe tylne drzwi auta. Mężczyzna, który wysiadł, wzbudzał odruchowy, pełen szacunku lęk. Z wyglądu czterdziestopięcioletni, mimo panującego upału ubrany był w nienaganny niebieski garnitur w prążki. Wysoki, prosty jak struna, czarne włosy zaczesane do tyłu nad wysokim czołem, zdecydowane rysy twarzy i orli nos, cienkie wąsiki i zadbana niewielka bródka. Nie zaszczycił nas nawet spojrzeniem. Powiedział coś na ucho ochroniarzowi i wszedł w bramę budynku A.

– Bardzo miły sąsiad – skomentowałem.

Angelo się uśmiechnął.

– Hrabia nie jest miłośnikiem kontaktów międzyludzkich, zwłaszcza gdy ktoś nie należy do jego klasy.

Ochroniarz zbliżył się do nas i zwrócił się do niego, wskazując na mnie palcem:

– Ten pan to pański gość?

– Tak – odpowiedział nieco przestraszony Angelo.

– W takim razie proszę przypomnieć swojemu gościowi, że park jest własnością prywatną i obowiązuje w nim zakaz palenia – powiedział oschle i oddalił się.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Kompleks mieszkalny, w którym nie można nie tylko zaparkować samochodu, ale i palić. W którym podglądają cię z tarasu i czytają twoje dossier. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić, jak bardzo trudne życie ma młody Manfredi. Powstrzymałem się od zgaszenia papierosa butem na ziemi, mógłbym jeszcze zostać poszczuty sforą dobermanów albo przeniesiony do jakiegoś komisariatu w zabitej dechami dziurze gdzieś w górach.

Angelo wyjaśnił mi, że hrabia zajmuje budynek A i jest właścicielem całego kompleksu. Kiedy wychodziliśmy przez bramę, przedstawił mi dozorczynię, Ginę Giansanti.

– Następnym razem niech pan pali przed wejściem, młody człowieku – powiedziała.

Nie bardzo wiedziałem, czy to przygana, czy pełen współczucia akt solidarności.

W bramie odwróciłem się jeszcze. Wykonałem ręką dyskretny gest pożegnania w stronę błysku światła na tarasie. *Ciao, ciao*, Manfredi.

Parafia San Valente znajdowała się kwadrans drogi dalej, przy *via Aurelia Antica*. W sobotę nie było korków, wiele sklepów pozamykano, a mieszkańcy Rzymu siedzieli właśnie za stołami albo piknikowali w wielkich parkach miejskich. Wjechaliśmy w niewielką alejkę. Zaparkowałem na dzikim trawniku wśród niestrzyżonych żywopłotów i krzewów. Wszystko wyglądało na podupadłe i zostawione samemu sobie. Kościół był mały, bardzo prosty, z wyblakłymi od słońca murami, których od dziesięcioleci nie dotykał żaden tynkarz. Po przeciwnej stronie trawnika stał niewielki biały budynek, a obok samotne drzewko, wyraźnie niedawno zasadzone.

Kilkanaścioro dzieciaków w wieku od dziesięciu do trzynastu lat grało w piłkę, sędziowała im dwudziestoletnia z wyglądu blondynka. Inna dziewczyna sprzątała z długiego stołu ustawionego koło drzewa.

Obeszliśmy trawnik, kierując się do budynku. Wszędzie panował niepodzielnie bałagan. To miejsce wymagało wielkiego nakładu pracy. Wychudzony ksiądz Paul, spocony pod sutanną, targał śpiwory w stronę starego volkswagena garbusa.

– Angelo, *my friend* – zawołał na nasz widok – twój przyjaciel nowy ksiądz?

Tym razem uśmiechnąłem się do niego, to jego pragnienie nawiązania kontaktu było niemal bolesne. Pomogliśmy mu załadować samochód.

– *Food* z nami? – zaproponował Paul, kiedy myliśmy ręce w brzydkiej umywalce w równie brzydkiej łazience.

Usiedliśmy pod drzewem. Blondynka przyniosła nam plastikowe naczynia i letnią zupę bez smaku. Potem powiedziała, że idzie pozmywać.

– A dzieci nie pomagają? – zapytał Angelo, od małego przyzwyczajony do gotowania, sprzątania ze stołu i zmywania.

– *Difficult*, *my* tylko początek – wyjaśnił Paul. – *Wy speak* do jakiegoś dziecka?

– Dzięki, może następnym razem, muszę wracać na komisariat. Mam tylko czas na papierosa, o ile tu wolno palić.

Paul wybuchł śmiechem.

– Ja *no smoking*, ale nie tak jak hrabia. Tu jest *open, kill yourself if you like it*.

Otworzyłem drugą dzisiejszego dnia paczkę i zapaliłem. Angelo nie chciał.

– Od dawna w Rzymie? – zapytałem Paula. Uświadomiłem sobie, że opuściłem czasownik, jakby mógł przez to łatwiej zrozumieć pytanie.

– Prawie rok. Ja *study* na papieski uniwersytet i *help* kardynał Alessandrini. *When I finish I will go to Africa* otwierać sierociniec jak ten.

Potem Paul zadał mi poważne pytanie. Wywnioskowałem to z tego, że użył nawet

czasowników:

– Ile lat ty miał, kiedy powołanie na policjant?

Tak właśnie powiedział, powołanie. No pewnie, to słowo księży dobrze znają.

– Nie jestem jeszcze pewien co do mojego powołania. Ale postanowienie powziąłem dwa lata temu.

Zauważyłem, że robi w głowie szybkie obliczenia w związku z moim wiekiem. Musiał uznać, że ma jeszcze kilka lat, by upewnić się co do swojego powołania. Pomyślałem, że w najbliższych latach zobaczy, na jak ciężką próbę zostaną wystawione niektóre z jego najsilniejszych przekonań.

Niedziela, 11 lipca 1982

Od niemal dwóch tygodni nie mogłem zmrużyć oka. Mistrzostwa świata w piłce nożnej, które właśnie dobiegały końca w Hiszpanii, zmieniły rytm życia wszystkich Włochów. Po trudnym początku Argentyna, Brazylia i Polska w niemal niewytłumaczalny sposób uległy włoskiej reprezentacji narodowej. Niezapomniane wieczory pełne radości, po których był jeszcze poker z Angelem, Albertem i innymi przyjaciółmi, kończyły się (przynajmniej w moim przypadku) w łóżku z dziewczyną, za każdym razem inną.

Był dzień finałowego meczu z Niemcami. Cały Rzym ogarnęła biała gorączka w oczekiwaniu na zwycięstwo, wciąż jeszcze tłumiona, ale już gotowa eksplodować. Wszędzie skończyły się trójkolorowe flagi. Kto nie zdążył kupić, wywieszał na balkonie trzy ręczniki w narodowych barwach. Potem w sklepach skończyły się także ręczniki i spóźnieni desperaci przemałowali prześcieradła.

Nikt nie miał już wątpliwości, że tego wieczoru Italia wygra mundial. Rzym obudził się spokojniejszy niż zwykle pod bezchmurnym niebem. Jakby jego mieszkańcy chcieli zgromadzić maksimum energii na rozegranie finału z Niemcami. Nawet zwyczajowy tłok na plażach był znacznie mniejszy. Ludzie bali się, że w drodze powrotnej utkną w korkach i nie zdążą dopaść do telewizorów punktualnie o ósmej trzydzieści.

Wykorzystałem ten spokój, by posiedzieć w komisariacie i popodpisywać papiery. Nie było tego za wiele, ale chciałem być pewny, że nic mi wieczorem nie uprzykrzy życia. Angelo zadzwonił chwilę przed lunchem, gdy tylko wrócił z Paolą z kościoła.

– Zorganizowałem ci wspaniały wieczór, komisarzu Balistreri.

– Jeśli tak samo organizujesz wieczory, jak trzymasz porządek w biurze, to mam pewne wątpliwości. Ale zobaczymy.

– Wszyscy idziemy do Paoli oglądać mecz, będzie nawet twój brat i jego niemiecka narzeczona, trochę się z niej ponabijamy. W czasie meczu jemy i pijemy. Po meczu Paola i pozostali idą rozrabiać na ulicy...

– Przepraszam, Angelo, a jeśli przegramy?

Z góry znałem odpowiedź.

– Nie ma takiej możliwości, Michele, program tego nie przewiduje w żadnym wypadku.

– No dobrze. Więc wygrywamy i co dalej?

– Potem zostajemy my, Alberto i jeden jego kolega i gramy sobie piękną partyjkę pokera. Kiedy pozostali wrócą z zabawy, możesz się zwinąć z którąś dziewczyną, wszystkie będą miały ochotę jeszcze trochę poświętować.

– No dobrze, Angelo, ale mojej alfy nie zostawię na ulicy w tym całym zamieszaniu.

Przyjedź po mnie na komisariat tym twoim gruchotem. Kończę punktualnie o piątej.

– Nie wiem, czy dam radę, dzwonił do mnie ksiądz Paul, ma jakiś mały kłopot i muszę wpaść do biura koło piątej trzydzieści.

– Kurwa, nawet w niedzielę! Masz znaleźć garsonierę temu udawanemu jankeskiemu księdzu?

– Nie bluźnij, Michele. Muszę zajrzeć do kardynała, przyjechali niezapowiedziani goście. Musiałem nawet wezwać Elisę do pracy.

Moja niechęć wobec sytuacji natychmiast zmieniła się w entuzjazm. Nie widziałem bogini od naszego pierwszego spotkania, ale doskonale ją pamiętałem.

– W takim razie pojedę z tobą, przeproszę ją przy okazji za poprzedni raz.

Żartowałem? Mówiłem poważnie? Sam nie wiedziałem.

– Do Elisy na pewno nie wstąpimy, tylko jej będziemy przeszkadzali. Ja muszę jedynie skontrolować razem z kardynałem rozmieszczenie gości.

– Dobrze, to znaczy, że ja sam wpadnę przywitać się z Elisą. Podjedź po mnie o piątej.

Zapowiadał się bardzo interesujący wieczór. Do Paoli zawsze przychodziły ładne niunie z dobrych rodzin, mój idealny cel. Euforia w przypadku wygranej plus mój mroczny urok równa się gwarantowany sukces.

Wyszedłem do baru na placu naprzeciwko komisariatu. Na ulicy kompletna pustka. Za to w środku w klimatyzowanej sali mnóstwo ludzi, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, niż gadać o meczu. Zamówiłem kanapkę i piwo, słuchając krzyżujących się wypowiedzi. Żadnych wątpliwości co do zwycięstwa, Niemcy zawsze z nami przegrywali.

– Nawet w czasie wojny daliśmy w dupę szkopom, pieprzonym nazistom! – zawołał jakiś długowłosey gość z wytatuowanym sierpem i młotem na wierzchu brudnej dłoni, stojący wśród innych długowłosych. Przekazywali sobie skręta o niebudzącym wątpliwości zapachu.

Spojrzałem na zegarek, miałem jeszcze trochę czasu. I miałem ochotę to zrobić. Byłem w cywilu, więc wyciągnąłem z kieszeni legitymację. Poczekiałem, aż skręt dotrze do ręki wytatuowanego, i podszedłem.

Pokazałem legitymację i wyjąłem mu skręta z ręki.

– Jest pan aresztowany pod zarzutem stosowania środków odurzających – oznajmiłem.

Popatrzył na mnie w osłupieniu.

– Ale co ty, kurwa, pierdolisz, glino?

– Jak również pod zarzutem znieważenia funkcjonariusza publicznego. Zechce pan udać się ze mną do pobliskiego komisariatu.

Rozmyślnie użyłem policyjno-biurokratycznego języka, którego tak nienawidzili. Długowłosey położył mi brudną rękę na ramieniu.

Właściciel baru, tak jak przewidywałem, wyszedł, by przywołać funkcjonariuszy dyżurujących przy wejściu do komisariatu. Miałem niewiele czasu na to, co zamierzałem zrobić.

– Proszę niezwłocznie zabrać rękę, inaczej będę zmuszony dodać oskarżenie o naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza podczas pełnienia obowiązków służbowych – upomniałem go, z trudem powstrzymując śmiech z idiotyzmów, które wypowiadałem.

Ton i terminologia w końcu sprawiły, że zrobił to, co chciałem: popchnął mnie, a ja upadłem na ziemię jak kłoda.

Taka właśnie scena ukazała się oczom moich kolegów, kiedy weszli do baru. Długowłosa nie obejrzy sobie meczu wieczorem, nie w areszcie więzienia Regina Coeli. Miałem zamiar wsadzić go do takiej celi, w której spędzi bardzo nerwową noc.

Wróciłem do komisariatu i wydałem podwładnym instrukcje. Mogli oglądać mecz na odbiorniku, który ze sobą przynieśli. Byli mi bardzo wdzięczni, ale w zamian zażądałem, by w żadnym wypadku nie zawracali mi dupy po dwudziestej. Podkreśliłem raz jeszcze. W żadnym wypadku.

– A jak ktoś wejdzie na dach kamienicy naprzeciwko i będzie chciał z niego skoczyć? – zażartował jeden z policjantów.

– Powiedzcie mu, żeby skakał jutro.

Po tonie zrozumieli, że nie żartuję.

Po czwartej skończyłem całą papierkową robotę, nawet tę całkiem bezużyteczną, i zacząłem rozmyślać o Elisie Sordi, o bogini. Samiuteńkiej w tym biurze w niedzielne popołudnie, w opustoszałym mieście. Miałem pokusę, by nie czekać na Angela i pójść samemu na via della Camilluccia. Ale dziewczyna miała dużo pracy, a po naszym pierwszym nieudanym spotkaniu należało postępować ostrożnie.

Mój pokręcony umysł znalazł rozwiązanie pośrednie. Za dziesięć piąta zatelefonowałem do biura Angela.

Po dwóch dzwonek odezwał się w słuchawce nieśmiały głos, który już znałem.

– Przy telefonie komisarz Michele Balistreri, poznaliśmy się już.

Nie powiedziała ani słowa. Kontynuowałem.

– Czekam właśnie na pana Dioguardiego, który miał odebrać mnie z komisariatu. Jest może w biurze?

– Nie, dziś wcale nie przyszedł. Wpadnie później, jeśli będzie potrzebny. Mam coś przekazać, panie komisarzu?

To „panie komisarzu” rozczuliło mnie i dodało mi pewności siebie. Niezależnie od mojego wybryku wciąż mnie szanowała. Albo się mnie bała, co byłoby nawet lepsze.

– Nie, dziękuję, może później wpadnę razem z panem Dioguardim.

Nie odpowiedziała nic. Rozłączyłem się bez pożegnania.

Czułem się trochę nie w porządku wobec Angela z powodu tego telefonu. Żeby uprzedzić konsekwencje, zadzwoniłem do mieszkania Paoli. Ona odebrała.

– Dam ci go, Michele, obudziliśmy się właśnie i już wychodzi po ciebie.

– Okej i do zobaczenia później.

– Michele, co się dzieje? – Miał zaniepokojony głos.

– Nic, Angelo, chciałem tylko się upewnić, że nie zapomnisz odebrać mnie z komisariatu. Dzwoniłem do ciebie do biura, ale odebrała Elisa.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– Na pewno mnie szukałeś w biurze? Zresztą nieważne. Za pięć minut schodzę i za następne pięć jestem u ciebie.

Przyjechał rzeczywiście dziesięć minut później, parę sekund po piątej. Otworzył szyberdach swojego starego cinquecento, było piekielnie gorąco, ze środka bił smród potu, piwa i gitanes'ów.

W parę minut dojechaliśmy na via Camilluccia, na drodze nie było niemal nikogo. Ulica była spokojna, cicha, zacieniona wspaniałymi drzewami.

– Wypalę jednego, zanim wejdziemy – powiedział Angelo.

Z zapalonymi papierosami podeszliśmy do zielonej bramy. Dozorczyńni popatrzyła na nas krzywo, lecz zatrzymaliśmy się na zewnątrz.

– Pani Gino, co pani tu dziś robi? Przecież jest niedziela – zagadnął ją Angelo.

– Pakuję się. Wyjeżdżam dziś wieczorem.

– I nie obejrzy pani meczu?

– Nic mnie nie obchodzi mecz, wyście wszyscy powariowali. Dziś wieczorem wylatuję do Indii.

– Do Indii? A co pani będzie tam robić? – zapytałem ze zdziwieniem.

Gina spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Młody człowieku, rozumiem, że to dla pana dziwne, ale ja dwa tygodnie każdego roku poświęcam na wolontariat. Wyjazd organizuje kardynał Alessandrini, więc dopiero po powrocie będę mogła panu opowiedzieć, jak to tam wszystko wygląda.

– Widziała pani Elisę? – zapytał Angelo także dlatego, żeby uniemożliwić mi wygłoszenie jakiegoś komentarza nie na miejscu.

– Elisa haruje w biurze od samego rana, biedaczka. Wyszła tylko na lunch, widziałam ją, jak wracała z Valeriem. Pół godziny temu zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym wpadła do niej po papiery dla kardynała.

– Dziękuję, pani Gino – powiedział Angelo – my zajdziemy do kardynała sprawdzić, czy wszystko gra, i puszczyć Elisę do domu.

– Ja nie chcę ryzykować, że mnie aresztują, tu na ciebie poczekam, Angelo.

Rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Tylko pamiętaj, że cię widzę z tarasu kardynała, zachowuj się.

Rzeczywiście, taras budynku B, choć odległy, był dobrze widoczny od strony bramy. I na odwrót. No pięknie.

– Nie ruszam się stąd, słowo honoru – obiecałem, podnosząc dwa palce.

Angelo poszedł, a ja zostałem sam z panią Giną. Ja z papierosem po jednej stronie bramy, ona po drugiej, myjąc okna portierni, żeby zostały czyste i lśniące przed wyjazdem. Zrobiła się trochę przyjaźniejsza.

– Przykro mi z powodu papierosów, ale hrabia jest totalnym despotą, a jego syn jeszcze gorszy.

Ewidentnie hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno nie cieszył się sympatią ponurej dozorczyń. A jeszcze mniej ten ułomny chłopak z lornetką.

Rzuciłem okiem w stronę tarasu na szczycie budynku A. Szybki błysk, potem nic. Tego dnia Manfredi był nieśmiały.

Angelo pojawił się razem z Alessandriniem na tarasie budynku B. Zamaszyście pomachali do mnie i zniknęli w środku. Zadzwoił telefon w dyżurce.

– Kardynał prosi pana do środka – oznajmiła mi Gina. – A ja się pożegnam, przed wyjazdem idę jeszcze na mszę.

Cholerny klecha. Jakby mnie interesowały pogaduszki z nim. Zastanawiałem się, czy spróbować mimo wszystko szczęścia z Elisą, kiedy przed bramą zatrzymał się rządowy samochód. Kierowca pospieszył, by otworzyć drzwi hrabiemu Tommasowi dei Banchi di Aglieno, podczas gdy pani Gina już otwierała wejście dla pieszych przy bramie.

Stał dokładnie naprzeciwko mnie nienagannie ubrany i bez kropelki potu na ciele mimo panującego upału.

– Powiedziano mi, że jest pan przyjacielem pana Dioguardiego i komisarzem policji. Jest pan tu służbowo?

Uznałem za oczywiste, że żartuje, i głupkowato się roześmiałem. Hrabia popatrzył na mnie jak na idiotę. Nie dodając nic więcej, odwrócił się do mnie plecami i odszedł w stronę swojego pałacyku. Patrzyłem na niego wściekły na siebie, że pozwoliłem wywołać w sobie poczucie niższości. Bardzo nieprzyjemne, nie byłem do niego przyzwyczajony.

Potem poszedłem do budynku B, nie do końca wiedząc, co robić. I znowu spotkałem księdza Paula, tak samo jak za pierwszym razem.

– Panie komisarzu, kardynał pana czeka.

Tym razem był poważny, nie miał swojego zwykłego uśmiechu. Wydawał się spięty, niebieskie oczy niespokojnie mu biegały nad piegawatymi policzkami, rude włosy były w nieładzie. Wydobył z siebie nawet czasownik po włosku.

– Będzie ksiądz oglądał mecz dziś wieczorem? – zapytałem bardziej dla zyskania na czasie niż z grzeczności. Cały czas jeszcze toczyłem w sobie wewnętrzną walkę.

– Tak, w San Valente, z dziećmi. Ja już późno. – I odszedł bez pożegnania.

Zatrzymałem się pod oknem bogini. Jedyne, które było otwarte. Tym razem na

parapecie stał kwiatek, który dziewczyna musiała tam umieścić, kiedy na okno przestały padać palące promienie słońca. Nie wiedziałem, co dalej, przez kilka minut stałem niezdecydowany, patrząc w górę.

Potem wszedłem do środka, znalazłem windę i nacisnąłem przyciski z numerem 2 i numerem 3.

Angelo czekał na mnie na klatce schodowej na piętrze kardynała. W milczeniu przeszliśmy przez pusty salon do prywatnego gabinetu hierarchy. Siedział ubrany w purpurę za wielkim biurkiem i przeglądał otrzymane od Elisy papiery, które pani Gina mu przyniosła. W tym ubraniu i w takim wnętrzu robił całkiem inne wrażenie. To już nie był tylko energiczny, inteligentny ksiądz. To był człowiek, który posiadał władzę i będzie jej miał coraz więcej. A Angelo wyglądał na przejętego, musiał mieć jakiś problem, może czegoś nie zrobiono jak należy.

– Komisarzu Balistreri, nie chciał pan się ze mną przywitać? – powiedział kardynał na powitanie. Jego ton był serdeczny, ale w głosie pobrząkiwała nutka, która kazała mi się domyślać, że coś jest nie tak.

Angelo wyszedł na taras, widziałem go, jak pali, nerwowo przeglądając jakieś dokumenty.

– Nie chciałem przeszkadzać. Wiem, że eminencja ma pilne sprawy z Angelem. Coś się stało?

Alessandrini wskazał mi krzesło.

– Nic, co mogłoby wam przeszkodzić w obejrzeniu meczu. Proszę się napić lemoniady, a w tym czasie pana przyjaciel poradzi sobie z problemem.

Z pewnością był jakiś problem z noclegami, którego nie rozwiązała ani Elisa, ani Angelo. Zdaje się, że jeśli ten miły mężczyzna w czerwonej sutannie chciał, potrafił być bardzo twardy.

Kardynał otworzył małą lodówkę i napełnił mi szklanek zimną lemoniadą.

– Jest pan młody, *dottor* Balistreri. Ale ma pan ogromne doświadczenie. Wiem, że robił pan w życiu wiele rzeczy...

Dokładnie tak powiedział, potwierdzając, że ma na mój temat dossier z prawdziwego zdarzenia.

– Zrobiłem parę głupstw i parę dobrych rzeczy też. Jak wszyscy.

– Ważne, żeby się uczyć na błędach. Nawet Nadczłowiek pańskiego drogiego przyjaciela Nietzschego stanie w owym dniu przed obliczem Boga...

Cóż, ja popełniłem jeden ciężki błąd wiele lat temu. Śmiertelny grzech, z którego tylko ksiądz mógł mnie rozgrzeszyć. Ale nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać o tym z kardynałem.

– Widzę, że przynajmniej tutaj można palić. – Wskazałem na taras, zmieniając temat.

– Oczywiście. Watykan jest wyłączony spod „jurysdykcji” hrabiego. Jeśli pan chce, może dołączyć do Angela – zażartował. Przyjaźnie, ironicznie. Ale wydawał się

nieobecny, jak gdyby myślał o czymś innym.

Wyszedłem i wypaliłem dwa papierosy pod rząd, w czasie kiedy mój przyjaciel pracował.

Potem w gabinecie zadzwonił telefon i kiedy kardynał rozmawiał, zapytałem Angela, ile jeszcze mu tu zejdzie.

– Prawie skończyłem – burknął.

Był poważny, zamyślony. Przekląłem w duchu kardynała i władzę, którą miał nad moim przyjacielem. Nie podobało mi się, że widzę go tak przejętego z powodu swojego k s i ę d z a i w ł a d c y. Sprawiało mi przykrość, że Angelo jest tak podporządkowany temu człowiekowi.

Rozmowa telefoniczna kardynała była krótka i zakończyła się prostym: „Zobaczymy się tam za piętnaście siódma”.

Angelo wrócił do gabinetu i podał kardynałowi dokumenty.

– Wszystko w porządku, eminencjo, ostateczne rozwiązania zostawię na biurku, tak że jutro rano może mi eminencja potwierdzić jeszcze przed przyjazdem gości. A co do drugiej sprawy, zrobię co w mojej mocy...

– Jestem o tym przekonany. W takim razie proponuję, byśmy już zeszli, jest dziesięć po szóstej, a ja muszę jechać do Watykanu. A wy, jak sądzę, macie już zaplanowany wieczór.

– Eminencjo, nie będzie ksiądz oglądał meczu? – zapytałem.

– Ja też jestem człowiekiem, *dottor* Balistreri. Postaram się wrócić na ósmą trzydzieści.

Zjechaliśmy windą. Ukradkiem rzuciłem okiem na otwarte okno na drugim piętrze. Powiniennem przestać o niej myśleć.

Pani Giny nie było, poszła na mszę. Kardynał pożegnał nas szybko i pospiesznie wsiadł do taksówki czekającej na niego przed bramą.

Już wsiadaliśmy do cinquecento, kiedy zobaczyliśmy, jak z budynku A wychodzi hrabia w towarzystwie dużo młodszej kobiety i wysokiego chłopaka z muskułami napinającymi się pod czerwonym T-shirtem, w motocyklowym kasku zakrywającym całą głowę. Jak zawsze obok astona martina stał harley-davidson. Hrabia położył rękę na ramieniu chłopaka i otworzył bramę pilotem. Potem wyjechali, hrabia i Ulla samochodem Jamesa Bonda, chłopak motocyklem Easy Ridera.

Kiedy dojechaliśmy, w domu Paoli było już trochę ludzi. Angelo poszedł od razu do kuchni – miał przygotować jedzenie – ja zabrałem się za nakrywanie dużej ławy przed telewizorem. Potem towarzyszyłem Paoli w przyjmowaniu pozostałych gości, kiedy Angelo gotował. Dzięki temu już od wejścia mogłem dokładnie przyjrzeć się kobietom. Mój brat Alberto przyszedł w towarzystwie eleganckiej Niemki, która później została

jego żoną. Co jakiś czas zaglądałem do kuchni i widziałem coraz bardziej spoconego Angela krzątającego się przy garnkach i popijającego wino kieliszek za kieliszkiem. Cały był pochłonięty przygotowaniem odpowiedniej ilości *penne all'arrabiata*³ wspólnie z Cristianą, małą dziewczyną o długich rudych włosach, wielkich cyckach i przykuwającym spojrzeniu siedzeniu wbitym w dżinsy. Od tego momentu zintensyfikowałem wizyty w kuchni, aż w końcu zainstalowałem się tam na dobre, żeby z nią pogadać.

Koło ósmej w mieszkaniu było już jakieś pięćdziesiąt osób siedzących gdzie się dało. Przez otwarte okna wpływało wciąż jeszcze gorące powietrze. Z pobliskich kamienic dobiegały śmiechy ludzi zbierających się po domach z tej samej okazji. Rzuciłem okiem na ulicę. Absolutnie opustoszała.

Atmosfera w mieszkaniu była świąteczna. Po paru kieliszkach białego wina zaryzykowałem kilka odważnych żarcików z Cristianą na temat tego, jaki będzie seks, jeśli wygramy, a jaki, gdy przegramy.

– Jesteś draniem, Michele. Sympatycznym, ale niebezpiecznym. Paola poradziła mi, żebym trzymała się od ciebie z daleka.

Paola była naprawdę dobrą przyjaciółką. Doskonale wiedziała, że tego rodzaju rada przyciąga dziewczyny jak miód pszczoły.

– Uważaj, mógłbym cię aresztować pod zarzutem znieważenia funkcjonariusza publicznego.

Zaśmiała się.

– I założyliby mi pan kajdanki, panie komisarzu?

– Najpierw założylibym kajdanki, a potem przesłuchał, bardzo dogłębnie. A gdybyś stawiała opór...

– Musiałby mnie pan solidnie sponiewierać, żebym zaczęła mówić, panie komisarzu. Może nawet wychłostać.

Spojrzałem znacząco na jej siedzenie.

– To nie zawsze skuteczna tortura, niektóre kobiety tak lubią.

Spiekła raka, ale roześmiała się. Miałem już zapewnione zajęcie po meczu i partyjce pokera. Niedużo zachodu tego wieczoru. Z drugiej strony to dobrze przy tych wszystkich papierosach i alkoholu, który w siebie wlewałem. Spojrzałem na kuchnię. Angelo, spocony jak mysz i już niemal zupełnie pijany, kończył wspaniałą sałatkę ryżową w trzech kolorach flagi narodowej.

Potem zaczął się mecz. Siedząc na ziemi między nogami Cristiany, piłem, paliłem i modliłem się do Paola Rossiego⁴.

Pierwsza połowa skończyła się wynikiem zero do zera. Roztrzęsieni z przejęcia i gorąca Włosi wylegli na ulice, tarasy i balkony, aby się przewietrzyć i nieco

ochłonać. Kiedy zadzwonił telefon, odebrała Paola.

– Mój stryj do ciebie – powiedziała do Angela z niepokojem.

Kiedy wśród ogólnego zgiełku słuchał kardynała, na jego czole pojawiła się duża pionowa zmarszczka.

– Zaraz przyjeżdżam – wybełkotał na koniec, odkładając słuchawkę. Z powodu alkoholu miał już bardzo niewyraźny głos.

Odnalazłem jego przejęte spojrzenie.

– Angelo, wciąż jakieś problemy z tymi pieprzonymi mieszkaniami?

Spojrzał na mnie półprzytomnie.

– Nie mogą znaleźć Elisy.

– Kto nie może znaleźć Elisy?

– Jej rodzice, bardzo się niepokoją. Mówią, że miała wrócić do domu i oglądać z nimi mecz, ale nie wróciła z pracy. Pojechali do kardynała.

Roześmiałem się lekceważąco.

– Co za bzdury, na pewno jest gdzie indziej i ogląda mecz z przyjaciółmi. Typowa nadopiekuńczość włoskich rodziców.

Angelo pokręcił głową.

– Elisa zawiadomiłaby ich, gdyby zmieniła plany.

Zaczynało mnie to już wnerwiać.

– No żeż kurwa, właśnie teraz! Dobrze, pojedę z tobą. Weźmiemy twoje cinquecento, uspokojmy tych upierdliwców i wrócimy na drugą połowę.

Byłem naprawdę poirytowany, ale pustki na ulicach gwarantowały, że błyskawicznie dojedziemy na miejsce, poza tym nie mogłem go puścić samego w tym stanie.

Obaj byliśmy pijani. Prowadziłem ja i po pięciu minutach znaleźliśmy się na via Camilluccia. Zauważyłem astona martina i zaparkowanego obok harleya. Z oświetlonego tarasu budynku A dobiegały odgłosy zabawy. Hrabia miał gości.

Kardynał Alessandrini i rodzice Elisy czekali na nas przy fontannie. Amadeo i Giovanna Sordi mieli niewiele ponad pięćdziesiątkę, Elisa była ich jedynym dzieckiem. Ojciec był wysokim, szczupłym, już siwym mężczyzną. To po nim Elisa miała wzrost i posturę. Za to wielkie, głębokie oczy odziedziczyła po matce. Teraz te oczy patrzyły na nas z niepokojem.

– Jest nam strasznie przykro, *dottor* Dioguardi, i to w taki wieczór.

Od mówienia była matka, ojciec trzymał się trochę z boku. Odnotowałem termin *dottor* w odniesieniu do Angela. Biedacy zawsze zbyt poważają tych, którzy są u władzy – i również dlatego pozostają biedakami.

Kardynał zwrócił się do Angela:

– Widział pan albo słyszał Elisę po tym, jak się pożegnaliśmy dziś po południu?

Angelo nieco się chwiał, policzki miał czerwone. Udało mu się jednak wydobyć z siebie spójną odpowiedź:

– Nie, powiedziałem jej, że jeśli nie będzie mnie do szóstej trzydzieści, to znaczy, że wszystko jest w porządku i może wracać do domu.

– Słyszałam się z nią dziś kilka razy przez telefon – powiedziała matka – ostatni raz dzwoniłam do biura po piątej. Ona też mi powiedziała, że *dottor* Dioguardi właśnie idzie do księdza kardynała i że jeśli nie będzie problemów, przyjdzie do domu na siódmą trzydzieści. Kiedy zobaczyłam, że ciągle jej nie ma, nie od razu się przejęłam, pomyślałam, że ma jakieś przeszkody w pracy, i nie chciałam jej przeszkadzać, dlatego nie dzwoniłam od razu. – Spojrzała na męża opiekuńczo. – Amedeo miał nawet zamiar przyjechać po nią samochodem, tylko że Elisa nigdy nie chciała go kłopotać. O ósmej zaczęłam się niepokoić. Zadzwoiłam tutaj, ale nikt nie odbierał. I teraz już nie wiemy, co myśleć...

– Jestem przyjacielem pana Dioguardiego i komisarzem policji – włączyłem się do rozmowy, starając się nie przewlekać słów. – Może Elisa zwyczajnie zmieniła plany i poszła oglądać mecz z przyjaciółmi?

Giovanna Sordi spojrzała na mnie, odrobinę stropiona moją powierzchownością niezbyt licującą z wyglądem stróża porządku, niemniej podniesiona na duchu tym, że jestem policjantem.

– Ale wtedy by do nas zadzwoniła, panie komisarzu – powiedziała z szacunkiem.

Rodzice łudzą się, że wszystko wiedzą. Pomyślałem jednocześnie o tym i o tym, że właśnie zaczyna się druga połowa. Przybrałem profesjonalny wyraz twarzy.

– Mogła zatrzymać się w lokalu, gdzie nie ma telefonu. Musimy poczekać przynajmniej do końca meczu – powiedziałem zdecydowanym tonem.

Zauważyłem cień irytacji na twarzy kardynała, który jednak nie wyraził sprzeciwu, podobnie jak oboje biedni rodzice.

– Zrobimy tak – powiedział kardynał Alessandrini. – Pan, panie Amedeo, niech wraca do domu od razu, póki jeszcze na ulicach jest spokojnie. Jeśli Elisa zadzwoni albo wróci, zawiadomi nas pan. Pańska żona zostanie ze mną do końca meczu. Potem, jeśli nic się nie zmieni, *dottor* Balistreri powie nam, co robić.

Byłem niespokojny, ale nie o los Elisy Sordi, tylko o kadrę narodową. No i pijany. Jechałem na pełnym gazie aż do domu Paoli, a siedzący obok mnie Angelo miał zamknięte oczy.

Druza połowa dopiero się zaczęła.

– Co się dzieje? – zapytał mnie mój brat, kiedy wróciliśmy do salonu pełnego ludzi.

– Nic takiego. Jedna z pracownic Angela nie wróciła do domu, pewnie jest gdzieś z przyjaciółmi i ogląda mecz, ale rodzice się niepokoją.

Alberto poczęstował mnie spojrzeniem podobnym do tego, które rzucił mi kardynał Alessandrini. Ale i on nie wyraził żadnych obiekcji.

Wróciłem między nogi Cristiany z winem i papierosami. Każdy gol Italii wywoływał równy ryk w całym kraju. Przy trzecim ludzie porzucili telewizory i wybiegli na ulice, tarasy i balkony. Dźwięk klaksonów i trąbek zmieszał się z hukem sztucznych ogni.

Nim zabrzmiał ostatni gwizdek sędziego, dziesiątki tysięcy ludzi wyległy już na ulice. W parę minut ruch uliczny został całkowicie zablokowany. Ludzie siedzieli nawet na dachach samochodów, krzycząc z radości, powiewając flagami, grając na trąbkach i bębnach. Wszędzie trójkolorowe słupy dymu, noc zabarwiła się na białe, czerwono i zielono.

Pośrodku tego ogłuszającego hałasu zadzwonił telefon. Angelo poszedł odebrać, a mnie nagle ogarnęły złe przeczucia. Alberto popatrzył na mnie.

– Jeśli nie wróciła, idźcie natychmiast.

Ton był spokojny, lecz nie dopuszczał sprzeciwu. To był ton, jakim mówił mój ojciec, kiedy byłem mały. *Musisz nauczyć się być bardziej odpowiedzialny, Mike.*

– Kardynał powiedział, że mamy wracać z kluczami do biura. – Angelo zrobił się nagle mniej pijany i bardziej przejęty.

Przy szaleństwie, które zapanowało na ulicach, nie było mowy o jeździe samochodem. Rezydencja kardynała znajdowała się jednak stosunkowo blisko, ruszyliśmy więc pieszo, przedzierając się przez wiwatujące tłumy, popychani przez wszystkich i wszystkich rozpychający. Absurdalna sytuacja, pośrodku niepohamowanej radości byliśmy jak dwie pijane beły obijane ze wszystkich stron.

Zajęło nam to dwadzieścia minut. Byłem nakręcony wielkim zwycięstwem i perspektywą prawdopodobnego bzykanka z Cristiną. Myśl o Elisie błąkała się gdzieś daleko, jedynie od czasu do czasu przypominając o sobie.

Kardynał Alessandrini i pani Giovanna czekali na nas. Z nadzieją popatrzyła mi prosto w oczy i natychmiast poszliśmy do budynku B. Okno Elisy było zamknięte, kwiat stał wciąż na parapecie. Alessandrini był bardzo spięty, Angelo zupełnie blady. Drzwi do biura były zamknięte na wszystkie zamki i zasuwę, tak jak należy. Angelo otworzył je ręką drżącą ze zdenerwowania i od alkoholu. Powiedziałem wszystkim, by zostali, ale kardynał nie chciał się zgodzić.

– Eminencja jest cywilem. Ja policjantem. Proszę zostać tutaj.

Zignorował mnie i rzekł do Angela:

– Niech pan zostanie z panią Giovanną.

Wszedł, nie patrząc nawet na mnie. Odpuściłem, chciałem wyjść stąd jak najszybciej i zająć się pokerem, a potem Cristianą.

Zapaliliśmy światła. Wszystko było w doskonałym porządku. Teczki w skoroszytach, okna zamknięte. Ani śladu Elisy Sordi. Poszperaliśmy między kartkami na biurku w poszukiwaniu jakiegoś tropu świadczącego o umówionym spotkaniu. Nic. Znaleźliśmy kartę zegarową Elisy na swoim miejscu, między innymi kartami. Była

jedyną pracownicą, która tego dnia znajdowała się w biurze. Wyjście zostało opieczętowniane o szóstej trzydzieści.

Angelo zamknął biuro na klucz, Alessandrini zaś wziął mnie na stronę.

– Pan i Angelo jesteście na bani – powiedział bez żadnych wstępów – dlatego lepiej idźcie do domu. Ja pójdę z panią Giovanną zawiadomić policję.

Uznałem, że to najlepsze rozwiązanie, i tylko dla zasady słabo zaprotestowałem, czego kardynał nawet nie słuchał. Poszliśmy sobie, śmierzdziliśmy zresztą alkoholem i papierosami, mnie na dodatek zaczęła męczyć czkawka.

Kiedy wróciliśmy, mój brat już poszedł. Z pokera nici. Ale Cristiana z Paolą wróciły szybko. Zabrałem ją do pokoju gościnnego i zamknąłem drzwi.

Oparła się o framugę, zaczerwieniła.

– Mam narzeczonego, Michele, on pracuje w Mediolanie. Za rok wychodzę za mąż.

Znałem dobrze tę historię. Michele Balistreri był mroczną stroną każdej kobiety, tą graniczną linią, o której istnieniu dziewczyny wiedziały, bały się jej i o niej marzyły, nie ośmielając się podejść zbyt blisko. Szybko rozumiały, że z Balistrerim przekracza się granicę dobrych obyczajów, ale wiedziały też, że zawsze będą mogły wrócić do dającego poczucie bezpieczeństwa gościa w rodzaju Angela Dioguardiego, idealnego narzeczonego, towarzysza na całe życie. Tak było znacznie zabawniej, to była czysta przyjemność: przekroczyć granice przyzwoitości aż do tego punktu, w którym wraz z ubraniem zdejmuje się kokon ochronny zbudowany przez lata wychowania i samokontroli. Wraz ze zdjęciem majtek oddawały mi tę część siebie, której istnienie wyczuwały, ale się jej wstydziły, część, której żaden naręczony wcześniej nie widział i żaden mąż nigdy nie zobaczy. Nigdy nie zakochiwały się we mnie naprawdę, zabraniał im tego instynkt samozachowawczy. Ale kiedy znikąłem, nie przebaczały. Zabierałem ze sobą ich największy sekret, choć byłem prawdopodobnie jedynym mężczyzną, który ich nigdy nie oszukał.

Wyciągnąłem jej ze szlufek dżinsów bawełniany pasek.

– Nie mam kajdanek, tym cię zwiążę.

Ściągnęła mi mój pasek, skórzany.

– A jeśli odmówię współpracy z policją, możesz użyć tego, żeby mi przetrzepać tyłek.

O tak, zapowiadała się wspaniała noc. Kompletnie zapomniałem o Elisie Sordi.

Poniedziałek, 12 lipca 1982

Spędzenie nocy w mieszkaniu Paoli miało też swoje zalety logistyczne. Byłem dwa kroki od komisariatu w Vigna Clara, mogłem się wyspać. A owego ranka naprawdę tego potrzebowałem. Zignorowałem budzik, w komisariacie przecież zapowiedziałem, że się spóźnię. Cristiana spała u mojego boku, z pokoju obok nie dochodził żaden dźwięk. W końcu o jedenastej obudził mnie głód.

Nawet się nie umyłem. W panującej wszędzie ciszy naciągnąłem dżinsy i T-shirt i szedłem do baru przy placu. Tłumek zmiętych ludzi komentował wielkie zwycięstwo. Na chodnikach tłoczyli się ci, którzy tak samo jak ja powinni już dawno być w pracy. Wśród ogólnego chaosu zamówiłem kawę i ciastko z kremem.

– Gratis – oznajmił barista. – Dzisiaj płacą tylko szkopy.

Kupiłem najnowsze wydanie „Corriere dello sport” i wróciłem do mieszkania.

Chciałem w spokoju przeczytać o wszystkich szczegółach wczorajszego triumfu. Wyciągnąłem się na kanapie w salonie z papierosami i gazetą, gotowy cieszyć oczy dziennikarskimi hiperbolami.

Po jakimś czasie usłyszałem głosy Paoli i Cristiny w kuchni i poczułem zapach dobrej kawy. Weszły z parującymi filiżankami, tostami i marmoladą, także dla mnie. Były w szlafroku i kapciach, oczy miały podkrążone od krótkiego snu.

– Proszę bardzo, to dla jego wysokości sułtana – oznajmiła Cristina, nachylając się po buziaka, którego jej dałem z roztargnieniem i niechętnie.

– Dziewczyny, nie powinnyście tak się pokazywać. Paola, gdyby Angelo się obudził i zobaczył cię w takim stanie...

– Angelo wyszedł o siódmej trzydzieści. Mało brakowało, a całkiem by mnie obudził.

Trochę mnie to zaskoczyło, ale pamiętałem, że miał do rozwiązania jakieś problemy z księżmi i zakonnikami. Z apetytem wciąłem drugie śniadanie, a potem wróciłem do gazety. Bolała mnie głowa, mimo to humor miałem doskonały.

Angelo zadzwonił chwilę po dwunastej. Paola przekazała mi słuchawkę.

– Michele, jest tu policja, właśnie przyjechali ludzie z twojego komisariatu. – Był przestraszony.

– Kto tam jest?

– Twój zastępca Capuzzo. Matka Elisy zgłosiła zaginięcie córki wczoraj o północy w twoim komisariacie, bo to ta sama dzielnica. Powiedziałem twojemu zastępcy, że się znamy, ale nie zdradziłem, że nocujesz u Paoli. Szukali cię w domu, nie wiedzą, gdzie jesteś.

Angelo zachował się doskonale, niemniej cała sprawa była koszmarnie upierdliwa.

– Już jadę.

Zatelefonowałem do komisariatu, udając, że nic nie wiem. Powiedzieli mi, że Capuzzo mnie szukał, i podali mi numer miejsca, gdzie przebywa, czyli numer biura Dioguardiego. Zadzwoiłem, odebrała sekretarka, poprosiłem o połączenie z Capuzzem.

– Co się dzieje, Capù?

– *Dottore*, chodzi o tę dziewczynę, co jej nie można znaleźć. To jedna z tych, które pracują dla pana przyjaciela Dioguardiego.

– Kto zgłosił zaginięcie?

– Matka. Przyszła na komisariat wczoraj o północy, w samym środku tego szaleństwa. Był z nią jakiś ksiądz. Powiedziałem jej, że procedury w przypadku zaginięcia są skomplikowane, że nie możemy nic zrobić przed upływem dwudziestu czterech godzin od zaginięcia.

– I bardzo dobrze. Między nami mówiąc, Capuzzo, ta dziewczyna jest zdrową dupą, która zapewne jeszcze świętuje zwycięstwo z kimś, kto ma więcej szczęścia od nas.

– Ale ten ksiądz bardzo nalegał. I musi mieć wpływy, bo przed południem dostałem polecenie z wydziału kryminalnego, że mamy pojechać tam natychmiast i zobaczyć, jak się sprawy mają.

Trochę czasu zajęło mi przywrócenie się do stanu używalności. Oczywiście ubranie w postaci dzinsów i T-shirtu nie było profesjonalne, ale nie miałem czasu, by jechać do domu i się przebrać. Poszedłem spacerem, mijając co chwila grupki próżniaków rozprawiających o triumfie włoskiej piłki. Na wszystkich balkonach wisiały barwy narodowe. Chyba po raz pierwszy od czasów Mussoliniego. Może od dnia, kiedy powiesili go głową w dół na piazzale Loreto w Mediolanie. *Kraj bez krzty honoru*. Odgoniłem myśl, która towarzyszyła mi od wczesnej młodości, to nie czas na takie rozważania.

Dozorczyńni nie było, prawdopodobnie leciała już nad Indiami. Na jej miejscu znalazłem miłą dziewczynę, która ją nieco przypominała. Powiedziała, że jest jej córką. Paliłem, kiedy dotarłem do zielonej bramy. Okazałem dziewczynie legitymację i wszedłem z papierosem w ustach. Teraz nie byłem już przyjacielem odwiedzającym Angela Dioguardiego, teraz byłem policją. Niech tylko hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno spróbuje się do mnie przypieprzyć ze swoimi średniowiecznymi regulacjami.

Błysk z tarasu budynku A oznajmił mi, że Manfredi jest na posterunku. Byłem w tak złym humorze, że mało brakowało, a zacząłbym go przedrzeźniać i nabijać się z jego kalectwa. Ograniczyłem się do pomachania mu papierosem na powitanie. A niech doniesie temu aroganckiemu dupkowi, swojemu ojcu. Wiedziałem, że moją agresję wywołuje poczucie, że podczas krótkiego spotkania z hrabią wyszedłem na idiotę. I ta świadomość irytowała mnie jeszcze bardziej.

Capuzzo czekał na mnie w biurze Angela Dioguardiego. Mój przyjaciel wyglądał jak ktoś, kto spał krótko i źle, miał czarne worki pod przekrwionymi teraz niebieskimi oczami, nieogoloną brodę i włosy w nieładzie.

Tego było już za wiele. Wziąłem go na stronę.

– Co ci się kurwa dzieje, Angelo?

Potrząsnął głową.

– Jesteśmy obaj do dupy, Michele, do dupy.

– No dobrze, może powinienem zająć się tym wczoraj wieczorem. Ale mówię ci, Elisa krąży gdzieś z przyjacielem.

– Gnojek z ciebie – powiedział.

Obelga. Od kiedy się znaliśmy, nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Postanowiłem odpuścić, wiedziałem już, że wrażliwość Angela jest całkiem inna od mojej.

– To jak, Capù, kto ostatni widział dziewczynę?

– Nie wiadomo, *dottò*.

– Co to kurwa znaczy „nie wiadomo”?

– Karta zegarowa była podbita o osiemnastej trzydzieści, ale pan Dioguardi powiedział, że wyszedł kwadrans po szóstej razem z panem i kardynałem i że jedyni mieszkańcy drugiego budynku wyszli razem z wami. Młody ksiądz Paul wyjechał, kiedy pan przyjechał, a dozorczyńni, zanim jeszcze pojechała do Indii, poszła na mszę o szóstej, widzieli ją w kościele, ale wieś w Indiach, w której teraz przebywa, nie ma telefonu, więc...

Zatrzymałem ten potok słów. Capuzzo był aż nadto kompetentny i solidny, lecz nie o to chodziło.

– Dobrze. A więc dziewczyna wyszła chwilę po nas, dwie godziny przed finałem. Być może z zamiarem powrotu do domu rodziców. Potem zapewne spotkała kogoś, kogo zna, i ten ktoś zabrał ją na oglądanie meczu do pięknej willi nad morzem. Pewnie jeszcze tam siedzi razem z nim i odpoczywa po długiej nocy.

– Nie – wtrącił się Angelo, patrząc na mnie ponuro.

– Nie? A ty skąd wiesz?

– Już ci mówiłem, że Elisa Sordi nie należy do...

Chwyciłem go bezceremonialnie za ramię i odciągnąłem na bok.

– Słuchaj, palancie, możesz myśleć, że to jakaś święta, ale chyba znam kobiety lepiej od ciebie. Twoja bogini spędziła noc, pieprząc się z kimś, i ma facet szczęście. A dziś wieczorem wróci do domu, mówiąc: przepraszam, tatusiu, przepraszam, mamusiu.

Angelo odwrócił się do mnie plecami i wyszedł bez słowa.

– Pierdol się, Angelo Dioguardi! – krzyknąłem za nim.

Capuzzo patrzył zdumiony.

– Dziewczyna jest pełnoletnia, Capù, i przepisy są jasne. W takich przypadkach nie robi się nic, jeśli nie ma wyraźnego zgłoszenia. Wczoraj dozorczyńni powiedziała nam,

że po siedemnastej, zanim przyjechaliśmy z Angelem, poszła do niej. Chociaż dziewczyna podbiła kartę o osiemnastej trzydzieści, powiedzmy, że zaginęła około siedemnastej. Powiedz matce, żeby ci dała zdjęcie dziewczyny, zobaczysz, że bez problemów się znajdzie. Tylko nie w kostiumie kąpielowym, bo dostaniesz tysiące zgłoszeń od napalonych maniaków. W tym akurat przypadku wystarczy sama twarz, by ją dobrze zapamiętać.

Pilnowałem się, by mi się nie wymknęło, że i ja rozmawiałem z nią przez telefon około piątej, parę minut przed tym, jak Angelo zabrał mnie z komisariatu.

Capuzzo notował wszystko.

– *Dottò*, a co mam powiedzieć rodzicom i temu księdzu?

– Że takie są procedury tego niepodległego państwa, niezależnego od Kościoła. I żeby nie zawracali mi dupy.

Poszedłem, nie żegnając się nawet z Capuzzem. Byłem wściekły z powodu kłótni z Angelem i bezczelności kardynała Alessandrinięgo.

Przy fontannie nadziałem się na chuderlawego chłopaka w okularach, którego widziałem z Elisą z okna biura Angela. Wyglądał na zagubionego.

– A dokąd to? – zapytałem bezceremonialnie.

Aż podskoczył ze strachu. Zobaczyłem, jak złoty krzyżyk dynda mu na szyi.

– A pan kim jest? – zapytał niepewnym tonem, poprawiając okulary na nosie.

Słusznie. Okazałem legitymację i zrobił się jeszcze bardziej nerwowy.

– No więc dokąd pan idzie?

– Do koleżanki, ale nie wiem, czy jest – powiedział niepewnie.

– Co to za koleżanka?

– Nazywa się Elisa Sordi, pracuje na drugim piętrze budynku B.

– Oglądała z panem wczoraj mecz?

Pobladł.

– Ze mną? Nie, ja byłem w domu z moimi rodzicami.

– I nie widział pan wczoraj Elisy?

Zastanowił się przez chwilę.

– Widziałem, chwilę, zaraz po lunchu. A dlaczego pan o to pyta?

– Dlatego, że wczoraj po pracy Elisa nie wróciła do domu.

– Boże... – wymamrotał.

– Wydaje się to panu dziwne?

Wahał się jeszcze.

– Tak, bardzo dziwne, bo...

– Bo to fantastyczna dziewczyna, wiem. Pana narzeczona?

Cofnął się, zaczerwienił, przesunął ręką po gładkich blond włosach, jeszcze raz poprawił okulary.

– Nie, nie. Jesteśmy przyjaciółmi, bliskimi, ale...

– No dobrze. Jak się pan nazywa?

– Valerio, Valerio Bona.

– Okej, panie Bona, Elisy nie ma. Niech pan idzie do domu, pewnie spotkacie się jutro.

Byłem wściekły, lecz nie zamierzałem psuć sobie całego dnia. Wracając pieszo do domu Paoli, kupiłem jeszcze po drodze egzemplarz „Gazetta dello sport”. Chciałem przeczytać drugą wersję opowieści o naszym sportowym triumfie. Kiedy doszedłem na miejsce, byłem zlany potem. W mieszkaniu działała klimatyzacja, a Cristiana czekała na mnie w łóżku w samych majtkach. Rozmawiała przez telefon.

Po minionej nocy nie było już wiele do odkrywania, a miałem ochotę na lekturę gazety. Ale zorientowałem się, że rozmawia ze swoim mediolańskim narzeczonym.

Kiedy ściągałem jej majtki, obiecywała właśnie przytulaski swojemu misiowi.

Cristiana obudziła mnie późnym popołudniem.

– Jakiś Capuzzo do ciebie dzwoni.

Co za upierdliwość, tak od razu przechodzić do działania.

– Capù, czego kurwa chcesz?

– *Dottò*, bardzo przepraszam. Pozwoliłem sobie do pana zadzwonić, bo...

– Dobrze już, o co chodzi?

– Dziewczyna nie wróciła.

Spojrzałem na zegarek. Za piętnaście szósta.

– Okej. Wydaj komunikat o zaginięciu.

– Już to zrobiłem, *dottò*. O piątej przyszedł ten ksiądz, kardynał. Wykonał dwa telefony i spadł nam na głowę nadkomisarz Teodori.

– A kim do kurwy nędzy jest ten cały Teodori?

– Wydział kryminalny, sekcja trzecia – odparł Capuzzo grobowym tonem. – Kazał mi pana natychmiast znaleźć, dlatego pozwoliłem sobie...

Sekcja trzecia, zabójstwa. Kardynał Alessandrini, potęga Watykanu. Niepodległe państwo? Wszystko, ale nie to. Papież wybiera szefa rządu, kardynałowie decydują, kto ma prowadzić śledztwo w sprawie prawdopodobnego zaginięcia pełnoletniej osoby.

Na uspokojenie wlałem w siebie szklanek whisky i wypaliłem kolejnego papierosa. Potem złapałem taksówkę na via della Camilluccia. W pokoju Elisy Sordi czekali na mnie Capuzzo, kardynał Alessandrini i otyły gość z rozluźnionym węzłem krawata i bałaganem rzadkich siwych włosów na głowie, który przedstawił się jako nadkomisarz Teodori. Siedzieli wokół biurka dziewczyny. Odniosłem wrażenie, że Alessandrini rozpoznaje pomięty T-shirt i džinsy, w których widział mnie dobie wcześniej, ale w żaden sposób tego nie skomentował.

– Dzień dobry, Balistreri – powitał mnie Teodori, nie podając mi ręki ani nie

zachęcając do zajęcia miejsca na krześle. Ton nie należał bynajmniej do serdecznych.

Nie zamierzałem pozwolić, by onieśmielił mnie ksiądz i gruby biurokrata spędzający swoje zawodowe życie za biurkiem. Nie witając się z nikim, usiadłem na krześle.

– Pan, Balistreri, już jest na bieżąco ze sprawą – kontynuował Teodori.

Starzy policjanci irytowali mnie z zasady, uważałem, że nie pasują do tej roboty. Ten zawód można wykonywać między trzydziestką a pięćdziesiątką, potem koniec. I oczywiście tylko życiowi bankruci.

Lepiej zdychać z głodu, niż w wieku pięćdziesięciu lat wciąż jeszcze służyć temu pierdolonemu państwu.

Ponadto, jak już powiedzieli moi nauczyciele w liceum, Michele Balistreri nie uznawał autorytetu w postaci wieku czy stanowiska. „Poważne problemy z uznawaniem autorytetów wynikające z dziecięcej traumy związanej z relacją z ojcem” – tak wiele lat później orzekł psycholog badający mnie przed przyjęciem do tajnych służb.

– Zająłem się już wysłaniem komunikatu o zaginięciu, Teodori – oznajmiłem. Celowo opuściłem zwyczajowe *dottor* przed nazwiskiem, tak samo jak on, kiedy zwracał się do mnie. Potem spojrzałem na kardynała Alessandrinię. – Ale widzę, że sprawiedliwość boska uznaje te działania za niewystarczające.

Twarz Teodoriego spurpurowiała, natomiast kardynał uśmiechnął się przyjaźnie.

Prawdziwa potęga przyobleka się w dobroduszość.

– Proszę tego nie brać do siebie i wybaczyć mi, *dottor* Balistreri. – Odniosłem wrażenie, że zaakcentował to *dottor* ze względu na Teodoriego. – Chodzi jednak o to, że w tych sprawach policja ma jasne zasady postępowania, których się pan słusznie trzyma, niemniej takie reguły odnoszą się do sytuacji typowych, ja zaś nie sądzę, byśmy mieli tu do czynienia z taką sytuacją.

Oczywiście bardziej liczył się jego osąd, nie mój. Nie powiedział tego ani nawet nie insynuował, nie było takiej potrzeby. Zresztą sama obecność Teodoriego dawała temu nad wyraz jasne świadectwo.

– Kardynał Alessandrini na podstawie swej znajomości z panną Elisą Sordi i jej rodziną nie sądzi, by w jej przypadku prawdopodobne było tak długie zniknięcie z jej własnej woli – wyjaśnił mi Teodori.

Jakbym był kompletnym kretynem, dzieciakiem, który nie rozumie komunikatu.

Postanowiłem, że nie pomogę Teodoriemu wydobyć się z ambarasu. Niech sam powie, co ma zamiar robić.

– Naturalnie, eminencjo, *dottor* Balistreri wykonał wszystko zgodnie z procedurami.

Zauważyłem lekkie drżenie jego spoconych rąk. Chociaż już wcześniej ktoś podniósł roletę i otworzył okno, w pokoju panowało takie gorąco, że można się było udusić. Kwiatek Elisy stał w tym samym miejscu na parapecie.

– Teraz jednak sprawa przechodzi w ręce wydziału kryminalnego. Naturalnie wyłącznie w charakterze działań prewencyjnych. Komisariat dzielnicowy będzie

kontynuował poszukiwania, wydałem już polecenia, by je zintensyfikować – ciągnął Teodori, zwracając się do kardynała.

Spojrzałem na Capuzza, który uważnie obserwował podłogę. To była oczywista nieprawda, nie było co intensyfikować. Teodori sprzedawał kardynałowi coś, co nie istniało.

Kardynał czytał mi w myślach.

– W jaki sposób zostaną zintensyfikowane, *dottor* Teodori?

Grubas zbladł i niepewnie spojrzał w moją stronę.

A chuja mu pomogę, niech się utopi w swoim gównie, biurokrata przedemerytalny.

– Właśnie zamierzamy przekazać informacje straży granicznej i Interpolowi.

Kłamał i wiedział o tym. Może i dałoby się przyspieszyć procedury, ostrzegając kolegów na włoskich granicach. Ale naprzykrzanie się Interpolowi z powodu pełnoletniej dziewczyny, która zaginęła nieco ponad dobę temu i nie ma żadnego wiarygodnego sygnału o porwaniu czy przemocy...

Alessandrini postanowił zlitować się nad nim i wstał.

– Dobrze, *dottor* Teodori. Proszę tymczasem przekazać szefowi wydziału kryminalnego podziękowania z naszej strony.

Z naszej strony. Naszej, czyli czyjej? Jego i rodziców Elisy? Czy watykańskiej hierarchii, która wykonała telefon do ministra spraw wewnętrznych? A może samego papieża?

Ktoś zapukał do drzwi. Wetknął przez nie głowę ksiądz Paul, jeszcze młodszy i jeszcze bardziej zagubiony niż zwykle.

– Eminencjo, ja iść do San Valente, jeśli nie być potrzebny.

Wielki postęp, czasowniki w bezokoliczniku. Jankes się rozwija.

– Proszę na mnie poczekać na dole, muszę najpierw z księdzem zamienić słowo – powiedział sucho Alessandrini.

Odniosłem wrażenie, że to, co kardynał ma do powiedzenia, nie będzie przyjemne dla księdza Paula, który błądził wzrokiem po całym pokoju, aż zatrzymał go na chwilę na biurku Elisy. Potem wyszedł, a zaraz za nim pokój opuścił kardynał.

– To poważna sprawa, Balistreri.

Spocony jak mysz Teodori nabijał fajkę, rozsypując tytoń na biurku Elisy Sordi. Nagle uświadomiłem sobie, że to spotkanie, jak również wcześniejsze wieczorne przeszukanie pokoju zniweczy wysiłki policyjnych techników w tym pomieszczeniu, gdyby się okazało, że będą konieczne.

Capuzzo spojrzał na mnie z niepokojem. Wiedział, co sędzę o śledczych palących fajkę. Kiepscy naśladowcy komisarza Maigreta. Ale nie powiedziałem ani słowa, przez swoją nieobecność w komisariacie mogłem napytać sobie biedy. Na szczęście

Angelo i wierny Capuzzo chronili mi tyłek.

– Poważna sprawa? A to dlaczego, *dottor* Teodori?

– Bo to nie jest pierwszy lepszy kompleks mieszkalny.

Zirytował się, jakby najbardziej oczywistą sprawą na świecie było, że rzetelność prowadzonego śledztwa zmienia się w zależności od statusu społecznego poddanych mu osób. Miał żółtawe oczy chorego na wątrobę i plamy na twarzy charakterystyczne dla sercowców. Brzydziłem się i nim, i wszystkim, co sobą reprezentował.

– Ze względu na kardynała Alessandrinię? – zapytałem, udając naiwnego.

Teodori przejechał ciężką, spoconą ręką po biurku Elisy, przesuując leżące na nim papiery.

– Nie tylko. W drugim budynku mieszka osoba znacznie ważniejsza od kardynała. Hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno, senator i prezes Włoskiej Partii Neomonarchistycznej.

– Spotkałem go wczoraj po południu, potem widziałem, jak znów wychodził około szóstej piętnaście – powiedziałem najniewinniej w świecie.

– Wiem. A wie pan, gdzie się wybierał? Na spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych – odparł Teodori, kręcąc głową z przejęciem, jakby w ten sposób zaświadczał, jakiego kalibru jest taka osoba jak pan hrabia, który w niedzielne popołudnie spotyka się z potężnym ministrem chadeckiego rządu.

– Ale towarzyszyła mu żona – zauważyłem.

– Pewnie zawiózł ją gdzieś, zanim pojechał na spotkanie z ministrem. Czy pan rozumie, z kim mamy do czynienia?

Domyślałem się, lecz Teodori czuł się w obowiązku wyjaśnić mi to ze szczegółami. Wielka rodzina sięgająca korzeniami średniowiecza, zamki, własność ziemska. Stryj hrabiego Tommasa walczył po stronie frankistów ramię w ramię z niemieckimi faszystami i po wojnie uciekł do Afryki, gdzie zgromadził ogromną fortunę i wiele ziemi. Ojciec hrabiego służył w Dziesiątej Flotylli Lekkiej⁵, a kiedy doszło do rozłamu między dynastią sabaudzką a Mussolinim, pozostał u boku króla. Po wojnie przewodniczył komitetowi monarchistycznemu, który przegrał referendum z 1946 roku⁶, i uznając to za hańbę, strzelił sobie w łeb. Hrabia Tommaso miał wtedy czternaście lat i za punkt honoru postawił sobie przywrócenie monarchii.

Elisa Sordi zaś była śliczną dziewczyną z robotniczej dzielnicy Rzymu, która jakimś trafem znalazła się w tym rajskim kompleksie mieszkalnym. Otoczona młodymi chłopakami i potężnymi dorosłymi.

– Capuzzo, naturalnie sprawdziliście, czy były...

– Wszystko, *dottor* Balistreri, wszystko. Mimo tego szaleństwa na ulicach do białego rana żadnych ofiar śmiertelnych. Tylko paru poparzonych od sztucznych ogni i trochę dzieciaków, które pospadały z samochodowego dachu, nic poważnego.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać – powiedział Teodori.

– Właśnie, nie licząc oczywiście zawiadomienia kolegów ze straży granicznej i z Interpolu – dodałem sarkastycznie.

Spojrzał na mnie swoimi pośliskimi oczami. Zastanawiał się, czy jestem bardziej głupi, czy bezczelny.

– Oczywiście – powiedział w końcu – ale miejmy nadzieję, że ta ślicznotka kręci się gdzieś w okolicy i dochodzi do siebie po nocy z jakimś przyjacielem.

Ludzie Kościoła i arystokraci. Mussolini nigdy nie ufał ani jednemu, ani drugiemu. Schlebiał im, by zyskać ich przychyłność, a jednocześnie ukrywał nieufność wobec nich. Ja myślałem tak samo. Ale nigdy nie pozwolę tak się wydymać jak on.

Ustaliliśmy z Teodorim, że usłyszymy się przez telefon nazajutrz rano. Potem poszukałem Angela, lecz jego współpracownik powiedział mi, że wyszedł. Zadzwoiłem do mieszkania Paoli. Odebrała Cristiana.

– Wyszli. Paola miała bilety na *Aidę* w Termach Karakalli. Wpadniesz po mnie, Michele?

Wymyśliłem na poczekaniu jakąś wymówkę. Wiedziałem o Cristianie już niemal wszystko i nie chciałem, by zostawiła narzeczonego. Wołałem spędzić wieczór na picciu i podrywaniu w jakimś barze, gdzieś daleko od tego luksusu, od tych wszystkich czcigodnych postaci, od Elisy Sordi.

Piątek, 16 lipca 1982

Przez parę dni nie było żadnego śladu, żadnego zgłoszenia. Teodori, z którym codziennie słyszałem się przez telefon, twierdził, że zaginięcie dziewczyny mogło być ucieczką dla miłości, być może nawet za granicę. Może w ten sposób dodawał sobie animuszu, którego nie miał.

Ja starałem się ignorować temat i odrzucałem każdą myśl o Elisie jak natrętną muchę. Nie widziałem ani nie słyszałem się z Angelem i żyłem między komisariatem a moją kawalerką, zmieniając co chwila damskie towarzystwo wyrywane w barach i lokalach na Zatybrzu. Paliłem więcej niż zwykle, piłem więcej niż zwykle, pieprzyłem się częściej niż zwykle. Przede wszystkim nie chciałem być sam. Jakby te wszystkie rzeczy mogły mnie uwolnić od kłującego jak cierń wspomnienia o Elisie Sordi.

W piątek rano zadzwonił Teodori. Bezdomny, który spał nad Tybrem niedaleko mostu Mulwijskiego, zawiadomił, że na brzegu rzeki leży ciało kobiety. Popędziłem tam razem z Capuzzem. Jakby ta nagła mobilizacja mogła zrekompensować czas stracony wtedy, kiedy pośpiech faktycznie na coś by się przydał.

Na nadbrzeżu rzeki, wąskiej od letnich upałów, grupka policjantów otaczała zwłoki. Dziewczyna była naga. Jej ciało, oblepione robactwem i pokryte ranami od ukąszeń szczurów i otarć o rośliny wodne, było w zaawansowanym rozkładzie. Widać było wyraźne ślady noża i po oparzeniach od papierosa, twarz miała zmasakrowaną. Wiedziałem jednak, że to ona. Wspaniałe włosy, budowa ciała, kolor skóry. Widziałem już inne zwłoki. Ale ta śmierć była dla mnie czymś nowym, pochodziła z kręgu największego okrucieństwa.

Nad zwłokami stał otumaniały i blady jak kreda Teodori, spocony jak mysz w tym swoim absurdalnym garniturze z poluzowanym węzłem krawata. Drżały mu ręce. Capuzzo trzymał się za brzuch i ciężko oddychał szeroko otwartymi ustami. Musiałem zapanować nad sytuacją. Odesłałem na bok Capuzza, zanim zwymiotował. Lekarz sądowy kłęczał przy ciele dziewczyny.

Zbliżyłem się do Teodoriego.

– Trzeba usunąć stąd wszystkich, dopóki technicy nie zrobią, co do nich należy...

– Jasne, jasne. – Otrząsnął się. Wydał polecenie i zostaliśmy sami z lekarzem sądowym. – To Elisa Sordi? – zapytał.

Jakby to była moja krewna, a do mnie należało zidentyfikowanie zwłok.

Potwierdziłem gestem. Potem odszedłem na bok, żeby zapalić. Przy barierce na szczycie skarpy zebrali się już gapie. Leniwie lizali lody i wyciągali szyje, robiąc

sobie widowisko. Zawołałem Capuzza i dwóch funkcjonariuszy, by ich stamtąd przegonili. Wypaliwszy papierosa, wróciłem do Teodoriego, który rozmawiał z lekarzem.

– Nie żyje od kilku dni. Oprócz ukąszeń szczerów ma na ciele liczne ślady przemocy. Obawiam się, że to było długie i bolesne. Chyba że skoła wcześniej, od uderzeń i poparzeń, ale to nam powie sekcja zwłok.

Teodori wydawał się zagłębiony w nie wiadomo jakich myślach.

– Przyczyna śmierci? – zapytał.

Lekarz potrząsnął głową.

– Nie sędę, by się utopiła. Musiała już nie żyć, kiedy wrzucono ją do rzeki. Zatrzymanie akcji serca albo uduszenie. Ale nie żyje od paru dni, może od niedzieli.

Innym już wzrokiem spojrziałem na to zniszczone młode ciało. Przypomniało mi się lato 1970 roku, kiedy uciekałem przez morze od tego, co w morzu zostawiłem. Od błędów, których nigdy nie chciałem nazywać grzechami, jak robią chrześcijanie. Sekwencja paraliżu: wina, wyrzuty sumienia, skrucha. Biała krew duszy. Rany, które wciąż palą.

Zastałem ich siedzących na ławce w komisariacie. Rodziców, którzy już zawsze będą po niej płakać. Zawiadomił ich przyjaciel, usłyszawszy w radiu o odnalezieniu zwłok. To był nowy wspaniały świat wiadomości przekazywanych w czasie rzeczywistym, z klęską urodzaju nowo powstałych prywatnych rozgłośni polujących na sensację, które dostarczają tylko złe wieści. Nikt się nie zatroszczył o tych dwoje. Funkcjonariusze i interesanci przechodzili obok zaaferowani banalnymi sprawami. Zza otwartych drzwi jakiegoś pokoju dobiegały śmiechy ludzi myślących już o weekendzie.

Kiedy mnie zobaczyli, zerwali się na nogi jak dwoje zdyscyplinowanych uczniów. Natychmiast uświadomili sobie, że nie potrafię nawet na nich spojrzeć. Pan Amedeo objął ramieniem swoją Giovannę, która cicho płakała. W letnim półcieniu panującym w pomieszczeniach tego odpychającego urzędu widziałem za dużą szarą marynarkę Amedea Sordiego, jeszcze głębsze bruzdy jego zmarszczek, bladość twarzy, jedną jedyną łzę na policzku Giovanni Sordi, blask lipcowego słońca, które wlewało się przez otwarte okno i odbijało od błyszczącej folii na zdjęciu córki w jej ręku. Nie powiedzieli ani słowa, o nic nie zapytali.

Tych dwoje starych ludzi potrzebowało wszystkiego, tylko nie kondolencji od młodego policjanta sfrustrowanego z powodu własnej niekompetencji. W końcu udało mi się wydobyć z siebie biurokratyczne „Bardzo mi przykro”. Potem zamknąłem się w swoim biurze. Z jakiego powodu było mi przykro? Z powodu zniszczonego młodego życia, złamanych na zawsze serc rodziców? Tego weekendu nie spędzę może na tańcach i pijaństwie w nadmorskich dyskotekach ani na posuwaniu pańienek, jakie się

nadarzą. Raczej prześpię go niespokojnym snem. I tak jeszcze przez kilka dni, może przez tydzień. Potem wrócę do swojej rutyny: praca, poker, whisky, seks, sen.

Ale ci dwoje nigdy już nie będą spali spokojnym snem. Co wieczór będą patrzeć na pokój swej jedynej córki, pusty jak reszta tego, co zostało z ich życia. I będą myśleć o mnie, urzniętym w trzy dupy, kiedy mówiłem: „Pewnie Elisa poszła oglądać mecz z przyjaciółmi”.

Odrzuciłem ze złością tę myśl. *Co się stało, to się nie odstanie. Tylko przyszłość ma znaczenie.*

Wlałem w siebie butelkę whisky i w pijanym widzie uświadomiłem sobie, że to nie jest zwyczajny dziecięcy melodramat, którym karmiło się ego małego Mike'a. Nie byłem już małym chłopcem oglądającym westerny, nieustraszonym kowbojem zabijającym wszystkie czarne charaktery. Byłem trzydziestodwuletnim mężczyzną, który miał gdzieś innych ludzi. A nawet siebie. Doskonale znałem przyczyny, były aż nadto oczywiste.

A teraz o co mi kurwa chodziło? Chciałem się rozgrzeszyć? Chciałem uniknąć wiecznego żalu, znajdując tego złego? I kim był ten zły?

To niewiele zmieniało, los i tak miał inne plany.

Sobota, 17 lipca 1982

Szef sekcji zabójstw oficjalnie powierzył śledztwo Teodoriemu. Na początku zastanawiałem się, dlaczego wybrano śledczego w wieku przedemerytalnym i na dodatek w kiepskiej formie. Wtedy jeszcze nie umiałem odczytywać wszystkich politycznych subtelności, zwłaszcza w wykonaniu chadecji.

Niemniej wiedziałem, że władza interesuje się sprawą śmierci Elisy Sordi. Luksusowa rezydencja, kardynał, senator arystokrata pragnący przywrócić w Italii królewskie rządy: władza duchowa i władza doczesna. A z drugiej strony rodzice proletariusze i dziewczę z przedmieść. Pewnie sama sobie napytała biedy: wpadła w złe towarzystwo albo zadawała się z jakimś przygodnie poznanym bydlakiem, którego przyciągnęła swoją nieprzeciętną urodą.

Mianowano mnie zastępcą Teodoriego w śledztwie, ponieważ byłem szefem miejscowego komisariatu i znałem tę rezydencję, jej mieszkańców i samą ofiarę. Poza tym byłem tamtego dnia na via della Camilluccia, niedługo przed tym, jak Elisa Sordi wyszła na swój ostatni w życiu spacer przed finałem mundialu. Po południu rozmawiałem z nią nawet przez telefon, co potwierdził wykaz połączeń. Oczywiście przez pomyłkę, szukałem Dioguardiego. W każdym razie byłem idealnym wsparciem dla Teodoriego.

Kolejnym aktem niekompetencji włoskiej policyjnej biurokracji było to, że nikt w wydziale kryminalnym nie wpadł na pomysł, by sprawdzić moje dossier, moją osobistą historię. Gdyby to zrobili, trzymaliby mnie tak daleko, jak tylko możliwe od rajskiego zakątka przy via della Camilluccia. I od tego śledztwa.

Rekonstrukcja faktów była łatwa. Po obiedzie Elisa Sordi pracowała w swoim biurze. Matka rozmawiała z nią przez telefon krótko po siedemnastej, zaraz po moim telefonie. Przed siedemnastą trzydzieści dozorczyń przysłała do niej po teczkę z dokumentami, które następnie zaniosiła kardynałowi Alessandriniemu. Nikt nie widział Elisy Sordi, kiedy wychodziła o osiemnastej trzydzieści. O tej godzinie cały kompleks już opustoszał, sam widziałem, jak wychodził Paul i wszyscy inni. Proboszcz pobliskiego kościoła potwierdził, że widział dozorczynię – obecnie przebywającą w jakiejś indyjskiej wsi – w pierwszym rzędzie ławek podczas wieczornej mszy.

Po raz pierwszy pojechałem do biura Teodoriego w kryminalnym. Od razu zauważyłem jego młodą sekretarkę, Vanessę. Wysoka, czarne włosy przycięte na pazia, wąskie biodra, niewielki biust, za to nadzwyczajne nogi.

Teodori urzędował w małym pokoju, oczywistym znaku niewielkiego poważania, jakim się cieszył. Na ścianach plakaty z włoskimi nadmorskimi miastami w środku

zimy. Naprawdę deprymujące. Siedział ciężko przy zabałaganionym biurku, z rozsypanymi wszędzie drobinami tytoniu fajkowego. Żadnej klimatyzacji, tylko wentylator wprawiający w ruch kartki, co jeszcze bardziej potęgowało poczucie chaosu.

– Problem polega na tym, że nie wiemy, czy dziewczynę porwano przed meczem, w jego trakcie czy po nim. Wstępne wyniki autopsji wskazują, że została zamordowana już w niedzielę, ale nie można sprecyzować godziny, ciało jest w zbyt zaawansowanym rozkładzie. – Ton głosu Teodoriego był żałobny.

– Nie wiemy, czy została porwana czy też poszła z kimś dobrowolnie – zaoponowałem.

Teodori popatrzył na mnie krzywo.

– Balistreri, nie fantazujmy. Ta jatka trwała dobrą chwilę i jest dziełem jakiegoś maniaka. Bestii, która dla rozrywki porywa dziewczynę, zadaje jej cierpienie, a potem...

– Zgoda, ale tym maniakiem mogła być również osoba dziewczynie znana.

– Tak, na przykład ktoś z jej znajomych z przedmieścia, to faktycznie nie za dobra dzielnica – zgodził się Teodori.

To była najzwyczajniejsza dzielnica na peryferiach miasta. Oczywiście daleko jej było do wymuskaney Vigna Clara z jej uroczą via della Camilluccia. Jednak to nie był wystarczający powód, by automatycznie robić z niej wylęgarnię maniakalnych zabójców.

Spróbowałem się przeciwstawić.

– Rodzice mówią, że dziewczyna z nikim nie była związana. Albo siedziała w biurze przy via della Camilluccia, albo uczyła się w domu i nigdy nie wychodziła wieczorami. Od czasu do czasu, w sobotnie albo niedzielne popołudnia, spotykała się z tym chłopakiem, Valeriem Boną.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie był Bona w niedzielę po osiemnastej trzydzieści.

No tak, Bona był chłopakiem z przedmieść, jednym z ludu gwałtowników. Doskonały winowajca.

– Naprawdę powinniśmy się dowiedzieć czegoś również o innych – rzuciłem.

Teodori drgnął.

– O innych? Jakich innych?

– O wszystkich mieszkańcach rezydencji przy via della Camilluccia, gdzie dziewczyna pracowała. Wie pan, była nadzwyczajnie piękna, mogła przyciągnąć czyjąś uwagę.

Oczy Teodoriego zażółciły się jeszcze bardziej niż zwykle. Nie miał jaj do takiego rozumowania.

– Jeśli chodzi panu o senatora hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno, to proszę przyjąć do wiadomości, że kazałem już sprawdzić rejestr wejść i wyjść

w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, oczywiście z czystej troski o rzetelność śledztwa. Senator przyjechał o osiemnastej pięćdziesiąt, był u ministra od dziewiętnastej do dziewiętnastej trzydzieści. Stamtąd wrócił bezpośrednio do siebie, gdzie miał gości i nie ruszył się już z domu.

– Skąd pan wie, że nie ruszył się już z domu?

Teodori spiorunował mnie wzrokiem.

– Cały sztab jego partii oglądał u niego mecz. Nie sądzi pan, że to wystarczy?

– Wielu ludzi plus sportowe emocje... – powiedziałem właściwie tylko po to, by go sprowokować.

Zignorował mój komentarz.

– Syn i żona wrócili do domu koło ósmej i oglądali mecz, a potem świętowali na tarasie.

Skąd Teodori miał takie informacje, pozostało tajemnicą.

– A wcześniej? Widziałem, jak wychodzili z hrabią około szóstej dwadzieścia. Co robili między tą godziną a ósmą?

– Nie wiem i nie widzę powodu, żeby ich o to pytać.

Teraz Teodori był już wyraźnie poirytowany, głośno stukał cybuchem fajki o blat i wpatrywał się w jakiś punkt w podłodze, jakby ku niemu biegły wszystkie jego myśli.

– *Dottor* Teodori, nie chcę się czepiać, ale porwanie kogoś siłą na środku rzymskiej ulicy, nawet w niedzielne popołudnie, gdy kręci się mało ludzi, nie jest zbytnio prawdopodobne. Dziewczyna by jakoś zareagowała, ktoś by usłyszał krzyki...

– Młody człowieku, na podstawie tego typu przesłanek nikt nie pozwoliłby panu przesłuchać tych nad wyraz szanowanych osób.

– Jest jeszcze sprawa sąsiedztwa – dodałem, wkładając do ust papierosa.

– Bardzo proszę nie palić. O jakim sąsiedztwie pan mówi?

Nadal nie wiedziałem, czy tylko udaje głupiego, czy naprawdę jest głupi.

– Tyber przepływa przez cały Rzym. Miejsce, w którym ją znaleźliśmy, jest jednym z położonych najbliżej *via della Camilluccia*.

– No właśnie. Dziewczyna wychodzi z pracy, zostaje napadnięta i zaciągnięta niedaleko, nad rzekę.

– Jak? Samochodem? W pełnym świetle dnia, o osiemnastej trzydzieści? Zgoda, Rzym opustoszał, ale co, nie krzyczy? Nikt nic nie widzi?

Zadzwoił telefon i Teodori odebrał.

– Nie, nie mogę przyjść zaraz. Ale powiedzcie lekarzowi, że na pewno wpadnę później...

Był zółty nawet na twarzy. Opowiadał same bzdury i straciliśmy już mnóstwo czasu, również z mojej winy.

– Co pan mówił, Balistreri? – Przesunął spoconymi rękoma po rzadkich siwych włosach.

– Według mnie wszystko potoczyło się inaczej. Ktoś znajomy zaproponował, że ją podwiezie, i pojechała z nim dobrowolnie nad rzekę. Może myślała, że jadą tylko porozmawiać. I dopiero tam, w przybrzeżnych zaroślach, objawiły się prawdziwe intencje mordercy. Musi pan poprosić o zgodę na przesłuchanie Valeria Bony i wszystkich, którzy mieszkają przy via della Camilluccia.

Naturalnie Teodori postanowił zacząć od chłopaka w okularach.

Szukanie Valeria Bony rozpoczęliśmy od mieszkania jego rodziców. Powiedzieli nam, że jak zawsze w weekend najpierw poszedł na mszę, a potem pojechał do Ostii, gdzie brał udział w regatach. Mieliśmy szansę spotkać go w klubie żeglarskim po ich zakończeniu.

Była już pora obiadowa i Teodori powiedział, że absolutnie nie może jechać aż do Ostii i ryzykować, że utknie w korkach. Kiedy zaoferowałem się, że pojedę sam, wydał się bardzo zadowolony.

– Naturalnie to będzie sprawa całkiem nieformalna, bez adwokata. Mógłby odmówić składania zeznań – uściśliłem.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, a nie ulicznej kradzieży. Jeśli Bona będzie sprawiał kłopoty, przerwie weekend i jutro rano przyjedzie do nas na oficjalne przesłuchanie.

Ot, nasz wspaniały wymiar sprawiedliwości: linia śledztwa została już nakreślona.

Zadzwoiłem do Angela. Nie widzieliśmy się od czasu kłótni przy via della Camilluccia.

– Zapraszam cię na kolację.

– Nie jestem w nastroju, Michele.

Był już najwyższy czas, by wykonać pierwszy krok, zanim dystans między nami stanie się nie do pokonania. Nie chciałem stracić przyjaciela z powodu głupiej urażonej dumy.

– Popełniłem błąd, Angelo. Miałeś rację.

Odpowiedziało mi milczenie. Po chwili usłyszałem jego głos, bardziej przyjazny:

– To nie twoja wina. Nawet gdybyś zaczął jej szukać od razu...

Jego zwykła wielkoduszność wychodziła mi naprzeciw. Jak zawsze.

– Angelo, tego jeszcze nie wiemy. Może kiedy nas wezwali w połowie meczu, Elisa jeszcze żyła. Może żyła nawet po meczu.

Westchnienie. Dające się słyszeć cierpienie po drugiej stronie telefonicznego drutu.

Zmieniłem temat.

– Muszę jechać do Ostii, żeby przesłuchać Valeria Bonę, chcemy wiedzieć, gdzie był, kiedy Elisa wychodziła z pracy.

– Michele, według mnie to świetny chłopak.

– Czasami nawet świetni chłopcy potrafią narobić wielkiego syfu.

Milczenie. To był jego sposób wyrażania niezgody. Może i on myślał, że szukam jedynie najślabszego ogniwa w łańcuchu. Pożegnaliśmy się.

Do Ostii można dojechać wygodną kolejką podmiejską, ale nie miałem ochoty mieszać się z turystami i plażowiczami. Nie znosiłem środków transportu publicznego. Choć nigdzie mi się nie śpieszyło, założyłem koguta na dach mojej alfy duetto i w pół godziny dojechałem na miejsce. Nad morzem panował ścisk, wszędzie stały zaparkowane samochody, plaża była przeładowana, a morze pełne kąpiących się plażowiczów i łódek.

Gdyby Elisa żyła, pewnie by tam teraz była, gdzieś w tłumie jedzących lody, opalających się i pływających rzymian. Tymczasem jej zmasakrowane ciało leżało w lodówce kostnicy, a dwoje starców warowało przy jej pustym pokoju w mieszkaniu na przedmieściu.

Z łatwością odnalazłem klub żeglarski. Regaty jeszcze trwały. Usiadłem na tarasie przy stoliku pod parasolem i odetchnąłem przy kawie i papierosie. Ścigające się łodzie były dwuosobowymi żaglówkami klasy Latający Holender. Valerio Bona był na pokładzie jednej z nich. Wyciągnąłem z tego wniosek, że śmierć Elisy Sordi nie wstrząsnęła nim aż tak bardzo. Nie wiedzieć czemu ten chłopak irytował mnie od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem. I ten jego złoty krzyżyk na szyi. Postać ewidentnie niepasująca do tej dziewczyny. Nieatrakcyjny fizycznie, nieśmiały. Tak myślałem, wystawiając się na słońce, paląc papierosa i przyglądając się białym punkcikom poruszającym się pomiędzy bojami w błękicie morza. Zapytałem ludzi siedzących przy stoliku obok, którzy śledzili regaty przez lornetkę, czy znają Valeria.

– Pewnie, od małego dziecka przychodzi tu żeglować. Jest na drugiej pozycji, łódka z numerem 22.

Pożyczyli mi lornetkę. Zajęło mi dłuższą chwilę odnalezienie numeru 22 i ustawienie ostrości. To, co zobaczyłem, było zaskakujące. Valerio Bona, w kapelusiku i okularach przeciwsłonecznych, manewrował łodzią. Złoty krzyżyk migotał w słońcu. Każdy ruch chłopaka emanował spokojem, całe zachowanie wskazywało na doskonałe panowanie nad sytuacją. A przecież on i drugi członek załogi wisieli na trapezie przy prędkości wiatru przekraczającej dwadzieścia węzłów. W czasie zwrotu przyjrzałem się jego sylwetce. Poruszały się tylko jego usta, by podać komendy żeglarzowi przy fok. Na ostatnim odcinku łódź z numerem 22 nieustannie halsowała, zmuszając prowadzącą załogę do tego samego, tak że w końcu Bona jako pierwszy przeciął linię mety. Przez lornetkę widziałem, jak zdejmuje okulary i kapelusik. Żadnego uśmiechu nie dojrzałem na jego kujonńskiej twarzy, wymówił tylko parę słów podziękowania dla towarzysza.

Śledziłem go wzrokiem, kiedy żeglarze wpływali do mariny, by zacumować i oporządzić żagle. Valerio Bona przyjmował gratulacje od współzawodników, poważnie i grzecznie dziękował, ściskając ich twarde dłonie. Pewny siebie, w dobrym

nastroju. Potem jego wzrok spotkał się z moim. Poznał mnie. Pozdrowiłem go gestem. Na jego twarzy zaszła nagła zmiana i odnalazłem w niej wszystko to, co widziałem poprzednio. Dyskomfort, niepokój, niepewność. Po zejściu z łodzi Valerio Bona tracił skorupę chroniącą go przed otaczającym światem.

Podszedł do mnie, nałożywszy z powrotem okulary przeciwsłoneczne, by ukryć zaniepokojone spojrzenie. Łatwo było go przestraszyć.

– Poznaliśmy się już, panie Bona. Jestem komisarz Michele Balistreri i prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Elisy Sordi.

Okazałem legitymację, ale on zatrzymał się dwa kroki przed stolikiem.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał niepewnie.

Postanowiłem przyjąć twardą linię.

– Musi pan wezwać adwokata i przyjechać na policję w celu formalnego przesłuchania.

Lekko zatrzęśły mu się ręce. Kiedy tak stał i patrzył na mnie, minęli nas jacyś żeglarze, pozdrawiając go i gratulując mu.

– Valerio, jesteś wielki! – Łups, łups, potężne klepięcia w plecy.

Ale Valerio nie był już na morzu, wrócił na ziemię, na tę ziemię, którą postrzegał jako wrogą i niełatwą. Nawet wiara nie wystarczyła, by wlać w niego spokój i ochronić go przed znacznie gorszymi trudnościami.

– Proszę usiąść. Zadam panu parę pytań. Jeśli nie czuje się pan na siłach odpowiedzieć, pojedziemy do Rzymu, do siedziby sekcji zabójstw.

Mój stanowczy ton pomógł mu podjąć decyzję. Bona usiadł, wystawiając twarz na słońce i patrząc w stronę morza. Z pewnością żałował, że nie jest teraz tam, na swojej łodzi.

– Kiedy spotkaliśmy się w poniedziałek, powiedział mi pan, że jest przyjacielem Elisy Sordi. Byliście parą?

Świadomie wybrałem pytanie zamknięte i bezpośrednie, by wprowadzić go w zakłopotanie. Potrząsnął głową.

– Nie, byliśmy jedynie bliskimi przyjaciółmi.

Nacisk na „jedynie” zdradzał rozczarowanie. Zresztą i ja widziałem Elisę Sordi. Nie było łatwo być j e d y n i e jej przyjacielem.

– Od dawna ją pan znał?

Wskazał na morze.

– Poznaliśmy się właśnie tu zeszłego lata. Przyjechała ze swoją paczką oglądać regaty i jeden z jej kolegów przedstawił nas sobie.

– I naturalnie wydała się panu interesująca.

Mimo jego ciemnych okularów poczułem na sobie wrogie spojrzenie.

– Elisa była dziewczyną taką samą jak ja, religijną i prostą. Mieszkamy w tej samej dzielnicy, jesteśmy prawie sąsiadami. W niedzielę rano niemal zawsze chodziliśmy

razem do kościoła.

Nigdy od czasów, kiedy byłem nastolatkiem, nie żywiłem sympatii wobec par chodzących razem do kościoła. Chodziły tam, by się modlić, czy tylko pokazać się razem?

– I rozmawialiście wyłącznie o Bogu i dobrych uczynkach czy też może robiliście coś jeszcze, panie Bona?

Zignorował moją ironię.

– Elisa miała tysiące zainteresowań, chciała wiedzieć wszystko o łodziach, wietrze, żaglach. Zabrałem ją na łódź i długo rozmawialiśmy. A raczej to ja mówiłem, ona tylko słuchała i zadawała pytania.

Mogłem to sobie wyobrazić. On swobodny i pewny siebie za sterem, ona uspokojona jego nieśmiałością na ziemi. Valerio Bona to jedyny możliwy przyjaciel płci męskiej dla dziewczyny takiej jak Elisa Sordi. Wierny ministrant. Ale może nie zdawała sobie sprawy, że na dłuższą metę tego rodzaju przyjaźń jest dla osiemnastolatka czymś nie do wytrzymania. Nawet jeśli jest nieśmiały i niezdarny, wciąż pozostaje chłopakiem, w którym buzują hormony.

– Często widywaliście się od tamtego czasu?

– Tamtego lata niemal codziennie jeździliśmy nad morze moim skuterem, wypływaliśmy na morze, potem szliśmy na spacer i o ósmej zawoziłem ją do domu. Rodzice Elisy chcieli, żeby wracała na kolację. Są bardzo staroświeccy...

– Do niczego między wami nie doszło?

– Już panu powiedziałem, że to była bliska przyjaźń. Wydaje się panu, że to nic? – Teraz wrogość była silniejsza od niepewności.

Postanowiłem sprowadzić go na bardziej śliski grunt.

– Bliska przyjaźń z niemalże rówieśniczką i do tego tak piękną? Wystarczało to panu?

Ograniczył się do miętoszenia w rękach kapelusika i ominął zadane wprost pytanie.

– Elisa chciała zacząć zarabiać, by nie obciążać sobą rodziców, a ja jej pomogłem.

– Naprawdę? A w jaki sposób?

– Pracuję dla hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno. Powiedziałem mu o niej, a on polecił ją kardynałowi Alessandriniemu, który wysłał ją do pomocy Dioguardiemu.

Prawdziwy łańcuszek świętego Antoniego.

– A czym się pan zajmuje u hrabiego?

– Archiwizuję jego papiery, całą korespondencję na tym nowym typie komputera, który się ostatnio pojawił, na pececie.

Ton głosu wskazywał, że nie żywi szczególnej sympatii dla hrabiego. To było jedyne, co mieliśmy ze sobą wspólnego. Uznałem, że pora zmienić temat.

– Był pan tu na regatach także w poprzedni weekend?

Kiwnął głową.

– Ale Elisy Sordi z panem nie było, prawda? Miała coś do zrobienia w pracy?

Ponownie kiwnął głową.

– Czekając tu na pana, sprawdziłem kalendarz regat. Zobaczyłem, że wygrał pan, ale niedzielne zawody były przed południem.

– Tak, są trzy wyścigi. Dwa w sobotę i trzeci w niedzielę rano. Zeszłej niedzieli poszedłem na mszę wcześniej rano sam, bo Elisa miała pracę. Potem przyjechałem tu.

– Co pan robił po regatach?

– Od razu wróciłem do Rzymu. Wieczorem miał być mecz, nie chciałem ryzykować, że w drodze powrotnej znad morza utknę w korkach, jestem wielkim fanem piłki.

– Pojechał pan spotkać się z Elisą Sordi? – Znałem już częściowo odpowiedź, pamiętałem, co mi powiedziała pani Gina.

Zawahał się.

– Zadzwoiłem do niej do pracy z budki telefonicznej, kiedy tylko wróciłem do Rzymu, to było około wpół do drugiej. Chciałem zjeść z nią obiad, ale już jej nie było, wyszła na przerwę wcześniej. Postanowiłem poczekać na nią w okolicy via della Camilluccia.

– Nie szukał jej pan w żadnym barze? W tej dzielnicy na pewno nie było zbyt wiele otwartych barów.

– Nie – odpowiedział trochę zbyt szybko – czekałem na nią za rogiem, żeby mieć na oku bramę. Nie chciałem, by mnie widział ten świr z lornetką ani pani Gina. Kiedy zobaczyłem Elisę, podszedłem do niej.

– Umówiliście się na później?

– Nie, Elisa powiedziała mi, że nie skończy przed szóstą. Potem miała wrócić do domu i oglądać mecz z rodzicami, nie chcieli, żeby wracała późno.

– Ale mógł pan na nią poczekać i zawieźć ją do domu skuterem, skoro jesteście prawie sąsiadami.

Niełatwo było wywnioskować, czy jego wyraźne zakłopotanie jest cechą charakteru, czy też może wynika z reakcji na moje pytanie.

– Nie, Elisa nie chciała, żebyśmy na nią czekał. – Teraz emanowała z niego mieszanina gniewu i strachu.

– Pogniewała się? Pokłóciliście się?

– Nie rozumiałem, dlaczego nie chciała...

To był moment na dojscie do sedna.

– Może była umówiona z kimś innym, jak pan sądzi?

Pobladł. Nie musiałem widzieć jego ukrytych za ciemnymi okularami oczu, by poczuć, jak niespokojne się zrobiły.

– Z nikim nie była umówiona – uparł się. Ręką dręczył złoty krzyżyk. Jakby Bóg mógł mu teraz pomóc.

– A skąd pan jest taki pewny? Nie mogła pieprzyć się z kimś w tajemnicy przed panem?

Tego już było za wiele nawet dla kogoś takiego jak Valerio Bona.

– Jak pan śmie mówić coś takiego o dziewczynie, która nie żyje! – powiedział, wstając.

Również wstałem, patrząc na niego z góry.

– Ma pan rację. Chciałem powiedzieć, że mogła uprawiać z kimś seks bez pańskiej wiedzy. Może być tak?

Był oburzony i przestraszony.

– Elisa nie należała do tego typu dziewczyn...

– Już to kiedyś słyszałem – przerwałem mu brutalnie. – Wie pan, ile razy mówiono mi to o dziewczynach, które później okazywały się zwyczajnymi suczkami?

Czułem do siebie obrzydzenie za użycie tego słowa w tym kontekście, ale się przemogłem. Chciałem zobaczyć, czy Valerio Bona jest zdolny rzucić się na kogoś z pięściami. Wykonał ruch w moim kierunku, lecz byłem dla niego zbyt silny. Mocnym chwytem unieruchomiłem mu nadgarstek.

– Niech pan nie robi głupot albo aresztuję pana za napaść na funkcjonariusza publicznego.

Ludzie zatrzymali się, patrząc na nas. Dwaj żeglarze zbliżyli się z groźnym wyrazem twarzy. Pomachałem im legitymacją.

– Trzymajcie się z daleka i zajmijcie się swoimi sprawami – nakazałem.

Dyskredytowałem tego chłopaka w jedynym środowisku, w którym czuł się swobodnie. Robiłem to świadomie i planowo, bo coś przede mną ukrywał. Miałem w dupie konsekwencje, jakie mogłyby wyniknąć dla tego małego neurotyka, bigota zafiksowanego na Bogu, żaglówce i komputerze. Który zamykał się w łazience i masturbował po każdym spotkaniu z Elisą Sordi.

Puściłem jego nadgarstek.

– Teraz proszę mi powiedzieć, co pan robił zeszłej niedzieli.

Valerio Bona drżał.

– Po południu poszedłem do parku Villa Pamphili. Za dwa dni czekał mnie egzamin na uczelni, musiałem powtórzyć materiał.

– Spędził pan tam całe popołudnie?

– Aż do za piętnaście ósma. Słońce zachodziło, wsiadłem na skuter i wróciłem do domu, żeby obejrzeć mecz z rodzicami i krewnymi, których zaprosiliśmy.

– Nie spotkał się pan z nikim tamtego popołudnia?

– W parku było niewiele osób. A ja z książkami siedziałem sam pod wielkim drzewem.

– I wrócił pan do domu na mecz?

– Nieco wcześniej, ale moi kuzyni już tam byli.

– Po meczu wyszliście na ulicę świętować zwycięstwo?

Znowu spochmurniał.

– Inni tak, ja nie. Przejmowałem się egzaminem i chciałem się wyspać.

– Został pan w domu? Pan, wielki miłośnik piłki?

– Tak, posłuchałem komentarzy w telewizji, potem poszedłem spać.

Postanowiłem nie drążyć, choć historyjka była kompletnie niewiarygodna.

– Wspomniał pan o świrze z lornetką. Kogo miał pan na myśli?

– Syna hrabiego, który podgląda wszystkich z tarasu.

– Zna pan Manfrediego?

Valerio się skrzywił.

– Zazwyczaj schodzi w motocyklowym kasku, by nie pokazywać twarzy. Ale w sobotę trzy tygodnie temu wpadłem do Elisy bez zapowiedzi i zastałem ją z nim. Rozmawiali. Kiedy tylko przyszedłem, wynalazł jakiś pretekst i wyszedł, nie mówiąc mi nawet cześć.

– Elisa powiedziała panu, czego od niej chciał?

– Spotkała go na podwórzu parę miesięcy wcześniej któregoś ranka, kiedy strasznie padało. Stał z parasolem i odprowadził ją od bramy do wejścia budynku B. Potem zadzwonił do niej w porze, kiedy zazwyczaj szła do baru na filiżankę cappuccino. Wciąż lało i zaproponował, że ją odprowadzi. Według mnie dobrze znał jej rozkład dnia, bez przerwy obserwował ją przez lornetkę.

– To możliwe. Powiedział pan to Elisie?

– Tak, ale ona nie widziała w tym nic złego. Powiedziała, że zawsze jest grzeczny i miły, czasem przychodzi do niej do biura, kiedy jest sama, żeby pogadać. Współczuła mu.

– Elisa nie mówiła panu, że się do niej przystawiał?

– Była więcej niż pewna, że nigdy tego nie zrobi, ale ja jestem innego zdania. Gość z taką twarzą, takimi muskułami i takim zachowaniem mógł dostać się do niej w każdej chwili.

Elisa Sordi musiała być albo naiwną dziewczynką o dobrym sercu, albo suczką za trzy grosze. Gdybym nie widział na własne oczy, jak pąsowieje i peszy się, słysząc moje wulgarne teksty, nie miałbym wątpliwości, za którą hipotezę się opowiedzieć.

– Spotkał się pan później z Manfredim?

– Raz, na podwórzu. Był w kasku, ja czekałem przy fontannie na Elisę, żeby ją zabrać do domu. Palilem papierosa. Podszedł do mnie i powiedział, że jeśli chcę palić, muszę wyjść za bramę. Stał tam przy swoim harleyu i czekał, dopóki nie wyjdę. Potem sobie poszedł.

– Widział go pan zeszłej niedzieli, kiedy się pan spotkał z Elisą?

– Widziałem błysk lornetki. Szpiegował nas z tarasu.

– A jak poszedł panu egzamin, panie Bona?

Uśmiechnął się krzywo.

– Śmierć Elisy nie pozwoliła mi się skupić. Zrezygnowałem ze zdawania w tym terminie.

Wskazałem na łódź z numerem 22.

– Ale w żeglowaniu jej śmierć nie sprawia panu kłopotów.

Popatrzył na mnie poważnie.

– Nie rozumie pan. Jedynie na łodzi udaje mi się nie myśleć.

– A kiedy pan myśli, to co pan myśli?

– Że ten Manfredi jest niebezpieczny. – Natychmiast pożałował jednoznaczności. – Tak sędzę, nie wiem na pewno...

Odszedłem stamtąd zadowolony.

Dotarłem do wydziału kryminalnego po trzech godzinach wystawiania w ulicznych korkach. Teodori przekazał, bym na niego zaczekał, więc wślizgnąłem się do jego biura, korzystając z nieobecności Vanessy.

Na biurku stało zdjęcie niebrzydkiej, może tylko nieco zbyt puszystej nastolatki. Z grubą warstwą nałożonego makijażu. Wiedziałem, że Teodori jest wdowcem i że ma osiemnastoletnią jedynaczkę Claudię. Śledczy, który ma córkę w wieku zamordowanej. Gdyby był bardziej błyskotliwy, pewnie rozumiałby lepiej psychikę ofiary. Ale Teodori wydawał się zbyt przestraszony, że rozzłości szacownych mieszkańców posesji przy via della Camilluccia. A Claudia Teodori z pewnością mocno się różniła od Elisy Sordi, wystarczyło spojrzeć na zdjęcie.

Czerwona pulsująca dioda automatycznej sekretarki sygnalizowała dwie nieodebrane wiadomości. Taki już byłem, lata spędzone w tajnych służbach nauczyły mnie, że każde źródło informacji jest dozwolone i każdą okazję trzeba wykorzystać. Pierwszą wiadomość nagrała kobieta: „Dzień dobry, *dottor* Teodori. Dzwonię z kliniki Villa Alba. Kiedy tylko znajdzie pan czas, bardzo proszę przyjechać, by zobaczyć się z córką i porozmawiać z lekarzem. Do widzenia”. Głos na drugim nagraniu należał do mężczyzny: „Teodori, to ja, Cocoluto. Chciałem ci powiedzieć, żebyś się nie martwił, rozmawiałem z prokuratorem i sędzią. Jeśli znajdziemy tego, kto podrzucił jej tabletki, ciężar przestępstwa istotnie się zmieni”.

Wiedziałem, kim jest Cocoluto: kolega z sekcji zajmującej się przestępstwami młodocianych związanymi z alkoholem i narkotykami. Teraz już było jasne, dlaczego do tego śledztwa wybrano właśnie Teodoriego. Córka musiała wykręcić jakiś naprawdę poważny numer, a to znaczyło, że łatwo wywierać na niego naciski. Czułem, że będę miał wielkie trudności, by go przekonać do zakłócenia spokoju mieszkańców rajskiego zakątka przy via della Camilluccia. Istniał jednak pewien sposób, choć ryzykowny. Zostawiłem mu informację, że skontaktuję się z nim później.

Zaparkowałem duetto i podszedłem do stróżówki pani Giny, aktualnie zajmowanej przez jej córkę.

Pięć minut później stanąłem na najwyższym piętrze budynku B. Otworzył mi ksiądz Paul, zasepiony i znacznie mniej przebojowy niż zwykle.

Alessandrini siedział przy tym samym biurku, przy którym widziałem go poprzedniej niedzieli. Nie wstał ani nie podał mi ręki.

– Coś wiadomo, *dottor* Balistreri?

– Jeszcze nie. Ale jestem tu, by prosić eminencję o radę.

– Sprawiedliwość ziemską nie jest moją domeną, panie komisarzu. Nie wiem, jak mógłbym panu pomóc.

Uznałem, że w relacjach z tym człowiekiem najlepsza będzie bezpośredniość.

– Może mi eminencja pomóc, pozwalając na prowadzenie śledztwa także w tym rajskim zakątku.

Zauważyłem, że Paul zerknął na kardynała. Alessandrini patrzył na mnie z powagą.

– I uważa pan, że potrzebuje na to mojej zgody? Zdaje się, że jest pan żarliwym obrońcą uwolnienia państwa włoskiego z watykańskich okowów. W każdym razie mnie może pan pytać o wszystko, nie ma żadnego problemu.

– Jest również budynek A – powiedziałem.

Alessandrini zdjął okulary i z uśmiechem rozmasował sobie skronie.

– Domyślam się, że nadkomisarz Teodori nie zaaprobowałby tej rozmowy.

– Jeśli eminencja chce, by Elisie Sordi i jej rodzicom stała się sprawiedliwość, musi mi pomóc prowadzić śledztwo w każdym kierunku. Dziewczyna pracowała dla Watykanu, miała by ksiądz powód, by prosić o...

Kardynał przerwał mi gestem.

– Doskonale wiem, jak wywierać nacisk na władze policyjne, o czym już pan się przekonał. Ale nie w tym problem. Ciało zostało znalezione przy rzece, dziewczyna wyszła z pracy. Co każe sądzić, że...

– Jest bardzo prawdopodobne, że znała mordercę. Rzeka jest za daleko, by mogła tam dotrzeć pieszo. Elisa musiała wsiąść do samochodu albo na motocykl. Niełatwo porwać człowieka tak, by nie krzyczał i by ktoś czegoś nie usłyszał albo nie zobaczył.

– Nawet jeśli tak, są jeszcze znajomi z dzielnicy, koledzy ze szkoły, tysiące możliwości – zaoponował Alessandrini.

– Zgoda. Ale wtedy byłoby to całkowicie przypadkowe spotkanie. Dioguardi w przeddzień wieczorem powiadomił Elisę, że ma przyjść do pracy, i dopóki nie poszliśmy do niej do biura, nie było wiadomo, o której skończy i wyjdzie.

Alessandrini milczał przez chwilę.

– Dobrze. Zrobię tak, byście mogli przesłuchać wszystkich i oczyścić każdego z najmniejszego nawet podejrzenia. Ale hrabia nie będzie zadowolony i nie pozostanie bezczynny, zobaczy pan.

– Bardzo dziękuję. Musimy przesłuchać wszystkie osoby, które tu mieszkają bądź pracują.

Cisza. Umilkłem skonsternowany. Za to Alessandrini czuł się jak ryba w wodzie.

– Będzie pan chciał wiedzieć, co robiłem w niedzielę po tym, jak wyszliśmy stąd razem z panem i Angelem. Jak pan pamięta, wziąłem taksówkę, była wtedy chyba szósta dwadzieścia. Moje wejście do Watykanu zostało zarejestrowane o szóstej trzydzięci. Poszedłem pomodlić się w kaplicy na piętrze pod biurami, przebywałem tam około godziny.

– Był tam ksiądz sam? – zapytałem. Z jakiegoś powodu ten potężny człowiek mnie nie onieśmielał. Trudne pytanie wyszło z moich ust lekko i naturalnie.

– Nie mam świadków, którzy mogliby potwierdzić, że tak było. Wyszedłem z Watykanu około ósmej, to również zostało zarejestrowane. Byłem tutaj z powrotem około ósmej dziesięć. W sam raz na mecz... Kiedy wysiadałem z taksówki, hrabia Tommaso właśnie parkował swój samochód. Przywitaliśmy się na odległość, spieszył się, ponieważ miał gości.

– Był z żoną?

Kardynał zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, nie wydaje mi się. Jeszcze przed rozpoczęciem meczu wyszedłem na taras. Rzym wyglądał jak opustoszałe miasto. I widziałem też, jak Manfredi parkuje motocykl, był kwadrans po ósmej.

– Manfredi był sam?

– Tak, miał na głowie ten sam kask co zwykle. Zsiadł szybko, bo mecz miał się właśnie zacząć, i od razu wszedł do budynku A.

Takie odpowiedzi mi nie wystarczały, ale nie miałem więcej pytań. Zwróciłem się do księdza Paula:

– Spotkaliśmy się tutaj w niedzielę około piątej trzydzięci. Ja szedłem do księdza kardynała, a ksiądz się spieszył, jechał do parafii San Valente.

Szybkie spojrzenie na kardynała. Dyskretny gest hierarchy wyrażający zgodę.

– Ja pojechał natychmiast do San Valente. Czekał mnie inny wolontariusz, Antonio. On zabrać dzieci naszym busem do inne oratorium, aż do ósmej.

– A co ksiądz robił przez te dwie godziny?

– Ja gotowałem. O ósmej, kiedy wrócił Antonio z dziećmi, wszystko gotowe dla nas do jedzenia przed telewizorem.

– A po meczu?

– Ja i Antonio położyli dzieci do łóżek. Potem my też spać.

– Znał ksiądz Elisę Sordi?

Cień niepokoju przemknął przez błękitne oczy, które znów szybko zerknęły na kardynała Alessandriniego i zaraz wróciły na mnie.

– Oczywiście.

– Miał ksiądz okazję, by z nią porozmawiać?

Czułem na sobie wzrok Alessandriniego, ale nie odwracałem wzroku od Paula. Coś się poruszało pod jego piegami. Nerwowo przesunął ręką po rudych kędziorach.

– Czasami Elisa tutaj, żeby przynieść swoją pracę. Dwa albo trzy razy.

– I o czym rozmawialiście?

Zdawało się, że przypominanie sobie sprawia mu ból.

– O moje powołanie – odpowiedział w końcu cichym głosem.

Powstrzymałem wybuch śmiechu. Valerio Bona chodził z nią na mszę, ksiądz Paul rozmawiał o swoim powołaniu, Manfredi grzecznie eskortował ją do baru. A potem ktoś zaciągnął ją pod most, zmasakrował, torturował i wrzucił do rzeki. Niewykluczone, że uczyniwszy wcześniej znak krzyża.

– Czyżby Elisa była zainteresowana życiem zakonnym? – rzuciłem sarkastycznie.

Ku mojemu zdziwieniu Paul odpowiedział z pełną powagą:

– Być może, ona zadawać wiele pytań na ten temat.

Zwróciłem się do Alessandriniego:

– Eminencji coś o tym wiadomo?

– Nigdy nie zamieniłem z nią więcej niż kilka słów, kiedy przynosiła dokumenty, i tylko w sprawach związanych z pracą. – Kardynał zatopił się w myślach. Musiały to być nieprzyjemne myśli, bo jego zwykle pogodne i łagodne rysy stwardniały.

Wróciłem do Paula.

– Odwiedzał ją kiedyś ksiądz w biurze na drugim piętrze?

Teraz rumieniec i zakłopotanie stały się oczywiste.

– Nie odwiedzał, ona zadzwonić do mnie w sobotę.

– Czyli dzień przed jej zaginięciem?

– Tak, około piątej. Chciała *help*, żeby zanieść ciężkie książki dla kardynała. My rozmawiali kilka minut, potem ona idzie.

– O czym rozmawialiście?

– O jej pracy, się podobała, wracała w niedziele, ale okay. Powiedziała jedna dziwna rzecz, chcieć się wypowiedzieć u mnie w jakiś dzień. Ja powiedzieć, że nie, ja jeszcze nie mam święceń księdza.

– A potem wyszła?

Chłopak się zawahał.

– Ja zrobił *ciao, ciao* z tarasu. Ona obok fontanny z pani Gina, zobaczyły mnie i też *ciao*.

Otóż i powód tego małego wyznania. Był świadek, dozorczyńni, która wróci z Indii i zapewne przypomni sobie o tym zdarzeniu.

– Potem jeszcze coś – dodał zafrasowany ksiądz Paul.

Instynkt podpowiedział mi, co to było, zanim Paul zdążył to powiedzieć.

– Dziewczyna pozdrowiła gestem kogoś na tarasie budynku A.

Wyczytałem zaskoczenie z twarzy Paula i po raz pierwszy zobaczyłem mieszaninę szacunku i lęku na obliczu kardynała.

– Pan już wiedzieć? – zapytał zbity z tropu Paul.

– Nic nie wiem, ale teraz jestem jeszcze bardziej niż dotąd przekonany, że w tym waszym rajskim zakątku uwił sobie gniazdko diabeł.

Ksiądz Paul kiwnął głową.

– Chłopak z lornetką być dziwny, on...

Alessandrini postanowił, że już czas zakończyć tę rozmowę.

– To nie jest raj, komisarzu Balistreri. Ale też nie piekło. Nie znajdzie pan tu diabłów. Niemniej zadziałałam tak, jak obiecałem, aby również hrabia został zmuszony do współpracy z policją. Co do mnie i księdza Paula, to jak sądzę, powiedzieliśmy już wszystko.

Miałem jeszcze jedno pytanie do Paula, lecz nie pozwolono mi go zadać w tamtej chwili. „Czy widział ksiądz Elisę Sordi w tę niedzielę, kiedy zginęła?”

Kiedy wychodziłem, bezlitosne lipcowe słońce chowało się wreszcie za horyzontem. Spojrzałem na okno drugiego piętra, na to, przy którym pracowała Elisa Sordi. Kwiat w wazonie, stojący w tym samym miejscu od śmierci Elisy, był poskręcany i suchy. Zauważyłem jak zwykle błysk na poddaszu budynku A. Z tamtego miejsca Manfredi dominował nad wszystkimi i wszystkim. Patrzył, samemu nie będąc widzianym, z jego perspektywy sytuacja idealna. Widział również okno Elisy Sordi. A teraz widział również mnie. Nie oparłem się pokusie. Zapaliłem papierosa i wydmuchując dym nosem, skinąłem mu w geście pozdrowienia.

Szedłem przez wspaniałe park, ciesząc się papierosem, rześkością cienia drzew i śpiewem ptaków. Byliśmy w środku Rzymu, a zdawało się, że to wieś. Rzuciłem roztargnione spojrzenie w stronę basenu. Wyciągnięta na trawie młoda kobieta w jednoczęściowym kostiumie łapała ostatnie promienie słońca. Już ją wcześniej widziałem: tydzień temu wsiadała do samochodu razem z hrabią. Mogła być w moim wieku, ale miała ciało dwudziestolatki, szczupłe i gibkie. Widziałem jej twarz z profilu: delikatne rysy i drobne zmarszczki w kącikach oczu. Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, miała zielonkawoniebieskie oczy.

– Naprawdę nie powinno się palić w tym parku. – Ton był łagodny, nie wyczuwało się w nim przygany. Raczej ostrzeżenie.

Instynktownie zerknąłem w stronę tarasu budynku A, lecz był schowany za drzewami.

Powinienem był jej powiedzieć, że zapaliłem go celowo, by zirytować jej despotycznego męża i wścibskiego syna. Może wtedy byśmy sobie szczerze porozmawiali. Jednak zrobiłem coś, do czego miałem mniejsze zdolności: zachowałem

się dyplomatycznie. Wybąkałem przeprosiny, zgasilem na ziemi papierosa, a nawet zabrałem niedopałek i wsadziłem do kieszeni. W duchu kląłem na siebie, hrabia onieśmiała mnie w nieznanym mi dotąd sposób. A przecież spotykałem już ludzi równie potężnych i niebezpiecznych. Hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno miał jednak w swojej historii i sposobie bycia coś, co jakąś częścią siebie w skrytości aprobowałem. A raczej aprobowałem niegdyś, w najstraszliwszych latach mojego życia: chodziło o jego wiarę w sprawę, wiarę nieznaną kompromisów, niechby i za wielką cenę. Reprezentował również inne ideały, te, którymi gardziłem: wierność królowi, chociaż wycofał się z popierania faszyzmu, i przekonanie rodem ze średniowiecza o władzy arystokracji nad ziemią i pracującymi na niej.

Miałem już wszystkiego powyżej dziurek w nosie i chciałem jak najszybciej wynieść się stamtąd. Opuściłem dach mojej alfy duetto i pojechałem na miasto. Dzięki specjalnemu pozwoleniu mogłem wjeżdżać nawet do zamkniętego dla ruchu centrum. Zaparkowałem przy Schodach Hiszpańskich, tuż obok policyjnego radiowozu, okazując funkcjonariuszom legitymację. Kupiłem sobie piękną porcję lodów pistacjowych i czekoladowych w wafle i oparłem się o maskę samochodu, rozglądając się i bezwstydnie gapiąc na co piękniejsze turystki. Między fontanną a schodami kręciło się ich mnóstwo, niektóre już zwróciły uwagę na czerwony kabriolet i młodego opalonego bruneta, który ze smakiem pałaszował lody, nie przejmując się obecnością policjantów. Z via dei Condotti wchodziła właśnie na plac platynowa blondynka na wysokich obcasach, opalona i elegancka, w krótkiej sukience od Valentina i z torebką od Gucciego na długim pasku. Miała jakieś dziesięć lat więcej ode mnie.

Po chwili zobaczyłem nadjeżdżający skuter z dwoma chłopakami bez kasków. Siedzący z tyłu wyciągnął rękę i jednym ruchem zerwał jej z ramienia torebkę. Moment później moje lody pistacjowo-czekoladowe wraz z waflem w towarzystwie głośnego uderzenia wylądowały na oczach kierującego. Skuterem zarzuciło. Uderzył w bok fontanny i przewrócił się, posyłając na ziemię obu pasażerów.

Natychmiast podbiegli policjanci. Ponownie okazałem legitymację i zabrałem torebkę, zostawiając kolegom złodziejasków.

– Są nieletni, *dottore*, spisujemy ich i jeśli nie są notowani, puszczamy wolno, co? – zaproponował starszy z policjantów.

Spojrzałem na chłopaków. Włosi z jakiegoś małego miasteczka. Jeden nosił w uchu kolczyk, drugi miał na muskularnym bicepsie tatuaż Che Guevary.

– Nie, zamknijcie ich w izbie dziecka, dobrze im zrobi jedna noc na dołku.

Kobieta czekała na mnie z butami w ręku.

– Złamał mi się obcas, ale to nic takiego – wyjaśniła z uśmiechem.

Bez obuwia była mojego wzrostu. Dostrzegłem obrączkę i pierścionek z diamentem na serdecznym palcu.

– Nie może pani tak chodzić, podwiozę panią.

Uśmiechnęła się.

– Alfa duetto spider. Nie siedziałam w niej od lat. Pamiętam, że to było fajne uczucie.

Policjanci patrzyli na mnie krzywo. Wyobrażałem sobie ich komentarze.

– Gdzie pani mieszka?

– W Londynie, z mężem i dwójką dzieci – odpowiedziała, wyciągając piękne nogi.

– Cóż, tam pani nie zawiozę. Ale gdzieś w Rzymie musiała się pani zatrzymać, prawda?

Wskazała na szczyt Schodów Hiszpańskich.

– Przyjechałam tutaj na roboczy weekend. Zatrzymałam się w hotelu Hassler, tam u góry, przy piazza Trinità dei Monti. Ale jeśli się panu nigdzie nie spieszy, chętnie się przejadę. W tym samochodzie człowiek czuje się młodszy, a jak widzę, może pan wjeżdżać także w strefy niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

Powoli pojechaliśmy przez miasto. Zachodzące słońce barwiło złotem kopuły kościołów. Niespiesznie wjechałem w strefę dla pieszych: jedyne auto pomiędzy tłumem oddanym hulance sobotniego wieczoru. Poprosiła mnie, bym objechał Fontannę Czterech Rzek na piazza Navona, co zrobiłem ku zaskoczeniu turystów i patrolujących policjantów.

– To samochód z *Absolwenta*, prawda? – zapytała, kiedy skierowaliśmy się z powrotem w stronę piazza Trinità dei Monti.

– Tak, auto Dustina Hoffmana.

– Pasuje do ciebie, jesteś przystojny jak on, ale Bogu dzięki, wyższy.

Kiedy dojechaliśmy do hotelu, było już ciemno.

– Dziękuję za torebkę. I za nielegalną wycieczkę – powiedziała, obracając się w moją stronę.

Poczułem się dziwnie, nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi serio.

– Przykro mi z powodu twoich lodów – ciągnęła. – Gdyby nie to, że nie wolno tu parkować, zaprosiłabym cię do siebie, room service w hotelu jest doskonały i lody mają świetne.

Podniosłem dach i zostawiłem samochód dokładnie pod znakiem obwieszczającym zakaz postoju grożący odholowaniem pojazdu, w widocznym miejscu za szybą położywszy tylko elegancką tabliczkę z napisem „Policja – czynności służbowe”.

Lody z truskawkami i bitą śmietaną przyniesiono wraz z szampanem, gdy brała prysznic. Kiedy opatulona szlafrokiem wyszła z łazienki, odkorkowałem butelkę.

– Nie uwierzysz, Michele, ale robię to pierwszy raz po siedmiu latach małżeństwa. I trochę mnie to krępuje, nie lubię przejmować inicjatywy.

– Ależ nic nie musisz robić, nie trzeba żadnej inicjatywy, żadnego poczucia winy.

Śmiała się, kiedy zdejmowałem z niej szlafrok i naga kładłem ją na łóżku. Śmiała się, kiedy wiązałem jej nadgarstki paskiem od szlafroka. Śmiała się, kiedy zakładałem

jej na oczy maskę, a do uszu wkładałem zatyczki, o które nie zapomniał zadbać hotel. Śmiała się, kiedy zacząłem rozmieszczać w najlepiej do tego przystosowanych miejscach jej ciała śmietanę, lody, truskawki.

Potem oddałem się konsumpcji.

Niedziela, 18 lipca 1982

Nie wpadłem do Teodoriego, nawet do niego nie zadzwoniłem. Po długotrwałej konsumpcji lodów nie miałem już na to zupełnie ochoty, zasnąłem jak niemowlę w eleganckiej hotelowej pościeli.

Wyszedłem wcześniej rano. Ona wybierała się do Florencji, gdzie miał do niej dołączyć mąż z Londynu. Odniosłem wrażenie, że za bardzo jej się podobało, dlatego dałem jej niewłaściwy numer telefonu, żeby już się koło mnie nie kręciła, i wróciłem do swojej kawalerki na Garbatelli, gdzie znów poszedłem spać.

Około południa obudził mnie telefon. Pomyślałem, że to Teodori, i burknąłem coś niemilego zaspanym głosem. Miałem wolny dzień i nie chciałem, by mi ktokolwiek zawracał dupę.

– Wspaniałe powitanie, Mike, chyba źle spałeś w nocy.

To był Alberto, mój brat. Tylko jemu pozwalałem na amerykańzowanie mojego imienia. I zupełnie zapomniałem o jego zaproszeniu na obiad i pokera. Niemiecka narzeczona wyjechała do rodziców w ojczyźnie, a on nie miał akurat swoich zwyczajowych weekendowych prac. Zaprosił Angela i mnie na obiad, potem któryś z jego kolegów miał dołączyć na partyjkę pokera.

Mój wzorowy braciszek był świetny we wszystkim, także w sztuce kulinarnej. Studia inżynierskie ukończone z najlepszymi ocenami, kierownicze stanowisko w międzynarodowej korporacji, dobre kontakty polityczne we wszystkich partiach z wyjątkiem postfaszystowskiej, piękny dom z tarasem, narzeczona, która będzie doskonałą matką dla jego przyszłego potomstwa. Mógłbym go nienawidzić, a tymczasem uwielbiałem go. Nie tylko dlatego, że wyciągnął mnie z kłopotów, ale dlatego, że nigdy nie dał mi tego odczuć. I również dlatego, że jego umiarkowanie nie było przejawem pragmatyzmu naszego ojca, dobroduszną twarzą despotyzmu. Nie, Alberto był na wskroś umiarkowany, wierzył w kompromis jako źródło dobrobytu i szczęścia dla wszystkich.

Angelo już u niego był, kiedy przyjechałem. Obaj dobrze bawili się w kuchni. Uzupełniali się nawzajem: Alberto wysublimowany szef i Angelo prawdziwy pizzerman. Do mnie należało już tylko nakryć do stołu, a potem zebrać naczynia i włożyć do zmywarki.

Jedliśmy makaron na zimno, a na drugie sałatkę caprese, popijając białym winem. Było strasznie gorąco, ale na część tarasu cień rzucała pergola.

– Wyglądasz na zmęczonego, Mike, nie wyspałeś się? – W pytaniu brata nie było ironii. Po prostu jak zwykle martwił się o mnie.

– Za gorąco i za głośno. Na szczęście rzymianie dziś pojechali nad morze, zeszłej niedzieli większość z tego zrezygnowała dla meczu.

– Pomyśl, jakie skutki przynosi zwycięstwo naszej reprezentacji, Mike. Przychód z VAT z połowy lipca jest wyraźnie wyższy od przewidywanego.

– Kraj, którego obywatele płacą podatki w zależności od wyników drużyny narodowej w piłce nożnej, nie jest szczególnie dobrym przykładem społeczeństwa obywatelskiego – powiedziałem.

Taki kraj zasługuje na komisarza policji, który obwozi się kabrioletem po strefie z zakazem ruchu kołowego, żeby wyrwać jakąś turystkę.

Rozmawialiśmy o polityce, by móc mówić o sobie bez osądzania. Ponieważ jesteśmy tym, jak postrzegamy świat. A moje postrzeganie było wciąż dosyć mało zniuansowane. Z jednej strony byli uczciwi i naiwni, zazwyczaj bez grosza przy duszy. Z drugiej – przestępcy i oszuści, w tym wielu dupków w garniturach zasiadających w zarządach i radach nadzorczych, parlamencie, administracji publicznej i w Watykanie.

W młodości marzyłem, że ten system w końcu eksploduje i pograży w bagnie hańby i zniszczenia oszustów, którzy dręczą Italię. Ale jedyną katastrofą, która nastąpiła, była moja własna. Dałem się wciągnąć do tajnych służb, kiedy sobie uświadomiłem, że moi neofaszystowscy koledzy zostali mordercami manipulowanymi przez nietykalne grupy interesów i uderzają w setki niewinnych, bezbronnych ludzi, hańbiąc ideały, w które wierzyłem. Ale i same służby okazały się powiązane z tymi samymi nietykalnymi grupami interesów, co zrozumiałem po porwaniu Alda Moro w 1978 roku. I wtedy się okazało, że jedyny sposób uniknięcia ostatecznej katastrofy to podjąć oficjalną służbę na rzecz państwa.

– Nie dam się nigdy wkręcić w ten syf, Alberto. Odpocznę jeszcze parę lat, a potem wrócę do Afryki polować na lwy i obwozić durnych turystów.

Alberto kręcił głową i uśmiechał się smutno.

– Mike, Italia była biednym krajem zniszczonym przez wojnę. Teraz się podniosła. Ci wszyscy politycy, chadecy, komuniści, przedsiębiorcy, Kościół, chyba zrobili też coś dobrego, nie sądzisz?

– To ci sami, którzy doradzali Mussoliniemu wojnę, a potem go opuścili. Ci sami, którzy siedzieli w Watykanie i w wielkim biznesie, a pod koniec wojny nagle okazali się co do jednego antyfaszystami.

– To są głupoty bez żadnych historycznych fundamentów, Mike. Mussolini sam postanowił pójść na wojnę, sam wprowadził prawa rasowe... Oponentów faszyci prześladowali i zabijali. To samo robili włoscy żołnierze z libijskim ruchem oporu.

Tylko Alberto mógł sobie pozwolić na takie słowa w mojej obecności bez żadnych konsekwencji.

Mój licealny profesor historii w Libii był chuderlawym brodaczem zawsze ubranym

w parkę, dzinsy i tenisówki. Młody lewicowy nauczyciel, który zgodził się wyjechać do tego okropnego miejsca w Trypolisie, żeby mieć stałą pracę. Nigdy nie zaniechał okazji, by powiedzieć, co sądzi o kolonistach, naszych dziadkach i ojcach. Pewnego dnia, na ostatniej godzinie przed dużą przerwą, mówił o Italu Balbie, marszałku Grazianim i klice kryminalistów, która zdławiła w obozach koncentracyjnych libijski ruch oporu. Wiedziałem, że mówił prawdę, ale nie miał żadnego prawa, by o tym opowiadać i utożsamiać nasze rodziny z tymi działaniami.

Podszedłem do niego podczas dużej przerwy razem z kolegą, który myślał tak samo jak ja.

– Mój dziadek pracuje w Libii od 1911 roku. Stworzył tu tłocznię oliwy na skalę przemysłową, potem wraz z innymi kolonistami wybudował drogi tam, gdzie był tylko piasek, uzdatnił wodę do picia, zorganizował szkołę zawodową dla młodych Arabów. Jest kryminalistą?

Profesor palił, co dodatkowo mnie irytowało: nam, uczniom, było to zabronione. Spojrzał na nas zimno.

– Porozmawiamy o tym na następnej lekcji, Balistreri.

Wpadłem w furję. Rada mojego ojca i brata – „Policz zawsze do dziesięciu, Mike” – dokumentnie wywietrzała mi z głowy. Jakbym nareszcie zrozumiał, kim jestem, i miał już dość ukrywania tego przed światem.

Popchnąłem go i kiedy leciał na bruk podwórza, wiedziałem już, że jestem na życiowym zakręcie. Gdzieś czytałem, że tylko nieliczne działania z czasów młodości warunkują nasze dorosłe życie. Cóż, to było jedno z nich.

Profesor krzyczał, koledzy patrzyli na nas w oszołomieniu, a my chwyciliśmy go we dwóch. Wolałbym zrobić to sam, bez pomocy kolegi, ale nie dałbym rady. Chwyciliśmy go za ręce i nogi, donieśliśmy do stawu z czerwonymi rybkami i z pluskiem wrzuciliśmy do wody. A wraz z nim naszą szkolną karierę i wszystkie nasze lęki.

Uśmiechnąłem się do brata, wiedział, o czym myślę.

– Dziękuję, braciszku, zawsze potrafisz przypomnieć mi stare historie. Ale ta dekadenska, skorumpowana demokracja odda kraj w łapy komunistów albo jeszcze gorzej, Czerwonych Brygad.

Byłem o tym przekonany, natomiast Alberto w tych sprawach zachowywał spokój.

– Michele, to się nigdy nie stanie. Nie doceniasz pragmatyzmu chadeków i przeceniasz siłę komunizmu. On już stracił rację bytu i sam się wypali.

Naturalnie jak zawsze miał rację on, a nie ja. To była dyskusja, którą prowadziliśmy od zawsze w różnych wariantach, zależnie od okoliczności. Swego rodzaju mantra naszej różnicy w poglądach.

Angelo przysłuchiwał się naszym rozmowom z zainteresowaniem, lecz nie wypowiadał swojego zdania. To był jeden z jego sposobów na poznanie nas.

Zostałem z nim sam, kiedy Alberto wyszedł zrobić kawę. Siedzieliśmy przy ostatnim kieliszku wina i papierosie, patrząc na powolny ruch samochodów na ulicy biegnącej wzdłuż Tybru dwieście metrów pod nami.

– Ktokolwiek to zrobił, znał ją – powiedziałem, nie patrząc na niego.

– Nie chciałbym o tym rozmawiać, Michele, nie jako przyjaciel. Jako świadek, a nawet jako podejrzany, owszem. Ale tylko z komisarzem Teodorim i tylko w oficjalnej formie.

Angelo był smutny i ten smutek tak do niego nie pasował, że poczułem się podle.

– Tylko jedno pytanie, Angelo. Czy widziałeś się albo słyszałeś z Elisą w niedzielę przed południem?

– Już ci mówiłem. Byłem cały czas z Paolą, aż do piątej, kiedy pojechałem po ciebie. Od Paoli zadzwoniłem do Elisy około wpół do trzeciej. Zapewniła mnie, że praca będzie przekazana kardynałowi za pośrednictwem pani Giny o piątej, nie było potrzeby, żebym przyjeżdżał. Później już jej nie słyszałem. Może Teodori ci tego nie powiedział, ale już przesłuchał Paolę i pytał ją, co wtedy robiłem. A także o to, co robiłaś ty, Michele.

A więc w tych kierunkach Teodoriemu wolno było prowadzić śledztwo. Valerio Bona, Angelo Dioguardi, a nawet komisarz Michele Balistreri. Same pionki, byle zostawić w spokoju nietykalnych. No cóż, najwyższy czas zadziałać w innym kierunku.

Wyszedłem z mieszkania Alberta późnym popołudniem. Pod wieczór dotarłem do kliniki Villa Alba. Piękne miejsce, na uboczu, zielone i spokojne.

Było już dawno po godzinach odwiedzin. Izba przyjęć była pusta, za kontuarem siedziała tylko stara zakonnica. Okazałem jej legitymację na tyle szybko, by nie zdążyła odczytać mojego nazwiska.

– Jestem tutaj w sprawie Claudii Teodori – oznajmiłem zdecydowanym tonem.

– Pora odwiedzin już minęła – odpowiedziała grzecznie, lecz stanowczo.

– Rozumiem i nie chcę prosić o wyjątek. Niemniej pilnie potrzebujemy potwierdzenia wyników badań toksykologicznych.

– Przecież wysłaliśmy wam wyniki zaraz po wypadku, kiedy tylko została hospitalizowana.

– Kopia była w kilku miejscach niewyraźna. Prokurator chce, bym sprawdził oryginał.

– To aż tak pilne? – zapytała zakłopotana.

– Właśnie odbywa się zebranie i prokuratura decyduje, czy postawić zarzut umyślnego spowodowania śmierci, a dane toksykologiczne są tu decydujące.

– Ale jakiego umyślnego? Dziewczyna prowadziła pod wpływem alkoholu i narkotyków. Myślicie, że celowo zderzyła się z drzewem i doprowadziła do śmierci

przyjaciółki?

W końcu uzyskałem wgląd do karty chorobowej. Kiedy Claudia Teodori trafiła do kliniki z zaledwie kilkoma zadrapaniami, była nafaszerowana amfetaminą. Siadanie za kierownicą w takim stanie było tym samym co strzelanie z dwururki do gęstego tłumu. Otóż i umyślność przestępstwa. Chyba że dziewczyna nie była świadoma, że zjadła te tabletki. Ale to należało jeszcze udowodnić.

Poniedziałek, 19 lipca 1982

Stawiłem się w biurach sekcji zabójstw punktualnie o ósmej rano, gotowy na przyjęcie pretensji Teodoriego. Vanessa uśmiechnęła się do mnie, kończąc malowanie długich paznokci na czarno. Po raz pierwszy widziałem ją w minispódnicy.

Spojrzałem na nią, nie ukrywając podziwu.

– Ależ elegancka dzisiaj!

– Mam spotkanie z właścicielem mieszkania, a spóźniam się z czynszem – odpowiedziała poważnie, skupiona na paznokciach.

Teodori był w swoim pokoju zajęty filiżanką cappuccino i rogalikiem. Jego wodniste oczy były bardziej żółte niż zwykle, a cera jeszcze bledsza. Ale zachowywał się serdecznie, niemal nadskakująco. Czegoś chciał ode mnie.

– Proszę, *dottor* Balistreri, niech pan siada. Chce pan coś z baru? Poproszę moją asystentkę, żeby przyniosła.

Odmówiłem, ta nieoczekiwana grzeczność była podejrzana.

– Mamy wiele pozytywnych wiadomości. – Teodori zanurzył rogalik w filiżance cappuccino, które wystąpiło z brzegów i część kawy spłynęła wprost na biurko. – Przyszły pierwsze wyniki autopsji. Zgon nastąpił z pewnością w tę samą niedzielę, kiedy dziewczyna zaginęła, najpóźniej w pierwszych godzinach po meczu. Lekarz sądowy ze względu na stan zwłok nie potrafi podać dokładniejszych ram czasowych, ale stan rozkładu i temperatura wody w Tybrze każą mu wykluczyć możliwość późniejszej śmierci. – Dla większego efektu zrobił pauzę. – Zgon nastąpił w niedzielę między osiemnastą trzydzieści, kiedy to Elisa Sordi opuściła posiadłość przy via della Camilluccia, a północą.

Doskonale rozumiałem, dlaczego to była dla Teodoriego dobra wiadomość. Wszyscy znamienicy podejrzani mieli alibi, a Valerio Bona nie. Uznałem, że dobry humor Teodoriego pozwala mi lekko zaryzykować i zapaliłem papierosa. I rzeczywiście, nawet tego nie zauważył.

– Ciało ofiary nosi ślady krwiaków po uderzeniach, ran ciętych, przypalania papierosem i ugryzień. Niestety to była długa i bolesna śmierć. Trwała co najmniej pół godziny. Zmarła z uduszenia, zatkało jej twarz jakąś szmatą albo poduszką, uniemożliwiając oddychanie.

– Rany zostały zadane przed śmiercią? – zapytałem.

– Krwiaki tak, zwłaszcza ten od uderzenia, które spowodowało złamanie prawej kości jarzmowej i oczodołu. Jeśli chodzi o ugryzienia, rany cięte i oparzenia, trudno to jednoznacznie ocenić ze względu na stan zwłok. Poza tym niektóre rany mogły

spowodować szczury i otarcia o gałęzie. W każdym razie istotne jest co innego: nie było przemocy seksualnej.

Przyjąłem tę informację z pewnym zdziwieniem.

– Nie było penetracji żadnego otworu? – zapytałem z odrobiną niedowierzania.

Nie zauważyłem, że właśnie weszła Vanessa, by zabrać filiżankę po cappuccino. Stała sobie z szyderczym uśmiechem, czekając, aż Teodori odpowie na moje pytanie. Już drugi raz zdarzało mi się coś takiego, ale sekretarka Teodoriego nie była typem Elisy Sordi. Rozbawiła ją tylko obsceniczność mojego pytania i nasze zakłopotanie.

– Ma pan może na coś ochotę, *dottore*? – zapytała, patrząc na mnie i odbierając pustą filiżankę od Teodoriego.

Spojrzałem wymownie na jej długie nogi, żeby moja odpowiedź nabrała jasnego znaczenia.

– W tej chwili nie, dziękuję bardzo, pani Vanesso. Ale może o coś poproszę nieco później.

Dziewczyna wyszła, a Teodori nieco zmieszany powiedział:

– Całe szczęście, że był pan cały czas ze swoim przyjacielem Angelem, inaczej musiałbym pana umieścić na liście podejrzanych, widząc, jak traktuje pan kobiety.

Ton był żartobliwy, choć nie do końca. I nie podobał mi się ten rodzaj żartów, na dodatek z ust Teodoriego.

– *Dottor* Teodori, ja nie biję, nie ranię, nie duszę. I najważniejsze: ja się pieprzę, tymczasem w tym przypadku zdaje się, że nasz człowiek zrobił dokładnie na odwrót.

Teodori podsunął mi raport z sekcji.

– Może tak, a może nie, Balistreri, bo tu mamy ostatnią ważną nowinę. Niech pan sam przeczyta.

Ślady aborcji przeprowadzonej w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Taka sama jak inne, ni mniej, ni więcej. To była moja pierwsza myśl, błuźniercza i okrutna, a towarzyszyła jej odrobina wstydliwego poczucia ulgi. Również Elisa, tak samo jak inne, nie była święta. I w pewien sposób sama się o to prosiła.

– Musimy przesiać wszystkie jej męskie znajomości. W szkole, w dzielnicy, tego Valeria Bonę... – powiedział Teodori.

– I naturalnie przy via della Camilluccia.

Ku mojemu zdziwieniu Teodori się uśmiechnął.

– Oczywiście, także przy via della Camilluccia, ale z wielką ostrożnością. Ja się tym zajmę. – Przybrał dumny i odważny wyraz twarzy.

Teraz zrozumiałem. Kardynał Alessandrini musiał dotrzymać słowa. Niemniej naciski płynące z wysokich kręgów watykańskich zostały wyciszone i wszystko sprowadzono do niezależnej, odważnej decyzji Teodoriego, który jednak nie chciał, bym się koło niego kręcił z moimi wątpliwościami co do tych szanowanych postaci.

– A jak tam Claudia? Lepiej się czuje? – zapytałem prosto z mostu.

Aż podskoczył. Unikał mojego wzroku.

– Nie rozumiem. Co ma do rzeczy moja córka? – zapytał niepewnie.

– Nic, tak tylko pytałem. Dobre wieści od lekarzy? A może od Coccoluta czy sędziego?

Chciałem, by było jasne, że nie zaakceptuję zapór stawianych przez kogoś postawionego dużo wyżej, zapór, których Teodori nie pokona ze względu na swoją sytuację rodzinną. Jego sprawy głównie mnie obchodziły.

Nastąpiła długa cisza, potem Teodori popatrzył na mnie.

– *Dottor* Balistreri, moja córka ma osiemnaście lat. Straciła matkę sześć lat temu z powodu raka. Nigdy nie miałem czasu, by jej odpowiednio towarzyszyć, ani w nauce, ani w życiu. W tym roku wyrzucono ją ze szkoły. Dziesięć dni temu oblała egzamin na prawo jazdy, ale wieczorem wzięła mój samochód i pojechała nad morze z koleżanką na tańce. Piły i tańczyły do świtu, na dodatek się naćpały. W drodze powrotnej samochód uderzył w drzewo, moja córka wyszła bez szwanku, ale jej koleżanka zginęła. Mówią, że moja córka miała już ze sobą tabletki, zanim pojechały na tańce, ona tymczasem twierdzi, że ktoś w dyskotecce musiał jej dosypać narkotyk do drinka. Jak pan wie, to ogromna różnica.

Miał nadzieję wzbudzić we mnie współczucie. On i ta jego zepsuta, głupia córka. Ale w Afryce widziałem gorsze rzeczy. Widziałem grzebiące w rynsztokach trzyletnie dzieci z brzuchem wzdętym od głodu i muchami w oczach. Nie miałem za grosz współczucia dla rozpasanego włoskiego mieszczaństwa.

Teodori był zmuszony zaakceptować moją obecność w tej części śledztwa. Senator Republiki hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno został już poproszony o spotkanie i oczekiwał nas punktualnie o dziesiątej w swoim prywatnym gabinecie przy via della Camilluccia. Teodori kazał mi obiecać, że nie będę zadawał niedyskretnych pytań. Jak gdyby w śledztwie w sprawie morderstwa mogły istnieć jakieś niedyskretne pytania.

Przy wyjściu Vanessa pożegnała mnie wiele obiecującym:

– Gdyby pan potrzebował, *dottor* Balistreri... – I podała mi karteczkę z numerem telefonu.

Gabinet hrabiego zajmował całe pierwsze i drugie piętro budynku A, na trzecim, najwyższym, znajdowały się pokoje mieszkalne. Za dziesięć dziesiąta podjechaliśmy służbowym samochodem pod bramę. Teodori zaparkował na zewnątrz. Pierwsza oznaka szacunku. Córka pani Giny otworzyła furtkę dla pieszych i powiedziała, że osobisty sekretarz hrabiego oczekuje nas na pierwszym piętrze. Zerknąłem w stronę tarasu, jak zwykle dostrzegłem błysk szkieł lornetki. Natychmiast zapaliłem papierosa i wykonałem ten sam co zawsze niedbały gest pozdrowienia i szyderstwa zarazem.

– Do kogo pan macha? – zapytał zaniepokojony Teodori.

– Do syna hrabiego, Manfrediego.

Podskoczył.

– Zna go pan?

– Widzieliśmy się kilka razy, zawsze na odległość.

Niepewne spojrzenie Teodoriego zdradzało jego wewnętrzne napięcie. Musiał zabrać mnie ze sobą wbrew własnej woli, a teraz wychodziły na jaw rzeczy, których nie rozumiał.

Osobisty sekretarz hrabiego był dokładnie taki, jakiego się można było spodziewać: starszy siwowłosy pan, nienagannie ubrany, ze znaczkiem partii monarchistów w butonierce. Wprowadził nas do salonu urządzonego powściągliwie, ale meblami o bezdyskusyjnej wartości. Na ścianach wisały obrazy przedstawiające wielkie bitwy morskie i lądowe. Światło słoneczne z trudem przebijało się przez ciężkie zasłony. To było bogactwo zupełnie odmienne od przepychu rzymskiego mieszczaństwa, okazałość arystokratyczna, ciężka, mroczna. W jakiś sposób groźna.

Oczekiwaliśmy na stojąco, przyglądając się obrazom. Teodori wydawał się onieśmielony, jakby wszystkie namalowane na nich bitwy umieszczono specjalnie po to, by ostrzec go przed tym, co nastąpi. Nie czekaliśmy długo, punktualność była jedną z licznych obsesji hrabiego.

Choć widziałem go już wcześniej, tym razem zrobił na mnie jeszcze większe wrażenie. Czarne, lodowato zimne oczy, duży orli nos, wąskie usta, wąsy i idealnie przyszyżona czarna bródka. Był o piędź wyższy ode mnie, nad Teodorem górował zupełnie. Kiedy podawali sobie ręce, zauważyłem jego tłumione obrzydzenie na widok niechlujności funkcjonariusza odpowiedzialnego za śledztwo.

Kiedy przyszło do mnie, uścisk ręki był mocniejszy niż poprzedni. Spojrzał mi krótko w oczy.

– Jeżeli chce pan uczestniczyć w tym śledztwie, musi się pan zachowywać w sposób godny. Przynajmniej w tej rezydencji.

A więc potworek z lornetką powiadomił tatusia o moich wygłupach. Przy okazji w typowy dla niego sposób dał nam do zrozumienia, że w każdej chwili może nas stąd wywalić i zablokować śledztwo. To nie był dobry moment na odbijanie piłeczki.

Kiedy służący przyniósł kawę dla nas i wodę mineralną dla swojego pracodawcy, hrabia zwrócił się do Teodoriego:

– Czuję się odrobinę dwuznacznie, bo nie do końca rozumiem celowość naszej rozmowy. Niemniej zgodziłem się z panami spotkać, ponieważ minister spraw wewnętrznych wyjaśnił mi, że były naciski z drugiej strony Tybru, by rozwiązać wszelkie wątpliwości, które mogłyby się pojawić w przykłej sprawie tej dziewczyny.

Słowa „z drugiej strony Tybru” wypowiedział z nieznacznym grymasem wstrętu. Minister spraw wewnętrznych poprosił hrabiego o małą przysługę. Małe przysługi między możnymi tego świata. Wszystko z powodu tej dziewczyny. W tych czterech

słowach, w tonie, jakim hrabia je wypowiedział, zawierała się cała jego wizja świata. Pozbawiona znaczenia plebejuszka, zwykła suczka, która dała się zamordować, z pewnością przez podobnego jej plebejusza, i na pewno stało się to daleko od rezydencji przy via della Camilluccia.

– Dziękuję panu również w imieniu szefa sekcji zabójstw – odparł Teodori. – Nie zajmujemy wiele czasu.

– Mogę poświęcić panom najbliższe pół godziny, później muszę jechać do senatu na głosowanie.

– W takim razie zapytam od razu o rzeczy najistotniejsze. Znał pan tę dziewczynę, Elisę Sordi? – rozpoczął Teodori.

– Jej curriculum vitae dostarczył mi Valerio Bona, mój pracownik. Poleciałem ją kardynałowi, nie znając jej nawet. Zazwyczaj nie zbliżam się do tych osób.

Tak właśnie powiedział: „do tych osób”.

– Nawet z widzenia jej pan nie znał? Pracowała tu jakiś czas – wtrąciłem.

– Może natknąłem się na nią na placu, ale szczerze mówiąc, nie zwróciłem uwagi. Oba budynki, jak panowie zauważyli, stoją dość daleko od siebie.

– Musimy również zadać pytanie o niedzielę jedenastego. – W głosie Teodoriego czuć było niepewność.

– Proszę pytać. – Hrabia doskonale wiedział, o co chodzi, ale świadomie wprowadził nadkomisarza w jeszcze większe zakłopotanie.

– Próbujemy zrekonstruować poczynania wszystkich osób obecnych w rezydencji tego dnia – wyjaśnił Teodori.

– I mogę spytać, co to ma wspólnego ze zbrodnią popełnioną w zupełnie innym miejscu przez osoby, które nie mają z nami nic wspólnego?

– Widzi pan – wyjaśnił pokornie Teodori – bardzo by nam pomogła możliwość zrekonstruowania całego dnia tej dziewczyny. Jeśli ktoś ją widział...

– O której godzinie przyjechała tutaj w niedzielę? – zapytał krótko hrabia.

Nie był nieuprzejmy, ale każdym gestem podkreślał, że bez powodu marnujemy jego czas i że to on zadecyduje, kiedy nastąpi koniec tej rozmowy.

– Karta zegarowa została podbita o jedenastej. Wcześniej Elisa była na mszy z rodzicami, potem przyjechała do pracy komunikacją publiczną.

– Mnie już wtedy nie było. Miałem spotkanie z moją grupą parlamentarną w hotelu Camilluccia, pięć minut drogi stąd. Byłem tam od dziesiątej trzydzieści rano i wróciłem dopiero po piątej po południu. Spotkałem wtedy komisarza Balistreriego, który rozmawiał z dozorczynią. Potem wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i ponownie wyjechałem z żoną i synem około szóstej piętnaście. Wydaje mi się, że pan, *dottor* Balistreri, wychodził właśnie z kardynałem Alessandriniem i panem Dioguardim.

Przytaknąłem.

Hrabia kontynuował:

– Udałem się do ministra spraw wewnętrznych na krótkie spotkanie umówione już jakiś czas temu. Wróciłem do domu chwilę przed rozpoczęciem meczu, gościłem na kolacji wielu ważnych przedstawicieli mojej partii. Wracając, spotkałem kardynała Alessandriniego, on również skądś wracał. Goście już na mnie czekali. Obejrzeliśmy mecz, a potem skromnie, przy kieliszku szampana, świętowaliśmy zwycięstwo na tarasie.

Teodori patrzył na mnie niepewnie, nie wiedział, jak to pociągnąć. Z jego punktu widzenia mogliśmy już sobie iść.

Przybrałem ton możliwie najgrzeczniejszy.

– Pańska żona i syn pojechali z panem do ministra?

To pytanie oznaczało zmianę w rozmowie. Hrabia rzucił mi krótkie spojrzenie, potem zwrócił się do Teodoriego:

– Rozumiem, że chcecie wiedzieć, czy ktoś z nas widział tutaj dziewczynę.

– Tutaj, a także gdzie indziej – powiedziałem, nie dając Teodoriemu czasu na odpowiedź.

Tym razem wzrok hrabiego wrócił do mnie i już tam pozostał. Nie wyczytałem w nim zakłopotania czy strachu, był nawet lekki przebłysk szacunku.

– Sądzi pan, że ktoś z mojej rodziny mógł mieć umówione spotkanie z tą dziewczyną?

W domyśle chodziło mu o nieprzekraczalną przepaść społeczną pomiędzy rodem dei Banchi di Aglieno a rodziną Elisy Sordi i jej podobnymi.

– Niekoniecznie umówione, może tylko przypadkowe. Oczywiście tylko wtedy, jeśli nie byli z panem u ministra.

Uśmiechnął się.

– Nie. Co prawda minister często jest moim gościem, ale to było tylko krótkie robocze spotkanie. Zostawiłem Ullę, moją żonę, w centrum, niedaleko ministerstwa. Sklepy w tej okolicy były otwarte i chciała się przejść. Do domu wróciła sama taksówką.

– A pana syn?

– Manfredi wyjechał motocyklem. Jechał trochę poćwiczyć z ciężarkami, chodzi na siłownię, jedną z nielicznych, które są otwarte w niedzielę po południu. Wrócił do domu parę minut po mnie, jeszcze przed meczem.

Dotarliśmy do punktu krytycznego.

– Będziemy musieli porozmawiać także z pańską żoną i z synem – powiedziałem.

Nastąpiło długie milczenie. Miałem wrażenie, że hrabia waży w myślach wszystkie za i przeciw. Próbując oszczędzić swojej rodzinie tej rozmowy, postawiłby w niekomfortowej sytuacji ministra, na którego naciskał Watykan, a to oznaczałoby zaciągnięcie niewygodnego politycznego długu. Uznał, że cena jest za wysoka.

– Dobrze, ale muszę panów uprzedzić, że moja żona bardzo przeżyła to wydarzenie,

a mój syn, jak pewnie wiecie, to chłopak z pewnymi problemami i trzeba z nim postępować bardzo ostrożnie.

– Bez wątpienia, bez wątpienia, panie hrabio – powiedział Teodori z wdzięcznością. – Nie zajmujemy im więcej czasu niż panu.

– W takim razie zaprowadzę was na górę, oboje są w domu.

Część mieszkalna na trzecim piętrze była tyleż przestronna co ponura. Ciemny parkiet, ciężkie zasłony, stare meble. Długi korytarz prowadził do dwóch salonów w amfiladzie. Ściany pierwszego pokryte były arrasami przedstawiającymi bitwy we włoskich koloniach i trofeami z polowań na grubego zwierza w Afryce i Ameryce Południowej. Drugi był muzeum osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych mebli połączonych z całkiem współczesnymi kanapami z czarnej skóry. Uderzył mnie kompletny brak luster i jakichkolwiek połyskliwych powierzchni.

Hrabia zostawił nas w drugim salonie, zaś jego sekretarz poszedł poszukać żony. Ulla pojawiła się natychmiast, jakby już była powiadomiona. Miała na sobie elegancki strój sportowy. Włosy zebrane w koński ogon odejmowały jej lat, ale drobne zmarszczki wokół ust i wspaniałych błękitnozielonych oczu wskazywały, że przekroczyła już trzydziestkę i że jej życie nie jest pozbawione napięć. Zostaliśmy sobie przedstawieni, nie nawiązała jednak do naszego krótkiego spotkania przy basenie.

Nie miała wiele do powiedzenia. W niedzielę rano wyszła do kościoła na mszę. Odnotowałem lekki grymas dezaprobaty na twarzy hrabiego. Wróciła do domu około jedenastej i zauważyła Elisę, tę piękną dziewczynę, którą widywała już wcześniej – rozmawiała z Giną Giansanti, zanim poszła do pracy.

– Potem nie wychodziłam już z domu, długo spałam, ponieważ byłam zmęczona, a wiedziałam, że wieczorem będziemy mieli gości. Kiedy mąż wrócił około piątej trzydzieści, wydałam instrukcje kucharce i wyszłam razem z nim, chciałam się przespacerować. Zostawił mnie na początku via del Corso, chyba o szóstej trzydzieści albo niewiele później.

– Spotkała pani może tę dziewczynę podczas spaceru po centrum? – zapytał Teodori.

– Nie, skądże.

– A kupiła pani coś? – zapytałem.

Spojrzała na mnie nieco zdziwiona, jakby usilnie starała się sobie przypomnieć.

– Nie, nic. Wzięłam taksówkę z piazza Venezia i byłam tu z powrotem około ósmej piętnaście, parę minut po mężu.

– Manfredi już wrócił? – drążyłem.

– Manfredi wrócił zaraz potem, koło ósmej dwadzieścia. Kiedy jedzie na siłownię, zostaje tam co najmniej godzinę.

Kiedy tylko Manfredi wszedł do salonu, stało się jasne, dlaczego nie przepada za towarzystwem obcych ani nie lubi luster. Gdyby zapomnieć o jego twarzy, sprawiałby

wrażenie normalnego chłopaka. Mojego wzrostu, wysportowany, z dobrze rozwiniętymi, choć bez przesady, mięśniami piersiowymi i bicepsami. Jednak od szyi w górę był jednym wielkim nieszczęściem, okrutnym żartem losu. Twarz deformowała mu zajęcza warga, wielki jak brzoskwinia purpurowy naczynek i opuchnięta lewa powieka. Czarne proste włosy opadały mu na plecy. Zaczesał je w taki sposób, by przykrywały zniekształconą część twarzy. Jedyne widoczne oko było piękne, miało kolor morza, taki sam jak u matki.

– Policjant, który robi miny – skarcił mnie prosto z mostu. Miał gardłowy głos, typowy dla chłopaka, w którym buzują hormony. Z pewnością nie nauczył się jeszcze od ojca sztuki rządzenia, ale bez wątpienia miał w charakterze solidną dozę agresywności.

– Manfredi, *dottor* Teodori i *dottor* Balistreri muszą zadać ci parę pytań – powiedział hrabia.

Chłopak nie odpowiedział, czekał. Wyczuwałem w powietrzu coś, co dobrze znałem, pozorny spokój kogoś, kto siłą powstrzymuje gniew przed wybuchem. Ćwiczenie, w którym ja osiągnąłem mistrzostwo.

Patrzyłem na tego wysportowanego chłopaka ze zdeformowaną twarzą i zastanawiałem się, jakie myśli przebiegają mu codziennie przez głowę. By zaakceptował siebie, nie wystarczyło zdjąć wszystkie lustra, należało też pewnie wyeliminować negatywne reakcje innych ludzi. Jakieś zbyt wścibskie spojrzenie, głupi śmieszek dziewczyny. Dojrzewała już we mnie jakaś opinia. Przebiegła mi tylko przez myśl wątpliwość, czy to faktycznie tylko opinia, czy też może uprzedzenie. Jednak doświadczenie nauczyło mnie wierzyć własnemu instyktowi.

– Bardzo by nam pomogło, gdyby powiedział nam pan, czy widział Elisę Sordi w niedzielę – zaczął Teodori.

Nie podobał mi się ten początek, ale powstrzymałem się od reakcji.

– Widziałem ją z tarasu przez lornetkę – odparł Manfredi bez chwili wahania.

– Przez lornetkę? – Teodori był nieco zaskoczony.

– Prezent od ojca, wojskowa lornetka jeszcze królewskiej Włoskiej Marynarki Wojennej.

– I w niedzielę widział pan Elisę Sordi przez lornetkę z tarasu?

– Tak, trzykrotnie. Koło jedenastej, kiedy przyjechała, widziałem, jak rozmawia krótko z panią Giną i wita się z moją matką. Potem widziałem, jak wychodzi około pierwszej i wraca około drugiej.

– Była sama?

– Kiedy wychodziła, tak. Kiedy wracała, był z nią ten chłopak, który pracuje dla mojego ojca przy komputerze.

– Kłócili się? – zapytał z nadzieją Teodori.

Manfredi na moment odgarnął włosy opadające na lewą połowę twarzy.

Pomyślałem, że chce lepiej przypatrzeć się idiocie, którego ma przed sobą.

– Widziałem, choć nie słyszałem. Chłopak gestykułował, ale nie potrafię powiedzieć, czy się kłócili.

– Jak była ubrana dziewczyna? – zapytałem zniechęcony.

Zobaczyłem, że cień przemknął przez twarz hrabiego, który nie mógł jednak zabronić tego pytania.

Manfredi nie zaszczycił mnie nawet przelotnym spojrzeniem.

– Dżinsy, biała bluzka bez rękawów, sportowe buty.

– Miała biustonosz?

Nie potrzebowałem patrzeć na hrabiego, by odczuć jego wrogość. Zauważyłem, że Ulla z zaniepokojeniem spogląda na syna. Manfredi nie zmieszał się ani trochę.

– Tak, pamiętam, że ramiączka wychodziły jej spod bluzki.

Tak jak myślałem, doskonały obserwator.

– Można wiedzieć, jaki ma cel to pytanie? – wtrącił się hrabia.

– Nie znaleźliśmy ubrań dziewczyny na miejscu zbrodni. Dla nas ważny jest każdy szczegół, łącznie z tym, czy nosiła bieliznę.

Manfredi spojrzał na mnie wyzywająco.

– Oczywiście nie jestem w stanie panu powiedzieć, czy włożyła majtki. – W głosie nie było śladu ironii, chciał mi się tylko zrewanżować za moje prowokacje z placu.

– Manfredi! – wykrzyknęła Ulla.

– Manfredi – dołączył hrabia – w tych okolicznościach żarty są nie na miejscu.

– Wybaczcie – odpowiedział z powagą. – Chciałem tylko pomóc policji.

– Wróćmy do niedzieli – odezwał się ostrożnie Teodori. – Nie widział pan dziewczyny z bliska?

– Nie, zaraz po obiedzie zamknąłem się w pokoju, żeby odpocząć, włączyłem klimatyzację. Spałem. Wstałem dopiero, kiedy wrócił mój ojciec, przed szóstą, potem wyszliśmy razem około szóstej trzydzieści.

– Pojechał pan na siłownię i oczywiście nie widział dziewczyny – zasugerował pokornie Teodori.

– Nie widziałem. Wróciłem do domu na mecz, który oglądałem w swoim pokoju.

– Sam? – zapytał Teodori.

– Nie przepadam za licznym towarzystwem, w salonie było dużo ludzi.

– A po meczu wyszedł pan świętować? – ciągnął Teodori.

– Przecież powiedziałem, że nie przepadam za tłokiem – odpowiedział pogardliwie chłopak.

– Ile osób było na siłowni? – zapytałem. Dostrzegłem zaniepokojoną twarz Teodoriego, natomiast hrabia zachowywał całkowity spokój.

– Tylko mój trener osobisty.

– Miał pan z nim umówione spotkanie?

– Nie ma takiej potrzeby. Przyjeżdżam w każdą niedzielę, trening mam od osiemnastej czterdzieści pięć do dziewiętnastej czterdzieści pięć. Wtedy na siłowni nikogo nie ma.

– No tak, nie przepada pan za tłokiem – skomentowałem. To było z mojej strony okrutne i niepotrzebne, wiedziałem to doskonale.

Chłopak nie odpowiedział. Wpatrywał się we mnie z miną twardziela, co w połączeniu ze zdeformowaną wargą i ukrytym za kosmykiem włosów purpurowym znamieniem sprawiało, że wyglądał groteskowo. Najwyższy czas, by zacząć działać. Czułem, że Teodori nie może już usiedzieć na miejscu. Chciał stąd wyjść, według niego nie było już o co pytać.

Zwróciłem się do hrabiego:

– Wiem, że pański syn miał sposobność spotkać się osobiście z Elisą Sordi jeszcze przed niedzielą jedenastego, i muszę go spytać, czy dowiedział się czegoś użytecznego dla śledztwa. Dla młodzieży są to sprawy wymagające dyskrecji, dlatego chciałbym porozmawiać z Manfredim na osobności, bez rodziców.

Teodori zbladł. Patrzył na mnie tak przerażonym wzrokiem, jakbyśmy znajdowali się na jednym z tonących okrętów, które przedstawiało wiszące wprost przed nami malowidło.

– To rutynowe pytania – wyjaśniłem łagodnie – ale nie możemy od nich odstąpić, zwłaszcza jeśli pański syn potwierdzi, że przynajmniej raz rozmawiał z dziewczyną w cztery oczy w jej biurze.

Hrabia spojrział z zaskoczeniem na Manfrediego. Ton jego głosu był lodowaty.

– W jej biurze? – powtórzył, lecz pytanie było zwrócone do syna.

W jego głosie zabrzmiał nie tyle strach, ile zaskoczenie i wzdrganie. Jego syn, przyszły hrabia dei Banchi di Aglieno, spotyka się z kurewką z przedmieścia. Gdybym powiedział, że Manfredi zaciągnął dziewczynę nad Tyber, pobił, torturował, udusił i wrzucił do rzeki, uznałby to za rzecz bardziej godną szacunku niż tracenie czasu na pogawędki z latawicą.

Manfredi popatrzył na ojca, potem na matkę. Wstał.

– Chodźmy do mojego pokoju – powiedział, nadal pozując na twardziela.

Całkowicie zszokowany Teodori niepewnie ruszył za nami w głąb pogrążonego w mroku korytarza.

Pokój Manfrediego znajdował się na samym końcu. Był niezbyt wielki, z pomalowanym na ciemnoniebiesko sufitem i ścianami całkowicie pokrytymi plakatami heavymetalowych kapel, zwłaszcza odmian black i trash: Iron Maiden, Judas Priest, Motörhead, Venom. Tytuły płyt: *Killers*, *Sin After Sin*, *Overkill*, *Welcome to Hell*. Nikt na tych plakatach nie występował z odsłoniętą twarzą, ludzie byli albo zamaskowani, albo ustawieni tyłem do patrzącego bądź też przedstawione postaci nie miały ludzkich kształtów. Wisiała tam jeszcze zupełnie niepasująca do reszty fotografia

klasowa z liceum, ale szybko zrozumiałem dlaczego. Manfredi schował się za nauczycielem, widać było tylko jego wysportowaną sylwetkę i zdrową część twarzy. Poza tym żadnej zwierciadlanej powierzchni, szyby okien matowe. Niewielkie drzwi prowadziły do prywatnej łazienki. Światło z zewnątrz wpadało przez jedyne okno zakryte ciężką zasłoną.

Było też dużo książek, nawet bardzo dużo jak na chłopaka, i ewidentnie wyglądały na przeczytane. Historia, filozofia, sztuka, zbiory rycin poświęconych budowlom starożytnego Rzymu. Dostrzegłem *Mein Kampf* i *Poza dobrem i złem* Nietzschego. Ostatni raz widziałem te książki w moim pokoju w Trypolisie. Na ścianie, wypisane czarnym flamastrem niewyrobiającą jeszcze gniewną ręką nastolatka, widniało zdanie, które sam doskonale pamiętałem: *Wielkie epoki naszego życia leżą tam, gdzie zdobywamy się na odwagę, by przechrzcić nasze zło w to, co dla nas najlepsze*⁷.

Manfredi oparł się o ścianę jak najdalej od nas. Potem zwrócił się wprost do mnie:

– No więc co jeszcze chce pan wiedzieć?

– Tylko to, czy i kiedy rozmawiał pan z tą dziewczyną przed niedzielą jedenastego – wtrącił Teodori łagodnym tonem.

– Pewnie, że rozmawiałem, tak jak wszyscy młodzi, którzy tu się kręcą. Nawet ten młody ksiądz z rudymi włosami z nią rozmawiał. A może uważacie, że mam mniejsze prawo niż ksiądz, by pogwarzyć z piękną dziewczyną?

Przerażony reakcją chłopaka Teodori wydukał coś niezrozumiałego. Musiał się już naprawdę poczuć bohaterem sceny z obrazu eksponowanego na ścianie salonu, człowiekiem stojącym na pokładzie tonącego okrętu.

– Ma pan takie samo prawo jak wszyscy inni – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Co do nadziei na coś więcej, cóż, to już inna sprawa.

Widziałem, jak napinają mu się mięśnie. Nie spuszczałem z oka jego otwartych dłoni. Na jednej ze ścian wisiały plakaty z filmów o wschodnich sztukach walki i nie miałem wątpliwości, że chłopak ma na ten temat nie tylko teoretyczną wiedzę.

Spokojnym głosem opowiedział, jak poznał Elisę Sordi. Wiedział, o której godzinie przyjeżdżała do pracy. Tego dnia padał ulewny deszcz, przez lornetkę zobaczył, że dziewczyna idzie bez parasola. To samo Elisa opowiadała Valeriowi Bonie.

– I o czym rozmawialiście?

– Pytała mnie, gdzie się uczę i czego, odpowiedziałem, że jestem w prywatnym liceum o profilu klasycznym. Parę słów, spieszyła się do pracy.

– W sobotę cztery tygodnie temu poszedł pan odwiedzić ją w pracy.

– Powiedziała mi, że miło jej będzie, jeśli ją odwiedzę.

Najnormalniejszy na świecie ton głosu. Jakby taka bogini jak Elisa Sordi mogła się zainteresować tym potworem. Może chłopak myślał, że jego status rodzinny daje mu jakieś szczególne prawo do plebejki, której pozwolono przebywać w tym rajskim zakątku. Coś w rodzaju uwspółcześnionego prawa pierwszej nocy.

– Chce pan powiedzieć, że Elisa Sordi miała ochotę na pańskie towarzystwo?

W intonacji głosu zmieściłem możliwie największą ironię i niedowierzenie, na jakie mnie było stać. Długo na mnie patrzył. Jedyнным dźwiękiem słyszalnym w pokoju był niespokojny oddech Teodoriego. Ten chłopak będzie mnie już zawsze nienawidził niezależnie od tego, czy okaże się winny, czy nie.

– Właśnie tak. Jeśli mi pan nie wierzy, to już pański problem.

– No dobrze. A o czym rozmawialiście?

Uśmiechnął się, co uczyniło jego maskę jeszcze bardziej groteskową.

– O uczuciach czystych i o fałszywych. W gruncie rzeczy rozmawialiśmy o miłości.

Ten potworek wciskał mi taki kit, jakbym był jakimś przedszkolakiem.

– Rozmawialiście o miłości? Proszę mówić konkretniej, to ważne. Kto mówił o czym?

– Elisa była smutna, zatroskana. Sądzę, że miała jakieś kłopoty z tym chłopakiem, który się koło niej kręcił.

– Powiedziała to panu wprost? – zapytał z nadzieją Teodori.

– Niezupełnie. Ale zwróciła uwagę na to, że w miłości naleganie na niemożliwe przynosi jedynie nieszczęście.

Wróciłem myślą do wyników autopsji. „Ślady aborcji przeprowadzonej w ciągu ostatnich dwóch tygodni”. Stosunek jakiś czas wcześniej, spóźniający się okres, test ciążowy, aborcja. Rozmowa z Manfredim prawdopodobnie odbyła się już wtedy, kiedy odkryła, że jest w ciąży, na kilka dni przed aborcją.

– Uprawiał pan seks z Elisą Sordi? – zapytałem wprost raczej po to, by zbić go z tropu.

O dziwo, zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Wydawało mi się, że wyklucza pan taką możliwość – odpowiedział ironicznie.

– Zawsze mógł ją pan zgwałcić – odparłem brutalnie.

Teodori nie wytrzymał.

– Dość tego, *dottor* Balistreri! Nie będę tolerował takich metod. – Potem, by udowodnić swoją neutralność, zwrócił się do Manfrediego: – Proszę zignorować ten komentarz. Ale niech pan odpowie na pytanie.

– Nie – zaproponował Manfredi – nie muszę i nie chcę tego robić, ponieważ to nie ja zabiłem Elisę Sordi. Ktokolwiek to zrobił, jest osobą szczęśliwszą ode mnie.

Czy to ostatnie niejasne zdanie odnosiło się tylko do jego twarzy? W tej chwili nie dało się tego ustalić. Pożegnaliśmy się przy licznych przeprosinach ze strony Teodoriego. Hrabia i Ulla nie pojawili się nawet. Osobisty sekretarz hrabiego odprowadził nas do drzwi z miną wykidajły, który pozbywa się wstawionego klienta.

W drodze powrotnej do sekcji zabójstw prowadziłem ja. Milczeliśmy. Potem

zobaczyłem kątem oka, że spod ciemnych okularów Teodoriego bezgłośnie spływają łzy.

– Co się dzieje? – zapytałem. Byłem przyzwyczajony do kobiecego płaczu, nawet już przestał na mnie robić wrażenie. Ale irytował mnie widok łez u dorosłego mężczyzny.

– Służę w policji od ponad trzydziestu lat, Balistreri. I teraz, z sześćdziesiątką na karku, upokarzają mnie śledztwem, w którym mam związane ręce, a smarkacz taki jak pan robi ze mnie tchórza i darmozjada.

W jego słowach dźwięczał gniew i upokorzenie. W jednej chwili uświadomiłem sobie ból tego przeciętnego, upokorzonego przez życie, ale dobrego i uczciwego człowieka.

– Niech pan będzie spokojny, nic nikomu nie powiem, a Coccoluto pomoże pana córce...

– O tak, Coccoluto jej pomoże, ale pod warunkiem, że ja w tym śledztwie będę patrzył wszędzie, tylko nie tam gdzie trzeba – powiedział gorzko.

A więc i on zaczął mieć wątpliwości, odkąd zobaczył Manfrediego, jego twarz, muskuły, pokój z pełnymi agresji plakatami i egzemplarzem *Mein Kampf*, odkąd dowiedział się o jego słodkich pogawędkach z Elisą.

– Ceną do zapłacenia będzie ciężar na sumieniu, jeśli chce pan, by Coccoluto wymyślił nieistniejącego dilerka po to, by uchronić pańską córkę od zarzutu umyślnego zabójstwa...

– Istniejącego, kurwa mać! – wybuchnął. – Claudia wyjawiała mi nawet jego nazwisko, ale przyrzekłem jej, że nie podam go policji, bo ona się go boi jak diabła, a ja boję się o nią. Ten gość ma związki z bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

Popatrzyłem na niego bez słowa. Żółte łzy. Tylko z powodu dzieci tak się cierpi. Pomyślałem o swoim ojcu, o tym, co wycierpiał z mojego powodu. A także o tym, co ja wycierpiałem przez niego. I o rodzicach Elisy Sordi, którzy czekali na sprawiedliwość. Byłem bezdusznym gnojkiem, ale akurat ten problem potrafiłem rozwiązać. Miałem gdzieś groźnego dilerka, z gorszymi rzeczami miałem do czynienia. I zrobiło mi się żal tego ojca o żółtych oczach.

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Teodori, niech mi pan powie, jak się nazywa ten diler, ja nie jestem policją.

Po rozmowie z Teodorim skorzystałem z pośrednictwa dawnego kolegi ze służb i zasięgnąłem informacji. Marco Fratini, diler, który naćpał Claudię Teodori, był płótką. Urodzony w dobrej rodzinie bogatych przedstawicieli klasy średniej, eksternistyczny student prywatnego katolickiego uniwersytetu, przystojny. Klasyczne ciacho z dobrej dzielnicy, które kręci się po dyskotekach. Tyle że pewnego dnia, po którymś z kolei opuszczonym egzaminie, ojciec się wściekł i odciął go od funduszy.

Nasz dzielny chłopak był niezbyt pracowity, ale cwany. Szybko znalazł sobie alternatywne źródło utrzymania. Dzięki dobrej prezencji i licznym znajomościom stał się doskonałym sprzedawcą amfetaminy w najmodniejszych dyskotekach. Szybko się też nauczył, że odpowiednia pigułka rozpuszczona w piwie sprawia, że dziewczyny robią się bardziej chętne.

Mogłem z łatwością go przyskrzynić i siłą wymusić na nim wyznanie prawdy. Jedynym rzeczywistym niebezpieczeństwem była banda zaopatrująca go w towar. Pozbawienie ich ważnego kanału sprzedaży w celu ratowania Claudii Teodori mogło oznaczać poważne kłopoty dla dziewczyny. Potrzebny był plan.

– Vanessa, kiedy już będziesz w samochodzie, nie może ci to zająć więcej niż minutę. Nie chcę, żebyś ryzykowała.

Roześmiała się.

– Ryzykować, to tylko on ryzykuje. Ale wytłumacz mi, komisarzu, co dokładnie ma mi zająć minutę?

Mówiąc to, przesunęła mi paznokciami po nodze od kolana aż po pachwinę. Ze śmiechem zabrałem jej rękę.

– To, co się da. Wszystko, co ci się uda mu zrobić w ciągu minuty.

Spojrzała na mnie psotnie.

– Wiesz, komisarzu, przez lata miałam nudnego chłopaka. Szczególnie w łóżku. I nauczyłam się paru szybkich sztuczek. Może ci je wyjaśnię i wybierzesz odpowiednie menu dla tego gnojka?

– W tych sprawach nie lubię teoretyzować. W każdym razie bądź ostrożna.

Dyskoteka Striscia di Mare w Ostii była pełna po brzegi młodzieży z całego Rzymu i okolic tańczącej w rytm melodii *Physical* Olivii Newton-John. Pojawiłem się tam około północy z trzema zaufanymi kolegami w cywilu, wybranymi zgodnie z kryterium: mięśniak i zakazana mordą. Przedostaliśmy się przez gąszcz skuterów i motocykli zaparkowanych byle jak przed wejściem. Uprzedzony bramkarz wpuścił nas bez kolejki przy pomrukach niezadowolenia i złorzeczeniu czekających.

Na kawałku plaży falował ocean podnieconych ciał. Mężczyźni z nagim torsem, kobiety w większości w szortach i topach lub gorzej od bikini. Było tam mnóstwo pięknych dziewczyn, ale Vanessa i tak się wyróżniała. Skórzane czarne szorty podkreślały jej wspaniałe nogi, jako jedyna naciągnęła wysokie kozaki. Czarny obcisły top i jędrne, wysportowane ramiona. Całości dopełniały pierścionki na palcach i czarne długie paznokcie. Stylizacja była zgodna z moją sugestią.

Fratini zwrócił uwagę na Vanessę natychmiast, gdy weszła na piasek, i wodził za nią wzrokiem, kiedy tańczyła samotnie, pijąc piwo wprost z butelki. Bardzo obiecująca sytuacja. Mała dawka prochów, które dostawał na własne potrzeby, powinna

wystarczyć, żeby zmiękczyć niunię.

Wystartował do niej z najlepszym ze swoich uśmiechów, kiedy kupowała kolejną butelkę piwa przy barze.

– Płacę każde pieniądze za taniec na osobności – powiedział, opierając się o bar obok niej.

Vanessa popatrzyła na niego i zaczęła się śmiać.

– Kto wie... ale najpierw zobaczmy, jak sobie radzisz wśród ludzi.

Tańczyli niemal pół godziny, w końcu udało mu się wrzucić jej do piwa dwie żółte pigułki. Siedziałem po drugiej stronie baru, dałem jej znać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Już po kilku minutach zachowanie dziewczyny zmieniło się tak, jak tego oczekiwał Fratini. Zero zahamowań, uległa, wyuzdana. Kiedy zaproponował jej wyjście na zewnątrz, zgodziła się natychmiast.

Wyszli na ciemny parking, powietrze orzeźwiała lekka bryza znad morza. Fratini był już mocno nakręcony. Sam nie brał żółtej pigułki, ten syf sprawiał, że człowiek przestawał się kontrolować, tak jak ta głupia Claudia Teodori, która najpierw dała się przelecieć, a potem walnęła w drzewo.

Jak zawsze zaparkował samochód na uboczu. Otworzył tylne drzwi swojego bmw z białą skórzaną tapicerką.

– Wejdz – polecił.

Vanessa roześmiała się lubieżnie.

– Ty się kładź – powiedziała mu porozumiewawczym tonem i popchnęła go na fotel, wpychając się między jego kolana.

Fratini się roześmiał i próbował rozpiąć jej szorty, ale przesunęła mu palcami po nodze, od kolana aż do pachwiny.

– Najpierw ja muszę cię przebadać – powiedziała wiele obiecującym tonem.

Ściągnęła mu dzinsy i slipy i przeszła do rzeczy. Dziesięć czarnych paznokci było niczym źródło nieprzerwanej rozkoszy.

– Kurwa, o kurwa, ale jestem napalony – jęczał Fratini.

Doszedł w mniej niż pół minuty. Zaraz potem Vanessa zaczęła jęczeć, nachyliła się i zwymiotowała na niego. Cofnął się, patrząc z przerażeniem na swój członek pokryty mieszaniną spermy i wymiocin, która rozlewała się na białe skórzane siedzenia. Dziewczyna osunęła się na ziemię, rżąc, z kącika ust płynęła jej piana. Chwilę później Fratini poczuł, jak otwierają się drzwi za jego plecami i dwie stalowe dłonie chwytają go pod pachy, po czym wyciągają z samochodu. Dostał potężnego kuksańca, zaplątał się w swoje opuszczone dzinsy i wylądował na asfalcie.

Z przerażeniem odkrył, że stoję nad nim w towarzystwie trzech typów spod ciemnej gwiazdy. Drżącymi rękami starał się podciągnąć dzinsy, ale wystarczyło kolejne szturchnięcie jednego z moich kolegów, by znów wylądował na ziemi.

Pochyliłem się nad Vanessą, która puściła do mnie oko.

– Dziewczyna źle wygląda – powiedziałem grobowym tonem – ale nie wzywamy karetki. Jak szef się dowie, zajebie nas. Weźcie ją do samochodu. Trzeba jej zrobić solidne płukanie żołądka.

– A co będzie, jak sama powie ojcu? – wygłosił swoją kwestię jeden z moich kolegów.

– Nie powie. Potem z nią pogadam. Będzie siedzieć cicho. Jak nie, ojciec zleje najpierw ją, potem nas, a na końcu obetnie jaja temu gnojkwowi i każe mu je zjeść.

Zdruzgotany Fratini, leżący wciąż z opuszczonymi gaciami na asfalcie, zaczął szlochać. Jeden z kolegów niósł Vanessę do innego samochodu.

– Kim wy jesteście? – wyjąkał Fratini.

Spojrzałem na niego ze współczuciem.

– Naszprycowałeś i zgwałciłeś jedyną, do tego nieletnią córkę jednego z bossów Magliany⁸. Mieliśmy ją mieć na oku, ale związała nam i spotkała takiego chujka jak ty.

Marco Fratini chyba już widział się w grobie. Zawsze miał pecha, a teraz na dodatek nafaszerował prochami córkę niebezpiecznego kryminalisty, i to nieletnią. On, student z dobrego domu. Rozszarpia go na strzępy.

– Nic jej nie zrobiłem – wyskomlał.

Brutalnie zdarłem mu dzinsy z kostek i z ich kieszeni wyciągnąłem żółte pigułki. Zaczął rozpaczliwie szlochać.

– No to jesteś po uszy w gównie. Nawet jeśli wszystko wyciszymy, ta głupia cipa i tak robi, co będzie chciała. A jak jej się facet podoba, sama go znajdzie.

– Ale ja zniknę, wyjadę, przysięgam. – Klęknął i zaczął podciągać gacie.

– Za chuj nie będziemy ryzykować, co nie, chłopaki? – zwróciłem się do dwóch mięśniaków obok mnie.

– Jak go zatłuczemy tutaj – zaproponował jeden – pomyślą, że to była zwyczajna bójka przed lokalem.

– I będziemy go mieli z głowy na zawsze – dodał drugi z absolutnym spokojem.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem, pokazując kastet, który wyciągnąłem z kieszeni. – My ludzie prości. Jedyne wyjście, jakie mamy, to posłać cię do piachu albo do pierdła. A skoro do pierdła nie mamy jak cię posłać, zostaje cmentarz.

Fratiniemu puściły zwieracze, płakał i drżał jak liść na wietrze.

Potem jak w szkole podniósł palec.

– Może mógłbym... – wymamrotał.

Opowiedział ze szczegółami, jak nafaszerował narkotykami Claudię Teodori, i o późniejszym wypadku. Zginęła dziewczyna. Gdyby się przyznał, że wrzucił jej potajemnie amfetaminę do drinka, dostałby dobrych parę lat. Nie będzie prosił o uwzględnienie okoliczności łagodzących.

Skonsultowałem się z kolegami. Uświadomiliśmy mu, że mamy dobre wtyki

w policji i jeżeli nas okłamię, znajdziemy go i najpierw wykastrujemy, a potem nakarmimy nim ryby. Dziękował nam ze łzami w oczach, kiedy wysadzaliśmy go przed komisariatem w Ostii.

Niedługo potem, gdy Fratini składał szczegółowe zeznanie o tym, jak wrzucił amfę do drinka Claudii Teodori, siedziałem z Vanessą na pokładzie jachtu zacumowanego w porcie w Ostii. Należał do jakiegoś jej bogatego wuja czy stryja, szczegółów nie podała.

Nocny wiatr od morza przyniósł wreszcie nieco ulgi od duszącego upału. Siedzieliśmy w kokpicie i sączyliśmy lodowate piwo.

– Co było najtrudniejsze? – zapytałem.

Roześmiała się, teraz już naprawdę była trochę wstawiona.

– Połknąć tę twoją tabletkę na wymioty. Kurwa, Michele, to naprawdę był straszny syf.

– Bez mojej pigułki musiałabyś połknąć coś znacznie gorszego.

– Znasz się na węzłach? Na jachcie to wiedza konieczna...

Podeszła do mnie z liną w ręku, okręciła mi nią nadgarstki, błyskawicznie zawiązała, a drugi koniec przytwierdziła do rumpla.

– Dobrze – powiedziała, siadając. – Dzięki temu nie wpadniesz mi do morza.

Zdjęła jeden kozaczek. Również palce u nóg miała pomalowane na czarno. Wyciągnęła nogę i umieściła stopę dokładnie tam, gdzie chciała.

Wtorek, 20 lipca 1982

Teodori był mniej blady, nie tak opuchnięty i miał nieco mniej niż zwykle zażółcone białka oczu. Ogolił się, dobrał do marynarki odpowiedni krawat i koszulę. Promieniał energią, optymizmem, skutecznością. Wytapetował sobie pokój fotografiami zwłok Elisy Sordi, sprawozdaniem z autopsji i – niespodzianka nad niespodziankami – możliwymi alibi nie tylko Valeria Bony, ale również mieszkańców posesji przy via della Camilluccia.

– Sprawdziliśmy wszystkich – powiedział mi z entuzjazmem. – Jedyne Valerio Bona nie ma alibi na popołudnie, potem, po ósmej, był w domu, ma na to świadków, choć przy szaleństwie, jakie wtedy trwało, nie można mieć stuprocentowej pewności.

– Ksiądz Paul?

– Wolontariusz, Antonio Orlandi, potwierdził wszystko.

– A Manfredi?

– To samo. Jego trener osobisty w siłowni Top Top nazywa się Jan Deniak. Polak od lat mieszkający w Rzymie. Potwierdza, że Manfredi był w siłowni od za piętnaście siódma do za piętnaście ósma i ćwiczył pod jego okiem na urządzeniach.

Zacny Teodori sprawdził również dyskretnie wszystkie ruchy hrabiego Tommasa, najpierw na zebraniu partyjnym, potem u ministra spraw wewnętrznych. Wszystko potwierdzone. Nie było natomiast nikogo, kto by widział panią Ullę na zakupach. Począwszy od ósmej piętnaście, oboje byli w domu i przyjmowali gości. Nie było też żadnej wątpliwości co do Manfrediego. Teodori sprawdził nawet rejestr wejść i wyjść w Watykanie, by potwierdzić wersję kardynała Alessandrinięgo.

Niemal przepaszającym tonem kontynuował:

– Sprawdziliśmy również, że Dioguardi był przez cały czas z narzeczoną, potem o piątej pojechał po pana, a po wyjściu z via della Camilluccia cały czas byliście razem.

I w ten sposób sprawdziłeś również moje alibi!

– A lista połączeń z telefonu w mieszkaniu Sordich?

– Dziewczyna nie miała żadnych umówionych spotkań w niedzielę, więc nie uprzedzała nikogo, że idzie do pracy. Miała spędzić dzień z rodzicami, iść na mszę i wrócić do domu na mecz.

– Dzwoniła gdzieś z biura w sobotę czy niedzielę?

– Tylko w sobotę, by powiedzieć matce i Valeriowi Bonie, że następnego dnia też będzie musiała iść do pracy. W niedzielę żadnego połączenia wychodzącego, jedynie przychodzące od Angela Dioguardiego, od jej matki i od pana, *dottore*, kiedy szukał

pan Dioguardiego, ma się rozumieć.

W tym „ma się rozumieć” nie było cienia ironii. Jeżeli nawet Teodori miał jakieś wątpliwości co do motywów mojego telefonu do Elisy, po aresztowaniu Fratiniego stracił je zupełnie.

Przy pożegnaniu oburącz ścisnął mi dłoń.

– Będę panu wdzięczny do śmierci. Nie śmiem pytać, jak pan to zrobił...

Nie powiedziałem mu, żeby nie dostał zawału. *Corpus delicti*, wyczerpany po burzliwej nocy, siedział tuż obok i stukał w klawisze maszyny do pisania. Tym razem w bardzo skromnym ubraniu, zakrywającym ślady nocnych przygód.

Piątek, 23 lipca 1982

Przez trzy dni nie wydarzyło się nic nowego. Sprawdziliśmy dokładnie wszystkich znajomych z dzielnicy i kolegów ze szkoły Elisy Sordi. Przesłuchania, weryfikacja alibi, billingi telefoniczne. Wynik: zero. Nikt oprócz Valeria Bony nie spotykał się regularnie z Elisą. Nikt – z wyjątkiem Valeria Bony, Dioguardiego i mieszkańców kompleksu przy via della Camilluccia – nie wiedział, że dziewczyna w niedzielę szła do pracy.

Ostatnią osobą, która widziała Elisę Sordi żywą, była dozorczyńca, Gina Giansanti, która wciąż przebywała w Indiach i nie mieliśmy możliwości skontaktowania się z nią. Ale wiedziałem o tych okolicznościach od samej dozorczyńcy, dodatkowo potwierdzał to kardynał Alessandrini, któremu Gina zaniósła wykonaną przez Elisę pracę.

W kwestii aborcji nie znaleźliśmy niczego, jednak gabinetów, które nielegalnie praktykowały sztuczne poronienia, było mnóstwo.

Za to moi informatorzy ze służb dobrze wykorzystali te siedemdziesiąt dwie godziny. Informacje na temat Antonia Orlandiego i Gianniego alias Jana Deniaka okazały się bardzo interesujące: kiedy kopiesz wystarczająco głęboko, zawsze coś znajdziesz.

Antonio Orlandi uczył wuefu w prywatnym gimnazjum. Poszedłem spotkać się z nim w parafii San Valente około siódmej wieczorem, kiedy zaczynał się jego dyżur, korzystając z nieobecności księdza Paula. Akurat grali w piłkę, dziewczyny przeciwko chłopakom, z Orlandim w bramce.

Wciąż jeszcze panował upał, słychać było cykady i ciągle nie nadchodziło wieczorne orzeźwienie. Trawa była nieprzystrzyżona, biały domek, w którym mieszkały dzieci, odrapany, jedyne drzewo tak zabiedzone, że aż bolało. A jednak czuć było pozytywną, wesołą atmosferę. Orlandi dołączył do mnie pod drzewem. Gość pod trzydziestkę, bardzo porządny i czyściutki, wręcz przesadnie elegancki.

– Pańscy koledzy już kilkakrotnie mnie przesłuchiwali. – Nie patrzył na mnie, śledził mecz, jakby to był finał mistrzostw świata.

– Ładne dzieci, nie? – rzuciłem od niechcenia.

– Pewnie – odpowiedział trochę zbyt szybko. – Wszystkie dzieci to anioły.

Odpowiedź jak z katechizmu.

– Lepsi chłopcy czy dziewczynki?

Spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Nie miał pan mnie pytać o to, co robił ksiądz Paul w niedzielę mistrzostw?

– Nie, tym się już zajęli moi koledzy. Ksiądz Paul przyjechał tu przed szóstą, pan zabrał dzieci na grę w poszukiwanie skarbów, a kiedy wróciliście około ósmej, ksiądz

Paul czekał na was z przyrządzoną kolacją. Potem obejrzeście mecz, położyście dzieci spać i koło północy poszłicie do siebie. Dobrze pamiętam?

– Tak, właśnie tak było – odpowiedział już spokojniejszy.

– Panie Orlandi, jak pan znalazł pracę w szkole, w której teraz uczy?

Zapalił papierosa, zrobiłem to samo. Chciał zyskać na czasie, mnie się nie spieszyło.

– Kardynał Alessandrini mi ją wskazał – powiedział w końcu.

To już wiedziałem, interesował mnie tylko jego opór przed przyznaniem się do tego.

– Wcześniej już pan uczył?

– Tylko na siłowni, po studiach na AWF-ie.

– Startował pan w konkursie na nauczyciela w szkole publicznej?

– Nie.

– A to czemu? Wszyscy się o to starają!

Nie odpowiedział. Dręczyłem go celowo.

Na boisku chłopak zaczął się przepychać z dziewczyną. Orlando wstał, żeby ich rozdzielić.

– Niech pan tu zostanie i odpowiada na moje pytania – nakazałem stanowczo. – Te smarki, których nie potraficie wychować, niech sobie same radzą.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Co pan mówi? Te dzieci już dość się w życiu nacierpiały...

Przerwałem mu brutalnie:

– Kiedy miał pan siedemnaście lat, chodził pan do parafii na przedmieściu. I został pan oskarżony o nieprzyzwoite zachowanie w miejscu publicznym w obecności dwunastoletniej dziewczynki. Co tu robi ktoś taki jak pan?

Zachwiał się. Usiadł ciężko na krześle, zakrył twarz dłońmi.

– Nic nie zrobiłem – wyszeptał.

– Nic a nic, kurwa. Policyjny raport stwierdza, że miał pan spuszczone spodnie.

– To był park publiczny, robiłem siku za drzewem, dziewczynka oddaliła się od ciotki i zobaczyła mnie...

– Nie sądzę. Dostał pan pół roku w zawieszeniu. Uniknął pan oskarżenia o uwodzenie nieletnich tylko dlatego, że sam był niepełnoletni i miał dobrego adwokata. Opłaconego przez kurie.

– Nawet jej nie dotknąłem, nic się wtedy nie wydarzyło – mówił cicho, był przerażony.

– Został pan ułaskawiony dzięki kardynałowi Alessandriniemu. Gdyby nie on, nie mógłby pan uczyć i nie byłoby pana na tym miejscu.

– To prawda – wyszeptał. – Ale co to ma wspólnego z księdzem Paulem?

Było to głupie pytanie. Orlandi dał się poznać jako dewiant. Z pewnością był też kretynem. Jeżeli kłamał w sprawie alibi księdza Paula, musiał mieć po temu ważne powody.

Jan Deniak pracował wieczorami jako barman w lokalu na Zatybrzu. Zadzwoiłem do Angela i zaproponowałem, by mi towarzyszył. W ostatnich dniach rzadko się słyszeliśmy i brakowało mi jego towarzystwa. Przyjął zaproszenie, ale czułem, że rana w naszych wzajemnych relacjach wciąż się nie zabiłiła.

Około dziesiątej utknęliśmy na Lungotevere przy piazza Trilussa. Okolice placu szczelnie wypełniał tłum mocno już podpitych ludzi. Nie dało się przejechać. Młodzież miała gdzieś próbujące się przedrzeć samochody, piła piwo na środku ulicy i nawet nie raczyła spojrzeć wokół siebie.

– Daj spokój, Michele. Zaparkujemy gdzieś przy Lungotevere i podejźmy te dwa kroki do baru.

Zatrąbiłem na grupkę blokującą przejazd. Jakaś dziewczyna zapiszczała ze strachu i wypadła jej z ręki butelka piwa. Wysoki chłopak, który jej towarzyszył, odwrócił się i krzyknął do mnie:

– Wsadź se w dupę ten klakson!

Już wyszedłem z samochodu, kiedy do obelg dołączyli się pozostali z grupy. Zwróciłem się do dryblasa:

– Co powiedziałaś?

W moim głosie i spojrzeniu było coś, co sprawiło, że spuścił z tonu.

– Nie, no, ale dlaczego tak ostro?... – powiedział z wahaniem.

Inni zamilkli.

Wyjąłem mu butelkę z ręki i wylałem piwo na ulicę.

– Zabierajcie się z ulicy, ale już – rozkazałem.

Tego mu było za wiele. Udało mi się go sprowokować tak samo jak Valeria Bonę. Zobaczyłem, jak się zamierza, uchyliłem się i wyprowadziłem cios od dołu. Trafiłem dokładnie w splot słoneczny i chłopak zwinął się wpół, desperacko próbując zaczerpnąć oddechu. Poczekałem, aż znów zareaguje, chciałem zrobić mu krzywdę. Czułem w sobie gniew. Silny, zniewalający. Ten młokos nie miał z nim nic wspólnego, ale starałem się, żeby go nie załatwić od razu, chciałem bić dalej. W pewnym momencie poczułem, że Angelo chwyta mnie za rękę.

– Michele, proszę. Zostaw go.

Udręka malująca się na jego twarzy przekonała mnie. Wiedział, skąd się bierze moja agresja. W całkowitej ciszy, nie patrząc za siebie, wróciłem do samochodu i wrzuciłem wsteczny. Chłopak leżał jeszcze na ziemi, próbując złapać oddech. Lungotevere było pełne samochodów, więc zaparkowałem na przejściu dla pieszych. I tak nie płaciłem mandatów. Poza tym byłem na służbie, a nie po to, żeby się opierdalać jak ta zbieranina rozwiązłych szczeniaków. Nowa Italia dobrobytu, Italia lat osiemdziesiątych. Łatwa kasa, solarium, siłownia, dyskoteka. Maryśka dla biednych, koka dla bogatych.

Lokal był mały, tłumek klientów wylewał się na zewnątrz. Piwo, śmiechy,

przejeżdżające skutery, zapach marihuany. Muskularny barman w czarnym podkoszulku to był nasz Jan Deniak. Jeden z tych Polaków, którzy dzięki papieżowi powiedzieli do widzenia temu ich pierdolonemu komunizmowi. Umięśniony, wysportowany facet. Chciałem mu się najpierw przyjrzeć.

– Rozstaliśmy się z Paolą – powiedział nagle Angelo.

To dlatego przyjął moje zaproszenie. Chciał, żebym poczuł się winny? Nie, w Angelu Dioguardim nie było za grosz małostkowości. Ale zdarzyło się coś niewybaczalnego. To znaczy: niewybaczalnego dla kogoś tak wrażliwego jak mój serdeczny przyjaciel, nie dla takiego cynika jak ja. Niewybaczalna była nasza lekkomyślna płycizna tamtego cholernego wieczoru. Tak dalece niewybaczalna, że musiała zniszczyć relację Angela i Paoli.

– A praca? – zapytałem, znając odpowiedź.

– Uprzedziłem kardynała, żeby znalazł jak najszybciej kogoś na moje miejsce. Nie czuję się na siłach ciągnąć tego dalej.

– Gówno prawda, nie jesteś za nic odpowiedzialny, Angelo. – Powiedziałem to z gniewem. Jeśli ktoś tu był lekkomyślny i płytki, to tylko ja. To ja byłem policjantem, nie on.

Bez słowa pokręcił głową. Nie poznawałem go.

Spróbowałem obrócić wszystko w żart.

– Możesz zarabiać śpiewem, ze swoim głosem zapełnisz każdy klub muzyczny na Zatybrzu.

– Nie, pieniądze będę zarabiał, grając w pokera, to mój prawdziwy talent. I zrobię z tych pieniędzy dobry użytek, jeśli mi się uda.

– Chcesz zostać zawodowym graczem?

Nie wątpiłem w jego nadzwyczajne zdolności, ale to było parszywe środowisko, nie widziałem w nim szans dla takiego uczciwego chłopaka jak on.

– Nie zjedzą mnie, Michele, potrafię się bronić, zobaczysz.

– Szkoda, liczyłem na twoją obecność w klubie, łatwiej by było podrywać niunie, a skoro jesteś już wolny, moglibyśmy zaszaleć.

Starąłem się żartować, lecz nie roześmiał się.

Dla Angela Dioguardiego życie z poczuciem winy było czymś bardzo trudnym. Był katolikiem, który wierzył w sąd ostateczny. A ja cynikiem, który nie wierzył już w nic.

Janowi Deniakowi nie spodobała się moja legitymacja. Nikomu się nie podobała, niezależnie od tego, czy miał coś na sumieniu, czy nie. A tym bardziej młodemu obcokrajowcowi w miejscu pracy. Zawiadomił drugiego barmana, że wychodzi na pięć minut, i zaprowadził mnie przez wyjście ewakuacyjne na puste, brudne podwórko na zapleczu, zastawione przepełnionymi workami na śmieci. Słysząc było śmiechy

i warkot skuterów, ale byliśmy sami.

– Mam pięć minut – oznajmił, napinając potężne mięśnie.

Zaśmiałem się szyderczo.

– Doprawdy? W swoim pięknym komunistycznym kraju też by pan tak odpowiadał policji?

Popatrzył na mnie z ukosa.

– Znam swoje prawa. Mogę odwrócić się na pięcie i wrócić za bar, kiedy tylko zechcę.

– A ja zabiorę pana do kwestury i zamknę na dwadzieścia cztery godziny. Nauczył się pan już po tych latach spędzonych w Italii, co znaczy słowo morderstwo?

– O czym mówimy? – zapytał wprost.

Był twardym gościem, musiałem go nieco zmiękczyć przed przejściem do sedna.

– O anabolikach i innym świństwie służącym pompowaniu mięśni.

Moment wahania.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Dobrze było wciąż mieć przyjaciół w służbach. I wglądać w życie innych niczym w otwartą księgę: ministrów, przemysłowców, zwykłych obywateli, od czasu do czasu kogoś podejrzanego o jakąś zbrodnię. Co prawda Janem Deniakiem nikt by się tam nie zajmował, ale Polak miał po prostu pecha. Był trenerem osobistym pewnego słynnego chirurga, któremu świadczył również usługi seksualne szczególnego rodzaju. W zamian otrzymywał nielegalne farmaceutyki, które bardzo drogo sprzedawał swoim bogatym klientom na siłowni. Na jego nieszczęście słynny chirurg był bratem ministra, którego mieli na oku moi dawni koledzy.

– No dobrze, to pomówmy o niedzieli jedenastego lipca. Pamięta pan ten dzień?

– Pewnie, wygraliście mistrzostwa w piłce nożnej.

Przyjął z wyraźną ulgą zmianę tematu. Naiwniak.

– A pan właśnie tego wieczoru pracował nad muskulaturą Manfrediego, od siódmej do ósmej, pół godziny przed meczem. Nie było wtedy zbyt wielu ludzi na siłowni.

– Tylko Manfredi i ja, już to mówiłem w kwesturze.

– Wszystko to gówno prawda. A mnie się mówi tylko prawdziwą prawdę.

Popatrzył na mnie z pogardą, napinając mięśnie.

– Bo jest z pana twardziel, tak?

Nie zauważył, jak z lewego rękawa mojej koszuli wysuwa się gumowa pałka. Uderzenie w prawy łokieć unieruchomiło mu rękę. Potworny ból rozszedł się po ciele. Zanim zdążył stęknąć z bólu, mój drugi cios trafił go w rzepkę.

Wspaniałe narzędzie pracy, nie zostawia żadnego śladu.

Upadł na kolana, przeklinając.

– Sukinsynu, skopię ci dupsko, glino.

Otwartą dłońią walnąłem go w czoło, tak że potoczył się między worki na śmieci,

spomiędzy których z piskiem wyskoczyła mysz. Kiedy próbował się z nich wygramolić, stękając z bólu, pokazałem mu pierwszą fotografię.

– Musisz nieźle obciągać, Jasiu, pan doktor wydaje się bardzo zadowolony.

Ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Szeroko otworzył usta, by nabrać powietrza. Wyrwało się mu grube bluźnierstwo. Kopnąłem go w jądra, nie za mocno.

– Lepiej uważaj, bo twojemu polskiemu przyjacielowi w Watykanie nie spodoba się, że złorzeczysz świętym Pańskim. Mnie zresztą też się nie podoba.

Odczekałem, aż wstanie. Udało mu się dopiero po kilku próbach. Oparł się ciężko o mur, żeby nie upaść.

Pokazałem mu inne fotografie, na których kochaś przekazuje mu paczki z farmaceutykami. Jego oczy wędrowały w tę i z powrotem między zdjęciami a mną.

Żeby nie miał już żadnych wątpliwości, dodałem:

– Moi koledzy, którzy robią takie zdjęcia, łatwo się denerwują, gdy ktoś protestuje. A kiedy się denerwują, nie składają doniesienia o przestępstwie. Po prostu zabijają.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał już znacznie pokorniej.

– Już ci powiedziałem. Prawdy. Czy Manfredi był z tobą na siłowni między siódmą a ósmą?

Wahanie z jego strony było dla mnie oczywistą odpowiedzią. Tyle że niewystarczającą. Teodori, prokurator i kwestor⁹ potrzebowali zeznania. Zaś Jan Deniak był między młotem a kowadłem, między dwoma paraliżującymi go lękami. Musiałem mu pomóc w podjęciu decyzji.

– Masz naprawdę duże kłopoty, Jasiu. Za obciążanie chirurgom nie idzie się do więzienia, ale za handlowanie anabolikami już tak.

Popatrzył na mnie.

– Potwierdzam, że byliśmy tam, Manfredi i ja. Ciężka praca w bardzo gorący dzień.

Zdanie zawisło w powietrzu. Zajęło mi chwilę, nim zrozumiałem. Był bardziej cwany, niż się wydawało.

– Macie na siłowni klimatyzację? – zapytałem.

Udało mu się nawet uśmiechnąć.

– No pewnie, to luksusowa siłownia. Nikt by nie ćwiczył w takim upale.

To wystarczyło. Jan Deniak wolał być oskarżony o składanie fałszywych zeznań, niż mieć kłopoty ze strony Manfrediego i jego ojca, a ja miałem swojego fula z asami.

Sobota, 24 lipca 1982

Mimo że była sobota, dostawca energii elektrycznej przekazał nam wyciągi zużycia prądu na siłowni jeszcze przed południem. Między dziewiętnastą a dwudziestą nie było nic godnego uwagi. Klimatyzację wyłączono na całe niedzielne popołudnie, zaraz po wyjściu ostatnich klientów.

Jan Deniak został wezwany do kwestury, a jego adwokat stanowczo mu doradził, by mówił prawdę.

– Musiałem pomylić dzień – powiedział Jan. – Manfredi był na siłowni nie w niedzielę, a w poniedziałek o tej samej porze, coś mi się pomieszało.

– Ale na jego karcie klienta widnieje data niedzielna i godziny od osiemnastej czterdzieści pięć do dziewiętnastej czterdzieści pięć – zaproponował Teodori, wciąż niepewny, co robić, i w głębi duszy mający nadzieję, że istnieje jakieś inne wytłumaczenie.

– Ja nie wypełniam tych kart, robi to sam klient.

Pozostawała jeszcze jedna kwestia, lecz ani Teodori, ani prokurator jej nie podnieśli. Zrobiłem to ja.

– Powiedzmy, że się pan pomylił, panie Deniak. Chcielibyśmy wiedzieć, czy ktoś miał wpływ na pana pomyłkę.

Spojrzał na mnie z nienawiścią. Popatrzyłem na niego z półuśmiechem i włożyłem palec do ust. Chciałem, by zanim odpowie, przypomniał sobie o fotce z chirurgiem.

Skapitulował.

– Dwa albo trzy dni później Manfredi powiedział mi, żebym nie zapomniał, że podczas ćwiczeń, które wykonywaliśmy razem w niedzielę, obiecałem mu pokazać, jak działa ta nowa maszyna do budowania mięśni grzbietu. Powiedziałem, że to nie było w niedzielę, tylko w poniedziałek, ale on twierdził inaczej. W końcu przekonał mnie, że się mylę.

Reszta popołudnia była długa i nerwowa. Teodori i prokurator zadzwonili do kwestora, który wezwał ich od siebie. Teodori kazał mi iść do domu. Odniosłem wrażenie, że chce przypisać sobie całą zasługę, ale miałem to gdzieś. Marzył mi się trójką z Vanessą i Cristianą, którego scenariusz już od jakiegoś czasu układał się w mojej wyobraźni.

O rozwoju sytuacji Teodori poinformował mnie przez telefon. W ministerstwie i wydziale kryminalnym musieli już pożałować, że włączyli do śledztwa i mnie, i jego, zwłaszcza że po uwolnieniu od osobistych ciężarów nadkomisarz zrobił się niezłomny. Kiedy czerwone jak ogień słońce zegnało się z mieszkańcami Rzymu, nakaz

aresztowania Manfrediego dei Banchi di Aglieno został podpisany.

Teodori zadzwonił do mnie po przyjeździe Manfrediego do kwestury.

– Twarda sztuka z tego chłopaka, Balistreri. Twierdzi, że był na siłowni i że nie włączyli klimatyzacji.

– Pieprzenie. To on. Wiem to ja, pan, kwestor i minister. I wie to także ten pierdolony przyjaciel króla, jego ojciec. Teraz będzie miał nad czym myśleć, zamiast snuć mrzonki o przywróceniu w Italii monarchii pełnej tchórzy.

Byłem w euforii. Chciałem już tylko zapuszkować tego potworka i odnowić przyjaźń z Angelem Dioguardim. Nie myślałem o Elisie Sordi ani o jej rodzicach. Myślałem jedynie o Michelemie Balistrerim.

– Hrabia jest u nas w kryminalnym, razem z żoną i najlepszymi włoskimi adwokatami.

– Martwi się pan, *dottor* Teodori?

Usłyszałem zduszony śmiech. Jego głos złagodniał.

– Oskarżenie przeciwko Claudii zostało wycofane. A Manfredi jeszcze dzisiaj pójdzie siedzieć, ma pan moje słowo.

Nie zostałem zaproszony ani na spotkanie, ani tym bardziej na przesłuchanie Manfrediego. Miałem to serdecznie gdzieś, był sobotni wieczór, sprawa została rozwiązana, rozpierała mnie euforia. Więcej nie mogłem zrobić. Nie mogłem przyprowadzić jej do rodziców. Nie mogłem przywrócić jej życia.

Co się stało, to się nie odstanie.

Teraz miałem ochotę na dobrą kolację, whisky i papierosy. W towarzystwie Vanessy i Cristiany. Były dla siebie stworzone, jedna sado, druga maso. Nie było powodu, by miały się o mnie pokłócić. Byle tylko zdradziły mi któryś ze swoich sekretów.

Niedziela, 25 lipca 1982

Dźwięk telefonu wwiercił mi się w mózg. Czułem ciężar głowy Vanessy na udzie i zapach mokrej płci Cristiany, na której oparłem policzek. Powieki miałem jak ciężkie rolety zamykające nieświeże od papierosowego dymu wnętrze mojej kawalerki, język skleił mi się z zębami, dziąsłami i podniebieniem. To była jedna z tych magicznych nocy, kiedy nareszcie zrealizowały się najbardziej niepohamowane fantazje.

Nie chciałem odbierać, chciałem spać. Ale dzwonek nie ustawał. Otworzyłem tylko jedno oko. Zegar wskazywał siódmą dwadzieścia.

– Spierdalaj! – wymamrotałem i na powrót zamknąłem oko.

Minęło kilka minut. Dzwonki nie ustawały. Jak krople spadające mi wprost na mózg. Coraz głębiej. Aż do punktu, w którym wątpliwość oddziela się od pewności, a śnienie od spania.

Cristiana patrzyła na mnie, kiedy słuchałem grobowego tonu Teodoriego.

– Musi pan przyjechać na via della Camilluccia. Natychmiast.

– Co się kurwa stało? – zapytałem, nagle otrzeźwiawszy.

– Ulla, matka Manfrediego. O świcie rzuciła się z tarasu.

W Rzymie lało. Letnia burza. Słyszałem krople spadające na brezentowy dach alfy duetto, kiedy parkowałem przed zbezczeszczonym rajem. Nigdy nie lubiłem deszczu. W Afryce zawsze świeci słońce, we Włoszech pada nawet latem. Nie znosiłem tego smutku, który przynosił mi deszcz. Jakby coś wciskało się między mnie a życie i spowalniało jego bieg.

Wokół budynku A ustawiono barierki. Wewnątrz stał Teodori, technicy policyjni, lekarz sądowy i kardynał Alessandrini w swetrze i ciemnych spodniach. W rogu parkował aston martin hrabiego i harley Manfrediego. Ciało Ulli leżało zakryte prześcieradłem, spod którego wylewała się plama krwi i mieszała z deszczówką. Poczulem rozpaczliwy głód papierosa, ale w tych okolicznościach palenie było niemożliwe.

Teodori był wykończony. Położył mi rękę na ramieniu, wskazując na prześcieradło.

– Każę zabrać ciało.

Uniosłem delikatnie róg prześcieradła. Ulla była kompletnie ubrana, zapewne po nieprzespanej nocy, która pożarła jej duszę. Delikatne rysy jej twarzy zniszczył upadek.

– Są świadkowie? – zapytałem Teodoriego bez wielkiej nadziei.

Wskazał na młodą córkę Giny Giansanti siedzącą bezwładnie na krześle pod dachem

portierni.

– Zaczęła pracę punktualnie o szóstej. Z okna stróżówki zobaczyła, jak hrabina wychodzi na taras, staje na balustradzie, robi znak krzyża i rzuca się w dół. Było pięć po szóstej.

– Czekala, żeby mieć świadka – mruknąłem.

– Nie rozumiem, Balistreri. Dlaczego chciała świadka?

– Żeby się upewnić, że nikt nie oskarży tego sukinsyna jej męża o to, że zepchnął ją z tarasu.

Teodori popatrzył na mnie z przestraczem.

– Dość oskarżeń, Balistreri. Manfredi jest w więzieniu, i słusznie. Ale to jest zniszczona rodzina, łącznie z hrabią Tommasem.

Nie byłem przekonany. Coś nam umknęło w rozmowie z Ullą, jakiś detal, jakiś lęk. Teraz byłem już pewien, że czegoś brakowało. Poczulem ukłucie goryczy.

Zrobiłeś to, co musiałeś. A ten potwór jest winny.

Przerwało nam przybycie kwestora i wiceministra spraw wewnętrznych. Podeszli do Teodoriego i kardynała Alessandriniego, świadomie mnie ignorując.

– Wpadliśmy w niezłe gówna – jęknął wiceminister. – Och, proszę wybaczyć, eminencjo!

Typowy przykład chadeckiej pobożności, pomyślałem.

Zdążyłem jeszcze usłyszeć zduszone słowa kwestora skierowane do Teodoriego:

– Jest pan pewien słuszności wczorajszego aresztowania? Na sto procent?

Dostrzegłem niespokojne spojrzenie Teodoriego i potwierdziłem ruchem głowy.

– Jestem pewien. To chłopak zabił Elisę Sordi – odparł bez wątpliwości w głosie.

Kardynał Alessandrini odwrócił się i spojrzał na mnie. Słowa nie były potrzebne. Nie zgadzał się z nami. Byliśmy zwykłymi śmiertelnikami. A więc z definicji istotami omylnymi.

Ogarnął mnie nagły chłód, zadrzałem. Absurdalne doznanie jak na lipcowy poranek. Deszcz przyklejał mi koszulę do ciała. A może to był lęk, że we wszystkim się pomyliłem? Z poczuciem irytacji podszedłem do młodej dozorczyńi.

Kazałem sobie powtórzyć ze szczegółami, co widziała. Płacząc, potwierdziła wszystko, nie zostawiając miejsca na najmniejsze wątpliwości. Hrabina była na tarasie sama, sama wspięła się na balustradę, zrobiła znak krzyża i skoczyła w dół.

– Dziś pani matka wraca z Indii, prawda?

– Wczoraj przyleciała z Bombaju do Londynu, a godzinę temu wylądowała w Rzymie. Zadzwoniła do mnie i powiedziała, że bierze taksówkę. Nie miałam odwagi nic jej powiedzieć, będzie tu za chwilę.

– Nie wie o śmierci Elisy Sordi?

– Nie sędzę. To była zabita dechami wioska bez telefonu.

W tej samej chwili otwarła się brama budynku A. Hrabia Tommaso dei Banchi di

Aglieno był jak zwykle nienagannie ubrany. Wyniosłe oblicze zastygło w nieruchomą maskę bez wyrazu.

Chadecki wiceminister wystąpił naprzód.

– Ekscelencjo, proszę przyjąć najszczerze kondolencje ode mnie i od ministra spraw wewnętrznych.

Jedno lodowate spojrzenie hrabiego sprawiło, że drgnął i cofnął się o dwa kroki, wpadając na zbliżającego się w tym samym czasie kwestora. Deszcz padał coraz silniej. Potrzebna będzie niejedna ulewa, by zmyć krew Ulli dei Banchi di Aglieno z tego placu. Strugi wody i błota zmieszane z krwią spływały po bruku. Kiedy hrabia podszedł do zwłok i uniósł skraj prześcieradła, zagrzmiało. Wszyscy drgnęli. Wszyscy z wyjątkiem niego. Z lodowatym spokojem opuścił prześcieradło i spojrzał na wiceministra i kwestora stojących ze spuszczonym wzrokiem.

– Podziękujcie ministrowi ode mnie – powiedział. Odwrócił się na pięcie i wszedł do budynku.

Ciało Ulli wniesiono do karetki, która odjechała do kostnicy. Pierwszy zobaczyłem taksówkę podjeżdżającą pod zieloną bramę, dziewczynę biegnącą, by otworzyć, i kardynała, który ruszył w ich kierunku.

– Nie – powiedziałem, zastępując mu drogę.

Popatrzył na mnie.

– Nie? Dlaczego?

– Pani Gina Giansanti jest świadkiem i powinna być przesłuchana przez policję, zanim ktoś opowie jej, co się wydarzyło.

– Myślałem, że już rozwiązaliście sprawę, *dottor* Balistreri – powiedział Alessandrini lodowatym tonem.

Zignorowałem komentarz.

– Nie jesteśmy w państwie kościelnym. Kategorycznie zabraniam rozmawiać z Giną Giansanti przed nami. – Byłem wściekły, odrętwiały i przestraszony.

Alessandrini odwrócił się i popatrzył na obejmujące się kobiety. Na matkę i córkę złączone w mocnym uścisku. Młoda opowiadała ze szlochem, stara słuchała. Ruszyłem się, ale było za późno. Gina Giansanti podbiegła do nas i ucałowała pierścień kardynała. Łzy płynęły z jej oczu.

– Eminencjo, nie mogę uwierzyć... Najpierw Elisa, teraz hrabina Ulla...

Zobaczyłem, że Teodori zbliża się trochę niepewnie. Nie spotkał dotąd Giny Giansanti.

Kardynał trzymał kobietę za obie dłonie, nie mówiąc ani słowa. Wpiła w niego wzrok, szukając pocieszenia.

Wtrąciłem się:

– Pani Gino, musimy porozmawiać, i to natychmiast.

Dozorczyńni popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

– Czego ode mnie chcecie?

Teodori się przedstawił, wyglądał z pewnością bardziej wiarygodnie ode mnie. Weszliśmy do małego domku przy bramie, w którym mieszkała Gina. Jej córka postawiła na gazie kawiarkę i usiedliśmy przy kuchennym stole. Czułem intensywny zapach pasty do podłogi i środków czyszczących. Córka wysprzątała wszystko przed przyjazdem matki.

– Pani Gino – zaczął Teodori – wie pani, że przed dzisiejszą tragedią, dokładnie w dniu, kiedy wyjechała pani do Indii, wydarzyło się inne straszliwe nieszczęście?

Gina uniosła czerwone od płaczu oczy.

– Córka mi właśnie powiedziała o Elisie Sordi.

Odniosłem wrażenie, że jej wzrok poszybował daleko za okno znajdujące się za moimi plecami, do jakiegoś nieokreślonego punktu na placu.

Teodori z niezadowoleniem pokręcił głową, patrząc na córkę nalewającą kawę.

– Co pani powiedziała matce?

Dziewczyna drżała jak osika.

– Tylko tyle, że Elisa Sordi została zamordowana, a hrabina Ulla popełniła samobójstwo.

– Mówicie, że Manfredi ją zabił? – zapytała nagle Gina Giansanti. Jej posępna twarz wyglądała jak zakrzepła w wyrazie cierpienia.

Teodori popatrzył na nią zdumiony.

– Skąd pani wie? – zapytał.

– Bo ten chłopak to potwór, a ojciec jeszcze gorszy. Za to biedna hrabina była aniołem, tak samo jak Elisa.

Postanowiłem przejść natychmiast do rzeczy, zanim warstwa emocji i wrażeń położy się jak mgła na pamięci Giny.

– Pamięta pani tamtą niedzielę po południu? Przyjechałem razem z Angelem Dioguardim około piątej trzydzieści, pani miała już gotowe bagaże.

– Pamiętam bardzo dobrze. Krótco przedtem poszłam do Elisy, która przekazała mi materiały dla kardynała. Potem pan przyjechał z panem Dioguardim. On poszedł do kardynała, a pan został tutaj i kończył papierosa. Kiedy Dioguardi po pana zadzwonił, poszedł pan do nich.

– Kiedy Dioguardi, kardynał i ja wychodziliśmy około szóstej dziesięć, pani już nie było.

– Zgadza się, poszłam na mszę i kupiłam u proboszcza trochę świętych obrazków do rozdania w Indiach. Porozmawiałam z kilkoma parafiankami i wróciłam około siódmej trzydzieści. Domknęłam walizki, taksówkę miałam zamówioną na ósmą.

– Dobrze, pani Gino. Pozwoliliśmy już sobie sprawdzić to wszystko, proboszcz, parafianki i taksówkarz pamiętają panią.

– A dlaczego sprawdzaliście mnie? – zapytała urażona.

– Dlatego, że Elisa Sordi została zamordowana poza tą rezydencją, po tym, jak podbiła kartę zegarową o szóstej trzydzieści – wyjaśnił cierpliwie Teodori – a w takich przypadkach jesteśmy zobowiązani do dokładnego sprawdzenia wszystkich.

Najpierw zaalarmowało mnie spojrzenie Giny Giansanti. Drugi sygnał popłynął z mojego wnętrza, z ukrytego głęboko w głowie zakątka, w którym chciałem schować wszystkie wątpliwości. Wzrokiem powędrowałem za kuchenne okno, do bruku splamionego krwią Ulli. Ta krew wciąż tam była, nie da się cofnąć czasu. Biała krew, rany duszy.

Słowa Giny Giansanti dobiegały skądś z bardzo daleka, jak pierwszy podmuch wiatru zapowiadający nawałnicę.

– Mylicie się. Elisa Sordi wyszła, kiedy ja czekałam na taksówkę. O ósmej wieczorem.

Filizanka kawy wysunęła się z rąk Teodoriego i spadła na podłogę, rozbijając się na małe kawałeczki wraz z wszystkimi naszymi przeświadczeniami.

Kazaliśmy to sobie powtórzyć trzy razy. Taksówka na lotnisko, co potwierdził dyspozytor, została zamówiona punktualnie na ósmą. Gina Giansanti patrzyła na zieloną bramę z okna swojej kuchni. Była za pięć ósma, kiedy zobaczyła, jak Elisa Sordi biegnie od strony budynku B i wychodzi przez bramę dla pieszych na via della Camilluccia. Nie widziała, czy ktoś na nią czekał. Zauważyła jedynie, że dziewczyna się spieszy, i pomyślała, że pewnie spóźni się na mecz. Pięć minut później podjechała taksówka, co już potwierdziliśmy wcześniej. Pani Gina odprawiła się na lotnisku Fiumicino o ósmej pięćdziesiąt dwie i wsiadła na pokład ostatniego samolotu do Londynu, skąd następnego ranka wyleciała do Bombaju.

Nie było żadnych wątpliwości. Elisa Sordi wychodziła z kompleksu przy via della Camilluccia za pięć ósma, parę minut przed powrotem Manfrediego. Niemożliwe, by ta długotrwała masakra mogła się odbyć w ciągu zaledwie dwudziestu minut, w pełnym słońcu, na środku via della Camilluccia.

Byliśmy skończeni. Ja, Teodori, kwestor, minister. Ulla zabiła się przez naszą pomyłkę. Przez moją pomyłkę, z powodu moich przeświadczeń. Hrabia nas zniszczy, zmasakruje bez litości.

– Gdzie pan zaparkował, Balistreri? – zapytał Teodori.

Wsiedliśmy do duetta, ogłuszający deszcz walił o brezent dachu.

Teodori wyciągnął fajkę i zapalił. Wydawał się spokojny, zagłębiony w nie wiadomo jakich myślach.

– Poinformuję kwestora, że się pan ze mną nie zgadzał – powiedziałem, wiedząc, że to nie wystarczy. To on był szefem, nie było sposobu, by go uratować. Wyślą go na emeryturę w niesławie.

Popatrzył na mnie swoimi żółtymi oczyma i uśmiechnął się. Był służalczym biurokratą, niezbyt inteligentnym, i miał poważne problemy. Ale najpoważniejszy z nich właśnie ja mu rozwiązałem. No i był uczciwym człowiekiem.

– Pan nie może mnie uratować, Balistreri. Hierarchia służbowa ma znaczenie, ja wystąpiłem o aresztowanie Manfrediego, pana tam nawet nie było.

– Ale to ja...

Przerwał mi gestem.

– Wziąłem na siebie całkowitą odpowiedzialność za śledztwo. Powiedziałem, że to ja wpadłem na pomysł sprawdzenia zużycia energii elektrycznej na siłowni, i wszystko wyjaśniłem prokuratorowi, kwestorowi i wiceministrowi. Nigdzie nie ma pana nazwiska, odebrałem panu całą sprawczość. Nic pan z tym nie ma wspólnego, nic pan nie zrobił.

Spojrzałem na niego zdumiony. Teraz rozumiałem.

– Nie był pan pewny na sto procent i wyłączył mnie pan z raportów.

Unikał mojego wzroku.

– To był mój błąd. Miałem wątpliwości i nie powinienem był aresztować Manfrediego. Hrabina by żyła.

– Miał pan wątpliwości? – wybąkałem oszołomiony.

– Mam córkę, Balistreri, wiem rzeczy, o których pan nie może mieć pojęcia. Elisa Sordi nigdy nie poszłaby z własnej woli nad Tyber z Manfredim. Z innym mężczyzną tak, ale nie z nim.

Patrzyłem na niego w osłupieniu. To było proste wyjaśnienie. Prawdziwe.

– Niemniej nie może pan brać na siebie moich win, *dottor* Teodori.

Teraz popatrzył na mnie zdecydowanie.

– Powiem, że to był mój pomysł, a nawet więcej, że był pan temu przeciwny. Jestem stary, mam zapalenie wątroby, które wkrótce przejdzie w marskość. W zamian poproszę pana o wyświadczenie mi jeszcze jednej przysługi, największej, o jaką mogę prosić.

– Chodzi o Claudię.

– Tak, o moją córkę. Wkrótce umrę, a pan będzie dla niej opiekunem i przyjacielem. Wiem, że będzie pan potrafił ją chronić, dopóki nie stanie się bardziej pewna siebie. Również z tego względu lepiej by było, gdyby pozostał pan w szeregach policji.

– Ufa mi pan aż tak bardzo?

Zmusił się do uśmiechu.

– Nie we wszystkim. Musi mi pan przysiąc, że jej nigdy nie tknie. Jak by to powiedzieć: życiowym przewodnikiem będzie pan doskonałym, ale narzeczonym byłby fatalnym.

Właśnie znalazłem się w punkcie, w którym przekonywałem się w całej rozciągłości, że miał rację mój ojciec, kiedy mówił, że nic dobrego ze mnie nie będzie,

bo nie mam żadnego talentu ani też woli i stałości mogących go zastąpić. I miałem wszystko gdzieś. Było mi najzupełniej obojętne, co się ze mną stanie w przyszłości. Dlatego przyjąłem propozycję Teodoriego – nie po to, żeby ratować tyłek, ale dlatego, że byłem wykończony, chciałem tylko powiedzieć „tak” i pójść sobie, i spać, i zasnąć na zawsze.

Interludium

Rok 2005

Antonio Pasquali pochodził z Tesano, miejscowości położonej w abruzyjskich górach, której fotografia widniała za jego biurkiem, w pełnej szacunku odległości od zdjęć papieża i prezydenta Republiki zawieszonych w idealnej symetrii. Gabinet był prosty, ale dostojny, godny jednego z najważniejszych włoskich policjantów. Nie najwyższego rangą, lecz posiadającego największe wpływy w liczących się kręgach.

Od wczesnej młodości wykazywał wybitne zdolności do gry aktorskiej i polityki, dwóch działalności mających w dzisiejszym świecie wiele cech wspólnych. Młody Pasquali dzielił czas między szkołę gry aktorskiej a lokalne koło Chrześcijańskiej Demokracji. Nieco cierpiał na tym nauka, lecz nadrabiał żywą inteligencją i pomocą swego ojca, od niemal ośmiu lat piastującego urząd burmistrza Tesano. Nauczyciele łagodniej traktowali tego młodzieńca w okularach, poważnego, ale też dowcipnego i przenikliwego, gdy było trzeba: cechy osobiste i rodzinne koneksje jasno wskazywały, że Antonio Pasquali zrobi karierę.

Po maturze spędził kilka miesięcy w Londynie, ucząc się aktorstwa, a potem ojciec wezwał go z powrotem do kraju i twardej rzeczywistości. W Rzymie Antonio ukończył nauki polityczne i wstąpił do policji. Po dwóch latach kursu przygotowawczego na stanowisko komisarza jego ojciec szepnął dwa słowa ministrowi spraw wewnętrznych, swojemu partyjnemu koledze, również pochodzącemu z Abruzji, a minister szybko się przekonał, że młody Pasquali jest pracowity, błyskotliwy i świetnie sobie radzi w relacjach międzyludzkich.

Tak więc w roku 1980 minister zatrudnił go jako swojego asystenta oddelegowanego z policji. Na tym stanowisku Pasquali stworzył rozbudowaną sieć relacji politycznych, która wspierała go przez całą karierę. Miał przyjaciół wszędzie, od neofaszystów do skrajnej lewicy, zawsze jednak pozostawał człowiekiem centrum, dobrym na każdą pogodę, gotowym do rozmowy ze wszystkimi.

Na początku lat dziewięćdziesiątych prokuratura w Mediolanie w ramach akcji „Czyste ręce”¹⁰ rozpoczęła szereg śledztw i procesów, które doprowadziły do rozwiązania rządzącej partii chadeckiej oraz partii socjalistycznej i wysłały w polityczny niebyt poważną część włoskiego establishmentu. Pewnego wieczoru w 1993 roku ojciec wraz ze swym przyjacielem ministrem usiadł w salonie rodzinnego domu Pasqualich w Tesano przy zapalonym kominku i szklaneczce lokalnego destylatu. Dwaj starsi panowie rozmawiali o ewidentnej już konieczności zmiany barw partyjnych. Wprowadzono nową, większościową ordynację wyborczą, a Chrześcijańska Demokracja podzieliła się na dwie partie, centrolewicową

i centroprawicową. Przysłuchujący się im Antonio, w owym czasie dobrze już zakorzeniony w kierownictwie wydziału kryminalnego, zasugerował obu nestorom rozwiązanie.

– Według mnie powinniście się rozdzielić. Jeden niech idzie do centroprawicy, drugi do centrolewicy.

Popatrzyli na niego nieco zdumieni, a potem zgodnie uznali, że w tej niepewnej sytuacji, gdy wciąż nie wiadomo, który z dwóch biegunów będzie górą, to jest najroztropniejsze posunięcie. Wszyscy doskonale wiedzieli, że ustawiony lokalnie i kliencko powojenny system wyborczy wytrzymał przez czterdzieści pięć lat, ale teraz, pod ciosami prokuratorów – którym oczywiście przypięto łatkę komunistów – i w zmienionych realiach telewizyjnej demokracji jest poważnie zagrożony. Trzeba było znaleźć dla siebie przestrzeń w obu nowych ugrupowaniach.

Czas jakiś dyskutowali, kto z kim powinien się połączyć, ale osobista i polityczna historia obu panów była niemal identyczna. Także w tej kwestii młody Pasquali znalazł rozwiązanie. Wyciągnął stulirową monetę i zwracając się do ministra, powiedział:

– Ekscelencjo, orzeł czy reszka?

Po dokonanych podziale partyjnej przynależności ojciec go zapytał:

– A ty, Antonio? Również policjanci potrzebują referencji politycznych.

Odpowiedział wymijająco. Rzekł, że zgodnie z większością scenariuszy nowego politycznego ładu policjanci nie będą mogli oficjalnie należeć do żadnej partii i że bardziej użyteczne będzie zachowanie prostej politycznej sympatii. Ale pomyśli o tym. Nie przyznał się, że tak naprawdę czeka na to, co zwiastowały coraz częściej słyszane głosy: na narodziny nowej, bardzo silnej partii z nieograniczonymi zasobami finansowymi, partii, która wchłonie znaczną liczbę chadeków i socjalistów, gromiąc przy okazji konkurencję. Antonio Pasquali wolał mieć wolną rękę, jego udoskonalone za młodu zdolności aktorskie będą się liczyć w nowym świecie telewizyjnej polityki.

W roku 2000 został przeniesiony z wydziału kryminalnego do wydziału walki z mafią, w którym poprowadził parę błyskotliwych operacji zakończonych wsadzeniem do aresztu kilku ukrywających się bossów, których miejsce już wcześniej zdążyli zająć inni mafiosi. Bardzo przy tym uważał, by żaden z polityków, czy to aktualnych, czy byłych, i niezależnie od partyjnej przynależności, nie został w sprawę uwikłany. Był szczerze przekonany, że w ten sposób najlepiej służy interesom ojczyzny.

Pod koniec 2002 roku „politycznie istotnego charakteru” nabrały przestępstwa dokonywane przez imigrantów spoza Unii Europejskiej. Ulegając presji obywateli i niektórych partii politycznych, rząd postanowił utworzyć sekcję specjalną do spraw obcokrajowców, której zadaniem było wspomaganie wydziałów kryminalnych w stolicach regionów. Nazwisko Pasqualego jako koordynatora tych jednostek, współpracującego z kwestorami miejskimi i równego im rangą, zasugerowała ministrowi spraw wewnętrznych zarówno parlamentarna większość, jak i opozycja.

Prawdziwie dwupartyjna kandydatura: człowiek zdolny i zrównoważony, doskonały policjant, wrażliwy również na oczekiwania świata polityki.

Kwestor Rzymu, Andrea Floris, swoje stanowisko zawdzięczał wsparciu lewicy i był świadomy neofaszystowskiej przeszłości Balistreriego, ale wiedział również, że właśnie on byłby najbardziej odpowiednią osobą na stanowisku koordynatora. Balistreri przez trzy poprzednie lata z wielkimi sukcesami kierował w Rzymie sekcją zabójstw i był rówieśnikiem Pasqualego. Kwestor poprosił o spotkanie w tej sprawie z ministrem spraw wewnętrznych, lecz został przekierowany do odpowiedzialnego za policję wiceministra, który odesłał go do swego pierwszego asystenta, młodzieńca poniżej trzydziestki, świeżo po studiach na prestiżowym uniwersytecie. Asystent ów stwierdził, że kandydatura Balistreriego, z racji jego niegdysiejszego zaangażowania w działania radykalnej prawicy i współpracy ze służbami specjalnymi, wzbudzi konsternację w szeregach centrolewicy, czyli tam, gdzie kwestor ma wsparcie polityczne. Floris oponował, że chodzi o fakty sprzed trzydziestu lat, że Balistreri zrehabilitował się już dawno, służąc państwu i ryzykując własne życie, i że od dawna trzyma się z daleka od jakiegokolwiek partii politycznej. Jednak według młodzieńca to nie wystarczyło, co więcej, właśnie oddalenie od polityki czyniło go „podejrzany”. Balistreri wciąż używał takich pojęć jak „ojczyzna”, „honor”, „lojalność”. Dziedzictwo przeszłości, przestarzały, staromodny język, skonkludował młodzieniec. Nawykły do politycznego teatryku kwestor poddał się: politycy nie chcą na tym stanowisku kogoś takiego jak Balistreri, kogoś, kto z nimi nie rozmawia, nie bierze udziału w kolacyjkach na tarasie i nie bywa w ekskluzywnych klubach, kogoś, kto nie lubi rozmawiać z dziennikarzami, po prostu kogoś w rodzaju bezpańskiego psa, który znajduje się już na zstępującej krzywej życia.

Florisowi nie pozostało nic innego, jak zaakceptować nominację Pasqualego. Udało mu się jednak wymóc, żeby na czele najważniejszej, stołecznej sekcji specjalnej stanął Michele Balistreri. Pasquali nie przepadał za tym policjantem niewrażliwym na aksamitne relacje panujące w świecie polityki, ale zgodził się, chcąc zaskarbić sobie wdzięczność Florisa, który był mu potrzebny. To była również dobra okazja, by uniemożliwić Balistreriemu przejście do sekcji czwartej wydziału kryminalnego, zajmującej się przestępstwami przeciwko mieniu, która prowadziła najbardziej wrażliwe politycznie śledztwa w sprawach oszustw, korupcji i fałszerstw księgowych. Powierzył Balistreriemu sekcję specjalną w Rzymie z nadzieją, że tam powinie mu się noga i będzie mógł go zastąpić kimś zaufanym. Jednak Balistreri radził sobie cholernie dobrze przez całe dwa i pół roku.

Aż do sprawy R.

23–24 lipca 2005

Samantha Rossi rzuciła okiem na zegar ścienny w kuchni. Była ósma trzydzieści wieczorem, przez otwarte okno na pierwszym piętrze wlewały się do środka resztki dziennego światła i warkot nielicznych samochodów jadących nad morze albo na wieś. To był długi, gorący dzień, ostatni z ciągnącego się niemiłosiernie tygodnia pracy. Zgasła gaz i naląła zupę do talerza, posypując ją niewielką ilością parmezanu. Niewielką, bo Assuncie, dziewięćdziesięcioletniej staruszce, którą się opiekowała, kardiolog zabronił jeść ser. Postawiła talerz na splekanym laminacie stolika i powoli, łyżka po łyżce, zaczęła ją karmić.

Punktualnie o dziesiątej dziesięć Samantha weźmie swój plecak, pocałuje Assuntę, przebiegnie na drugą stronę placu, by złapać autobus do stacji kolejowej Roma Termini, a tam wsiaść do pociągu jadącego do Ostii. O jedenastej będzie u rodziców w ich domu nad morzem.

Od ósmej wieczorem w piwiarni panował harmider. Zbierali się tutaj Rumuni z pobliskich koczowisk i ci, którzy mieszkali w najgorszych ruderach wschodniego Rzymu. Po całym dniu, spędzonym w palącym słońcu na układaniu cegły na cegle albo czyszczeniu szyb samochodowych na skrzyżowaniach, byli spragnieni. Bardzo spragnieni.

Wśród tego zgietku w najdalszym kącie baru, tuż przy toaletach, siedział od ponad godziny mężczyzna o długich czarnych włosach, w czapce klubu sportowego Lazio i wielkich okularach z przyciemnionymi szklami. Wypił bardzo mało, ledwie pół kufła piwa. W białej torbie trzymał jednak dwie butelki doskonałej whisky, której sam nie tknie. A w kieszeni spodni parę działek kokainy, której nie wciągnie.

Podniósł kufel i skinął w stronę trzech około osiemnastoletnich ziomków wychodzących właśnie z toalety. Wygolone głowy, podkoszulki, dzinsy. Tylko ich tatuaże na pokaźnych bicepsach i karkach się różniły: mała swastyka, orzeł, topór o dwóch ostrzach, gladiator, skrzyżowane miecze. Nadawali się doskonale do tego, co planował.

Balistreri jadł kolację w domu swojego brata Alberta razem ze swoim zastępcą Grazianem Corvu, Anzelem Dioguardim i jeszcze jednym kolegą brata. Szynka z melonem i mocno schłodzone białe wino. Lekka kolacja ze względu na planowanego

zaraz potem pokera. Ograniczył palenie do granic ściśle wyznaczonych przez zniszczone serce i niemal całkowicie wyeliminował mocne alkohole. Gra w pokera była dla niego przyjemnością zastępczą za wiele innych, które z biegiem lat stopniowo odchodziły w cień. Jedną z niewielu podniet.

Po kolacji Samantha pomogła Assuncie przenieść się z kuchni do jedyne go pokoju służącego za salon i sypialnię. Za dwadzieścia dziesiąta zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Dla pewności sprawdziła raz jeszcze wszystkie lekarstwa, które Assunta miała zażywać o różnych porach, żeby utrzymać serce pod kontrolą. Samantha przygotowała jej bardzo dokładną rozpiskę. Jej kopie były przytwierdzone taśmą klejącą w sypialni, kuchni i łazience. Straciła trochę czasu na ostatnie przypomnienia.

– Pani Assunto, dozorca odebrał dla pani leki przeciwwzkrzepowe?

Staruszka uśmiechnęła się z nieobecny m wyrazem oczu.

– Zapomniałam go poprosić, Samantha, ale nie martw się tym...

Pięć po dziesiątej Samantha wybiegła z mieszkania.

Wyprowadził ich z piwiarni o dziesiątej dziesięć. Wszyscy trzej byli pijani i naćpani, choć nie zanadto: tylko tyle, ile chciał. Z umysłem niezbyt jasnym, ale wciąż silni i chętni do działania. Samotny placyk otoczony ogródkami był całkiem pusty. Zobaczyli, jak zbliża się długimi susami niczym lekkoatletka. Przemknęła obok nich, pozostawiając wszystkich z otwartymi ustami.

– Ja jebię, ale pizda! – wykrzyknął po rumuńsku gladiator.

Dioguardi wygrywał. Co zresztą robił regularnie od ponad dwudziestu lat. Siwizna na blond lokach i zmarszczki wokół błękitnych oczu nie odebrały mu aury wiecznego chłopca, który przeproszał, że wygrywa, i od czasu do czasu celowo przegrywał, by nie upokarzać przyjaciół. Natomiast Alberto jak zwykle grał swoją naukowo opracowaną, regularną metodą i z równą regularnością przegrywał.

– Błefuje – powiedział Balistreri do brata, który właśnie spasował po kolejnym podbiciu ze strony Dioguardiego.

– Nie sędzę – wtrącił się Corvu. – Sześć możliwości na dziesięć, że ma lepszą kartę. Według mnie Alberto ma rację, że pasuje.

Angelo Dioguardi jak zawsze nie mówił ani słowa. Pił i palił znacznie więcej niż w młodości. Ale jego błefy – albo i nie błefy – pozostawały sekretem zawodowym.

Samantha dostrzegła ich kątem oka, kiedy przebiegała obok. Czowała ich zapach: alkoholu

i potu. Czują na sobie ich spojrzenia, którymi ją rozbierali. A potem poczuła ręce, które ją pochwyciły i unieruchomiły.

Kiedy próbowała walczyć, gdy ją odciągali na bok, zobaczyła, jak dwieście metrów dalej autobus zaczyna okrążyć plac. Jeden z mężczyzn ścisnął jej szyję ramieniem, by nie mogła krzyknąć. Kiedy wciągali ją w zarośla i między ogródkowe krzewy, szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak autobus rusza i jego tylne światła robią się coraz mniejsze.

– Mamo – wyjęczała. – Tato...

Ciało dziewczyny znalazł o północy staruszek, który wyprowadzał psa na spacer. Leżało przy wysypisku śmieci niedaleko miejsca, gdzie została zaatakowana. Bliskość osiedla nomadów znanego jako Casilino 900¹¹ i nielegalnych romskich koczowisk sprawiła, że zaalarmowano sekcję specjalną i natychmiast odezwał się dzwonek komórki Balistreriego. Przerwał pokera z przyjaciółmi i wraz z Corvu pospieszył na miejsce. Kiedy dojechali, był tam już lekarz sądowy. Ale nie potrzebowali eksperta, by wiedzieć, że dziewczyna została wielokrotnie zgwałcona, a następnie uduszona.

Nim upłynęły dwadzieścia cztery godziny, prasa i większość mieszkańców orzekła, że winni są mieszkańcy obozu Casilino. Centroprawicowa opozycja już od dawna prowadziła kampanię nietolerancji wobec Cyganów, „chronionych” przez centrolewicową administrację, która od lat rządziła w stolicy. Morderstwo włoskiej studentki zadziało jak detonator. Wybuchły żądania natychmiastowej likwidacji wszystkich koczowisk i deportacji Romów.

Grupa młodzieży ze skrajnej prawicy napadła na nielegalne koczowisko z okutymi pałkami i nożami, raniąc wiele osób, w tym kobietę, która próbowała chronić męża. Przed gmachem ambasady Rumunii spalono rumuńskie flagi, a miejskie mury pokryły się obraźliwymi napisami. Rumuński piłkarz grający we włoskiej ekstraklasie opuścił trening w proteście przeciwko gwizdom kibiców jego własnej drużyny. Rumuński rząd i prasa wyrażały oburzenie, a włoskie media były szczęśliwe, że udało się jeszcze bardziej zwiększyć napięcie. Premierzy obu krajów spotkali się w Brukseli i zobowiązali do wzajemnej współpracy w celu odizolowania nielicznych przestępców niszczących reputację wspólnoty rumuńskiej oraz dobre relacje pomiędzy oboma państwami, które mimo to wciąż były napięte.

Burmistrz ze swoim centrolewicowym zapleczem politycznym od lat debatował nad problemem, nie znajdując rozwiązania. Teraz, przyciśnięty przez opozycję, media i opinię publiczną, wezwał kwestora Florisa i Pasqualego do jak najszybszego rozwiązania sprawy.

Od pierwszego dnia śledztwo skupiło się oczywiście na koczowiskach. Jedynie Balistreri sprzeciwiał się prowadzeniu go wyłącznie pod tym kątem. Powodem był pewien szczegół zachowywany w całkowitej tajemnicy, znany tylko na najwyższym szczeblu prowadzących śledztwo i zatajony przed prasą i opinią publiczną. Otóż na plecach Samantha cienkim ostrzem wycięto literę R, wysoką na pięć centymetrów i tak samo szeroką. Według Balistreriego wycięcie litery na ciele ofiary wskazywało na premedytację niemożliwą do pogodzenia z tępym stadnym instynktem grupy cygańskich gwałcicieli, zapewne pijanych i naćpanych.

Pasquali natychmiast wyczuł dobrą okazję do podkopania nieposzlakowanej reputacji Balistreriego. Pod koniec konferencji prasowej prowadzonej w obecności podwładnego wykorzystał swoje zdolności aktorskie i zaimprovizował małe przedstawienie.

– Szef stołecznej sekcji specjalnej do spraw obcokrajowców uważa, że poza wątkiem imigrantów możliwe są również inne kierunki śledztwa. – I na oczach zdumionych dziennikarzy przekazał mu mikrofon.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – uciął Balistreri z pociemniałą twarzą, doprowadzając do furii dziennikarzy, zwłaszcza tych, którzy reprezentowali media najgoręcej opowiadające się za likwidacją koczowisk i zrzucające winę na Romów. Tytuły niektórych dzienników następnego dnia brzmiały: *Szef sekcji specjalnej: to nie byli Romowie.*

W nocy z soboty na niedzielę dokonano nalotu na wszystkie nielegalne obozy wokół Rzymu. Podczas przeszukania nielegalnego koczowiska położonego niedaleko Casilina 900, w przyczepie zamieszkiwanej przez trzech młodych Romów, którzy dziesięć dni wcześniej przyjechali ze wsi nad Morzem Czarnym, znaleziono pod materacem bransoletę z inicjałami S. R. Wszyscy trzej byli pijani w sztok. Młodzi ludzie nie mieli ani pracy, ani pozwolenia na pobyt. Badanie DNA pograżyło ich całkowicie.

Po dwóch godzinach śledztwa przyznali się do wszystkiego. Tego wieczoru byli w barze, dużo wypili w towarzystwie nieznanego rodaka, który dał im także wciągnąć kreskę koki. Wyszli z lokalu około dziesiątej i nieznajomy zbliżył się do dziewczyny, żeby ją obrabować. Stawiała opór, więc zaciągnęli ją pod wysypisko. Tam, między plastikowymi reklamówkami, odpadkami, strzykawkami i psim gównem, zgwałcili ją. Na zmianę jeden trzymał ją za gardło, drugi unieruchamiał ręce, a trzeci gwałcił. W końcu zemdląca. Zarzucali sobie nawzajem, że ją udusili, w końcu powiedzieli, że zabójcą był tajemniczy czwarty mężczyzna, o którym nic nie wiedzieli. Jednak ślady organiczne na ciele Samantha należały do nich trzech, nic nie wskazywało na obecność czwartego sprawcy. Kiedy wyprowadzono ich z posterunku karabinierów, zebrany tłum chciał ich zlinczować. Siły porządkowe z ledwością zdołały temu zapobiec, zwłaszcza

że niektórzy funkcjonariusze sami chętnie by ich zmasakrowali gołymi rękami.

Media zaatakowały wspólnotę rumuńską i policję, ze szczególnym uwzględnieniem sekcji specjalnej i jej szefa Michele Balistreriego, byłego faszystowskiego bojówkarza i – w opinii wielu – praktycznie już byłego policjanta. A jednak Pasquali go nie zdymisjonował. On też wiedział, że trzech Romowie byli analfabetami, więc żaden nie mógł wyciąć litery na ciele zabitej dziewczyny, a instynkt i przezorność mówiły mu, by poczekał. Lata działania w Chrześcijańskiej Demokracji nauczyły go, że zawsze trzeba mieć gotowy plan B i kozła ofiarnego pod ręką.

CZĘŚĆ DRUGA

Czwartek, 29 grudnia 2005

Przed południem

Obudziło go przekleństwo. Odwrócił się na łóżku i popatrzył w stronę okna. Na zewnątrz świtało. Rzucił okiem na budzik. Piąta czterdzieści. Z powrotem położył głowę na poduszce, ale nie mógł już zasnąć. Rozmyślał.

Ta część Rzymu była piekłem i rajem jednocześnie. Od trzech lat Balistreri musiał mieszkać w historycznym centrum. On, który go tak bardzo nienawidził. Było magiczne nocą, chaotyczne i cuchnące w dzień. Zajmował niewielkie mieszkanie przeznaczone dla wyższych rangą funkcjonariuszy na drugim piętrze kamienicy położonej niedaleko gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przy niewielkiej ulicy, w samym centrum warkotu samochodów, przepływających fal turystów i szaleństwa zakupów. W tej dziupli chronił się samotnie niemal każdego wieczoru, zamykając okna na świat zewnętrzny. Towarzystwa dotrzymywały mu płyty albo dobre książki. Coraz rzadziej – kobiety. Sypiał mało i źle, dochodziły do niego wszystkie małe i duże hałasy tego przekłętą miasta. Nie mógł brać środków nasennych, ponieważ kolidowały z przyjmowanymi przez niego antydepresantami.

Znowu przekleństwo, tym razem głośniejsze. Wstał z rezygnacją. Otworzył okno i spojrzął w dół na uliczkę. Dwaj emigranci rozładowywali białą furgonetkę z otwartymi tylnymi drzwiami, wnosząc towary do sklepu odzieżowego poniżej. Właściciel sklepu, stary Żyd, dyskutował z potężnie zbudowanym gościem, który wysiadł z gigantycznego SUV-a. Było jasne, że furgonetka zablokowała mu drogę. Kierowca SUV-a zaklął bluźnierczo po raz trzeci, popchnął Żyda i krzyknął do niego z wyraźnym rzymskim akcentem:

– Zabierz mi z drogi tych gównianych Cyganów, ale już!

Dwaj młodzi ludzie przerwali wynoszenie towarów i podeszli w stronę SUV-a. Balistreri zobaczył, że gość wsuwa prawą dłoń pod czarną skórzaną marynarkę.

– Lepiej nie – powiedział Balistreri. Był na tyle blisko, że nie musiał podnosić głosu, aby go usłyszeli. Wszyscy czterej podnieśli głowy.

– A ty kim kurwa jesteś? Wracaj do łóżka, gnojku! – wrzasnął facet z SUV-a.

– Lepiej nie – powtórzył Balistreri. – Jeśli wyciągniesz pistolet i zrobisz komuś krzywdę, nigdzie już nie uciekniesz. Poza tym ja też mam pistolet. – Pomachał wesoło mięśniakowi atrapą rewolweru marki Magnum 44, którą wiele lat temu dostał w prezencie na zakończenie kursu w FBI.

Mięśniak schronił się w bramie, poza zasięgiem strzału. Żyd pozostał na środku

ulicy i patrzył niepewnie na Balistreriego.

– Panie Fadlun, niech pan im każe objechać kamienicę dookoła, wtedy ten pan będzie miał wolny przejazd.

Staruszek uśmiechnął się i skinął swoim ludziom, którzy szybko zamknęli tylne drzwi i odjechali.

– Droga wolna, może pan jechać spokojnie – powiedział Balistreri schowanemu mięśniakowi.

Facet wychylił się z kryjówki i spojrzał w górę odrobinę niepewny.

– Ten pistolet to zabawka – uspokoił go Balistreri.

Mięśniak odzyskał nagle całą odwagę.

– Zejdź no tylko na dół, gnojku, to ci kości połamię.

Balistreri uśmiechnął się cierpliwie, pytając w duchu sam siebie, czy z biegiem lat zmądrzał, czy może zramolał?

– Niech pan będzie spokojny – zapewnił Żyd mężczyznę – ten pan jest policjantem, na pewno pana nie zastrzeli.

Biała furgonetka objechała kamienicę i stanęła za SUV-em.

– Ale zawsze mogę przestrzelić opony pańskiego pięknego autka, jeśli nie odjedzie pan w ciągu pięciu sekund – ostrzegł go Balistreri, machając tym razem swoją beretką. Rozładowaną.

SUV odjechał natychmiast, Balistreri zamknął okno i poszedł zrobić sobie kawę.

Po paru minutach ktoś zadzwonił do drzwi. To był pan Fadlun. Stał w progu, trzymając w ręku paczuszkę, z której wydobywał się rozkoszny zapach.

– Moja żona właśnie wyjęła z pieca baklawę, wiem, że pan ją lubi. – Był skruszony. Balistreri już wiele razy go prosił, żeby rozładowywał towar po szóstej, jak dobrzy chrześcijanie.

– Proszę podziękować żonie, panie Fadlun.

– I jeszcze raz bardzo przepraszam. – Teraz Fadlun lekko się uśmiechał, poznali się już dobrze w ciągu tych trzech lat. – Wie pan, interesy, w czasie świątecznym potrzeba wiele towaru.

Balistreri odruchowo popatrzył na przedramię mężczyzny, na którym jak wiedział, nie wyblakł numer więźnia obozu Auschwitz. Pomyślał, co by powiedział temu starcowi Balistreri sprzed trzydziestu lat, i na samą myśl przeszedł go dreszcz. Podziękował mu grzecznie i nie wspominał już o przedwczesnym otwieraniu sklepu.

Ostatnie dwa tygodnie roku w Rzymie były nie do wytrzymania. Centrum zapełniało się ludźmi poszukującymi prezentów świątecznych i wszędzie panował nieznośny harmider.

Balistreri zażył preparat osłonowy na żołądek, zjadł sucharki z pełnego ziarna, patrząc z żalem na słodycze od żony Fadluna, wypił kawę bezkofeinową, wypalił pierwszego papierosa i upewnił się, że w paczce nie ma ich więcej niż pięć. Ta kawa

była niczym jego życie: bez smaku. Jego ojciec, jak przystało na prawdziwego Sycylijczyka, mawiał, że kawa bezkofeinowa jest jak przerywany stosunek albo papieros palony bez zaciągania. A Balistreri z sycylijskości po swoim ojcu część wymazał, bo nią gardził, a część zagubił, choć ją kochał.

Wziął prysznic i ubrał się. Spadały mu spodnie. Jeszcze bardziej schudł, pięć kilo przez ostatnie pół roku, skronie jeszcze bardziej mu posiwiały. Połknął antydepresant i popił resztką kawy.

Kiedyś nie bałem się śmierci. Skończyłem na tym, że teraz staram się ją jak najbardziej opóźnić.

Kiedy wyszedł, nie było jeszcze siódmej. Pięć minut później wchodził już do swojego miejsca pracy. Strażnik przy wejściu usłużnie podbiegł, by otworzyć mu drzwi do windy. Był to gest, którego Balistreri nie znosił, ale takie zasady narzucali inni przełożeni. A ostatni spadek jego popularności odradzał jakąkolwiek krytykę systemu. Zresztą pracował w tym systemie od dwudziestu pięciu lat. Od dawna był jego integralną częścią.

Dojechał na trzecie piętro, do biur sekcji specjalnej. Jego gabinet mieścił się na rogu, był wysokim na trzy i pół metra, obszernym pomieszczeniem z siedemnastowiecznym fryzem pośrodku sufitu i widokiem na Koloseum i Forum Romanum.

Wszystkie inne pokoje były puste z wyjątkiem boksu Margherity, nowej telefonistki i asystentki, która przywitała go z uśmiechem. Twarz nietknięta makijażem, wygląd dobrej dziewczyny.

Mogłaby być moją córką. A gdybym do niej wystartował, rozbawiłbym ją tylko...

Od wielu lat stopniowo ograniczał swoje podboje. Nie potrafił już ranić z taką łatwością i żyć bez poczucia winy. I tak oto ograniczenia, które sobie sam nakładał, powoli rozszerzyły się na niemal wszystkie kategorie: na mężatki, narzeczone, singielki w wieku, gdy ma się jeszcze jakieś nadzieje na ślub. Rezultat: przy jego moralnych samoograniczeniach i postępującej degradacji psychofizycznej możliwości wyboru zawężyły mu się do filantropiek i dziwek.

Miał jeszcze pół godziny do czasu, kiedy przychodziło dwoje jego zastępców, Corvu i Piccolo. Zaczął od codziennej rutyny. Wsadził do ust niezapalony papierosa, włączył komputer i sprawdził pocztę. Tylko dwa ważne maile, jak co dzień rano. Pierwszy był od Graziana Corvu: bieżące informacje o już prowadzonych śledztwach. Streszczenie wszystkich dochodzeń otwartych w ciągu ostatnich dwóch lat i jeszcze nie zakończonych, z ewentualnymi nowościami zakreślonymi na czerwono. Aktualnie oznaczało to cztery śledztwa: trzy zupełnie świeże oraz sprawę Samantha Rossi, sprawę R.

W mailu była tylko jedna nowa informacja: młody Senegalczyk został zasztyletowany przy wyjściu z klubu nocnego Bella Blu, na tyłach via Veneto w nocy

z 24 na 25 grudnia. Nazywał się Papa Camarà i był instruktorem kulturystyki w siłowni Sport Center. Wieczorami dorabiał w Bella Blu jako bramkarz. Krótko przed zamordowaniem go, do czego doszło około drugiej w nocy, przed wejściem do lokalu rozegrała się kłótnia pomiędzy bramkarzem a jakimś niezidentyfikowanym motocyklistą. Dyrektor Bella Blu, niejaki Francesco Ajello, adwokat, zawiadomił policję.

Balistreri zrobił notatkę na samoprzylepnej karteczce, którą przytwierdził z boku biurka, i zapalił papierosa. Zaczął czytać mail od Giulii Piccolo: nowe sprawy. Sekcja specjalna do spraw obcokrajowców nie zajmowała się jedynie zbrodniami, ale każdym przestępstwem ściganym z urzędu czy faktem mającym znaczenie dla śledztwa, w które zamieszani byli obcokrajowcy. Bójki z ciężkimi zranieniami, uprowadzenia, zaginięcia. W poprzednich świątecznych dniach maile od Piccolo były dość krótkie. W okolicach Bożego Narodzenia nie zdarzało się nic naprawdę poważnego. Tylko wyrywanie torebek kobietom na zakupach, rabowanie utargu sklepikarzom i kradzieże towaru ze sklepów, zwłaszcza w centrach handlowych, gdzie znudzone dzieciaki na wakacjach podwędzały jakieś drobiazgi. Poza tym bezdomni, którzy zamazli na śmierć, kłótnie między krewnymi różnych narodowości nieroztropnie zebranymi w jednym miejscu z okazji świąt i oczywiście stłuczki oraz liczniejsze niż zwykle wypadki drogowe spowodowane wielką liczbą wyjeżdżających na święta i nadmiarem wypitego alkoholu. Banaly, z którymi dało się żyć. Nic, co zasługiwałoby na jego uwagę.

Tego dnia tylko jedna nowość: wczoraj rano rumuńska prostytutka zgłosiła, że dzień wcześniej, wieczorem 24 grudnia, zaginęła jej koleżanka. Jeszcze jedna samoprzylepna karteczka.

Za opuszczonymi roletami leniwie budził się Rzym. Balistreri zgasił wszystkie światła poza lampą na biurku i włączył cicho płytę Leonarda Cohena. Psychiatra, który się nim zajmował, powiedział mu, by przestał słuchać Cohena, Lennona i De Andrégo, niech przez jakiś czas pogniją we wspomnieniach. Wyciągnął się na starej kanapie o popękanej skórze, wyglądającej jak niema proklamacja jego samopoczucia i statusu, i zapadł w drzemkę. Śniło mu się, że pali papierosa.

Punktualnie o siódmej trzydzieści weszło do jego gabinetu dwoje młodych podkomisarzy. Łączyła ich punktualność i bezgraniczne oddanie. Co do reszty, nie mogli się bardziej od siebie różnić.

Graziano Corvu wychował się w niewielkiej wiosce w sardyńskim interiorze. Pochodził z biednej rodziny, uczył się jak szalony i skończył z wyróżnieniem matematykę na uniwersytecie w Cagliari. Później, kiedy już pracował w policji, wieczorowo zrobił licencjat z ekonomii. Był najmłodszy z pięciu braci i jak to często w takich przypadkach bywa, cechowała go naturalna zdolność wzbudzania sympatii

w ludziach. Wszędzie miał przyjaciół, którzy byli mu winni przysługę. Cieszył się zasłużoną opinią najskuteczniejszego analityka w rzymskiej policji. Jego piętą Achillesową były dziewczyny. Na tym polu mały niezmordowany Corvu był mieszaniną niezgrabności i pecha i na nic się zdawały rady i zachęty takiego starego mistrza jak Balistreri.

Natomiast Giulia Piccolo wychowała się niedaleko Palermo w małej nadmorskiej miejscowości, z której uciekła, kiedy tylko skończyła osiemnaście lat, zaś za nią podążyły plotki na temat jej niejednoznacznej orientacji seksualnej. Wysoka i silna, metr osiemdziesiąt siedem i wytrenowane mięśnie, z twarzą o ładnych, ale nieco kanciastych rysach, ukończyła w Rzymie wychowanie fizyczne i posiadała czarny pas w karate. Nic nie było wiadomo o mężczyznach w jej życiu, co według Balistreriego było fatalnym znakiem. Była nieco zbyt impulsywna, lecz miała w sobie odwagę i bezkompromisowość, które on, o czym dobrze wiedział, utracił z biegiem lat.

– Dzień dobry, *dottore*.

Trzeba było dużo zachodu, zanim przekonał Corvu, by przestał tytułować go *signor vice questore aggiunto*, czyli jego aktualnym stopniem służbowym. Corvu zgodził się zwracać do szefa per *dottore* dopiero wtedy, kiedy Balistreri odwołał się do zdolności analitycznych swojego współpracownika i zwrócił mu uwagę, że dwa ze słów składających się na nazwę jego stopnia umniejszają wartość trzeciego¹².

– Jest pan zmęczony, *dottore* – zauważył Corvu.

Martwią się. Słyszą na korytarzu głosy, które już mnie wysyłają na wcześniejszą emeryturę.

– Byli notowani? – zapytał go Balistreri, by zmienić temat.

– Zarówno Camarà, jak mecenas Ajello są czyści. Nie figurują w rejestrze skazanych – odparł Corvu, nie wiedząc, o którego z dwóch chodzi szefowi.

– Sprawdziłeś w Interpolu?

– Tak, tam też nic.

– W sądzie?

– Również.

– A w Sisde¹³?

To już była złośliwość, Corvu nie miał upoważnienia do grzebania w zasobach informatycznych służb specjalnych.

– Zrobione, nic nie wychodzi.

Corvu odwrócił wzrok. Balistreri wolał nie pytać, jak mu się to udało.

– I nie wydaje ci się dziwne, że szef nocnego klubu ze striptizem i bramkarzami, na sto procent opłacanymi na czarno, nie ma najmniejszego zatargu z prawem? Nie mówię, że od razu wyrok, ale choćby oskarżenie o kradzież jabłek...

– Kiedy w obiegu jest dużo gotówki, musi coś być – dorzuciła Piccolo.

Corvu spochmurniał.

– Przepraszam, *dottore*, powinienem był o tym pomyśleć. Sprawdzę w urzędzie skarbowym.

– Jutro powiesz, co znalazłeś. A teraz mów mi o denacie.

– Papa Camarà pracował w Bella Blu od początku września. Przychodził o dziesiątej wieczorem i wychodził o szóstej rano, kiedy lokal zamykano. Dbał o to, by nie wchodzili „niewłaściwi” ludzie, jak to określił mecenas Ajello. Przed lokalem wybuchła kłótnia.

– Co o niej wiemy?

– Świadek, amerykański turysta, który przyszedł około drugiej, widział, jak Camarà kłóci się z motocyklistą, który potem odjechał. Konającego Camarà znaleźli na chodniku przed lokalem o drugiej trzydzieści. Dostał nożem w brzuch.

– Macie rysopis motocyklisty?

– Ten Amerykanin był pijany. Poza tym mówi tylko, że motocyklista miał kask integralny.

– Dobra, przesłuchajcie go jeszcze raz. I dowiedzcie się więcej o denacie, o Ajellu i o rachunkach, wszystkiego, co się da.

Zwrócił się do Piccolo. Wziął drugą samoprzylepną karteczkę i podał jej. Była na niej liczba 28 i wykrzyknik z pytajnikiem.

– Ma pan rację, *dottore*. Dziewczyna czekała ze zgłoszeniem aż cztery dni. Jak twierdzi, z wielu powodów. Mam protokół z wczorajszego zgłoszenia o zaginięciu, spisany w komisariacie na Torre Spaccata. Zgłaszająca, Ramona Iordanescu, dopiero od miesiąca zna zaginioną, niejaką Nadię, i nawet nie wie, jak ta Nadia ma na nazwisko. Wie jedynie, że pochodzi z wioski w Mołdawii niedaleko miasta Jassy. Nie miała żadnego sygnału od Nadii od późnego popołudnia dwudziestego czwartego grudnia.

Balistreri powstrzymał ruchem ręki strumień pytań, które Corvu już zamierzał zadać.

– Może pani streścić? – poprosił grzecznie. Zawsze bardzo uważał, by nie zranić jej wrażliwości. Zwracanie się do niej per pani, choć mówił do Corvu na ty, było formą szacunku, a ona nie protestowała.

– Ramona Iordanescu, urodzona czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w Jassach w Rumunii.

– Wcześniej pani mówiła, że w Mołdowie – wszedł jej w słowo Balistreri.

– Nie w Mołdowie, *dottore*, ale w Mołdawii, chodzi o region Rumunii – uściśliła Piccolo. – Od pierwszego grudnia dwa tysiące piątego roku zamieszkuje przy via Tiburtina w lokalu należącym do niejakiego Mariusa Hagiego, również właściciela pobliskiej sali bilardowej i pracodawcy jej dalekiego kuzyna, Mircei Lacatusa. Poznała Nadię podczas podróży autobusem z Mołdawii do Rzymu w końcu listopada. Polubiły się i postanowiły zamieszkać razem. Po przyjeździe do Rzymu zostały przez Mirceę i drugiego kuzyna, Grega, groźbami zmuszone do prostytutcji. Zwyczajowe

miejsce „pracy”: via di Torricola, długa ulica prowadząca za miasto pomiędzy via Appia i via Casilina. Dwudziestego czwartego grudnia Ramona razem z Nadią pojawiły się w tym miejscu około osiemnastej. Iordanescu wsiadła do samochodu klienta około osiemnastej trzydzieści, a kiedy wróciła, Nadii już nie było, ani tam, ani w ich pokoju przy via Tiburtina, do którego Ramona przyszła następnego dnia o świcie. Miały pojechać razem do Rumunii, by spędzić tam koniec roku. Ramona twierdzi, że nie zgłaszała wcześniej zaginięcia, bo myślała, że przyjaciółce udało się uciec opracowcom. Zostawiła nam fotografię, na której jest Nadia i ona.

Piccolo przekazała im zdjęcie. Dwie objęte wespół dziewczyny na placu Świętego Piotra. Wokół nich serce narysowane czerwonym długopisem. Nie wyglądały na więcej niż dwadzieścia lat. Jedna wysoka brunetka, druga delikatna, niewielka blondynka. Tym samym czerwonym długopisem napisano pod brunetką literę R, pod blondynką – N.

– I wczoraj zdecydowała się zgłosić zaginięcie. Dlaczego? – zapytał Corvu.

Piccolo odczytała wprost z protokołu:

– „Iordanescu stawiała się w dniu dzisiejszym, dwudziestego ósmego grudnia dwa tysiące piątego roku o godzinie piątej rano, by formalnie zgłosić zaginięcie...” i tak dalej... „ponieważ za godzinę wyjeżdża autokarem do Rumunii”. – Podniosła oburzony wzrok na Balistreriego. – Nikomu nawet nie wpadło do głowy, by ją zatrzymać.

Balistreri powstrzymał się od okazania irytacji.

Czego ty oczekujesz? Kogo miałoby obchodzić, że znika rumuńska dziwka bez pozwolenia na pobyt?

Za oknem rozlegały się coraz głośniejsze klaksony, słyhać je było nawet przez podwójne okna. Mocno padało. Balistreri lubił taką pogodę.

Deszcz amortyzuje i łagodzi życie. Tak samo jak antydepresant.

Spojrzał na zegarek.

– Jest ósma dziesiąta – powiedział, patrząc na Piccolo.

– Sprawdziłam już. Zmianę mają o dziewiątej. – Piccolo już stała.

– Proszę wziąć ze sobą Krasnała i włączcie syrenę. W czasie deszczu Rzym to koszmar.

Inspektor Antonio Coppola był pięćdziesięcioletnim neapolitańczykiem znanym z trzech rzeczy: niskiego wzrostu, któremu zawdzięczał poczciwy przydomek, galanterii wobec kobiet i lekkiego rasizmu typowego dla kogoś, kto sam jako południowiec doświadczał dyskryminacji. W młodości był dwukrotnie żonaty z kobietami znacznie piękniejszymi od siebie. Jedna i druga wyrzuciła go z domu z tego samego powodu: ewidentnej niewierności. Sam twierdził, że cierpi na chorobę kompensacyjną. W skrócie chodziło o to, że damskie podboje były sposobem zrównoważenia poczucia niższości

związanego ze wzrostem. Później ożenił się z Lucią, dziewczyną z Neapolu, swoją pierwszą licealną miłością, kobietą wysoką i piękną. Urodził im się Ciro, chłopak obecnie siedemnastoletni, który odziedziczył wzrost po matce i był kapitanem szkolnej drużyny koszykówki. Aktualnie Coppola ograniczał się już tylko do słownego naprzykrzania się pięknym paniom, jednak nie przekraczał granic.

Niemniej Balistreri musiał trzymać go z daleka od co nadobniejszych przesłuchiwanym. Nie chciał być ani przyczyną, ani świadkiem sentymentalnych kryzysów.

Coppola usiadł za kółkiem i włączył syrenę. Po drodze Piccolo informowała go o sprawie. Prowadził przez zapchane ulice, jakby był sam jeden na torze Formuły 1 w Monzy.

Szybko wyjechali z centrum i piękne historyczne kamienice ustąpiły miejsca obrzydliwym blokowiskom wschodnich obrzeży Rzymu, znanych ze spekulacji deweloperskich w latach sześćdziesiątych.

Na komisariat w Torre Spaccata dojechali za piętnaście dziewiąta. Za wejście służyła pordzewiała brama w sześciopiętrowej kamienicy z setkami okien i bez żadnego balkonu. Zadzwonili przez domofon.

– Komisariat – odezwał się młody głos z silnym sycylijskim akcentem.

Funkcjonariusz dyżurny nazywał się Giuseppe Marchese, miał niewiele ponad dwadzieścia lat, był śniady, krótko obcięty i sądząc po spojrzeniu, niegłupi. Był w cywilnym ubraniu i od razu zwrócił się do mężczyzny.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał, całkowicie ignorując Piccolo.

– Inspektor Coppola. – Krasnal okazał legitymację. Roztropna pauza. Funkcjonariusz zaczynał się denerwować, sekcja specjalna zawsze wywoływała taki efekt. Potem Coppola wskazał na stojącą obok kobietę. – Towarzyszę podkomisarz Piccolo.

– Na... na... natychmiast wezwę przełożonego – wyjąkał Marchese, wyciągając rękę do telefonu.

– Nie – zatrzymał go zdecydowanie Coppola – z tobą chcemy porozmawiać. Jest tu jakieś dyskretne miejsce?

– Prawdę mówiąc – powiedział słabym głosem Marchese, patrząc na zegar ścienny – za pięć minut kończę służbę.

– Tym lepiej, nikt nam nie będzie przeszkadzać. Gdzie siądziemy? – przycisnął go Coppola.

Trochę mu go było żal, to był jeszcze prawie dzieciak, widział w życiu niewiele więcej poza swoją wioską i tym komisariatem w jednej z najbrzydszych dzielnic obcego miasta. Z drugiej strony, skoro pozwolili Ramonie wyjechać, to była także jego wina.

Marchese poprowadził ich do niewielkiego pokoju za rogiem. Inni policjanci właśnie się witali i żegnali: nowa zmiana. Niektórzy patrzyli na nich, nie wiedząc, co

myśleć. Coppola zamknął im drzwi przed nosem. W pokoju znajdowały się biurko i dwa krzesła. Coppola przesunął jedno krzesło w stronę Piccolo, która usiadła w rogu. Sam oparł się ciężko o biurko.

– Siadaj – powiedział.

Biedak usiadł na krawędzi krzesła, tyłem do Piccolo.

– Ramona Iordanescu. Ty przyjmowałeś jej zgłoszenie – zaatakował Krasnal.

Marchese zerwał się na równe nogi.

– Panie inspektorze... – zaczął.

Coppola położył mu rękę na ramieniu i chłopak znów usiadł. Wyraźnie się denerwował. Piccolo nauczyła się rozpoznawać strach. Nawet jak na wrażliwego chłopaka reakcja była przesadna. Jasne, sekcja specjalna, ostre zachowanie Krasnala... Ale nikt go jeszcze o nic nie oskarżył. Wstała i podeszła do chłopaka. Równocześnie, w pełnej synchronizacji czasowej, Coppola znikł z jego pola widzenia.

Przykucnęła przy Marchesem, tak by ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Giuseppe – zaczęła bardzo spokojnym głosem – ty nie zrobiłeś nic poważnego, twój stopień ci na to nie pozwala.

Popatrzył na nią, jakby była Madonną ze Sciacca¹⁴, która właśnie przyszła, by uchronić go od piekła. Dała mu czas, aby się uspokoił. Potem cichym głosem odezwała się w czystym sycylijskim:

– Tylko jedną rzecz musisz mi powiedzieć tak od razu: kto ci powiedział, żebyś jej pozwolił wyjechać do swojego kraju.

Wzrok chłopaka pobiegł w stronę drzwi, za którymi słychać już było szmerek. Spojrzała znacząco na Krasnala, który stanął przed wejściem. Ktoś zapukał. Coppola otworzył, wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą. Po drugiej stronie zrobiło się głośniejsze. Miała minutę, może mniej.

– My, Sycylijczycy, nie jesteśmy tu u siebie, musisz powiedzieć prawdę, bo jak nie, to masz przesrane – ciągnęła wciąż po sycylijsku.

– My, biedacy, zawsze mamy przesrane – jęknął i półgłosem podał nazwisko.

W korytarzu wybuchło pandemonium. Piccolo szeroko otworzyła drzwi. Pięćdziesięciolatek w mundurze z dystynkcjami podkomisarza, wyższy o dobre trzydzieści centymetrów od Coppoli, stał nad nim i wrzeszczał:

– Zgłoszę was do organów dyscyplinarnych, nie jesteśmy w Chicago, za kogo wy się kurwa...

Potem zobaczył Piccolo i na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Musiał się zastanawiać, kim jest ta suka złożona z samych mięśni.

Piccolo, jakby czytając w jego myślach, pokazała mu legitymację. Spojrzał na nią, ale zaraz wrócił do agresywnego tonu:

– Kimkolwiek pani jest, nie można tak sobie wchodzić do środka i poddawać przesłuchaniu jednego z moich ludzi.

Popatrzył na nią z pogardą i przedstawił się: podkomisarz Remo Colajacono. Wysoki i potężnie zbudowany, z sięgającymi karku gęstymi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu i utrzymywanymi w porządku z pomocą brylantyny, bokerski nos, gniewne, osadzone blisko siebie czarne oczy.

– Jeśli pan pozwoli, porozmawiamy o tym w pana gabinecie, nie na środku korytarza – powiedziała łagodnie Piccolo.

Odwrócił się niegrzecznie i poszedł przed nią do narożnego pokoju, usiadł na swoim fotelu pod krucyfiksem i fotografią prezydenta Republiki i nie zapraszając, by usiadła, wskazał na Coppolę i oświadczył:

– Inspektor zostaje na zewnątrz.

Coppola wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Dobrze – zagaiła Piccolo. – Porozmawiajmy o Ramonie Iordanescu.

– O wczorajszym zgłoszeniu zaginięcia. A więc? – powiedział nieco zbyt szybko.

Powstrzymała uśmiech: mężczyźni skłonni do przemocy często zbyt się spieszą.

– Nie, o tym wcześniejszym zgłoszeniu. To z panem rozmawiała?

Colajacono czuł się niepewnie, bo Piccolo nie mieściła się w stereotypach kobiet, do których był przyzwyczajony: matki, siostry, suki, denatki. Był wysoki, ona wyższa. Był muskularny, ona jeszcze bardziej. Miał stosunkowo wysoki stopień, ona taki sam, na dodatek pracowała w ważniejszej jednostce.

By zyskać na czasie, zapalił cygaro.

– Przeszkadza pani dym?

– Nie – odpowiedziała. Wstała i jakby była u siebie, podeszła otworzyć okno.

Colajacono postanowił obrać strategię, w której czuł się pewniej.

– Za pierwszym razem rozmawiałem z nią tylko parę minut. Przyszła przed południem dwudziestego piątego grudnia. Posterunkowy Marchese powiedział mi, że jest tu dziewczyna z Rumunii, która chce rozmawiać z komisarzem, i żeby uniknąć kwasów, przyjąłem ją. Powiedziała mi, że jej przyjaciółka Nadia zniknęła. Zapytałem, czy dziewczyna miała telefon komórkowy, odpowiedziała, że nie, nie stać ich na to. Zapytałem, czy przyjaciółka była zadowolona z tej pracy, powiedziała, że nie, ona też nie jest, żadnej z nich nie może się to podobać. Wszystkie są dziwkami, a żadna nie jest zadowolona.

Piccolo nie skomentowała, ale pociemniała jej twarz.

– Powiedziałem jej, żeby dała nam znać, jeśli nieobecność koleżanki się przedłuży – zakończył spokojnie Colajacono.

Piccolo uniosła brew.

– Naprawdę? Był pan tak ogólnikowy?

Colajacono obrzucił ją zimnym spojrzeniem swoich czarnych oczek.

– A kto by to pamiętał? I tak jest oczywiste, że suka znalazła sobie jakiegoś durnego Włocha, który przez jakiś czas będzie ją utrzymywał, i uciekła.

– Według pana łatwo się ucieka z via di Torricola?

– Niech mi pani powie, pani wie wszystko – odparł ironicznie, wydmuchując jej dym prosto w twarz.

Nie możesz go tknąć, Giulia. Nie tu. Nie teraz.

Wstała.

– Odnajdziemy Ramonę – powiedziała. Potem patrząc mu prosto w oczy, z anielskim wyrazem twarzy szepnęła: – Miejmy nadzieję, że tymczasem nic jej się nie przydarzy.

Na korytarzu znalazła Marchese, który był już po służbie. Wyszli razem z Coppolą. Choć dochodziła już dziewiąta trzydzieści, ruch uliczny był bardzo gęsty. W strugach deszczu przeszli na drugą stronę ulicy, lawirując między samochodami i skuterami, które ocierały się o nich, nie próbując nawet zatrzymać się na pasach. Bar był pełen ludzi, prawie samych spóźnionych do pracy urzędników, którzy spokojnie jedli śniadanie. Było też paru imigrantów w kombinezonach roboczych.

– Pieprzeni Rumuni, piją piwo już o tej porze. – Coppola nie potrafił się powstrzymać od pogardliwego komentarza.

Krasnal przyjął teraz na siebie rolę ojcowską, a Marchese poza komisariatem był już spokojniejszy. Piccolo zostawiła ich w barze na kawie.

Sama zamknęła się w samochodzie i włączyła ogrzewanie. Wciąż mocno padało, ulicę blokowały samochody posuwające się z prędkością pieszego, żeby przejechać ubytek w jezdni, gdzie zebrało się dwadzieścia pięć centymetrów wody. Zlikwidować w całym Rzymie dziury w drogach i koczowiska nomadów.

Tak właśnie opozycja naciskała na burmistrza. Dziury i Romowie.

Można by zatkać dziury ciałami Romów. Wielu by się zgodziło.

Zatelefonowała do Balistreriego. W krótkich słowach opisała mu sprawę.

– Dobra, Piccolo, proszę przywieźć posterunkowego Marchese. Colajaconem zajmę się sam.

Uśmiechnęła się. Balistreri nie chciał, żeby narobiła sobie kłopotów.

– Corvu, potrzebuję po obiedzie umówić się na spotkanie z Lindą Nardi. Pancernie. – W słowniku Balistreriego oznaczało to: w całkowitej tajemnicy.

Corvu wyszedł od szefa kompletnie oszołomiony. Linda Nardi była dziennikarką, a więc należała do kategorii, której Balistreri unikał jak zarazy. Na dodatek pisała dla dziennika, który często atakował siły porządkowe i który Balistreri wyeliminował nawet ze swojej prasówki. Kiedy pięć miesięcy wcześniej zrobiło się głośno o sprawie Samantha Rossi, Linda Nardi szczególnie energicznie punktowała błędy sekcji specjalnej. A potem, co bardzo dziwne, nie dołączyła do kampanii prasowej

żądającej głowy Balistreriego.

Vice questore aggiunto zapalił trzeciego papierosa z dziennego limitu. Linda Nardi. Ile lat może mieć? Pewnie około trzydziestu pięciu, choć były dni i chwile, kiedy wydawała się dziesięć lat młodsza albo tyle samo starsza. Piękna kobieta albo piękna dziewczyna, zależnie od dnia i chwili. Twarz zbyt poważnego dziecka, spojrzenie przechodzące od pełnego zainteresowania do obojętności. Kobieta tyleż miła i otwarta, co zdecydowana w sądach i nieugięta w ich przekazywaniu. Balistreri wiedział, że w samej gazecie uważa się ją za niezastąpioną z powodu popularności, jaką cieszyły się jej artykuły, ale również za niebezpieczną z racji kłopotów, które te same artykuły w przeszłości sprowadzały na redakcję ze strony świata polityki, skrajnych odłamów Kościoła, a nawet rządów niektórych państw.

Jeśli wierzyć korytarzowym plotkom, wielu policjantów i dziennikarzy już do niej startowało, ale bez skutku. Grzeczna, miła, lecz w tej kwestii nieprzystępna i nieosiągalna, potrafiła nawet upokorzyć tego i owego zalotnika. Poprzednik Balistreriego w sekcji zabójstw, Colicchia, był psem na baby i autentycznym kolekcjonerem kobiet. Pojawienie się w jego otoczeniu kobiety, z którą nie mógł uprawiać seksu, groziło mu utratą równowagi wewnętrznej. Trochę z wrodzonej zarozumiałości, a trochę dlatego, że uważał wszystkie kobiety za puszczałskie, wysłał jej bukiet czerwonych róż z bilecikiem, w którym zapraszał ją na kolację, gdzie tylko zechce. Grzecznie odmówiła, lecz Colicchia nastawał, posuwając się nawet do zawołanej groźby, że odetnie ją od cennych informacji. Ostatecznie przyjęła zaproszenie i wybrała *Il Convento*. Dla niego, niebywałego skąpca, był to ciężki cios: restauracja miała jedynie osiem miejsc i jadło się w niej bosko, tyle że za astronomiczne kwoty, z pewnością przekraczające możliwości finansowe uczciwego policjanta. Jednak było już za późno, by się wycofać. Zabrał ją tam, zaczął ten sam co zwykle repertuar opowieści o zbrodniach mniej lub bardziej romantycznych, którymi zazwyczaj robił wrażenie na swoich zdobyczach – i odkrył, że Linda Nardi jest tyleż cnotliwa, co nienasycona. Przy stole. Zamówiła dużo dań i najdroższe wina, z których upijała ledwie łyk. Potem zaczęła prosić Colicchię, by opowiadał coraz to bardziej krwawe historie. Wreszcie, kiedy zostali już jedynymi gośćmi w lokalu, przeszła do ataku i zaczęła opowiadać ze śmiertelną powagą o swoim osobistym dziennikarskim śledztwie w sprawie zbrodni popełnianych w Stanach Zjednoczonych przez kobiety na mężczyznach. Snuła opowieści o odrażających okaleczeniach. Na sam koniec Colicchia, który jak niemal wszyscy w wydziale kryminalnym cierpiał na niezbyt żołądka, a tego wieczoru wlał w siebie całe to wino, które ona zamówiła i którego ledwie spróbowała, musiał pobiec do łazienki i zwymiotować wszystko, po czym wrócił biały jak prześcieradło. Koniec wieczoru.

Jak zwykle postanowił nie brać służbowego auta. Wciąż padało, Rzym tonął w powodzi.

Dopiero co minęła dziewiąta trzydzieści, godzina, o której miasto naprawdę otwierało swoje podwoje: sklepikarze podnosili rolety, wokół przetaczały się kohorty urzędników – spóźnionych albo tych, którzy podbili tylko karty zegarowe i od razu zeszli do baru na śniadanie – i przeróżnych asystentów parlamentarnych, ministerialnych oraz zwykłych gońców. W pobliżu budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uformował się zator złożony z autobusów, taksówek, samochodów służbowych i prywatnych posiadających prawo wjazdu do centrum ze względu na pracę: krótko mówiąc, połowa Rzymu. Wszyscy trąbili jak wariaci, jak gdyby jazgot klaksonów potrafił rozładować korek.

Doszedł do stacji metra przy via Cavour. Wagon był brudny i niemal pusty. Zobaczył, jak dwaj imigranci przeskoczyli ze śmiechem nad bramkami wejściowymi i zbiegli w dół schodami.

– Sukinsyny! – wrzasnął za nimi kontroler i dodał, zwracając się już do swojego kolegi: – Gówniane czarnuchy...

Kiedy Balistreri wyszedł z metra, jego palmtop odzyskał zasięg i zasygnalizował dwie wiadomości od Corvu. Pierwsza dotyczyła spraw ogólnych i Rumunów, do których Balistreri się właśnie wybierał. Druga zawierała tylko adres i godzinę: *L. N. – Sant’Agnese in Agone, 15.00.*

Resztę drogi przejechał autobusem. Tu przynajmniej się jechało, to nie były zaułki w centrum. Czuć było za to wyraźny smród odpadków, dzień po Bożym Narodzeniu śmieciarze zaczęli strajk. Centrum wysprzątała prywatna firma, żeby przynajmniej turyści nie widzieli tego pieprznika. Za to na przedmieściach śmieci wysypywały się z kontenerów na chodniki i ulice.

Kiedy wysiadł z autobusu, zobaczył dwóch bezdomnych zbierających opakowania po świątecznych ciastach, w których coś jeszcze mogło się znajdować. Przechodząc obok nich, poczuł smród uryny i alkoholu. Jeden z nich odezwał się do niego obcesowo:

– Szefie, daj zapalić.

Balistreri dał mu papierosa. Nawet lepiej, wypali dziś jednego mniej.

Bar z salą bilardową mieścił się w sfatygowanej kamienicy, do której wejście znajdowało się zaraz obok. Miał szklane wysłużone drzwi i zapalony mimo światła dziennego błękitny neon z migającą literą B. Bar Biliardo. Za kontuarem stał szczupły, przystojny chłopak z włosami spiętymi w koński ogon. Dwaj Filipińczycy grali na automatach.

Zamówił kawę. Barista przygotował ją natychmiast i podał razem z czekoladką. Na drzwiach do toalety widniał napis „Nieczynna”, jak niemal we wszystkich rzymskich barach. Tu jednak zamiast powiesić kartkę, napisano to pisakiem wprost na drzwiach,

przypieczętowując ostateczność faktu. Obok wejścia do toalety było jeszcze jedno, zamknięte. Napis na nim głosił: „Sala bilardowa”.

Do baru wszedł krępy młody mężczyzna z wygoloną głową i trzydniowym zarostem, w długim płaszczu z czarnej skóry.

– Chcesz piwa, Greg? – zapytał usłużnie barman. Miał wschodnioeuropejski akcent.

Greg potwierdził, oparł się o bar i zapalił papierosa dokładnie pod tabliczką z napisem „Zakaz palenia”. Widząc to, zapalili również obaj Filipińczycy.

– Tu się nie pali, zgaście to – polecił Greg.

Zadeptali niedopałki na podłodze i wrócili do gry.

– Zabierzcie pety z podłogi i wynieście je stąd, nie jesteście u siebie w domu – rozkazał.

Młodszy Filipińczyk odwrócił się z wściekłością, ale kolega go powstrzymał. Zabrali niedopałki i wyszli.

– Te żółtki to zwykłe gnoje, nie wpuszczaj ich tu więcej, Rudi – zwrócił się Greg do barmana. Potem zabrał piwo, beknął i poszedł do sali bilardowej, zamykając za sobą drzwi.

– Skąd jesteś? – zapytał barmana Balistreri.

– Z Albanii, proszę pana – odparł chłopak.

Balistreri okazał policyjny identyfikator, zwyczajny, nie legitymację sekcji specjalnej.

– Chcę się widzieć z kuzynami Lacatus.

– Jest tylko Greg.

– A jego kuzyn?

– Mircea gdzieś pojechał dziś rano.

– Myślałem, że go tu znajdę. – Balistreri udał zaskoczenie. – Kiedy pojechał?

– Tak naprawdę był tutaj z panem Hagim. Ale pół godziny temu wsiadł w samochód i gdzieś pojechał. A pan Hagi poszedł do Mariustravel, swojego biura podróży.

– Jaki samochód ma Mircea?

Chłopak się zastanowił.

– Nie wiem, ale kazał mi zapłacić podatek drogowy, mam numer rejestracyjny.

Balistreri wyciągnął palmtop i wysłał do Piccolo dane, nakaz zatrzymania samochodu oraz polecenie, by jak najszybciej zjawiała się w barze.

Potem zmienił temat.

– Znałeś Ramonę i Nadie?

Albańczyk zaczął się denerwować, zerkał na drzwi sali bilardowej.

Podstawowa różnica między pomocnikami a prawdziwymi przestępcami. Pierwsi trzęsą gaciami, drudzy mają gdzieś policję.

– Nie musisz się martwić Gregiem i Mirceą. Jak zechcę, zamknę ich, a kiedy wyjdą, będziesz już daleko stąd.

– Wasz wymiar sprawiedliwości tak działa, że oni wyjdą, zanim ja zdążę dojść na przystanek autobusowy.

Jest naprawdę bystry.

– Jeśli powiesz wszystko, pomogę ci.

– A potem gdzie się schowam? – jęknął Rudi, łapiąc się za głowę.

Zza drzwi dobiegł głos Grega:

– Hej, dupeczko, jeszcze jedno piwo.

Balistreri podszedł najpierw do drzwi sali bilardowej i powoli przekreślił klucz w zamku, potem do wejścia do baru i odwrócił na zewnętrzną stronę wywieszkę z napisem „Zamknięte”.

Zza metalowych drzwi dobiegło ponownie wołanie Grega:

– Ej, rusz się z tym piwem! A może chcesz, żebym ci znowu zerznął dupsko?

Albańczyk się zdenerwował.

– Chcę adwokata – powiedział w nagłym porywie sprzeciwu.

Balistreri pokręcił głową.

– Niepotrzebny ci, nikt cię o nic nie oskarża.

Wyprowadził go z baru na chodnik, gdzie nie było słyhać gróźb. Greg z pewnością zadzwoni ze środka do jakiegoś współnika, żeby go uwolnił z zamknięcia. Wysłał esemesa do Piccolo, żeby się pospieszyła.

– Jak masz na imię?

– Rudi. – Chłopak był już spokojniejszy. Wyciągnął z kieszeni papierosy i małą niebieską zapalniczkę. – Wie pan, w barze nie wolno palić. Chce pan?

– Dziękuję, mam swoje, ale teraz nie chcę.

Rudi zapalił drżącymi rękami.

– Greg i Mircea przywozili je tu wczesnym rankiem.

– Hagi też je wykorzystywał? – zapytał Balistreri.

– Nie, pan Hagi nie jest taki jak ci dwaj, płaci mi i daje jeść. No i mam gdzie spać. Nie mieszka tu, przyjeżdża tylko rano sprawdzić, czy wszystko działa.

– Gdzie mieszkają dziewczyny?

– Mają pokój w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Jeden pokój jest Grega i Mircei, w drugim ja mieszkam, a one dwie w trzecim. Wychodziły o piątej, kiedy się ściemniało. Jak miały jakieś zlecenie u klienta, wychodziły później, ale wtedy woził je Mircea.

– I wiesz, dokąd je zawoził?

– Nie, kiedyś zapytałem o to Ramonę, ale powiedziała, że nie może o tym mówić.

– Pamiętasz, kiedy Mircea odwoził je ostatni raz?

– To akurat łatwo zapamiętać. Tuż przed świętami, dokładnie dwudziestego trzeciego. Wziął tylko Nadię. Ramona wyszła jak zawsze o piątej, Nadia pojechała o ósmej trzydzięci. Tej nocy Ramona wróciła wcześniej, źle się poczuła. Była północ,

zamknąłem już bar. Niedługo później przyjechali Mircea i Greg, Nadii nie było. Oni zostali na dole, żeby pograć w bilard, ja poszedłem do siebie. I zastałem Ramonę, która wymiotowała. Wróciłem na dół i przyniosłem jej gorącej lemoniady, nie mówiąc Gregowi ani Mircei, że wróciła. O północy złożyliśmy sobie życzenia i wypiliśmy toast lemoniadą, bo wieczorem dwudziestego czwartego nie mogliśmy się spotkać.

W tym momencie dwaj młodzi ludzie w skórzanych kurtkach i dżinsach zsiadli z crossowego motocykla i podeszli do nich.

– Ej, dupeczko, co ty tu robisz, do kurwy nędzy? Podrywasz staruchów w godzinach pracy? – powiedział wyższy. Miał silny wschodni akcent, był potężnie zbudowany, łysy, wytatuowany na szyi i rękach.

– Coś mi się widzi, że znów ci zerzną tyłek, chujku – dodał drugi, niski, z pożółkłymi zębami. – Zamknąłeś Grega w środku, żeby się wdzięczyć do tego staruszka?

Balistreri udał zakłopotanie.

– Wybaczcie, przepraszam, to moja wina. Poprosiłem Rudiego, żeby...

Większy motocyklista warknął na niego:

– Zabieraj stąd swoje dupsko, staruchu, znajdź sobie kogoś innego, kto ci obciągnie.

– Splunął na ziemię i dodał: – Ci Włosi!... Same pedały i dziwki.

Cicho podjechały dwa nieoznakowane radiowozy. Wsiadła Piccolo i czterej agenci w cywilu. Oni też wyglądali jak przestępcy. Balistreri rzucił im spojrzenie i weszli do środka.

Weszli również obaj Rumuni, a za nimi Balistreri i Rudi. Potem zamknął drzwi wejściowe na klucz.

– Co ty kurwa wyprawiasz, wapniaku... – zaczął ten większy.

Piccolo pokazała legitymację, czterej funkcjonariusze ustawili się tak, by było widać, że są uzbrojeni.

– Ręce do góry – zakomenderowała Piccolo.

Przeszukali ich. Obaj mieli noże sprężynowe. Świetnie.

Piccolo odczytała im prawa. Założyli im kajdanki, Rudiemu w pierwszej kolejności.

Potem wyciągnęli wściekłego Grega. Miał w kieszeni torebkę koki. Wykonał ruch, jakby chciał się rzucić na przeszukującego go agenta, a wtedy Piccolo wymierzyła mu w splot słoneczny jedno precyzyjne uderzenie, które powaliło go na kolana i pozbawiło tchu. Doskonały cios, nie zostawiający śladów. Zanim Greg złapał oddech, miał już na rękach kajdanki. Balistreri obrzucił Piccolo napominającym spojrzeniem.

Jest dokładnie taka sama jak ja kiedyś. Muszę nauczyć ją nieco rozwagi.

Piccolo już wezwała dodatkowe radiowozy z pobliskich komisariatów. Wszystkich zabrano do kwestury. Z wyjątkiem Rudiego. Balistreri zwrócił się do chłopaka:

– Kto teraz mieszka w pokoju Nadii i Ramony?

– Nikt. Ale mam klucze, ja tam sprzątam.

Balistreri spojrział na Piccolo. Byli już na granicy tego, co wolno bez nakazu.

– A może pokój jest otwarty, co, Rudi? – zasugerowała Piccolo.

Chłopak naprawdę był bystry.

– Coś mi się zdaje, że tak, jest otwarte.

– Okej, *dottorressa*, pani idzie na górę się rozejrzeć. Potem wróćcie tutaj.

– Zadzwoń jeszcze do Corvu, żeby uprzedził prokuratora o zatrzymaniach – zaproponowała.

Balistreri skinął głową.

– Dobrze. I proszę pamiętać, że śmieciarze wciąż strajkują.

Chłopak od razu się spodobał Giulii Piccolo. Miły, bezbronny. A poza tym – całkiem zaskoczyła ją ta myśl – bardzo przystojny.

Kiedy wyszli z baru, by wejść do bramy obok, nie zdjęła mu kajdanek, tylko dała brutalnego kuksańca.

Na wypadek gdyby któryś z tych gnojków nas jeszcze obserwował.

Weszli, korzystając z kluczy Rudiego. Mieszkanie składało się z kuchni, łazienki i trzech pokoi, w każdym stały dwa pojedyncze porządnie łożka. Salonu nie było. Najbardziej podstawowe umeblowanie, w większości rupiecie. W pierwszym pokoju, w którym mieszkali Mircea i Greg, stał telewizor i odtwarzacz DVD. Środkowy zajmował Rudi, mogli tam jeszcze spać ewentualni goście. Pokój Nadii i Ramony, na samym końcu, był samowolą budowlaną typową dla połowy mieszkań w Rzymie: garderoba połączona z balkonem obudowanym aluminium i pleksiglasem. Dwa rozwalające się łożka, stara komoda, żadnej szafy. Na ścianach liszaje wilgoci. Ciemna łazienka z pozbawionym deski sedesem, umywalką, bidetem i małym prysznicem. Smród niedopałków i amoniaku.

Weszli do pokoju dziewczyn. Rudi znowu zrobił się nerwowy.

– *Signora*, dziękuję za kajdanki i kuksańca tam na dole.

– Nie mów do mnie *signora*.

– *Dottorressa*? – zapytał poważnie.

Cholerny Balistreri!

– Jestem podkomisarzem – powiedziała.

Oba łożka były posłane. Na jednym pościel była świeża, na drugim nie.

– Które jest Nadii?

Wskazał to ze świeżą pościelą.

– Mircea kazał mi zmienić prześcieradła.

– Kiedy ci kazał?

– Dwudziestego piątego pod wieczór, po tym, jak Ramona poszła pracować. Byłem w barze, kazał mi iść na górę i zrobić porządek.

– W jakim sensie zrobić porządek?

Rudi okręcał włosy wokół palca, wyraźnie czuł się nieswojo w tym pomieszczeniu.

– Bo tak, był tu syf, rzeczy walały się po ziemi. Na pewno były tu ubrania Nadii,

uporządkowałem je trochę, ale były też rzeczy Ramony, która zwykle trzyma porządek. Leżały na podłodze. Nadia zawsze bałaganiała, potem to sprzątałem, ale Ramona takiego syfu jeszcze nigdy nie zostawiła. Potem zmieniłem pościel na łóżku Nadii i zasłałem od razu to drugie.

– A później wchodziłeś tu jeszcze? – zapytała.

Teraz Rudi drżał jak liść na wietrze.

– Nie mam już siły rozmawiać tu, w środku...

– Spokojnie, zaraz stąd idziemy.

Zeszli do baru. Piccolo weszła do sali bilardowej. Dwa stoły do bilardu, piłkarzyki, dwa stoliki do gry w karty, dwa kolejne automaty do gry, telefon na ścianie. W rogu leżały trzy czarne plastikowe worki.

Śmieciarze wciąż strajkują.

– Co jest w tych workach? – zapytała.

– Mircea kazał mi wyrzucić na chodnik tę część odpadków, która śmierdzi, i zatrzymać resztę do czasu, aż śmieciarze wrócą do pracy. Ale wydawało mi się, że tu były tylko dwa worki.

Piccolo kazała jednemu z agentów otworzyć wszystkie trzy. Pierwsze dwa były pełne puszek i butelek po piwie, niedopałków, gazet, kolorowych magazynów i papierowych opakowań. W trzecim worku była czerwona kurtka, dwie bluzki, dwie poliestrowe minispódniczki, para dżinsów, zużyte adidas, błękitny sweter i dużo pończoch, biustonoszy i majtek. Dwa rodzaje bielizny osobistej: jak dla dziwki i jak dla nastolatki. Wszystko tandetne, Nadia musiała kupić to na jakimś straganie w swoim kraju.

Piccolo zauważyła, że Rudi cicho płacze, z godnością tych, którzy nie mają już nadziei. Położyła mu rękę na ramieniu.

Chłopak wskazał jeden z otwartych worków, z którego wystawały kolorowe magazyny w języku rumuńskim. Fotografie okładkowe wskazywały na typowe plotkarskie tygodniki.

– To też są rzeczy Nadii – powiedział.

Piccolo schyliła się, wzięła do ręki parę egzemplarzy i zaczęła je kartkować. Z jednego wypadł kartonik wielkości wizytówki. Podniosła go. Napis na kartoniku brzmiał: *Rzym – Jassy – stacja Roma Tiburtina – 29 grudnia 2005, godz. 6.00, miejsce 12.*

Wyszła, myśląc o pustym miejscu w autobusie jadącym do domu.

Przestało padać i słońce zaświeciło na błyszczących od wody ulicach. Uliczny ruch nieco się przerzedził i Balistreri wrócił do centrum taksówką.

Przez okno przyglądał się przedmieściom: piesi, na ulicach wypełnione deszczówką

dziury, wszędzie odpadki. Taksówkarz kipiał złością na burmistrza.

– Niech pan zobaczy, jakie dziury! Co pół roku muszę zmieniać gumy! Jak pan myśli, czy za Mussoliniego były w Rzymie dziury? A te polityczne szumowiny nic, tylko kręcą lody! Za to my musimy po nocach jeździć do San Basilio, Tor Bella Monaca, Tor de' Cenci, do Quartuccio... Niech ten kurewski burmistrz komunista sam sobie tam pojedzie i zamieszka z czarnuchami i z Rumunami...

Im bliżej centrum, tym mniej było nieczystości i zmieniał się rodzaj pieszych idących chodnikami. Przejechali obok Koloseum i Forum Romanum, na powrót obleganych przez tabuny szczęśliwych turystów.

Oto cudowny Rzym, kamienice w barwie ochry, marmury, bulwary nad Tybrem.

Zjawił się w biurze około pierwszej i poprosił nową asystentkę, by była tak dobra i przyniosła mu z baru coś do zjedzenia. Po pięciu minutach Margherita wróciła z kawałkiem pizzy z szynką i bawolą mozzarellą oraz z butelką piwa.

– Margherita, czytasz mi w myślach, domyślasz się bez słów, co lubię.

Dziewczyna oblała się rumieńcem i szybko wyszła.

Tylko tyle ci pozostało, Balistreri. Dwuznaczności.

Zjadł ze smakiem, czytając mail od Piccolo z relacją o tym, co odkryła. Wszedł Corvu z zadowolonym uśmieszkiem na poważnej twarzy.

– Co tam mamy, Corvu? – Nie kazał mu usiąść, wiedział, że jego zastępca lepiej się czuje, gdy ma swobodę ruchów podczas mówienia.

Podkomisarz zerknął do notatnika, który trzymał w ręce.

– Są nowe informacje o mecenasie Ajellu, dyrektorze klubu nocnego, w którym został zamordowany Senegalczyk. Bella Blu należy do spółki ENT, a nowe informacje pochodzą ze skarbówki – zaczął z zadowoleniem.

– To potem, teraz chcę się dowiedzieć o posterunkowym Marchese. Gdzie go dałeś?

Corvu zachmurzył się, widząc, że cały jego misterny plan został wywrócony do góry nogami.

– Jest w moim gabinecie, ale zabronił mi go pan przesłuchiwać...

– Oficjalnie – uzupełnił Balistreri – ale chyba nie siedzieliście tam i nie gapiliście się na siebie bez słowa?

– Rozmawialiśmy o naszych rodzinnych wyspach.

Balistreri nie skomentował, a Corvu nieco zakłopotany kontynuował:

– On mówi, że morze wokół Sardynii wydaje się na pierwszy rzut oka piękniejsze, bo jest bardziej przejrzyste, ale że prawdziwym morzem jest to, które otacza Sycylię, bo ma silnego ducha...

– No dobrze, ale o Ramonie nic ci nie powiedział? – przerwał mu zniecierpliwiony Balistreri.

– Właśnie do tego zmierzałem. – Corvu uważnie dobierał słowa. – Marchese powiedział mi, że tak samo jest z dziewczynami. Sardyńskie wydają się bardziej

przystępne, ale w istocie to Sycylijki...

– W istocie? Można wiedzieć, o czym wyście, do kurwy nędzy, rozmawiali? I co ma z tym wspólnego Ramona?

Corvu poczerwieniał. Był ewidentnie zakłopotany.

W tej samej chwili weszła Piccolo.

– *Dottore*, przywieźliśmy ich tutaj, mamy też Mirceę.

– Uprzedźcie Mastroianniego i Krasnala, żeby byli gotowi. Was dwoje plus oni to czworo, ich też jest czterech...

– Pięciu – sprecyzował Corvu. – Marius Hagi z adwokatem przyjedzie po południu.

– Mariusa Hagiego sam przesłucham, kiedy wy skończycie z tamtymi czterema.

– Ale jest jeszcze ten mały Albańczyk. – Corvu niemal się uparł.

Wtrąciła się Piccolo:

– Rudiego musimy chronić. Kazałam go przywieźć, jest w moim gabinecie.

– Dobrze pani zrobiła, zostawmy go na razie w spokoju. A teraz... – Balistreri popatrzył z żalem na pustą butelkę po piwie. – Corvu opowiadał mi, czego się dowiedział od posterunkowego Marchese.

Wciąż jeszcze zakłopotany podkomisarz zaczął dookoła:

– Przepraszam, *dottore*. A więc Marchese powiedział, że Ramona była odwrotnością Sycylijek, które są... są... – znów się zacukał, cały czerwony patrzył z rozpaczą na Piccolo.

Zanim Balistreri zdążył się wściec, Piccolo dokończyła:

– Na zewnątrz święta, w środku dziwki! A Sycylijczycy zawsze gnojki. – Potem przypomniała sobie o pochodzeniu swojego szefa i skierowała spojrzenie na okno.

Balistreri przerwał milczenie, udając, że nie słyszał ostatniego zdania Piccolo.

– A więc według niego Ramona Iordanescu jest święta.

Corvu z ulgą chwycił się wątku śledczego rozmowy.

– Tak, święta. Bo miała odwagę wrócić po raz drugi dla swojej przyjaciółki po tym, jak Colajacono jej powiedział, że jeśli ją jeszcze raz zobaczy, zerznie ją na swoim biurku w gabinecie, a potem wsadzi do więzienia.

Balistreri zobaczył, że twarz Piccolo się ściąga.

Kłopoty w drodze. Mieć na oku.

Po południu

Z przyjemnością przeszedł się na piazza Navona, choć jak zawsze pod koniec roku plac był pełen ludzi.

Minął stragany, akrobatów, rysowników i żebraków i stanął przed kościołem Sant'Agnese in Agone. Linda Nardi już tam na niego czekała. Niezwykle oczy, jak

u dziecka, bez makijażu. Ubranie pięćdziesięciolatki. Balistreri już wcześniej zauważył, że czasami na czole, dokładnie ponad nasadą nosa, tworzy się jej pionowa zmarszczka. Któregoś dnia podczas wywiadu przypatrzył się jej biustowi. Dobrze zbudowany, obiecujący, nie taki jak u seksbomby, choć z pewnością nie musiała się go wstydzić. Tajemnicza zmarszczka niemal natychmiast zarysowała się na jej czole. Enigmatyczna zmarszczka i przedziwny dystans u tej kobiety tak niepasującej do standardów rynku. Mogłaby na tysiąc sposobów wykorzystać swoją urodę w świecie, w którym przez uwodzenie kobiety potrafiły wiele osiągnąć. Jednak Linda Nardi nie próbowała nikogo uwieść.

– *Dottoressa* Nardi, dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

– Żaden kłopot. Jestem tylko nieco zaskoczona, pan nie ma zwyczaju prosić dziennikarzy o spotkanie.

– Rzeczywiście nie – potwierdził.

– W takim razie lepiej, żebyśmy weszli, sądzę, że nie chce pan szczególnie reklamować naszego spotkania.

W porównaniu z gwarem na placu w kościele panowała taka cisza, że dzwoniło w uszach. Turyści obchodzili w milczeniu boczne nawy, jakąś włoską rodzinę dzieci ciągnęły do wyjścia. Właśnie rozpoczynało się nabożeństwo.

Linda wskazała ławki z klęcznikami. Usiedli w spokojnym miejscu. Rozglądała się dookoła, jakby rzeczywiście przyszli pozwiedzać.

– Zna pan historię o świętej Agnieszce?

– Opowie mi pani? – Nie był szczególnie zainteresowany, ale też nie chciał bez żadnych wstępów prosić o to, czego od niej chciał.

– Syn prefekta Rzymu oszalał na punkcie chrześcijanki Agnieszki, lecz bez wzajemności, i z powodu odrzucenia rozchorował się poważnie. Co według pana zrobił prefekt?

Balistreri spróbował zażartować:

– Też się zakochał w Agnieszce?

Pokręciła głową.

– Dowiedziawszy się, że Agnieszka złożyła śluby dziewictwa, chciał zamknąć ją wśród westalek, które służyły pogańskiej bogini strzegącej Rzymu.

– Ale Agnieszka się na to nie zgodziła.

– Właśnie. Agnieszka odmówiła i prefekt kazał zamknąć ją w zamtuzie. Nudzę pana?

Nie podobała mu się ani ta historia, ani to, jak ją opowiadała. W jakiś sposób zaczynał czuć się współnikiem tamtego prefekta sprzed wieków.

– Agnieszka odmówiła też seksu z klientami? – zapytał, wiedząc, że było inaczej.

– Kobiety mogą odmówić niemal wszystkiego, ale nie obronią się przed fizyczną przemocą ze strony mężczyzn. Agnieszka miała szczęście. Wszyscy wiedzieli, dlaczego się tu znalazła, i żaden klient nie śmiał jej tknąć. Aż zakochał się w niej niewidomy,

o którym tradycja mówi, że oślepił go anioł. Agnieszka wstawiła się za nim do Boga, ślepiec odzyskał wzrok, a ona została oskarżona o uprawianie czarów – kontynuowała Linda.

– I to był jej prawdziwy błąd, prawda? Niepotrzebne wyzwanie rzucone władzy, akt pychy. Chciała uzdrowić ślepcę, który ją kochał, czy okazać ludziom potęgę swego Boga?

Kobieta spojrzała na niego przeciągle, w milczeniu, bez wrogości. Zdawało się, że ona również stara się lepiej go poznać, obserwując, jak reaguje na opowiadaną historię.

– Może Agnieszce – podjęła – chodziło nie tyle o uzdrowienie ślepcę, ile o ujawnienie słabości silnych i mocy prześladowanych. Niemniej została odarta z szat i zabita tak jak baranki, ciosem miecza w gardło.

Powiedziała to wszystko bez emfazy, jakby to była opowieść o Królowie Śnieżce. Tylko oczy jej pociemniały, jakby w ich głębi skoncentrował się mrok burzy.

– Prowadzę śledztwo w sprawie prawdopodobnej śmierci młodej rumuńskiej prostytutki – oznajmił Balistreri brutalnie również dlatego, że chciał zmienić temat.

Linda Nardi spojrzała na niego zaskoczona.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. To pan powiedział, że w świecie imigrantów granica pomiędzy winnym a ofiarą jest bardzo cienka.

Jedno zdanie, które wyrwało mi się w czasie pełnej emocji konferencji prasowej, po dziesiątkach absurdalnych pytań zadawanych przez was, dziennikarzy.

– *Dottoressa*, bierze pani za rasizm twierdzenia opierające się na statystyce. W każdym razie w tym przypadku chodzi o bardzo młodą Rumunkę i...

– *Dottor Pasquali* z pewnością nie aprobeje faktu, że szef sekcji specjalnej traci czas na podobne błahostki – przerwała mu.

– I dlatego potrzebuję, by coś pani dla mnie zrobiła. Niestety nie mam nic, czym mógłbym się zrewanżować.

Zastanowiła się.

– Nie zrobię nic nielegalnego.

– To ja będę działał trochę nielegalnie, pani nic nie ryzykuje.

– I ufa mi pan? – W tym pytaniu nie było ironii. Tylko zakłopotanie.

Robię coś idiotycznego. Ale to jedyne wyjście. Bo tylko ona może przestraszyć Pasqualego.

– Zmuszają mnie okoliczności, ale nie powiem nic o tym śledztwie, zanim...

– Nie proszę o to. Ja też muszę z panem porozmawiać. O czymś innym. Ale nie tu i nie teraz. Jeśli pan może, spotkajmy się kiedyś na kolacji.

Kiedy coś takiego mówiła Linda Nardi, brzmiało to inaczej niż w ustach jakiegokolwiek innej kobiety. Nie było w tym cienia aluzji czy niedopowiedzenia. Kolacja robocza. Przypomniawszy sobie biednego Colicchię.

Czytała mu w myślach, wiedziała, że blisko się przyjaźnił z Colicchią.

– Ja płacę.

Balistreri popatrzył na nią uważnie.

– Niczego pani nie mogę obiecać.

– Już pan to powiedział. Proszę mi teraz wyjaśnić, czego pan oczekuje ode mnie.

Powiedział. Słuchała bez słowa aż do samego końca.

Potem pokręciła głową, jakby odmawiała, powiedziała jednak:

– Dobrze.

Inspektor Marcello Scordo pochodził z Kalabrii i był bardzo przystojnym trzydziestolatkiem, czemu zresztą zawdzięczał swój przydomek: Mastroianni. Był w poważnym związku ze swoją rówieśnicą i pozostawał jej wierny, mimo że od niejednej pięknej policjantki otrzymywał propozycje, niejednokrotnie zupełnie niezawołowane. W tym kontekście jego przydomek brzmiał poniekąd ironicznie.

– Giorgi i Adrian mają regularne pozwolenie na pobyt i są zatrudnieni w biurze podróży Mariustravel – zaczął Mastroianni. – Mówią, że Marius Hagi jest doskonałym pracodawcą, dobrym i uczciwym.

– Gdyby to od nich zależało, zrobiliby go papieżem – skomentował ironicznie Krasnal.

– Giorgi i Adrian nic nie wiedzą o dziewczynach. Dwudziestego czwartego o osiemnastej przyjechali metrem do obozu Casilino bezpośrednio z biura podróży razem z Hagim, Mirceą i Gregiem. Cały czas przebywali razem i o dwudziestej drugiej byli już na placu Świętego Piotra. Nie oni odbierali Nadie.

Krasnal z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Co za gnoje... na placu Świętego Piotra!

Balistreri zwrócił się do Corvu:

– Przejdźmy do Mircei i Grega.

– Greg i Mircea Lacatusowie pochodzą z najbiedniejszych przedmieść Gałaczu, miasta w Mołdawii położonego nieopodal ujścia Dunaju do Morza Czarnego. Tak samo jak Marius Hagi. To on ściągnął ich tutaj pod koniec dwa tysiące drugiego roku. W Italii nienotowani, sprawdzamy jeszcze w Rumunii. Również oni są legalnie zatrudnieni w Mariustravel.

– Co mówią o dziewczynach?

– Twierdzą, że Nadia i Ramona prostytuowały się z własnego wyboru. Odrzuciły pracę w charakterze pokojówek, bo chciały dużo zarobić i szybko wracać do Rumunii. Mircea i Greg zorganizowali im darmowe lokum u Hagiego. Jednym słowem, dwóch aniołów stróżów.

Balistreri spojrzał na Piccolo.

– Rudi powiedział, że wieczorem dwudziestego trzeciego Nadia nie pojechała pracować na via di Torricola, ponieważ wyszła z Mirceą.

Piccolo potwierdziła.

– Mircea twierdzi, że zawiózł ją tylko do restauracji. Po kolacji pokłócili się, bo nie chciała uprawiać z nim seksu. Zostawił ją tam samą i wrócił do domu z Gregiem, który był w okolicy. Rudi potwierdza, że o północy obaj byli na miejscu i już się stamtąd nie ruszali.

– Corvu, poproś kogo trzeba o billingi ich komórek – rozkazał Balistreri. – I znajdź jakiś zarzut, zamkniemy ich na czterdzieści osiem godzin. A co do Rudiego...

Piccolo podniosła rękę.

– Rudi musi się znaleźć w bezpiecznym miejscu, zanim tamci wyjdą.

Balistreri się uśmiechnął.

– Okej, niech pani to załatwi. Mastroianni, ty jedź szybko na via di Torricola, za chwilę tam będą prostytutki. Udasz klienta...

– Przepraszam, *dottore* – wtrącił się Corvu – ale Mastroianni jako klient jest zupełnie niewiarygodny. Lepiej... – Z pewnym zakłopotaniem wskazał na Krasnała.

Coppola się wściekł.

– Corvu, jeśli tu jest ktoś, kto wygląda jak wygłodniały chłopaczek, który trzepie gruchę i chodzi na dziwki...

Balistreri spokojnie wszedł mu w słowo. Z biegiem lat nauczył się sztuki mediacji, którą tak pogardzał w młodości.

– Corvu ma rację, Mastroianni się nie nadaje. Pojedziesz ty, Coppola, bo Corvu jest mi potrzebny gdzie indziej – powiedział, chcąc uniknąć dalszych polemik. – Corvu, ty użyj swoich rumuńskich kontaktów, żeby nieformalnie przesłuchać Ramonę w Jassach, najlepiej jutro rano. Myślę, że da się jeszcze złapać ostatni samolot do Bukaresztu.

Kiedy inni wychodzili, Corvu kończył robić dokładne notatki. Podniósł wzrok znad nich i spojrzał na Balistreriego.

– Przesłuchać Ramonę pojedzie Mastroianni, prawda?

Balistreri wstał.

– Zdaje mi się, że tak właśnie postanowiłeś. Chciałeś mi coś powiedzieć o zabójstwie bramkarza w Bella Blu.

Corvu miał w ręku dwa grube pliki formularzy, na które Balistreri spojrzał z odrazą.

– Słuchaj, Corvu, zrobimy tak: ty mi powiesz, do jakich wniosków doszedłeś. Jeśli będę miał wątpliwości, spojrzymy w dokumenty.

Corvu wstał.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli będę chodził, mówiąc?

Balistreri wyobraził go sobie na kolacji z dziewczyną. Corvu ze stertą papierów pełnych cyfr, wykresów i wzorów. Ona zadaje pytanie, na które odpowiedzi nie ma na kartkach. On wstaje i zaczyna chodzić w tę i z powrotem.

– Corvu, jak będziesz chodzić, zdekoncentrujesz mnie i stracę wątek. Lepiej, jak będziesz siedział.

Corvu ze zrezygnowaną miną przycupnął na brzegu krzesła i spojrzał kątem oka w notatki.

– Więc tak. Bella Blu należy do sieci klubów nocnych, lokali bukmacherskich i salonów z automatami do gry, których właścicielem jest spółka ENT. Ajello jest wyłącznym administratorem tej spółki od końca dwa tysiące czwartego roku, kiedy to przejął dziesięć procent akcji od spadkobierców poprzedniego wspólnika i administratora, niejakiego Sandra Corony, który zginął w wypadku pod koniec października dwa tysiące czwartego roku. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent od powstania spółki w dwa tysiące drugim roku jest w rękach funduszu powierniczego.

– Co oznacza, że potrzebujemy sędziego i przekonującego powodu, żeby się dowiedzieć, kto się za tym kryje – skomentował Balistreri.

– W każdym razie – ciągnął podkomisarz – Ajello ma czyściuteńkie konto, nigdy nie był notowany za nic. A ENT ma takie zyski, że dech zapiera. Pięć milionów euro, z czego pół miliona trafia do kieszeni Ajella.

– A na samą ENT nic nie ma? – zapytał Balistreri.

Corvu zerknął w notatki.

– Tak, jest jedna sprawa, którą prowadziła policja finansowa w dwa tysiące czwartym roku. W jednym z salonów z automatami kontrolerzy znaleźli parę sztuk jednoręki bandytów niepodłączonych do sieci teleinformatycznej. Działy na czarno. Ale to było jeszcze za rządów Corony, nie Ajella.

– Dobra, Corvu, dokończymy później. Powinien już tu być pan Hagi.

Balistreri znał mecenasa Massima Morandiego od ponad trzydziestu lat. Po raz pierwszy zetknęli się ze sobą w 1971 roku na rzymskim uniwersytecie Sapienza, gdzie obaj studiowali i angażowali się politycznie. Po przeciwnych stronach barykady. Morandi jako ostatni przemawiał na zgromadzeniu, był już wtedy znanym przywódcą studenckiej organizacji spod znaku skrajnej lewicy. Na salę wtargnęła uzbrojona w metalowe pręty i pałki grupa studentów związanych z radykalną prawicą i w rezultacie Morandi i Balistreri skończyli w tej samej furgonetce karabinierów, obrzucając się nawzajem obelgami. Teraz Morandi był lewicowym senatorem, który w zamian za ogromne honoraria bronił prezesów oskarżanych o fałszerstwa rachunkowe i – choć bardzo rzadko – imigrantów takich jak Marius Hagi, czyli zdolnych słono zapłacić.

Kiedy Balistreri i Piccolo weszli do pokoju przesłuchań, nie wiedzieli, czy mają oczekiwać kogoś w rodzaju ojca chrzestnego, czy może sobowtóra Grega. Hagi nie był ani jednym, ani drugim. Bardzo szczupły, niemal ascetyczny, miał krótkie czarne włosy,

zapadnięte i pokryte głębokimi zmarszczkami policzki, czarne oczy, krzaczaste brwi i sińce pod oczami. Ubrany był w całkowicie niewyróżniający się sposób i siedział oparty na krześle, ze szczupłymi rękami spokojnie spoczywającymi na blacie stołu. Nie wydawał się zdenerwowany, jakby sprawa zupełnie go nie dotyczyła. Wyglądał na zmęczonego, dręczył go suchy kaszel i miał chropawy głos nałogowego palacza.

– A więc, *dottor* Balistreri – zaczął Morandi – o co jest oskarżony mój klient?

– Formalnie o nic. Prosimy go jedynie o współpracę – odpowiedziała Piccolo.

– *Dottoressa*, nie ma po temu powodów – odpowiedział Morandi, nawet na nią nie patrząc i takim tonem, jakiego użyłby wobec najgłupszej ze swoich asystentek.

– Dwaj uzbrojeni pracownicy i kokaina w kieszeni trzeciego – ciągnęła Piccolo.

– Kokaina nie była w kieszeni pana Hagiego i nic o niej nie wiedział. Co do tych dwóch z nożami, to nie było ich nawet w barze.

– Niemniej chcielibyśmy od pańskiego klienta uzyskać dobrowolne informacje o pewnych faktach – nalegała Piccolo.

– Posłuchamy, o co chodzi, potem zasugeruję klientowi, co robić.

– Chcielibyśmy wiedzieć, jak to możliwe, że uczciwy biznesmen gości w swoim domu prostytutki i daje pracę ludziom, którzy chodzą uzbrojeni w noże i mają kokainę w kieszeni – zaczęła Piccolo.

Morandi nawet na nią nie spojrział. Roześmiał się i zwrócił do Balistreriego:

– Wy naprawdę wierzycie, że pozwolę swojemu klientowi odpowiadać na takie pytania bez formalnego oskarżenia? Chcę wiedzieć w tej chwili, natychmiast, o co chodzi. Jesteśmy w siedzibie sekcji specjalnej, nie w komisariacie dzielnicowym.

– Ma pan rację, mecenasie – odparł Balistreri. – Chodzi o to, że jedna z dwóch Rumunek, które zajmowały pokój w mieszkaniu przy via Tiburtina należącym do pana Hagiego, zaginęła dwudziestego czwartego grudnia, a druga zgłosiła ten fakt dopiero wczoraj, dwudziestego ósmego, po czym natychmiast wyjechała do Rumunii. Mamy powody obawiać się o los zaginionej i podejrzewać współudział pracowników pana Hagiego.

Hagi utkwiał w nim spojrzenie lśniących czarnych oczu.

– Myśli pan, że wszyscy Włosi są uczciwi? Istnieje wiele uprzedzeń wobec Rumunów, choć w większości to normalni, spokojni ludzie. Wśród tych, którym pomagam, dając im dach nad głową, pracę albo jakąś zapomogę, są ludzie niezwykle uczciwi, a także trudniejsza młodzież. Najprościej byłoby umyć od tego ręce, ale jaka by to była pomoc, gdybym opuścił właśnie tych, którzy jej najbardziej potrzebują?

– Ale wie pan o ich nielegalnych działaniach – naciskała Piccolo.

Hagi nawet na nią nie spojrział.

– Tak, wiem, jeśli przez nielegalne działania rozumie pani to, że Nadia i Ramona sprzedają swoje ciało na ulicy. Podobnie jak wie to włoska policja, która widzi je tam co wieczór. Tyle że ja nie zarabiam na tym ani euro, podczas gdy wasza policja...

Morandi poruszył się nieco zaniepokojony.

– Wszyscy są pracownikami pańskiego biura podróży, tak? – ciągnęła Piccolo.

– Tak. I pracują solidnie co najmniej dwanaście godzin dziennie. Grega i Mirceę wysyłam często do Rumunii i Polski na poszukiwanie nowych hoteli i restauracji do współpracy. Giorgi i Adrian zajmują się biurem w Rzymie.

– Z nożem za pazuchą – weszła mu w słowo Piccolo.

Hagi spojrzął na nią szyderczo.

– Mieszkają w obozie Casilino. Gdyby pani tam zamieszkała, nie wystarczyłyby pani bicepsy, by spać spokojnie.

– Jednym słowem mówi pan, że to dobre chłopaki? – zapytał Balistreri.

Hagi po kolejnym napadzie kaszlu uśmiechnął się półgębkiem.

– Pyta mnie pan, czy Greg i Mircea są dobrymi ludźmi. Nie, są fatalnymi podwładnymi, bardzo trudnymi. Ale ich rodzice pomogli mi uciec z Rumunii pod rządami Ceaușescu, kiedy byłem chłopakiem. W dwa tysiące drugim roku powiedzieli mi, że Greg i Mircea uwikłali się w przemyt narkotyków. Poprosili mnie, żebym ich ściągnął do Włoch i dał im pracę. Zrobiłem to chętnie, ci ludzie uratowali mi życie. Postawiłem Gregowi i Mircei jasne wymagania: muszą solidnie pracować, nie wolno im używać żadnej broni, nie mogą zajmować się niczym nielegalnym.

– Z wyjątkiem dilerki i czerpania korzyści z prostytucji – wtrąciła Piccolo.

Balistreri rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Gdyby sprzedali choć gram kokainy, wylecieliby z roboty, wiedzą to. Mają ją na użytek osobisty, jak wielu Włochów, łącznie z policjantami i politykami.

Balistreri zaobserwował ślad silnego zakłopotania na twarzy Morandiego.

– Dobrze – powiedział. – Teraz porozmawiajmy o Ramonie Iordanescu i o Nadii. Zna pan jej nazwisko?

– Nie. Była gościem, nie płaciła czynszu, nie miałem więc obowiązku zgłaszać jej obecności.

Mariusie Hagi, jesteś niemal jak adwokat. Dobrze wychowaliśmy cię w naszym kraju.

– Dziewczyny mieszkały tam niemal miesiąc i nigdy ich pan nie widział?

– Rozumiem, że to wydaje się dziwne, ale ja tam nie mieszkam, a nasz rozkład dnia jest całkowicie rozbieżny.

– Ale wiedział pan o zaginięciu Nadii i wcześniejszym wyjeździe Ramony?

– O tym, że Nadia zginęła, dowiedziałem się dwudziestego piątego wieczorem od Grega, a o wyjeździe Ramony powiedział mi dzisiaj Mircea.

– I jakie jest pana zdanie?

– W jakiej sprawie? – Hagi wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Nadia zniknęła pięć dni temu. Co według pana się z nią stało? – zapytała Piccolo.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Dobrze – podjęła Piccolo. – W takim razie przejdźmy do dwudziestego czwartego grudnia. Interesuje nas czas począwszy od godziny osiemnastej.

Morandi podniósł rękę i nachylił się do ucha swojego klienta. Hagi z całkowitym spokojem pokręcił głową i odpowiedział:

– O szóstej wyszedłem z Mariustravel razem z pozostałymi czterema i dojechaliśmy metrem do via Togliatti. Oni wrócili do Casilina, a ja poszedłem pieszo do siebie, zabrałem podarunki dla dzieci, zaniósłem je do samochodu i dołączyłem do reszty w obozie. Tam świętowaliśmy Boże Narodzenie przy winie musującym i panettone¹⁵, dzieci otworzyły prezenty. O dziewiątej trzydzieści wróciłem do domu, pozostali pojechali na plac Świętego Piotra.

– A pan czemu z nimi nie pojechał? – zapytał łagodnie Balistreri.

– Bo byłem bardzo zmęczony, nie mam już takiego zdrowia jak kiedyś i muszę wcześniej chodzić spać. – Po dłuższej przerwie dodał: – A także dlatego, że gdyby Bóg istniał, zamieszkałby znacznie bliżej obozu Casilino niż Bazyliki Świętego Piotra.

Sekretarka Pasqualego, Antonella, była czterdziestolatką o typowo śródziemnomorskiej urodzie. Wiele lat wcześniej była z Balistrerim w relacji, która zaczęła się od niezobowiązującego seksu. Potem on stracił zainteresowanie, seksu było coraz mniej, aż w końcu całkiem wyparował. Ale urodziła się z tego przyjaźń, w której cały swój instynkt macierzyński Antonella przelała na tego mężczyznę tak mało entuzjastycznie nastawionego do życia.

Wprowadziła go do małej sali zebrań, luksusowo urządzonej jak domowy salon, z kanapą i fotelami tapicerowanymi alcantarą, z niskim stolikiem z cennego marmuru pośrodku, dziewiętnastowiecznym ruchomym barkiem w rogu i balkonem z rzeźbą przedstawiającą anioła w otoczeniu muz. Pasquali mawiał, że to jego anioł stróż.

– Pasquali jest z kwestorem, niedługo przyjdą. Chcesz kawy tymczasem?

Balistreri wiedział, że nie może tu palić i że kawa wzmoże w nim pragnienie papierosa, jednak uległ.

Obecność kwestora oznacza problemy z jednej strony i pomoc z drugiej.

Na marmurowym stoliku były telefon i kolorowa prasa. Dostrzegł okładkę jakiegoś tygodnika ze zdjęciem przedstawiającym Casilino 900 i tytułem: *Prezent od Europy*.

Zapach markowego płynu po goleniu uprzedził nadejście Pasqualego, który wszedł, wprowadzając kwestora. Ciemnoszary garnitur od drogiego krawca był nienaganny, podobnie jak siwa fryzura i superlekkie okulary z minimalistycznymi oprawkami z tytanu. W porównaniu do niego kwestor wyglądał jak wieśniak, który dopiero co przyjechał do miasta, a Balistreri jak z grubsza umyty kloszard.

Powitanie z Pasqualim było chłodne i formalne. Kwestor za to przywitał Balistreriego uściskiem ręki i dyskretnym uśmiechem. Floris należał do tej lewicy,

którą Balistreri zwalczał w czasach, kiedy się jej jeszcze bał. Dzisiaj, gdy widział, jaka jest nieszkodliwa i zagubiona niczym dziewięćdziesięcioletka w tłumie przechodniów, patrzył na Florisa bardziej obiektywnie. A Floris nie był może geniuszem, ale bardzo porządnym człowiekiem.

Z wiekiem musiał nauczyć się współdziałania zarówno z ludźmi pozbawionymi zdolności, jak i ze zdolnymi do wszystkiego, jak Pasquali.

Nieuchronne kompromisy, jak by je nazwał tato. Te, które zmieniają dziecko w osobę dorosłą.

Pasquali usadził kwestora na jednym z obszernych foteli, sam usiadł na drugim. Było oczywiste, że dla Balistreriego pozostaje kanapa.

– A więc – zaczął Pasquali, zwracając się do Balistreriego – kwestor jest obecny na naszym spotkaniu z dwóch powodów: jeden jest doraźny i pilny, drugi natury bardziej fundamentalnej.

Ten natury fundamentalnej dotyczy mojego tyłka, który chciałbyś stąd wywalić. Musisz tylko przekonać kwestora.

– Zaczęłbym od tego pilnego – zasugerował taktycznie kwestor.

Choć było jasne, że szala władzy przechyliła się na stronę Pasqualego, wciąż należało zachować pozory: starszeństwo stopnia, wiek, obowiązki gospodarza wobec gościa. Wszystkie te rzeczy, w których Pasquali był mistrzem. Grzecznym gestem zaaprobował propozycję kwestora.

– Pan kwestor otrzymał telefon od zastępcy szefa policji... – Pasquali zrobił pauzę, by wyczytać z twarzy Balistreriego choć ślad poczucia winy, strachu albo przynajmniej zakłopotania. Był mistrzem pauz, przemilczeń, nieoczekiwanych pytań. Wielki aktor.

– Jak się wydaje – podjął łagodnie kwestor – jeden z pańskich zastępców wraz z innym kolegą dokonał... – zawahał się, szukając właściwych słów.

– Dokonał wtargnięcia na komisariat policji – dokończył Pasquali.

Balistreri uniósł brew i podrapał się po czole, jakby starał się sobie coś przypomnieć. Zwrócił się wprost do kwestora:

– Przepraszam, czy prefekt użył terminu „wtargnięcie”?

– Nie, nie – zaprzeczył natychmiast Floris. – Skarżył się na rzekome działanie mające na celu zastraszenie i obrazę podkomisarza Colajacona, a następnie zatrzymanie jednego z funkcjonariuszy z posterunku.

– Użył terminu „zatrzymanie”? – zapytał Balistreri, wyglądając na jeszcze bardziej zaskoczonego.

– Dość tych gierki językowych! – uciął Pasquali. – To my oczekujemy od ciebie wyjaśnień. A kiedy mówię „my”, mam na myśli nas dwóch oraz prefekta. – Głos miał miękki, spokojny, przyzwyczajony do wydawania poleceń.

Balistreri wstał. Wiedział, że to zachowanie nie tylko rozjuszy Pasqualego, ale i zirytuje tak porządną osobę, jaką był kwestor, ale musiał koniecznie kupić sobie

trochę czasu.

Podszedł do barku. Wybrał zamkniętą jeszcze butelkę koniaku Delamain rocznik 1971 i otworzył ją. Zwrócił się do obu kolegów:

– Wybaczcie, ale muszę się czegoś napić.

Usiadł ze swoim koniakiem. Potrzebował jeszcze czterdziestu minut. Trzydzieści poświęcił na opowiedzenie historii Nadii i Ramony.

– A gdzie jest posterunkowy Marchese i ten młody Albańczyk? – zapytał z niepokojem kwestor.

Bardzo porządny z ciebie gość.

– Proszę się nie martwić – uspokoił go Balistreri. – Obaj są w naszej siedzibie.

– Zatrzymaliście posterunkowego? – zapytał Pasquali.

– Skądże, jest u nas z własnej woli.

– Ale przesłuchaliście go? – Pasquali nie potrafił ukryć irytacji w głosie.

– Tylko pogadał sobie z Corvu, jednym z moich zastępców. O kobietach z Sardynii, o kobietach z Sycylii... – Zwrócił się z łagodnym wyrazem twarzy do Pasqualego. – Miałem zamiar poinformować cię o tym podczas tego spotkania i z pewnością nie chciałem tego ukrywać. Także dlatego, że chciałem przejść do wniosku o zatrzymanie podkomisarza Colajacona.

Pasquali był prawdziwie zimnokrwistym zwierzęciem. Balistreri widział, że się zastanawia. Ważył wszystkie za i przeciw. Oczywiście polityczne, nie te dotyczące śledztwa. Był teraz zmuszony wydać opinię bezpośrednio w obecności kwestora.

– Najpierw kwestor i ja porozmawiamy z prefektem. Do tego czasu nie podejmuj żadnych działań.

W tonie jego głosu nie było cienia groźby, tylko niepodlegające dyskusji polecenie, które jasno określało, jaka hierarchia panuje między nimi trzema.

Zadzwoił telefon. Pasquali podniósł słuchawkę niecierpliwym ruchem i powiedział:

– Antonello, w czasie tych spotkań nie chcę... – Nagle zamilkł. – Przełącz ją do mojego gabinetu – rzekł wreszcie.

To była niegrzeczność wobec kwestora. Nie tylko przerywał spotkanie, ale nie chciał być słyszany. Coś podobnego ze strony osoby takiej jak Pasquali było niemal nie do wyobrażenia.

Balistreri uznał, że to jest właściwy moment, by odwiedzić anioła. Mógł pozwolić sobie na czwartego papierosa.

Skinieniem głowy dał znak kwestorowi. Wiedział, że Floris ma zawsze w kieszeni połówkę cygara.

– Dołączę się – powiedział kwestor z uśmiechem.

Warkot samochodów docierał na czwarte piętro nieco słabiej. Ulice były oświetlone i pełne ludzi chodzących po sklepach. Było zimno, ale już nie padało. Na brudnym

balkonie pył zebrany na balustradzie utworzył wraz z wilgocią gęstą maź.

– Pana relacje z Pasqualim są dosyć napięte – rzucił Floris.

– Postaram się je poprawić – powiedział Balistreri. Jego los zależał od kwestora.

Pasquali nie mógł go zdjąć sam.

– Wie pan – ciągnął Floris, pociągając dym z toskańskiego cygara – aż do sprawy Samantha Rossi żyliście w zgodzie. Od tamtego czasu...

– Od tamtego czasu mnie pan broni. Dlaczego?

Kwestor zastanowił się chwilę.

– Są dwa powody – stwierdził. – Po pierwsze, uważam, że jest pan jednym z naszych najlepszych ludzi. Ale po sprawie Samantha Rossi to by nie wystarczyło. Drugi powód... – zawahał się.

Floris był jedną z nielicznych osób wtajemniczonych. Na mazi pokrywającej balustradę Balistreri napisał literę R.

– Wydaje się łatwe, ale trzeba umieć pisać.

– Właśnie. A myśmy aresztowali trzech analfabetów – dokończył Floris.

Pasquali wrócił do sali. Zaczął bębnić palcami o poręcz fotela, co było u niego znakiem największego poruszenia.

– Mamy problem – oznajmił. – Dzwoniła Linda Nardi, ta dziennikarka. Moja sekretarka powiedziała jej, że nie mogę z nią teraz rozmawiać, a ona kazała przekazać mi natychmiast jedno zdanie.

– Jakie? – zapytał kwestor.

Pasquali z zimnym spokojem popatrzył prosto w oczy Balistreriemu.

– Zdanie brzmiało: komisariat dzielnicowy Torre Spaccata.

Kwestor wyraźnie podskoczył, zaś Pasquali nie przestawał patrzeć na Balistreriego.

Tak, uważasz, że jestem do tego zdolny. Ale głównie możesz na to poradzić. Nie teraz.

Balistreri udał jednocześnie zainteresowanie i zaniepokojenie. Musiał bardzo uważać, by nie przesadzić, czy to brakiem zainteresowania, czy nadmiarem zaniepokojenia. Gdyby kwestor choć w minimalnym stopniu zaczął podejrzewać to, co podejrzewał Pasquali, Balistreri byłby załatwiony.

– I co powiedziała? – zapytał kwestor zdecydowanie przejętym tonem.

– Powiedziała mi, że jej informator – Pasquali skrzywił się, wypowiadając to słowo – zawiadomił ją o utarczce na komisariacie Torre Spaccata dzisiejszego ranka.

Pasquali przerwał, oczekując, że Balistreri coś powie. Ale wtrącił się kwestor:

– Ale to jest absurd, żadna z zainteresowanych osób nie miała żadnego powodu, by...

– Przepraszam, że wchodzę w słowo – przerwał mu Balistreri – ale na posterunku

było mnóstwo funkcjonariuszy, a także interesanci. Niestety Colajacono zrobił awanturę na korytarzu, zanim *dottoressa* Piccolo poprosiła go o rozmowę w cztery oczy.

– Co za idiota – wyrwało się Pasqualemu.

Musiał być naprawdę wściekły, słowa tego rodzaju były najbardziej wulgarnymi, jakie Balistreri kiedykolwiek słyszał z jego ust.

– Jest coś jeszcze – dodał Pasquali. – Nardi wysłała jedną ze swoich reporterek na komisariat, gdzie jakiś funkcjonariusz powiedział jej, że kłótnia wybuchła między sekcją specjalną a podkomisarzem Colajaconem i dotyczyła zgłoszenia zaginięcia Rumunki, którego dokonała jej przyjaciółka.

– I czegoż chce ta błogosławiona kobieta? – zapytał kwestor.

Już wyobrażał sobie tytuł artykułu na pierwszej stronie: *Ludzie znikają, a policja się kłóci*. To by się jeszcze dało przełknąć. Ale Linda Nardi nie należała do dziennikarzy, którym to by wystarczyło. W odróżnieniu od swych kolegów po fachu ona nie szukała sensacji, lecz czegoś znacznie groźniejszego: prawdy. Będzie musiał zawiadomić burmistrza i prosić go, by zadzwonił do redaktora naczelnego, a jeszcze lepiej do wydawcy gazety.

Pasquali z niewidocznym sadyzmem wylewał teraz na kwestora to, co Linda Nardi powiedziała mu przez telefon.

– Chce zobaczyć pisemne zgłoszenie zaginięcia, którego dokonała Ramona. W oryginale.

Balistreri z trudnością powstrzymał uśmiech. To o oryginale dodała sama Linda. Jeszcze jeden policzek. Potraktować nieuczciwych tak, jak zasługują.

– Ale jak możemy... – jęknął kwestor.

– Jeśli odmówimy, poprosi nas o to w jutrzejszym artykule – powiedział spokojnie Pasquali.

Kwestor nalał sobie szczodłą porcję koniaku. Zagłębił się w fotelu i nie pytając o pozwolenie Pasqualego, zapalił z powrotem cygaro. Balistreri mógł czytać mu w myślach. Ukazuje się artykuł, cała prasa żąda wyjaśnień. My odmawiamy pod pretekstem, że sprawa jest w toku. Ale kto da nam pewność, że osoba, która rozmawiała z Nardi, nie powiedziała jej również, że Colajacono za pierwszym razem odesłał Ramonę z kwitkiem i zniechęcał ją do powrotu? To już oznaczałoby poważne kłopoty. Dla wszystkich, poczynając od kwestora.

Pasquali doszedł do tych samych wniosków, tylko że znacznie wcześniej, już w czasie rozmowy telefonicznej z Nardi.

– Powiedziałem jej, że nie wiem nic o żadnej kłótni, ale prowadzimy śledztwo w sprawie sposobu, w jaki zostało przyjęte zgłoszenie o zaginięciu, i że mogę pokazać jej dokument, choć nie dziś, tylko jutro.

– I zgodziła się? – zapytał niespokojnie kwestor, w myślach wychwalając wielkie

zdolności negocjacyjne, z których słynął Pasquali.

– Zanim się zgodziła, zadała jeszcze jedno pytanie. Chciała wiedzieć, czy ten czas jest nam potrzebny na przesłuchanie Colajacona i funkcjonariusza, który przyjmował zgłoszenie. – Pasquali popatrzył Balistreriemu prosto w oczy. – Naturalnie odpowiedziałem, że tak.

Wiem, każesz mi za to drogo zapłacić. Ale dzisiaj rozegramy to po mojemu. Możesz się wyżalić swojemu aniołowi stróżowi na balkonie.

Wieczorem

Zanim zszedł do swojego gabinetu, pozwolił sobie na chwilę przerwy, by uporządkować myśli. Lekko dysząc z wysiłku, wspiał się na samą górę po schodach prowadzących na dach starej kamienicy. Miał klucze do nieużywanego teraz tarasu, który służył kiedyś za pralnię i suszarnię. Ponieważ budynek stał u szczytu wiodącej pod górę ulicy, czuł się tak, jakby stał na dziesiątym piętrze. Zapadł zmrok i uliczny hałas docierał na tę wysokość jedynie w formie stłumionego brzęczenia. Po prawej widział oświetlony pałac prezydenta na Kwirynale z powiewającą włoską flagą, przed sobą miał biały marmur Ołtarza Ojczyzny i balkon Mussoliniego przy piazza Venezia, po lewej Koloseum, Forum Romanum i światła aut stojących w korku.

Centrum nowej władzy politycznej, która zastąpiła tradycyjne partie po skandalu Tangentopoli¹⁶. Naturalnie nowej tylko z nazwy. W istocie nowe były tylko problemy: kraj zbyt dostatni, a więc rozleniwiony, za stary, a więc zmęczony. Potrzebni mu byli ci młodzi imigranci, a jednocześnie przeraźliwie się ich bał. Kraj bez kultury integracji i bez ekonomicznego modelu, który by ją wspierał. Za to z majestatyczną kopułą Bazyliki Świętego Piotra, która przypominała rzymianom i całemu światu, że niewyobrażalnie potężna władza mieści się w murach okalających obszar mniejszy niż jeden kilometr kwadratowy.

Wierzyłem, że mogę choć trochę zmienić świat. Tymczasem świat nawet tego nie zauważył i zmienił mnie.

Patrzył na upadek Zachodu postępujący w takim samym tempie, w jakim zużywało się jego ciało i siła ducha. Błędy popełniane z młodzieńczą niefrasobliwością i lekkością powoli stały się grzechami. W końcu, we mgle wyrzutów sumienia, rozwiały się jego marzenia.

Dawniej nigdy by nie uwierzył, że powoli, nieubłaganie stanie się kimś takim: starym biurokratą, który służy państwu włoskiemu. Jak Teodori, jego szef w tamtym feralnym śledztwie.

Gdybym dostał szansę, by cofnąć się w czasie, znów być dzieckiem i zacząć od nowa, odmówiłbym. To byłaby męka nie do zniesienia.

Kiedy zszedł do siebie, Corvu i Piccolo czekali przed jego gabinetem. Zdążyli się już zaniepokoić jego długą nieobecnością.

– Marchese twierdzi, że to Colajacono zaproponował jemu i posterunkowemu Cutugno zamianę podczas nocnego dyżuru z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty grudnia. W nagrodę, choć sam padał ze zmęczenia – oznajmiła ironicznie Piccolo.

– I kto wtedy dyżurował w komisariacie zamiast nich? – zapytał Balistreri.

– Colajacono i jego prawa ręka, inspektor Tatò. – Piccolo promieniała.

Corvu się zniecierpliwił.

– Jest ósma trzydzieści, *dottore*. Powinniśmy się zbierać, jeśli chcemy zastać Colajacona w komisariacie.

– Ty się nim zajmiesz, Corvu. Jego szef jest uprzedzony, załatwił to już kwestor.

Nie chcę, żeby Piccolo narobiła sobie problemów.

– A jeśli nie będzie chciał współpracować?

Kiedy szło o procedury, Corvu był bardzo skrupulatny.

– Albo przyjedzie sam, albo zatrzymasz go na dwadzieścia cztery godziny. Żadnego przesłuchania dzisiaj, dopiero jutro rano. Ale nie może mieć żadnego kontaktu z nikim z zewnątrz, może spać u nas w pokoju gościnnym. – Zwrócił się do Piccolo: – Pani niech porozmawia z Tatò, ale poza komisariatem. I jeszcze jedno...

– Nawet go nie dotknę, *dottore*, może pan być spokojny – powiedziała, podnosząc dłoń jak do przysięgi.

– *Dottore*, dzisiaj czwartek – przypomniał mu Corvu, sprawdzając notatki przed wyjściem.

Czwartek. Kolacja u Alberta. Poker.

Chwycił za komórkę, by powiedzieć, że się spóźni.

Jego brat odezwał się po pierwszym sygnale:

– Michele, tylko mnie teraz nie rozprasza, właśnie kończę przygotowywać podgardle wieprzowe, dziś ci przygotuję boską carbonarę.

Gdy Colajacono go zobaczył, nie okazał najmniejszego zdziwienia. Jego potężna sylwetka zajmowała niemal całe światło w drzwiach biura. Poprawił gęste siwe włosy i zapytał:

– Co potrzeba?

Corvu grzecznie się przedstawił. W porównaniu z Colajaconem był maleńki. Jak sadzonka przy dębie.

– Uprzejmie proszę, aby udał się pan do siedziby sekcji specjalnej na nieformalną rozmowę. To nie będzie przesłuchanie. Dzisiejszą noc spędzi pan w naszym pokoju gościnnym.

– W waszym grand hotelu w centrum? To bardzo kuszące, ale mam już zaplanowany

wieczór.

Stal utajona w sardyńskiej i góralskiej duszy Corvu wyszła z ukrycia.

– Jeśli nie pojedzie pan teraz, jutro będę zmuszony pojawić się tu z nakazem, a wtedy dowiedzą się wszyscy.

Colajacono splunął metr przed butami Corvu.

– W takim razie prześpię się w waszym grand hotelu. Macie dobry room service? – powiedział z pogardą.

Wyszli razem na korytarz, w którym stało kilku policjantów. Małe oczka Colajacona błyskały ironicznie, gdy odezwał się z uśmiechem:

– Chłopaki, idę odwiedzić biura eleganckich policjantów w centrum. Jutro jestem tu z powrotem.

Dzielnica EUR, leżąca na południe i bardziej w stronę morza od centrum Rzymu, została zaprojektowana w czasach faszystowskich jako siedziba wystawy światowej, która miała się odbyć w 1942 roku, ale ostatecznie została odwołana ze względu na działania wojenne. Prace budowlane dokończono po wojnie, utrzymując oryginalne założenia architektoniczne czerpiące z tradycji budowlanej starożytnego Rzymu: monumentalne, racjonalne i klasyczne.

Wieczorami dzielnica się wyludniała. Bary i restauracje dla tysięcy pracowników, pełne i hałaśliwe aż do wczesnego popołudnia, w porze kolacji były zamknięte. W przeciwieństwie do gorącego, chaotycznego centrum tutaj panowała niemal metafizyczna atmosfera.

Willa, do której wprowadził się Alberto z niemiecką żoną i dwoma dorastającymi synami, stała w głębi wąskiej ulicy, na której zawsze parkował policyjny radiowóz świadczący o tym, że mieszka przy niej ważny polityk. Nieprzerwana obecność tego samochodu, nawet w czasach, gdy ów polityk nie pełnił żadnego oficjalnego urzędu, była dla Balistreriego najlepszym świadectwem tego, czym stał się ten kraj.

Otworzył mu Alberto w kucharskim fartuchu. Był starszy, ale trzymał się lepiej niż Michele. Więcej aktywności fizycznej, zero tytoniu, mało alkoholu, szczęśliwe małżeństwo i dwóch dorodnych synów, praca dobrze opłacanego menedżera: idealny rezultat studiów inżynierskich i uzyskanego w Stanach tytułu MBA. Wychylony w przyszłość, pełen pozytywnych myśli.

Uściskali się i przeszli do kuchni. W mieszkaniu było gorąco, halogenowa lampa oświetlała salon, w tle pobrzmiwała muzyka z *Meddle*, starego albumu Pink Floyd. Może nie to samo co Leonard Cohen czy Fabrizio De André, ale i tak jedna z jego ulubionych.

– Chudniesz w oczach, Mike.

Balistreri miał świadomość, że ubrania na nim wiszą, lecz nie chciał, by brat się

o niego martwił. Już nie, wystarczająco wiele martwił się w przeszłości.

– To dziwne, przecież jem. No, może czasem zdarza mi się opuścić jakiś posiłek. Ale dzisiaj to nadrobię. Co przygotowałeś poza carbonarą?

Alberto dotknął palcem nosa. To była jego kulinarna obsesja. Dobre rzeczy poznaje się po zapachu.

– Jagnięcina po rzymsku – powiedział z entuzjazmem Michele. – I czuję jeszcze zapach strudla.

– Z deserem poczekamy na Angela i Graziana – powiedział Alberto, otwierając butelkę białego frascati do carbonary. – Strudel jest trochę za gorący, ale przez godzinę skórka przesiąknie sokiem z jabłek i będzie gotowy do podania. A ty przynieś na stół czerwone wino do jagnięciny.

Balistreri zobaczył na kuchennym blacie pustą butelkę słynnej tokańskiej marki Brunello di Montalcino, a obok jej zawartość przelaną wcześniej do dekantera. Brat naprawdę go kochał. Żeby napoić go ulubionym winem, łamał swoją żelazną regułę nakazującą, aby potrawa i podawany do niej trunek pochodziły zawsze z tego samego regionu.

Stół był zastawiony dla dwóch osób. Balistreri rozejrzał się po pomieszczeniu. Wiele fotografii, mnóstwo radości życia oprawionej w srebro. Alberto, elegancka żona, pogodne twarze synów. W jedynej ramce z drewna znajdowała się czarno-biała fotografia zrobiona na plaży w Trypolisie. Alberto i Michele jako dzieci w krótkich spodenkach i podkolanówkach. Po bokach ich matka, Italia, i ojciec, komandor Orderu Zasługi Republiki Włoskiej, inżynier Salvatore Balistreri.

Ona patrzyła w niebo, on na ziemię. Honor i siła. W oczywisty sposób pojedynk nierównych szans.

Alberto wyrwał go z zamyślenia.

– Okej, Mike, gotowe. Angelo i Graziano będą już niedługo.

Carbonara była bajeczna. Skwarki z wieprzowego podgardla były idealnie chrupkie, jajko delikatne i pozostające w tle, spaghetti ugotowane na półtwardo. Zimne frascati doskonale się z nią komponowało.

– Chciałem cię zapytać o zdanie w sprawie automatów do gry, konkretnie jednoręcznych bandytów – powiedział Michele, wyczyściwszy dokładnie cały talerz.

– W związku ze śledztwem? – Alberto był bardziej chętny do pomocy, kiedy służyło to jakiejś dobrej sprawie.

Odezwał się dzwonek w piekarniku.

– Idę po jagnięcinę i porozmawiamy – powiedział, zabierając kieliszki po białym winie.

Kiedy popijali wodę, by oczyścić kubki smakowe, Alberto podjął temat:

– W dwa tysiące czwartym roku, po śledztwie w sprawie nielegalnego wideopokera, rząd uznał, że trzeba jakoś uregulować tę wybuchową sytuację. Również dlatego, że

w naszej sytuacji budżetowej taka masa pieniędzy jest zawsze łakomym kąskiem dla państwa.

– O jakich liczbach mówimy?

– Piętnaście miliardów euro rocznie. Legalnie – powiedział z anielskim spokojem Alberto. – A jeśli chodzi o nielegalne...

– Jesteś pewien, że nie pomyliłeś się o jedno czy dwa zera?

– Najzupełniej. Mniej więcej trzy czwarte tej sumy wraca do graczy w formie wygranych. Powiedzmy, że system zatrzymuje niemal cztery miliardy, a półtora miliarda przelewa skarbowi państwa. Przed rokiem dwa tysiące czwartym te pieniądze pozostawały w obrocie. Pomyśl o ukrytych fortunach, które mogły powstać w ciągu dziesięciu lat prowadzenia interesu z niekontrolowanymi automatami. Nawet dziś co roku masz legalnie dwa i pół miliarda. Plus to, co na czarnym rynku...

– To znaczy?

– Te automaty, które jeszcze nie zostały podpięte do sieci teleinformatycznej. Nikt nie może na to nic poradzić. Nawet jak przyjedzie policja finansowa, kończy się jedynie na karze administracyjnej.

Balistreri skrzywił się i osłodził usta ostatnim kęsem jagnięciny i łykiem brunello.

Punktualnie o dziesiątej trzydzieści zadzwonił domofon. To był Corvu.

Po wyjściu z pracy wpadł jeszcze do domu, żeby się przebrać. Z szacunku dla gospodarza włożył marynarkę. W pracy zazwyczaj nosił dzinsy i sweter. Włosy miał jeszcze mokre od prysznica, ale nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na spóźnienie. Miał ze sobą butelkę domowej produkcji destylatu z sardyńskiego mirtu. Wstawili go do zamrażarki i Corvu dosiadł się do nich.

– Graziano, jadłeś coś? – zapytał Alberto.

Mówił mu Graziano, podczas gdy Balistreri nie potrafił nazywać go po imieniu nawet w sytuacjach prywatnych. Taki już miał mimowolny sposób na utrzymywanie dystansu.

– Jadłem, ale kiedy ty gotujesz... – powiedział Corvu, patrząc łakomym wzrokiem na pozostałą na półmisku jagnięcinę.

– Wszystko w porządku, Colajacono spędza dzisiejszą noc w naszym biurze – powiedział chwilę później do Balistreriego, zabierając się do jagnięciny.

Ich czwartkowe spotkania przy pokerze trwały już trzy lata. Corvu zastąpił Colicchię, poprzednika Balistreriego w sekcji zabójstw, który przeszedł na emeryturę i wyprowadził się z Rzymu.

– Alberto wyjaśniał mi, w jaki sposób właściciele barów zarabiają na jednoręcznych bandytach – powiedział Balistreri do Corvu.

– A gdzie w łańcuchu wartości znajduje się spółka ENT? – zapytał Corvu Alberta, wyciągając jeden z technicznych terminów, których nauczył się na wieczorowych studiach z ekonomii.

– Co to jest kurwa łańcuch wartości, Corvu? Można wiedzieć, dlaczego... – zaczął nieco zniecierpliwiony Balistreri.

Ponownie zadzwonił domofon i Balistreri poszedł otworzyć Angelowi. Idąc, słuchał z rosnącą irytacją, jak Alberto odpowiada Corvu na pytanie o rzeczony łańcuch i jak Corvu mówi:

– Tak, jasne, to wszystko tłumaczy.

Piccolo wykorzystała chwilę oczekiwania, żeby zadzwonić do domu. Rudi odebrał po pierwszym sygnale.

– Rezydencja pani Piccolo.

– Rudi, mówiłam ci, że masz odbierać dopiero wtedy, kiedy usłyszysz dwa razy po trzy dzwonki. I nie tym tonem angielskiego kamerdynera. Nie chcę, by się rozniosło, że tam jesteś.

– Przepraszam, *dottorressa*. Ma pani piękne mieszkanie, bardzo dziękuję za gościnę.

– Dobra, Rudi. Lodówka jest pełna, obsłuż się.

– Nie, ugotuję coś i poczekam, aż pani wróci. Dobrze sobie radzę w kuchni.

Nieco zaskoczona rozłączyła się, bo Tatò właśnie wychodził z komisariatu. Gruby czterdziestolatek o rzadkich włosach i wodnistych oczach. Jechała za jego samochodem przez dwa kilometry. Hipodrom w dzielnicy Capannelle był oświetlony, a parking pełen samochodów. Tatò zaparkował na chodniku. Piccolo musiała się dostosować.

Na terenie hipodromu kręciło się mnóstwo ludzi, ale nie straciła go z oczu. Wszedł do baru położonego na trybunie obok mety. Tam usiadł przy stoliku z trzema mężczyznami w średnim wieku, ewidentnie obstawiającymi gonitwy. Widziała, jak wyciąga z kieszeni plik banknotów stueurowych i żywo dyskutuje. Decydowali, jak obstawiać.

– Dżokej przysięga, że zwolni... – dosłyszała. I zaraz potem głos Tatò, który mówił:

– Dobrze wie, że jak nas wyroluje, to go przymknę.

Do stolika przyniesiono szklanki z whisky, jeden z mężczyzn poszedł obstawić. Piccolo beztrąsko usiadła na chwilowo wolnym krześle.

– Ej, blondyneczko – upomniał ją jeden z towarzyszy Tatò – nie masz oczu? Zajęte jest.

Piccolo zignorowała go. Spojrzała na Tatò.

– Muszę z panem porozmawiać.

Nie musiała wyciągać legitymacji. Widział ją tego ranka w komisariacie.

Rozejrzył się. Nie chciał robić scen w swoim prawdziwym miejscu pracy.

– Jestem już po służbie.

– Widzę. No chyba że tutaj jest pana właściwa praca.

Tatò zwrócił się do pozostałych dwóch:

– Okej, panowie, zobaczymy się później.

Wstali bez słowa, ale spojrzenie, jakim ją obdarzyli, nie pozostawiało złudzeń co do tego, co mieliby ochotę jej zrobić.

Czemu nie spróbujecie? Zdziwilibyście się.

– Zamówię pani coś do picia. – Tatò obrał taktykę grzeczności.

– Nie, dziękuję. Ja jestem na służbie.

– Proszę, czym mogę...

Piccolo nie zamierzała tracić czasu.

– Porozmawiajmy o wieczorze dwudziestego czwartego grudnia, kiedy pan i Colajacono zostaliście w komisariacie, by zastąpić posterunkowych Marchese i Cutugna. Czemu to zrobiliście?

– Chłopaki mają bardzo ciężki czas w okresie świątecznym, są na służbie codziennie od dwudziestej pierwszej do dziewiątej. Prosili, by dać im wolne przynajmniej w wigilię Bożego Narodzenia, żeby mogli spędzić święta z rodziną. Wie pani, wszyscy południowcy mają kogoś z rodziny w Rzymie, my tu gościmy cały świat.

Pierwsze kłamstwo, które mi mówisz.

– Tymczasem Cutugno i Marchese mówią, że to był pomysł Colajacona. Oni o nic nie prosili.

Tatò poprawił się niespokojnie na siedzeniu.

– No może i tak. Nie wiem dokładnie, jak to było. W każdym razie dwudziestego czwartego rano skakali z radości.

– A pana o zastępstwo za nich poprosił Colajacono?

Zastanowił się. Tym razem postanowił powiedzieć prawdę, kłamstwo nic by nie dało.

– Poprosił mnie o to dwudziestego czwartego rano. Colajacono już taki jest. Mówi, że przełożeni powinni dawać przykład i więcej od siebie wymagać. A poza tym obaj jesteśmy kawalerami.

– I jak sądzę, nie idziecie nawet na pasterkę.

– Ja poszedłem na mszę o osiemnastej do parafii niedaleko komisariatu.

– A po mszy?

– Colajacono czekał na mnie przed kościołem. Dochodziła siódma. Objechaliśmy dzielnicę, wszędzie było spokojnie. Wszyscy szli do domu na kolację wigilijną. Zatrzymaliśmy się w traktierni naprzeciwko komisariatu, żeby coś zjeść. Tylko tam było otwarte. Parę minut przed dziewiątą byliśmy w komisariacie.

Mnóstwo rzeczy do sprawdzenia. Kościół i traktieria to łatwe, obchód dzielnic w samochodzie, trudniejsze. Do tego typu detali potrzeba cierpliwości Corvu.

Okrzyk publiczności oznajmił start wyścigu. Kawalkada była po drugiej stronie toru. Piccolo zauważyła, że Tatò z napięciem patrzy na rozwój wypadków, kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Konie zbliżały się do trybuny, publiczność wstała, Tatò czekał

z szeroko otwartymi oczami na finisz. Na ostatnich trzydziestu metrach numer sześć wysunął się na prowadzenie i wyraźnie wygrał. Tatò rozluźnił się, widocznie zadowolony.

– Wróćmy do dwudziestego czwartego po mszy. Podczas objazdu dzielnicy przejechaliście przez Casilino?

Teraz, kiedy wygrał zakład, Tatò był bardziej pogodny.

– Nie było powodu. Wszędzie było spokojnie, oni też organizowali swoje święta. Wie pani, wygląda na to, że także Cyganie świętują Boże Narodzenie za pieniądze, które ukradli Włochom – zakończył z pogardą.

Piccolo zacisnęła pięści, ale przypomniała sobie ostrzeżenie Balistreriego.

– Ale nie wie pan, gdzie przebywał Colajacono między szóstą a siódmą, kiedy pan był na mszy? – zapytała spokojnie.

Tatò potwierdził skinieniem głowy. Tłum ludzi udawał się do okienek, by obstawić kolejną gonitwę.

– Począwszy od dwudziestej pierwszej, byliście cały czas w komisariacie? – podjęła Piccolo.

– Tak, nie ruszyliśmy się stamtąd aż do rana.

– Nikt z was nie wychodził?

– Nie, nikt.

– Skąd ta pewność? Byliście razem cały czas przez bite dwanaście godzin?

Tatò zaśmiał się ordynarnie.

– No może nie całkiem. Nie wiem jak pani, ale ja do ubikacji chodzę sam.

Skup się na celu. Nie daj się rozproszyć gniewowi. Rób tak, jak szef ci kazał.

Policzyła do dziesięciu, a potem spokojnie kontynuowała:

– Pomijając załatwianie potrzeb fizjologicznych, byliście cały czas razem. Więc jest pan gotowy przysiąc, że Colajacono był z panem między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą i przez dwanaście godzin od dwudziestej pierwszej do dziewiątej nie ruszył się z komisariatu?

– A pewnie – odparł Tatò. – Mogę już wrócić do koni, *dottoressa*?

Balistreri otworzył drzwi i zobaczył szeroki uśmiech człowieka, który od ponad dwudziestu lat był jego najlepszym przyjacielem. Jedynym przyjacielem: Alberto był przecież bratem, a Corvu kimś w rodzaju przybranego syna. Przyjacielem ledwie naznaczonym jedną czy drugą zmarszczką, jakby prostota chroniła go przed starzeniem.

Angelo Dioguardi z latami stał się silniejszy. Zerwanie zaręczyn z Paolą i odejście z pracy od kardynała w 1982 roku otworzyły przed nim nowe możliwości. Paradoksalnie podczas gdy siły witalne Balistreriego nieco przywiędły, Angelo przechodził proces odwrotny.

Nigdy nie zarzucili zwyczaju niekończących się nocnych rozmów o wszystkim, jedynie z czasem odwróciły się role. Teraz to Angelo zmieniał kobiety – nie tak często jak niegdyś jego przyjaciel, lecz od czasu do czasu – wciąż poszukując ideału, którego nie znajdował. Z tego aspektu życia Balistreri powoli się wycofał. Złożyło się na to wiele przyczyn: powtarzalność, poczucie winy, brak kobiet, które by go stymulowały. I kiedy Balistreri wchodził coraz głębiej w mechanizmy organizacyjne i biurokrację, której kiedyś tak bardzo nienawidził, Angelo Dioguardi stał się jednym z dziesięciu najlepszych zawodowych pokerzystów świata. Wciąż większość wygranych pieniędzy przeznaczal na dobroczynność, ale teraz już sam się zajmował ich dystrybucją.

Kiedy Alberto i Corvu rozmawiali o budżetach i tym całym cholernym łańcuchu wartości, dwaj przyjaciele udali się do saloniku. Angelo zapalił trzydziestego tego dnia papierosa i nalał sobie podwójną whisky. Balistreri piątego i szklanę wody. Zbyt wiele alkoholu na jego żołądek.

– Angelo, muszę cię o coś zapytać. Potrzebuję paru informacji o nielegalnych klubach gry. Wiem, że od lat tam nie bywasz, ale na początku twojej kariery...

Angelo przetarł czoło nieco zdziwiony.

– Przenieśli cię do obyczajówki?

– Nie bądź dupkiem, potrzebuję tylko informacji na temat tego środowiska.

– Michele, czasy się zmieniły. Dzisiaj urząda się rozgrywki texas hold'em w prywatnych kręgach, na bardzo wysokie kwoty, ale teraz wszystko jest legalne, dostajesz nawet rachunek.

– Wysoko się gra?

– Zależy od puli. W średniej klasy zawodach sądzę, że jest całkiem pokaźna. Co dokładnie chcesz wiedzieć?

– Prowadzę śledztwo w sprawie spółki, która prowadzi nocne kluby, salony pokerowe, automaty do gry i zakłady bukmacherskie. Należy do zagranicznego funduszu powierniczego. Mam już jakieś pojęcie, ale chciałbym usłyszeć twoje zdanie.

Angelo pomyślał chwilę.

– Może być coś na rzeczy. Konkretnie zorganizowana przestępczość i pranie brudnych pieniędzy. Ale to są niewielkie sumy, żeby wyprać duży kapitał, potrzeba innych kanałów...

– Typu?

– Michele, ja wiem coś o tych sprawach tylko ze względu na środowisko, w którym przebywam, ale sam nigdy takich rzeczy nie robiłem. Wystarczają mi z naddatkiem wygrane w pokera, żeby było mnie stać na wszystkie moje nałogi.

– Dobrze, dobrze. Wiem, że jesteś święty. A teraz powiedz mi coś użytecznego.

– Prawdziwe pranie brudnych pieniędzy dokonuje się na rynku nieruchomości. Oczywiście nie we Włoszech, tylko w krajach, gdzie możesz za gotówkę w tydzień kupić drapacz chmur. Na Karaibach, w Dubaju, Makao...

– A skąd pochodzą pieniądze?

– Te naprawdę duże z dochodów zorganizowanej przestępczości: narkotyki, broń, prostytutka. Rzecz jasna nie tylko włoskiej. Również na tym polu przegrywamy z Rosjanami i Chińczykami. Ruscy przyjeżdżają z walizkami pełnymi pieniędzy i przez weekend kupują parę kamienic.

– Ale i Włosi...

– Pewnie. Tylko że włoska przestępczość woli inwestować, przynajmniej częściowo, w kraju. W nieruchomości, sieci sklepów, hotele, firmy usługowe, nocne kluby. To tworzy miejsca pracy, a więc popularność, a więc i głos mogący mieć wpływ na polityków.

– A pieniądze z łapówek, z układów między polityką a biznesem?

Angelo się uśmiechnął.

– Z tych, których miało już nie być po Tangentopoli? Widzisz, ci, którzy kradną pieniądze publiczne, są teraz ostrożniejsi. Wolą zamienić lukratywny kontrakt na śliczne piéterko w kamienicy kupione na czarno z przeznaczeniem dla dzieci albo na remont domu na wsi. Albo, jeśli to sprawy mniejszego kalibru, na jakąś dziwkę. Ci ludzie mają wielką fantazję na wszystkich poziomach.

– W takim razie gdzie się plasuje moja spółka z jednoręcznymi bandytami i nocnymi klubami?

– Dokładnie pośrodku. Legalnie reinwestuje w kraju zarobione nielegalnie pieniądze, które pochodzą z zagranicznych pralni.

Angelo zapalił kolejnego papierosa. Balistreri popatrzył na niego z zazdrością.

– Ile palisz?

Pokręcił głową.

– Różnie, zależy od humoru. Jedna, dwie paczki dziennie. Tylko nie praw mi kazań, od innych wytrzymam, ale nie od ciebie...

– Z nas dwóch to już nie ja jestem ten bardziej zepsuty. Kobiety?

Angelo się uśmiechnął.

– Teraz mam moment wolności, zmiany, jak myślę. Staram się zbudować coś trwałego, ale po jakimś czasie mają dość mojego gadania.

– Pewnie, z tą fiksacją na punkcie miłości jesteś nudny. Po tylu latach wciąż nie potrafisz się zadowolić zdrowym ciupcianiem?

– Cóż, zdaje mi się, że i ty tego dawno nie robiłeś.

– Miałem dość czucia się winnym za rozczarowania innych. Cena przewyższa wartość.

Angelo zastanawiał się przez chwilę, wydawał się zakłopotany tym stwierdzeniem i w jakiś sposób było mu żal przyjaciela.

– Michele, jeśli mylisz wartość i cenę...

– Nie myślę, konfrontuję je ze sobą.

– Chciałem powiedzieć co innego: że są wartości, które nie mają ceny.

Powiedział to z pokorą chłopaka z przedmieść zwracającego się do przyjaciela z klasy średniej, który skończył studia. To „chciałem powiedzieć”, wyrażenie, którego od czasu do czasu używał, jakby przepraszając, kiedy z czymś się nie zgadzał, było dla Balistreriego początkowym i stałym punktem ich przyjaźni.

Alberto przywołał ich do porządku. Stół do gry był już gotowy. Skończyło się jak zwykle. Angelo wygrał, niemal od niechcienia. Przez cały czas nie potrafili rozgryźć, kiedy blefuje, a kiedy naprawdę ma dobrą kartę. A on jak zawsze w końcu wygrywał i pieniądze przeznaczał na fundację, która opiekowała się bezdomnymi i biedakami.

Kiedy Angelo odwiózł go pod dom swoim samochodem, Balistreri był już kompletnie wykończony po całym długim dniu.

– Mam jeszcze prawo do ostatniego – powiedział, wskazując na paczkę papierosów.

– Skoro tak, dotrzymam ci towarzystwa – odparł Angelo, zapalając swojego czterdziestego.

Skończyli rozmawiać o czwartej rano.

Piątek, 30 grudnia 2005

Przed południem

Mastroianni przyleciał z Bukaresztu do Jass o ósmej rano czasu lokalnego. Lotnisko było niewielkie, ale nowoczesne i funkcjonalne, jak wiele rzeczy zbudowanych we wschodniej Europie po upadku komunizmu. Przy wyjściu z terminalu czekał na niego chudy jak szczapa młodzik w marynarce, krawacie i dżinsach.

- Jestem Florean Catu, podinspektor policji – przedstawił się.
- Marcello Scordo. Mówisz po włosku? Ja po rumuńsku bardzo słabo.

Catu był bardzo zadowolony, że może błysnąć swoimi zdolnościami językowymi.

- Moja ciotka mieszka we Florencji, jeżdżę do was każdego lata.

Wsiedli do golfa należącego do Catu. Na ulicach było pustawo, bardzo zimno, ale niebo bezchmurne. Architektura odzwierciedlała następujące po sobie okresy rumuńskiej historii: nieliczne stare pałace, niskie, niewielkie kamienice z okresu międzywojennego, monumentalne surowe budynki doby komunizmu, wreszcie budowle powstałe po 1989 roku, nowoczesne, lecz przynajmniej na pierwszy rzut oka mniej solidne.

– Szukamy w okolicznych wsiach kogoś, kto pomógłby nam poznać personalia Nadii. Jeśli ktoś oczekiwał jej przyjazdu na Nowy Rok, może zgłosi jej zaginięcie, ale nie bardzo w to wierzę – objaśniał Catu, wyprzedzając nieliczne ciężarówki i rowery.

- Jeśli ma rodzinę, będą zaniepokojeni, że nie mają od niej znaku życia.

– Miejmy nadzieję, tylko że u nas ludzie niepokoją się po paru miesiącach, nie po kilku godzinach jak u was. Podjedziemy do dzielnicy uniwersyteckiej po Ramonę, ale nie możemy jej zmusić, żeby zeznawała.

– Florean, ja bym to wolał zrobić inaczej. Wolałbym porozmawiać z nią w cztery oczy właśnie dlatego, że sprawa jest nieformalna, a ewentualne przestępstwo nie dotyczy rumuńskiej policji.

Catu zdawał się ważyć wszystkie za i przeciw. Z jednej strony irytujące było, że włoski policjant przyjeżdża do nich, żeby przesłuchać rumuńską obywatelkę bez obecności lokalnej policji. Z drugiej – opłacało się zwalić na Włochów całą odpowiedzialność za sprawę, łącznie z prawdopodobną odmową współpracy ze strony Ramony.

– Okej, ale skoro tak, to musisz ją przesłuchać poza komisariatem. Przy placu Czternastego Grudnia jest bar. Parzą w nim najlepsze espresso w mieście. I najdroższe.

Właśnie o takie miejsce chodziło Mastroianniemu.

Balistreri spał tylko dwie godziny. I śniły mu się same pytania bez odpowiedzi. Męczące. Zjadł śniadanie złożone z bezkofeinowej kawy i herbatników z pełnoziarnistej mąki, a potem poszedł do pracy, smagany po twarzy zimną mżawką.

Punktualnie o siódmej trzydzieści pojawili się w jego gabinecie Corvu i Piccolo, która wyglądała nieco bardziej potulnie niż zazwyczaj.

– Znalazła pani bezpieczne miejsce dla Rudiego? – zapytał prosto z mostu.

Wziął ją z zaskoczenia. Zaczerwieniła się i spojrzała na Corvu z niemą prośbą o pomoc. Odezwał się niczym stary mądry wujek:

– Świadek jest chroniony najlepiej, jak to możliwe, *dottore*. Piccolo przyjęła go u siebie w domu, tam niczego nie ryzykuje.

Uklucie niepokoju.

– Naprawdę świetny pomysł, gratulacje. Homoseksualista związany z grupą przestępczą śpi w mieszkaniu naszego podkomisarza. Na dodatek podkomisarza płci żeńskiej.

Zrobił się z ciebie stary upierdliwiec. A ona nie jest twoją córką.

– Właśnie – podjął Corvu – ponieważ to homoseksualista płci męskiej, uznaliśmy, że właściwszym miejscem będzie mieszkanie Piccolo, a nie moje. – I zanim Balistreri zdążył odpowiedzieć, zmienił temat: – *Dottore*, przed drzwiami czeka już Krasnal, żeby opowiedzieć, czego się dowiedział od prostytutek, które przesłuchiwał.

Kazali wejść Coppoli.

– A więc tak – zaczął Krasnal. – Czuję się trochę zakłopotany, bo dowiedziałem się tyle co nic.

– Posłuchajmy – zachęcił go Balistreri.

– Pogadałem z dwiema parami dziewczyn, które dwudziestego czwartego wieczorem stały bezpośrednio przed i bezpośrednio za miejscem Ramony i Nadii. Dowiedziałem się, jakie są ceny, jakie usługi i tak dalej. Trochę takiej gadaniny na przełamanie lodów.

– Dobrze, Coppola – przerwał mu Balistreri – oszczędź nam szczegółów taryfikatora. Dowiedziałeś się czegoś?

– Kiedy powiedziałem, że jestem z policji, trochę się wściekły, ale udobruchałem je, obiecując, że przyślę im od nas jakiegoś młodego fajtąpę. – Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Corvu.

– Coppola... – zniecierpliwiał się Balistreri, ale Krasnal szybko kontynuował.

– Dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, ze względów bezpieczeństwa dziewczyny zawsze pilnują się nawzajem i zapisują numer rejestracyjny samochodu klienta. Po drugie, wieczorem dwudziestego czwartego ruch był bardzo mały. Wie pan, *dottore*, chodzenie na dziwki w Boże Narodzenie to grzech śmiertelny...

– Coppola, jeśli masz coś pożytecznego do powiedzenia, to mów, jeśli nie, mamy tu wszyscy dużo pracy – uciął Balistreri.

– Nie widziały, żeby Nadia z kimś pojechała, ani nie widziały żadnego dziwnego typu. Ale jest coś jeszcze. Jedna z dziewczyn opowiadała mi o samochodzie. Miał zepsute jedno światło i z daleka wyglądał jak motocykl.

– Potrafi określić markę? – zapytał z zainteresowaniem Corvu.

– Nie ona widziała auto, tylko jej kuzynka. Tego wieczoru nie było jej zwykłej partnerki, poprosiła kuzynkę, żeby jej towarzyszyła.

– Okej, jeśli ją tu ściągniesz, spróbuję poszperać w bazie danych i jakoś zrekonstruować dane samochodu – powiedział Corvu. – A może dziewczyny po drugiej stronie ulicy go widziały? – Jego analityczny umysł domagał się najdrobniejszych szczegółów.

Coppola pokręcił głową.

– Nie pamiętają.

Balistreri spochmurniał.

Nadia wsiadła do jego samochodu. Zaraz potem zgasił światła. Zły znak.

Wszędzie było pełno młodzieży i rowerów. Kiedy naciskał klawisz domofonu Ramony, para studentek pozdrowiła go zachęcającym gestem, na który Mastroianni odpowiedział pozbawionym podtekstów uśmiechem.

Ramona Iordanescu była piękną, wysoką brunetką. O zdrowej twarzy wieśniaczki i świetnym ciele, co zauważył już na jej zdjęciu z Nadią. Ale teraz zjawiała się bez makijażu, w szerokich spodniach od dresu, porozciąganej bluzie i czarnej kurtce ze sztucznej skóry. Całkiem przyzwoicie mówiła po włosku, myliła rodzajniki, czasowniki jednak odmieniała niemal bezbłędnie.

Nieco ją zaskoczył widok przystojnego Włocha o spojrzeniu niewinnego psiaka. I bardzo jej się spodobało zaproszenie do baru w centrum.

– Ale tam jest bardzo drogo, jeden raz zabrał mnie tam niemiecki student, chyba był synem pana Volkswagena – ostrzegła go.

Taksówka w dziesięć minut zawiozła ich do baru. Lokal znajdował się na parterze osiemnastowiecznej kamienicy w kolorze ochry. W środku było ciepło, ściany wyłożono drewnianą boazerią, przestrzeń zajmowały okrągłe stoliki z kutego żelaza.

– Ramona, na co masz ochotę?

– Cappuccino, tutaj jest bardzo dobre. – Potem zawahała się, jakby chciała coś dodać.

– Może croissanta do tego? – zaproponował Mastroianni. Leżące przy barze rogaliki wyglądały na świeżo wyjęte z pieca.

Kiwnęła głową.

– Jak masz na imię?

– Marcello.

– Jak ten włoski aktor. Wiesz, że jesteś do niego podobny? – Uśmiechnęła się do niego i ugryzła croissanta.

Mastroianni nie podjął tematu, był już przyzwyczajony.

– Wiem, że musiałaś iść na komisariat dwa razy, żeby zgłosić zaginięcie.

– Trzy razy. Po raz pierwszy dwudziestego piątego. O siódmej rano. Komisariat wyglądał na zamknięty. Zadzwoiłam przez domofon i otworzył mi tamten człowiek.

– Podkomisarz Colajacono?

– Tak – potwierdziła, biorąc kolejnego croissanta – ale wtedy znałam tylko jego twarz, nie wiedziałam, że się tak nazywa.

– Widziałaś go już wcześniej? – dopytał zaskoczony Mastroianni.

Za witryną babcie pchały wózki z niemowlętami szczelnie opatulonymi przed zimmem. Tutaj też odważny rowerzysta rzucał wyzwanie pogodzie. W szafie grającej wirowała płyta z romantyczną piosenką po rumuńsku.

Ramona się zamyśliła. Pewnie się zastanawiała, dlaczego nie było jej dane spotkać kogoś takiego jak Mastroianni, wyjść za niego, mieć gromadkę dzieci, pracować jako ekspedientka i zamieszkać w małym domku na przedmieściach Jass.

– Ten człowiek ma złe oczy. Oczy, które ci mówią, że nie istniejesz. – Otarła łzę i dodała: – Dla niego jestem jak rzeźna krowa.

Mastroianni poczuł wstyd.

– Przepraszam cię, Ramona. Nie wszyscy Włosi tacy są.

Uśmiechnęła się do niego.

– Możesz zamówić jeszcze jedno cappuccino i croissanta?

Zamówił, a ona ciągnęła:

– Widziałam go w klubie nocnym Crystal jakieś dziesięć dni temu. Mircea kupił mi spodnie i top z czarnej skóry. Powiedział, żebym czekała przy barze, i zostawił mi swoją komórkę. O północy zadzwonił i kazał mi wyjść. Na zewnątrz był ten wielki policjant, Colajacono.

Zawahała się, potem ugryzła croissanta i podjęła decyzję. Opowiedziała wszystko bardzo szybko, na jednym oddechu, w emocjach:

– Zapytał mnie, czy potrafię używać pejcza, odpowiedziałam, że tak, chociaż to nieprawda. Żeby go podniecić, powiedziałam, że chętnie go wysmagam. Popatrzył tymi swoimi złymi oczami i ścisnął mnie łapskiem za ramię. Zapytał, czy wygląda na takiego typa, który pozwala się chłostać rumuńskiej krowie, a ja na to, że nie, że przepraszam.

Mastroianni pogładził ją po ramieniu, widząc łzę spływającą jej po policzku.

– Potem ten policjant pokazał mi kawalerkę na pierwszym piętrze koło klubu. Tam było wielkie łóżko na środku, ogromne lustro na suficie, bicze, kajdanki, plastikowe dildo. Dał mi klucze do mieszkania i kazał po wszystkim zostawić je w środku. Potem powiedział, co mam robić dalej. Wrócić do klubu i usiąść przy barze. Poczekać na trochę starszego, elegancko ubranego pana. Miałam mu natychmiast powiedzieć, że

lubię być panią niewolników.

– A Colajacono sobie poszedł?

– Tak. Poszedł. Potem przyszedł ten elegancki pan i zrobiłam, co miałam zrobić w tym mieszkaniu. Straszny zboczeniec, podobało mu się, jak go chłostałam.

– Widziałaś jeszcze tego pana później?

– Nie, nigdy.

Trzeba już było przejść do sedna.

– A kiedy poszłaś na komisariat o świcie dwudziestego piątego, żeby zgłosić zaginięcie Nadii, spotkałaś Colajacona.

– Tak, zadzwoniłam i on otworzył. Przestraszyłam się. Zapytał, czego chcę, a potem zaczął się śmiać. Powiedział, żebym mu nie zawracała dupy.

– Ale wyglądał na zaskoczonego albo skrępowanego? Musiał się przejąć, kiedy się okazało, że teraz wiesz, kim on jest.

Wyglądała, jakby się chwilę zastanawiała.

– Jego nic nie obchodzi. Dla niego byłam niczym.

– Wróciłaś potem do siebie?

– Tak, żeby zobaczyć, czy Nadia jest. Nie było jej. Ale nie uciekła z nikim, zostawiła swoje ubrania.

– Jesteś pewna, że tam były?

– Tak. – Ramona uśmiechnęła się na wspomnienie. – Wszystko na ziemi albo na łóżku, jak zwykle. Wiesz, ona jest bardzo nieporządna. Potem Rudi wszystko porządkuje, a Nadia daje mu za to drobne prezenty.

– Później wróciłaś na komisariat. Nie bałaś się Colajacona?

– Bałam się, ale była prawie jedenasta, Nadia wciąż nie wracała i martwiłam się.

– Dlaczego się martwiłaś?

– Nigdy nie wsiadałyśmy z klientem do samochodu, jeśli nie było tej drugiej.

– To znaczy?

– Jesteśmy zawsze we dwie, blisko koksownika. Żadna nie wchodzi do samochodu klienta, dopóki druga nie zapisze jego numeru rejestracyjnego w taki sposób, że klient to widzi. Wtedy boi się zrobić coś złego dziewczynie.

– Bardzo cwane. Ale jeśli przyjeżdża nowy klient, a jedna z was jest jeszcze ze starym, to co?

– Wtedy się czeka. Te nasze robótki nie trwają dłużej niż parę minut. – Roześmiała się porozumiewawczo.

– Więc poszłaś z klientem, a kiedy wróciłaś, Nadii nie było.

– Tak, była szósta trzydzieści, nie było wielu klientów, bo w Boże Narodzenie Włosi nie chodzą na dziwki. Ja wsiadłam do samochodu klienta, Nadia zapisała numer. Kiedy wróciłam, jej już nie było.

– Nie było cię tylko przez chwilę...

– No właśnie tym razem trochę dłużej. Staralam się, ale temu klientowi za nic nie chciał stanąć – powiedziała, chichocząc jak dziewczynka. W sumie nią była.

– Dobrze. Powiedz mi teraz, kiedy wróciłaś na komisariat.

– Była prawie jedenasta, nie potrafiłam tak siedzieć i nic nie robić. Zerknęłam do komisariatu i zobaczyłam, że są tam ludzie. Nabrałam odwagi, zadzwoniłam, otworzył mi młody policjant.

– Posterunkowy Marchese.

– Nie wiem, jak się nazywał. Zaprowadził mnie do Colajacono, do jego gabinetu, i odszedł. A on powiedział, że jestem dziwką i Nadia też jest dziwką. Powiedział, że jeśli wrócę, zamknie mnie w więzieniu. Wychodząc, zobaczyłam kartkę z rozkładem godzin i z niej się dowiedziałam, że Colajacono nie przychodzi do pracy przed dziewiątą.

Odważna i sprytna dziewczyna. Colajacono naprawdę miał pecha. Inna nie odważyłaby się wrócić, ale Ramona była z innej gliny.

Wydawało się, że dziewczyna czyta mu w myślach.

– Nie żebym była taka odważna. Nadia kocha mnie jak mama... – Rozplakała się.

– A dzień wcześniej? Nadia wyglądała na niespokojną, przestraszoną? Coś jej się przydarzyło?

Ramona się zastanowiła.

– Nie, nie była przestraszona. Raczej rozweselona. Nigdy nie mówiła wiele, ale tego dnia wyglądała na zadowoloną.

– Wiesz dlaczego?

– Nie, w nocy wróciła bardzo późno, a ja źle się czułam. Zapytałam, co robiła, a ona na to, że może szczęście się do niej uśmiechnęło.

– Powiedz mi jeszcze o rzeczach Nadii – poprosił Mastroianni. W barze robiło się coraz tłoczniej.

– Dwudziestego piątego wieczorem pojechałam pracować i jej rzeczy leżały jeszcze na łóżku. Kiedy wróciłam nazajutrz rano, wszystko zostało posprzątane, ubrań nie było i łóżko Nadii miało świeżą pościel. – Mówiła bardzo cicho. Musiało być coś jeszcze poza sprawą ubrań i łóżka.

– I wtedy postanowiłaś zrobić kolejne zgłoszenie i wyjechać?

Pokręciła głową.

– Nie. Dwudziestego szóstego wieczorem poszłam pracować jak zawsze. A kiedy wróciłam dwudziestego siódmego rano, zdarzyło się to: Mircea powiedział mi, że jeśli Nadia zostawiła mi coś swojego, to mam mu to natychmiast dać. Ale Nadia nic mi nie zostawiła, żadnego listu, notatki, nic. Powiedziałam im, ale mi nie uwierzyli. Powiedzieli, że zatłuką mnie na śmierć. Płakałam, nie wiedziałam, czego szukają. A potem... – Nagle urwała, patrząc na pobliski stolik, przy którym jakiś dwudziestoparolatek palił i czytał gazetę.

Wstała gwałtownie.

– Wystarczy – powiedziała. – Płać i wychodzimy.

Mastroianni zapłacił i wyszli na plac. Było bardzo zimno, ze wschodu wiał chłodny wiatr, chodnik był oblodzony. Choć była już dziewiąta trzydzieści, światła sklepowe wciąż się jeszcze świeciły. Bez słowa poszli na postój taksówek. Kiedy znaleźli się przy pierwszej wolnej, dziewczyna powiedziała:

– Ja pojedę autobusem.

– Ale czemu? – zaproponował Mastroianni. – Musimy jeszcze...

Potrząsnęła głową.

– *Ciao, Marcello* – powiedziała cicho. Potem dodała: – Uważaj na siebie. – I pobiegła do autobusu, który właśnie się zatrzymał na przystanku.

Kiedy Mastroianni odwrócił się w stronę postoju taksówek, zobaczył tego chłopaka, który przed chwilą siedział w barze przy stoliku obok. Gazeta wystawała mu z kieszeni. Włoska gazeta.

Dźwięk przychodzącej poczty w komputerze obwieścił nadejście maila z raportem od Mastroianniego. Rumunia leży w innej strefie czasowej, toteż było tam o godzinę później niż w Rzymie.

Balistreri przeczytał mail i zamyślił się.

– Ubrania Nadii porzucane, a potem wyniesione. To jasne. – Potem spojrzął na Piccolo. – Ale nie rozumiem, co się stało z ubraniami Ramony, mówiła pani, że według Rudiego... – urwał i znów się zamyślił.

Trzeba było przesłuchać Colajacona. Postanowił zabrać Piccolo ze sobą. Przy nim będzie się pilnowała, a jakaś mała prowokacja może się przydać.

Colajacono czekał na nich w tym samym pomieszczeniu, w którym przesłuchiwali Mariusa Hagiego. Był wypoczęty, ogolony, z zaczesaną do tyłu i wybrylantynowaną gęstą siwizną. Patrzył na nich w milczeniu swoimi małymi, blisko osadzonymi oczkami i z wyrazem twarzy cwaniaka.

Siedzący obok niego adwokat natychmiast przejął inicjatywę:

– Mój klient jest tutaj w celu złożenia dobrowolnych zeznań. Jeśli sprawa przybierze obrót, który mi się nie spodoba, zakończymy to natychmiast. Chyba że przejdziecie do oficjalnego zatrzymania.

Jak Morandi w imieniu Hagiego. W każdym razie wie, że nie mamy upoważnienia.

– W takim razie posłuchajmy, co takiego ma dobrowolnie do powiedzenia pan podkomisarz – powiedział grzecznie Balistreri.

– W związku z czym? – zapytał prowokacyjnie Colajacono.

– W związku z Ramoną Iordanescu – powiedziała sucho Piccolo.

Colajacono nawet na nią nie spojrzął. Odpowiedział, patrząc na Balistreriego:

– O jej dwóch wizytach na komisariacie?

– Trzech – uściśliła Piccolo.

Bokserki nos podkomisarza niebezpiecznie się rozszerzył, a wąskie usta wygięły w grymasie. Powoli odwrócił się w stronę Piccolo.

– Tak, naprawdę upierdliwa ta rumuńska dziwka. Trzy razy przyszła, jakbyśmy nie mieli nic innego do roboty.

– Niech nam pan opowie o pierwszym razie – poprosiła spokojnym głosem Piccolo świadoma, że Balistreri ma ją na oku.

– Przyszła o świcie w Boże Narodzenie. Było jeszcze ciemno, na dyżurze tylko ja i Tatò. Otworzyłem i zobaczyłem tę kurwę, która zaczęła bredzić. Opowiadała, że druga kurwa nie wróciła na noc. Proszę sobie wyobrazić, jaki to wielki problem. Nie pozwoliłem jej nawet wejść do środka, miałem ważniejsze rzeczy do roboty.

– O tak wczesnej porze w dzień Bożego Narodzenia? – Ironia w głosie Piccolo była więcej niż wyraźna.

– Proszę posłuchać, panienko, w komisariacie zajmujemy się tym towarzystwem całymi dniami. Mamy Casilino i jego sześciuset pięćdziesięciu mieszkańców, jeszcze inne koczowiska, a do tego zwykłych przestępców. To są dzikie bestie. Gdybym razem ze swoimi ludźmi nie trzymał ich krótko, zgwałciliby wszystkie kobiety w dzielnicy, ze starszankami i dziećmi włącznie, nie mówiąc o pięknych kobietach takich jak pani – dodał z szyderczym uśmiechem.

– Powinien pan być przyjąć zgłoszenie – powiedziała lodowato Piccolo.

Colajacono rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

– Wy sobie tutaj rezydujecie w pięknym biurze w centrum i pouczać innych! Zamiatacze rajskich ulic. – Splunął na ziemię.

Adwokat szepnął mu coś do ucha.

– Niech pan powie, co poczuł, kiedy otworzył drzwi komisariatu i zobaczył Iordanescu – ciągnęła Piccolo.

Popatrzył na nią ze złością.

– Co poczułem? Co to, ja dzieckiem jestem? Co takiego miałem poczuć?

– Nie wiem – odparła Piccolo z kamiennym spokojem. – Zaskoczenie, strach...

– Strach? – wybuchnął Colajacono. Adwokat położył mu rękę na ramieniu. – Ja? Strach przed cygańską kurwą?

Balistreri wsadził sobie do ust niezapalonego papierosa. To był umówiony sygnał dla Piccolo. Zmiana warty.

– Nie zdziwił się pan, widząc Iordanescu na komisariacie? – zapytał z zaskoczenia.

Colajacono spojrział na niego i po raz pierwszy się zawahał. W końcu uznał, że najlepiej zachować sobie gotową drogę ucieczki.

– No, trochę tak, o tak wczesnej porze...

– A Iordanescu nie była zaskoczona, widząc tam pana? – naciskał Balistreri.

Adwokat postanowił interweniować.

– *Dottore*, ta rozmowa przyjęła obrót, który zupełnie mi się nie podoba. Gdyby był pan łaskaw zadać mojemu klientowi jasne pytanie...

– Pytanie jest całkowicie jasne, panie mecenasie. Powtórzę je. Skoro podkomisarz Colajacono nie był zaskoczony, widząc pannę Iordanescu, choć już wcześniej ją poznał, zastanawiamy się, czy przynajmniej Iordanescu nie była zaskoczona, widząc go w mundurze, skoro poznała go kilka dni wcześniej bez munduru przed wejściem do nocnego klubu.

Adwokat wstał nagle i powiedział do Colajacona:

– Niech pan nie mówi ani słowa. – Potem zwrócił się do Balistreriego: – Dobrowolne zeznania się skończyły. Jeśli chce pan kontynuować, wie pan, co ma robić.

Colajacono podniósł swoje ogromne cielsko i stanął przed Balistrerim. Popatrzył na niego z nietajoną pogardą.

– W takim razie aresztuje mnie pan czy mogę odejść? – Czuć było od niego czosnek i whisky.

Balistreri zapalił papierosa. W tym miejscu przesłuchanie się kończyło. Jednak bardziej od Colajacona niepokoiła go wyraźnie wyeksponowana włoska gazeta z relacji Mastroianniego. Symboliczny język, który doskonale znał. Nawet jeśli ciężko mu było w to uwierzyć.

Kiedy Krasnal był młodym chłopakiem, pracował w magazynach bazy NATO w Neapolu i nauczył się tam trochę angielskiego. Powierzenie mu przesłuchania świadka kłótni między Papą Camarà a tajemniczym motocyklistą przed klubem Bella Blu było więc satysfakcjonującym dostrzeżeniem jego językowych kompetencji. Poza tym przechodził od rumuńskich dziwki do młodego amerykańskiego profesjonalisty pracującego dla wielkiej korporacji. W przekonaniu Coppoli do tej kategorii należały wyłącznie istoty wyższe.

Wczesnym przedpołudniem bar położony na wzgórzu nad piazza di Spagna był pełen bogatych, rozleniwionych rzymian. Zimny północno-wschodni wiatr zmiótł wszystkie chmury z nieba, które nabrało intensywnie błękitnego koloru. Z tej wysokości widać było nawet piazza del Popolo z mnóstwem turystów. Usiedli na przeszklonej werandzie, tuż obok przyjemnie podnoszącego temperaturę gazowego grzejnika.

Fred Cabot miał koło trzydziestki i wyglądał na sympatycznego gościa. Krasnal natychmiast zapewnił go, że mogą rozmawiać w jego języku.

– *I speak American* – oznajmił.

Cabot zamówił świeżo wyciskany sok z cytrusów, a Krasnal cappuccino i maritozzo¹⁷ ze śmietaną.

– *Rome is wonderful, I come from Houston, very modern city. One of your churches is older than all our buildings together.* Bardzo stare kościoły, tak to się mówi?

Coppola uświadomił sobie, że – po części przez rozwlekłą teksańską wymowę Amerykanina, a po części przez swój brak praktyki – rozumie mniej więcej połowę z tego, co mówi Cabot. Postanowił trzymać się łatwych tematów.

– *First time in Rome?*

– *Yeah, first time.*

Postanowił przejść do rzeczy, by uchronić się przed nadmiernym lingwistycznym stresem. Wyciągnął kartkę, na której z pomocą słownika zapisał sobie pytania. Tymczasem elegancki kelner przyniósł zamówienie.

– *Please tell me about the night of twenty third December.*

– *Well, you know, it was late, I had been in various night clubs and frankly I was drunk, pijany, tak się mówi? I wanted one last drink and some music.*

– *And some girls?* – dodał Krasnal, puszczając do niego oko.

Amerykanin się roześmiał.

– *Yeah, but drink first.*

– *What time you arrive Bella Blu?*

– *I think it was two o'clock, maybe a little later. This black guy was in front of the door, he had to check me for security. He was just starting when this motorcycle stopped in the middle of the street and the rider yelled, krzyknął, and drove away, odjechał.*

– *What he say? What language?*

– *I don't really know. Certainly it was Italian or Spanish. Zawołał this bad word: ty uju... łamany?*

– Ty chuju złamany – podsunął Krasnal.

– *Yeah, certainly something rude, jakieś brzydkie słowo. The black guy was angry, rozwścieczony, zawołał spierdalaj – wyjaśnił Cabot dumny, że może się wykazać postęпами językowymi.*

– *Where motorcycle come?*

– *Well, I'm not sure, nie jestem pewny, but my impression is that it was just around the corner. Usłyszałem engine starting, and it came out of the darkness, z ciemności.*

– *You see the person?* – zapytał Coppola z nadzieją.

Cabot zastanowił się chwilę.

– *The guy wore a helmet. You know, it's queer...*

Zrozpaczony Krasnal podniósł rękę, by go zatrzymać; niczego nie zrozumiał. Wyciągnął kieszonkowy słownik i z ponurą twarzą wyszukał słowo „whore”. Ze zdumieniem odkrył, że to wulgarne określenie prostytutki. prostytutka w hełmie, czyli

w kasku. Poza tym gdzieś obijało mu się w pamięci, że *queer* znaczy chyba pedał. No nieźle, na motocyklu była prostytutka w kasku i homoś.

– *Two people* – podniósł dwa palce – *but how you know she is prostitute and he is gay?*

Cabot popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby inspektor właśnie wypił duszkiem cappuccino i zagryzł je filiżanką. Potem wybuchnął głośnym śmiechem.

– *No, no* – powiedział, próbując odzyskać powagę. Krasnal patrzył na niego z urazą.

– *Wore means to wear*, mieć na sobie, mieć kask. *And queer means strange*, dziwny.

Coppola chciał być pewny.

– *One person, no prostitute, no gay?*

Do Amerykanina wreszcie dotarło, że Krasnal poczuł się urażony, i dobrał łatwiejsze słowa:

– *One person with helmet.*

– *Okay* – posumował uspokojony Coppola. – *So this person say to nigger ty chuju złamany, and nigger say him spierdalaj and motorcycle go away.*

Cabot potwierdzająco kiwnął głową, tłumiąc śmiech.

– *And you remember the motorcycle?* – zapytał Coppola.

– *It was a great motorcycle, handy and speedy.*

Coppola potrząsnął smutno głową. Jego angielski wymagał gruntownego odświeżenia. Zrozumiał, że motocykl był duży, do reszty potrzebował słownika. Pożegnał się z Fredem Cabotem, który następnego dnia odlatywał do Stanów, z wyraźnym poczuciem, że umknęło mu coś ważnego.

Giulia Piccolo była niespokojna. Decyzję o wzięciu Rudiego do domu podjęła pod wpływem impulsu. Teraz, na zimno, widać było tego pozytywne aspekty, ale wyłaniały się również problemy. Z których najbardziej niepokojącym nie było to, co mogą sobie pomyśleć inni, ale to, dlaczego to zrobiła. Zgoda, czuła się samotna. Więcej, była samotna. Od bardzo dawna, od kiedy odeszła Francesca. A Rudi stanowił doskonałe towarzystwo. Wrażliwy, dowcipny, gej i do tego przystojny.

Co ma przystojny albański gej do twojego życiowego bałaganu? Konający nie leczą ciężkich ran. Żadne z nas dwojga nie jest tym, czym chciałoby być, a wspólnie nie jesteśmy tym jeszcze bardziej.

Do restauracji przyszła około dziesiątej. Zadzwoiła do menedżera, żeby o tej niezwykłej porze był obecny zarówno on, jak kelner, który obsługiwał Mirceę i Nadię. Przyjął ją elegancki czterdziestolatek w marynarce i krawacie, ale z niewypastowanymi butami. Natomiast kelner był bliżej siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki i poniżej nieco zatłuszczonej białej marynarki miał czarne spodnie z niedopiętym rozporkiem.

– Jestem Carpi, menedżer restauracji, *signorina*. Czekalem na panią.

Nikt tutaj nie powie do policjantki dottoressa.

Lokal był dosyć duży, z dwiema salami, jedną przeznaczoną dla palących. Typowy lokal dla turystów w centrum miasta. Było to widać po menu w językach angielskim, francuskim i japońskim. I po krzykliwym urządzeniu, pełnym fotografii artystów, którzy z pewnością nigdy nie postawili nogi w tym przybytku.

Carpi wskazał na kelnera.

– Tommaso ich obsługiwał i to on ich rozpoznał na fotografii, którą nam przesłaliście.

Piccolo zwróciła się wprost do siedemdziesięciolatka o lubieżnym spojrzeniu:

– Rozpoznał pan ją czy jego?

– Dobrze pamiętam dziewczynę, była bardzo ładna. Teraz jestem prawie całkiem łysy, ale wciąż podobają mi się piękne dziewczęta.

– Dobrze – przerwała mu Piccolo. – Niech mi pan powie wszystko, co pamięta, odkąd weszli. Zaczynając od godziny.

– Cóż, dokładnej godziny nie pamiętam. Ale mieli rezerwację, to doskonale pamiętam, bo facet od razu zaczął robić trudności. Mówił, że zarezerwował stolik w sali dla palących. Na szczęście ona nigdy nie jest pełna, więc z łatwością ich przenieśliśmy. Gość wyglądał na piniacza.

– I gdzie usiedli?

Tommaso zaprowadził ją do sali dla palących.

– Tu też wyprawiał cuda. Zaproponowałem mu stolik na środku, ale on powiedział, że chce siedzieć plecami do ściany. Jak jakiś mafioso, wyobraża pani sobie? Zresztą ci Rumuni...

– I co pan wtedy zrobił? – Piccolo zaczynała się niecierpliwić.

– Zamieniłem rezerwację i dałem mu ten stolik, który chciał, potem przyjąłem zamówienie. Ona mówiła po rumuńsku, on tłumaczył. Zamówił *penne all'arrabbiata*, ona nie chciała pierwszego dania.

– Jak to możliwe, że po tygodniu pamięta pan zamówienie?

– Bo czepiał się nawet tego.

– To znaczy?

– Mówił, że *penne* były bez smaku, że nie były w ogóle pikantne. Powiedział również coś brzydkiego na temat kucharza, w sensie gdzie powinien sobie wsadzić papryczkę.

– Tommaso, bardzo proszę – wtrącił się Carpi.

– Krótko mówiąc, prawdziwy piniacz. Kiedy zamówił wino, cały drżałem, co robi, dałem mu spróbować dwa razy, zanim nalałem do kieliszków.

– Dużo ze sobą rozmawiali?

– Kiedy przechodziłem, milkli albo mówił tylko on. Ona wyglądała, jakby była

niema.

– Zdarzyło się coś szczególnego?

– Tak. On rozsiadł się na dobre, siedzieli ponad dwie godziny. Wie pani, zazwyczaj pary przychodzą na krótko, jedzą, a potem idą pociup...

– Tommaso – zareagował Carpi.

– Tymczasem ten gość sącył wino, aż wypił całą butelkę, sam jeden, dziewczyna piła tylko wodę. Potem zamówił deser, potem kawę, potem gorzki likier, potem whisky. A na koniec zaczął się do niej dobierać. Oni to naprawdę nie potrafią postępować z kobietami. Włoch nigdy by nie...

– Pobił ją? – przerwała mu Piccolo.

– Niezupełnie. Byłem w drugiej sali, ale słyszałem, że podniósł głos w tym swoim okropnym języku z tymi wszystkimi „u”. Potem usłyszałem odgłos policzka. Wtedy tam poszedłem, ona trzymała twarz w rękach, a ludzie przy innych stolikach patrzyli na nich. Odwrócił się do nich i powiedział: „Zajmijcie się kurwa swoimi sprawami”. Potem zostawił dwa banknoty po pięćdziesiąt euro, zabrał skórzaną kurtkę z szatni i wyszedł.

– A dziewczyna?

– Została jeszcze chwilę, wydawało się, że nie wie, co ma robić.

– Jaki był rachunek?

Tommaso popatrzył na Carpiego.

– Nie pamiętam.

– Mniej więcej – drążyła Piccolo. – Biorąc pod uwagę, że dziewczyna nie piła wina i zjadła niewiele...

– Pewnie jakieś siedemdziesiąt euro – rzucił Carpi.

– Przyniósł pan resztę dziewczynie?

Zauważyła, że kelnerowi drżą ręce, uznał jednak, że ryzyko jest niewielkie.

– Tak, ale nie pamiętam, ile tego było, w każdym razie dziewczyna zostawiła duży napiwek.

– Dobrze. – Piccolo zwróciła się teraz do Carpiego: – Niech pan poszuka w paragonach z tamtego wieczoru.

Niepotrzebne żądanie, Piccolo. Myślisz, że wydają paragon obcokrajowcom?

Po chwili Carpi wrócił z paragonem opiewającym na osiemdziesiąt euro.

– Panie Tommaso, o której godzinie ten Rumun wyszedł? – zapytała.

– Około jedenastej trzydzieści.

Piccolo podała paragon Carpiemu, wskazując na datę i godzinę: 23 grudnia, godzina 22.15.

– Niech pan poszuka takiego, który będzie lepiej pasował.

Spąsowiał i poszedł na zaplecze, przeklinając pod nosem.

Potem zapytała kelnera:

- Odprowadził ją pan do drzwi?
- Widziałem, jak wychodzi, miała na sobie za długi płaszcz, sięgał ziemi. *Pożyczyła go jej Ramona. Nadia nie miała swojego płaszcza.*
- I widział pan, dokąd idzie?
- Nie, zatrzymała się zaraz za drzwiami. Rozglądała się, jakby myślała, dokąd pójść. Potem pomachała do kogoś i skręciła w lewo, w stronę piazza del Popolo.

Corvu martwił się o Balistreriego. Po sprawie Samantha Rossi i sporze o koczowiska nomadów teraz dochodził jeszcze Colajacono. Potencjalne oskarżenie podkomisarza policji, na dodatek bardzo popularnego wśród kolegów i mieszkańców dzielnicy, było naprawdę wyjątkowo niewdzięcznym zadaniem.

Wszystko posprawdzał i wszystko się zgadzało. Po wyjściu z pracy 24 grudnia czterej rumuńscy pracownicy Mariustravel przyjechali do Casilina 900 krótko przed osiemną. Ale Hagi wpadł do domu, żeby zabrać prezenty dla dzieci. Nie ma świadków. Podobnie w przypadku Colajacona. W alibi obydwu, jeśli mówienie o alibi miało w ogóle sens, była godzinna dziura wystarczająca, by zabrać Nadię z via di Torricola.

Mimo to Corvu nie był zadowolony. Praca śledczego składa się w jednym procencie z genialnych przeczuć, pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć to skrajnie nużące analizy. Tylko na bazie analiz daje się rozwinąć intuicję. A faktów wciąż było cholernie mało.

O dziesiątej powiadomiono go, że przyszła ukraińska prostytutka, która widziała samochód. Corvu miał pozwolenie Balistreriego, by używać gabinetu szefa zamiast swojego przeszklonego boksu, kiedy trzeba było zrobić wrażenie na rozmówcy.

Dziewczyna była drobna, wiotka, o ładnej, inteligentnej twarzy nietkniętej makijażem i prostych kruczoczarnych włosach. Nie wyglądała na swoje dwadzieścia lat.

– Jak masz na imię? – Corvu czuł się nieco zakłopotany. Oczekiwał starej zdiury, tymczasem ona wyglądała na licealistkę.

– Natalia, a ty?

Zaskoczony bezpośredniością dziewczyny Corvu wybąkał „Graziano”, przemilczając swoje mało pociągające nazwisko¹⁸.

Wskazał jej fotel przed biurkiem i usiadł na drugim obok. Nie chciał siadać na wielkim obrotowym fotelu Balistreriego po drugiej stronie biurka, nie chciał jej onieśmielać.

– Od jak dawna mieszkasz we Włoszech?

– Zaledwie od dwóch miesięcy.

– Jak to możliwe, że tak dobrze mówisz po włosku?

Uśmiechnęła się. Pięknym, szerokim uśmiechem.

– Przez trzy lata chodziłam z Włochem. Przyjechałam tu do niego.
– Zmusza cię do prostytucji? – Corvu poczuł przykrość, zadając to pytanie. Wybuchła śmiechem. Miała jasnozielone oczy i małe, równe, białe zęby.
– Nie jestem prostytutką – zaprotestowała, wciąż się śmiejąc.
Corvu nie przepadał za niespodziankami. Gwałtownie się zarumienił.
– W takim razie co robiłaś nocą w takim miejscu?
– Graziano, poszłam tam tylko tamtego dnia, to nie była noc, tylko wieczór, i byłam tam wszystkiego dwie godziny, potem pojechałam do pracy.

Stropiony swobodą, z jaką mówiła mu po imieniu, Corvu postanowił odwrócić jej uwagę.

– A gdzie pracujesz?
– Jestem kelnerką w barze z przekąskami. Śniadania, obiady, kolacje.
– W takim razie co robiłaś na via di Torricola dwudziestego czwartego?
– Była Wigilia, poszłam, żeby dotrzymać towarzystwa mojej kuzynce, która była sama do ósmej wieczorem. Ona, niestety, jest z tej profesji...
– Nie bałaś się, że ona wsiądzie do samochodu klienta i zostawi cię samą? Wszystko mogło się zdarzyć!

– Byłam sama tylko raz przez dziesięć minut. Na szczęście nikt się nie zatrzymał, ale byłyśmy umówione, że w razie czego będę grała na czas i czekała, aż ona wróci.

Dziewczyna była zaskoczona widocznym jak na dłoni dyskomfortem i niepokojem Corvu.

– I w ciągu tych dziesięciu minut przejechał samochód z zepsutym reflektorem? – Corvu przeszły ciarki na myśl, że los wybrał Nadię, a oszczędził Natalię.

– Tak, kiedy zobaczyłam, że nadjeżdża, przestraszyłam się, myślałam, że zatrzyma się przy mnie, tymczasem zwolnił, przejechał obok, a potem przyspieszył.

– Przypominasz sobie markę samochodu?

Pokręciła głową.

– Nie, było ciemno. Ale wydawało mi się, że już taki widziałam. Wiesz, mój brat na Ukrainie handluje używanymi samochodami, ale nie jestem pewna, czy widziałam go tam, czy tu.

Nadszedł moment, by zademonstrować swoje umiejętności.

– Natalio, mam tu program komputerowy z kawałkami wszystkich samochodów: bagażniki, szyby, dachy i tak dalej. Siądziemy do niego, a ty wybierzesz najbardziej podobne.

Dobrze się bawiła. Zanim się zorientowali, minęły dwie godziny. Kiedy wystrzał armatni z Janikulum oznajmił nadejście południa, spojrzeli po sobie jak dwoje uczniów przyłapanych na paleniu w toalecie.

– Boże, już późno, muszę biec do pracy – powiedziała z żalem.

– Ale nie doszliśmy nawet do połowy – zaprotestował.

– Posłuchaj, Graziano, ja dzisiaj pracuję do piątej, potem mam umówionego fryzjera i jestem wolna, bo lokal dziś wieczorem nieczynny. Mogę wtedy tu wrócić i skończymy, zgoda?

– Zgoda – odpowiedział natychmiast. Potem, kiedy wychodziła z pokoju, ogarnęły go te same co zwykle wątpliwości. – Pod warunkiem, że twój chłopak nie będzie się złościł.

Upadłeś na głowę, Graziano? Co za bzdury gadasz? Wydaje ci się, że jesteś Bradem Pittem czy co?

Poczerwieniał na myśl o własnej brawurze i ze wstydu zatrzasnął drzwi zaraz za Natalią, barykadując się w gabinecie Balistreriego.

Kiedy próbował odzyskać oddech, usłyszał jej wesoły głos dobiegający z korytarza:

– Już nie mam chłopaka. Do zobaczenia, Graziano.

Corvu poczuł, że pali się ze wstydu.

Po naradzie z podwładnymi i przesłuchaniu Colajacona Balistreri był w jeszcze gorszym humorze.

Chciał papierosa, ale wypalił już jednego wcześniej, niż należało, chciał kawy, lecz na samą myśl buntował mu się żołądek.

Na dodatek Margherita oznajmiła, że Pasquali oczekuje go punktualnie o trzynastej trzydzieści. Z pewnością nie po to, by go zaprosić na obiad. Ten asceta nie jadał, on tylko pracował. Postanowił się czymś zająć. Margherita krzątała się między stosami papieru i komputerem.

– Musisz mi pomóc przy śledztwie.

Spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona, ale nie zaproponowała.

– Oczywiście, *dottore*, jestem do dyspozycji – powiedziała, odwracając wzrok.

Lata temu owo „do dyspozycji” miałoby całkowicie inną konotację i inne konsekwencje. Dzisiaj tytuł „dottore” nieco go irytował, ale tak było lepiej. Tylko władza była w stanie dodać choć odrobinę uroku tej niemal sześćdziesięcioletniej ruinie mężczyzny, za jaką się uważał, więc lepiej było się jej trzymać.

Po tej konstatacji zadał sobie pytanie, czy przez przypadek nie zapomniał dziś wziąć antydepresantów. Jeśli tak, stan jego emocji byłby bezpośrednią konsekwencją depresji. Człowiek pogrążony w depresji z łatwością może sam sobie zrobić krzywdę. Powiedziała mu to ostatnio jego psychoterapeutka na zakończenie sesji, kiedy wypisywał okrągłą sumkę na czeku.

Weszli do jego gabinetu i Balistreri zamknął drzwi. Z cienkiego drewna. Wyraźnie usłyszał tekst Krasnala:

– Ładny bajzel. Najpierw ty sobie przygruchałaś do domu albańskiego pedzia, potem Graziano zaczął kręcić z ukraińską dziwką, a teraz już nawet szef dostawia się do

Margherity.

Balistreri otworzył drzwi dokładnie w momencie, kiedy Piccolo ruszała w stronę Krasnala. Rzucił jej spojrzenie i wróciła do swojego biurka. Zawołał Coppolę, który podszedł, ponuro patrząc w podłogę.

– Coppola, nie masz nic do roboty?

– Mam spotkanie z narzeczoną Senegalczyka z Bella Blu. Na tej siłowni, gdzie pracował w ciągu dnia.

– No to idź. A, i tak à propos twoich żarcików przed chwilą...

Krasnal zbladł.

– *Dottore*, bardzo przepraszam.

Balistreri uspokoił go:

– Coppola, jestem tylko ciekawy. Co mówiłeś o Corvu?

Krasnal opowiedział.

– A nie mówiłem, że Corvu chodzi na dziwki? – zakończył z triumfem w głosie.

Balistreri wiedział już od Corvu, że Natalia nie jest prostytutką. Spojrzał na Coppolę takim wzrokiem, że Krasnal cofnął się o krok.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości, Coppola – ostrzegł. Z powrotem zamknął drzwi i zwrócił się do asystentki: – Margherito, mam problem, który piękna młoda dziewczyna, taka jak ty, może pomóc mi rozwiązać.

Zobaczył, że przestraszyła się i zaczerwieniła. Dwuznaczność była zamierzona, chciał zobaczyć jej reakcję.

Stare gierki, które już na nic mi się nie przydają.

– To sprawa zawodowa – sprecyzował, by ją uspokoić. – Wyobraź sobie, że jesteś prostytutką, która pracuje w parze z koleżanką i czeka na klientów w ciemnej ulicy.

– W parze? W sensie, że... – zapytała dziewczyna jeszcze bardziej stropiona.

To się robi krępujące, ona jest zbyt prostolinijna.

– Kiedy jedna z was wsiada do samochodu klienta, druga musi zawsze przy tym być i zapisać jego numer rejestracyjny – wyjaśnił cierpliwie.

Margherita się uspokoiła.

– A, teraz rozumiem. Dobrze, *dottore*, co mam robić?

– Jesteś z koleżanką na ciemnej ulicy daleko od zabudowań, w pobliżu stoją inne pary prostitutek, najbliższa jest jakieś pięćdziesiąt metrów od was. Jedna idzie z klientem, druga zapisuje numer rejestracyjny.

– Dobrze. Co dalej?

– Podjeżdża klient, twoja koleżanka wsiada. Zapisujesz numer, odjeżdżają na bok gdzieś w pole. Jesteś sama, widzisz ogień koksowników tam, gdzie stoją inne dziewczyny. Mijają dwie minuty. Nadjeżdża auto. Świeci mu się tylko jeden reflektor, drugi jest niesprawny. Zjeżdża na bok, zatrzymuje się. Co robisz?

Popatrzyła na niego nieco niepewnie.

- Staram się zyskać na czasie. Rozmawiam i czekam, aż wróci koleżanka.
- Jemu się spieszy, mówi, żebyś wsiadała – ciągnie Balistreri.
- Wciąż staram się przedłużyć rozmowę i zyskać na czasie – odpowiedziała, nie wiedząc, o co mu chodzi.

Niezadowolony Balistreri wstał i spuścił okiennice. W pomieszczeniu zrobiło się ciemno, tylko światła diod telefonu i telewizora żarzyły się jak maleńkie ogniska.

- Zamknij oczy, Margherito. Spróbuj przeżyć tę scenę, jeśli chcesz mi pomóc.

Popatrzyła na niego zmieszana, potem jej wrodzona uległość i chęć pomocy przeważały. Zamknęła oczy i zagłębiła się w fotelu.

- Teraz się zastanów. On nalega. Co się dzieje?

Wtuliła się jeszcze bardziej w fotel.

- Wychodzi, wciąga mnie do samochodu.

– Nie. Gdyby wyszedł, zaczęłabyś krzyczeć, inne dziewczyny by cię usłyszały i zaczęły coś podejrzać. Wsiadasz z własnej woli.

Balistreri słyszał w ciemności ciężki oddech dziewczyny.

- On zna moje imię – wyszeptała.

Balistreri potwierdził.

– Tak. Woła cię po imieniu i zaprasza do środka. Podchodzisz, żeby mu się przyjrzeć. W kabinie samochodu zapala się światło. Widzisz go teraz, Margherito?

Ciężki oddech, zduszony głos.

- Tak, znam go.

– Uśmiecha się do ciebie, gestem zaprasza cię do środka. Wsiadasz. Dlaczego?

– To ktoś, komu ufam – wyszeptała niemal rozciągnięta w fotelu. Chciałaby już otworzyć oczy, ale chęć pomocy Balistreriemu przeważała. – Czekałam na niego – dodała i z kącika oka wypłynęła jej łza.

Głos Balistreriego docierał do niej z daleka.

- Obiecał ci cały świat, prawda? A wiesz, co dostaniesz zamiast tego?

Nagle Margherita zobaczyła twarz swojego nauczyciela łaciny z liceum zapraszającego ją do swojego samochodu. Krzyknęła.

Parę sekund później drzwi otwarły się z impetem. Wparowało przez nie sto osiemdziesiąt siedem centymetrów mięśni Giulii Piccolo w pełnej gotowości do działania. Trzymający ją pod ramię Corvu został dosłownie wciągnięty do gabinetu.

– Wejdźcie i zamknijcie drzwi – nakazał Balistreri ze spokojem w głosie i zapalił światło.

Piccolo patrzyła spode łba, ale Margherita już się uspokoiła. Balistreri położył jej ręce na ramionach.

- Byłaś bardzo dzielna, Margherito.

Piccolo nie rozumiała, co się dzieje, pełen wątpliwości Corvu stał jak słup soli. Usłyszeli krzyk, zobaczyli opuszczone rolety i roztrzęsioną Margheritę, a teraz jeszcze

usłyszeli te dwuznaczne słowa.

Balistreri z łatwością odczytywał ich myśli. Czy możliwe, że aż tak nisko go oceniają?

Sprowadził ich na ziemię.

– Nadia знаła go i czekała na niego. Byli umówieni.

Po południu

Siłownia znajdowała się na parterze biurowca niedaleko via Veneto. Kiedy Coppola punktualnie o pierwszej dotarł do wejścia Sport Center, po drugiej stronie witryny zobaczył ludzi ćwiczących na urządzeniach, podnoszących ciężary i pedałujących na rowerach stacjonarnych. Jeszcze inni tańczyli w wielkim basenie przy dźwiękach ogłuszającej muzyki. Wolne zawody, panie z wyższych sfer, z pewnością jeden czy drugi złodziej na wysokim stanowisku.

Carmen czekała na niego. Czarnoskóra, tak samo jak Camarà. Nie była piękna, ale miała wysportowane ciało, jak to trenerka.

– Pochodzę z Miami – powiedziała dobrą włoszczyzną.

Coppola poczuł ulgę, jego angielski nie wytrzymałby kolejnej próby. Usiedli w małym boksie, który musiał być jednocześnie jej biurem. Na ścianie wisiała fotografia przedstawiająca ją i wielkiego czarnoskórego chłopaka na tle siłowni.

– Byliście bardzo zaprzyjaźnieni? – zapytał Coppola.

– Był moim chłopakiem – odpowiedziała po prostu. – Od trzech miesięcy. Papa był cudowny, prawdziwy skarb.

– Nikt nie miał z nim na pieńku? Zdarzyła się jakaś kłótnia, nieporozumienie?

Carmen przecząco pokręciła głową.

– Nie, to był ten drań na motorze, jestem pewna. Bez powodu...

– Z tego, co wiemy, wynika, że chwilę wcześniej mieli jakieś spięcie. Mamy świadka, Amerykanina z Teksasu – dorzucił Krasnal, by dodać wiarygodności swoim słowom.

– Akurat – skomentowała wzgardliwie. – Teksański kłamca, taki sam jak nasz prezydent.

– Świadek twierdzi, że obrzucili się nawzajem obelgami.

– Nieprawda, to motocyklista wyzwał go od złamanych chujów, a Papa kazał mu spierdalać.

– Przepraszam, ale skąd pani to wie?

– Zaraz potem Papa zadzwonił i opowiedział mi o wszystkim. Tego wieczoru słyszeliśmy się często, bo źle się czuł, miał infekcję dróg moczowych, zaraził się ode mnie...

Coppola już wcześniej sprawdził billingi telefoniczne. Był jeden telefon od Camarà na komórkę Carmen o drugiej czterdzieści, niedługo po spięciu z motocyklistą i chwilę przed tym, jak znaleźli go martwego. Rozmowa trwała dwie i pół minuty.

– Co dokładnie pani powiedział? – zapytał Coppola.

– Zadzwoił, żeby powiedzieć, jak się czuje. Musiał często opróżniać pęcherz, ale nie miał gorączki. Zapytałam, jak mija noc, i wtedy opowiedział mi o tym gościu na motorze, dziwnym typie, który wyzwał go bez powodu...

– Nie było żadnej wcześniejszej kłótni?

– Papa mówił, że nie.

Krasnal wyszedł z odnowionym przekonaniem, że wśród ciemnoskórych infekcje dróg moczowych są częstą dolegliwością.

Był zbyt roztargniony, by zauważyć mężczyznę, który obserwował go z chodnika naprzeciwko.

Parę minut przed pierwszą trzydzieści Balistreri wstał i wszedł po schodach do Pasqualego. Uświadomił sobie, że ciężko oddycha, może to był znak, że powinien się wyrzec tej ostatniej żalostnej resztki papierosów.

– Czeka na ciebie w prywatnym gabinecie – przywitała go Antonella. – Skoro jesteś pięć minut przed czasem, to jeśli chcesz, zaparzę ci bezkofeinową.

Z kochanki – siostra. Zatrokana o mnie i o stan mojego serca.

Posłał jej pełen wdzięczności uśmiech i przyjął propozycję.

Kiedy Balistreri wszedł do środka, Pasquali siedział za swoim imponującym dziewiętnastowiecznym biurkiem. Okulary na czubku nosa przydawały mu aury spokojnego intelektualisty, która bardzo do niego pasowała. Wyglądał jak nieszkodliwy profesor na emeryturze. A tymczasem był najbardziej wpływowym funkcjonariuszem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Usiądź – nakazał mu bez wstępów. – Za dziesięć minut muszę iść do wiceministra. Dlatego będę się streszczał. Cała ta historia nam się zupełnie nie podoba.

Podkreślił „nam”. Nie wyjaśniając, komu jeszcze poza nim. Kwestorowi, prefektowi, wiceministrowi, ministrowi spraw wewnętrznych, papieżowi... Z pewnością aluzja do wiceministra nie była przypadkowa. Balistreri nie powiedział ani słowa.

Pasquali kontynuował cichym, spokojnym tonem:

– Wykluczone, byście mieli o cokolwiek oskarżać podkomisarza Colajacona. Nie macie na niego nic. Wyrzucił za drzwi jedną rumuńską prostytutkę, która nie wiedziała, gdzie jest inna rumuńska prostytutka. To żadna wina, nawet nie zaniedbanie, to jest po prostu nic. A Colajacono cieszy się dużym szacunkiem kolegów i ludzi z dzielnicy.

– Również mieszkańców Casilina, powiedziałbym, że w ich przypadku to nawet coś

więcej niż szacunek.

– Jakoś tak się przypadkowo składa, że w sprawie Casiliny i Colajacono macie to samo zdanie.

Balistreri pokręcił głową.

– Ani trochę nie myślimy w taki sam sposób. Colajacono rozumie przez eksmisję aresztowania z pobiciem i przymusową deportację.

– A ty?

– Ja zajmuję się bezpieczeństwem obywateli, nie polityką. Te haniebne koczowiska w środku Rzymu są jak bomba zegarowa i trzeba je jak najszybciej przenieść poza miasto i w bardziej godne warunki.

– Do tego trzeba politycznego konsensusu, ale dojdziemy do tego.

– Dzisiejszych polityków interesują tylko konsekwencje wyborcze tej sprawy. Lewica tradycyjnie nie wie, co robić. A druga strona wie doskonale: zwlekać i podsycać niepokoje. W ten sposób wzrośnie liczba rabunków, gwałtów, ukradzionych po pijaku samochodów, które potracają Bogu ducha winnych ludzi. I być może w przyszłym roku dzięki tej wspaniałej taktyce wyśle się do domu aktualnego burmistrza, a na stołku posadzi nowego, z drugiej strony.

– To polityczna fikcja, Michele. Prawda jest taka, że to złożona sprawa. Potrzeba czasu i szerokiego porozumienia, by zrobić to, o czym mówisz. Wspólnie z okolicznymi burmistrzami trzeba znaleźć miejsce dla tych ludzi, zbudować nowe osiedle zgodne z europejskimi normami. No i sami Romowie muszą się na to zgodzić. Przymusowe przeniesienie byłoby źle widziane zarówno przez Watykan, jak i centrolewicowy ratusz.

Pewnie, cierpliwości, zobaczymy, co się stanie, jak tymczasem wyskoczy nam jakiś trup.

– Posłuchaj. – Teraz Pasquali chciał się mu przypocholebić. – Może rzeczywiście Colajacono ma czasem zbyt brutalne metody. A ty wiesz, że ja, jako policjant i jako katolik, ich nie pochwalam. Ale nie masz podstaw, żeby go oskarżyć.

– Znał Iordanescu i nie powiedział nam o tym.

– Temu akurat przeczy. Słowo szanowanego podkomisarza przeciwko słowu prostytutki.

– Jest jeszcze coś poważniejszego – ciągnął Balistreri. – Ramona mówi, że Colajacono nie był zaskoczony, widząc ją na komisariacie.

– No właśnie, Michele. Bo nigdy wcześniej jej nie widział.

– Posłuchaj, załóż na chwilę, że Iordanescu mówi prawdę i że się już wcześniej znali. Tylko na chwilę. A wtedy jakie wnioski wyciągnąłbyś z faktu, że Colajacono nie był zaskoczony, widząc ją o świcie w dzień Bożego Narodzenia?

Pasquali zastygł w milczeniu. Lekka zmarszczka na czole zdradzała jego zaniepokojenie. Potem odpędził tę myśl niczym zapowiedź złej pogody na weekend,

którą nie należy się przejmować.

– Nie znał jej, Balistreri. Kropka. Nie otwierajmy drzwi, za którymi jest tylko ściana.

Zwrócenie się po nazwisku zamykało dyskusję. Pasquali przygładził siwe włosy, by zyskać na czasie.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział. – Mamy problem z Lindą Nardi. Obiecaliśmy jej dzisiaj protokół ze zgłoszenia zaginięcia tej dziewczyny.

– Możemy jej go dać. Nie ma tam nic kompromitującego.

– Wiem, dlatego upoważniam cię, byś jej go dał. Ale wczoraj przez telefon Nardi zażądała ode mnie jeszcze czegoś w zamian za milczenie w sprawie kłótni na komisariacie Torre Spaccata.

I nie chciałeś tego powiedzieć przy kwestorze. A więc to musi być dla ciebie poważny problem.

Pasquali spojrział za okno, w stronę swojej ukochanej kopuły Bazyliki Świętego Piotra, jakby tam szukał natchnienia od Boga.

– Chce wiedzieć, co ukrywamy w sprawie Samantha Rossi.

Dopiero teraz cię niepokoi to R wycięte na plecach nieszczęsnej dziewczyny.

– Dobrze, Pasquali, zajmę się tym, postaram się z nią zobaczyć jeszcze dziś wieczorem.

– Z pewnością pani Nardi z przyjemnością się z tobą zobaczy po tak długim czasie od ostatniego spotkania – zakończył Pasquali lodowatym tonem.

Zaraz po sjeście Corvu dotarł do siedziby spółki ENT mieszczącej się w pięknym apartamencie w samym centrum miasta. Parkiet, drogie dywany, fotografia kasyna, stare flippery i szafy grające, atrakcyjna, elegancka sekretarka.

Mecenas Francesco Ajello, administrator spółki ENT i dyrektor klubu Bella Blu, okazał się zupełnie inny, niż Corvu go sobie wyobrażał. Nie było w nim nic z hazardzisty ani gracza.

Był eleganckim, wysokim czterdziestolatkiem z wypielęgnowanymi dłońmi, dopiero co ściętymi włosami, twarzą świeżo po wizycie u kosmetyczki, wyćwiczoną na siłowni sylwetką i opalenizną z solarium.

Za jego plecami wisiał dyplom ukończonych studiów prawniczych. Na nowoczesnym biurku stały fotografie dystygowanej blondynki i umięśnionego nastolatka. Krótko mówiąc, człowiek sukcesu otoczony aurą absolutnie zasłużonej szacowności.

– Jest nam ogromnie przykro – zaczął Ajello ze smutkiem. – Nasz młody pracownik zabity z powodu banalnej sprzeczki. Niestety, wygląda to na coś normalnego w świecie, w jakim teraz żyjemy. – Rzucił zatroskane spojrzenie na fotografię syna.

– Z pewnością, panie mecenasie. Wydarzenie niespodziewane, ale niestety będące

częścią współczesnego świata – potwierdził Corvu.

Przerwało im wejście pięknej sekretarki. Miała coś pilnego do podpisu, Ajello szybko to załatwił markowym piórem wiecznym. Potem spojrzał porozumiewawczo na Corvu.

– A więc, co mogę dla pana zrobić? – zapytał, rzucając okiem na rolex na nadgarstku.

– Chciałbym zadać parę pytań na temat Bella Blu i spółki ENT. Jeśli to nie problem, oczywiście.

Ajello podniósł brew, by wyrazić lekkie zaskoczenie i grzeczny sprzeciw.

– Myślałem, że chce mnie pan wypytać o noc, kiedy ten chłopak został zabity. Nie rozumiem, co ENT ma z tym wspólnego.

– Widzi pan, chłopak mógł narobić sobie wrogów w jednym z dwóch miejsc swojej pracy, albo na siłowni, albo u was. Nie wiem, jakiś źle potraktowany przy wejściu klient albo ktoś, kto wiele stracił na maszynach w klubie, albo...

– Chce pan powiedzieć, że to mogło być zaplanowane? Ten amerykański turysta mówił o kłótni z motocyklistą.

– W tej chwili nie możemy odrzucić jeszcze żadnej hipotezy. Gdyby mógł mi pan wyjaśnić, czym się zajmujecie...

– Dobrze... ENT jest spółką założoną w dwa tysiące drugim roku przez właścicieli różnych klubów nocnych, salonów gier i firm bukmacherskich. Ja mam dziesięć procent udziałów, które kupiłem pod koniec dwa tysiące czwartego roku od żony poprzedniego administratora, Sandra Corony, który zmarł parę miesięcy wcześniej.

– Corona był administratorem w czasach, kiedy klub miał kłopoty z policją finansową.

Ajello wzruszył ramionami.

– Banalna sprawa, mandat za uchylanie się od podatków. Maszyny były dopiero co zalegalizowane. Podczas niezapowiedzianej inspekcji odkryto, że niektóre były odłączone od sieci.

– Czyli ludzie grali na czarno – doprecyzował Corvu.

Ajello skrzywił się z niesmakiem, jakby powiedzenie „na czarno” równało się ze słowem „gówno”.

– Niezaksięgowane zyski – poprawił.

– Kim są wspólnicy, którzy mają pozostałe dziewięćdziesiąt procent?

– Nie znam ich i nie sądzę, by chcieli dać się poznać. Inaczej nie używaliby funduszu powierniczego. Kontaktuję się jedynie z jego administratorem.

Pewnie. I bez poważnego powodu żaden sędzia nie zmusi funduszu powierniczego do podania nazwisk wspólników. I nie istnieje związek między ENT a zabójstwem Papy Camarà.

– Dobrze. Porozmawiajmy o tej nocy, kiedy Camarà został zamordowany. Był pan

wtedy w Bella Blu?

– Tak, tego wieczoru odbywała się prywatna impreza w jednej z sal na zapleczu. Przyjechałem do lokalu około pierwszej trzydzieści. Wpuściłem gości od tyłu i zaprowadziłem do sali, którą wynajęli.

– Jechał pan z innego lokalu?

– Tak, z Perugii, gdzie też mamy lokal i tej samej nocy również tam odbywała się prywatna impreza. Znałem solenizantkę, poczekałem na zdmuchnięcie świeczek o północy i pojechałem.

– I w ciągu półtorej godziny był pan w Rzymie?

– Poruszam się firmowym samolotem. Inaczej nie dałbym rady doglądać tylu lokali rozsianych po różnych miastach.

– A potem?

– Potem koło drugiej trzydzieści usłyszałem, jak ktoś zawodzi. Wybiegłem na zewnątrz i zobaczyłem Amerykanina. I Papę Camarà w kałuży krwi. Zadzwoiłem po policję.

Corvu nie miał więcej pytań. Wskazał na jedną z fotografii na biurku.

– Wspaniały chłopak, gratulacje.

Ajello uśmiechnął się ze źle skrywaną dumą.

– Dziękuję. A wie pan, właśnie Fabio mi go przedstawił. Camarà był jego instruktorem na siłowni.

Wychodząc, Corvu zauważył, że na biurku sekretarki zapala się czerwone światełko na telefonie. Prywatna linia mecenasa Ajella.

Wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i wielkie ciemne chmury zasłoniły niebo. Było wciąż popołudnie, ale w sklepach pozapalały się światła. Balistreri pojechał autobusem do Casilina 900. Marius Hagi oczekiwał na niego przy wejściu do obozu, samotnie, tak jak Balistreri uzgodnił z jego adwokatem.

Hagi miał na sobie koszulę z szarej flaneli, sztruksowe spodnie i czarny wełniany sweter. Chociaż było zimno i wilgotno, nie miał ani nakrycia głowy, ani płaszcza. I kaszłał mocniej niż zwykle.

Balistreri wyciągnął do niego rękę na powitanie.

– Dzień dobry – powiedział Hagi, nie podając swojej. Nie był niegrzeczny, ale też nie był przyjazny.

– Dziękuję, że pan przyszedł, wiedząc, że nie ma takiego obowiązku. Chciałem porozmawiać całkiem nieformalnie i przejść się z panem po obozie.

Obóz Casilino 900 istniał od ponad trzydziestu lat i mieszkało w nim około siedmuset osób, w tym wiele kobiet i dzieci. Rumuni, Macedończycy, Bośniacy, Kosowianie, Czarnogórcy. Weszli przez główną bramę, obok której stał policyjny

samochód. Nieasfaltowane ścieżki obozu prowadzące między barakami i kontenerami były pełne błotnistych kałuż i przeróżnych śmieci.

Jedyny oferowany przez to miejsce widok stanowiły sterty nieczystości, sznury z bielizną i wraki samochodów. Nie było instalacji wodnej ani gazowej. Niektóre baraki podłączono prowizorycznie do linii wysokiego napięcia przewodami wątpliwej jakości, w innych widać było drżące światło świec w otoczeniu łatwopalnych materiałów wszelkiego rodzaju. Kabiny toaletowe i wszechobecny zapach uryny i śmieci. Chodząc wśród baraków, Hagi i Balistreri mieli wokół siebie dzieci, dorosłych, stragany, na których sprzedawano przeważnie rzeczy wyszperane ze śmietników na mieście albo co gorsza z czyichś kieszeni i torebek. Roześmiane i rozkrzyczane dzieciaki grały w piłkę pośród kałuż i śmietnisk.

Za granicą obozu widać było wysypisko śmieci, gdzie znaleziono sponiewierane ciało Samantha Rossi. Za wysypiskiem było wtedy jeszcze jedno małe nielegalne koczowisko, w którym znaleziono trzech Rumunów i bransoletę Samantha.

Hagi podchwycił spojrzenie Balistreriego i odczytał jego myśli.

– Za parę lat wyjdą za dobre sprawowanie. Za moich czasów w Rumunii nabiliby ich na pal.

Balistreri miał ochotę powiedzieć mu, że wśród tych, których chroni, też może się czaić niejedna bestia. Ale był tu po to, by porozmawiać o Nadii, nie o Samancie Rossi.

– Staramy się być cywilizowanym krajem, panie Hagi. – Powiedział to bez specjalnego przekonania, to był tylko odruch uwarunkowany przez instytucję, którą reprezentował.

– Niech pan zauważy, Balistreri, że cywilizacja to właśnie surowość prawa. Wy nie jesteście cywilizowani, wy jesteście małoduszni. Wasza tolerancja wynika z tego, że potrzebujecie opiekunek, prostytutek i zbierających pomidory na waszych polach. Gdyby nie byli wam potrzebni, zebralibyście wszystkich imigrantów, którzy łamią prawo, i ukrzyżowalibyście ich wzdłuż ulic, jak robili starożytni Rzymianie.

Kiedy Hagi prowadził go między barakami, uświadomił sobie, że obserwują ich dziesiątki oczu. Musiała się roznieść wiadomość, że jest policjantem. Hagi dostrzegł jego zaniepokojenie.

– Tu jest pan bezpieczny, nie ma powodu do niepokoju.

– Bo jestem z panem?

– Nie. Bo nikt nie jest tak głupi, by napaść w tym miejscu na policjanta.

W tym momencie podeszła do nich stara Romka z dwoma blaszanymi dymiącymi kubkami. Podała je z szacunkiem obu mężczyznom. Podziękowali i małymi łykami popijali herbatę. Hagi palił jednego papierosa za drugim, odpalał nowego od niedopałka, chociaż dusił się od kaszlu. Jego ascetyczna twarz była trupio blada, ale czarne oczy błyszczały w cieniu krzaczastych brwi. Ciemne worki pod oczami podkreślały jeszcze bardziej diaboliczny wygląd mężczyzny.

Zatrzymali się koło przyczepy kempingowej wyglądającej nieco lepiej od innych. Mazakiem wypisano na niej numer 27.

– Wejdźmy – zaproponował Hagi. – To mieszkanie Adriana i Giorgiego.

Za przyczepą stał niewielki motocykl crossowy przypięty do niej łańcuchem. Wnętrze było puste, ale czystsze, niż można się było spodziewać z zewnątrz. Usiedli na jedyńskich dwóch krzesłach przy pordezewiałym stoliku ze zdartym blatem.

– Jutro pańscy dzielni chłopcy zostaną wypuszczeni, panie Hagi.

– Jeśli ma pan cierpliwość, coś panu opowiem.

Balistreri zapalił czwartego tego dnia papierosa.

– Chętnie posłucham.

Hagi zaczął opowiadać, przerywając tylko na chwilę upartego kaszlu:

– Mam czterdzieści sześć lat, urodziłem się na przedmieściach Gałaczu, niedaleko Morza Czarnego. Rodzice osierocili mnie i Marcela, mojego brata, kiedy ja miałem dwanaście, a on szesnaście lat. Przeprowadziliśmy się nad morze, do Konstancy, gdzie znaleźliśmy pracę jako dokerzy w porcie. Spaliśmy na miejscu, w magazynie. Byliśmy, jak by to pan powiedział, dzielnymi chłopakami.

– Z trudnym dzieciństwem.

– Najgorsze będzie teraz. Mój brat świetnie grał w piłkę, był bramkarzem – kontynuował Hagi. – Na początku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku ściągnęli go do Bukaresztu, do jednego z zespołów grających w ekstraklasie. Dostał niewielkie stypendium, które pozwoliło mu zabrać mnie ze sobą i posyłać na lekcje matematyki u księgowego klubu. Pewnego dnia w maju siedemdziesiątego ósmego, podczas finału pucharu Rumunii, Marcel w ostatniej minucie obronił karnego i jego drużyna wygrała. Pech chciał, że prezesem klubu, który przegrał w finale, był syn Ceaușescu.

Hagiemu przerwał kolejny napad ciężkiego kaszlu. Potem kontynuował opowieść:

– Dwaj sukinsyni z tajnej policji przyszli do pokoju, w którym mieszkaliśmy, i połamali mu po kolei wszystkie palce. Marcel zrobił coś idiotycznego: poszedł na policję, żeby ich oskarżyć. Kilka dni później przyszedłem do domu i zastałem pokój cały we krwi. Obcięli mu obie ręce i Marcel wykrwawił się na śmierć.

Hagi przerwał, by zapalić kolejnego papierosa, po czym mówił dalej:

– Uratowałem się przez przypadek, ale wiedziałem, że będą mnie szukać i też załatwią. Miałem osiemnaście lat i nic do stracenia. Moi przyjaciele znali kogoś w Krakowie, więc pojechałem tam. Miałem szczęście. Poznałem Alinę, miała jedynie siedemnaście lat i była sierotą, mieszkała u swojego wuja, księdza, który pracował z Wojtyłą i prowadził sierociniec. Kiedy pół roku później Wojtyła, już jako papież, ściągnął go do Rzymu, Alina i ja pobraliśmy się i pojechaliśmy za nim. Przyjechaliśmy tu w kwietniu siedemdziesiątego dziewiątego roku. Dzięki pomocy wuja Alina szybko znalazła pracę.

– A pan został przedsiębiorcą, wykorzystując swoje znajomości w Europie Wschodniej.

– Nie miałem wielkiego pojęcia o biznesie, ale szybko odkryłem, że Włochom podobają się dziewczyny ze Wschodu. Jeździli do Warszawy, Belgradu i Budapesztu z walizkami pełnymi nylonowych pończoch, dzinsów i kosmetyków. Ja wykorzystałem znajomości nawiązane w Polsce i zacząłem organizować im podróże dla przyjemności. Nie było w tym nic nielegalnego: kontaktowałem ze sobą dwie strony dla obustronnej korzyści. Potem otworzyłem bary i restauracje na terenach zamieszkiwanych przez Polaków. Stałem się bogatym i szanowanym imigrantem, w pełni zintegrowanym ze społeczeństwem.

– Włochy są bardzo gościnne. Pewnie jest pan zadowolony z naszego kraju, prawda? Hagi zastanowił się, jakby to było naprawdę trudne pytanie.

– Włochy sprawiły, że stałem się bogaty, panie Balistreri. Ale z powodu Włoch utraciłem również to co najcenniejsze. Kiedy w 1983 roku Alina umarła, miała zaledwie dwadzieścia dwa lata.

Balistreri przeczytał to wszystko w dossier Rumuna. Banalny wypadek na skuterze. Jedna z najczęstszych przyczyn zgonów młodych ludzi w Rzymie. Ale dlaczego Hagi obwinił Włochy za śmierć żony?

– Prałat Lato, ten sam, który pomógł wam się tu znaleźć, złożył na policji doniesienie. Utrzymywał, że kiedy wydarzył się ten wypadek, Alina uciekała od pana.

Coś błysnęło w głębi czarnych oczu Hagiego.

– Alina była dla niego jak córka. Oszalał z bólu.

– Prałat zeznał, że bił pan żonę.

Znów to lekkie drżenie. Jak echo bardzo odległego trzęsienia ziemi. Potem Hagi odpowiedział chłodno:

– Zeznanie zostało wycofane dobrowolnie po miesiącu, kiedy prałat Lato uspokoił się i rozum zwyciężył nad bólem. Wystarczy już tej historii, ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Dobrze. Co się z panem działo po śmierci żony?

– Przez sześć lat ciągnąłem dalej to samo, choć bez wielkiego entuzjazmu. Potem, w osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy Rumunia uwolniła się od tego drania Ceaușescu, sprzedałem wszystko, co miałem we Włoszech, i wróciłem do kraju, gdzie zainwestowałem w nieruchomości, które dzisiaj są już warte dziesięć razy tyle. Mam w Bukareszcie bar, restauracje, agencje nieruchomości, agencje turystyczne. Jeżdżę tam dwa razy do roku.

– A we Włoszech zupełnie przestał pan inwestować?

– Mam tylko dom, w którym mieszkam, parę mieszkań, Bar Biliardo i Mariustravel. Wszystkiego tego używam, by dać mieszkanie i pracę rodakom. Pomagam wielu młodym Rumunom w integracji z tutejszym społeczeństwem. Pomagam też Romom,

których trzymacie na koczowiskach, a wasza policja traktuje jak dzikie zwierzęta.

– Zna pan podkomisarza Colajacona? – zapytał Balistreri.

Hagi skrzywił się i po raz kolejny rozkaszał. Zaraz potem zapalił kolejnego papierosa.

– Wiem, kto to jest. Tutaj w obozie wszyscy go poznali, niektórzy nawet na własnej skórze.

– Nigdy go pan nie widział?

– Tak, jeden raz tu, w obozie. Robili przeszukanie, między wrakami samochodów znaleźli działający skuter i chciał się dowiedzieć, kto go ukradł. Skuter należał wcześniej do Adriana, zanim jeszcze kupił ten motocykl, który pan widział obok przyczepy. Kupił go za gotówkę od gościa, który prowadzi szrot.

– I co się stało?

– Powiedziałem Adrianowi, żeby wyszedł do niego i wszystko wyjaśnił. Wyszli więc razem z Giorgim, patrzyłem przez okno i słuchałem rozmowy. Colajacono i drugi facet, który z nim był, kazali im wejść do środka, ja schowałem się w szafie. Colajacono chciał zobaczyć kartę pojazdu, Adrian oczywiście jej nie miał. Wtedy ten drugi policjant powiedział, że skuter jest kradziony, że go rekwirują, a jego aresztują.

– Przypomina pan sobie, jak wyglądał ten policjant?

– Tak, był niski, gruby, z rzadkimi włosami. Kazał Adrianowi oddać kluczyki. Adrian odpowiedział: „Takiego wała”. Wtedy tamten wyciągnął gumową pałkę i uderzył go w ramię. Pobili ich obu. Potem wzięli kluczyki i zabrali skuter. Bez protokołu, bez niczego. Następnego dnia znaleźliśmy skuter rozbity na drobne kawałki przed obozem. W taki sposób poznałem Colajacona.

– Właśnie Colajacono odbierał zgłoszenie Iordanescu o zaginięciu Nadii.

Zdawało się, że Hagi zupełnie stracił zainteresowanie rozmową. Nic nie powiedział.

– Wczoraj pytałem pana, czy ma jakąś opinię o zniknięciu Nadii. Niech pan pomyśli, że Mircea...

Błyskawica w oczach Mariusa Hagiego.

– Moi pracownicy wiedzą, że uznałbym za wielką zniewagę, gdyby zrobili coś grubego za moimi plecami.

A ty jesteś dobroczyńcą wyrzutków. Ale lepiej cię nie obrażać.

– Chciałem zapytać jeszcze o pana żonę.

Hagi bez słowa popatrzył Balistreriemu prosto w oczy. Nie powiedział ani słowa. Rozmowa była skończona.

Coppola pojechał tramwajem. Na spotkanie z wdową po Sandrze Coronie przybył z wyprzedzeniem. Wykorzystał czas na przyjrzenie się witrynom eleganckiej dzielnicy. Zatrzymał się przed sklepem z obuwem. Były tam piękne buty, mocno podwyższone,

ale w taki sposób, by nie rzucało się to w oczy. Spojrzał na ceny i zatkało go. A jednak sklep był pełen klientów przymierzających i kupujących. On mógłby sobie pozwolić co najwyżej na wkładki do tych butów.

W szkłe odbiła się twarz przechodnia. Coppola poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Kontynuował przechadzkę, zatrzymując się przy kolejnych witrynach. Nic. Dopiero parę metrów przed bramą kamienicy, w której mieszkała pani Corona, przypomniał sobie, gdzie już widział tę twarz. Młody chłopak, jechał z nim w tym samym tramwaju.

Wysłał esemesa do Balistreriego i Corvu, informując, że ktoś go śledzi. Dla pewności postawił na końcu pytajnik.

Dozorca kamienicy, w której mieszkała pani Corona, był wyjątkowo podejrzliwy. Wygląd Coppoli nastawił go jeszcze bardziej wrogo i w rezultacie inspektor musiał okazać dokumenty. Postanowił wykorzystać ten fakt i wypytać dozorcę.

– Pani mieszkała tu z mężem?

– Nie, kupiła mieszkanie pół roku temu, mąż już nie żył.

– Mieszka sama?

Dozorca spojrzał na niego krzywo.

– Ja się nie zajmuję cudzym życiem. Ale mieszka sama.

Ornella Corona, podobnie jak apartament, który kupiła, była dobrem luksusowym. Miała znacznie mniej lat, niż sobie wyobrażał. Jej zmarły mąż dobiegał sześćdziesiątki, ona mogła mieć czterdzieści, ale wyglądała najwyżej na trzydzieści pięć. Wypielęgnowane dłonie i stopy, jędrne, umięśnione ramiona, bardzo szczupła sylwetka, nogi w czarnych legginsach. Spojrzenie nieobecne i znudzone. Fotografie na ścianach przedstawiały ją jako bardzo młodą dziewczynę na wybiegu w strojach Valentina, Yves'a Saint Laurenta, Diora. Coronie nie było chyba łatwo zatrzymać przy sobie kobietę tego kalibru.

Wprowadziła Coppolę do salonu pełnego drogich mebli.

– Chce pan się czegoś napić? Likieru, soku owocowego...

Krasnal poprosił o sok. Czuł się zagubiony, nie potrafił oderwać wzroku od kobiety i był pewien, że jest tego w pełni świadoma. Na szczęście usiadła, popijając sok z grejpfruta.

– Czym mogę panu służyć, inspektorze?

– W Bella Blu, lokalu należącym do spółki ENT, zabito młodego mężczyznę.

– Wiem o wszystkim, widziałam biednego Camarà w Sport Center, mają tam świetne przyrządy do spinningu.

Coppola był zaskoczony.

– A więc znała pani Papę Camarà?

– Nie, nie znałam, ale widywałam go i wiedziałam, kim jest. A kilka dni temu przeczytałam, że został zaszytyletowany podczas kłótni przed Bella Blu.

– Wiedziała pani, że tam pracował?

Ornella Corona potrafiła założyć nogę na nogę w sposób prawdziwie rozpraszający. Na nadgarstku nosiła okazały zegarek z czarną tarczą, na której mrugało kobiece oko o długich rzęsach.

– Nie pracował tam w czasach mojego męża, a pod koniec dwa tysiące czwartego roku sprzedawałam swoje udziały w ENT i od tamtego czasu nic nie wiem o Bella Blu.

– Kupił je od pani mecenas Ajello.

Lekki grymas na twarzy.

– Tak, on. Zresztą komu innemu miałabym je sprzedać?

– A za uzyskane ze sprzedaży pieniądze kupiła pani to mieszkanie? – rzucił Coppola.

Po raz pierwszy wydało się, że zwróciła na Krasnała baczniejszą uwagę. Zastanowiła się, a potem powiedziała:

– Sądzę, że nie ma sensu pytać, skąd pan wie, że niedawno kupiłam to mieszkanie. Ale mogę wiedzieć, co to ma wspólnego ze śmiercią Camarà?

– Szczerze mówiąc, nie sądzą, by miało cokolwiek wspólnego, przepraszam za to pytanie. W każdym razie wyklucza pani, by Camarà był znany również pani mężowi?

– Definitywnie wykluczam – powiedziała sucho. Potem na nowo odzyskała bardziej serdeczny ton. – Nie może mi pan powiedzieć, po co to dochodzenie na temat mój i mojego zmarłego męża? Może bym się rozluźniła i była bardziej dyspozycyjna...

Ona nie pozwala mi normalnie myśleć. Trzymaj się, Coppola, i nie rób głupstw.

– Proszę się nie niepokoić, staramy się tylko dowiedzieć jak najwięcej o życiu zawodowym Papy Camarà. Zbrodni dokonano przecież w Bella Blu.

– Ale czytałam, że to był wynik kłótni z klientem...

– Kłótnia rzeczywiście była. I niewykluczone, że z dawnym pracownikiem Bella Blu. Nie pamięta pani, czy mąż mówił o kimś szczególnie porywczym?

– W sumie tak, jest tam taki Pierre, barman. Myślę, że siedział nawet w więzieniu – odpowiedziała natychmiast.

Wstała, by dolać sobie soku, i Coppola ujrzał jej kształtne pośladki zaledwie pół metra od siebie, na wysokości oczu. Poczerwieniał i dostrzegł jej szybkie spojrzenie w lustrze. Poczerwieniał jeszcze bardziej. Przyłapany jak nastolatek na przeglądaniu *Playboya* w toalecie. Usiadła z powrotem.

– Sądzę, że mój mąż odszedłby z ENT, nawet gdyby nie spotkał go ten wypadek.

– Odszedłby z ENT, nawet gdyby nie spotkał go ten wypadek – powtórzył Krasnał oszołomiony mistyczną wizją, której dopiero co doświadczył.

Kontynuowała:

– Zarabiał mało w porównaniu do problemów, które miał w tej pracy, nawet ze współnikami.

– Zna pani współników? – zapytał Krasnał, odzyskując na moment jasność umysłu.

– Nie. Chyba tylko raz słyszałam jednego z nich przez telefon. Zadzwonił na stacjonarny. Powiedział, że mój mąż ma wyłączoną komórkę i że bym go złapała

i przekazała mu, że musi natychmiast jechać do Monte Carlo. Nie powiedział „proszę”, tylko żeby to zrobiła i już. Zaoponowałam, mówiąc, że jest już siedemnasta, na to on odparł, że po to właśnie trzymają firmowy samolot. I rozłączył się.

– To był Włoch?

– Włoch. Mężczyzna przyzwyczajony do wydawania poleceń.

– Pani mąż był zły?

– Bardziej niż zły z powodu konieczności nagłego wylotu, wydał mi się niespokojny, bo zadzwonili do domu. To się nie zdarzyło nigdy wcześniej i od tamtego dnia zaczął narzekać na tę pracę, mówił, że zbyt wielu ludzi go stresuje.

– We wrześniu dwa tysiące czwartego roku pani mąż został potrącony przez ciężarówkę, kiedy przechodził przez pasy na jezdni.

Tym razem nie zapytała, co to ma do rzeczy.

– Policja drogowa powiedziała, że kierowca ciężarówki mógł nawet nie zauważyć, że go potrącił. W każdym razie to było bardzo długie śledztwo, ciągnęło się bez końca.

Westchnęła melodramatycznie, zmieniając ułożenie nóg i nachylając się w stronę Coppoli, by wziąć ze stolika papierosy. Przepastny dekolt bluzki wymierzył Krasnalowi cios łaski, uświadomił mu bowiem, że ma coraz mniejszy margines panowania nad sobą.

Pożegnał się z pośpiechem. Kiedy tylko wyszedł, zadzwonił do Balistreriego. Szczegółowo zrelacjonował fakty, pomijając wszelkie szczegóły dotyczące wyglądu Ornelli Corony.

– Coppola, bardzo dziwne to śledztwo w sprawie śmierci Corony. Rzuciłem tylko okiem na datę otwarcia i zamknięcia dochodzenia. Trwało dwa razy dłużej niż zwykle. Dowiedziałeś się może dlaczego?

– Nie mogłem dopytać, *dottore*, pójdę do drogówki i wywiem się.

– Jakim typem jest pani Corona?

Coppola zaczął się zastanawiać, czy się czymś nie zdradził.

– Normalna, wdowa – odpowiedział z wahaniem. Wydało mu się, że po drugiej stronie słyszy tłumiony śmiech.

– Na pewno? – zapytał Balistreri, podziwiając fotografię Ornelli Corony dołączoną do teczki, którą mu przyniesiono.

– Pewnie, *dottore*, normalna.

– Na pewno? Naprawdę? Może podjadę i spojrzę?

Milczenie, a po chwili Krasnal się poddał.

– Jest oszałamiająca, *dottore*.

Balistreri się śmiał.

– Jeszcze jedna rzecz, Coppola, całkowicie w związku ze śledztwem: na górze czy na dole?

To powiedzenie wzięło się od wulgarnego tekstu Krasnala, grubego męskiego żartu

wyłoszonego kiedyś w związku z bardzo piękną przesłuchiwaną. Ale Balistreri pozbawił określenie banalnie wulgarnego kontekstu i zaczął go używać do określenia charakteru przesłuchiwanej osoby.

Krasnal się uspokoił. Czuł się dumny, że tak słynny, choć nieco niedzisiejszy ekspert jak Balistreri ufa jego osądowi na tym polu.

– Na dole, *dottore*. Na sto procent. Taka pozwoli ci robić wszystko, na co masz ochotę, a sama w tym czasie będzie piłować paznokcie. A kiedy już skończysz, zaczniesz nakładać lakier. Ma nawet zegarek, który mruga.

Ponieważ Balistreri zajmował gabinet i Corvu nie mógł z niego skorzystać, w oczekiwaniu na Natalię uporządkował i wysprzątał swój mały przeszklony boks.

Margherita podeszła do niego, kiedy właśnie pucował szkło. Zaprzyjaźnili się od jej pierwszego dnia w pracy, z Corvu to było łatwe. Stała w drzwiach do boks.

– Słuchaj, Graziano – zaczęła skępowana – chciałam ci coś powiedzieć.

Nie przerywając pucowania, uśmiechnął się do niej zachęcająco.

– W czym ci mogę pomóc, Margi?

– Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. – Wyglądała na coraz bardziej skępowaną.

Corvu niewzruszenie kontynuował porządki, właśnie wziął się do odkurzania klawiatury komputera.

– O mnie? Martwisz się o mnie?

– Nie, nie – powiedziała szybko, przypomniawszy sobie o nadwrażliwości Corvu w tych sprawach. – Nie martwię się. Ale chciałam z tobą porozmawiać. O tej dziewczynie, która ma przyjść.

Corvu nagle znieruchomiał z zaskoczenia.

– O Natalii? A dlaczego?

– Nnnie... nie wiem, jak ci to powiedzieć. Wydawało się nam... to znaczy mnie... że...

– Słuchaj, Margi, nie musisz się martwić.

– Ale ona jest... to znaczy... chcę powiedzieć, że jej praca...

Kiedy Corvu wyjaśnił nieporozumienie, Margherita zaczęła się śmiać. Potem zmieniła ton. Natychmiast się rozpromieniła, była pełna entuzjazmu, jakby Corvu jej oznajmił, że się żeni.

– Cudownie, cudownie, Graziano, a ty jej się bardzo podobasz.

Corvu zaczerwienił się nagle.

– Co ty gadasz? Skąd możesz wiedzieć?

– Jestem kobietą. Widziałam, jak się z tobą żegna. No i powiedziała ci, że już nie ma chłopaka. Kiedy dziewczyna mówi coś takiego mężczyźnie, to oznacza, że jej się spodobał.

Corvu był czerwony jak burak i ponuro milczał.

– Teraz tylko trzeba, żebyś wiedział, jak postępować.

– Margi, proszę cię, nie nakręcaj mnie. – Corvu był naprawdę zestresowany.

– Mam genialny pomysł – wykrzyknęła Margherita i wybiegła z boksu. Po chwili wróciła z oprawioną w ramkę fotografią pięknej blondynki, bardzo do niej podobnej. – To moja siostra, trzymam tę fotografię na biurku.

– Czekaj, o co ci chodzi? – Corvu robił się coraz bardziej niespokojny.

– Postawimy to tutaj – powiedziała, umieszczając zdjęcie w rogu jego biurka i przyglądając się z zadowoleniem efektowi.

– Zwariowałaś? – Chwycił ramkę i popatrzył z niepokojem na zegarek. Natalia mogła przyjść w każdej chwili.

Margherita też chwyciła za ramkę. Ona ciągnęła z jednej strony, on z drugiej.

W tym momencie pojawił się Balistreri.

– Co tu się dzieje?

Corvu był cały purpurowy na twarzy.

– Nic takiego, *dottore*, Margherita właśnie...

Dziewczyna mu przerwała. W minutę wyjaśniła całą sytuację. Balistreri słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

– Corvu, rozkazuję ci postawić tę fotografię na biurku – orzekł w końcu.

Po raz pierwszy, odkąd się znali, Corvu się mu sprzeciwił.

– Pan nie może, *dottore*, to sprawy osobiste...

– Dobrze – odparł Balistreri – w takim razie nie będzie przesłuchania Natalii. Za pierwszym razem nie potrafiłeś niczego z niej wyciągnąć, umiesz posługiwać się komputerem, ale nie masz pojęcia o kobiecej psychologii. Jutro każę ją przesłuchać prawdziwemu ekspertowi w sprawach kobiet.

Corvu nagle krew odpłynęła z twarzy.

– Czyli komu? – zapytał z drżeniem w głosie.

– O której przylatuje jutro Mastroianni? – Balistreri złośliwie zapytał Margheritę.

W tej chwili Natalia zapukała w szybę. Corvu był blady niczym upiór.

Balistreri przywitał się z nią uprzejmie i wprowadził ją do środka. Margherita wciąż trzymała ramkę ze zdjęciem w rękach. Natalia była jeszcze piękniejsza niż rano, zrobiła sobie jasne pasemka i nałożyła młodzieńczy makijaż.

– Proszę usiąść – powiedział do niej Balistreri – prawie już skończyliśmy, *dottor* Corvu mówił mi, że jest pani bardzo pomocna.

– To sama przyjemność udzielić pomocy policji, zwłaszcza kiedy jest tak miła. – Natalia uśmiechnęła się do Corvu, którego twarz zmieniła natychmiast kolor z upiornej bieli na buraczaną czerwień.

– Przepraszam bardzo, *dottor* Corvu – wtrąciła się Margherita, stawiając oprawioną fotografię w widocznym miejscu na biurku – kazałam wymienić szybkę, którą stłukłam,

raz jeszcze bardzo przepraszam. – Potem zwróciła się do Natalii: – Narzeczona pana Corvu, umarła rok temu.

Bojąc się, że Corvu zemdleje, Balistreri pospiesznie odwrócił uwagę Natalii:

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć, kiedy widziała pani ten samochód z jednym reflektorem.

Dziewczyna była trochę zaskoczona kolejną wydarzeń. Patrzyła to na fotografię siostry Margherity, to na niemal wprasowanego w swój fotel Corvu. W końcu odpowiedziała:

– Jak już mówiłam Grazianowi, byłam wtedy sama, moja kuzynka poszła z klientem. Już od jakiegoś czasu było ciemno, pomyślałam, że nadjeżdża motocykl. Kiedy podjechał bliżej, zwolnił, jakby chciał się zatrzymać, i wtedy zobaczyłam, że to samochód, potem nagle przyspieszył i w jednej chwili był za zakrętem...

Tego mi nie powiedziałaś, Corvu. Że tak bardzo zwolnił. I nie zastanowiłaś się dlaczego.

– Zapewne dobrze się pani przyjrzała kierowcy...

– Nie mogłam, miał czapkę z daszkiem i ciemne okulary – odpowiedziała bez zastanowienia.

Balistreri spojrział na Corvu. Twarz chłopaka wyrażała taką udrękę, że Balistreri uznał, iż najlepiej będzie, jeśli się pożegna i uwolni go od kłopotliwej sytuacji.

Gdybym się tu przez przypadek nie znalazł, nie dowiedziałbym się o tym. Cholera, jedna dziewczyna potrafi tak omotać faceta. Czapka z daszkiem i ciemne okulary. W samochodzie. Po zmroku.

Wieczorem

Balistreri miał jeszcze godzinę. Wystarczyło, by przejść się pieszo na Zatybrze. Miał ochotę na spacer i nie przeszkadzała mu lekka mżawka, którą stary rok żegnał mieszkańców Rzymu.

Wybrał drogę przez via Nazionale. Zamykane sklepy żegnały ostatnich klientów, otwierające się restauracje zapełniały się ludźmi. Wydawanie pieniędzy przenosiło się z ubrań na jedzenie.

Przechodząc na drugą stronę Tybru, z mrocznego brzegu pozasuwanym rolet centrum na Zatybrze jarzące się światłami restauracji, spochmurniał. Zawsze tak się czuł, kiedy przekraczał tę rzekę, pozostawiając na jednym jej brzegu panowanie władzy świeckiej, i zbliżał się do drugiego, nad którym królował Watykan, centrum władzy duchowej¹⁹.

Od której sędu nic uciec nie może.

Ta wątpliwość nurtowała go, narastając powoli, od wydarzeń 1982 roku. Nieubłaganie, wbrew jego woli. Zemsta katolickiego wychowania, które otrzymał

w dzieciństwie i odrzucił jako nastolatek.

Nagle znalazła się wprost przed nim. Poważnej, posągowej urodzie Lindy Nardi jak zawsze towarzyszył jej nonszalancki stosunek do wyglądu. Kontrast równie wyraźny, co niezwykle pociągający.

Jakby była klauzurową mniszką chwilowo odwiedzającą świat zewnętrzny.

Balistreri świadomie zamówił stół w przepelnionej pizzerii, między młodzieżą i rodzinami. Mnóstwo ludzi, zero elegancji. Linda nie okazała najmniejszego niezadowolenia.

Zamówili pizzę. Pozwolił sobie na jedno piwo, ona poinformowała, że nie pije alkoholu. Balistreri zrozumiał, że drogie wina na słynnej kolacji z Colicchią służyły tylko do tego, by dać fanfaronowi prztyczka w nos.

Czas jakiś rozmawiali o niczym, o świętach, zakupach, prezentach i innych niepotrzebnych rzeczach, które żadnego z nich nie interesowały, ale Balistreri nie chciał podejmować od razu właściwego tematu. A ona grzecznie mu w tym towarzyszyła.

Następnie zaczął mówić o rozwoju śledztwa w sprawie Nadii, choć jedynie konieczne minimum. Nie wydawała się jednak szczególnie zainteresowana.

W pizzerii było bardzo gorąco, w pewnym momencie Linda zdjęła długą bluzę wypuszczoną na szare spodnie. Biust bardzo dyskretnie wyglądał jej spod bluzki, ale i tak Balistreri nie był w stanie powstrzymać się od szybkiego, odruchowego spojrzenia. I oto pojawiła się pionowa zmarszczka na jej czole.

Dłuższy czas milczeli, aż wreszcie podano tiramisù. Dopiero przy deserze Linda znów się rozluźniła, skosztowała, uśmiechnęła się z zadowoleniem do kelnera i poprosiła, by pogratulował kucharzowi. Po krótkiej chwili kucharz osobiście pojawił się przy ich stole. To był młodziutki Egipcjanin.

– Jest pani bardzo łaskawa – powiedział skromnie.

– A ty fantastycznie gotujesz. – Linda wstała i uściskała go.

Balistreri patrzył na to z lekkim zdziwieniem.

Bezinteresowna grzeczność, łagodność wobec najsłabszych. Wspomnienie z bardzo dawnych czasów.

Oszołomiony i przestraszony tą myślą, odepchnął ją od siebie niemalże z gniewem.

Począł, aż Linda usiadła.

– O czymś jeszcze chciała pani ze mną porozmawiać, prawda?

– Tylko jeśli pan się zgodzi, nie chciałabym do niczego zmuszać. – Ta kurtuazja była nieomal irytująca.

– Proszę posłuchać, jestem pani ogromnie wdzięczny za telefon do Pasqualego. Bardzo mi pani pomogła. Udzieliłem pani informacji na temat Colajacona i sprawy zgłoszonej przez Iordanescu i gwarantuję, że będzie pani pierwsza...

– Nie jestem tutaj po to, by pytać o kolejną zbrodnię. – Powiedziała to zwyczajnie,

bez cienia żadnej agresji.

Nie interesuje cię kolejna zbrodnia. Chcesz porozmawiać o poprzedniej. Ale ja nie chcę.

– Zgoda. Ale proszę nie oczekiwać, że dowie się pani czegoś istotnego, co można by napisać.

– Wystarczy, by powiedział mi pan, dlaczego nie jest przekonany.

Pytanie trafiło go z zaskoczenia. Poczucie, że nie jest panem sytuacji, było jednocześnie fascynujące i nieprzyjemne.

– O czym pani mówi? – zapytał prosto z mostu.

– O trzech Romach i o tym czwartym, o którym mówili.

– Co pani każe sądzić, że nie jestem przekonany?

– Bo nie potrafi pan się z tym pogodzić i to widać. Wyrzuty sumienia nie są zaletą charakteru, ale czasem to jedyna droga do prawdy.

Nie chciał prowadzić tego rodzaju rozmowy. Tym bardziej że naprzeciwno miał kobietę, która zdawała się czytać mu w myślach.

– *Dottoressa Nardi*, w tym przypadku nie ma niesprawiedliwości z wyjątkiem tej, której ofiarą padła Samantha Rossi. Ci, którzy w związku z tym trafili do więzienia, są winni bez cienia wątpliwości.

– Ale może nie wszyscy winowajcy znaleźli się w więzieniu...

– Ta sprawa jest zamknięta, skończona. – Sam słyszał, jak wątpliwości odbijają się echem w jego głosie.

– A czwarty mężczyzna? – zapytała.

Nie pozwól wciągnąć się w tę grę, Balistreri. Ta kobieta ma w sobie coś, czego do końca nie rozumiesz. Coś, co mogłoby ci zrobić wielką krzywdę.

– Poproszę o rachunek – powiedział sucho.

Wydawało się, że Nardi jeszcze przez chwilę się zastanawia, potem cicho powiedziała:

– A gdyby coś wyciął na ciele innej dziewczyny?

To nie było ani wyzwanie, ani oskarżenie. Tylko troska. Wydawało się wręcz, że jest jej przykro, że musi tym pytaniem stawiać go w kłopotliwej sytuacji.

Było wyraźnie widać, jak bardzo się poczuł zdezorientowany. Trochę przestraszył się samego siebie, gdy zanim jeszcze pomyślał, co ma powiedzieć, usłyszał własny głos:

– Znajdę osobę, która przekazała pani tę informację, i proszę mi wierzyć, zrobię wszystko, żeby ją zniszczyć.

– Tego panu życzę, *dottor Balistreri*. – Nie było w tym cienia zaczepki, cienia arogancji.

Jakbym coś obiecywał, a nie groził.

Linda Nardi wstała, zostawiła pieniądze na uregulowanie rachunku i wyszła.

Analityczna ocena możliwych zysków i strat powinna ją zniechęcić. Ale Giulia Piccolo nie była Grazianem Corvu. Nie mieli niczego, co by ich uprawniało do uzyskania nakazu przeszukania mieszkania Mircei i Grega przed wypuszczeniem ich z aresztu.

Rudi nie miał najmniejszej ochoty jej tam towarzyszyć. Ale ona potrzebowała go z wielu powodów. Po pierwsze, mieszkał tam, a gdyby ich nakryli, wymówka byłaby prosta: ona po prostu odprowadzała go z aresztu i tyle. Po drugie, znał dobrze mieszkanie. Po trzecie, Rudi bał się tego miejsca, a więc coś ukrywał.

Pozwoliła mu zapalić w samochodzie.

– Nie denerwuj się. Jedziemy, żeby zabrać twoje rzeczy i przenieść je do mnie.

Dziesięć minut i wracamy.

– Ale jeśli ktoś przyjdzie...

– Mircea, Greg i dwaj pozostali są do jutra w areszcie. Spokojnie.

– Dlaczego nie wezwiesz paru policjantów? – zasugerował.

Nagle uświadomiła sobie, że Rudi boi się również o nią. Bo jest kobietą pośród bestii.

– Mam broń. – Uśmiechnęła się uspokajająco, odsłaniając kaburę.

Policjant, którego zostawili na ulicy, potwierdził, że wiele osób wchodziło do kamienicy i wychodziło z niej, ale nie było wśród nich Mariusa Hagiego. Piccolo postawiłaby chętnie agenta na klatce schodowej, lecz Balistreri nie zgodził się na to.

Było już późno, w kilku oknach paliły się światła. Otworzyli kluczem Rudiego. Mieszkanie było całkiem ciemne, żadne światło nie przenikało do środka.

– Wczoraj chyba zostawiliśmy kilka podniesionych żaluzji... – zauważył Rudi z przestraszeniem w głosie.

Piccolo sięgnęła do kabury i gestem nakazała Rudiemu zatrzymać się przy drzwiach pierwszego pomieszczenia. Z wyciągniętą bronią zaczęła się skradać wzdłuż korytarza. Kiedy znalazła się w drzwiach trzeciego pokoju, w którym mieszkały Nadia i Ramona, jednym ruchem zapaliła światła w pomieszczeniu. Wszystko było poprzewracane do góry nogami, materace rozprute, komoda rozkręcona, nawet kaloryfer został odczepiony od ściany.

Powoli wróciła do pokoju Rudiego. Zatrzymała się w progu i tak samo nagle zapaliła światło. Bałagan był jeszcze większy, wszystkie rzeczy Rudiego leżały rozrzucone na podłodze. Za plecami czuła ciężki, przerażony oddech chłopaka.

– Zostań tu i nie ruszaj się – szepnęła mu.

Drzwi szafy były zamknięte. Weszła do pokoju i zbliżyła się do niej. Kiedy jedną ręką dotykała gałki, by otworzyć, usłyszała krzyk Rudiego, głucho uderzenie i trzaśnięcie drzwi. Wybiegła na korytarz i niemal potknęła się o chłopaka. Moment niepewności, nachyliła się. Rudi jęczał, trzymając się za krwawiący nos.

Podbiegła do okna i zawołała do policjanta na ulicy:

– Ktoś wychodzi, zatrzymaj go!

Potem zbiegła po schodach. Agent na dole patrzył na nią zdumiony.

– Nikt nie wychodził, *dottoressa*.

Piccolo wróciła do środka razem z agentem.

– Piwnice! – krzyknęła, wskazując na prowadzące w dół schody. – Zostań i pilnuj wejścia.

– Ale *dottoressa*... – zaproponował agent.

Piccolo zbiegła już po schodach.

Oszalałaś, wchodzić z bronią w rękę do kamienicy pełnej śpiących ludzi? A jeśli on też ma broń? Urządzisz w środku strzelaninę jak szeryf z Tombstone?

Piwniczny korytarz był prawdziwym labiryntem. Zapaliła światło i przeszła go do samego końca. Dziewięć pięter, cztery mieszkania na każdym, razem trzydzieści sześć komórek w piwnicy. Trzydzieścioro sześcioro zamkniętych żelaznych drzwi. Mógł być za każdymi. Automat czasowy zgasił światło i nie mogła odnaleźć włącznika. Czowała w ciemności, jak pot spływa jej po szyi. Wykonała ćwiczenie oddechowe, którego nauczyła się od swojego mistrza karate. Wściekłość była silniejsza od strachu. Ten sukinsyn był tutaj, parę metrów od niej.

Zatrzymała się w absolutnej ciszy. Minęło parę minut. Policjant wołał ją ze schodów. Nie odpowiedziała. Zaraz potem powiew zimnego powietrza przeszedł po korytarzu. Piccolo chwyciła pistolet w obie ręce i odbezpieczyła. W ciszy i ciemnościach usłyszała szelest kroków. Przybliżyły się, ktoś szedł wprost na nią. Skierowała broń w tę stronę.

– Stój, gdzie jesteś, i podnieś ręce – nakazała chrapliwym głosem.

– *Dottoressa*, to ja. – Policjant odnalazł włącznik i zapalił światło. Zamarł, widząc broń skierowaną w swoją stronę.

Jeszcze chwila i byś do niego strzeliła. Odbiło ci. Uspokój się.

Wrócili na parter, policjant był w szoku. Zadzwoiła do Balistreriego.

– Je pan kolację?

– Nie, wracam pieszo z Zatybrza. Co się dzieje?

Pokrótko opowiedziała o incydencie, łącznie z tym, że o mało nie zastrzeliła kolegi.

Już czas najwyższy, żeby ta dziewczyna dorosła.

– Piccolo, kierowca samochodu miał czapkę na głowie i ciemne okulary. – Okrutny tekst, powiedziany, by oderwała się od swojego bezsensownego szaleństwa.

Nie odpowiedziała. Potem z wściekłością się rozłączyła i całkiem wyłączyła telefon. Rudi szedł na dół po schodach, trzymając się za nos, miał krew na twarzy i swetrze.

Podtrzymała go i doprowadziła do samochodu. Kolega cały czas pilnował wejścia.

– Musisz na mnie poczekać, Rudi. Zostań w samochodzie i zatamuj sobie krew tym – powiedziała, podając mu paczkę papierowych chusteczek.

– Niech pani uważa na siebie, *dottoressa*, i nie przejmuj się mną.

Szybkim ruchem pogładziła go po policzku i wysiadła z samochodu. Z bagażnika wyciągnęła płócienną torbę. Wróciła do budynku.

– Teraz stań na zewnątrz – poleciła agentowi – i legitymuj każdego, kto wychodzi z bloku. I wezwij kolegę do pomocy.

Nie dodając nic więcej, zeszła do piwnicy. Wyciągnęła z torby łom i obcęgi. Parę minut na jedne drzwi.

Pół godziny później zjawił się nieco zdyszany Balistreri. Była już prawie w połowie, spocona jak mysz, z makijażem spływającym z twarzy wraz ze łzami i potem. Spojrzał na całe to nieszczęście, ale nie skomentował.

– Zostało mi jeszcze dwadzieścia – powiedziała mu z wściekłością.

– Nie trzeba – powiedział łagodnie – nie ma go w piwnicy.

– A według pana gdzie on kurwa jest? – syknęła.

Balistreri spojrzał wymownie w górę.

– Żeby mieć piwnicę, trzeba mieć mieszkanie.

Spojrzała na niego zagubiona. Potem wypuściła z rąk obcęgi i usiadła na ziemi. Gorzkie łzy złości spływały jej po policzkach. Włamanie się do trzydziestu sześciu piwnic bez nakazu to jedno. Przeszukanie trzydziestu sześciu mieszkań to całkiem co innego.

– W każdym razie – powiedział Balistreri z uśmiechem, podnosząc z ziemi obcęgi – włamanie będzie bardziej prawdopodobne, gdy otworzymy wszystkie.

Pogładził ją po głowie i natychmiast pożałował zbyt emocjonalnego gestu.

Byłbyś naprawdę beznadziejnym ojcem.

Potem Piccolo włamała się do pozostałych piwnic. Kiedy otworzyła wszystkie drzwi, Balistreri nakazał agentowi iść do domu i nie zgłaszać niczego, dopóki nie porozmawia z jego przełożonym.

Poprosił Piccolo, żeby podwiozła go do biura. Rudi spał, Piccolo założyła mu pas bezpieczeństwa, a Balistreri siadł z tyłu.

– Znam dzielnicowego komisarza, jest w porządku. Załatwię to – powiedział, by ją uspokoić.

Dojechali w milczeniu. Zanim zniknął w bramie, zdążyła powiedzieć:

– Dziękuję.

Sądził, że o tej porze nikogo nie zastanie na trzecim piętrze, była prawie północ i sam czuł się już wykończony. Tymczasem kiedy tylko znalazł się w korytarzu, usłyszał śmiechy.

Potem doszedł do niego głos Corvu:

– Ale znajdziemy, znajdziemy.

Zerknął zza rogu. Natalia i Corvu siedzieli w boksie przed dwoma pustymi

pudełkami po pizzy i z puszkami piwa w ręku. Wpatrzeni w ekran komputera stykali się głowami.

Kiedy zastukał w szybę, Corvu aż podskoczył i wypuścił z rąk puszkę, która spadła mu na podnie, a zawartość wylała się na krytyczne obszary.

– My właśnie... – bełkotał, próbując niezgrabnie zetrzeć pianę.

Natalia zaczęła się śmiać, potem wyciągnęła papierowe chusteczki.

– Zrobisz to sam, Graziano?

– Tak, lepiej, żeby Graziano wytarł się sam, jeśli nie chcemy, by dostał zawału – skomentował sarkastycznie Balistreri.

Kiedy Corvu się ogarnął, poszli do gabinetu Balistreriego i siedli przed komputerem. Program odpalony przez Corvu pokazywał wiele zdjęć samochodów. Podkomisarz zaczął wyjaśniać:

– Zaczęliśmy rekonstrukcję od tyłu samochodu, który Natalia widziała przez kilka sekund, kiedy auto odjeżdżało. Jesteśmy pewni, że karoseria była biała albo szara, w każdym razie na pewno jasna.

Balistreri powstrzymał się od pytania, jak to możliwe, że przez tyle czasu zrobili tak niewiele. Tak bardzo cieszył się z powodzenia Corvu, że nie chciał tego przyznać nawet przed sobą.

Po pierwsze, nie jest twoim synem. Po drugie, na pewno jej nie zaliczy, nie ma mowy.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Wyłączam komputer i wszyscy idziemy lulu – postanowił.

Natalia pokazała palcem na wygaszacz ekranu komputera, zdjęcie, na którym młody Balistreri pozował wraz z grupą młodych kolegów przed swoim pierwszym komisariatem.

– O ja cię...! – wykrzyknęła z zachwytem.

Corvu spochmurniał. Balistreri, choć nie znał dotąd od tej strony swojego zastępcy, poczuł zakłopotanie. To prawda, na tej fotce był młody, może nawet przystojny, ale na pewno nie zasługiwał na taki zachwyty. Natalia przysunęła się do ekranu i wskazała szczupłym palcem policyjny samochód w tle na fotografii.

– Jestem pewna, to ten samochód, z tyłu doskonale go pamiętam, ma takie podłużne światła...

Balistreri i Corvu popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Na ekranie widniał samochód marki Alfa Romeo Giulia T, stary, od dawna już nieprodukowany model.

Sobota, 31 grudnia 2005

Przed południem

Poszukiwania samochodu marki Alfa Romeo typ Giulia T 1300 z jasną karoserią i zepsutym reflektorem ruszyły natychmiast, ale noc z 30 na 31 grudnia nie przyniosła żadnych rezultatów.

Balistreri pozwolił Corvu przenocować w swoim gabinecie, mając nadzieję, że Natalia z nim zostanie. Sam poszedł spać do domu.

Kiedy wrócił o siódmej rano, zastał swojego zastępcę śpiącego na wytartej kanapie. Naturalnie samego.

Zszedł do baru i zamówił cappuccino na wynos. Kupił też ciepłego jeszcze pączka z kremem. Wrócił na górę i podstawił dymiącą filiżankę pod nos Corvu, który natychmiast się obudził i zawstydzony zerwał na równe nogi.

– *Dottore*, przepraszam, nie dałem rady.

Balistreri podał mu kawę i pączka.

– Przeszedł mail od Mastroianniego z Rumunii – powiedział Corvu, zabierając się za pączka. – Mircea i Greg Lacatusowie zostali uniewinnieni od zarzutu podwójnego zabójstwa. To było w dwa tysiące drugim roku, zanim Hagi ściągnął ich do Rzymu. Z braku dowodów, a także dlatego, że mieli najlepszego adwokata w całej Rumunii. W każdym razie Mastroianni wraca... Natomiast ja – ciągnął Corvu z kremem na czubku nosa – przeczesalem wszystkie bazy danych. Na szczęście nie jeździ ich już wiele. W samym Rzymie zarejestrowano tylko pięćdziesiąt dwa takie samochody, z czego jakieś dwanaście jest w posiadaniu imigrantów. Wie pan, samochód stary, ale szybki, a to im się podoba.

– Masz dane właścicieli?

– Tak. Naturalnie mogą tu być jakieś braki, jakieś zmiany właściciela jeszcze nie zarejestrowane albo nie rejestrowane wcale. Wie pan, przy starych samochodach ludzie starają się oszczędzać na papierologii.

– Dobra, każ sprawdź wszystkich telefonicznie. A tych dwunastu imigrantów podzielcie między siebie. Ty, Piccolo, Coppola i Mastroianni. Parami, nie solo. Powinniście skończyć, zanim zaczną strzelać fajerwerki.

Kiedy Balistreri został sam, włączył radio i zapalił pierwszego papierosa z dziennego limitu. Żeby móc pić alkohol w wieczór sylwestrowy u Angela Dioguardiego, zażył jeszcze jedną pigułkę na żołądek.

Mail z prasówką sygnalizował artykuł Lindy Nardi. Tytuł na pierwszej stronie:

Samantha Rossi: sprawa zamknięta? Pytajnik wyróżniony kolorem. Pod spodem fotografia dziewczyny, którą Włosi znali już od miesiący. Pogodnie uśmiechniętej na tle żaglówki.

Zmusił się do przeczytania artykułu. Żadnego bezpośredniego odniesienia do czwartego człowieka. Wszystko co istotne zawarte zostało w pytaniu zamykającym artykuł:

Mamy do czynienia z nieopanowaną furią osoby, która traci panowanie nad sobą, czy z zaplanowanym okrucieństwem kogoś, kto trzyma wszystko w ryzach?

Pytanie wzięło go z zaskoczenia, co niezmiernie rzadko mu się zdarzało, lecz w przypadku tej kobiety – zawsze.

Furia czy planowanie? To pytanie Lindy Nardi sprawiło, że znowu poczuł szczególnego rodzaju niepokój, którego korzenie sięgały w nim czegoś osobistego i bardzo głęboko ukrytego.

Piccolo zjawiała się punktualnie o siódmej trzydzieści. Balistreri znowu wyczuwał w niej napięcie, co ani trochę go nie uspokajało. Miał nadzieję, że po wybryku z poprzedniego dnia dziewczyna się uspokoi. Niestety. Na jej wściekłość nałożyła się zbyt osobiście motywowana determinacja. Wiedział z doświadczenia, że w ten sposób można wyrządzić sobie bardzo dużą krzywdę.

– Jak się czuje Rudi? – zapytał.

Uśmiechnęła się lekko.

– Śpi na mojej kanapie.

– Piccolo, nie chcę się wtrącać, ale Rudi może... może... – Z trudem znajdował właściwe słowa.

– Wykonał test na HIV w zeszłym tygodniu i jest czysty. A jeśli to pana uspokoi, nie uprawiamy seksu – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Balistreri aż się zachwiał z wrażenia. Uratował go dzwonek telefonu.

– Alberto, już jesteś na nogach! Nawet dzisiaj pracujesz?

– Nie, po obiedzie lecimy całą rodziną na Malediwy. Chciałem ci złożyć życzenia.

– Dzieciaki będą z tobą nurkować?

– Tak, po raz pierwszy. Czytałeś już gazety?

A więc to cię niepokoi...

– Czytałem. Wczoraj rozmawiałem z Lindą Nardi, więc przypuszczałem, że może coś podobnego napisać.

– Linda Nardi sądzi, że słusznie miałeś wątpliwości.

– Alberto, nie wyraziłem żadnych wątpliwości po aresztowaniu tych trzech Romów. Zrobiłem to wcześniej. I nie miałem racji.

Obaj wiedzieli, że nie wierzy we własne słowa.

– To czemu bierzesz antydepresanty? Samantha Rossi nie żyje niezależnie od tego, czy się pomyliłeś, czy nie. Mimo wszystko wiesz, że sprawiedliwości nie stało się

zadość.

– Alberto, ty jesteś wierzący, powinieneś to rozumieć lepiej ode mnie.

To była niepotrzebna złośliwość podyktowana frustracją. Ale jego brat zignorował ją.

– Nie ma antydepresantów na wyrzuty sumienia, Mike. Można tylko okazać skruchę, wyświadczyć się z grzechu, jeśli się wierzy, i zadośćuczynić, jeśli się potrafi.

– Staram się od wielu lat, ale to mi nie wystarczy.

– Mike, nawet prawda nie goi niektórych ran. Nie na tej ziemi.

W południe Balistreri zadzwonił do Angela. Mieli zamiar czekać na nadejście nowego roku w jego niewielkim penthousie na wzgórzu Janikulum. Widać było stamtąd cały Rzym, doskonałe miejsce, by cieszyć się widokiem sztucznych ogni o północy.

– Zorganizowałeś pokerka po szampanie?

– Żadnego pokera. Alberto wyjeżdża, a Corvu mówi, że nie może.

– Kobiety... – ucieszył się Balistreri.

– No, miejmy nadzieję. Ale i u mnie będzie kilka wolnych pań.

– No to pięknie. Czyli imprezujemy z dwoma dziwkami, tańcząc przed telewizorem?

– Może dobrze by ci zrobiła noc beztroskiego seksu, coś w stylu dawnego Balistreriego.

– Ja myślę, że odrobina beztroskiego seksu przynajmniej raz w życiu zrobiłaby dobrze tobie. Może byś odkrył, że istnieje alternatywa dla kobiety doskonałej, coś prostszego i bardziej realistycznego.

– Jako cyniczny kobieciarz byłeś zabawny. Ale jako cyniczny asceta jesteś nie do wytrzymania.

Jeszcze przez jakiś czas poodbijali piłeczkę, potem się pożegnali.

Balistreri zadzwonił do Krasnała.

– Co nowego, Coppola?

– Interesujące wiadomości, *dottore*.

– Odkryłeś kolor majątek wdowy?

– Nie, za to się dowiedziałem, dlaczego śledztwo trwało tak długo. Sandro Corona miał wykupione ubezpieczenie na życie.

– A osobą uposażoną była ta, która jest „na dole” – podpuścił go Balistreri.

– Właśnie, *dottore*, dzięki ubezpieczeniu pani wdowa skończyła z trzema milionami euro.

– Dzięki nieznanemu kierowcy ciężarówki.

– Może go jakoś przekonała. Wie pan, cicha woda i tirowiec.

– A teraz gdzie jesteś?

– Jeździmy z Piccolo, mamy listę ośmiu nazwisk. Resztę bierze na siebie Corvu

z Mastroiannim, który właśnie wylądował na Fiumicino.

– Dobra, do roboty. I miej na oku Piccolo, żeby nie wywinęła czegoś głupiego.

Po południu

W biurze było znacznie ciszej niż zwykle. Wydawało się, że rok 2005 nie chce się skończyć. Balistreri poddał się nieuniknionemu oczekiwaniu. Cierpiał, nie mogąc zapalić, patrzył na zasunięte żaluzje, po których bębnił deszcz, i myślał o sytuacji zawieszenia, w jakiej się znalazł: zero wycucia, od czego zacząć, tylko nadzieja, że mozolne przesiewanie faktów przyniesie jakieś skutki.

Czas włókł się niemiłosiernie godzina za godziną, Margherita co jakiś czas wsuwała głowę do gabinetu, pytając, czy nie chce kanapki, piwa albo kawy.

Grzecznie odmawiał. Tymczasem w głowie kłębiły mu się wspomnienia, które odpychał. One jednak odbijały się tylko od czaszki i wracały.

Lato 1967. Lato 1970. Lato 1982. Lato 2005.

Co jakiś czas słyszał gdzieś dzwonek telefonu i głosy odbierających. Potem nawet te dźwięki stały się coraz rzadsze, wszyscy wychodzili. O szóstej także Margherita przysła się pożegnać. Patrzył za nią, kiedy wychodziła, i zastanawiał się, komu dziewczyna umili czas tej nocy.

Z pewnością nie tobie, Balistreri, pewnie jakiemuś rówieśnikowi.

Ta myśl przypominała mu relację Ramony przekazaną w raporcie Mastroianniego: jej klientowi nie mógł stanąć. Skurwiel miał fart, dostał przez to więcej czasu. Co do Nadii, wsiadła do jego samochodu bez żadnych oporów. Bo go znała. Czekwała na niego. Spotkała swoje szczęście.

W pomieszczeniu było zbyt gorąco, woda niemal wrzała w kaloryferze. Szukając ochłody, Balistreri otworzył okno. Pierwsze wystrzały mieszały się z grzmotami burzy. W oddali, za Koloseum, w kierunku Bazyliki Świętego Piotra, niebo rozświetliła błyskawica. Rok 2005 był gotów do odejścia.

Wieczorem

Ostatnie sklepy opuszczały żaluzje i wszyscy biegli do domu, by przygotować się do wielkiego wieczoru. Byli przemoczeni, zziębnięci i zmęczeni. Piccolo czuła, że chwyta ją gorączka. Tylne światła samochodów rysowały czerwone przerywane ścieżki na mokrym asfalcie. Zamknięci w kabinie samochodu patrzyli na wymiętą, wilgotną listę.

– Koniec – powiedział Krasnal – i wybacz, ale na chuj nam to było.

Zazwyczaj nie pozwalał sobie na wulgarność w towarzystwie kobiet, ale wymęczyły ich oboje godziny spędzone na wypytywaniu ludzi kompletnie zaskoczonych ich

zainteresowaniem starym gruchotem ze stłuczonym reflektorem, podczas gdy wokół zaczynały strzelać noworoczne fajerwerki. Chciał już być z Lucią i Cirem, pomóc im przygotować kolację. Zamiast tego osiem wizyt i osiem trafień kulą w płot. Beznadzieja.

– Dobra, Coppola, wracamy do domu. Widzieliśmy siedem samochodów, reflektory nietknięte, chociaż mogli je wymienić potem. Właściciele pamiętają bardzo dobrze, gdzie byli wieczorem dwudziestego czwartego, i twierdzą, że mogą to udowodnić. No i jeden Egipcjanin, który nie ma już samochodu, bo sprzedał go jakiemuś nieznanemu ze Wschodu, nie rejestrując sprzedaży. Ale jest pewien, że światła były jak trzeba.

– Właśnie. Okrągle nic. Za cztery godziny Nowy Rok. Ja idę do domu. Tobie dobrze zrobi to samo, jedź do domu, weź aspirynę i poświęć.

– Podwiozę cię.

Pod domem Krasnal zaprosił ją na górę.

– Moja żona robi ci coś gorącego, błyszczą ci się oczy od gorączki.

Potrząsnęła głową.

– Muszę coś jeszcze załatwić, ale dzięki. Pozdrów Lucię i Cira.

Coppola spojrział podejrzliwie.

– Na pewno?

– Na pewno. Szczęśliwego nowego roku.

Przed komisariat na Torre Spaccata zajęła o ósmej trzydzieści. Niemal pusto w okolicy. Wszyscy siedzieli już w domu i robili się na bóstwa przed imprezą. Zadzwoiła umówione trzy razy, rozłączyła się i zadzwoniła znowu.

– Halo – odezwał się Rudi.

– Co robisz?

– Gotuję. Mówiła pani, że wieczorem nie chce nigdzie iść, a że nie mogę...

– Wyszedłeś na zakupy? Kategoriecznie ci zabroniłam...

– Zszedłem tylko na dół, do marketu. I naciągnąłem jeden z pani beretów na oczy.

Piccolo dotknęła czoła. Palilo.

– Słuchaj, Rudi, nie możesz wychodzić. Ja będę późno, nie wiem o której. Zjedz sam.

– Poczekam na panią. Kupiłem też wino. Za własne pieniądze – podkreślił.

Wyobraziła go sobie, jak spocony i rozgrzany krząta się przy garnkach. Chciała już tam być, w ciepłym mieszkaniu, w towarzystwie przystojnego kucharza homoseksualisty.

– No dobrze, ale mogę być bardzo późno. Obiecuj, że już nigdzie nie będziesz wychodził.

– Aż do przyszłego roku – odpowiedział.

Roześmiała się.

– Jeśli wyjdiesz, wsadzę cię za kratki.

– Okej. Ale niech pani nie zapomni, że dziś jest soczewica²⁰.

Bolały ją głowa i gardło. Poszperała w kieszeniach i znalazła cukierka. Oparła się o fotel, trzymając na oku wejście do komisariatu. Chciałaby włączyć ogrzewanie, ale nie mogła trzymać zapalonego silnika, w lodowatym powietrzu z daleka widać było spaliny.

Po chwili wyszli. Bez mundurów. Masywna sylwetka Colajacona górowała nad Tatò. Wsiedli do prywatnego samochodu. Tatò prowadził.

Śledziła ich, utrzymując dystans. Przejechali długą aleją pomiędzy blokami, potem skręcili w słabo oświetlone tereny. Ulice robiły się coraz bardziej puste, aż w końcu wjechali w drogę bez zabudowań i latarni, z polem po prawej stronie. Droga wiodła przez pagórki, wznosząc się i opadając. Piccolo zgasiła reflektory. Trzymała się pięćdziesiąt metrów za nimi wpatrzona w tylne światła samochodu Tatò. Co jakiś czas od asfaltu odbijały żwirowe dróżki i wspinały się na pagórki po prawej stronie. W przeblaskach sztucznych ogni i burzowych błyskawic widać było wiejski krajobraz, choć po lewej stronie, zaledwie parę kilometrów dalej, stały oświetlone sylwetki blokowisk na przedmieściu.

W pewnej chwili zapaliły się światła stopu, przesunęły na pobocze i zgasły. Niewielkie stanowisko parkingowe na szczycie małego pagórka. Totalna pustka w lodowatym deszczu.

Piccolo zatrzymała się natychmiast. Nie mogła tak zostać na środku drogi. Parę metrów wcześniej po lewej widziała wyasfaltowaną dróżkę, cofnęła się w nią, znikając z pola widzenia. Kolejna błyskawica oświetliła stojący samochód Tatò.

Zobaczę ich, gdy wysiądą? W tych ciemnościach? W tym deszczu? Spokojnie, oni cię nie widzą.

Wymacała rękojeść pistoletu w kaburze. Słyszała tylko równe bębnienie deszczu o dach i od czasu do czasu grzmoty. Prawie leżała w fotelu, żeby nie było jej widać. Drżała z zimna. Kusiło ją, by włączyć ogrzewanie, ale oparła się. Zapięła kurtkę i starała się oddychać przez nos. Co jakiś czas wycierała rękawem zaparowane szyby. Błyskawice pozwalały jej kontrolować pozycję drugiego samochodu. Czerwone ogniki w kabinie wskazywały, że Colajacono i Tatò siedzą w środku i palą. Ona marzła, a czas włókł się niemiłosiernie. Dziesiąta. Jedenasta.

Czekają. Na kogo? Na co? Powinam uprzedzić Balistreriego, że śledzę dwóch policjantów bez powodu? Po tym, co narobiłam wczoraj wieczorem? Najpierw zobaczę, co tu się dzieje, potem go zawiadomię.

Postanowiła zadzwonić do Rudiego, ale nie zdążyła. Zobaczyła, że czerwony ognik zmienia pozycję, i błyskawica oświetliła groteskową figurę Colajacona, który w deszczu sikał z papierosem w ustach.

Ból głowy stał się jeszcze silniejszy, czuła, jak gardło jej płonie. Potrzebowała położyć się wygodnie, poczuć ciepło, spokój, skosztować soczewicy Rudiego.

W oddali zobaczyła reflektor motocykla.

Kto wsiada na motocykl w taką pogodę, i to pół godziny przed Nowym Rokiem?

Jakieś pół kilometra przed nimi motocykl skręcił w boczną dróżkę. Potem kolejna błyskawica oświetliła scenę. To nie był motocykl. Mozolnie pod górę pięła się alfa romeo giulia T z zepsutym reflektorem. Samochód Tatò ruszył za nią, utrzymując bezpieczny dystans.

Pół godziny przed końcem starego roku mieszkanie Angela Dioguardiego było pełne gości – jakieś piętnaście osób na siedemdziesięciu metrach kwadratowych. Zaczął wiać zimny wiatr z północy i na tarasie zostali tylko we dwóch schowani za wysoką witryną przy balustradzie.

– Zadzwoił Graziano. Bardzo mu zależało na pokerze, przyjedzie o drugiej z kolegą, więc będzie nas czterech.

– Szkoda. Jeśli nic nie skombinuje z Natalią dziś w nocy, dziewczyna będzie miała go dość – burknął z niezadowoleniem Balistreri.

– Graziano ma swoje tempo.

– To twój zły wpływ, Angelo. Idealna kobieta, dziecinne iluzje.

Był to jeden z tych tekstów, które Balistreri wypowiadał już wiele razy wcześniej. Ale tym razem Angelo wziął to na poważnie.

– Ja mam jeszcze przynajmniej te iluzje, Michele. Tobie nawet to nie pozostało.

Balistreri popatrzył na niego z zaskoczeniem. Krytykowanie nie było w stylu Angela. I faktycznie, to, co przeczytał w oczach Dioguardiego, nie było oskarżeniem. To był żal z powodu losu przyjaciela, który umarł na długo przed śmiercią.

Pewne decyzje podejmuje się w ułamku sekundy, ale ich źródła tkwią w odległej przeszłości. Miała dwanaście lat, kiedy na plaży w Palermo wskoczyła do wody, by uratować tonące dziecko. Piętnaście, kiedy jednym ciosem karate powaliła największego przystojniaka w liceum, ponieważ nieproszony zaczął ją obmacywać. Siedemnaście, kiedy poszła do łóżka z pierwszą dziewczyną. Teraz przyprowadziła sobie do domu homoseksualistę i mimo trawiącej ją gorączki gotowa była stawić czoło skorumpowanym policjantom, a być może mordercom.

Wyciągnęła z kabury pistolet i położyła na fotelu obok. Zapaliła silnik i ruszyła za samochodem Tatò widocznym jedynie wtedy, gdy światła stopu rozbłyskiwały przy hamowaniu. Przy wyłączonych reflektorach z tej odległości nie dostrzegą jej. Byle ich tylko nie zgubić.

Zjechali tam, gdzie wcześniej skręciła alfa z zepsutym światłem. Była to zwykła droga gruntowa, rozmokła, pełna błota i kałuż, prowadząca na ciemny szczyt pagórka.

Wozem Piccolo co chwila zarzucało, szczęśliwie miał napęd na tylne koła. Ciężko oddychała z gorączki i napiętych do ostateczności nerwów, co chwilę dotykała stali pistoletu. Minęli kilka zakrętów, potem rozstaje. Dziury w drodze były coraz głębsze, musiała trzymać większy dystans, by jej nie usłyszeli. Oczy utkwiała w mrugających od czasu do czasu tylnych światłach śledzonego samochodu, innych nie było. Nagle auto z Tatò i Colajaconem się zatrzymało. Zrobiła to samo i wyłączyła silnik. Tylne światła, za którymi jechała, zgasły, zapanowała całkowita ciemność. Słysząc było tylko świst wiatru i noworoczne fajerwerki w oddali. Było koszmarnie zimno, wilgoć przenikała ją do szpiku kości, ale przynajmniej przestało padać. Spojrzała na zegarek, jedyne słabe światełko w całej otaczającej ją czerni: była za pięć dwunasta.

Nagle od ich samochodu zaczęła się oddalać zapalona latarka. Piccolo wysiadła. Woląaby zawrócić samochód, by łatwiej zjechać ze wzgórza, ale nie miała na to czasu. Chwyła pistolet i zaczęła iść za światłem latarki. Poślizgnęła się w błocie i upadła, tłukąc sobie kolano.

Stała na nogi i ruszyła dalej. Była wykończona, nogi miała ciężkie jak z ołowiu, kręciło jej się w głowie. Ale nie mogła ich zgubić. Ostatnie wzniesienie i zakręt, pusta trawiasta przestrzeń, na której obok zrujnowanej szopy stała zaparkowana alfa. Dostrzegła drżące światło lampy naftowej w środku i usłyszała męskie głosy, należące prawdopodobnie do obcokrajowców, lecz nie dość wyraźne, aby się zorientowała, w jakim mówią języku.

Latarka zgasła. Piccolo nie wiedziała już, gdzie są Tatò i Colajacono. Ukryła się za ostatnim drzewem przed alfą i szopą, wciąż z zabezpieczonym pistoletem w ręku. Starła się oddychać tylko przez nos i do kurtki, by w zimnym powietrzu nie było widać pary. Nagle rozległ się zwielokrotniony huk petard i rozbłysły sztuczne ognie. Przykucnęła za drzewem.

Rozsadzało jej głowę, nogi odmawiały posłuszeństwa. Musiała podjąć jakąś decyzję, nie mogła tak siedzieć przez całą wieczność. Oburącz ścisnęła broń i pobiegła na tył szopy. Zatrzymała się, dysząc, kiedy poczuła, że czyjaś dłoń zamyka jej usta i ramię chwyta ją od tyłu, próbując unieruchomić. Nawet nie myśląc, uderzyła głową do tyłu. Usłyszała chrzęst łamanej przegrody nosowej i przekleństwo w rzymskim dialekcie. Wymierzyła pistolet w głowę Tatò, który klęczał, trzymając się za zakrwawiony nos, i jęczał.

Drzwi szopy otwarły się nagle. Było ich dwóch, jeden uzbrojony w nóż, drugi w pałkę. Oświetlała ich lampa naftowa. Piccolo stanęła za plecami Tatò i wycelowała w nich z pistoletu.

– Rzućcie nóż i pałkę – rozkazała.

– Coś ty za jedna, suko? – krzyknął z silnym wschodnim akcentem ten z pałką w ręku.

– Policja! – krzyknęła Piccolo, szukając wzrokiem Colajacona.

Obaj popatrzyli na siebie porozumiewawczo, potem jednocześnie zaczęli zbliżać się

do niej.

– Stać albo strzelam – ostrzegła.

Dwadzieścia metrów. Zawahali się na chwilę, potem znów zaczęli podchodzić.

Wystrzeliła w powietrze. Tylko raz, nie mogła pozwolić sobie na stratę amunicji. Zawahali się znowu.

– Na ziemię, natychmiast! – Głos Colajacona zadudnił jak salwa armatnia, aż podskoczyli.

Odwrócili się i zobaczyli giganta na szeroko rozstawionych nogach z pistoletem trzymany oburącz. Popatrzyli na siebie i ruszyli biegiem w stronę ścieżki. Piccolo usłyszała strzał i zobaczyła, jak gość z pałką pada, trzymając się za nogę. Drugi stanął w miejscu. Nie miał już wątpliwości, że Colajacono strzeliłby, gdyby próbował uciekać.

W tej samej chwili Piccolo zrozumiała, że dźwięk, który słyszała w oddali, nie był zwiłokrotnionym hukem petard, ale łoskotem wirnika helikoptera, który unosił się nad nimi. Reflektor z wysoka oświetlił całą scenę, przez głośnik wezwano uciekiniera, aby się zatrzymał i podniósł ręce. Rozległy się dźwięki syren i kilka radiowozów zaczęło wjeżdżać na pagórek. Kilka reflektorów zapaliło się poniżej.

Colajacono podszedł do Tatò.

– Chodź, sprawisz sobie nowy nos – powiedział, a potem zwrócony do Piccolo dodał: – Podziękuj tej pierdolonej suce.

Piccolo zobaczyła wyprowadzany cios. W normalnej sytuacji powstrzymałaby go jedną ręką, uderzając równocześnie drugą. Ale gorączka, napięcie i ziąb spowolniły jej reakcje. Uderzenie powaliło ją w błoto.

Niedziela, 1 stycznia 2006

Noc z 31 grudnia na 1 stycznia

Telefon Balistreriego zadzwonił chwilę po północy. Słuchał, nie mówiąc ani słowa, potem zadzwonił do Corvu i polecił mu powiedzieć Natalii dobranoc i natychmiast przyjechać po niego służbowym wozem.

O pierwszej byli na szczycie wzgórza. Reflektory oświetlały okolicę. Wjeżdżając na górę, minęli się ze zjeżdżającym ambulansem, który zabierał pasterza zranionego w nogę przez Colajacona. Drugi mężczyzna był w kajdankach, pilnowało go dwóch policjantów. Ratownik medyczny zajmował się nosem inspektora Tatò.

Zobaczył owiniętą kocem Piccolo siedzącą samotnie w radiowozie.

– Corvu, ja porozmawiam z Piccolo, a ty zbadaj szopę. Sam. Masz przyrządy?

– Oczywiście, *dottore*. – I poszedł po torbę z wszystkim, czego potrzebował, by zbadać miejsce bez zacierania śladów.

Balistreri usiadł w radiowozie obok Piccolo. Widział, że dziewczyna drży, ale o nic nie zapytał. Sama z siebie opowiedziała mu o wszystkim, pomijając tylko cios, który otrzymała od Colajacona. Znajdzie sposób, żeby to osobiście załatwić.

– Przepraszam – powiedziała – bałam się, że nam uciekną, i nie wiedziałam, czy Colajacono jest po ich stronie, czy po naszej.

To będzie najtrudniej wyjaśnić Pasqualemu. Trudniej niż nos Tatò.

– Dobrze. Teraz każę panią odwieźć do domu – powiedział łagodnie.

– Najpierw poszukamy Nadii – uparła się.

– My jej poszukamy. Pani teraz pojedzie do domu, każę panią odwieźć.

To był bezdyskusyjny rozkaz i parę minut później Piccolo siedziała w samochodzie, który wreszcie wiozł ją do Rudiego i jego soczewicy.

Balistreri zwrócił się do Colajacona:

– Przykro mi z powodu nosa inspektora Tatò. Niemniej będzie jeszcze czas o tym porozmawiać, a także o tym, jak znaleźliście się tutaj.

Podkomisarz zmierzył go wzrokiem z góry na dół z nietajoną pogardą.

– Kiedy tylko pan zechce, *dottore*. Potem wyjaśni nam pan, czemu kazał nas śledzić tej wariatce.

Balistreri nie mrugnął nawet powieką.

– Na razie proszę mi wyjaśnić, coście tu robili.

– Szopę zamieszkuje jeden Rom, o, ten. – Wskazał młodego człowieka w kajdankach. – Owce są jego i samochód też. Dostaliśmy anonimowy cynk, kiedy się

rozniosło, że szukamy starej alfy giulia z uszkodzonym reflektorem.

– Anonimowy? Tak ufacie wszystkim anonimowym doniesieniom?

– Już to panu wyjaśniłem. To nie są te wasze eleganckie biura w centrum. Z nami nie ma żartów.

Balistreri zachował spokój.

– A kim jest drugi Rom?

– Też pasterzem, też mieszka w szopie, ale w innej, po drugiej stronie pagórka jakiś kilometr stąd. Postanowili wykorzystać okazję, że wielu ludzi wyjechało na sylwestra. Włamali się do willi niedaleko stąd i zabrali telewizor, stereo, kamerę wideo i trochę biżuterii. Wszystko jest w bagażniku alfy. A ten gość tutaj nazywa się Vasile Geoana.

Podszedł do pasterza. Był chudy, kościsty, długobrody. W skórzanej kurtce, T-shircie i džinsach. Cuchnęło od niego owcami i alkoholem.

– Mówisz po włosku?

Skinienie głową, uparte spojrzenie, uciekający wzrok.

– To twój samochód?

– Tak, mój. – Chropawy głos, gardłowy akcent.

– Od kogo go kupiłeś?

– Egipcjanin, co robi pizzę. Dwieście euro.

– Z zepsutym reflektorem?

– Co to jest reflektor?

– Lampa, światło.

Pokręcił głową.

– Nie, zepsute potem. Dostałem dobre, potem zepsute.

Corvu wyszedł z szopy. Podszedł do Balistreriego i pokazał dwa długie włosy koloru blond w plastikowej torebce. Balistreri pomachał torebką przed oczami pasterza.

– Gdzie dziewczyna? – zapytał pasterza Colajacono.

Vasile szybko nabrał powietrza i wbił wzrok w jeden punkt na ziemi.

– Jaka dziewczyna?

– Ta dziewczyna – nalegał Colajacono, wskazując na torebkę z włosami.

– Ja wozić dziwki. Czasem.

Colajacono położył swoje potężne łapsko na obrączce kajdanek na nadgarstku pasterza. Mężczyzna krzyknął z bólu.

– Dziewczyna, którą zabrałeś z via di Torricola. Gdzie ona jest? – pytał Colajacono, nie przestając ścisnąć mu nadgarstka. Vasile wył i skręcał się z bólu.

Podmuch przenikliwego wiatru przewiał pastwisko. Po twarzy pasterza spływały łzy.

Balistreri odwrócił się do Colajacono.

– Niech go pan zostawi – polecił.

Colajacono nawet nie raczył na niego spojrzeć. Twarz wykrzywił mu grymas okrutnej satysfakcji.

– Nie wiem – zajęczał pasterz – nie wiem, gdzie poszła. – Klęczał, a twarz zrobiła mu się fioletowa.

– Niech go pan zostawi albo każe pana aresztować – powtórzył Balistreri.

Tym razem Colajacono odwrócił się z jawnym szyderstwem na twarzy.

– Doprawdy? Chce pan w białych rękawiczkach podchodzić do tych bestii, które nas dupczą w naszym własnym kraju? – Splunął na ziemię i dodał pogardliwie: – No tak, zapomniałem, zamiatacz rajskich ulic.

Potem silnie kopnął pasterza w kolano. Mężczyzna, płacząc z bólu, upadł twarzą w dół, a Colajacono stanął przed Balistrerim, jakby rzucał mu wyzwanie.

– Zostawiam go panu, Balistreri. Sam pan zobaczy, co z niego da się wyciągnąć pańskimi legalnymi metodami, tym całym DNA i uczonymi gadkami po angielsku.

Balistreri się powstrzymał, mieli aż nadto problemów.

A może to dlatego, że wiem, że on po części ma rację.

Cały teren pokrywało grząskie błocko i kałuże. Nie będzie łatwo przeczesywać teren jedynie w świetle reflektorów. Ale musieli to zrobić, była pierwsza trzydzieści, świt miał nadejść dopiero za pięć godzin. Balistreri polecił Corvu, by sprowadził psy tropiące i zaczął działać.

W końcu udało mu się zapalić pierwszego w nowym roku papierosa. Spojrzał w stronę miasta błyskającego ostatnimi sztucznymi ogniami. Wolałby teraz siedzieć w ciepłe, z Angelem, przy pokerowym stoliku. Albo z Lindą Nardi.

Ze złością odrzucił od siebie myśl o niej i ruszył naprzód. Znow zaczął kropić zimny deszcz.

Przed południem

Aż do świtu nic nie znaleźli. Wreszcie wiatr ustał i pokazało się po raz pierwszy styczniowe niebo, stalowoszare, ciemne i sine. Ale nawet tak mizerne światło ułatwiało poszukiwania. Teren wokół szopy opustoszał, większość agentów rozeszła się po całym wzgórzu. Kiedy tylko technicy policyjni skończyli swoje prace, Balistreri i Corvu weszli z pasterzem do szopy.

W środku przy rozwalającym się fotelu stała pusta butelka po whisky, obok druga, opróżniona do połowy. Prawdziwa nora, cuchnąca wódą, owcami i ekskrementami. W kącie poplamiony materac. Był też telewizor, z pewnością skradziony, z anteną i przystawką do odbioru płatnej telewizji.

– Teraz powiedz mi o dziewczynie – powiedział Balistreri do pasterza, który wciąż jeszcze skarżył się na ból nadgarstka.

– Nic nie wiem.

– Na Sardynii dalibyśmy cię świniom na pożarcie – powiedział Corvu.

Balistreri popatrzył na niego zaskoczony.

Hagi wbiłby ich na pal, Colajacono połamałby im po kolei wszystkie kości, nawet łagodny Corvu rzuciłby ich świniom na pożarcie. Co jest nie tak?

Zbadali już wnętrze samochodu. Kolejne włosy koloru blond, czapka i ciemne okulary, nie licząc skradzionych przedmiotów.

– Posłuchaj, Vasile – powiedział cierpliwie Balistreri – widziano, jak ta dziewczyna wsiadała do twojego samochodu. Miałaś czapkę i ciemne okulary, które znaleźliśmy w samochodzie.

– To nie są moje rzeczy. Dziewczyna była tu, czekała na mnie.

– Była tu, czekała na ciebie. Kiedy?

– Kiedy wróciłem z mieszkania mojego kolegi. Tego, do którego strzelaliście.

– Po co do niego pojechałaś?

– Wieczorem zostawiam u niego owce, ma zagrodę i psa. Potem pijemy coś, rozmawiamy. Wracam zawsze o siódmej.

– Zawsze wracasz dokładnie o siódmej?

– W telewizji zaczyna się *L'eredità*, ten teleturniej, zawsze go oglądam.

Niewiarygodne... cuda integracji.

– A więc dziewczyna była tam już o siódmej. Co to był za dzień?

– Wigilia. On powiedział, że to prezent dla mnie.

Balistreri postanowił zignorować na chwilę to „on” i skoncentrować się na prezencie.

– Prezent za co?

– Za samochód – odpowiedział bez zastanowienia Vasile.

Balistreri wskazał na kąt, w którym wśród szmat stało wiadro ze sznurkiem przymocowanym do uchwytu.

– Jest tu studnia?

– Tak, blisko domu kolegi, ale studnia już niedobra, woda niedobra.

Wystarczyło, by wymienili spojrzenia, i Corvu był już na zewnątrz.

– Dobra, Vasile – ciągnął Balistreri. – Prezent za samochód. Wyjaśnij.

– Ja mu pożyczam samochód, on mi daje sto euro i numerek z dziwką.

– A co on robi z twoim samochodem?

– Przewoził łóżko, mój samochód ma bagażnik na dachu.

Wymówka. Szybki samochód, niezarejestrowany na prawdziwego właściciela, idealne auto do kradzieży. Vasile dobrze to wiedział. Nie ryzykował wiele, bo wyjeżdżał rzadko, tylko wieczorami, żeby coś ukraść. A samochód nie był zarejestrowany na niego. Doskonały interes, sto euro i dziwka za pożyczanie auta.

– Gdzie podstawiałeś mu samochód?

– Zostawiłem tutaj, otwarty i z kluczykami w środku. On powiedział, że wpadnie po niego i wieczorem odda. Z dziwką.

– Nie rozumiem, Vasile. Nie znasz tego gościa?

– Nie, on dzwoni na moją komórkę. Proponuje interes, ja mówię zgoda.

– Kiedy zadzwonił?

– Dzień wcześniej, dwudziestego trzeciego.

– To Włoch?

– Mówił po włosku, miał akcent jak Włoch.

– A potem?

– Potem, dwudziestego trzeciego wieczorem, wracam i znajduję sto euro, tak jak obiecał. Więc dwudziestego czwartego rano, zanim wychodzę z owcami, zostawiam auto z kluczykami w środku i kiedy wracam o siódmej, auto jest tutaj razem z dziwką, blondynką. Tak jak obiecywał. Ona mi daje jeszcze dwie butelki whisky. Bo on stłukł jedno światło w aucie. Pieprzmy się, daje mi dużo do picia, nie pamiętam, kiedy sobie idzie, wypilem półtorej flaszki, za dużo... – Wskazał na stojące przy fotelu butelki.

– A on?

– On nic. Nie widziałem go, nie słyszałem już potem. Znikł.

Balistreriemu przemknęła przez głowę mroczna myśl. Usłyszał zbliżające się kroki. Rozpoznał sposób chodzenia Corvu. Wstał. Już wiedział.

– Chodź – powiedział do pasterza i podążyli ścieżką za Corvu.

Szli przez błoto gęsiego, w milczeniu. Znow zaczęło padać. Gdzieś blisko beczały owce. Kiedy Balistreri zobaczył zgromadzenie policjantów wokół studni, zatrzymał się. Jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Colajacona.

– Trzymaj tego gnojka blisko przy sobie – powiedział do Corvu, wskazując na Vasilego. – Nikt nie ma prawa go nawet dotknąć.

Ciało Nadii leżało w wodzie piętnaście metrów niżej, tam, gdzie znalazł je Corvu, kiedy zszedł po drabinie na dno studni. Wyciągnęli ją za pomocą liny. Dziewczyna była naga, miała połamane nogi, być może spowodował to upadek ciała na dno studni. Sądząc po stanie zwłok, prawdopodobnie znajdowały się tam już od kilku dni, może nawet od samego 24 grudnia. Wciąż jednak widać było ślady nacięć i przypaleń od papierosa na ramionach i udach. Na samym środku czoła miała wyciętą literę E, wysoką na jakieś trzy centymetry.

Kiedy o siódmej godzinie pierwszego dnia 2006 roku wracali do centrum, ulice Rzymu były puste, niebo miało kolor ołowiu i padała mżawka.

Balistreri zadzwonił do Pasqualego przez zestaw głośnomówiący w samochodzie.

– Dziewczyna nie żyje – oznajmił. Cisza. Pasquali czekał na ciąg dalszy. – Mamy

podejrzanego – dodał.

– Od kiedy nie żyje? – Głos Pasqualego przypominał szept. Oczywiście przede wszystkim troszczył się o możliwą ocenę swojej zawodowej skuteczności.

– Sądząc po stanie ciała, od kilku dni. Prawdopodobnie zabił ją tego samego wieczoru, kiedy ją zabrał z ulicy.

– Całe szczęście – wyrwało się Pasqualemu, któremu wyraźnie ulżyło.

– To był romski pasterz bez pozwolenia na pobyt stały.

– Boże, kolejne problemy dla burmistrza – mruknął Pasquali, który jak przystało na dobrego katolika, wzywał boskiego imienia tam, gdzie każdy inny policjant uciekłby się do soczystego przekleństwa.

Wyobraził sobie Pasqualego, jak leży na swoim pięknym łóżku pod krucyfiksem i szepcze do telefonu, by nie obudzić żony, głęboko zadowolony z wiadomości, która jeszcze bardziej podkopie pozycję centrolewicowej administracji miejskiej.

– Jest coś jeszcze – dodał Balistreri.

Pasquali milczał. Wyczuwał złe nowiny. Z rodzaju tych naprawdę złych.

– Ma na czole wrytą literę E – dokończył Balistreri.

Milczenie.

Może w tej chwili Pasquali wstawał z łóżka i po cichu szedł do łazienki. Litera E otwierała na nowo drzwi, które on pozamykał na cztery spusty.

Ciesz się, że oparł się wtedy pokusie wywalenia mnie z sekcji. Gratuluje sobie roztropności.

– Michele, ja powiadomię kwestora, ty prokuraturę. Tylko to, cośmy sobie powiedzieli. Jeśli chodzi o dziennikarzy, wczesnym popołudniem wydamy krótki komunikat prasowy. A my zobaczymy się za godzinę w moim biurze.

O dziewiątej rano Rzym nadal świecił pustkami. Padający z sinoszarego nieba deszcz moczył ulice i wszechobecne śmieci po nocnym świętowaniu. Mimo że dzień był świąteczny i prawie nikt nie siedział w policyjnych biurach, jak zwykle nienaganny Pasquali miał na sobie stalowoszary garnitur z krawatem w błękitne kropki. I oczywiście był już na mszy.

Kwestor Floris ubrany był nieformalnie, w sportową kurtkę, tę samą, w której rano, nie bacząc na pierwszy dzień nowego roku i padający deszcz, wyszedł z psem na spacer. Balistreri wciąż miał na sobie sweter, który włożył na wyjście do Angela, ubłocone buty i zmierzwioną brodę.

Usiedli w salonie Pasqualego. Balistreri zrelacjonował fakty, niczego nie zatajając. Ukrywanie czegokolwiek nic by nie dało, Colajacono znalazłby sposób, by sprawa doszła do właściwych uszu.

– Jak się ma w tej chwili inspektor Tatò? – zapytał Floris, kiedy Balistreri skończył.

– To nic poważnego, dziś ma zabieg.

– *Dottoressa* Piccolo go zaatakowała. – Pasquali chciał zdobyć punkt przewagi przed tym, co miało nastąpić.

Balistreri potrząsnął głową.

– Nie zaatakowała. Była w sytuacji zagrożenia, poczuła, że ktoś chwyta ją od tyłu, i zareagowała instynktownie. Tatò zachował się nieroztropnie, dlatego oberwał.

– Według ciebie Tatò był nieroztropny. Jak w takim razie nazwiesz Piccolo? Wplątywać się w taką sytuację, nie informując nikogo...

– Nie miała zasięgu sieci komórkowej, Pasquali, nie mogła nas zawiadomić.

– Raczej nie miała po kolei w głowie. Powiedzmy, że da się to złożyć na karb gorączki. Ale chciałbym się dowiedzieć, dlaczego śledziła Colajacona i Tatò.

– Bo miała co do nich wątpliwości, mówiłem ci już wczoraj.

Pasquali pokręcił głową.

– Tylko że dziś wiemy, że to wszystko były bzdury. Jeśli znaleźliśmy auto, dziewczynę i winnego, to tylko dzięki panom Colajaconowi i Tatò. Którzy jak prawdziwi profesjonaliści, zanim wjechali na wzgórze, zaalarmowali centralę przez radiotelefon.

– Skąd wiedzieli, gdzie szukać samochodu? – zapytał kwestor.

Balistreri się skrzywił.

– Był anonimowy telefon wczoraj wieczorem, około ósmej trzydzieści. Jakiś facet widział, że stara alfa giulia ze słuczonym reflektorem zjeżdża z tego wzgórza. To był Vasile ze współnikiem, jechali na włamanie. Ot i wszystko. Jeśli w to wierzymy.

– Z pewnością wierzymy – uciął Pasquali. – A *dottoressa* Piccolo niech zostanie w domu, wyleczy przeziębienie i odpocznie. I dla własnego dobra ma się trzymać z daleka od tej sprawy.

Balistreri nie skomentował tego. Pasquali okazywał niedostrzegalne dla postronnego widza gesty zdenerwowania, bawiąc się okularami w rękę. Kłopotliwy był dla niego fakt, że nie powiedział kwestorowi o żądaniu Lindy Nardi. A jeszcze bardziej to, że Balistreri o tym wiedział.

– Pomówmy o literze E – powiedział Floris – i naturalnie o R.

Pasquali poprawił węzeł krawata. Musiał już rozważyć wszystkie za i przeciw. Jak zwykł robić polityk, nie śledczy.

– Możemy wznowić śledztwo w sprawie Samantha Rossi, zresztą nigdy nie było oficjalnie zamknięte – powiedział, jakby to była prawda – ale prasa nie może się dowiedzieć. Żadnego oficjalnego połączenia tych dwóch spraw.

– To E na czole Nadii wyjdzie na jaw, jest zbyt widoczne. Widzieli je na pewno nasi ludzie, którzy ją wyciągnęli, no i oczywiście technicy kryminalistyczni – zaproponował Balistreri.

– Nawet jeśli tak, zachowamy spokój. Nikt nie wie o R z poprzedniej sprawy.

I wciąż nie jest powiedziane, że oba morderstwa mają ze sobą związek – rzekł Pasquali.

– Mamy również do czynienia z tym samym sposobem działania – zauważył Balistreri. – Romowie podani na srebrnej tacy jako winowajcy, a postać z zewnątrz znika.

– Spisek przeciwko Romom? – skomentował ironicznie Pasquali. – Z pewnością nie są aż tak potężni, by prowokować serię morderstw.

– Romowie czy nie, możemy mieć do czynienia z seryjnym zabójcą, który wycina litery na ciele swoich ofiar. Najpierw R, potem E. Może pisze jakieś słowo? – Teraz kwestor okazywał zakłopotanie.

– Są również poważne różnice między tymi dwoma morderstwami – powiedział Pasquali.

Balistreri uznał, że lepiej będzie nie oponować i poczekać na ciąg dalszy wypowiedzi przełożonego.

– Poważne różnice właśnie w sposobie działania – kontynuował Pasquali. – Samantha została zaatakowana i zgwałcona przez nieznaną osobę. Nadia wsiadła do samochodu znajomej osoby i z własnej woli uprawiała seks z Romem. Jeśli autopsja potwierdzi, że nie została zgwałcona.

– Jest jeszcze jedna istotna różnica – dodał Balistreri. – Samantha była włoską studentką, Nadia rumuńską prostytutką.

– Właśnie – potwierdził Pasquali. – To mogą być dwie sprawy bez związku, a litery są tylko zbiegiem okoliczności. Albo trzech Romowie z pierwszej sprawy znali Vasilego i zanim zostali aresztowani, opowiedzieli mu, jak zabili tamtą dziewczynę. A on ich naśladował.

Balistreri pokręcił głową.

– Vasile jest we Włoszech od września, tamci trzej od sierpnia siedzą w więzieniu.

– Kiedy przyciśnięcie Vasilego, zobaczycie, że wszystko sobie wymyślił – zdecydowanym tonem powiedział Pasquali. – Ta historia o samochodzie wydaje się mocno naciągana. Zabrał Nadie, żeby uprawiać z nią seks, i zamiast jej zapłacić, wrzucił ją do studni. Wszystko.

– Gdyby nie to E wycięte na czole – uściślił Balistreri.

Pasquali wstał.

– Wydamy krótki komunikat prasowy wczesnym popołudniem, nie mówiąc nic o wyciętej literze. Prosta sprawa i niewiele pisania. Rumuńska prostytutka, romski pasterz. Mamy wszystko, zamykamy sprawę. Oficjalnie. A nieoficjalnie kontynuujemy śledztwo w sprawie Samanthy.

To było inteligentne rozwiązanie. Mogło się trzymać kupy, o ile sprawa liter pozostanie utajniona.

I pod warunkiem, że morderca skończył z pisaniem.

Corvu zadzwonił i powiedział jej o Nadii. Piccolo powtórzyła to Rudiemu. Płakał długo, po cichu, przygotowując jej kompresy.

Siedziała na kanapie ubrana w dres, termometr wskazywał ponad trzydzieści dziewięć stopni. W salonie jej dwupokojowego mieszkania było gorąco. Rudi upierał się, że zaduch jej zaszkodzi, i otworzył okno, by wpuścić trochę zimnego powietrza.

Przygotował jej kompresy spirytusowe i nałożył je na czoło, nadgarstki i kostki.

– Wycisnę ci jeszcze jeden sok z pomarańczy – powiedział.

Od kiedy wróciła do domu w oplakany stan, a on się nią zajął, dystans między nimi się zmniejszył.

– Już wypięłam dwa.

– Musisz pić. Płyny i witaminy.

– Nie zjadłam twojej noworocznej soczewicy – powiedziała słabym głosem.

– Ani *cotechino*²¹. Ale wieczorem poczujesz się lepiej i wtedy...

– Narobiłam strasznych głupot, już drugi wieczór z rzędu zachowuję się jak idiotka.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Ale dzisiaj nigdzie nie wychodzisz, jeśli chcesz, możesz narobić głupot w domu.

Wyczuła dyskretną aluzję i ku swemu zaskoczeniu poczuła, że zrobiło się jej przyjemnie.

Przez zasłonięte okna sączyło się szare, mdłe światło zimowego przedpołudnia. Piccolo nie chciała zapalać światła, raziło ją w oczy. Rudi usiadł na podłodze przy kanapie. Nie spał sobie włosów w koński ogon i wydawał jej się jeszcze piękniejszy: delikatny, łagodny, choć wciąż trochę przestraszony anioł.

– Rudi, jeśli coś wiesz, powinieneś mi powiedzieć. Pomóż nam znaleźć tego, kto zrobił to Nadii.

Pokręcił głową. Drżał. W półmroku mieszkania słychać było stłumione dźwięki sąsiadów wstających po noworocznych hulankach. Przesuwane krzesła w mieszkaniu piętro wyżej, głosy, włączony telewizor. Kiedy świat budził się na powitanie nowego roku, Piccolo czuła, że wreszcie ogarnia ją sen.

Wtedy Rudi zaczął mówić i jego głos dobiegał z daleka, jakby pochodził z sąsiedniego mieszkania:

– Mircea i Greg byli w pokoju Ramony. Wyzywali ją i bili po twarzy. Ja leżałem w łóżku, byłem kompletnie przerażony. Słyszałem, że czegoś od niej chcą, ale nie wiedziałem co. A potem Mircea przyszedł po mnie.

Piccolo czuła, jak pulsowanie w głowie powoli słabnie i niknie w fali zmęczenia. Wdychała z błogością zapach alkoholu, przyjemne były nawet małe hałasy w sąsiednich mieszkaniach i szare światło dnia.

– Ramona płakała, w jej pokoju znów był kompletny bałagan. Greg powiedział, że jeśli im nie pomoże, to dadzą mi popalić, ale błagała ich, by zostawili mnie w spokoju, mówiła, że zrobi wszystko, co jej każą. Ale nie miała tego, co chcieli. Wtedy Mircea

poszedł po miotłę...

Piccolo czuła, że bierze ją za rękę. W półśnie słyszała, że wciąż mówi, był coraz bliżej. Mówił dalej, kładąc się obok niej. Potem poczuła jego lekki oddech na czubku nosa, wargi, które delikatnie dotknęły jej warg. Uświadomiła sobie, że własną ręką prowadzi rękę Rudiego w dół, pod ściągacz spodni od dresu, pod majtki. Potem wszystko zmieszało się ze snem.

Ostatnim mężczyzną, który próbował jej dotknąć, był tamten gość z liceum. Niezgrabny, brutalny, niecierpliwy. Rudi był całkowitym jego przeciwieństwem.

Okropność ostatnich godzin, cała brutalność wszystkich mężczyzn świata wyparowała w jednej chwili, rozplywała się pod dotykiem jego palców delikatnie odkrywających coraz więcej. Z odległej przeszłości najpierw stłumiona, potem coraz wyraźniejsza i przemożna przybyła rozkosz.

Piccolo obudziła się wiele godzin później. Nie miała gorączki.

Teczke Samantha Rossi Balistreri znał na pamięć. Każde nazwisko, każdą fotografię, każdą godzinę. Ale teraz, kiedy zobaczył literę E wyciętą na czole Nadii, chciał ją przeczytać od nowa. Otworzył okno. *Wspaniale. Chłodne powietrze, cisza, deszcz.*

Przede wszystkim wyniki autopsji. Rany i wielokrotna przemoc seksualna. Potem uduszenie. Potem wycięcie litery. Zatrzymał się na opisie działań, które spowodowały zgon. Długi, silny nacisk obu rąk na szyi. Dokładne ślady kciuków. Silne ręce, jednoznaczny zamiar pozbawienia życia.

Przeszedł do zeznań trzech Romów. Przyszli do baru wcześniej, mieli pieniądze tylko na jedno piwo. W środku, kiedy wychodzili z toalety, spotkali mężczyznę. Mówił po włosku, miał dużo pieniędzy i chciał zaimprezować, ale nie miał z kim. Dał im sto euro w banknocie, żeby wypili za jego zdrowie. Potem znikł, a oni przez godzinę pili jak gąbki. W pewnej chwili znów go zobaczyli. Wysłał ich do kibla, żeby wciągnęli po kresce koki. Znów stracili go z oczu, aż za piętnaście dziesiąta był przy wejściu do baru i wołał na nich. „Idziemy na baby”, powiedział.

Pomyśleli, że zamierza dać im na dziwki, więc poszli za nim. Kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, dał im wszystkim po jeszcze jednej działce koki. Potem zobaczyli, jak biegnie ta dziewczyna. Plac był pusty, na przystanku nie było nikogo. Chwycił ją pierwszy, oni pomogli mu zaciągnąć ją na działki, kiedy przejeżdżał autobus. Uderzył Samanthę w twarz tak mocno, że zemdląła. Razem z nim zawlekli ją aż na wysypisko, miał jeszcze dla nich whisky w plecaku. Potem dziewczyna się ocknęła i zaczęła się jatkanie. Żaden z Romów nie pamiętał, co dokładnie robił ani co robił tamten człowiek. Według jednego z tej trójki tylko palił i patrzył. Kiedy dziewczyna zemdląła znowu, znikł. Oni wrócili do swojej przyczepy. Nie pamiętali nawet, że zabrali jej bransoletkę. A już zupełnie nie mogli sobie przypomnieć, żeby któryś z nich wyciął jej

literę „R” na plecach. Na wszelki wypadek zostali poddani testowi grafologicznemu. Byli analfabetami, wszyscy trzej.

Balistreri przeszedł do części, która najbardziej go interesowała. Do portretu pamięciowego czwartego mężczyzny. Niestety, trzej Romowie dostarczyli bardzo niejasnych informacji. Nieokreślone rysy twarzy, długie proste włosy na czole i policzkach, czapka z daszkiem, wielkie okulary. Jeszcze bardziej niespójne było to, co mówili o wzroście. Jeden mówił, że był średni, inny, że bardzo wysoki.

Spojrzał na portret pamięciowy. To mógł być każdy. Włosy prawdopodobnie były peruką, okulary zbyt wielkie, by dobrze dostrzec rysy twarzy. Podobnie jak czapka i ciemne okulary kierowcy z via di Torricola.

Wrócił do ostatniej części opisu. Czwarty mężczyzna zaatakował Samanthę pierwszy, a potem wycofał się na bok, przeszedł w strefę cienia, aż w końcu zniknął na dobre.

To samo powiedział Vasile o człowieku, któremu pożyczył swoją alfę i który przysłał mu Nadię i dwie butelki whisky. Dwaj bardzo podobni mężczyźni. Albo jeden i ten sam.

Myśli walczyły ze sobą w gęstej mazi faktów. Nie było skąd wyciągnąć końca nici, by porozwijać wszystkie supły, płatanina wydawała się zbyt zawikłana.

Zamknięty w swoim gabinecie o poranku pierwszego dnia roku Balistreri pił wodę, słuchał muzyki i czekał. Cekał na przecucie.

Powoli zaczęła się w jego umyśle formować niewyraźna, drżąca myśl: Niewidzialny Człowiek.

Pojawił się tam na chwilę przed przerwą na lunch. Zobaczył, jak Linda Nardi wychodzi z siedziby swojej gazety. Wyglądała na wypoczętą, jakby poszła spać wcześniej, nie przejmując się sylwestrowym szaleństwem. Może przeczytała jakąś dobrą książkę i popijała herbatkę ziołową, kiedy inni wznosili toasty szampanem.

– Szedłem właśnie na kawę do tego baru naprzeciwko – skłamał bezwstydnie.

Nie pokazała po sobie, że zdaje sobie sprawę z oczywistego kłamstwa. Nie gniewała się za nagły koniec tamtej kolacji, wydawała się nawet zadowolona, że go widzi. Jakby nic się nie wydarzyło. Zachowywała się z tą samą kurtuazyjną grzecznością oddzielającą ich niczym granica.

– Słyszałam przed chwilą w radiu – powiedziała po prostu.

– Wczorajsze gazety opublikowały dane samochodu, którego szukaliśmy, i Colajacono dostał anonimową informację na temat alfy.

Linda Nardi patrzyła na niego bez słowa.

– Jestem gotowy odpowiedzieć na pani pytania, taka była umowa, w zamian za przysługę z Pasqualim.

Zaskoczyła go pytaniem zupełnie innym, niż oczekiwał:

– Kim jest Marius Hagi?

Zadumał się na chwilę ogarnięty wspomnieniem, które ta kobieta budziła w nim za każdym razem, kiedy udawało się jej zbić go z tropu. Potem opowiedział o Hagim, o Gregu, o Mircei i o kolacji z Nadią.

Wysłuchiwała wszystkiego bez komentarza. Na końcu zadała kolejne nieoczekiwane pytanie:

– Kiedy zginęła żona Hagiego, Alina?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim – odpowiedział odruchowo. Nie rozumiał, z jakiego toku myśli biorą się te pytania, ale jakoś lubił z nią rozmawiać. To było niczym stąpanie po cienkim lodzie w kierunku bramy raju.

Linda Nardi śledziła palcem drogę kropli kawy na stalowym blacie baru.

Patrzył na nią, jak gdyby była wróżką, która wyszła z kart książeczki dla dzieci.

Po południu

Corvu był wyraźnie wypoczęty, ubrany bardziej zawadiacko niż zwykle, w odważną ciemnozieloną koszulę wypuszczoną na dżinsy. Nałożył nawet nieco żelu na krótkie czarne włosy.

Na jego widok Krasnal zaczął pogwizdywać temat z filmu *Love Story*. Corvu spiorunował go wzrokiem. Usiedli przy stoliku w gabinecie Balistreriego.

Mastroianni zrelacjonował dokładnie wszystkie szczegóły swojego spotkania z Ramoną.

– Co ci powiedziała o garsonierze, do której poszła z tym bogatym klientem? – zapytał Balistreri.

– W jakim sensie? – zapytał Mastroianni.

Przystojny, ale niezbyt bystry. Jeszcze nie zrozumiał. A może po prostu ja widziałem za wiele?

– Sypialnia, Mastroianni. Co tam było, jak wyglądała?

– Powiedziała, że były tam akcesoria pornograficzne, plastikowe fallusy, pejcze, kajdanki, wielkie lustro na suficie...

To na nic, nie ma co na niego liczyć. A może to ja jestem zbyt doświadczony w tych sprawach. Lustro na suficie, ukryta kamera.

Nie zauważając milczenia Balistreriego, Mastroianni kontynuował:

– Potem z Jassów pojechałem do Gałacza, by sprawdzić informacje na temat Mircei i Grega. Byli notowani. Duży kaliber, oskarżenie o podwójne morderstwo.

– Kogo mieli zabić? – zapytał Corvu.

– Dwóch emerytowanych urzędników ministerialnych. Byli przyjaciółmi, kolegami

z pracy, którzy po likwidacji urzędu i przejściu na emeryturę kupili niewielkie gospodarstwo rolne niedaleko Gałacza. Któregoś dnia pojechali na targ i sprzedali trzydzieści jagniąt za gotówkę. Kiedy wracali do gospodarstwa, nasi dwaj milusińscy napadli na nich z zamiarem grabieży. Tamci próbowali się bronić, więc poderżnęli im gardła. Świadek widział, jak wychodzili z gospodarstwa krótko po morderstwie. Zaarrestowali ich, ale dwa dni później ich obrony podjął się ważny rumuński adwokat, specjalista w sprawach karnych. I uzyskał zwolnienie z aresztu oraz zwrot paszportów. A potem oskarżenie przeciwko Mircei i Gregowi zupełnie upadło.

– Pewnie nie udało ci się dowiedzieć, kto opłacił adwokata – powiedział Corvu.

– Faktycznie, tego nie wiadomo – potwierdził Mastroianni.

– Ale to wszystko oddala nas od dzisiejszego problemu – rzekł Corvu. – Najpierw litera R, teraz E. A jeśli morderca dopiero zaczął?

– Nie mieszajmy sacrum i profanum – wtrącił Coppola. – Samantha Rossi była dziewczyną z dobrego domu, włoską studentką, a ta druga to dziwka ze Wschodu, która mogła spokojnie zostać u siebie w domu.

– Nie wstyd ci mówić takie rzeczy? – wybuchnął Corvu.

Balistreri uznał, że najwyższy czas zamknąć naradę.

Wieczorem

Bezustannie wyobrażał sobie rozmowy, w których oboje mówili dwoma całkowicie różnymi, niezrozumiałymi językami. Ona pojmowała wszystko, on nic.

Inny poziom porozumienia. Poziom, który znam i który mnie przeraża. Poziom bezgranicznego zaufania.

By nie myśleć o Lindzie Nardi, powziął decyzję.

– Margherita, dziś jest pierwszy dzień roku i nie chciałbym samotnie jeść kolacji.

Przez krótką chwilę sprawiała wrażenie zmieszanej, potem jej naturalna ufność i chęć sprawienia mu przyjemności przeważały.

– Dziękuję, *dottore*, to zaszczyt, chętnie pójdę z panem na kolację.

Zabrał ją do renomowanej, zatłoczonej traktierni niedaleko fontanny di Trevi. Margherita cały czas nazywała go *dottore*. Z pewnością się nie obawiała, że stary szef rzuci się na nią po kolacji.

Kiedyś wziąłbym ją w mojej alfie duetto zaraz po wyjściu z restauracji, a może nawet już w drodze do niej, tak że jeszcze oszczędziłbym na kolacji.

Margherita patrzyła na dwoje japońskich staruszków, którzy wrzucali do fontanny monetę na szczęście.

– Ależ są rozczulający, trzymają się za ręce jak nastolatki.

– Pewnie życzą sobie kolejnych stu lat razem – skomentował sarkastycznie.

– Nie wierzy pan w miłość, *dottore*. – Zaczerwieniła się, mówiąc to, jakby ośmieliła się na zbyt wiele.

– W jakim sensie? – zapytał nieco zaskoczony, ale przede wszystkim rozbawiony.

– Nie wierzy pan, że kobieta jest w stanie zmienić pańskie życie – wyjaśniła niemal przepaszająco.

Balistreri już miał coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu ręka, którą ktoś położył mu na ramieniu.

– Michele. – Stał za nim Dioguardi ze swoim zwykłym szerokim uśmiechem.

– Angelo, co tu robisz?

– Rozpocząłem nowy rok obrzydliwie bogatym turniejem pokera w sieci. I przyszedłem świętować pierwszą wygraną roku dwa tysiące szóstego.

Sam. Tak samo jak ja, gdybym nie wziął ze sobą tej świętej dziewczyny.

– Usiądź z nami, napijemy się kawy – zaproponował natychmiast Balistreri zadowolony z jego obecności.

Angelo usiadł obok niego naprzeciwko Margherity. Z burzą we włosach, dość długą jasną brodą i niebieskimi oczami miał ten sam co zwykle wygląd podstarzałego dziecka.

Margherita była go ciekawa. Zachowywał powściągliwość, nie chcąc zdominować sobą spotkania, ale dziewczyna zasypała go pytaniami o pokerową karierę. Potem Balistreri pogorszył sytuację, opowiadając o działaniach dobroczynnych, które Angelo finansuje ze swoich wygranych. Dioguardi milczał, patrzył na Margheritę, a Balistreri opowiadał jej o początkach ich przyjaźni, wspólnych wieczorach, kobietach, o ich życiu zupełnie na opak: Angelo z drobnego urzędnika przemienił się w bezkonkurencyjnego pokerzystę, podczas gdy młody żywiołowy Balistreri stopniowo szarzał za biurkiem. Potem opowiedział jej o ich pierwszym spotkaniu w mieszkaniu Paoli, kiedy Angelo niemal wyrzygał flaki, by umożliwić Balistreriemu upojną noc.

Margherita nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– A ty, Angelo, robiłeś za przynętę! Wstydz się.

– Był wtedy zaręczony – wyjaśnił Balistreri. – W przeciwieństwie do mnie zawsze wierzył w miłość.

Angelo wzdrygnął się na te słowa, jakby były haniebnym oszczerstwem.

– I znalazłeś miłość? – zapytała Margherita.

Balistreri przysłuchiwał się im tak, jakby siedzieli przy innym stoliku. Podobał się sobie, to było od razu widać. Przedstawił ich sobie wiedziony instynktem i czuł się teraz lekko, niemal euforycznie. Pod pozorem pilnego telefonu z biura zostawił ich samych i wyszedł w objęcia nocy. Wiedział, dokąd ma iść.

Szukał już tylko morderców, na pewno nie miłości.

Nie miał daleko i z chęcią przespacerował się w wieczornym chłodzie. Zatrzymał się na chodniku przed otwartymi drzwiami lokalu. To tu zginął Papa Camarà z brzuchem otwartym nożem. Rozpoznał róg, zza którego wyjechał motocykl. Piętnaście metrów. Motocyklista musiał odczekać do ostatniej chwili, nim naubliżał Senegalczykowi. A potem – być może – wrócił, by go zabić. Bardzo głupi morderca. Dlaczego go zwyzywał przy świadku?

Było jeszcze wcześniej, przy stolikach siedziało niewielu klientów. Kelnerzy rozmawiali spokojnie ze sobą. Zamówił coś do picia, potem przywołał barmana do swojego stolika. Pierre nie przestraszył się policyjnej legitymacji. Wyglądał na sympatycznego twardziela. I nie był zdziwiony, kiedy Balistreri powiedział mu, że jest tu w związku ze śmiercią Camarà.

– Miał pan okazję rozmawiać z nim tamtego wieczoru?

– Nie, pytali mnie już o to pańscy koledzy. Wpadłem na niego parę razy, kiedy szedł do toalety i szybko wracał na miejsce, wie pan, mecenas Ajello, dyrektor, chce, by główne wejście było zawsze pilnowane.

– Jest jeszcze jedno wejście?

– Tak, wychodzi na zaułek na zapleczu. Ale jest zawsze zamknięte, klucze ma tylko dyrektor. Używa go do wprowadzania gości, którzy wchodzą bezpośrednio do sal prywatnych. Mamy takie dwie, dużą i małą.

– A tamtego wieczoru?

– Była jedna impreza w dużej sali, po pierwszej w nocy. Przyjaciele syna dyrektora, sam chłopak też był. Dyrektor przyleciał z Perugii w samą porę, by ich przywitać i wpuścić tylnym wejściem.

– Na czyją cześć była impreza?

– Jakaś dziewczyna z bogatego domu miała osiemnastkę. Przyjaciółka Fabia, syna mecenasa Ajella.

– Wiem, że wcześniej mieliście innego dyrektora.

– Tak, Coronę. Biedaczysko. Żałosny koniec. Ale dla niego to może nawet było wyzwolenie.

– W jakim sensie?

– Pan nie jest żonaty, prawda? A Corona był.

– Ciężka do zniesienia żona? – zasugerował Balistreri.

– Jak diabli – potwierdził Pierre. – To z jej winy wpadł w kłopoty. A w końcu stracił przez nią wszystko.

– Czyli to miejsce?

– Nie tylko. Corona był administratorem spółki, która zawiaduje tym lokalem i jeszcze innymi. Żona cały czas naciskała na niego, by zarabiał jeszcze więcej pieniędzy, nieważne jakim sposobem.

– I w końcu zrobił coś, czego dobry administrator nie powinien robić... –

zasugerował Balistreri.

Pierre potwierdził gestem i ponurą miną. Było mu szczerze żal Corony.

– Napytał sobie biedy w skarbówce. Ot, przekręt z automatami do gry, które zarabiały na czarno. Problem w tym, że pieniądze trafiały na konto pani Corony, a nie spółki – wyjaśnił Pierre.

W tej chwili Balistreri dostrzegł, że barman zeszywniał. Do stolika zbliżał się elegancki czterdziestolatek.

Pierre dokonał prezentacji.

– Mecenas Ajello, nasz dyrektor. *Dottor* Balistreri z policji.

Wysoki, wysportowany mężczyzna wyciągnął do niego wymanikiowaną dłoń. Złoty rolex, brylantowe spinki, markowy krawat, szyta na miarę koszula z inicjałami, drogie buty.

Ajello zwrócił się do Balistreriego:

– Jeśli się panu nie spieszy, napijmy się czegoś w sali prywatnej.

Chciał się pozbyć Pierre'a.

Wyszli na długi korytarz, w którego głębi znajdowały się toaleta i wyjście ewakuacyjne, a wcześniej drzwi do dwóch pomieszczeń. Weszli do mniejszego z nich. Fotele, skórzana sofa, barek, projektor i czytnik płyt DVD.

– Bardzo tu przytulnie – skomentował Balistreri – ale ja poproszę tylko odrobinę wody.

Ajello wskazał mu fotel i obsłużył go.

– Ta sala jest zarezerwowana dla naszych specjalnych gości. Wie pan, dla twarzy zbyt znanych, by mieszały się z klientami w głównej sali.

– Ludzie kina? – zapytał Balistreri.

– Nie, przede wszystkim piłkarze, telewizyjne aktoreczki, czasem jakiś polityk w nieoficjalnym towarzystwie – wyjaśnił Ajello ze źle ukrywaną pogardą dla ludzi, którzy w jego oczach są oglądzonymi z zewnątrz pospolitymi chamami. – Towarzystwo, które stać na wydanie pięciu tysięcy euro na szampana w jeden wieczór. Jakby nigdy nic.

– A w tę noc, kiedy zginął Camarà, był tu ktoś?

– Nie, zajęta była tylko druga sala, ta większa. Urodziny koleżanki mojego syna.

Na kryształowym blacie stolika leżała wielka popielniczka i duża drewniana skrzynka. Ajello ją otworzył.

– Kubańskie cygara. Prawdziwe – oznajmił, pokazując zawartość. – Ja ich nie palę, ale mówią mi, że są doskonałe, niech się pan poczęstuje.

Balistreri rzucił okiem na zawartość pudełka. Pięć przegródek, w każdej po jednym cygarze. Do każdego srebrnym sznurkiem przymocowana była niewielka kieszonkowa zapalniczka ze stylizowaną niebieską tancerką, logo lokalu. Prezenty dla klientów.

– Dziękuję, palę papierosy. Ale pan chyba chciał mi coś powiedzieć, mecenasie.

Znów ten pobłażliwy uśmieszek.

– Jeśli mam być szczerzy, *dottor* Balistreri, odebrałem ciekawość pańskiego podwładnego jako coś nie na miejscu. Wyglądało to jak przesłuchanie przez policję finansową. Tysiąc pytań o ENT, o partnerów spółki, o poprzedniego administratora. Nic poważnego, ale nieco to dziwne, gdy chodzi o zabójstwo, które nie ma nic wspólnego...

– Mecenasiu, nie wziął pan pod uwagę, że zabójstwo Papy Camarà może mieć coś wspólnego z Bella Blu albo z partnerami spółki, z poprzednim administratorem, a nawet z pana osobą.

– Nie mamy wrogów, *dottore*. Działamy w niełatwej branży i bardzo uważamy, by robić wszystko zgodnie z zasadami.

– Niemniej policja finansowa znalazła niepodłączone automaty właśnie tutaj.

Ajello wykonał ręką zniecierpliwiony ruch, jakby odganiał natrętą muchę.

– Lekkomysłność Sandra Corony, poprzedniego administratora. Pozwolił, by kilka maszyn działało na czarno, jak w złotych latach, kiedy były całkiem nielegalne. Nic poważnego, *dottor* Balistreri. Nie należy pan chyba do tych prawych i sprawiedliwych, którzy uważają, że kto nie płaci podatków do ostatniego euro, powinien siedzieć w więzieniu? Corona był tylko płotką, uchylał się od płacenia groszowych sum.

– Znaczy że dziś warto uchylać się tylko od płacenia milionów?

Ajello się nie zmieszał. Spojrzał na Balistreriego tak, jak tylko młody, wykształcony, bogaty i świetnie ustosunkowany adwokat może patrzeć na szarego, źle ubranego urzędnika państwowego.

– Corona nie rozumiał życia, Balistreri. A żeby żyć, trzeba je rozumieć.

– A może je rozumiał, ale ktoś z otoczenia wywierał na niego zbyt wielką presję – rzucił prowokacyjnie Balistreri.

Teraz Ajello popatrzył na niego ze znacznie większą uwagą. Milcząco i czujnie.

– Zna pan dobrze panią Ornellę Coronę, mecenasiu?

Ajello ważył słowa.

– Dobrze ją poznałem, kiedy przelałem z ENT pieniądze, które odziedziczyła po mężu.

– A więc znał ją pan już wcześniej, nie tak dobrze... – zinterpretował Balistreri.

Ajello poruszył się odrobinę zbyt niespokojnie. Postanowił zyskać na czasie, wstał więc i podszedł do barku.

Nalewając sobie whisky, stanął plecami do Balistreriego i powiedział:

– Chodziliśmy na tę samą siłownię.

Brawo. Wszystkie możliwości interpretacji otwarte. Chodziliśmy na tę samą siłownię i tylko mówiliśmy sobie dzień dobry. Albo: chodziliśmy na tę samą siłownię i pieprzyliśmy się w toalecie.

Pożegnali się z fałszywą serdecznością. Przed wejściem do Bella Blu Balistreri

złapał taksówkę, przyglądając się szaremu sedanowi zaparkowanemu na rogu. Dwaj mężczyźni w środku spokojnie palili papierosy, zupełnie nim niezainteresowani.

Wiedzą, że wystarczy sama obecność, bym zrozumiał. Bo znam ten styl.

U Piccolo pojawił się około północy. Otworzył mu Rudi w dwa razy za dużym dresie z inicjałami G. P.

– *Dottoressa* odpoczywa na sofie, *dottore*.

Opiekuńczy ton. Balistreri powstrzymał odruch irytacji, którą poczuł.

Rudi zdawał się odmieniony. Prezentował się śmiesznie w dresie Piccolo, ale było wyraźnie widać, że czuje się tu dobrze i przestał się bać. Balistreri starał się ostentacyjnie nie zauważać tej odmiany.

Również Piccolo była pogodniejsza. Ostatnie wydarzenia musiały ją mocno doświadczyć. Była smutna tylko z powodu Nadii, co do reszty zachowywała się jak licealistka, która właśnie dostała dobrą ocenę w szkole.

– Rudi zmusił mnie do spędzenia całego dnia na kanapie, nie mam już gorączki, mogę wyjść.

– W Albanii wychodzi się dopiero dzień po ustaniu gorączki – orzekł Rudi niczym stara mądra ciotka.

– Tak, ale wy w Albanii jesteście obibokami, a ja mam dużo pracy – odpowiedziała Piccolo.

– Nieco odpoczynku zdecydowanie się przyda – zawyrokował Balistreri – a jak się trochę poleży, można sobie różne sprawy porządnie przemyśleć.

– Rudi, znasz już dom. Podaj panu coś do picia. Wodę niegazowaną, jak sądzę.

– Jak się tu czujesz, Rudi? – zapytał Balistreri.

– Znakomicie, *dottore*. Ja też muszę wrócić do pracy, ale nie do tamtego baru.

– Z powodu Mariusa Hagięgo?

– Nie, już to panu mówiłem, Hagi nigdy nic złego mi nie zrobił. Ale Mircea i Greg...

– Te sukinsyny ciężko go pobiły – wtrąciła się Piccolo.

Balistreri rzucił jej pytające spojrzenie.

– Rano przed wyjazdem Ramony. Chcieli coś od niej, ale ona nie wiedziała, o co im chodzi. Żeby zmusić ją do mówienia, dobrali się do Rudiego.

Rudi podał szklanekę z wodą i usiadł na sofie obok Piccolo. Nerwowo palił i był wdzięczny, że Piccolo nie opowiedziała szczegółów ani że Balistreri nie pyta o nie.

– Mówili, że Nadia ukradła skądś jakiś cenny przedmiot. Byli pewni, że dała go któremuś z nas, bo w mieszkaniu nie mogli go znaleźć – wyjaśnił Rudi.

Balistreri kiwnął głową.

– Słuchaj, Rudi, już nam powiedziałaś, że w przeciwieństwie do Nadii, Ramona bardzo pilnowała porządku. Ale kiedy wszedłeś do jej pokoju, żeby posprzątać,

wszystko było powywracane do góry nogami.

– Tak, to była robota Mircei i Grega. Czegoś tam szukali.

– I nie powiedzieli wam czego?

– Nie, myślę, że oni też nie wiedzieli, co to może być, ale byli pewni, że Nadia ukradła jakiś cenny przedmiot.

– Słuchaj, Rudi. Często porządkowałeś rzeczy Nadii, prawda?

Uśmiechnął się smutno.

– Tak, małeńka robiła straszny bałagan. Porządkowałem wszystko za nią. Nazywała mnie swoim braciszkiem.

– I czasem dawała ci jakiś prezent...

– Nie, Nadia nie miała pieniędzy na prezenty. Ale była dla mnie bardzo dobra, tak samo jak Ramona.

– Drobnny prezent, może skądś zabrany...

Wyglądało na to, że Rudi zaczyna sobie coś przypominać.

– Ale Mircea mówił, że chodzi o cenny przedmiot – wyszeptał.

– Może cenny z innego powodu niż wartość rynkowa, Rudi. Może był cenny, bo coś oznaczał?

Rudi zbladł i sięgnął do kieszeni.

Piccolo odprowadzała wzrokiem zapalniczkę, która na dłoni Rudiego wędrowała w kierunku Balistreriego.

– Chryste Panie! – wykrzyknął szef sekcji specjalnej, chwytając otwartą dłoń Rudiego, z której puszczała do niego oko stylizowana tancerka z Bella Blu.

Poniedziałek, 2 stycznia 2006

Przed południem

– Niewiarygodne – powiedział Corvu.

– Otóż to – przytaknął Balistreri, zapalając pierwszego papierosa i otwierając okno, by wpuścić do środka poranną rzeźkość pierwszego roboczego dnia w nowym roku. – Wydaje się niewiarygodne, ale ja nie wierzę w tego rodzaju zbiegi okoliczności. Rudi kompletnie zapomniał o zapalniczce, bo to bezwartościowy przedmiot. Dostał ją od Nadii dwudziestego czwartego i pomyślał, że ją gdzieś znalazła i dała mu w podziękowaniu za życzliwość.

– Mogło być tak, że Nadia dostała ją od klienta, który odwiedzał Bella Blu, nie możemy zupełnie wykluczyć zbiegu okoliczności – zaproponował Corvu.

– To by nie wyjaśniało zawziętości, z jaką Mircea i Greg szukali tego przedmiotu, i tego, że ktoś jeszcze szperał w mieszkaniu przy via Tiburtina, kiedy zaskoczyła go Piccolo z Rudim.

– *Dottor* Balistreri ma rację, Nadia musiała ją dostać w Bella Blu – powiedziała Piccolo. – Tylko że takie prezenty daje się w salach prywatnych, nie w głównym lokalu. To prezenty dla VIP-ów: kubańskie cygaro z dołączoną zapalniczką. A więc wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia Nadia była w sali prywatnej Bella Blu.

– To mogło być przed dwudziestym trzecim – zaproponował Corvu, który chciał rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Ale Piccolo miała na to gotową odpowiedź:

– W takim wypadku Mircea i Greg działaliby wcześniej, by ją odnaleźć. Nie, Nadia wychodzi sama z restauracji około jedenastej trzydzieści i później trafia do prywatnej sali klubu Bella Blu, stamtąd zabiera zapalniczkę i daje ją Rudiemu.

– Może Mircea czekał na nią przy wyjściu z restauracji i razem pojechali do Bella Blu – zasugerował Corvu.

– Nie – zaproponowała Piccolo. – Rudi powiedział mi, że tamtego wieczoru Mircea wrócił z Gregiem niedługo po tym, jak Ramona źle się poczuła. Była dopiero północ, więc wyszedł z restauracji i szybko wrócił do domu.

– W takim razie ktoś poderwał Nadię i... – zaproponował Corvu.

– Siedzieli przy stole dwie i pół godziny. Mircea zamawiał i pił. Jak na podnieconego gościa, któremu się spieszy, żeby przelecieć dziewczynę, to trochę dziwne – odparła Piccolo. – Potem ją szarpie, bo jak twierdzi, Nadia nie chce z nim uprawiać seksu. Wścieka się i wychodzi. To ci się wydaje wiarygodne?

– Według ciebie Mircea chce, by kelner zapamiętał, że on tam był i wyszedł sam. I czeka aż do konkretnej godziny. Dlaczego?

Balistreri, który pozwolił swoim zastępcom na swobodną wymianę myśli, słuchał i czarne chmury kłębiły mu się w głowie. W tym momencie włączył się do rozmowy:

– Żeby przekazać komuś dziewczynę.

Popatrzyli na niego zaskoczeni, w gorącej dyskusji prawie o nim zapomnieli.

– Żeby przekazać ją temu, kto zabrał ją do Bella Blu – dokończył Corvu, korzystając z pomocy swojej ukochanej logiki. – Ale jakim cudem się zorientowali, że zginęła im zapalniczka? To prawie niemożliwe...

– Jak najbardziej możliwe – wyjaśniła Piccolo. – Dziś wcześniej rano wpadłam do Bella Blu i spotkałam sprzątaczkę. Sala prywatna działa podobnie jak hotelowy barek, zawsze musi być dobrze zaopatrzona. Ona codziennie rano sprawdza zawartość baru i zapisuje, co uzupełnić. I bardzo dobrze pamięta, że dwudziestego czwartego rano brakowało jednego cygara z zapalniczką, co zapisała na liście rzeczy do uzupełnienia.

– Do kogo idzie ta lista? – zapytał Balistreri.

– Do Pierre'a, barmana, on się tym zajmuje. Ale jest dostępna dla każdego.

Milczenie. Każdy z trojga ważył konsekwencje tych rozważań. Dochodząc do tych samych nieuniknionych wniosków.

Ktoś zauważył tę listę. Ktoś, kto wiedział, że sala prywatna była zajęta poprzedniej nocy. Sprawdził i domyślił się, że zapalniczkę mogła wziąć dziewczyna. Zawiadomił więc Mirceę i Grega, ale nie powiedział, czego mają szukać, żeby nie dowiedzieli się za dużo. Nie mieli wiedzieć o Bella Blu.

Piccolo podsumowała:

– Ktoś za nic nie chciał, by przypadkowo połączono Bella Blu z Nadia.

Corvu uzupełnił:

– Ktoś, kto wiedział, że Nadia już nie żyje.

Ponure myśli Balistreriego krążyły wokół różnych wydarzeń, to bardzo dawnych, to znów całkiem nowych.

Szemrane okolice, Romowie i Casilino 900. prostytutka wykorzystana do nakręcenia erotycznego spotkania. Świat nocnych klubów, maszyn do gry i nielegalnego obiegu pieniędzy. I ten szary sedan przy wejściu do Bella Blu. Obrazek, który doskonale znam. Ale co ma z tym wspólnego Samantha i litery wyrżnięte na ciałach obu dziewczyn?

Nagle wyraźnie poczuł, że zbliża się poważne niebezpieczeństwo. Coś, co wprowadzono w ruch daleko stąd, a teraz nadchodziło powoli, lecz nieubłagane.

Linda Nardi zamierzała zrobić coś, do czego naczelny raczej by jej nie namawiał, a Balistreri niemal na pewno by tego nie zaaprobował.

Przeszła przez skąpane w słońcu centrum. Chwilę po dwunastej doszła do placu przed fontanną di Trevi, jak zawsze pełnego turystów. Nawet ten plac był pełen napisów nagryzmołonych na ścianach i propagandowych plakatów różnych partii. Obok słynnej fontanny stał samochód reklamowy prezentujący uśmiechniętą twarz i napis: „Wiceburmistrz Augusto De Rossi”, a obok fotografię obozu Casilino 900 i hasło: „Tylko integracja powstrzyma przemoc”.

Przed wejściem do restauracji rozejrzała się wokół. To stąd 23 grudnia krótko przed północą wyszła Nadia. Zgodnie z tym, co jej powiedział Balistreri, kelner twierdził, że miała na sobie wyraźnie za duży na nią płaszcz i że zaraz po wyjściu zatrzymała się na chwilę. Nie wiedziała, dokąd iść? Możliwe, ale wielki i dobrze widoczny znak kierujący do stacji metra pod piazzale Flaminio stał parę metrów stąd po prawej. Tymczasem ona po chwili udała się w stronę piazza del Popolo, gdzie są taksówki, ale nie ma stacji metra. Czy to możliwe, że wzięła taksówkę?

Weszła do środka. Starszy wiekiem kelner wyszedł jej naprzeciw. Okazała legitymację dziennikarską.

– Pan jest Tommaso?

Dostrzegła, że kelner obrzucił spojrzeniem jej biust, i postarała się opanować złość.

– Tak, ale wie pani, policja już tu była.

– Zależy mi, by jeszcze bardziej wysilił pan pamięć – powiedziała, podając mu pięćdziesiąt euro. Banknot znikł natychmiast w kieszeni kelnera.

– Co chce pani wiedzieć?

– Chcę, żeby mi pan dokładnie opowiedział, co robiła dziewczyna po tym, jak ten Rumun wyszedł.

– Ale jak ja to mogę pamiętać, byli inni klienci, tylko ja obsługiwałem stoły...

– Dziewczyna się panu przecież podobała, nieprawdaż? – powiedziała porozumiewawczym tonem Linda.

– No ba. Po tym, jak ten gnojek wyszedł, myślałem, że ona też wyjdzie. Tymczasem poszła do toalety. Kiedy ją zobaczyłem ponownie, wzięła już z garderoby płaszcz i miała go na sobie.

– Miała torebkę?

– Nie, plecak.

– Pamięta pan coś jeszcze?

Tommaso popatrzył na nią z nieznacznym grymasem.

– Wydaje mi się, że się przebrała. Że zmieniła ubranie w toalecie.

– Przebrała się. A skąd może pan wiedzieć, skoro miała na sobie obszerny płaszcz?

– Czy ja wiem... Takie wrażenie.

– Pamięta pan, jak była ubrana, kiedy przyszli do restauracji?

– Jasne, miała poprzecierane dzinsy...

– Okej, a wyżej?

Tommaso się zastanowił, a potem rozjaśniła mu się twarz.

– Już wiem, skąd wiem, że się przebrała! Kiedy przyszła, miała na sobie powyciągany golf.

– A potem?

– A potem spod płaszcza nie było widać ani nogawek dżinsów, ani golfa.

– Przed wyjściem włożyła jeszcze rękawiczki – dodał cały zadowolony – i to wydało mi się dziwne, bo tego wieczoru nie było wcale zimno.

Przebrała się: dekolt, spódniczka mini. Żeby pójść do nocnego klubu. Ubrana tak, żeby się podobać.

Po wyjściu z restauracji Linda Nardi poczuła się lepiej. Choć była rozgoryczona. Spojrzała w stronę piazza del Popolo, tak samo jak Nadia tamtego wieczoru, kiedy szła na spotkanie tego, który na nią czekał.

Na spotkanie swego losu.

W drzwiach stanęła nieco zdyszana Margherita.

– Dzień dobry, przepraszam, ale musiałam wziąć pół dnia urlopu na żądanie.

Balistreri wyczuł, że dziewczyna jest przejęta.

– Żaden problem, tylko zejdź do baru i przynieś nam dwie kawy. Dla mnie bezkofeinowa.

– Ja nie chcę kawy, wolałbym wyciskany sok z grejpfruta – powiedział Corvu.

Balistreri popatrzył na niego z obrzydzeniem.

– Grejpfruta? Przed obiadem? Wywierci ci dziurę w brzuchu.

– Rzuciłem kawę – powiedział zdecydowanie Corvu.

– No dobrze. Margherito, kawa i wyciskany sok z tego święstwa. Aha, przyślij mi tu Coppolę i Mastroianniego, a wcześniej zapytaj, co chcą z baru.

Coppola i Mastroianni z uwagą wysłuchali nowych wiadomości.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać z Ramoną – powiedział Mastroianni.

– I z Ornellą Coroną – dodał Coppola.

– Mastroianni, ściągnij do Rzymu tę Iordanescu, na nasz koszt. Panią Coroną zajmę się sam.

– Ale nie rozumiem dlaczego... – próbował zaoponować Krasnal.

– Dlatego, że ty musisz przesłuchać jeszcze raz amerykańskiego turystę, Freda Cabota.

Wizja kolejnej rozmowy z Amerykaninem i wiążących się z nią lingwistycznych upokorzeń zdecydowanie nie spodobała się Coppoli.

– Cabot wrócił do Stanów – zaoponował raz jeszcze.

– Mamy jego dane, zatelefonujesz.

Klnąc pod nosem, Coppola skinął głową z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

– I jest jeszcze jedna rzecz, którą chcę wiedzieć. Jakim rodzajem infekcji dróg moczowych zaraziła naszego Senegalczyka Carmen, jego dziewczyna.

Popatrzyli na niego kompletnie zaskoczeni.

– *Dottore*, o tak intymne sprawy w życiu jej nie zapytam!

– Więc wyślę cię na przesłuchanie pasterzy w areszcie – zaproponował złośliwie Balistreri.

Coppola przewrócił oczami.

– Dobrze, *dottore*, zadzwonię do Cabota i pojedę porozmawiać z Carmen.

– I dobrze – kontynuował Balistreri. – Do prokuratora na przesłuchanie obu pasterzy dołączą Corvu i Piccolo.

Corvu podniósł rękę.

– Dostaliśmy od sędziego nakaz ujawnienia przez fundusz powierniczy nazwisk współników ENT. Uznał, że mamy bezpośrednie powiązanie klubu z morderstwem.

Po południu

Corvu miał nadzwyczaj dobry humor. Był tak radosny i pewny siebie, że Balistreri zaczynał się trochę o niego bać. Jakby niezawodność jego zastępcy zależała w istocie od jego braku pewności siebie, a jego aktualna lekkość, będąca wynikiem zakochania, była przedsionkiem do utraty wnikliwości.

Przyszli przed czasem, umówieni byli na drugą, więc wmieszali się w gęsty tłum idący w stronę Bazyliki Świętego Piotra, kupili po kawałku pizzy i ruszyli w stronę kopuły odcinającej się wyraźnie od nieba nareszcie pogodnego po deszczowych dniach. Młode Romki z dziećmi zaczepiały turystów. W lot rozpoznawały mieszkańców Rzymu i obchodziły ich z daleka, by oszczędzić sobie kłopotów.

Siedziba funduszu powierniczego mieściła się w małym apartamencie na trzecim piętrze z tabliczką na drzwiach. Błada, nijaka sekretarka wprowadziła ich do skromnie urządzonego biura.

Czekał na nich mężczyzna w pewnym już wieku, który przedstawił się jako Davide Trevi. Na jego wizytówce widniał napis „administrator wyłączny”, numer telefonu stacjonarnego i mail. Nie było numeru telefonu komórkowego.

– Naturalnie, panowie, jesteśmy gotowi współpracować. Jeśli wyjaśnicie, o co chodzi, w ciągu kilku dni...

Corvu potrząsnął głową.

– Potrzebujemy bardzo prostej rzeczy, tylko jednej, za to natychmiast.

– Ależ *dottore*, jak pan chyba rozumie, również my mamy procedury...

– Panie Trevi – wyjaśnił Corvu – jeden z lokali kontrolowanych przez ENT ma powiązania z morderstwem, być może nawet z dwoma. Potrzebujemy znać nazwiska

wspólników.

– Rozumiem, ale wie pan, że mamy prawo zobaczyć nakaz, zanim przedstawimy żądane dokumenty. Szybko, oczywiście, ale nie aż tak szybko.

Balistreri wstał i poszedł zdjąć swój płaszcz z wieszaka.

Ten gnojek jest przyzwyczajony do stwarzania różnego rodzaju problemów, do zwlekania i stawiania oporu, nic nie uzyskamy w normalny sposób.

– Panie Trevi, mówi pan, że potrzebuje czasu. Doskonale, proszę wykorzystać tyle, ile pan chce. Ale te dwa morderstwa mogą być powiązane z jeszcze jednym, wcześniejszym, i ta sekwencja może mieć ciąg dalszy.

Corvu rzucił szefowi alarmujące spojrzenie pełne żywej dezaprobaty.

– *Dottor* Balistreri ma na myśli to, że nie mogą wykluczyć z całkowitą pewnością ryzyka ponownego zaistnienia...

– Mam na myśli – przerwał mu brutalnie Balistreri, patrząc Treviemu prosto w oczy – że jeśli nieszczęśliwie będzie kolejna ofiara i wyjdą na jaw jakiegokolwiek związki z ENT, z najwyższą uwagą przyjrzymy się temu, jak wykorzystał pan czas, o który teraz prosi.

Trevi, podobnie jak Pasquali, musiał być człowiekiem przyzwyczajonym do umiejętnego wazenia wszystkich za i przeciw. Z zamkniętej na klucz szuflady wyciągnął szarą teczkę, na której grzbiecie widniał napis ENT, i wyciągnął z niej białą kartkę z nagłówkiem funduszu powierniczego.

– To upoważnienie powiernicze – wyjaśnił. – Jest tylko jeden akcjonariusz, który powierzył nam dziewięćdziesiąt procent akcji ENT. W przypadku braku pisemnego wypowiedzenia upoważnienie odnawia się automatycznie co roku.

– A kim jest wspólnik? – zapytał niecierpliwie Corvu.

Trevi, choć wciąż trochę przestraszony, pozwolił sobie na mały uśmiešek.

– ENT Middle East, spółka zarejestrowana w specjalnej strefie ekonomicznej w Dubaju, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Balistreri i Corvu popatrzyli na siebie z osłupieniem.

– Musi być jakieś nazwisko na upoważnieniu – zaproponował Corvu.

– Oczywiście, administratora ENT Middle East, niejakiego Nabila Belhrouza, Libańczyka. Tu są jego dane i adres w Emiratach.

– To skrytka pocztowa – znów zaproponował Corvu.

– Taki tam panuje zwyczaj, ale mamy również dane sponsora spółki, Free Zone Media City. Tu jest zwykły adres.

– Jak często kontaktuje się pan z panem Belhrouzem?

– Jeszcze nigdy nie widziałem go ani nie słyszałem – odparł najspokojniej w świecie Trevi. Widząc ich zaskoczone twarze, dodał: – To normalne. Fundusze powiernicze stworzone są właśnie dla ludzi, którzy nie chcą być widziani, żaden klient tu do nas nie przychodzi. Pan Belhrouz podpisał dokument za pośrednictwem

włoskiego notariusza, który ma swojego odpowiednika w Dubaju.

Kazali zrobić kserokopię dokumentu i ruszyli do wyjścia. Przechodząc obok biurka sekretarki, Balistreri zauważył, jak na centralce zapala się światelko linii zewnętrznej telefonu Treviego.

Linda Nardi szła w chłodzie wczesnego popołudnia pogrążona w myślach. Rozlana krew kobiet nie obchodziła nikogo. Doskonale знаła ten teatrzyk. Polityków nie obchodzili nawet zamordowani Włosi, a co dopiero jakaś rumuńska prostytutka. A policjanci mieli to jeszcze bardziej gdzieś.

A Balistreri? Były faszysta, który pracuje dla wymiaru sprawiedliwości? Możesz mu zaufać?

Na murach zaczynały się pojawiać napisy: „Rumuni mordercy”, „Romowie do domu”, „Spalimy koczowiska nomadów”. Żadnego rozróżnienia między Romami a Rumunami. Nawet więcej: fakt, że ofiara była Rumunką, a domniemany zabójca Romem, w powszechnym osądzie upodabniał ich do siebie. A partie polityczne już się rzuciły na temat, bardziej wyważonym tonem, ale identycznie co do istoty. Opozycja zrzucała całą winę na zarząd miasta i obiecywała, że gdy tylko dojdzie do władzy, zlikwiduje wszystkie koczowiska. Polityczne ramię burmistrza podkreślało to, co już uczyniono w tej sprawie, i to, co zostanie wykonane wkrótce. Twarze i nazwiska senatorów, deputowanych, asesorów miejskich – wszyscy coś obiecywali. Wyborczy potencjał wydarzenia dla jednych był łakomym kąskiem, dla drugich gorzką pigułką. Z pewnością niejeden polityk cynicznie życzył sobie kolejnej Samantha Rossi.

Linda dowiedziała się w redakcji, że następnego dnia ma się odbyć posiedzenie zarządu miasta. Być może po raz pierwszy pojawiła się większość gotowa głosować za przeniesieniem koczowisk poza Rzym. Dla zarządu i samego burmistrza był to już wybór konieczny, jeśli chcieli uniknąć masakry przy urnach wyborczych.

A teraz miała zrobić coś, czego ani jej naczelny, ani Balistreri nie tylko by nie zaaprobowali, ale zdecydowanie by to potępili. Była przygotowana i uzbrojona, bo też przedsięwzięcie nie należało do bezpiecznych. Poznała dobrze tę część siebie od czasu, kiedy zaczęła zadawać swojej matce pytania, które pozostawały bez odpowiedzi.

Linda, która domaga się prawdy. Nawet jeśli prawda może bardzo skrzywdzić.

Biuro Mariustravel było zamknięte na przerwę. Za szklanymi drzwiami zobaczyła dwóch młodych ludzi jedzących kanapki i popijających piwem. To musieli być Mircea i Greg. Dwaj normalni pracownicy. Nikt by nie pomyślał, że są alfonsami. Albo kimś jeszcze gorszym.

Kiedy zapukała, starszy otaksował ją wzrokiem. Uśmiechnęła się do niego w sposób, którego nie praktykowała od lat, lecz doskonale pamiętała, jak to się robi.

Taki uśmiech mężczyźni interpretują po swojemu.

Mircea wpuścił ją i zamknął na powrót drzwi na klucz. Patrzyli na nią z szyderczym, pełnym wyższości uśmiechem.

– Agencja jest jeszcze zamknięta – powiedział Greg – ale jeśli możemy coś dla pani zrobić...

Okazała legitymację dziennikarską.

– Chciałabym porozmawiać z Mirceą.

Zesztywnieli nieco, zaraz jednak Mircea się roześmiał i wskazał jej krzesło przed biurkiem w głębi pomieszczenia. Zdała sobie sprawę, że siedząc w tym miejscu, nie będzie widoczna z zewnątrz, ale nie mogła nic na to poradzić. Mircea usiadł naprzeciwko, a Greg obok niej, blokując jej drogę ucieczki. Zauważyła, że w zamku nie ma klucza.

– O czym chce pani ze mną rozmawiać?

– O kolacji z Nadią. Dwudziestego trzeciego grudnia – powiedziała spokojnie. Nie bała się ich. Z wielu powodów. To byli dwaj niebezpieczni chłopcy, to pewne. Ale ona już się nie bała.

– A co mi pani da w zamian? – zapytał Mircea, patrząc prowokacyjnie na jej biust i nie przejmując się pionową zmarszczką na jej czole.

– Jeśli będzie pan miał użyteczne informacje dla mojego dziennika, dostanie pan prezent.

– Jaki rodzaj prezentu? Pieniądze?

Musiała się bardzo postarać, ale znowu udało się jej uśmiechnąć w ten szczególny sposób.

– No dobrze – powiedział Mircea – to proste. Ja i Nadia pojechaliśmy tam metrem około dziewiątej. Zjedliśmy kolację, pokłóciliśmy się, zostawiłem ją i zadzwoniłem do Grega, który był blisko, w sali z automatami do gry. Wróciliśmy metrem i o północy byliśmy w Barze Biliardo. Może to potwierdzić albański barman i ta druga dziewczyna, Ramona.

– O co była kłótnia?

Popatrzył na nią prowokacyjnie.

– Nadia powiedziała, że jest zmęczona i że obiecałem jej jeden wieczór wolnego. Nie miała ochoty na seks. A ja nie tracę czasu na te, co się nie bzykają.

– Nie zabrałbyś jej nawet na kolację. – Ton był łagodny, wyrozumiały. Jakby przed chwilą mały dzieciak wyjaśnił jej, dlaczego w ukryciu wyjadł całą czekoladę. Zresztą to, co mówił Mircea, nie różniło się niczym od tego, co myślała większość mężczyzn.

– Pewnie, nie marnuję pieniędzy ani czasu.

– Zawiózłbyś ją od razu na piazza del Popolo o dwudziestej trzeciej trzydziści – powiedziała powoli, jakby to była rzecz oczywista, wiedząc, że przekracza niebezpieczną granicę.

Lekkie wahanie, ukradkowe spojrzenie na Grega. Siedzenie zaskrzypiało.

Taka jest prawda. Ty byłeś tylko doręczycielem.

– Nie rozumiem – powiedział wreszcie Mircea.

– Dobrze, zmieńmy temat. Znasz klub nocny, który się nazywa Bella Blu?

Ulga, mniej napięcia na twarzy.

– Nigdy nie słyszałem – powiedział od razu.

– W takim razie opowiedz mi o Crystalu, Mircea. Ten lokal znasz, prawda?

– Pewnie – odpowiedział jeszcze bardziej rozluźniony – chodzimy tam czasem z Gregiem.

– Są tam niezłe cipy, takie jak ty – poczuł się w obowiązku uzupełnić Greg, puszczając do niej oko.

– Zabrałeś tam Ramonę – powiedziała Linda do Mircei.

Wyczuwała wyraźnie zagrożenie, wchodziła na niebezpieczny teren, ale musiała kontynuować. Starła się nie patrzeć w stronę drzwi. Dyskretnie przeniosła z torebki do kieszeni telefon z gotowym do wysłania esemesem.

– Może, nie pamiętam. – Teraz Mircea patrzył na nią ponurym wzrokiem, a Greg niemal stał nad nią.

– Miałeś ją przedstawić policjantowi, podkomisarzowi Colajaconowi, a on z kolei miał ją przedstawić komuś innemu – uzupełniła.

Greg był już na nogach. Widziała, że idzie, by zaciągnąć zasłonę witryny.

– Marius Hagi wie o tej historii w Crystalu i o Bella Blu? – zapytała, patrząc Mircei prosto w oczy.

Stracił panowanie nad sobą i brutalnie chwycił ją za ramię.

– A teraz mi go wyjmiesz i obciągniesz, suko.

Wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

– Nie spodobałoby ci się ani trochę.

Wyczytał w jej wzroku coś, co kazało mu rozluźnić uchwyt.

Zanim złapał ją znowu, miała już w ręku spray z torebki. Psiknęła mu gazem pieprzowym prosto w twarz. Kiedy się cofał, krzycząc z bólu, usłyszeli gwałtowne walenie do drzwi.

– Kto tak kurwa stuka? – zaklął Greg, odchylając zasłonę.

Natychmiast rozpoznał górę mięśni z pistoletem w ręku i odskoczył od drzwi. Pamiętał jeszcze to uderzenie w splot słoneczny, które posłało go na podłogę. Wyciągnął klucz, otworzył posłusznie drzwi i pozwolił, by Linda Nardi wyszła i dołączyła do Giulii Piccolo.

Kiedy wracali na piechotę z funduszu do biura, Corvu zadzwonił z komórki do Media City w Emiratach Arabskich, otrzymał numer Belhrouza i udało mu się z nim

skontaktować. Libańczyk mówił zaskakująco dobrze po włosku i powiedział, że nic nie stoi na przeszkodzie, by mogli się zobaczyć następnego dnia w Dubaju.

Po chwili telefon Corvu zadzwonił. Odebrał, ścisząc głos:

– Tak, pewnie, ale dziś nie dam rady cię zabrać do lunaparku, zobaczymy się później, *ciao*.

– Siostrzenica? – zapytał sarkastycznie Balistreri.

Corvu gwałtownie się zaczerwienił i nic nie odpowiedział.

Nagle Balistreri zatrzymał się przed sklepową witryną i schylił się, by zawiązać sznurowadło.

– Ty jesteś dobry w zapamiętywaniu twarzy, prawda, Corvu?

– To jedna z moich specjalności, jestem żywym archiwum nazwisk i twarzy.

– No to patrz.

Zdezorientowany Corvu popatrzył na wystawę sklepową pełną bardzo odważnej bielizny kobiecej.

– Nie rozumiem, *dottore*.

– Nie masz patrzeć przez szybę, ale na szybę – powiedział Balistreri, przechodząc do drugiego buta. – Chodnik po drugiej stronie ulicy, obok latarni.

Corvu zeszywniał.

– Ten z gazetą w ręku?

– Ten.

– Stał przed pizzerią, w której kupowaliśmy.

Balistreri potwierdził ruchem głowy i ruszył naprzód szybkim krokiem.

– Przed spotkaniem z Ornellą Coroną Krasnal też miał wrażenie, że ktoś go śledzi – zauważył Corvu.

A ja widziałem szare auto przed Bella Blu. I inne drobne rzeczy...

– Dobra, teraz wracaj do biura.

– A pan nie idzie?

– Dołączę później, muszę wytłumaczyć Pasqualemu, dlaczego wylatujemy. Ale najpierw muszę poznać pewną piękną panią.

Na dole. Na sto procent. Taka pozwoli ci robić wszystko, na co masz ochotę, a sama w tym czasie będzie piłować paznokcie. A kiedy już skończysz, zacznie nakładać lakier.

Wystarczył jeden rzut oka na Ornellę Coronę, by potwierdzić, że w tych sprawach Krasnal jest nieomylny.

Proste kruczoczarne włosy spięła w koński ogon, który sięgał jej aż do linii bioder. Patrzyła na niego znudzonym wzrokiem, nie okazując żadnego zaciekawienia. Z jej szczupłego nadgarstka mrugało do niego oko na tarczy zegarka.

– A więc to pan jest tym słynnym Michele Balistrerim, superpolicjantem, o którym tyle się mówi.

Powiedziała to bez ironii, z lekkim zakłopotaniem, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś wyglądającego zupełnie inaczej.

– Chce pani zobaczyć moje dokumenty?

– Nie, chodzi o to, że nie pasuje pan do obrazu chłodnego, analitycznego śledczego, wie pan, takiego z angielskich kryminalistów.

– Oczekiwała pani kogoś z fajką i bokobrodami?

A tymczasem staje przed nią gość wyglądający na mocno obitego pięściarza na emeryturze.

Ornella Corona uśmiechnęła się i Balistreri z łatwością wyobraził sobie, ilu mężczyzn musiała porazić tym uśmiechem. Który zresztą nie był prawdziwym uśmiechem, ale czymś w rodzaju komunikatu: „Jeśli chcesz, pozwolę ci uczestniczyć w grze ze mną, ale kiedy się znudzę, znikaj”.

Miała ruchy byłej modelki z wybiegu. Kiedy podawała mu coś do picia. Kiedy zagłębiała się wygodnie w wielką sofę, podciągając pod siebie długie nogi w legginsach. Pod obszerną płócienną bluzką nie miała stanika.

– Może pan zapalić, jeśli chce.

– Pani nie pali?

– Nie, tej przywary akurat nie posiadam. Ale mam dużą tolerancję dla przywar innych ludzi.

No dobrze. Zagrajmy. Tylko przez chwilę.

– Przerwałem pani manikiur.

Nawet nie spojrzała sobie na rękę.

– To taki zwyczaj – powiedziała. – Co dwa tygodnie zmieniam kolor, maluję tylko niektóre paznokcie. Wybieram zgodnie z tym, jaki mam humor.

Balistreri poczuł silny zapach lakieru. Paznokcie trzech palców lewej ręki: środkowego, wskazującego i kciuka, miała pomalowane na ciemny fiolet. Oparł się pokusie zgłębiania tematu.

– Jestem leworęczna – uznała za stosowne wyjaśnić.

– A więc to okres dużej aktywności.

– Tak, użyję tych trzech palców do czegoś kreatywnego. Do pędzla, by coś namalować, do pióra, by napisać wiersz...

Balistreri odwrócił wzrok. Pomyślał o tym, co mógłby kiedyś zrobić z kimś takim jak Ornella Corona i jej trzema palcami o fioletowych paznokciach. Przyszły mu na myśl różne hipotezy, lecz żadna go w tym momencie nie pociągała.

Grzeszę już tylko myślą i zaniedbaniem. Co za obrzydliwość...

Kontynuowała tym samym tonem:

– Pański człowiek, który przyszedł tu do mnie, ten niski...

– Inspektor Coppola.

– Właśnie. Zadał mi mnóstwo niewłaściwych pytań.

Cholerny maniak seksualny...

– Bardzo za niego przepraszam. Kiedy inspektor Coppola widzi piękną kobietę, czasem...

Zaczęła się śmiać.

– Źle się wyraziłam. Chodziło mi o niedorzeczne pytania, a dokładniej, nie mające związku ze sprawą.

Balistreri popatrzył jej prosto w oczy.

– Zadam pani jeszcze jedno, którego on nie zadał.

Poprawiła się na sofie i odwzajemniła spojrzenie.

– Niewłaściwe czy niedorzeczne?

– Mające wiele do rzeczy, proszę pani. Sytuacja nieco się zmieniła. Mamy powód sądzić, że Bella Blu nie było przypadkowym miejscem zabójstwa. Więc wszystko, co dotyczy Bella Blu, ma teraz związek ze sprawą.

– Ależ ja tam nie bywam już od bardzo dawna – zaprotestowała. Nagle spoważniała i zaniepokoiła się.

– To znaczy od czasu, kiedy sprzedała pani swoje udziały mecenasowi Ajellowi?

– Nie, przestałam tam bywać wcześniej, kiedy jeszcze żył mój mąż. Bella Blu to nudne miejsce.

Wstała. Elastycznym krokiem podeszła do barku i stojąc tyłem do Balistreriego, naląła sobie sok z grejpfruta. Legginsy idealnie opinały jej pośladki.

Odwróć się. Chcę widzieć twóją twarz, a nie tyłek, gdy będę ci zadawał pytanie.

Kiedy się odwróciła, była już przygotowana.

– O co więc chciał pan zapytać, *dottor* Balistreri?

Usiadła, tym razem nachylona w jego stronę. Teraz obszerna bluzka bez żadnych ograniczeń oferowała widok, który musiał dręczyć w snach Sandra Coronę i wielu innych mężczyzn.

– Znała pani Ajella przed śmiercią męża?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. Potem, po krótkiej przerwie, z szelmowskim błyskiem w oku dodała: – Fabia Ajella, syna adwokata.

Widząc jego chwilowe zagubienie, wyrozumiale przyszła mu z pomocą.

– Wie pan, często widywaliśmy się z Fabiem. Oboje uprawialiśmy spinning w Sport Center.

Balistreri pokiwał głową w zamyśleniu.

– Jak się domyślam, poznała pani Fabia przez jego ojca.

– Nie, na odwrót. To Fabio przedstawił mi mecenasa Ajella, kiedy przyszedł na obiad do Sport Center.

– A ile lat ma Fabio? – zapytał Balistreri i natychmiast pożałował pytania.

Teraz się ze mnie nabija. Ze starego świntucha, który nie wiadomo co sobie wyobraża. I cieszy ją myśl, że mnie do tego doprowadziła.

– Dziewiętnaście? Dwadzieścia? W każdym razie jest pełnoletni – dodała, patrząc na niego najbardziej niewinnym wzrokiem pod słońcem.

Pozostawała ostatnia możliwość.

– Od jak dawna uczęszcza pani do Sport Center?

– Od pięciu lat.

– Fabio Ajello także?

Chwila wahania. Skłamać czy nie? Postanowiła nie kłamać.

Klub ma swoje rejestry.

– Gra tam w piłkę ręczną, od dziecka, jak mi się wydaje.

– A jak się poznaliście? On był dzieciakiem, pani młodą kobietą.

– Znałam jego matkę i przez nią poznałam Fabia. Potem Fabio dorósł i dawał mi lekcje pływania. A pewnego dnia przedstawił mi ojca.

– Który kilka lat później wykupił udziały pani męża.

Zamilkła. Taka była jej taktyka. Zamiast kłamstw wymijające odpowiedzi. Przy nierównym układzie sił tylko nieliczni uprzywilejowani mogą sobie na to pozwolić. Balistreri wyobraził sobie świętej pamięci Sandra Coronę pochwyconego w kleszcze przez tę kobietę i zrobiło mu się go żal.

– Ajello jest od zawsze w tym biznesie. Czy to nie on skontaktował pani męża ze spółką ENT?

Natychmiast skłął się w duchu. Swoją najlepszą kartę, jedyne asa w talii, rzucił na stół z takim wyprzedzeniem. I to tylko z powodu męskiej solidarności ze zmarłym, którego nie znał.

Moralnie zniszczonym przez tę sukę. A kto wie, czy i nie fizycznie.

Ornella Corona już się nie uśmiechała. Rozważała, jakie ma możliwości. Jedna była oczywista. Mogła powiedzieć: to nie pańska sprawa, *dottor* Balistreri, co to ma wspólnego z zabitym Papą Camarà?

Oczywiście była zbyt sprytna, by popełnić taki błąd. Wybrała swoją zwykłą strategię, wymijająco odpowiadając:

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Nie potwierdziła, że znała Ajella przed 2002 rokiem. Nie potwierdziła, że przedstawiła mu swojego męża. Nie potwierdziła, że to Ajello przedstawił Sandra Coronę ludziom z ENT. Tym bardziej nie potwierdziła, że to on właśnie zasugerował mu ubezpieczenie na życie, za które kupiła sobie to piękne mieszkanie.

Odpowiedź nie zaprzeczała ani nie potwierdzała. Mógł teraz zadawać bardziej szczegółowe pytania, zgłębiać, drążyć, zapędzać ją do narożnika. Wiedziała to doskonale, bezwstydnie eksponując swój wspaniały biust. A on patrzył na nią, przypominając sobie Lindę Nardi i pionową zmarszczkę, która pojawiała się na jej

czole za każdym razem, kiedy jego wzrok ześlizgiwał się z jej twarzy w tym samym kierunku.

Ornella wstała, chwiejąc się lekko.

– Trochę kręci mi się w głowie, *dottore*. Położę się w pokoju, tam możemy kontynuować.

Poszedł za nią, mając już w głowie niejakie pojęcie o tym, co zastanie. Wielkie okrągłe łóżko, ogromne lustro naprzeciwko. Kiedyś skułby ją kajdankami przed tym lustrem, ściągnął jej legginsy do kolan i wychłostał ją pasem do krwi. Bo właśnie tego chciała.

Zatrzymał się w progu.

– Zostawię panią, proszę odpocząć, sam trafię do drzwi.

Ornella Corona była tylko odgałęzieniem drogi, która zaczynała się bardzo daleko stąd. A kiedy znalazł się znów na ulicy i zobaczył plakaty z twarzą wiceburmistrza Augusta De Rossiego głoszące: „Tylko integracja powstrzyma przemoc”, miał już absolutną pewność. Mężczyzna z gazetą, oparty o sygnalizator na przejściu dla pieszych, obserwował go, spokojnie paląc papierosa.

– Wszyscy przesłuchują pasterza, jest także prokurator i adwokat – oznajmiła mu Margherita.

Była trochę zakłopotana, ale wesoła, co rozculiło Balistreriego. Na jej biurku stał kwiatek w szklance z wodą.

– Dobrze. A Mastroianni załatwił sprawy z Ramoną?

– Porozumiał się z rumuńską policją i z samą Iordanescu, dziewczyna przyleci do Rzymu pojutrze późnym wieczorem.

– Wieści od Krasnala?

– Inspektor Coppola wyszedł z innymi na przesłuchanie. Nie udało mu się dotąd skontaktować z amerykańskim turystą.

– A był u Carmen, narzeczonej Papy Camarà?

– Tak – odpowiedziała – wysłał panu mail z informacją.

– Przecież masz dostęp do mojej poczty. Co pisze?

Margherita zrobiła się czerwona jak burak.

– Wolałabym, żeby pan sam przeczytał.

Kiedy został sam, zapalił papierosa i otworzył mail od Krasnala. *Temat: zakażenie dróg moczowych u Camarà. Po wielu naciskach otrzymałem od lekarza, do którego się udali, kopię karty choroby. Objawy: swędzenie, świąd, obrzmienie, nagłe częste mikcje. Diagnoza: ostre zapalenie gruczołu krokowego. Leczenie: antybiotyki ogólnoustrojowo i miejscowo. PS. Mój znajomy androlog mówi, że to się często zdarza u ludzi, którzy praktykują seks analny bez prezerwatywy. Niska dbałość*

kolorowych o higienę uprawdopodobnia infekcję.

Oczywiście ostatnia sugestia pochodziła od rasistowskiego policjanta, nie od androloga. Ale rysował mu się jakiś obraz w głowie.

Infekcja prostaty u Camarà i mała kradzież Nadii skomplikowały mordercy cały plan.

Ściągnął Corvu i Piccolo z przesłuchania Vasilego.

– Niech na razie Coppola i Mastroianni zostaną z prokuratorem, potem wrócimy tam razem.

Kiedy przyszli, przeczytał im mail Coppoli na temat Carmen i Camarà.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą, *dottore*. Mamy już zapalniczkę, która łączy Nadię z Bella Blu – powiedział skonsternowany Corvu.

– Właśnie. Ale zapalniczka nie łączy Nadii z Papą Camarà. W takim razie dlaczego zginął?

Gdy chodziło o sprawy wymagające intuicji, Piccolo była szybsza.

– Bo tamtego wieczoru widział Nadię...

– Nie, nie wierzę – zaproponował Corvu. – Nadia musiała wejść do sali prywatnej bezpośrednio z zaułka, tylnymi drzwiami.

– Otóż to – potwierdził Balistreri. – Camarà musiał zobaczyć Nadię, kiedy któryś raz z kolei szedł do toalety akurat wtedy, gdy ona wchodziła do środka tylnymi drzwiami. Wszystkie te drzwi są w tym samym korytarzu. Na nieszczęście dla niego, Nadia nie była sama. I ten ktoś go zobaczył. A wtedy jego los został przypieczętowany.

– Ale dlaczego? To się nie klei – zaprotestował Corvu. – Nie popełnia się morderstwa z takiego powodu.

Znowu szybsza była Giulia Piccolo. Syknęła z wściekłością:

– Chyba że ten skurwysyn już wtedy wiedział, że następnego dnia zabije Nadię. I dlatego chcieli odzyskać zapalniczkę.

Spokojnie, dziewczyno, spokojnie. Przez uprzedzenia i gorącą głowę można popełnić wiele błędów.

Pozostawała jeszcze jedna rzecz do natychmiastowego wyjaśnienia. Najbardziej niebezpieczne powiązanie. Wszyscy troje weszli do pokoju przesłuchań. Powitawszy prokuratora i obrońcę z urzędu, Balistreri zauważył, że Vasile ma zagipsowany nadgarstek w miejscu, które ścisnął mu Colajacono. Poprosił prokuratora o możliwość zadania pytania i zwrócił się bezpośrednio do Roma:

– Kiedy oddali ci samochód, czy coś się w nim zmieniło oprócz stłuczonego reflektora? – zapytał.

– Nie, nic... – burknął pasterz.

– Był jakiś nowy zapach w samochodzie? – Dostrzegł zdumienie Corvu, zobaczył, że chłopak blednie. Potem usłyszał, jak pasterz cicho mówi:

– Zapach papierosów, tak, znacznie bardziej niż zwykle, bardzo silny. Ja palę tylko

wtedy, kiedy ktoś mnie częstuje.

– Ale żadnych niedopałków, prawda?

Bo z dymu nie da się zbadać DNA, a z niedopałków jak najbardziej.

Usłyszał, jak Corvu klnie pod nosem po sardyńsku.

Zwrócił się do prokuratora i adwokata:

– Proszę kontynuować, przepraszamy za najście.

Zastępcy podążyli za nim z powrotem do gabinetu.

– *Dottore*, przepraszam, to moja wina. – Corvu prawie szeptał. – Strasznie mi przykro, nie wiem, jak to się mogło stać.

Balistreri wiedział doskonale.

Przyczyna miała na imię Natalia.

Przykro mu było z powodu zakłopotania Corvu, ale nie mógł oszczędzić mu najgorszego.

– Jeden z trzech Romów powiedział, że kiedy gwałcili Samanthę Rossi, Niewidzialny Człowiek cały czas palił.

Corvu i Piccolo popatrzyli na niego zdumieni.

– Niemożliwe! – wykrzyknęli jednocześnie.

Trzy teczki leżały już na biurku: Samanthy Rossi, Nadii NN. i Mariusa Hagiego.

Jesteśmy zaledwie na początku rozgrywki. To są jedynie pierwsze trzy odkryte karty. Decydujące karty trzeba dopiero odkryć.

Wieczorem

Postanowił go nie drażnić ani nie niepokoić, inaczej Pasquali zaczęłyby robić problemy z wylotem do Dubaju. Więc ani słowa nie pisał o tym, że go śledzą, i ani słowa o związku między sprawą Samanthy i Nadii. By usprawiedliwić podróż służbową, wystarczyła zapalniczka z Bella Blu.

Antonella przyjęła go filiżanką bezkofeinowej kawy i spojrzała na niego z troską, jak siostra na niepoprawnego brata.

– Jesteś zmęczony, Michele, odpocznij trochę, jeśli możesz.

Zaprowadziła go do mniej luksusowej sali spotkań. A więc kwestora nie będzie. Pasquali pojawił się po minucie, jeszcze bardziej nienaganny niż zwykle. Miał świeżo przycięte włosy i nowy, szyty na miarę garnitur. Z lekką dezaprobatą rzucił okiem na rękaw marynarki Balistreriego. Gdyby wiedział, że naderwanie jest wynikiem włamywania się do piwnic w bloku podczas śledztwa, nie skończyłoby się na lekkiej dezaprobatie.

– Wiem, że lecisz razem z Corvu do Dubaju – powiedział bez wstępów. Oczywiście wszystkie prośby tego rodzaju przechodziły przez jego biurko, choć Balistreri miał

własny budżet.

Balistreri opowiedział mu o relacji między Nadią, Bella Blu i ENT, a także o rezultacie wizyty w funduszu powierniczym. Trzeba było to przyznać Pasqualemu: miał doskonałą umiejętność słuchania. Zadał tylko kilka trafnych pytań.

– Co ma wspólnego ENT z Nadią i z Camarà? – zapytał na koniec.

Teraz jesteś zaniepokojony. Martwią cię litery R i E czy spółka ENT? A może obie te rzeczy?

– Camarà został tam zabity, na razie więcej nie wiemy. Ale Nadia była w sali prywatnej klubu, zanim ją porwano. Nie możemy wykluczyć, że sprawcą był jeden ze współników ENT. Jeśli nie pójdziemy w tym kierunku, zaniedbamy istotny wątek śledztwa.

– Nie trzeba zawołanych gróźb. Nie ma tańszego sposobu na poznanie nazwisk współników?

– Wydaje się, że nie. Corona nie żyje, Ajello mówi, że nigdy ich nie poznał i że jego jedynym kontaktem jest Trevi, który porozumiewa się wyłącznie z libańskim adwokatem o nazwisku Belhrouz. Pani Corona raz rozmawiała przez telefon z którymś z włoskich współników, ale nie wie, kim oni są.

Pasquali popatrzył na niego.

– Czy według ciebie jest jakiś istotny związek między sprawą Nadii a sprawą Papy Camarà?

Nic nie poradzisz, jest zbyt inteligentny.

Balistreri wiedział, jak śliski jest ten grunt, ale musiał odpowiedzieć. Pasquali wyłapałby od razu ewentualne kłamstwa.

– Niewykluczone, że Camarà niechcący widział kogoś, kto miał w planach zabójstwo Nadii.

Pasquali ważył odpowiedź wraz z trzymanymi w ręku okularami.

– I ten ktoś po paru godzinach ubiera się jak motocyklista, udaje kłótnię i zabija go.

– Nie, tak nie musiało być – powiedział Balistreri.

– Nie nadążam.

– Przyjmijmy, że ten gość, morderca, już wcześniej planował zabić Nadię wiedziony jakimś sadystycznym przymusem na tle seksualnym. Ale w tym momencie nie zabił jeszcze nikogo. Wydaje ci się to logiczne? Zaimprovizować coś tak złożonego po to, żeby uchronić się od konsekwencji zbrodni, która jeszcze nie została popełniona? I to jakiej zbrodni? Zabójstwa rumuńskiej prostytutki. Mógł przecież w tym momencie sobie odpuścić i za trzy dni zamordować jakąś inną. Chyba że...

Jesteś durniem, Balistreri, Pasqualemu udało się wyciągnąć z ciebie najgłębiej skrywane myśli. A teraz widzisz w jego oczach coś, czego nie rozumiesz.

Natychmiast zaczął się wycofywać.

– Naturalnie istnieją inne możliwe wyjaśnienia. Gość chciał zabić właśnie Nadię

i tylko ją. Może to rozczarowany kochanek. Wiesz, obsesja.

Pasquali uważnie patrzył na niego zza okularów.

Okej, obaj wiemy, że to bzdury. Proszę cię o zawieszenie broni, daj mi je i pozwól mi posprawdzać co trzeba w Dubaju. Udaj, że mi wierzysz, i zostawmy na chwilę sprawę Samantha Rossi.

Pasquali rzucił okiem na swój drogi zegarek marki Piaget. Co oznaczało, że rozejm został zawarty.

– Jeszcze jedno – powiedział, zatrzymując Balistreriego w drodze do wyjścia. – Linda Nardi.

Ale on już jako dziecko nauczył się na własnej skórze wyczuwać prawdziwe niebezpieczeństwo, dlatego milczał.

Pasquali nawet na niego nie spojrział, patrzył w ekran swojego komputera.

– Bardzo inteligentna kobieta. I bardzo niebezpieczna dla nas, dla ciebie. Uważaj bardzo, Balistreri, trzymaj się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe.

Angelo zaproponował, że zawiezie go na lotnisko. Był jednocześnie wesoły i zamyślony.

– Michele, ale nie masz żalu o Margheritę?

– Coś ty, Angelo. Przeleciałem ją już we wszystkich możliwych pozycjach.

Zobaczył, że jego przyjaciel zbladł i zacisnął ręce na kierownicy. Potem obaj wybuchnęli śmiechem.

– Gnojek. Naprawdę gnojek z ciebie, Michele. Margherita nigdy by ci nie dała.

– Gdybym chciał, dawno już by mi dała. Ale mnie przestały interesować niedoświadczone dziewczynki.

– Za to Linda Nardi...

Balistreri spojrział na niego zaskoczony.

– Skąd ty kurwa wiesz...

– Wygadał się Graziano, nie złość się.

– Wyślę go z powrotem między kozy w sardyńskich górach. Zakochał się i skretyniał. Typowe.

– Bardzo jesteś dla niego ważny. Jak ojciec. I chciałby, żebyś był szczęśliwy, jak my wszyscy. No i mówi, że Linda Nardi byłaby doskonałą...

Balistreri przerwał mu groźnym gestem.

– Przynajmniej ty odpuść sobie te pierdoły. Nardi jest wyniosłą, sztywną suką, lesbą albo oziębłą rurą, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nawet palcem bym jej nie tknął...

Z jakiegoś dziwnego powodu Dioguardi wybuchnął śmiechem.

– I z czego się kurwa śmiejesz, Angelo? Jesteś beznadziejny.

– Z niczego. Tylko od kiedy cię znam, nigdy nie słyszałem, byś tak źle mówił

o jakiegokolwiek ładnej dziewczynie.

Wtorek, 3 stycznia 2006

Przed południem

W czasie nocnego lotu Balistreri nie zmrużył oka, fotele były zbyt małe i niewygodne. Za bilety w klasie biznes zwracano tylko politykom i menedżerom, a nie komuś, kto łapie morderców. Siedzący obok niego Corvu wykorzystał mały ekran przytwierdzony do fotelowego oparcia i bez końca ćwiczył pokerowe rozgrywki.

Zasnął wycieńczony dopiero w ostatniej godzinie lotu, gdy znajdowali się już nad Półwyspem Arabskim, słuchając muzyki przez słuchawki.

Odaliska miała częściowo zasłoniętą twarz, ale jej ciało zakrywała jedynie prześwitująca tkanina. Kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na piersiach, na jej czole pojawiła się pionowa bruzda. Mamrotał słowa przeprosin, lecz nie potrafił odwrócić wzroku i z przerażeniem uświadomił sobie, że jego ręce, odłączone od mózgu i niesłuchające poleceń, rozgarniają fałdy materiału, stopniowo odkrywając jej nagość. Pozwalała mu na to, nieruchoma i milcząca. Jej oczy wpatrywały się w niego z otworu w zasłonie. To twój wybór, mówiły.

Obudził się w strugach potu, gdy koła samolotu dotknęły lądowiska. Corvu był już gotowy: mapka Dubaju, adres Media City, numer telefonu Nabila Belhrouza, paszport, karta pokładowa, okulary przeciwsłoneczne, bejsbolówka, koszulka polo z logo Lacoste, lekkie bawełniane spodnie.

Balistreri spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Corvu, brakuje ci tylko siatki na motyle.

– *Dottore*, lepiej, żeby pan zdjął tę wełnianą marynarkę, dopiero ósma rano, a jest już dwadzieścia pięć stopni.

Lotnisko było niezwykle nowoczesną strukturą pełną gwarnych sklepów. Uprzejmi funkcjonariusze w białych galabijjach pomogli im błyskawicznie przejść przez odprawę celną.

Wielkie afisze reklamowały nowe centrum mieszkaniowe wybudowane na środku morza, na sztucznej wyspie o kształcie palmy. Przy wyjściu z terminalu czekało na nich bezchmurne niebo i późnowiosenna temperatura oraz głośny tłumek kierowców z planszami w ręku, oczekujących na biznesmenów. Zobaczyli też planszę z napisem *Mr. Balistreri – Mr. Corvu*. Spojrzeli po sobie z lekkim zdziwieniem.

– To wygląda na część pakietu przelot–hotel, ale nasz dział delegacji nic o tym nie mówił – powiedział Corvu.

Młody kierowca w ciemnoniebieskim uniformie był Pakistańczykiem i nieustannie

zwracał się do nich *sir*. Przez gąszcz SUV-ów i innych samochodów o dużej pojemności silnika przeprowadził ich do limuzyny. W środku klimatyzacja, barek i telewizor.

Corvu już zamierzał podać kierowcy adres, ale ten go uprzedził:

– *Media City, sir?*

Balistreri natychmiast poprosił o podniesienie temperatury: we wnętrzu było lodowato. Nawet o tej porze ruch uliczny był gęsty. Kierowca wyjaśnił, że Dubaj przeżywa eksplozję demograficzną i nieprędko dojadą do centrum. Limuzyna przesuwała się powoli po nowiusieńkich drogach wśród innych porsche, ferrari i lamborghini. Liczba dźwigów i drapaczy chmur była wprost niewyobrażalna. Przejechali nad łączącym dwie części miasta mostem nad Zatoką Dubajską i zbliżali się do najmłodszych dzielnic.

Błyszczące drapacze chmur o odważnych kształtach, szkło i marmur. Corvu z entuzjazmem i przejęciem wcielił się w rolę przewodnika.

– Ropę ma pobliski emirat Abu Zabi. Ale Dubaj to wisienka na torcie: drapacze chmur, Wieża Arabów i inne siedmiogwiazdkowe hotele, centra zakupowe jak z science fiction, doskonale naśnieżony ośrodek narciarski zaraz obok plaży. I alkohol, lokale, dziewczyny...

Pojechali szeroką Sheikh Zayed Road, prowadzącą do nowych aglomeracji i hoteli usytuowanych wzdłuż plaży Dżumajra. O dziesiątej byli w Media City i zrobiło się już zdecydowanie gorąco. Balistreri uparł się przy marynarce i krawacie i teraz obficie się pocił, tęskniąc za zimmem i deszczem Rzymu.

Kierowca zawiózł ich pod samo wejście do budynku, w którym znajdowały się biura ENT Middle East. Były to tylko dwa eleganckie pokoje z salą konferencyjną na trzecim piętrze. Przyjęła ich filipińska sekretarka i zaprowadziła do sali konferencyjnej. Przeszklona ściana oferowała widok na zielonkawe morze porane białymi śladami motorówek i katamaranów.

Mecenas Nabil Belhrouz był przystojnym, opalonym młodym mężczyzną o kruczoczarnych włosach, mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat.

– Mówię trochę po włosku, jeśli wolicie.

Balistreri przyjął propozycję zadowolony, że nie będzie musiał służyć Corvu za tłumacza.

– Zapewne dziwi was mój wiek – powiedział Belhrouz, podając im po kubku kawy po amerykańsku – ale tu, w Dubaju, wszystko tak wygląda, to świat olbrzymich możliwości, który daje przestrzeń dla młodych.

Na Balistrerim zrobił dobre wrażenie. Aktywny młody człowiek, który ciężko pracuje w skomplikowanym świecie. Za to Corvu poczuł się odrobinę jak wezwany do rywalizacji i zachowywał rezerwę.

– Mecenasie, wie pan, że jesteśmy tu, ponieważ jeden z lokali należących do ENT

w Rzymie, Bella Blu, stał się przed świętami miejscem zbrodni – zaczął Corvu.

– Tak, czytałem wasz mail i przekażę wszystkie informacje, które posiadam, choć nie do końca zrozumiałem, jaki to ma związek z zabójstwem.

Corvu postanowił zignorować zawarte w tym zdaniu pytanie.

– Wiemy, że dziewięćdziesięcioma procentami udziałów ENT zarządza fundusz powierniczy, który otrzymał upoważnienie od ENT Middle East. Musimy dotrzeć do udziałowców ENT Middle East.

– Oczywiście – zgodził się Belhrouz. – Naturalnie, będąc Włochami, zdają sobie panowie sprawę z pewnych kwestii. Anonimowość jest tu niezwykle ściśle chroniona.

Balistreri i Corvu wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Chcę powiedzieć – wyjaśnił Belhrouz – że jeśli chcą panowie dotrzeć do imion i nazwisk osób fizycznych mieszkających w Europie, nigdy nie znajdą ich tutaj, w Dubaju. I taki jest też przypadek ENT Middle East.

Podał im kartkę papieru. Był to rodzaj uproszczonej księgi udziałowców, poświadczony przez Free Zone Media City dla izby handlowej w Dubaju. Figurował w niej tylko jeden akcjonariusz ENT Middle East: ENT Seychelles z siedzibą na Seszelach.

Corvu z konsternacją popatrzył na Balistreriego.

– Powinienem być się tego domyślić – szepnął.

– A więc cała nasza podróż była na nic – skomentował Balistreri po arabsku.

Zaskoczony wyborem języka Belhrouz zastanowił się chwilę, a potem odpowiedział po włosku:

– Nie do końca, *dottore*. Wasze śledztwo jest trudne i ten świat też jest trudny, niemal całkiem nieprzenikniony. Z różnych względów, niemal zawsze mających związek z podatkami, ale czasami z jeszcze mniej legalną działalnością. Niemniej jednak chciałbym wam pomóc...

Gość był sympatyczny, bez wątpienia dobrze opłacany za bycie figurantem i niewykłany w machlojki, które odbywały się pod spodem. Ale widać też było, że jest niespokojny. Nie był obywatelem Emiratów, a śledztwo w sprawie morderstwa to nie żarty. W Dubaju mieściła się włoska ambasada i nawet najgrzeczniejszy protest z powodu niepełnej współpracy mógłby oznaczać dla niego całą serię kłopotów. Szejkowie chcieli mieć kraj cywilizowany, uporządkowany i czysty. Młody libański adwokat zostałby deportowany nawet bez żadnej rzeczywistej winy.

– Nie ma tu nocnych lotów do Rzymu, więc domyślam się, że wylatujecie jutro rano. W jakim hotelu się zatrzymaliście?

– Hilton Jumeirah.

– Świetnie. Macie wolny cały dzień. Cieszcie się słońcem, ja wpadnę po was o siódmej. Zapraszam na kolację. Porozmawiamy mniej formalnie.

Było oczywiste, że nie chce rozmawiać w swoim biurze. Nie pozostawało nic

innego, jak przyjąć zaproszenie. Przed wyjściem Balistreri powiedział:

- I dziękuję za podesłanie nam kierowcy na lotnisko.
- Belhrouz popatrzył na niego zupełnie zaskoczony.
- Nikogo nie posyłałem, nie prosiliście o to.
- Balistreriemu przemknęła przez głowę bardzo nieprzyjemna myśl.
- W takim razie załatwił to nasz dział delegacji. Do zobaczenia wieczorem.

Po południu

Umówiły się na spotkanie dzień wcześniej, po krótkich wyjaśnieniach przed wejściem do Mariustravel.

– Poradziłabym sobie starym dobrym gazem pieprzowym – powiedziała Linda – ale dziękuję za pomoc. Jak sądzę, będzie pani musiała powiedzieć o tym Balistreriemu.

Piccolo się uśmiechnęła.

– Śledziłam panią, od kiedy dowiedziałam się o pani wizycie w restauracji. Ale to był mój pomysł, Balistreri nie dałby na to zgody. Lepiej, jeśli zachowamy to dla siebie.

I umówiły się na następny dzień w tym barze, gdzie teraz siedziały, popijając herbatę niczym dwie starsze panie.

– Giulio, mam dla ciebie propozycję.

Piccolo popatrzyła na nią. Linda Nardi była piękna, inteligentna, wrażliwa. Ale było też oczywiste, że ani trochę nie jest Giulią zainteresowana seksualnie.

W milczeniu wysłuchiwała propozycji i gorąca krew szybciej zaczęła krążyć jej w żyłach, poczuła drżenie podniecenia.

Starsza siostra. Mądrzejsza ode mnie, ale gotowa na wszystko, tak samo jak ja.

– Nie boisz się? – zapytała tylko po to, by usłyszeć to, co usłyszeć chciała.

I Linda to powiedziała, patrząc na nią pogodnie:

– Jedyne, czego się boję, to że ta sprawa będzie się dalej ciągnąć.

Przewidujący Corvu zapakował do bagażu kąpielówki dla siebie i dla Balistreriego. Spędzili dzień na hotelowej plaży, aż do piątej po południu. Corvu co chwila dzwonił do Natalii i opowiadał jej, co widzi. Robił zdjęcia telefonem i wysyłał dziewczynie. Wypróbował, jak się uprawia parasailing. Ponad godzinę nurkował. Balistreri odmówił udziału w tym wszystkim i zasnął na plaży.

Śnił niespokojnie o Lindzie Nardi, która mówiła do niego w niezrozumiałym języku.

Wieczorem

Gdy Belhrouz przyjechał po nich swoim audi A8, było już ciemno, ale wiała lekka bryza i temperatura była przyjemna.

Restauracja położona była na rotundzie zbudowanej pośrodku morza. Usiedli na tarasie, nad wodą odbijającą światła wieżowców. Średni wiek gości oscylował w okolicach trzydziestki. Na widok kobiet zatykało dech w piersiach. Podobnie jak na widok cen w menu. Balistreri zamówił krewetki. Były doskonałe.

Podczas kolacji młody adwokat opowiedział o swojej pochodzącej z Palestyny rodzinie, o dziadkach przymusowo wydalonych przez Izraelczyków i o rodzicach, którzy cudem uciekli przed chrześcijańską milicją podczas masakry w obozie dla uchodźców Szatila w 1982 roku. Opowiadając, popijał białe wino i śledził wzrokiem wszechobecne wspaniałe dziewczyny.

Pod koniec kolacji, przy szklance whisky z lodem i cygarze, Belhrouz powiedział:

– Dubaj to jedna wielka gra hazardowa, a stołem są światowe tendencje gospodarcze. Widzicie, tu wszystko jest takie jak w waszych ewangelich: dzień po dniu mnożą się chleby i ryby. Nieruchomości, finanse, turystyka, wszystko.

– Dlatego nikt nie pyta, skąd płyną pieniądze – zauważył Corvu.

– Otóż to. Przyjeżdżają tu Rosjanie, Chińczycy, Irakijczycy, Irańczycy, Saudyjczycy, wszyscy z walizkami pełnymi gotówki, żeby kupić drapacz chmur. Nikt nie pyta, skąd pochodzą pieniądze. Z działalności gospodarczej czy z przemytu broni? Z hipermarketów czy z handlu organami ludzkimi? Nie ma znaczenia, pieniądź to pieniądź.

– Ale jeśli ekonomia przyhamuje i pralnie pieniędzy zostaną poddane naciskom ze strony państw, które pragną opodatkować wszystko... – powiedział Corvu.

Belhrouz wskazał na wspaniałą sylwetkę najpiękniejszego hotelu świata.

– Tamte apartamenty po cztery tysiące dolarów za noc są już wszystkie zarezerwowane na dwa lata do przodu. Ale mogłyby opróżnić się w ciągu dwóch dni. A ja znalazłbym się z powrotem we wschodnim Bejrucie – zakończył ze smutnym uśmiechem.

Balistreri uznał, że to właściwy moment, by wrócić do przerwanej rano rozmowy.

– A my? Co byśmy znaleźli na Seszelach?

Belhrouz się uśmiechnął.

– Inne piękne plaże. I jeszcze jednego figuranta. I tak w kółko.

– A na końcu?

Adwokat spoglądał pożądliwie na tyłek rosyjskiej kelnerki, wychylając do dna czwartą whisky.

– Na końcu, *dottor* Balistreri, znaleźlibyście się w punkcie wyjścia, w Italii. Prawda jest tam.

– Ale jak nam się uda...

– Proszę mnie posłuchać. – Belhrouz ściszył głos. – Wydaje mi się pan poważnym

człowiekiem. Chcę tylko, żeby dał mi pan słowo w dwóch sprawach.

– Słucham.

– Moje nazwisko nie może się nigdzie pojawić.

– Zgoda. A druga sprawa?

– Moja siostra studiuje w Italii, na uniwersytecie w L'Aquila. Pewnego razu, kiedy u niej gościłem, przez pomyłkę chwyciła moją komórkę i odebrała telefon od kogoś z udziałowców ENT. Być może będę potrzebował przysługi.

– Ma pan moje słowo.

Belhrouz opróżnił piątą szklaneczkę whisky i zapłacił rachunek. Był wyraźnie wstawiony. Podał im wizytówkę.

– Nie chcę rozmawiać tutaj i muszę wpaść do biura po jeden dokument dla was. Zobaczymy się u mnie w domu za godzinę, dajcie taksówkarzowi moją wizytówkę, tam jest adres.

Poszli razem do wyjścia. Podstawiono mu audi i Belhrouz, nieco się chwiejąc, pożegnał ich chropawym głosem upitego na wesoło człowieka.

– Do zobaczenia, włoscy przyjaciele.

Balistreri śledził wzrokiem samochód, który odjeżdżał w stronę Sheikh Zayed Road. Zaraz po wyjeździe z parkingu ruszył za nim ogromny SUV.

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do hotelu. Kazał się połączyć z recepcją.

– Chciałbym wiedzieć, czy w rezerwację naszego biura delegacji był włączony transport z lotniska do miasta i z powrotem.

Słyszał, jak Filipińczyk wystukuje dane w komputerze.

– *No sir, this service not included.*

Rozłączył się i pobiegł w stronę postoju taksówek. Zaskoczony Corvu podążył za nim.

– Co się dzieje, *dottore*?

– Ruszaj się i tyle.

Balistreri od razu dał pakistańskiemu kierowcy pięćdziesiąt dolarów i pokazał mu oddalającego się SUV-a i audi A8.

O tej godzinie ruch uliczny się przerzedził i sygnał akustyczny przekroczonej prędkości zainstalowany w taksówce dzwonił jak obłąkany. Pakistańczyk spojrzał na niego w lusterku wstecznym.

– *We go to prison, sir.*

Balistreri pokazał mu studolarowy banknot i kierowca przyspieszył. Zobaczył tylne światła SUV-a i audi wjeżdżające na ślimak przed estakadą.

– Masz zapisaną komórkę Belhrouza? – zapytał Balistreri swojego zastępcę.

– Tak.

– Zadzwon do niego i daj mi telefon.

Belhrouz odebrał po drugim dzwonku. Miał niewyraźny przepity głos.

- O, włoski przyjaciel – powiedział wesoło.
- Masz za plecami SUV-a, zwolnij i postaraj się zatrzymać.
- Ale co pan mówi?... – roześmiał się Belhrouz.

Balistreri zobaczył, jak SUV przyspiesza i zrównuje się z audi.

Wyraźnie usłyszał zaskoczony głos Belhrouza: „*What the fuck?*” i metaliczny dźwięk zderzenia dwóch samochodów. Staranowane audi odbiło w prawą stronę, uderzyło w barierkę, przewróciło się i przekoziółkowało na drugą stronę jezdni, gdzie uderzyło w drugą barierkę i przebiło ją. Potem spadło dwadzieścia metrów w dół.

Zastrzeżona komórka zadzwoniła trzy i pół minuty po tym, jak audi Belhrouza rozbiło się na Sheikh Zayed Road i stanęło w płomieniach. Pasquali właśnie wrócił do domu i witał się z żoną. Kiedy dzwonił ten telefon, wiedział, że musi oddalić się nawet od niej. Tylko jeden człowiek miał ten numer. Osoba, którą Pasquali szanował, przed którą czuł lęk i której postanowił zawierzyć.

Panie, zrobiłem to dla dobra kraju, może dla władzy, ale nie dla pieniędzy.

Poszedł do swojego gabinetu i odebrał, nie mówiąc ani słowa.

Dobrze znał ten głos.

– Konieczna była poważna interwencja.

Pasquali głęboko westchnął i nic nie odpowiedział. Tego nie było w planach. Ale protestowanie było tyleż niebezpieczne, co bezprzedmiotowe.

– Nie chcemy problemów po powrocie pańskiego człowieka. Proszę to załatwić – zakończył głos.

Połączenie zostało przerwane. Pasquali nie powiedział ani słowa. Przed wyjściem z gabinetu rzucił ukradkowo okiem na krucyfiks. Spuścił głowę.

Zgodnie z przewidywaniami Colajacono wyszedł z komisariatu o dziewiątej. Sam. Wiadomość, że Giorgi i Adrian o nim wspomnieli, wyszła od Piccolo w taki sposób, że nie dało się jej namierzyć jako źródła informacji. Zobaczyły, jak bez problemów wchodzi na teren Casilina 900, był w mundurze i wszyscy dobrze go znali.

Po chwili ruszyły za nim. Ubrały się jak Cyganki i nikt ich nie zaczepiał. Obóz oświetlały słabe ogniki lamp naftowych wewnątrz baraków, z powodu zimna niewielu dorosłych kręciło się na zewnątrz. Czuć było silny smród odpadków i ekskrementów.

Weszły, śledząc go z bezpiecznej odległości.

– Idź za nim, będę się trzymać z tyłu – powiedziała Piccolo. – Jeśli Colajacono mnie zobaczy, mamy pozamiatane.

Linda ruszyła dalej, starając się nie stracić z oczu Colajacona i nie zgubić się w labiryncie baraków i stosów z odpadkami.

Wiele lat temu poznałam co to strach. I od tamtej pory wymazałam to uczucie.

Colajacono wszedł do jednej z przyczep kempingowych.

– To przyczepa Adriana i Giorgiego – poinformowała ją z tyłu Piccolo.

Linda podeszła pod półotwarte okienko.

– Rozerwę wam dupska gołymi rękami! – usłyszała pełen wściekłości głos Colajacona.

Przykucnęła. Musiała być cierpliwa. Spokojnie przygotowała małą kamerę na podczerwień.

Usłyszała wyraźnie odgłos pierwszego uderzenia, potem drugiego. Obaj Rumuni słabo protestowali.

– Teraz mówcie prawdę albo tak wam skopię jaja, że zostanie papka.

To był właściwy moment, nabrała powietrza, wstała i odwróciła się gotowa do nagrywania. Ujęcie było doskonałe: dwaj młodzi ludzie na podłodze i umundurowany policjant mierzący do nich z broni. Kręciła przez chwilę, potem Colajacono ją zobaczył. Zanim zdążył wybiec na zewnątrz, rzuciła kamerę ukrytej za sąsiednim barakiem Piccolo.

Colajacono wyszedł, przeklinając, wciąż z pistoletem w ręku.

– Zabiję cię, ty suko.

Spoliczkował Lindę tak mocno, że upadła.

Jak bardzo są przewidywalni ludzie lubiący przemoc. Nagraj go dobrze, Giulio.

– Gówniana Cyganicho, dawaj tę pierdoloną kamerę – zażądał.

– Jestem włoską dziennikarką – powiedziała, wstając i ocierając krew płynącą z rozciętej wargi.

Zawahał się, nie wiedząc, co robić, potem w zdumieniu obejrzał jej legitymację. Znał to nazwisko. Pomyślał chwilę, a potem podjął decyzję.

Świńskie oczka błyszcząły mu czystą nienawiścią.

– W takim razie moim obowiązkiem jest ją zarekwirować – powiedział, popychając ją lufą pistoletu do przyczepy, gdzie wciąż siedzieli Adrian i Giorgi, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Piccolo kontynuowała nagrywanie rozdarta między zadowoleniem z udanej realizacji planu a pragnieniem interwencji. Ale Linda była kategoryczna: „Dopiero jak dam ci znak”. Podeszła do okienka przyczepy.

– Gdzie ukryła kamerę moja piękna dziennikarka? Może między tymi dwoma dorodnymi brzoskwinkami?

Piccolo słyszała ordynarny rechot trzech mężczyzn, Adrian i Giorgi już poczuli, że mogą się zabawić. Zobaczyła, jak Linda kręci głową. To był sygnał dla niej.

Jeszcze nie teraz, poczekaj.

– Skoro tak, będę musiał panią zrewidować, spodoba się pani. A potem sfilmuję, jak obciąża pani tym dzielnym chłopcom, a gdyby przyszła pani ochota stwarzać mi jakieś

trudności, wrzucę filmik do sieci.

Piccolo nagrywała, drżąc z wściekłości, jak Colajacono ściąga z nieruchomości stojącej Lindy kurtkę, potem sweter, potem bluzkę. Zatrzymał się przy biustonoszu.

– Dobrze, chłopaki – powiedział do Rumunów – teraz zobaczymy, co schowała między cyckami i między udami.

Linda Nardi odezwała się wreszcie:

– Nie, proszę. Powiem, gdzie jest.

To był umówiony sygnał. Piccolo ukryła kamerę pod przyczepą, wyjęła pistolet i gwałtownie otworzyła drzwi.

– Ręce do góry, wszyscy trzej – powiedziała z dziką radością, mierząc do nich.

Nie strzelaj, Giulio, nie zastrzel go. Bardziej mu dopierdolimy, jeśli będzie żył.

Zaskoczony Colajacono spojrzał z żalem na swój pistolet, który zostawił na stoliku. Spojrzenie Piccolo było wystarczająco wymowne, by nie próbował po niego sięgać. Wyraźnie tylko czekała, by pociągnąć za spust. Powoli zaczął rozumieć, w jak głębokie szambo się wpakował.

– A teraz na ziemię – rozkazała Piccolo.

W tym czasie Linda się ubrała i szybko wyszła.

Piccolo pozwoliła, by upłynęło parę minut, dając Lindzie czas na bezpieczne wyjście z kamerą poza teren obozu. Słuchała z rozbawieniem, jak Colajacono bluźni i rzuca obsceniczne groźby.

– Jesteś skończony, Colajacono. Całe zajście zostało sfilmowane, łącznie z próbą gwałtu na dziennikarce.

– Oblesna suka, wstrętna lesba! Myślisz, że nie wiem, co wyprawiasz z takimi samymi cipolizami jak ty?

Piccolo się zaśmiała.

– Nie uda ci się mnie sprowokować. Nie dotknę cię, gnoju. Tym się zajmą twoi koledzy z celi. Wiesz, co robią z policjantami, którzy kończą w pierdlu? Spędzisz parę lat na ciągnięciu druta i nadstawianiu dupska. A teraz wstawaj.

Wstał, drżąc z wściekłości.

– Kamera jest poza obozem, w drodze do redakcji. Masz czas do jutra do północy, żeby powiedzieć, z kim była Nadia w sali prywatnej Bella Blu wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia. Powiesz nam, sprawdzimy i jeśli informacja okaże się prawdziwa, sprawa się na tym zakończy. Jeśli nie, obejrzysz się w telewizji i w Internecie.

Patrzył na nią niespokojnie.

– Z kim była Nadia w Bella Blu? A skąd mam do chuja wiedzieć?

– Zapytaj swojego kumpla Mirceę, on na pewno wie. Wziął ją na kolację i przekazał komuś, kto poszedł z nią do Bella Blu, a potem zabił.

– Jesteś jak zawsze głupia, to był pasterz, Vasile.

Piccolo pokręciła głową.

– Daj nam nazwisko. Właściwe. Jeśli nie, obejrzysz się na YouTube.

Zostawiła go, by pomedytował nad swoim nieszczęściem.

Środa, 4 stycznia 2006

Przed południem

Dzięki trzygodzinnej różnicy czasu wylądowali w Rzymie jeszcze przed obiadem.

Poprzedniego wieczoru Balistreri postanowił nie ścigać SUV-a. Taksówkarz był już wystarczająco przerażony, choć na szczęście nie zrozumiał, jaki związek mieli jego pasażerowie z tym, co się wydarzyło. Pościg ulicami Dubaju był wykluczony, mogła z tego wyniknąć strzelanina i poważny incydent dyplomatyczny. Poleciał Corvu napisanie raportu mówiącego tylko tyle, że Belhrouz miał śmiertelny wypadek drogowy po suto zakrapianej kolacji. Żadnej wzmianki o planowanym spotkaniu u niego w domu, o SUV-ie i człowieku, który odebrał ich z lotniska.

Martwił go nie tylko wypadek Belhrouza. Martwił go kierowca, który znał godzinę ich przylotu i cel podróży. Cały czas wiemy, gdzie jesteś, z kim jesteś, o czym rozmawiasz. Z pewnością ich rozmowa z Belhrouzem w jego biurze i podczas kolacji była podsłuchiwana. I przyczyniła się do przypieczętowania losu adwokata.

Gra w otwarte karty, jawne ostrzeżenie ze strony kogoś, kto czuje się nietykalny. Wiedzieli, że rozpozna ten styl. Sam praktykował go przez lata. Groźba była realna i konkretna. Ktokolwiek znajdował się w jej kręgu – ryzykował. Istotne było, by nie wciągać do gry innych osób. Należało wybierać: poszukiwanie prawdy albo życie.

Kiedyś bym się nawet nad tym nie zastanawiał. Ale dziś nie chcę dodatkowych wyrzutów sumienia, kolejnych grzechów, za które trzeba zadośćuczynić.

Piccolo czekała na niego na lotnisku Fiumicino z teczką Nadii. Wyglądała euforycznie, co Balistreri uznał za oznakę bliskości poważnych kłopotów. Kiedy jechali samochodem do centrum, na ulicach nie było zwykłego ruchu. Zamknięte szkoły, ograniczony personel w biurach, zamożni mieszczanie na alpejskich stokach, reszta na wycieczkach po okolicznych wzgórzach.

Balistreri przekazał Piccolo ocenzurowaną wersję wydarzeń w Dubaju. Potem ona przeszła do swego sprawozdania.

– Pierwsze wyniki autopsji Nadii wskazują, że zmarła szybko, wieczorem dwudziestego czwartego grudnia. Stosunek seksualny bez przemocy. Potem uduszenie. Drugi pasterz potwierdza wersję Vasilego. Teraz, kiedy wie, że chodzi o morderstwo, nie sędzę, żeby kłamał. Vasile nie przywiózł Nadii z via di Torricola.

– W takim razie – podsumował Corvu – ktoś zabrał z ulicy Nadię i przywiózł do Vasilego, który się upił, uprawiał z nią seks i udusił ją.

– Jest problem z tą wersją – powiedziała Piccolo.

– Lewy nadgarstek Vasilego – rzucił Balistreri.

Spojrzała na niego zdziwiona. Corvu zareagował pierwszy.

– Jest wykręcony, wiemy, ale zrobił mu to Colajacono podczas aresztowania.

Balistreri pokręcił głową.

– Nie, kiedy Colajacono chwycił go za nadgarstek, Vasile zawył z bólu. Choćby nie wiadomo jak silny był Colajacono, Vasile musiał już wcześniej mieć rękę zwichniętą.

– W takim razie zwichnął rękę, dusząc Nadię – upierał się Corvu.

– Też miałem taką nadzieję – powiedział Balistreri, patrząc pytająco na Piccolo.

– Niestety tak nie jest – przyznała. – Lekarz, który go badał, powiedział, że zwichnięcie nastąpiło co najmniej dziesięć dni wcześniej, widać to po resztkach opuchlizny. Vasile utrzymuje, że zwichnął rękę, grając w piłkę z kolegami, co potwierdza drugi pasterz. Mówi, że podczas ostatnich kradzieży sam musiał prowadzić i nosić ciężary, bo...

– Ale to niemożliwe – wybuchnął Corvu. – To by znaczyło, że Vasile jej nie zabił. Ten, kto zabrał dziewczynę z ulicy, musi być tym samym, który ją zabił.

– I tak mniej więcej było – potwierdził Balistreri.

Corvu był sceptyczny.

– Ależ *dottore*, ten hipotetyczny morderca niemal zaprzedał duszę diabłu, by zorganizować sobie starą alfę, z której nie robi użytku, zabiera Nadię z ulicy tak, by nikt go nie widział, zawozi ją pasterzowi, żeby ją przeleciał, stoi i czeka, aż Vasile skończy, i potem ją dusi?

– Tak, mniej więcej. Przed uduszeniem jej poczekał, aż Vasile wleje w siebie solidną porcję whisky i zaśnie – potwierdził Balistreri. – Coś wam to przypomina?

Piccolo i Corvu popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Ja wiem, kto to był – powiedziała w końcu Piccolo.

– Ja też! – zawołał Corvu.

– Ja nie, a wy podalibyście dwa różne nazwiska – zakończył Balistreri.

Nasze uprzedzenia, nasze pewniki. Doświadczenie nieszczęścia nauczyło mnie, że nie wolno im ufać.

Pasquali był mniej nieskazitelny niż zwykle. O czym świadczyły detale. Jeden mankiet koszuli wystający spod rękawa marynarki nieco bardziej niż drugi. Odrobinę przekrzywiony przedziałek. Jakby ubierał się w pośpiechu po nocnej potajemnej schadzce, co w jego przypadku należało z niemal stuprocentową pewnością odrzucić.

W milczeniu wysłuchał relacji, w której Balistreri pominął wątek śledzenia, kierowcy na lotnisku, obietnicę pomocy ze strony Belhrouza i SUV-a.

– I chcesz teraz jechać na Seszele? – Nie było ironii w jego głosie, tylko gorycz i zmartwienie.

Balistreri pokręcił głową.

– To ślepa uliczka, nie odnajdziemy prawdziwych udziałowców ENT.

– Jeśli to w ogóle ma jakieś znaczenie dla śledztwa w sprawie morderstwa Nadii i Papy Camarà – zaakcentował Pasquali.

Balistreri zdecydował się nie podkreślać, że chodzi o trzy morderstwa. Przypominanie Samantha Rossi w obecności Pasqualego oznaczało jedynie tworzenie problemów.

Zmienił temat.

– Pasquali, wiem, że dziś wieczorem odbędzie się ważne spotkanie rady miejskiej i że wcześniej widzisz się z burmistrzem, kwestorem i prefektem. Proszę, żebyś im wyjaśnił, że...

Pasquali skinął głową z takim grymasem, jakby właśnie ugryzł się w język.

– Zegary polityki chodzą inaczej niż policyjne. Żeby przenieść Casilino i pozostałe koczowiska, trzeba porozumienia koalicji i opozycji, którego w tym momencie nie ma. A i Watykan się temu sprzeciwia. Wolałbyś, żebyśmy przenieśli Romów na środek Morza Śródziemnego i wrzucili ich do wody?

– Pasquali, tym razem się upiekło, bo ofiarami są rumuńska prostytutka i senegalski wykidajło. Gdyby to było dwoje Włochów, na dodatek z dobrych rodzin...

Pasquali odrzucił ten obraz szybkim gestem, jakby go egzorcyzmował.

– Żeby to się nie zdarzyło – powiedział – potrzeba także takich ludzi jak Colajacono. A poza tym nikt tutaj nie zlinczowałby Roma.

Niepocieszony Balistreri pokręcił głową. Wiedział, że Pasquali nie wierzy we własne słowa, lecz musi tak mówić. Co więcej, kolejna zbrodnia, którą dawało się obciążyć Romów, bardzo by się przydała jego nowym politycznym przyjaciołom, kimkolwiek byli.

– Pasquali, z całym szacunkiem, ale nie byłbym tego taki pewny. Ktoś ma interes w rozdmuchiwaniu nietolerancji. A rasizm w Italii ma się świetnie. Przejedź się do szkół na przedmieściach albo na trybuny ultrasów na niektórych stadionach.

– Niemniej – uciął Pasquali – rezultat wieczornego zebrania jest naprawdę niepewny, wystarczy jeden głos po jednej czy drugiej stronie.

– Pamiętaj, że Vasile nie zabił Camarà. W nocy dwudziestego trzeciego grudnia nie było go w Bella Blu, razem z kilkoma koleżkami włamywał się do willi, których mieszkańcy wyjechali na święta.

– A ty wierzysz takim ludziom?

– Nikt nie kłamie dla kogoś takiego jak Vasile, kiedy ryzykuje zarzut współudziału w zabójstwie.

– Ale to on zabił Nadię.

Balistreri powiedział mu o lewym nadgarstku Roma.

– To niewiele zmienia – powiedział Pasquali. – Sprawa dotyczy tego kręgu:

Romów, Rumunów, Casilina. Wśród tych ludzi powinieneś szukać.

Balistreri poczuł, jak wraz z pulsującą krwią niepokój rozchodzi mu się po całym ciele. Pasquali domagał się absurdu. A kiedy robi to ktoś tak inteligentny jak on, znaczy, że ma w tym jakiś cel.

Po południu

Nie spodziewał się telefonu od mecenasa Morandiego. Marius Hagi chciał z nim nieformalnie porozmawiać. Umówili się na spotkanie w Barze Biliardo zaraz po obiedzie.

Jadąc autobusem na via Tiburtina, Balistreri uświadomił sobie, że od jego pierwszej wizyty w tych okolicach minął niecały tydzień. A jednak nawet tyle wystarczyło, by zmienił się wygląd dzielnicy. Znikły świąteczne ozdoby, pojawiły się polityczne plakaty. Ataki na miejską administrację, dychawiczna, marna obrona ze strony burmistrza. Wszyscy przerzucali się winą, wszyscy mówili o niewłaściwym modelu integracji, nikt nie proponował rozwiązania. Gotowi debatować nawet nad trupami.

Coś, co historia najnowsza zna pod nazwą strategia napięcia, było dziełem wybitnych umysłowości. To jest taktyka średniaków, zbieraniny ludzi indolentnych, oportunistów i zwyczajnych zbrodniarzy.

Rozejrzał się po autobusie. Wyłącznie ludzie starsi oraz imigranci. Nie wyglądało na to, by miał dziś ogon. Uznał, że wiedzą, dokąd się udaje, lecz ten wątek ich nie interesuje. Problemem jest ENT, nie Bar Biliardo z Hagim i jego akolitami.

Był już nowy barman. Hagi i Morandi czekali na niego w sali bilardowej zamkniętej dla klientów. Kaszlał bardziej niż zwykle, ale w oczach błyszczało mu wesołe, zdecydowane światło. Nie napomknął nawet słowem o zniknięciu Rudiego. Zaproponował kawę, potem usiedli przy stole bilardowym.

– Gra pan?

– Jako dzieciak grałem w *boccette*²², w salce parafialnej nie wolno było używać kijów.

– A u nas w Gałaczu *boccette* uważano za grę dla pedziów.

Hagi się nie spieszył, a Balistreri nie chciał go popędzać. Zresztą znaleźli się w ślepej uliczce z wątkiem ENT, i tak musieli czekać na wyniki badań kryminalistycznych i przylot Ramony Iordanescu.

Hagi przeszedł do rzeczy:

– Martwię się o Mirceę. A pan jest przekonany, że on odegrał jakąś rolę w śmierci Nadii. Mogę zapytać, na czym opiera pan to przekonanie?

A ja mogę cię zapytać, jakim prawem mnie o to pytasz? To należy do twojej misji protektora tych dwóch przestępców?

– Chciałbym najpierw sam o coś zapytać. Jeśli uznam, że jest pan ze mną szczery, odpowiem na pańskie pytanie.

– Niech pan pyta, Balistreri – powiedział Morandi, bawiąc się złotym rolexem. – Ja zdecyduję, czy mój klient odpowie, czy nie.

Balistreri zwrócił się do Hagiego:

– Rok przed tym, jak ściągnął ich pan do siebie, Mircea i Greg byli oskarżeni w Rumunii o podwójne zabójstwo. Dwóch emerytów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Dwuznaczna aura, jaką roztaczał wokół siebie Hagi, na poły mesjańska, na poły mefistofeliczna, ledwie się zaznaczyła. Milczał.

– Zostali zwolnieni z aresztu dzięki najlepszemu rumuńskiemu adwokatowi, a potem uniewinnieni. Zastanawiam się, kto opłacił adwokata.

Hagi nie czekał na zgodę Morandiego.

– Oczywiście, że ja. Już panu mówiłem, że zawdzięczam życie ich rodzicom. I kiedy poprosili mnie o pomoc, moim obowiązkiem było działać. To był dług do spłacenia.

– Nawet gdy chodziło o pomoc dwóm mordercom?

– Nie było przeciwko nim dowodów. Tylko świadek, który powiedział, że zobaczył ich niedaleko gospodarstwa, a potem wycofał zeznanie. I tak by ich uniewinnili, tyle że po jakichś dziesięciu latach więzienia. U nas nie działają, jak to się u was mówi, przepisy gwarantujące ochronę oskarżonym.

Wstrząsany kaszlem Hagi świdrował oczami szefa sekcji specjalnej, jakby chciał mu zajrzeć w duszę.

Balistreri przypomniał sobie o swoim ostatnim spotkaniu z Lindą Nardi, o temacie tabu Rumuna, i powiedział:

– Pańska żona Alina zaaprobowałaby to, gdyby żyła?

Wyraz twarzy Mariusa Hagiego lekko stwardniał.

– Już panu mówiłem, by nie poruszać tego tematu, Balistreri.

– To pan chciał się ze mną zobaczyć. A teraz nie chodzi już o poszukiwanie zaginionej osoby, panie Hagi. W grę wchodzi co najmniej jedno morderstwo.

Mężczyzna obdarzył go jednym ze swoich grymasów.

– A co ma wspólnego śmierć mojej żony w osiemdziesiątym trzecim roku ze śmiercią Nadii w dwa tysiące szóstym?

W rozgorączkowanych oczach Hagiego czaiło się coś trudnego do odczytania. Z pewnością nie strach. Wyglądało to raczej na szyderczą groźbę. Balistreri wstał do wyjścia.

– Nie odpowiedział mi pan na pytanie – przypomniał mu Hagi.

– A pan na moje.

– W takim razie powściągnę ciekawość. Do widzenia, Balistreri.

Skinął mu, kaszłąc i zapalając kolejnego papierosa.

– Balistreri, odprowadzę cię do wyjścia – zaproponował Morandi.

I właśnie na chodniku przed Barem Biliardo, pomiędzy przechodzącymi spokojnym krokiem Masajkami dźwigającymi torby pełne zakupów, Balistreri otrzymał potwierdzenie tego, co podejrzewał.

Morandi był uśmiechnięty, niemal serdeczny, kiedy ścisnął mu rękę na pożegnanie.

– Chujowy ziąb w tym Rzymie, Balistreri, lepiej byś zrobił, gdybyś został w Dubaju i zafundował sobie długie wakacje.

Piccolo czekała na niego niedaleko Baru Biliardo. Ściemniało się i robiło coraz chłodniej, ale ona stała z rozpiętą kurtką. Biła od niej euforia pomieszana z zakłopotaniem, czyli to, czego Balistreri obawiał się w jej przypadku najbardziej.

– Mam nadzieję, że udało się pani nie odwiedzać już innych piwnic.

– Zrobiłam coś lepszego i gorszego, *dottore*. Jak wejdziemy do baru, opowiem panu dokładnie przy gorącej herbacie.

Kiedy usiedli w środku, wyciągnęła blok z notatkami.

– Nabrałam wątpliwości i posprawdzałam parę rzeczy.

– Dotyczących...? – zapytał z cieniem niepokoju w głosie.

– Colajacono i Tatò.

Balistreriemu ulżyło. Najważniejsze było trzymanie podwładnych daleko od niebezpieczeństw, a po ostrzeżeniu ze strony Morandiego nabrał pewności, że w tej sprawie zagrożenie jest poważne. Jednak dotyczyło ono tylko wątku spółki ENT, a nie śledztwa w świecie prostytutek, alfonsów, nomadów, pasterzy czy brutalnych rasistowskich policjantów. Tu nikt ich nie śledził, mogli robić, co chcieli.

– Dobra, posłuchajmy.

– Zacznę od feralnego dwudziestego czwartego grudnia. Tego dnia, zanim posterunkowi Marchese i Cutugno skończyli służbę o dziewiątej rano, Colajacono powiedział im, że w nagrodę zwalnia ich z nocnego dyżuru. Zgodzili się trochę zdziwieni, ale zadowoleni. Colajacono uprzedził swojego zaufanego człowieka, Tatò, że razem zastąpią chłopaków. Dotąd OK?

– Już tutaj miałbym wiele pytań. Ale chciałbym też zapalić, a tu w środku nie można, więc ograniczę się do słuchania.

– Dobrze. Tylko dlaczego właśnie on ich zastępuje? Żeby dać przykład, mówi, żeby młodzi widzieli, że szefostwo potrafi się poświęcić. To prawda? Powiedzmy, że tak, to zresztą pasuje do stylu Colajacono. Ale dlaczego psuje święta inspektorowi Tatò, swojemu wiernemu podwładnemu? Bo są kawalerami, mówi, więc rodzina tego nie odczuje. To też może trzymać się kupy. Co pan powie, *dottore*?

Balistreri poszedł już dużo dalej nagłony głodem nikotynowym.

– Dobra, Piccolo. Spróbujmy alternatywnej hipotezy. Colajacono ma swoje powody,

by zostać na komisariacie tej nocy, i swoje powody ma też Tatò. Musimy jednak wykazać, że powody, które nam podali, są nieprawdziwe, albo znaleźć dowody wykazujące prawdziwe motywy.

– Kiedy z nim rozmawiałam, Tatò na początku był zaniepokojony, w trakcie się uspokoił, a na końcu znów się zaniepokoił.

– Więc według pani kłamał w jakiejś sprawie na początku i na końcu rozmowy.

– A na początku mowa była o pomysle Colajacona, by we dwóch wzięli nocny dyżur. Colajacono mieszka w Rzymie sam, jego rodzice nie żyją, a najbliżsi krewni mieszkają gdzie indziej. Tatò pochodzi z południa, jego rodzice nie mieszkają w Rzymie. Ma tu młodszą siostrę, która mieszka sama. Pracuje jako ekspedientka w supermarkecie.

– Nie wiemy, czy zazwyczaj spędzają razem święta...

– Właśnie że wiemy – odparła Piccolo z triumfem w głosie. – Teraz wiemy. Od kiedy Tatò jest w Rzymie, zawsze spędzali Wigilię razem. Wysłałam Mastroianniego do supermarketu, w którym pracuje. Bardzo ją zabolalo, kiedy się dowiedziała, że brat nie może do niej przyjść. Mało brakowało, a by się pokłócili.

Balistreri popatrzył na nią zaskoczony.

– Muszę zapalić, wychodzimy.

Przez zakaz palenia w samolocie był do przodu o całe dwa papierosy, a teraz naprawdę potrzebował nikotyny.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno, paliły się światła samochodów i sklepowych witryn. Rzymskie przedmieście kipiało od ludzi wchodzących i wychodzących ze sklepów, marketów i barów. W tej okolicy przebywało wielu imigrantów i równie liczne były napisy na murach przeciwko koczowiskom nomadów. Tego wieczoru zarząd miasta coś w tej sprawie zadecyduje. Przewagą jednego głosu w jedną bądź w drugą stronę, jak twierdziły docierające do niego opinie.

Rozumowanie, które się w tym miejscu otwierało, było brzemiennie w konsekwencje, o których Balistreri nie chciał teraz dyskutować. Ograniczył się do jednego pytania:

– Dlaczego wzięła pani na celownik akurat inspektora Tatò?

– Bo alibi jest fałszywe i tylko Tatò mógłby utrzymać jego wiarygodność – odpowiedziała bez wahania.

– O jakim alibi pani mówi?

– Hm, o tym, którego Tatò dostarcza Colajaconowi...

– A to miałyby być alibi do czego?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Jak to: „do czego”? Do porwania i zamordowania Nadii.

– Nie, to się nie trzyma kupy. Sama pani mówiła, że Tatò był spokojny, kiedy opowiadał tę część, a więc zgodnie z pani kryteriami nie kłamał.

Piccolo była poirytowana.

– A dlaczego się nie trzyma? Proszę założyć, że o szóstej trzydzieści Colajacono jest na via di Torricola w starej alfie, z naciągniętą czapką i w ciemnych okularach.

– Właśnie dlatego to się nie trzyma.

Nareszcie Piccolo zrozumiała.

– O kurwa, msza!

– Bardzo proszę nie bluźnić – upomniał ją Balistreri.

– Powie, że także Colajacono między szóstą a siódmą był na mszy, by dać mu pełne alibi – szepnęła niepoczyszona. Potem się rozzłościła, przede wszystkim na siebie. – A więc pan wierzy we wszystko, co mówią te skurwysyny – niemal krzyknęła.

Balistreri pozwolił, by sama się uspokoiła. Dziewczyna musiała nauczyć się samokontroli.

Kiedy zobaczył, że nieco się opanowała, powiedział:

– Nie, wierzę, że obydwaj kłamią. Ale jeszcze nie wiemy, w którym miejscu. A więc nie wiemy też dlaczego.

Piccolo wyglądała na zakłopotaną, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia. Szła obok niego bez słowa.

Nagle znaleźli się przed komisariatem Torre Spaccata.

– Specjalnie mnie tu pani przyprowadziła? – zapytał zaskoczony.

Teraz Piccolo unikała jego spojrzenia.

– Zrobiłam coś jeszcze...

Balistreri poważnie się przejął. Rzeczywistość jednak była gorsza od wszystkiego, co mógł sobie wyobrazić.

Wysłuchał z rosnącym przerażeniem opowieści o dokonaniach Lindy Nardi i Giulii Piccolo w Mariustravel, a potem w Casilinie 900. Czuł, jak ogarnia go wściekłość. Lecz co miał zrobić? Dać jej klapsa? Ryzykował, że odda mu z lepszym skutkiem. Wyrzucić ją z sekcji? Straciłby fantastyczną współpracownicę. A co najważniejsze, Giulia Piccolo była wierną kopia młodego Mike'a Balistreriego. Miały się wyprzeć siebie?

Przelał więc pretensje na prawdziwą sprawczynię i mózg akcji, Lindę Nardi. Cholerna cicha woda, miła i grzeczna. Kurwa, akurat miła i grzeczna. Ta baba jest z hartowanej stali. W końcu z pewnym wstydem musiał przyznać przed sobą, że nie ma pretensji do obu kobiet, tylko do Colajacona za to, co ośmielił się zrobić Lindzie Nardi.

Ten wieprz nie miał prawa nawet musnąć jej palcem.

Wysłał Piccolo do biura, a sam wszedł do komisariatu. Drzwi do gabinetu Colajacona były otwarte. Podkomisarz siedział z nogami na biurku. W ustach trzymał zgaszone grube cygaro. Nawet nie udał, że chce wstać, ani nie zaproponował Balistreriemu

krzesła, kiedy zobaczył go w progu.

Wskazał tylko na stertę papierów leżącą w rogu biurka.

– Proszę popatrzeć, panie Balistreri. Mam tu setkę zgłoszeń przestępstw do przejrzenia. Dla pana to pierdółki. Drobne kradzieże, jakieś włamanie, skradzione samochody. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto sprawcami są pańscy przyjaciele Romowie.

Balistreri nie powiedział ani słowa. Colajacono wyprostował się w fotelu.

– Dobrze, słucham pana. Ale tu jestem u siebie i nie pozwolę nikomu się przesłuchiwać. Dlatego lepiej niech pan uważa i nie denerwuje mnie.

Bardzo pewny siebie. Pewnie już wymyślił, jak rozwiązać problem z Lindą Nardi i Piccolo.

Balistreri stanął na wprost niego.

– Rano dwudziestego czwartego grudnia ktoś się przestraszył. Z nocnego klubu znikł drobny przedmiot, ukradła go Nadia. I ten ktoś poprosił pana o przysługę: niech pan zostanie w komisariacie i opóźni śledztwo w sprawie zniknięcia Nadii. Opowiedzieli panu jakąś historyjkę, coś w rodzaju: dziewczyna była z jakimś politykiem w związku z małym szantażem i tak dalej. Już wcześniej współpracował pan z nimi w tego typu sprawach, więc dał się na to złapać. Tymczasem w rzeczywistości potrzebowali czasu, by odnaleźć ten przedmiot.

Colajacono wzruszył ramionami, wyraźnie nieprzejęty.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Jeśli ma pan dowody, w porządku, jeśli nie, to wszystko jest biciem piany, jak wszystko, co robicie wy, biurokraci.

– Pańskie zachowanie wobec Ramony Iordanescu opóźniło wszczęcie śledztwa o parę dni. Na to mam dowody.

– I tak znaleźlibyśmy Nadię martwą. Autopsja potwierdza, że została zamordowana przed dziewiątą wieczór dwudziestego czwartego, więc to nic nie zmieniło.

– Może byłoby łatwiej znaleźć mordercę – prowokował go Balistreri.

Colajacono nawet się nie zmieszał.

– Mordercą jest Vasile. Złapaliśmy go i jest w areszcie. Dzięki moim informatorom, na pewno nie dzięki panu.

On naprawdę w to wierzy. Oglupili go i złapali w pułapkę. Naprawdę wierzy, że to był pasterz.

Dreńczył go przewijający się wciąż przed oczami wyobraźni obraz Colajacona rozbiegającego Lindę Nardi. Zajęło mu wiele lat i pracy, aż nauczył się kontrolować gniew i stał się dobrym policjantem, roztropnym i sumiennym, ale ten obraz był zbyt silny.

Powiedział mu to z sadystyczną przyjemnością, patrząc prosto w oczy:

– Vasile nie udusił Nadii.

Colajacono zawahał się przez moment, zdziwiony niezwykłym tonem. Potem się

otrząsnął.

– Kolejne spekulacje policjanta teoretyka. Niech mnie pan posłucha. Proszę wrócić do swojego biura w centrum i podziękować Bogu, że nie mogę panu przypierdolić.

Rozebrał Lindę. Kurewski rasista, bydlę przebrane za policjanta.

Wściekłość wygrała z roztropnością. Słowa wyszły z niego niekontrolowane. Tak jak wiele lat wcześniej.

– Vasile miał od kilku dni zwichnięty lewy nadgarstek. Dlatego tak zawył, kiedy go pan chwycił. Mamy świadectwo lekarskie. Nie ma żadnej możliwości, żeby udusił Nadię.

Szaleństwo, Balistreri, prawdziwe szaleństwo. Powinni cię wywalić z policji.

Zobaczył, jak Colajacono blednie i raptownie wstaje.

– Co ty kurwa mówisz? – syknął, zbliżając się do niego.

Balistreri podszedł do drzwi. Mógłby go wciąż z łatwością posłać na podłogę, tego był pewny, ale aż tak daleko do swego dawnego ja się nie cofnął. Bójka w komisariacie definitywnie zamknęłaby jego śledztwo. Wolał słowny nokaut.

– Kazali ci zostać tu z Tatò, żaloszny idioto, żebyś nie miał alibi, kiedy oni mordowali Nadię.

Efekt był gorszy od ciosu w podbródek. Wychodząc, jeszcze raz rzucił okiem na Colajacona. Błady jak kreda podkomisarz opierał się o ścianę i patrzył pustym wzrokiem przed siebie. Właśnie zrozumiał, że zasiadł do stolika, przy którym gra się znacznie ostrzej i powyżej jego możliwości.

Kiedy wrócił do biura, Margherita przekazała mu, że Corvu potrzebuje pilnie z nim porozmawiać.

– Niech do mnie przyjdzie. – Wskazał na kwiat w szklance na biurku dziewczyny. Puścił do niej oko. Zarumieniła się.

Corvu wyglądał jak podekscytowany licealista w przeddzień matury.

– *Dottore*, jestem pewien, że mnie śledzono.

Balistreri zaklął w myślach i poczuł, jak wzbiera w nim niepokój o pełnych inwencji zastępców. I złość na nich.

– Nie miałeś dziś zostać w biurze?

Corvu utkwiał wzrok w podłodze. Balistreri miał złe przeczucia. Po Piccolo mógł się spodziewać wybryków. Ale po Corvu?

– Najpierw przeanalizowałem wszystkie dane, które mieliśmy na temat znalezienia Nadii. Rozmawiałem z kryminalistyką i poprosiłem o wstępne wyniki. Na ciele znaleziono ślady organiczne, tylko jedno DNA, należące z całą pewnością do Vasilego.

Wobec milczenia Balistreriego postanowił kontynuować.

– Potem sprawdziłem alibi wszystkich możliwych podejrzanych między osiemnastą

a dwudziestą drugą w dniu dwudziestego czwartego grudnia. – Podał mu wykaz.

Balistreri rzucił okiem. Komentarz „alibi kompletne” pojawiał się obok Grega, Mircei, Adriana i Giorgiego, „alibi niekompletne lub niepewne” obok Hagiego, Colajacona, Tatò i Ajella. Ostatnie nazwisko przyprawiło go o lekkie drzenie.

– Skąd wiesz, co robił Ajello późnym popołudniem dwudziestego czwartego? – zapytał, starając się nie pokazywać po sobie zaniepokojenia.

– Zadzwoiłem do ENT i sekretarka powiedziała mi, że Ajello wraca dziś wieczorem z Monte Carlo. Powiedziałem jej, że pilnie potrzebujemy zweryfikować w dokumentacji pracowniczej firmy datę przyjęcia Papy Camarà do pracy. Telefonicznie uprzedziła Ajella i dostała zgodę.

– I poszedłeś do ENT?

Teraz Corvu wpatrywał się w czubek swoich butów.

– Z Mastroiannim – wyszeptał.

Balistreri chwycił podłokietniki fotela tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie, i zacisnął usta, rozrywając tkwiącego w nich niezapalonego papierosa.

Cholerny Corvu. I cholerny Mastroianni z tym swoim wyglądem hurtowego włoskiego uwodziciela.

Kiedy poczuł, że odzyskał przyzwoity poziom samokontroli i że jest gotowy na najgorsze, polecił:

– Powiedz dokładnie, co się stało.

Corvu rozmawiał z czubkami swoich butów.

– Pojechaliśmy autobusem. Po wejściu do ENT przedstawiłem Mastroianniego jako biegłego księgowego. Sekretarka przygotowała księgi Bella Blu w sali zebrań, podała nam herbatę i Mastroianni kilka razy wychodził z sali wraz z nią pod pozorem robienia fotokopii. Potem poprosił ją o pomoc w odczytaniu niektórych skrótów, zagadując przy okazji. Schlebiała jej to wyraźnie i zrobiła się roztargniona. Wtedy ja wyszedłem niby to do toalety.

– Kalendarz spotkań.

Corvu przytaknął.

– Ajello miał ostatnie spotkanie w swoim gabinecie o szesnastej trzydzieści. Potem kalendarz był pusty aż do dziewiętnastej. Na tej godzinie był zapis „Koktajl w Grand Hotelu”.

Balistreri cicho jęknął. Potem zrezygnowany czekał w milczeniu na ciąg dalszy.

– Zadzwoiłem do Grand Hotelu i poprosiłem o połączenie z administracją pod pretekstem, że jestem ze skarbówki i kontroluję faktury pewnej firmy cateringowej. Zapytałem, czy wieczorem dwudziestego czwartego mieli u siebie jakąś imprezę. Powiedzieli, że dwudziestego czwartego grudnia o siódmej wieczorem każdego roku odbywa się u nich krótki aperitif członków stowarzyszenia dobroczynnego połączony ze zbieraniem datków dla organizacji humanitarnych. Łatwo będzie zweryfikować, czy

Ajello tam był i czy wypisał czek.

– Chuj! Zweryfikujesz! – wściekle krzyknął Balistreri i zerwał się na nogi.

Corvu cofnął się i podniósł ręce, jakby chciał chronić twarz przed ciosem.

– Corvu, nie zaryzykujesz nigdy więcej podjęcia jakiegokolwiek, nawet minimalnej inicjatywy w sprawie ENT, Bella Blu czy Ajella. Jeśli odstępisz od tego na milimetr, wyślę cię z powrotem w góry na twojej pięknej wyspie, żebyś tam liczył kozy. Potwierdź, że rozumiałeś.

– Tak, *dottore*, rozumiałem – wybełkotał przerażony Corvu.

– A teraz opowiedz mi o tym śledzeniu – rozkazał Balistreri.

– To było w autobusie, w drodze powrotnej. Zwróciłem na niego uwagę, bo był jedynym gościem, który z nami wsiadał. Nie widziałem go podczas drogi do ENT, ale to był ten sam facet, którego pan wtedy wypatrzył.

Wieczorem

Nie było ani chwili do stracenia. Rozmowa z Colajaconem, a wcześniej to, co zrobili Piccolo i Corvu, musiały włączyć mechanizm zegarowy w bombie. Wezwał do siebie Coppolę i Mastroianniego.

– Macie śledzić Colajacona i nawet na chwilę nie stracić go z oczu. Zmieniajcie się i nie dajcie się nakryć. Ruchy!

– Chciałem panu powiedzieć, że jeszcze nie udało mi się nawiązać kontaktu z Fredem Cabotem, ale rozmawiałem znowu z Carmen i wyszła na jaw dziwna sprawa... – odważył się Krasnal.

– Gównu mnie to teraz obchodzi, Coppola. Jeden z was musi być przed komisariatem, zanim Colajacono z niego wyjdzie, jest już ósma.

Mastroianni podniósł palec jak uczeń.

– Pierwszą zmianę musi wziąć Coppola, ja muszę jechać na lotnisko po Ramonę Iordanescu i zabrać ją do koszar karabinierów. Wie pan, że z względów bezpieczeństwa...

– Ale mój syn ma mecz, dziś jest finał – zaprotestował Krasnal.

Balistreri popatrzył na niego krzywo.

– Coppola, będą jeszcze inne finały. Przyklej ogon Colajaconowi i nie zgub go pod żadnym pozorem. To bardzo ważne.

Krasnal zareagował tak, jak Balistreri oczekiwał.

– *Dottore*, ma pan rację. Ciro jest mistrzem, mam jeszcze czas. Nie opuszczę tego skurwiela nawet w samym piekle.

Kiedy Balistreri został sam, starał się pozbierać myśli. Klub Bella Blu wybrano po prostu na miejsce spotkania, w którym ktoś miał zobaczyć Nadię. Potem zaczynają się

niespodziewane kłopoty. Papa Camarà ma akurat infekcję prostaty. Ciśnie go pęcherz, idzie do toalety i przechodząc obok sali prywatnej, widzi Nadię i kogoś jeszcze z nią. Ten, kto zaplanował zamordowanie Nadii następnego dnia, czuje się zagrożony. Dlatego eliminuje Senegalczyka, pozorując kłótnię z motocyklistą.

Okazuje się, że to nie koniec komplikacji. Rano 24 grudnia na liście rzeczy do uzupełnienia w sali prywatnej klubu pokojówka zapisuje brakującą zapalniczkę. Dzwonią do człowieka, który był z Nadią, ale on nic o tym nie wie. Nie wolno pod żadnym pozorem zostawić żadnych śladów, które pozwoliłyby powiązać jeszcze nie popełnione morderstwo z klubem Bella Blu i spółką ENT. Sądzą, że znajdą zapalniczkę przy Nadii, kiedy ją zabiją, ale nie znajdują. Panika. Każą szukać Mircei i Gregowi u Ramony, ale by chronić tajemnicę Bella Blu, nie mówią im dokładnie, czego mają szukać. Gdyby nie to, Rudi oddałby im zapalniczkę od razu, zamiast pozwolić się zmasakrować.

Najbardziej niepokoiła go nieuchronność następujących po sobie wydarzeń. Aż do 23 grudnia wieczorem nie wydarzyło się nic kompromitującego dla Bella Blu, ENT czy jej udziałowców. Wystarczyło wszystko wstrzymać, nie zabijać Papy Camarà, nie zabijać Nadii, zmienić cel i datę. Tymczasem mimo ryzyka plan zostaje przeprowadzony, jakby nie było innego wyboru. Ginie Camarà, ginie Nadia, później szukając zapalniczki, maltretują Ramonę i Rudiego. Potem jeszcze szukają jej w mieszkaniu Nadii i Ramony, gdzie zaskakuje ich Piccolo z Rudim.

Był wyczerpany. Stał mu przed oczami obraz potężnej sylwetki Colajacona, przerażonego nagle i bladego niczym upiór. Musiał coś zrobić, żeby powstrzymać bieg wydarzeń, do którego sam się przyczynił. Wybrał numer Lindy Nardi.

Podstawową bronią służbową policji i karabinierów jest pistolet marki Beretta 92 kaliber 9 Parabellum, niedostępny na rynku, bo wojskowy. Wersja 92FS była nowsza, mieli ją policjanci ze stażem krótszym niż piętnastoletni. Balistreri miał wersję 92SB, model nieco starszy, ale wciąż jeszcze używany.

Z niechęcią wyjął broń z sejfów w biurze. Wyczyścił ją, załadował, zablokował i umieścił w kaburze pod lewą pachą. Pistolety znał od dziecka. I nie wiązały się z przyjemnymi wspomnieniami. Nie dotykał broni z myślą o jej użyciu od bardzo wielu lat. Ale teraz pojawiły się na horyzoncie stare upiory: jego dawni koledzy, niebezpieczni ludzie.

Pieszko poszedł do starego centrum. Nieliczni klienci wychodzili z zamykanych właśnie sklepów, ziębnięci ludzie zapełniali restauracje. Znów zaczęła padać przyjemna mżawka i kiedy doszedł pod Panteon, mokre włosy kleiły się mu do czoła.

Już tam była. Pod nieprzemakalnym płaszczem sprzed kilku sezonów nosiła szerokie spodnie i sweter.

Przeszedł od razu do rzeczy. Nie zamierzał tolerować kolejnych szaleństw.

– Postanowiła pani dać się zabić, *dottoressa* Nardi?

Zastanowiła się chwilę, jakby to było poważne pytanie.

– Niedługo nikt już nie będzie pamiętał o Nadii, o Samancie, o wszystkich innych nieszczęśnicach i ich bliskich, którzy nigdy nie przestaną ich opłakiwać. Pytałam pana już o to w Sant' Agnese. Nudzi pana ta sprawa?

Popatrzył na nią. Piękna kobieta, wykształcona i dobrze wychowana. Ale niezłomna w zasadach i dlatego niebezpieczna. W jej oczach jarzył się spokój człowieka, który ma słuszość.

Oczy tej, którą kochałem, skarb, który utraciłem.

Ta myśl przeniosła go w czasie o czterdzieści lat wstecz. Coś w nim tępnęło, coś, czego źródła były bardzo odległe. Niczym fala tsunami, która wreszcie sięgnęła brzegu.

Słowa wypłynęły same, bezwiednie:

– Jesteś szalona.

Oboje wiedzieli, co kryje się pod tą „szaloną”. To słowo mu się wyrwało, było jak most nad wzburzoną wodą, która oddzielała ich od siebie.

Co ty wyprawiasz, Balistreri? Jesteś stary. Nie ośmieszaj się w oczach innych bardziej, niż już to zrobiłeś sam we własnych oczach.

Podarowała mu uśmiech, nieznaczący, pierwszy prawdziwy uśmiech, od kiedy się poznali.

– Szukanie prawdy to część mojego życia, tego, czym jestem. Nigdy nie znałam ojca. I nadal nie wiem dlaczego. Byłam strasznym dzieckiem, bardzo agresywnym. W szkole biłam koleżanki i kolegów.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Nie wierzę.

– Pokażę ci zdjęcie. Przedwcześnie dojrzałam fizycznie i psychicznie. Kiedy miałam jedenaście lat, byłam już rozwinięta. Chodziłam do prywatnego gimnazjum w Kolegium Karola Wielkiego. W tym samym budynku było też liceum, a więc i starsi chłopcy. Brakowało mi ojca i szukałam go wśród nich, przynajmniej tak to wyjaśniał psycholog, kiedy zaczęły się kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

Potrząsnęła głową, nie mogąc uwolnić się od przykrych, niemożliwych do wymazania wspomnień. Specjalność Balistreriego.

– Zrobił się problem, musiałam opuścić szkołę. Na szczęście miłość leczy rany. Miłość mojej matki. Zorganizowała leczenie, była zawsze obok. Dopóki nie byłam zdolna znów wrócić do szkoły. Którą skończyłam ze świetnym wynikiem, bo zdaje się, że bez żadnej mojej zasługi jestem całkiem inteligentna.

– I właśnie dlatego, że jesteś inteligentna, musisz rozumieć, że szukanie mordercy nie jest zadaniem dla dziennikarki, tylko dla policji.

Skinęła głową.

– Colajacono będzie musiał podać mi to nazwisko dziś do północy. Obiecuję, że natychmiast ci je przekażę. Może tak być?

Zamilkł na chwilę. Nie chciał jej o to prosić. Ale musiał.

– Potrzebuję jeszcze jednej przysługi.

Także tym razem wysłuchała go, nie przerywając mu. Nie postawiła żadnych warunków. Chwilę później się pożegnali. Plac przed Panteonem był niemal pusty. Padało. Miał ochotę mocno ją przytulić. Zamiast tego skinął jej tylko głową na pożegnanie.

Gdy w strugach deszczu wałęsał się po mieście, nie chcąc jeszcze wracać do domu, nagle ogarnęło go złe przeczucie. Raptownie postanowił zatrzymać się w barze koło dworca Termini. Lokal był pełen imigrantów. Azjaci grali na maszynach. Europejczycy ze Wschodu pili mocny alkohol. Afrykańczycy przed barem próbowali sprzedać nielicznym zziębniętym przechodniom podróbki markowych torebek. I wszyscy palili, mając gdzieś zakazy.

Balistreri wykorzystał to, zapalając ostatniego papierosa z dziennej puli. Ulicę oświetlały reflektory nielicznych przejeżdżających samochodów. Przed chwilą minęła północ.

Zadzwoił do Coppoli.

– Wszystko w porządku, *dottore*. Colajacono jest jeszcze w komisariacie, wyszedł tylko z Tatò zjeść kolację w traktierni naprzeciwko i obaj wrócili. Może pan być spokojny, nie stracę go z oczu.

– Brawo, Coppola, dzięki.

– A, *dottore* – dodał Coppola – chciałem panu jeszcze powiedzieć, że drużyna mojego syna wygrała ten finał. Chłopak sam zdobył trzydzieści dwa punkty.

– Coppola, wcale nie jest powiedziane, że to na pewno twój syn. – Śmiech, pozdrowienia.

Potem zadzwonił do Mastroianniego.

– Wszystko gra, *dottore*, Ramona jest ze mną, jedziemy właśnie z lotniska.

– Mastroianni, muszę z nią mówić natychmiast. Przyjedźcie po mnie, jestem w barze, dworzec Termini od strony via Marsala.

Pewnie, że wolałby inne, bardziej dyskretne miejsce na przesłuchanie Ramony Iordanescu. Ale nie było czasu do stracenia. Oficjalne przesłuchanie w koszarach albo w biurze bez obecności prokuratora było wykluczone, dlatego siedzieli teraz przy stoliku w barze pełnym ludzi, dymu i głośnych rozmów.

Fotografia z Nadią na tle fasady Bazyliki Świętego Piotra nie oddawała sprawiedliwości iście posągowemu ciału dziewczyny, a twarde rysy jej twarzy nie pasowały do dzieciennego zachowania. Patrzyła maślanym wzrokiem na Mastroianniego, co nie dziwiło, i kazała sobie przynieść dwa rogaliki z kremem.

– Uwielbiam je – usprawiedliwiła się, wycierając resztkę kremu z kącika ust.

– Jedz, ile chcesz – powiedział Mastroianni.

– Dobrze – przejął inicjatywę Balistreri – ale jednocześnie sobie porozmawiamy.

Ramona miała pełne usta, kiwnęła tylko głową.

– Możesz być absolutnie spokojna o siebie. Jutro skonfrontujemy cię z podkomisarzem Colajaconem. Zaraz potem Mastroianni odwiezie cię na lotnisko i wrócisz do domu.

Wyczytał strach w oczach dziewczyny.

– On zaraz potem trafi do więzienia za współudział w zabójstwie Nadii i nie wyjdzie przez długie lata – uspokoił ją Balistreri.

Mastroianni i Ramona osłupieli.

– Za współudział w zabójstwie? – wydukał Mastroianni.

Balistreri go zignorował i zwrócił się bezpośrednio do Ramony:

– Powiedz mi o mieszkaniu niedaleko klubu Crystal. Miało sufit zwykły czy podwieszany?

– Nie rozumiem – odpowiedziała zmieszana.

Mastroianni, jak troskliwy brat, wytłumaczył jej pytanie.

– Nie wiem, po czym to można poznać.

– Po światłach. Czy w tych miejscach, gdzie na suficie nie było lustra, znajdował się żyrandol albo reflektorki?

– Reflektorki?

Kolejne wyjaśnienie Mastroianniego.

– Tak, były reflektorki, świeciły na czerwono.

Dla ujęć z wysoka. Prawdziwi zawodowcy.

– Dobrze. Co się wydarzyło potem?

– Zrobiłam tak, jak mi kazał Colajacono. Ten elegancki pan wszedł do klubu, po jakimś czasie zaczepił mnie i postawił mi coś do picia. Potem zabrałam go do tamtego mieszkania, chciał odgrywać niewolnika, zrobiłam, co do mnie należało, był zadowolony, dał mi sto euro i poszedł sobie.

– Potrafiłabyś rozpoznać tego mężczyznę?

– Każdy jego centymetr. – I zaczęła się dzieciennie śmiać.

Mastroianni poczerwieniał.

Balistreri wyciągnął palmtop i odszukał e-mail, który wysłał mu Mastroianni z Jass. Zmarszczył brwi, czytając fragment.

– Ramona, powiedziałaś, że Colajacono chciał cię przekonać, że Nadia na pewno

jest z tym samym gościem, który zabrał ją do wozu na ulicy. Powiedział dokładnie w ten sposób?

Poczuł, że Mastroianni zamierza się wtrącić, ale gestem nakazał mu milczenie.

– Tak, jestem pewna, właśnie tak.

– A ty mu powiedziałaś, że Nadia wsiadła do czyjegoś samochodu?

Balistreri wyraźnie usłyszał dźwięk filizanki, którą Mastroianni trochę zbyt gwałtownie odstawił na talerzyk, i rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Ramona wyglądała, jakby ze wszystkich sił starała się sobie coś przypomnieć.

– No tak, powiedziałam, że ja i Nadia pracujemy w parze, że nigdy nie wsiadamy do samochodu, jeśli nie ma tej drugiej. Potem powiedziałam, że byłam z klientem, któremu nie chciał stanąć, a po powrocie Nadii już nie było. Że czekałam, że pytałam o nią inne dziewczyny...

– Powiedziałaś mu, co mówiły?

– Nie, warknął od razu, żebym mu dała spokój.

Mastroianni wydał z siebie coś między jękiem a charkotem. Zmęczony długim dniem wśród niesubordynowanych i nieuważnych podwładnych Balistreri stracił panowanie nad sobą i warknął mu do ucha:

– Jeśli nie potrafisz się powstrzymać, idź do kibla i zmień sobie pieluchę.

Mastroianni wstał i nieco chwiejnym krokiem skierował się do toalety.

– Co się dzieje? – zapytała Ramona zbита z tropu.

– Nic, musi iść do łazienki. A więc nie powiedziałaś mu o samochodzie...

Oto co się dzieje, kiedy delegujesz najmniej doświadczonych ludzi do tego rodzaju przesłuchania, a sam czytasz sobie maile rozparty w wygodnym fotelu za biurkiem. Dupek z ciebie, Balistreri. A ten fafuła Mastroianni myśli, że kobiety same z siebie powiedzą mu wszystko i że nie będzie nawet musiał zadawać właściwych pytań.

Potem przypomniał sobie, co nawyprawiał Corvu, nie mówiąc już o Piccolo. Ostatecznie jedynym jego współpracownikiem, który nie narobił głupot, był Coppola. Natychmiast poczuł ukłucie niepokoju. Chwycił komórkę, by zadzwonić do Krasnala, ale w tej samej chwili obecni w barze Rumuni zaczęli krzyczyć z radości, a potem wznosić toasty.

Balistreri spojrział na ekran telewizora przekonany, że zobaczy powtórkę gola. Tymczasem zobaczył twarz prezentera telewizyjnego. Udało mu się dosłyszeć końcówkę.

– ...i tak przewagą jednego głosu zarząd miasta odłożył przeniesienie obozu Casilino i pozostałych koczowisk, zobowiązując się jednocześnie do szukania wspólnego gruntu dla przyszłych działań. Decyzja spotkała się z dobrym przyjęciem Watykanu...

Wstał i podszedł bliżej, by usłyszeć komentarze. Burmistrza rozdzierały sprzeczne uczucia. Określił się jako zaskoczony, ale w gruncie rzeczy zadowolony

z nieoczekiwanej decyzji wiceburmistrza De Rossiego, który zagłosował przeciw przeniesieniu. Zaraz po tym nadano krótki wywiad z Augustem De Rossim.

– *Panie wiceburmistrzu – mówił dziennikarz – duża część elektoratu, także ta, którą pan reprezentuje, z pewnością nie zgadza się z tym przełożeniem decyzji.*

– *Każdy winien odpowiadać nie tylko przed własnymi wyborcami, ale także przed własnym zmysłem moralnym i sumieniem* – odpowiedział pompatycznie De Rossi, patrząc w kamerę.

Jeszcze bardziej wściekły Balistreri odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Ramoną, która ze zdumieniem wpatrywała się w ekran.

– Ale ten tam... – zająknęła się, wskazując palcem wiceburmistrza. – To jest ten mój zboczeniec z klubu Crystal.

Balistreri już wybierał numer Coppoli. Krasnal odebrał natychmiast, słychać było silnik samochodu.

– Gdzie ty kurwa jesteś? – krzyknął Balistreri, nie panując już nad sobą.

Cały bar obrócił się w jego stronę.

– *Dottore*, spokojnie, wszystko gra. Jadę za samochodem tych dwóch skurwysynów.

Balistreri kilka razy głęboko odetchnął, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

– Dobrze, Coppola, w porządku. Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

Głos Krasnala dobiegał do niego jakby z bardzo daleka.

– Colajacono i Tatò jadą w stronę szopy pasterza, tam, gdzie znaleźliśmy Nadię. Złe pana słyszę, tracę zasięg...

Połączenie padło. Ucisk w piersi był tak silny, że przez parę sekund nie mógł oddychać. Oparł się o stolik, by nie upaść, miał mroczyki przed oczami i trzęsły mu się ręce.

Co za mało chwalebna śmierć, Balistreri. Na zawał, może nawet posrawszy się w gacie, w śmierzącym barze pełnym szumowin.

Ale nie takie było jego przeznaczenie. Mastroianni wrócił błąd jak ściana.

– Daj mi kluczyki, potrzebuję samochodu z syreną. Ty weź taksówkę, zabierz Ramonę do koszar i nie ruszajcie się stamtąd.

Trzydzieści sekund później w strugach deszczu gnał jak szalony na wschodnie przedmieścia Rzymu.

Dojazd zajął mu dwanaście minut. Za dziesięć pierwsza targany niepokojem był już na miejscu. Zaparkował w tym samym miejscu, w którym Piccolo zostawiła swój samochód w noc sylwestrową, w połowie podjazdu, tam gdzie pełna dziur gruntowa droga przechodziła w gliniasty dukt. Obok stało auto Coppoli. A nieco dalej, w tym samym miejscu co tamtej nocy, samochód, którym przyjechali Colajacono i Tatò. Spróbował zadzwonić do Corvu. Nie było zasięgu. Zaklął wściekły na siebie. Piccolo

mu przecież mówiła. Koszmar powtarzał się ze wszystkimi szczegółami.

Całe szczęście, że Krasnal zawsze nosi broń ze sobą.

Przypomniał sobie, co kiedyś na ten temat usłyszał od Coppoli: „*Dottore*, przez pistolet czuję się wyższy. Mój syn patrzy na mnie jak na kogoś ważnego, kiedy wracam wieczorem do domu i wyjmuję kaburę spod marynarki”.

Nie miał latarki. Ściągnął kurtkę, marynarkę i kaburę, został w samej koszuli. Zaczął biec w górę z pistoletem w prawej i komórką w lewej ręce, by chociaż sobie nią przyświecić. Czuł, jak podeszwy butów ślizgają się w błocie, deszcz moczy mu twarz, a liście niskich drzew chłostają policzki.

Uświadomił sobie, że się boi, i dopiero tego naprawdę się przestraszył. Bał się o Coppolę i o siebie. Bał się, że umrze za wcześnie, zanim zdąży odpokutować za wszystko, co zrobił.

Był już u stóp ostatniego podejścia przed płaskim szczytem wzgórza, gdy usłyszał stamtąd głos Coppoli:

– Ręce do góry.

Kilka sekund całkowitej ciszy. A potem zaczął się koniec świata. Strzały i krzyki. Zobaczył otwartą przestrzeń oświetloną bladym światłem lampy naftowej. Zwłoki Tatò leżały przed drzwiami. Strzelano ze środka i zza szopy, a także zza dębu po jego lewej, oddalonego o jakieś dwadzieścia metrów. Tam musiał być Krasnal. Zdążył zobaczyć przerażonego Colajacona w kajdankach kryjącego się za pnem ogromnego drzewa.

Mircea wydawał polecenia po rumuńsku, Balistreri słyszał, jak wzywa Grega, Adriana i Giorgiego. Udało mu się zrozumieć, że mówi do nich: „Jest sam”. Miał pokusę, by zawołać do Coppoli, że tu jest, ale wiedział, że spowodowałby tym podwójne szkody, ujawniając swoją obecność i pozycję.

Z wewnątrz gruchnęła seria strzałów. Ogień zaporowy. Potem zobaczył sylwetkę Adriana, który wyskoczył zza szopy, strzelając raz za razem.

Korzystając z zamieszania, Balistreri wyszedł z ukrycia. Jednak jego ręka poruszała się w zwolnionym tempie, jakby stawiała ostatni opór przed naciśnięciem spustu pierwszy raz po wielu latach.

Coppola wyszedł zza drzewa, zrobił dwa szybkie kroki w bok i trzymając berettę oburącz, strzelił tak, jak uczono w szkole policyjnej. Kiedy Adrian padał z rozpostartymi rękami, Coppola już chował się za drzewem.

Z drugiej strony szopy wybiegł Giorgi, strzelając do Coppoli, Mircea osłaniał go ogniem ze środka.

Balistreri czuł, jak palec zdrętwiał mu na spuście. Coppola zawołał do niego, by się ukrył. Stał dalej oszołomiony, patrząc, jak Krasnal wychodzi z ukrycia. Jednym strzałem trafił Giorgiego prosto w głowę.

– *Dottore*, za drzewo! – zawołał do niego Coppola.

Balistreri otrząsnął się i zaczął biec. Prawie dobiegł, kiedy Mircea trafił go w lewy

bok. Zatoczył się. Gdy kuśtykał do drzewa, zobaczył pędzącego w jego stronę Grega.

Kto by powiedział, że umrzesz w taki sposób, obezwładniony strachem?

Coppola przykląkł i przeturlał się do dębu, strzelając bez przerwy. Greg upadł trafiony w serce.

Kiedy opowiesz to swojemu synowi, nie uwierzy. Już nigdy nie będziesz musiał wkładać butów na podwyższonym obcasie.

Krasnal wstał szybko, by schronić się za drzewem. W tej samej chwili kula trafiła go między łopatki. Upadł i zaczął się czołgać w stronę drzewa.

Zaskoczony Balistreri spojrział w kierunku, z którego padł strzał. Kiedy tak się wahał, kolejna kula z pistoletu Mircei trafiła go w prawą łydkę. Drzewo było zaledwie dwa metry dalej, ale nigdy do niego nie dotrze ze strzaskaną nogą i raną w boku. W tym momencie zobaczył wpatrzony w siebie szeroko otwarte oczy Colajacona.

– Pomóż mu – rozkazał, wskazując na leżącego na ziemi Krasnala.

Choć był w kajdankach, Colajacono przeciągnął Coppolę za drzewo, inspektor ważył tyle co dziecko. Potem wrócił i z trochę większym wysiłkiem zaciągnął za drzewo także Balistreriego. O dziwo, strzelanina ustała.

Krasnal miał otwarte oczy. Strużka krwi ciekła mu z ust.

– Jesteś wielki, Coppola, Ciro będzie z ciebie dumny – powiedział mu Balistreri.

Krasnal skinął głową i zamknął powieki.

Balistreri tracił dużo krwi. Wiedział, że w każdej chwili może stracić przytomność. Starał się ze wszystkich sił nie zemdlec i opanować dziką nienawiść, którą czuł.

Teraz zabiję tych bydlaków, to gówno, z którego powinniśmy wysprzątać całe Włochy. Colajacono miał rację.

Nagle przestał się bać. Był w pełni świadomy, wiedział, że ma jedną jedyną szansę.

– Podciągnij mnie do góry i trzymaj za pasek, nie blokuj ramion – powiedział do wciąż oszołomionego, ale posłusznego Colajacona.

Podkomisarz podtrzymał go, a Balistreri oparł cały ciężar ciała na lewej nodze. Mimo kajdanków mocarny Colajacono dał radę utrzymać go w równowadze.

Przygotował się. Wiedział, że może oddać tylko jeden strzał. Z Mirceą w ukryciu i sobą w takim stanie nie będzie miał więcej niż jedną szansę. Dostrzegł migotliwe światło w szopie i sylwetkę Mircei rzucającą cień na ścianie: krył się w rogu tuż pod oknem. Zważył wzięty wcześniej do ręki kamień, obliczył odległość: siedem, może osiem metrów.

Potrzebował mocnego rzutu. Siła w prawej. Precyzja w lewej. Kiedy był dzieckiem, w Afryce wygrywał zawody strzeleckie, trzymając broń w lewej ręce. Kiedy strzelał prawą, nie było w tym nic ciekawego, nie czuł żadnej przyjemności.

Tarcza strzelnicza, którą podarowała ci mama, kiedy miałeś siedem lat. Głowa niedźwiedzia pojawia się w okienku tylko na sekundę. I w tym momencie robisz: puf! Potrafisz tylko strzelać i bić się, Michelino. Tak właśnie mówił ci tato.

Ból się nasilał, krew nie przestawała płynąć, czuł, że głowa zaczyna mu się kiwać i że nie ma już wiele czasu. Chwycił beretę w lewą rękę. Zamachnął się prawą i rzucił tak, jak robił w dzieciństwie, kiedy strącał kruki z eukaliptusów. Kamień zatoczył idealny łuk i uderzył w ścianę szopy tam, gdzie po drugiej stronie była głowa Mircei, który odruchowo rzucił się do przodu. Kula trafiła go prosto w oko. Balistreri zobaczył, jak pada.

Colajacono nie miał już siły, by go trzymać. Balistreri osunął się na ziemię. W ostatnich chwilach przed utratą świadomości wydało mu się, że z lasu wychodzi jakiś cień i powoli zbliża się do nich. Powieki nie chciały mu się otworzyć. Przez pozostałą szczelinę widział tylko zabłocone buciory Colajacona. Nie wiedział, czy to prawda, czy sen. Głos podkomisarza dobiegał do niego jak z kilometrowej odległości.

– Chryste, zdejmijże ze mnie te jebane kajdanki.

Dobiegł do niego drugi głos, jakby dochodzący z jeszcze większej odległości.

– Spokojnie, glino, to już zaraz.

– Co kurwa zaraz? – syknął wściekły Colajacono.

Szept zmieszał się z całkowitą utratą świadomości.

– Śmierć.

Balistreri stracił przytomność, zanim zdążył usłyszeć strzał.

Interludium

Czwartek, 5 stycznia 2006

Poranne wydania gazet nie zdążyły zamieścić żadnej informacji o strzelaninie, jedynie wieści o podjętej przez zarząd miasta decyzji pozostawienia na miejscu obozu Casilino 900 i krótki artykuł Lindy Nardi zatytułowany *A gdyby zginął policjant...* Zastanawiający zbieg okoliczności, ale w ogólnym marazmie nikt jej o ten tekst nie zapytał.

Jednak nieszczęśliwe zejście się w czasie decyzji o opóźnieniu likwidacji obozu i strzelaniny, w której zginęli trzej wartościowi policjanci: Colajacono, Tatò i Coppola, a ciężko ranny został szef sekcji specjalnej Michele Balistreri, zapędziło do narożnika burmistrza i popierającą go większość. I przyczyniło się do jeszcze większego zakłopotania po stronie Kościoła, który do ostatniej chwili bronił imigrantów i ich praw. Donośne jak nigdy wcześniej i co niebywałe, wyrażane najzupełniej wprost głosy przeciwko ingerencji Watykanu w sprawy państwa dało się słyszeć nawet w izbie niższej i w senacie. Podczas gdy Kościół zalecał tolerancję z przekonania, a nie dla interesu, niektóre partie polityczne cynicznie wykorzystywały te wydarzenia dla celów wyborczych. Ktoś nawet poważił się na otwarte postulowanie rewizji konkordatu.

Papież pojawił się na swoim balkonie nad placem Świętego Piotra, by jak co niedziela odmówić z wiernymi Anioł Pański. Potępił przemoc i życzył wszystkim stronom wzajemnego porozumienia. Kiedy powiedział, że będzie się modlił za wszystkich, którzy zginęli, i że nietolerancja już nieraz w przeszłości prowadziła do eskalacji przemocy, z części zgromadzonego na placu tłumu, złożonego w większości z obywateli włoskich, podniosły się gwizdy. Włoskie telewizje wycięły ten fragment w dziennikach, ale CNN i media społecznościowe rozpowszechniły go na cały świat.

Także Linda Nardi widziała wszystkie te obrazy, łącznie z ich ocenzurowaną częścią. Później dowiedziała się, że po udanej operacji śledzony i kości piszczelowej stan Balistreriego jest stabilny i nie zagraża mu już niebezpieczeństwo. Wówczas kupiła w supermarkecie ogromne ilości prowiantu i zamknęła się w mieszkaniu. Zadzwoiła do swojego naczelnego, by go poinformować, że zamierza pisać w domu.

O świcie schodziła do kiosku pod domem, kupowała gazety i wracała do siebie. Czytała wszystko, selekcjonowała, wycinała, podkreślała, katalogowała. Zrobiła zwięzłe streszczenie wszystkiego na komputerze i zachowała plik w założonym znacznie wcześniej folderze zatytułowanym *Michele Balistreri*.

Plik zatytułowała: *Na czas, kiedy wyzdrowiejesz.*

Wtorek, 10 stycznia 2006

Unieruchomiony w szpitalu Balistreri miał czas, by wszystko przemyśleć. Odniesione rany dały mu sześć dni na dobre przygotowanie do pierwszego przesłuchania.

Poprosił pielęgniarkę o gazetę z 5 stycznia, tę, w której pisała Linda Nardi. Zobaczył tytuł *A gdyby zginął policjant...* i powziął decyzję. Po śmierci Belhrouza, Coppoli, Colajacona i Tatò nie chciał narażać na śmierć nikogo więcej. A zwłaszcza Lindy Nardi. Martwiło go to „a zwłaszcza”. Ta nieznajoma kobieta wślizgnęła mu się do myśli wbrew jego woli.

Całe lata zabrała mu praca nad tym, by stać się dorosłym mężczyzną, świadomym obowiązków, ryzyka i win. Teraz miał okazję, by ostatecznie pogrzebać Mike'a Balistreriego, pozbawionego lęku awanturnika, nieznającego kompromisów buńczuczny aroganta. Miał na sumieniu kilka ludzkich istnień, nie tylko ostatnio. I nie było żadnego sposobu, by to wymazać. Mógł jedynie żyć dalej, minimalizując szkody i prosząc o wybaczenie błędów.

Prawda miała swoją cenę, a w tym przypadku cena była zbyt wysoka. Podpisał milczący pakt z Niewidzialnym Człowiekiem.

Koniec polowania. Zatrzymam sobie swoich zmarłych i swoje wyrzuty sumienia i nie będę cię więcej szukał. Ale ty przestań zabijać.

Pytania prokuratora i Pasqualego były łatwiuteńkie. Dynamika wydarzeń została już zrekonstruowana i była oczywista. Colajacono i Tatò dostali cynk od swoich informatorów i pojechali do szopy czegoś poszukać. Zaskoczyli ich czterej Rumuni: kuzyni Lacatus oraz Adrian i Giorgi, którzy porwali Nadię i dostarczyli do Vasilego, a on później udusił ją przy pomocy drugiego pasterza. Colajacono i Tatò zostali zakuci w kajdanki i zamordowani z zimną krwią. Bohaterski nieszczęsny Coppola jechał za Colajaconem z polecenia Balistreriego, później dołączył do nich sam Balistreri, gdy Coppola zadzwonił do niego po wsparcie. Zadali mu tylko parę formalnych pytań, jedynie po to, by potwierdził ich rekonstrukcję wydarzeń.

Ani Pasquali, ani prokurator nie zapytali, czy widział kogoś jeszcze poza czterema Rumunami. Nie wydawało się zresztą, by mógł istnieć jakiś inny trop. Wszystkie kule w ciałach Coppoli, Tatò i Colajacona oraz te, które niemal pozbawiły życia Balistreriego, wystrzelono z sześciu pistoletów znalezionych przy martwych Rumunach. Prokurator i Pasquali pogratulowali mu ostatniego strzału do Mircei, żaden nie zapytał, jak mu się udało ocalić skórę w tym stanie.

Bo Niewidzialny Człowiek nie chciał mnie wykończyć. Chciał mnie właśnie takiego: przegranego na zawsze.

Linda przejrzała wszystkie stare gazety, które kazała sobie przynieść: najstarsze były z 1970 roku. Wiedziała, że do lata owego roku Balistreri mieszkał w Libii, ale nic nie znalazła na jego temat w tym okresie. Potem, jesienią 1970 roku, pojawił się w Rzymie na uniwersytecie.

Młody Balistreri ze zbyt pewnym siebie spojrzeniem. W grupie innych chłopaków, podobnie jak on dumnych i przekonanych do swoich ideałów. Zebrania chwalcące honor, lojalność, odwagę i ojczyznę. A potem dwustronne topory, motta wzięte od SS, salut rzymski, czarne koszule, ranni, policyjne suki, gaz łzawiący i rzucanie kamieniami na uniwersytecie i na tybrzańskich mostach. Nigdy bezpośrednio nie był uwikłany w zbrodnie polityczne, strzelaniny ani zamachy.

Pod koniec 1973 roku chadecki rząd zdelegalizował Ordine nuovo i zaarrestował jego przywódców, ale począwszy od następnego roku, po Michele Balistrerim zaginął wszelki ślad. Linda Nardi nie znalazła nic więcej ani w prasie, ani w oficjalnych dokumentach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nawet adresu domowego czy konta w banku. Nic.

Aż do czerwca 1978 roku, miesiąc po zamordowaniu Alda Moro. Wtedy Michele Balistreri pojawia się znowu, kończy uniwersytet, uzyskując magisterium z filozofii, wstępuje do policji, wygrywa konkurs na komisarza i od 1980 roku zbija bąki jako szef komisariatu w Vigna Clara, najspokojniejszej dzielnicy Rzymu.

Połączyć dzisiejszego mężczyznę z tamtym chłopakiem było dla niej w niektórych aspektach niezwykle łatwe, w innych niemal niemożliwe. Honor, lojalność i odwaga wciąż tam były, choć w formie dawnych wspomnień rozmytych w lepkiej rzeczywistości. Łatwo było sobie wyobrazić Balistreriego z pistoletem w garści w 1970 roku, ale tylko najwyższa konieczność mogła sprawić, by dzisiejszy Balistreri strzelał do tamtych Rumunów na wzgórzu.

Zastanawiała się, czy jest jeszcze możliwe przywrócenie tego mężczyzny do jego pierwotnej natury, aby wyciągnąć zło z piekieł i zniszczyć.

Luty-marzec 2006

Alberto, Mastroianni, Piccolo, Corvu i Angelo Dioguardi tak się zorganizowali, by nigdy nie był sam w godzinach odwiedzin. W połowie lutego skorumpowali pielęgniarkę oddziałową i izolotka Balistreriego zaczęła gościć wieczornego pokera. Na przekór uwodzicielskim mocom Mastroianniego pielęgniarka oddziałowa kategorycznie nie zgodziła się na palenie, więc marznąąc, grali przy otwartym oknie, żeby Balistreri mógł się parę razy zaciągnąć. Ani słowa o ofiarach, o ENT, o pracy. Tylko poker i jeden wieczorny papieros.

Balistreri nie widywał się z nią, ale czuł się tak, jakby w swoich pojawiających się co jakiś czas artykułach Linda zwracała się wprost do niego. Ich niezwykła powściągliwość i brak związku z jego sprawami były jak wiadomość. Puste artykuły w oczekiwaniu na możliwość rozmowy. I na tej wyobrażonej obietnicy Balistreri zbudował nadzieję. *Spokojnie wracaj do zdrowia, Michele, czekam na ciebie.*

Kiedy lekarze uznali, że już pora, by wrócił do domu i rozpoczął rekonwalescencję poza szpitalem, Balistreri poczuł się niemal zagubiony. Przyzwyczał się do tego miejsca, gdzie docierały tylko stłumione echa zewnętrznego świata i piękne, dobre rzeczy wnoszone przez brata i przyjaciół. Myśl o powrocie do mieszkania nieopodal biura była dla niego udręką, tak samo jak idea bezpośredniego kontaktu z miastem. Mury tego szpitala tworzyły ostatnie alibi dla jego kapitulacji. Wewnątrz nich nie mógł nic zrobić. Kiedy znajdzie się na zewnątrz, powrót do ścierania się ze światem będzie już tylko kwestią jego decyzji.

Tylko jedna rzecz związana z koniecznością opuszczenia szpitala go pociągała: znów zobaczy Lindę Nardi. Umysł odmawiał mu posłuszeństwa, im bardziej zabraniał sobie myślenia o niej, tym bardziej obecna była w jego wyobraźni. Niepokoiły go za to rozmowy, które będą prowadzić, i zupełna nieobecność cielesnego pożądania. Miał zdecydowane poczucie, że już nieodwołalnie stał się starcem.

Przed południem 15 marca, w dniu wypisu ze szpitala, otworzył okna na promienny poranek, jeden z tych, które w Rzymie zwiastują bliskie nadejście wiosny. Siedział w fotelu gotów do podpisania papierów, kiedy pielęgniarka oznajmiła mu niezaplanowane odwiedziny.

Linda Nardi zrobiła się jeszcze piękniejsza.

Może po raz pierwszy patrzę na nią innym wzrokiem. Wzrokiem żołnierza, który wraca z wojny. Pokonany, ale żywy.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem wyciągnęła do niego rękę. Wstał chwiejnie, opierając się na kulach, potem pozwolił się objąć. Milczące, nieruchome objęcie

z korzeniami w bardzo odległej przeszłości.

Wiosna 2006

Od tamtego dnia Linda stała się jego trzecią podporą. Nie rozmawiali o tym, nie podejmowali decyzji. Stało się i już. Umieściła go w pokoju gościnnym swojego małego penthouse'u. Rano zawoziła go do fizjoterapeuty. Po południu, wykorzystując piękną rzymską wiosnę, zmuszała go do długiego spaceru kipiącymi od turystów i młodzieży ulicami historycznego centrum i Zatybrza, by z powrotem przyzwyczał się do chodzenia.

Kiedy był już zmęczony, wracali do jej mieszkania, siadali na ukwieconym tarasie z widokiem na kopułę Bazyliki Świętego Piotra i jedli kolację, którą przygotowywała. Nigdy nie rozmawiali o tamtej nocy, kiedy o mało nie zginął, ani o zamordowanych dziewczynach. On o tym nie wspominał, więc i ona obchodziła temat z daleka.

Linda poznała jego przyjaciół i rodzinę brata i zaczęli oboje uczestniczyć w typowej towarzyskiej rutynie, którą zawsze – jak mu się wydawało – pogardzał. Odwiedzały ich różne pary: Alberto z żoną co sobotę, Angelo i Margherita niemal co wieczór. Corvu i Piccolo wpadali często po pracy. Powrócili nawet do cotygodniowego pokera, a wtedy Linda zwykle wychodziła gdzieś z Margheritą.

Mogliby być najzwyczajniejszą w świecie parą, gdyby nie brak seksu. O północy mówili sobie dobranoc i każde szło spać do swojego pokoju.

Jestem w niej zakochany? W takim razie czemu odczuwam nieprzekraczalną barierę?

Mijały dni. Pewnego wieczoru pod koniec maja wrócili do domu i postawili obok siebie dwa krzesła zwrócone w kierunku kopuły Bazyliki Świętego Piotra.

Te dziesięć tygodni wspólnego życia było oczyszczające. Teraz pragnął jedynie milczenia Lindy. Jak trzydzieści sześć lat wcześniej, na tej plaży po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

Zorientował się, że ramieniem obejmuje Lindę. Powoli odwróciła się w jego stronę, jej twarz była parę centymetrów od niego. Żadnej zmarszczki, spokój w oczach.

To twoja decyzja, Michele.

Przypomniał sobie o milczącym pakcie, który zawarł z Niewidzialnym Człowiekiem tamtej nocy.

Nie będę cię więcej szukał. Ale ty przestań zabijać.

Nieoczekiwanie poczuł się tylko starym policjantem chroniącym coś bezcennego, coś, czemu nie wolno uczynić najmniejszego nawet zła, co należy chronić przed wszystkimi, począwszy od samego Balistreriego, od jego grzechów i wyrzutów sumienia.

Bo nie wolno robić krzywdy wróżkom...

Minęła chwila. Linda położyła głowę na jego ramieniu i zasnęła.

Następnego wieczoru znów siedzieli w tym samym miejscu w milczeniu, ciesząc oczy ciepłym zmierzchem zwiastującym początek długiego rzymskiego lata. Balistreri następnego dnia miał wrócić do służby.

– Muszę cię zapytać o coś bardzo osobistego, Michele.

W głosie Lindy pobrzmiwało coś dziwnego, na bezpośrednie pytania nie było dotychczas miejsca w ich relacji.

– Sprawiasz, że się niepokoję – zażartował Balistreri.

Była poważna, wyraźnie było jej przykro, że musi zadać to pytanie:

– Chciałabym wiedzieć, czy w latach, kiedy angażowałeś się w działalność polityczną, przyczyniłeś się do czyjejś śmierci.

Balistreriego uderzyła niebezpośredniość sformułowań.

Kiedy angażowałeś się w działalność polityczną... przyczyniłeś się do czyjejś śmierci...

A przecież na pewno wiedziała, że aż do listopada 1973 roku Balistreri był faszystowskim bojówkarzem i jednym z liderów organizacji Ordine nuovo, zdelegalizowanej pod zarzutem prób reaktywacji partii faszystowskiej. I z pewnością, jako dobra dziennikarka, zadała sobie pytanie, dlaczego nie został wtedy aresztowany i oskarżony wraz z innymi przywódcami organizacji.

– Czy to by zmieniło coś między nami, Lindo?

Zastanowiła się chwilę.

– Muszę wiedzieć, kim jesteś dzisiaj, Michele. I dlatego muszę wiedzieć coś o tamtych czasach.

Balistreri nie zapytał o powód. Ufał jej i wierzył w prawość motywów, którymi się kieruje.

– Nigdy nie zabiłem ani nie kazałem zabić niewinnych ludzi. Ale w grupie, do której należałem, byli i tacy, co sądzili, że kule i bomby to jedyny sposób walki.

– A ty?

– Po rozwiązaniu Ordine nuovo starałem się z powrotem przekonać do działalności ściśle politycznej grupę młodych ludzi, którzy mieli w głowie jedynie walkę zbrojną. I przegrałem.

– Gdzie byłeś między siedemdziesiątym trzecim a siedemdziesiątym ósmym?

Powiedziała to serdecznym tonem, ale to pytanie otwierało przepaść nie do pokonania.

Wciąż byłem członkiem tej grupy, w jej władzach. Podpisałem lojalną i szpiegowałem ich.

– Nie mogę ci powiedzieć, Lindo. Również dla twojego bezpieczeństwa nie mogę. Ukryła jego dłoń w swoich.

– Wiem, że nie zabijałeś niewinnych. Ale kiedy znalazłeś się blisko kogoś, kto chciał mordować niewinnych? Pozwoliłeś mu na to czy powstrzymałeś go?

Moi dawni koledzy, z którymi zaczynałem. Ci, których zdradziłem, ponieważ oni zdradzili siebie i myśleli, że walka polega na wsadzeniu bomby do kosza na śmieci pośrodku placu pełnego ludzi.

– Zrobiłem, co mogłem. Wszystko, co mogłem, by walczyć z tym, co uważałem za niesprawiedliwe i niehonorowe.

– A dziś zrobiłbyś to samo?

Już wiele razy wcześniej zdarzało się, że pytanie Lindy Nardi go zdumiewało.

– Dzisiaj zabiłbym tylko wtedy, gdybym był zmuszony. Jak pięć miesięcy temu na tym przeklętym wzgórzu.

Skinęła potakująco głową, lecz jej oczy mówiły „nie”. Jej ręce się otwarły i dłoń Balistreriego była teraz wolna, lekka i samotna.

CZĘŚĆ TRZECIA

Niedziela, 9 lipca 2006

Przed południem

Minął miesiąc, odkąd wrócił do pracy. Spokojne dni. Nikt po jego powrocie do biura nie wspominał o strzelaninie ani zamordowanych dziewczynach. Sprawa była już w rękach prokuratury, zabójcy siedzieli. Czterej pracownicy Hagiego, wspólnicy Vasilego, którzy oddali Nadię za samochód potrzebny im do dokonania jakiejś kradzieży, zginęli. Mordercą Papy Camarà był nieznany motocyklista, który prawie na pewno posprzeczał się wcześniej z bramkarzem o prawo wejścia do Bella Blu. Żadnego związku między tymi dwoma sprawami. A tym bardziej żadnego związku między ENT a służbami specjalnymi.

Balistreri żył z Lindą, ale bez Lindy. Z miłością, lecz bez seksu. Brał się za rzeczy, których nigdy wcześniej nie robił: naprawiał nieszczelną rurę, oglądał kryminały w telewizji, próbował grać w golfa. Umorusany smarem i ropą spędził w garażu całą niedzielę, próbując doprowadzić do stanu używalności jej stary skuter.

Spokój, o którym mówiliśmy trzydzieści sześć lat temu. Życie we dwoje, dom, przyjaciele, praca, wychowywanie dzieci. Spokój, na który nie zasłużyłem.

W samym środku letniego bezwładu narodowa pasja do piłki nożnej spowodowała na nowo szybsze bicie serc. Ostatnie dni przebiegły w rosnącym zbiorowym delirium. Włoski marsz do finału berlińskiego mundialu przeciwko Francji był równie nieoczekiwany jak dwadzieścia cztery lata wcześniej i wywołał podobny efekt. Włoskie flagi powiewały na wszystkich balkonach, każdego wieczoru centra miast blokowały samochody pełne świętujących ludzi. W biurach, kościołach, szpitalach i na ulicach nie mówiono o niczym innym. Bary i restauracje serwowały niemal wyłącznie dania w barwach narodowych: pomidor–mozzarella–sałata albo arbuz–biały melon–kiwi. Innymi słowy nastąpiło ponowne powszechne odkrycie starej dobrej trójkolorowej flagi kraju dręczonego właśnie pomysłem secesji północy i wyznaczenia granicy na południe od Padu. W dusznym lipcowym upale każdy prawdziwy Włoch stawał się bezpośrednim uczestnikiem wielkiej sportowej przygody w sercu ziemi niemieckiej.

Nawet polityka i wielkie starcie z imigrantami zeszyły z pierwszego miejsca w telewizyjnych wiadomościach, prasie i tematach rozmów. Co więcej, wielu obcokrajowców, jedni z przekonania, inni z czystego oportunistycznego kibicowania Italii. I robili świetne interesy, sprzedając podrabiane błękitne koszulki reprezentacji na rogu każdej ulicy. Podczas świętowania kolejnych zwycięstw wszyscy ściskali się ze

wszystkimi. Ci, którzy niedawno zginęli, nie obchodzili już nikogo.

Balistreri i Dioguardi usłyszeli się przez telefon około dziesiątej rano.

– Może podczas meczu pójdziemy z Lindą i Margheritą na piękny spacer po pustym centrum? – zaproponował Balistreri.

– Margherita zdecydowanie chce zobaczyć finał, wszyscy idą oglądać mecz do twojego brata. Przekonała nawet Lindę, mówi, że my dwaj jesteśmy aspołeczni.

– W takim razie chodźmy obaj, dziewczyny dołączą do nas potem. Nasi przegrają i centrum będzie puste.

– Wygrają, Michele. A Margherita i Linda pójda świętować z innymi.

– Linda w życiu nie wyszłaby na imprezę uliczną, Angelo.

– Ale Italia wygra i dojazd z domu Alberta do centrum zająłby Lindzie trzy godziny.

W sumieniach czuli wyraźne *déjà vu*, świadomie ignorowali je w słowach. Nigdy nie rozmawiali o tamtej nocy w 1982 roku, ale nieuniknione było, że piłka nożna będzie ich najmniej interesowała. Wspólnie postanowili to, co i tak było jedynym możliwym rozwiązaniem: spacer po pustym centrum, a po meczu, jeśli Włosi przegrają, dalszy spacer. Albo strategiczne wycofanie się na taras Lindy, jeśli wygrają. Tylko oni dwaj.

Dla Giovanni Sordi ten poranek był taki sam, jak wszystkie inne poranki od dwudziestu czterech lat. Tramwaj na cmentarz Campo Verano o ósmej trzydzieści. Niedziela była dniem zmiany kwiatów. Tulipany dla romantycznej duszy Elisy, czerwone goździki dla socjalistycznej Amedea. Krótkie, skoncentrowane wspomnienie, bez łez. *Wieczny odpoczynek* wyrecytowany samymi wargami: dwadzieścia cztery razy za Elisę, dziesięć za Amedea. Potem znowu tramwajem do starego domu na przedmieściu, z którego nigdy się nie wyprowadziła. Msza o dwunastej w południe w kościele parafialnym. Spowiedź pozbawiona grzechów z wyjątkiem jednego, tego samego, którego stary ksiądz nawet nie słuchał, tylko udzielał rozgrzeszenia, nieznaczając pokuty.

Panie, powiedz mi chociaż, kto to był.

Wieczorem

Spacerując po centrum Rzymu, czuli się jak na Księżycu. Nawet nieświadomych turystów, którzy nigdy w życiu nie widzieli żadnego meczu piłkarskiego, wessały place, gdzie na ogromnych telebimach wyświetlano finał. Na opustoszałych ulicach totalne milczenie przeplatało się z kolektywnym rykiem. Nie dało się zupełnie zignorować przebiegu spotkania, remisu w przepisowym czasie gry i początku dogrywki.

W przypadku Balistreriego i Dioguardiego do wrażeń słuchowych dołączało

uczucie, które nie miało nic wspólnego z tym meczem. Spacerowali w milczeniu, a im dłużej szli, tym wyraźniejsze stawało się to wspomnienie. Powoli, delikatnie i nieubłagane, krok za krokiem, nabierało mocy niczym gęsty śnieg padający w zimowy wieczór. Otoczeni oszłamiającym, niezrównanym pięknem cichego centrum włączyli się przez niemal dwie godziny, nie zamieniając ani słowa.

Kiedy mecz doszedł do okrutnego zakończenia w postaci serii rzutów karnych, wyczerpani i bladzi stanęli przed drzwiami Lindy Nardi. W ciszy wstrzymywanego przez miliony osób oddechu zapalili papierosa długiego na dwadzieścia cztery lata. Wbiegli po schodach, kiedy oszalały tłum wylewał się z mieszkań na ulice. Schronili się na tarasie Lindy, gdy wokół nich, nie bacząc na nic, rozlewała się fala radości, do której dołączyły petardy i wielobarwne sztuczne ognie.

W czasie podobnego szaleństwa, kiedy my mieliśmy wszystko w dupie, jakiś potwór rozerwał ją na kawałki.

Balistreri usłyszał blisko siebie świst i odwrócił się, by zobaczyć cud pirotechniki. Biały ogon pędził prosto w górę, by za chwilę wybuchnąć tysiącem kolorów. Tymczasem doleciał tak wysoko, jak mógł – i zgasł.

Poniedziałek, 10 lipca 2006

Po południu

To była wyczerpująca noc hałaśliwego świętowania, po niej nastąpił dzień niekończących się rozmów, pompatycznych tytułów w gazetach, koszulek mistrzów świata sprzedawanych nawet przed cmentarzami i szpitalami. Praktycznie nikt nie pracował, a jeśli ktoś próbował, inni patrzyli na niego jak na wariata. Żeby oderwać się od biurowej paplaniny, Balistreri dał się wyciągnąć Lindzie na spacer późnym popołudniem.

Po upływie pół godziny wciąż jeszcze słaba noga i wiek zaczęły domagać się przerwy i dobrej kawy. Usiedli w barze przy piazza Navona.

Przy stoliku obok siedziało małżeństwo z dwojgiem nastoletnich dzieci. Balistreri dosłyszał, jak matka czyta: „Piazza Navona powstał w I wieku naszej ery, ale nie jako plac, lecz stadion...”.

Syn burknął z ustami pełnymi ciasta czekoladowego:

– I grała tu Roma?

Matka jakby nigdy nic czytała o historii fontanny, o rywalizacji między Berninim i Borrominim, o czterech wyrzeźbionych na fontannie postaciach, alegoriach wielkich rzek świata, i o jednej z nich, przedstawiającej Rio de la Plata, która w taki sposób unosi rękę, jakby chciała zasłonić sobie oczy przed widokiem kościoła Sant' Agnese.

– A wszystko to gówno prawda – skomentowała córka, wycierając wierzchem dłoni resztkę kremu z ciastka w kąciku ust.

W pewnym momencie rodzeństwo bez słowa wstało i podeszło do witryn sklepowych eksponujących firmowe bluzy, iPody i najnowsze modele telefonów. Matka odłożyła przewodnik i spojrzała na męża pogrążonego w lekturze bieżącego wydania „Corriere dello sport”, które w najdrobniejszych szczegółach opisywało wielki włoski triumf piłkarski.

– A ty czemu nic nie mówisz? Twoje dzieci...

Przerwał jej, zaledwie o centymetr opuszczając gazetę.

– Dzieci to ty wychowałaś, ja przynoszę do domu pieniądze.

Kelner podał dwie kawy wraz ze szklaneczkami wody. Już niewiele barów podtrzymywało tę tradycję. Balistreri ją lubił. Pamiętał z dzieciństwa, jak służąca pojawiała się z tacą w gabinecie jego ojca. Tato dziękował skinieniem głowy, nie odrywając oczu od papierów, upijał łyk wody, a potem brał się do kawy.

Rzucił okiem na sąsiedni stolik, sportowy rodzic oparł gazetę o stół i czytał dalej.

Wzrok Balistreriego padł na tytuł zagubiony wśród wywiadów z herosami piłki, schowany gdzieś w rogu, by nie psuł narodowej radości: *Tragedia dwóch mundiali*.

Wstał i zbliżył się do stolika.

– Przepraszam – powiedział do zatopionego w lekturze ojca.

Tamten podniósł poirytowany wzrok, już gotów dać odpór namolnemu handlarzowi imigrantowi. Kiedy zobaczył typowo włoską twarz, nieco zmiękł.

– O co chodzi? – zapytał mimo wszystko zirytowanym tonem.

– Już nic, przepraszam – odpowiedział Balistreri, dostrzegając otwarty kiosk z gazetami w głębi placu.

Odprowadzany zaskoczonym spojrzeniem Lindy poprosił o „Corriere dello sport”.

Sprzedawca zaczął się śmiać.

– Ależ drogi panie, dzisiaj wszystkie dzienniki wyszły już przed dziesiątą.

– Polityczne też?

– Nawet polityczne piszą dziś tylko o drużynie narodowej. Wszystko wyprzedane.

Balistreri wrócił do zawziętego czytelnika przy sąsiednim stoliku.

– Przepraszam, bardzo mi potrzebna pańska gazeta, dam panu za nią dziesięć euro.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Ta gazeta jest bezcenna i będzie wisiała w moim salonie przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Jest pan przecież Włochem, prawda? Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

– Dobrze. W takim razie chciałbym tylko przeczytać notatkę, która mnie interesuje, potem panu oddam gazetę.

– Co chce pan przeczytać? – zaciekawiał się.

Balistreri wskazał mu tytuł. Tamten zmarszczył brwi.

– Co do cholery ma wspólnego ta informacja z takim pięknym dniem?

Spojrzenie Balistreriego kazało mu zmienić ton.

– Niech pan sobie weźmie tę stronę, ona mi niepotrzebna – powiedział, by już mieć go z głowy.

Siedząc koło Lindy na placu pełnym radosnego tłumu, Balistreri zaczął czytać.

Tragedia dwóch mundiali. Wczoraj wieczorem, rzuciwszy się z balkonu swojego mieszkania, popełniła samobójstwo Giovanna Sordi. Kobieta zginęła w chwili, kiedy Włosi trzymali w rękach puchar świata, i tym samym upodobniła się do swojej córki Elisy, barbarzyńsko zamordowanej dwadzieścia cztery lata temu, w dniu naszego poprzedniego mundialowego zwycięstwa w Hiszpanii. Mrożący krew w żyłach zbieg okoliczności? A może ponowne zwycięstwo naszej drużyny narodowej obudziło w nieszczęsnej kobiecie wspomnienia tak bolesne, że nie do wytrzymania? Sprawa morderstwa Elisy Sordi, która w tamtym czasie przez kilka tygodni nie schodziła z pierwszych stron gazet, pozostała dotąd niewyjaśniona i nikt nie został formalnie

oskarżony. Niestety wielka radość wielu z nas złączyła się z tą straszliwą osobistą tragedią.

Zbyt wrażliwy redaktor, notatka musiała umknąć czujnemu wzrokowi naczelnego.

Nagły ścisk żołądka. Inny od tych, z którymi nauczył się żyć już od lat. Zdawał się pochodzić nie z tego co zwykle punktu blisko przełyku, ale z jakiejś odległej, głębszej, bardziej fundamentalnej przestrzeni.

Zapalił papierosa. I pomyślał o rodzicach Elisy Sordi. Oboje pochodzili z biednych rodzin, on był robotnikiem na przedwczesnej emeryturze, ona kelnerką. Przypomnił sobie, jak tuż przed rozpoczęciem finałowego meczu nalegali na wszczęcie śledztwa, co wtedy uznał za natręctwo, potem ich powściągliwą rozpacz po odnalezieniu ciała Elisy i pana Amedeo, który codziennie rano pojawiał się w sekcji zabójstw, by zapytać, czy są jakieś nowe wiadomości. Zajmował miejsce gdzieś w kącie, czytał lewicowy dziennik „L’Unità”, całymi godzinami siedział tam w milczeniu, z czasem przestano się nim przejmować. Robił to codziennie przez dwa lata. Wreszcie ktoś, może nawet jego adwokat, dał mu grzecznie do zrozumienia, że to nic nie da i że trochę przeszkadza.

Giovanna Sordi czekała dwadzieścia cztery lata, aż ktoś jej powie, kto i dlaczego zabrał jej Elisę. I kiedy dwadzieścia cztery lata później Italia, mistrzyni świata w piłce nożnej, powiedziała jej, że nie, nadal nic nie wiadomo i nie ma sposobu, by się dowiedzieć, postanowiła z sobą skończyć.

Wiedziony nagłym impulsem postanowił zadzwonić do Angela. Linda patrzyła na niego, głęboka pionowa bruzda przeorała jej czoło. Angelo odpowiedział po pierwszym sygnale:

– Michele, doszedłeś już do siebie po petardach?

Przeczytał mu artykuł. Potem nastąpiła długa cisza. W końcu Angelo Dioguardi rozłączył się, nie mówiąc ani słowa.

Wtorek, 11 lipca 2006

Przed południem

Zbyt długo zwlekał z tą wizytą. Przynagliło go samobójstwo Giovanni Sordi.

Można przynajmniej prosić o przebaczenie.

Linda zaproponowała, że go zawiezie. Znacznie mniej czasu zajęło im przejechanie z Rzymu na przedmieścia Neapolu niż dotarcie z przedmieść do centrum. Balistreri wykorzystał ten czas na lekturę gazet, omijając długi ciąg artykułów na temat mundialowego triumfu. Dzienniki wspominały o licznych uczestnictwie imigrantów w świętowaniu włoskiego zwycięstwa. Jakby z tego powodu stali się nagle osobami godnymi zamieszkania we Włoszech. Potęga piłki.

Linda z całkowitym spokojem prowadziła samochód w piekielnym ruchu ulicznym, za to Balistreri klął pod adresem kierowców, którzy trąbili, kiedy zatrzymywali się na czerwonym świetle, próbując na nich wymusić, by jechali, nie bacząc na sygnalizację. Neapol był obwieszony flagami narodowymi jeszcze bardziej niż Rzym. Przez ulice przelewała się gęsta ludzka ciżba. Uprzedzili Lucię Coppolę, że przyjadą przed południem, tymczasem była już prawie pierwsza.

Mieszkanie było małe, ale z niewielkiego tarasu rozciągał się widok na całą zatokę.

– Należy do moich rodziców – wyjaśniła Lucia, prosząc, by się rozgościli. – Są na wakacjach na Capri.

Była piękną kobietą, dużo bardziej atrakcyjną od Coppoli. I bardzo wysoką. Wszędzie w mieszkaniu wisiały fotografie jej męża. Z Lucią w czasach licealnych, ze ślubu, z wakacji. I z Cirem, wspaniałym Cirem w każdym wieku, im starszym, tym wyższym. Lucia była pogodna, jakby Krasnal miał wieczorem wrócić z pracy. Pokazała fotografię, którą im zrobiła, kiedy świętowali przyjęcie Giulii Piccolo do zespołu. Na schodach przed biurem Balistreri stał pomiędzy Piccolo, Corvu, Mastroiannim, a Krasnal roztropnie zajął miejsce za nimi na najwyższym stopniu.

Stół z nakryciami dla czworga był przygotowany na zacienionym tarasie. Cudowny zapach sosu i świeżej bazylii przyznał Balistreriego do kuchni.

– Ciro poszedł na trening, będzie za chwilę – wyjaśniła Lucia.

Kiedy wraz z Lindą pilnowali gotującego się makaronu, odezwał się dzwonek do drzwi i Balistreri poszedł otworzyć. Przygotował sobie parę słów, ale chudy chłopak poważnie wyciągnął do niego rękę i patrząc mu w oczy, powiedział:

– Tato miał o każdym coś złego do powiedzenia, ale o panu nigdy.

Przy stole rozmawiali o zwycięstwie Błękitnych i oszałamiającym pokazie

sztucznych ogni nad zatoką – było ich tak wiele, że zrobiło się jasno jak w dzień. Potem Ciro opowiedział o zaliczonym sprawdzianie w drużynie Napoli Basket. Miał zacząć grać w przyszłym roku.

– A nauka? – zapytał Balistreri, pamiętając o obsesji Coppoli, który chciał, by syn skończył liceum i poszedł na prawo.

Ciro poszukał wzrokiem matki.

– Tak sobie – powiedziała lekko. – To był trudny rok, ale poprawi się.

Po kawie Lucia i Linda zajęły się sprzątaniami ze stołu, a Balistreri poszedł z chłopakiem do jego pokoju. Był pełen plakatów ze sportowcami i piosenkarzami. Niewiele widział książek. Nad łóżkiem niezwykle zdjęcie Krasnala w stroju koszykarskim kończącego dwutakt.

– Nieźle grał – powiedział Ciro. – Kiedy był młody, miał dobre wyniki jako rozgrywający.

Usiedli na brzegu łóżka. Stary człowiek i jeszcze dziecko. Przez chwilę obaj patrzyli na tę fotografię, która mówiła wszystko bez słów. Potem Ciro zaczął:

– Mama mówi, że to absolutnie nie była pana wina.

Balistreri nie wiedział, co powiedzieć.

Chłopak ciągnął, uśmiechając się do niego:

– Został pan ranny, biegnąc na pomoc tacie.

Jadąc do Neapolu, obiecał sobie, że nie będzie mówił temu dzieciakowi, czym może być przemoc. Ale ta fotografia zmieniła wszystko. Opowiedział mu, jak jego ojciec wyszedł z ukrycia, by uratować mu życie, jak przeturlał się po ziemi niczym w filmie i jednym strzałem powalił człowieka, który chciał go zabić. Powiedział, że dopiero strzałem w plecy udało im się go zatrzymać. Oczy chłopaka błyszczały z dumy.

Już nigdy nie będziesz musiał wkładać butów na podwyższonym obcasie.

Przy pożegnaniu Ciro przyniósł mu płaską paczuszkę.

– Tato miał terminarz, w którym zapisywał notatki z pracy, oddano go nam wraz z resztą jego rzeczy. Chcę, by pan go miał.

Patrząc na tego wspaniałego chłopaka, który już nigdy nie usłyszy, jak ojciec kibicuje mu na boisku czy chwali go za stopnie, poczuł, jak zimna furia budzi się w jego wnętrzu, ta sama, którą po tamtej nocy na wzgórzu starał się od siebie oddalić i zapomnieć o niej.

Za dwadzieścia cztery lata Lucia i Ciro wciąż nie otrzymają sprawiedliwości, tak samo jak Giovanna Sordi.

Wieczorem

Balistreri otworzył terminarz inspektora Coppoli, kiedy wrócili do mieszkania Lindy

i usiedli na tarasie, patrząc na zachód słońca. Popijał odrobinę białego wina, Linda jak zawsze miała wodę i zdawała się całkiem zatopiona w myślach.

Krasnal był dokładny, obok daty notował również godziny wydarzeń. Terminarz był z 2006 roku, dopiero napoczęty, jednak w ciągu pierwszych trzech dni Coppola zapisał mnóstwo rzeczy. Ostatnia adnotacja pochodziła z 4 stycznia o ósmej wieczorem, Coppola zapisał ją natychmiast po tym, jak Balistreri kazał mu śledzić Colajacona:

Powiedzieć B. o Carmen. Zadzwoń do Cabota. Rozmawiałem z Carmen i wyszła jedna sprawa.

To były ostatnie słowa Krasnala przed wyjściem z gabinetu Balistreriego tamtej przeklętej nocy.

Z tyłu terminarza były numery telefonów dokładnie uporządkowane. Natychmiast znalazł to, czego szukał. Czuł jeszcze wściekłość na samo wspomnienie Cira i Lucii siedzących samotnie w tamtym mieszkaniu. Inaczej nie pozwoliłby sobie na taką nieostrożność, by dzwonić z własnej komórki.

Głos z obcym akcentem odezwał się po pierwszym dzwonku:

– Tu Carmen.

– Dzień dobry, jestem Balistreri, z policji. Przełożony inspektora Coppoli, który w styczniu...

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu. – Gazety dużo o tym pisały kilka miesięcy temu. Przykro mi z powodu Coppoli.

– Dziękuję. Potrzebna mi pani pomoc. W dniu swojej śmierci Coppola rozmawiał z panią.

– Tak, biedak. Przypominam sobie. Powiedział mi, że jego syn wieczorem gra ważny mecz koszykówki.

– Właśnie. Niestety, nie miał czasu złożyć raportu na temat tego, o czym rozmawialiście, i zastanawiam się, czy...

– Widzi pan, pomogłabym chętnie, tylko że minęło już dużo czasu. Ale nic nowego mu nie powiedziałam.

Widział, że Linda słucha tego, co mówi.

– Bardzo proszę, może pani sobie przypomni. Prosiłem go, żeby raz jeszcze zapytał o przebieg rozmowy telefonicznej z pani chłopakiem tamtej nocy, kiedy... kiedy...

– Kiedy ten skurwiol na motorze go zabił – pomogła mu.

– Chciałem być pewny co do godziny.

– Już tyle razy to powtarzałam: zadzwonił do mnie o drugiej czternaście. To przecież widać w billingach naszych telefonów. Zadzwoił, żebym wiedziała, jak się czuje. Powiedział, że musi często chodzić do toalety, ale chyba nie ma gorączki. Zapytałam, czy ma spokojny wieczór. Powiedział, że tak, a potem opowiedział o tym idiocie, który

podjechał na motorze i obraził go bez powodu.

- A pani zapytała, czy miał problemy z tym facetem?
- Zapytałam, ale powiedział, że tamtego wieczoru nic innego się nie wydarzyło.
- A potem co pani powiedział?
- Chyba już nic, nie pamiętam więcej.
- Rozmowa trwała dwie i pół minuty, nie opisał wyglądu motocyklisty?

Chwila wahania.

– Nie, wtedy pytał mnie o to także Coppola, ale Papa powiedział mi tylko, że był dziwny i że miał kask integralny.

- Ale dlaczego dziwny? Nie mógł zobaczyć jego twarzy, skoro miał kask integralny.
- Nie on, tylko motocykl był dziwny.
- W jakim sensie?
- Powiedział tylko, że dziwny. Nic więcej. I że gość miał kask integralny.

Balistreri pożegnał Carmen i zastanowił się. Odszukał w palmtopie sprawozdanie z rozmowy Coppoli z Fredem Cabotem. Czytając je po raz kolejny, uświadomił sobie, że jest bardzo zwięzłe. Prawdopodobnie Coppola miał trudności językowe i trochę zsyntetyzował całość. Cabot mówił o motocyklicie w kasku i motocyklu, który był wielki, zwrotny i szybki. Balistreri zwrócił uwagę na przymiotniki. Albo Coppola przesadził, albo Cabot zna się na motocyklach. Zastanowił się, jakich terminów użył w oryginale. „Big” czy „large” jako wielki? „Easy” czy „handy” jako zwrotny? „Speedy” czy „fast” jako szybki? Przeszedł na koniec terminarza. Były tam dwa numery Cabota, jeden stacjonarny, drugi komórkowy. Rozpoznał prefiks kierunkowy San Francisco. Dziewięć godzin różnicy czasowej. Ósma wieczorem w Rzymie to w Kalifornii poranek.

Cabot odezwał się sennym głosem, ale był bystrym facetem i potrzebował tylko chwili, by się zorientować, z kim rozmawia. Również dlatego, że nawet w Kalifornii pisali o Balistrerim i zabitych 4 stycznia.

– *I am very sorry for your guy, he was a good man.*

– *Thanks Mr Cabot. I need just one information from you. In your conversation with Coppola you describe the driver and the motorcycle, but Coppola has translated this in Italian. Can you repeat it to me?*

Z pewnym zakłopotaniem Cabot wyjaśnił mu nieporozumienie językowe na temat prostytutki i pedała, którego ofiarą padł Coppola.

Balistreri nie mógł opanować uśmiechu, który pojawił mu się na twarzy.

– *Why did you say queer?* – zapytał.

– *I was thinking of the motorcycle, not the driver. You know, I love motorcycles, I have a collection of them.*

Znawca motocykli, więc przymiotniki wynikały z czegoś rzeczywistego, nie były tylko zwykłymi wrażeniami.

– *You said the motorcycle was big, easy and speedy.*

– *It was easy and speedy, but certainly not big. Probably I said great.*

Great w sensie świetny, tymczasem Coppola przetłumaczył to jako wielki. A wcześniej *queer*, dziwny.

Prawda dotarła do niego ułamek sekundy wcześniej niż głos Cabota z drugiego końca świata:

– *You know, it's a model for motocross, strange to see it in the center of a city.*

Na tarasie czuć było powiew wieczornego wiatru. Wszystko jak każdego innego wieczoru w ciągu ostatnich miesięcy. Ale wszystko inaczej.

– Lindo, raz mnie pytałaś, kiedy zmarła Alina Hagi... – Pytanie wyszło z jego ust automatycznie, przez skojarzenie.

Linda siedziała nieruchomo, jakby właśnie podejmowała ważną decyzję. Spojrzenie utkwiła w kopule Bazyliki Świętego Piotra, na której właśnie włączała się iluminacja. Pionowa zmarszczka pojawiła się na czole Lindy.

Balistreri przypomniał sobie dwa pytania, które mu zadała pod koniec ich pierwszej wspólnej kolacji. *A czwarty mężczyzna? A gdyby coś wyciął na ciele innej dziewczyny?*

Nie mógł już znieść tego milczenia. Zaczął naciskać:

– Kto ci powiedział o nacięciach?

– Nikt mi nie powiedział, Michele.

– Już ci nie wierzę.

Pogłaskała go po rękę.

– Znajdź tego, kto zabił Nadię i Samanthę. W ten sposób znajdziesz i tego, kto zabił Coppolę.

Z gniewem strącił jej rękę.

– Nie chcesz mi pomóc. Ale znajdę go i posadzę.

Przyjęła to zdanie, jakby było potwierdzeniem tego, co już od jakiegoś czasu wiedziała. I podjęła decyzję. Wstała, wróciła do mieszkania i wyciągnęła z szuflady grubą teczkę pełną gazetowych wycinków.

Podszedł do niej nieco niepewnie. Bez słowa podała mu teczkę. Na okładce widniały słowa: *Na czas, kiedy wyzdrowiejesz.*

Już wyzdrowiał, mógł robić, co chciał. Ale bez niej, taki był sens tego gestu.

– Nie jestem zdrowy, Lindo.

Kiedy wychodził, pokręciła głową.

– To taka choroba, którą tylko ty możesz wyleczyć.

Wracając pieszo do swojego mieszkania, myślał o tamtym uścisku w szpitalu, o wspólnie spędzonych miesiącach, o wieczorze, kiedy chciał ją pocałować, a ona

usnęła mu z głową na ramieniu, o smarze ze skutera na jego palcach.

Nie ma snów bez przebudzenia. Nie ma wolności bez prawdy.

Antonio Pasquali pozwolił sobie na kilka dni wolnego w rześkim powietrzu Tesano, swojej rodzinnej miejscowości. Zastrzeżona komórka zawibrowała krótko. Uśmiechnął się przepaszająco do żony, z którą rozmawiał, i wyszedł na zewnątrz. Poczł lekkie drżenie strachu, słyszcz ten głos.

– Pański przyjaciel odbył dwie dziwne rozmowy telefoniczne. To może znowu oznaczać problemy.

Oszukali go, wciągając w coś tak niegodziwego, że sam nie potrafiłby tego wymyślić. Wierzył, że przysłuży się najlepiej swojemu krajowi, jeśli pomoże przegrać wybory postkomunistycznemu burmistrzowi, ponieważ był przekonany, że komuniści są niezdolni do zmiany i jeśli pozostaną przy władzy, w jego kraju będzie więcej biedy i mniej wolności. Ale nigdy by nie pomyślał, że zostanie wplątany w tak potworną intrygę, i nie zamierzał tolerować kolejnych ofiar wśród swoich ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem Balistreriego.

Zebrał się na odwagę.

– Tym razem bez drastycznych rozwiązań – ledwie słyszalnie wyszeptał do telefonu.

– Słucham? – Głos zdawał się z niego szydzić i ostrzegać go zarazem.

Nie ośmielił się dodać nic więcej.

– Niech go pan ma na oku – zakończył głos. – Kobięę też, proszę nie zapominać o tym artykule.

Środa, 12 lipca 2006

Przed południem

Historia z Natalią odmłodziła Corvu. Wszystko w nim się zmieniło, od fryzury po ubranie. Zmienił nawet sposób gry w pokera, zrobił się bardziej ryzykancki, mniej analityczny.

– Alberto mówi, że wieczorny poker odwołany, Angelo nie może.

– Dobrze – powiedział Balistreri.

Nie zmrużył oka, myśląc o Lindzie. I o tym głosie na wzgórzu zwiastującym nadchodzącą śmierć Colajacona. I o crossowym motocyklu.

– Niemniej Alberto czeka na pana z kolacją około ósmej trzydzieści.

– Dobrze.

To drugie już „dobrze” zwróciło uwagę Corvu.

– Coś nie w porządku, *dottore*?

Balistreri zapalił papierosa, pierwszego z pięciu, na które sobie wciąż pozwalał.

– Siadaj, Corvu.

To „siadaj” nie pozostawiało wątpliwości. Koniec luzu.

Balistreri wskazał na ścieralną tablicę. Ich stary sposób. Czasem, kiedy śledztwo stawało w miejscu, prosił Corvu, żeby wykorzystał swoje zdolności analityczne i zapisał wszystkie ważne punkty na tej tablicy, gdzie pozostawały aż do końca dochodzenia.

– Teraz możesz pisać – powiedział Balistreri.

Corvu siedział jak przygwożdżony do fotela.

– Co mam pisać, *dottore*?

– Co chcesz. Fakty, pytania, wątpliwości – zachęcił go Balistreri.

Corvu zdobył się na odwagę i popatrzył mu prosto w oczy.

– Tutaj? Po Dubaju powiedział mi pan...

– Będziemy zamykać mój gabinet na klucz.

Corvu podszedł z wahaniem do tablicy.

– Zróbmy tak – zachęcił go Balistreri. – Zróbmy sobie piękną listę pytań, wszystkie wątpliwości. Jedno ty, drugie ja, aż wyczerpiemy możliwości. A obok zapiszemy odpowiedzi, kiedy je poznamy.

– Co znaczy R? Co znaczy E? A dalej? – zaczął Balistreri.

Corvu, w miarę jak pisał, odyskiwał pewność siebie i energię. Z rosnącym entuzjazmem pisali przez dwie godziny, tablica była wielka, a pismo Corvu drobne.

Kiedy skończyli, poczuli się kompletnie wyczerpani.

Co znaczy R? Co znaczy E? I co dalej?

Dlaczego Colajacono chciał zastąpić Marchese'go i Cutugna? Dlaczego wiedział, że Ramona może przyjść do komisariatu w sprawie Nadii?

I skąd to wiedział? Powiedział mu Mircea.

Dlaczego Colajacono padał ze zmęczenia już 24 grudnia rano?

Dlaczego wysłano Ramonę do wiceburmistrza Augusta De Rossiego? By móc go zaszantażować i wymusić zmianę decyzji w głosowaniu.

Kto go szantażował? Mircea i Colajacono.

W czym imieniu i dlaczego?

Czy w sprawie Samantha istnieje Niewidzialny Człowiek? I kim on jest? Istnieje, ale nie wiemy kto to.

Czy to ten sam, który zatelefonował do Vasilego w sprawie wypożyczenia jego starej alfy?

Kiedy stłukł się reflektor w starej alfie?

Gdzie był Hagi 24 grudnia między godz. 18 a 19, kiedy ktoś zabierał Nadię z ulicy? A po 21?

To samo pytanie w odniesieniu do Colajacona i Ajella.

Gdzie był Hagi tej nocy, kiedy zginął Coppola i pozostali?

To samo pytanie w odniesieniu do Ajella.

Czy Mircea i Greg byli winni morderstwa w Rumunii? Kim były ofiary?

W jakich okolicznościach zginęła Alina Hagi w styczniu 1983 roku?

Dlaczego Colajacono chciał, by właśnie Tatò mu towarzyszył, choć ten powinien być u siostry?

Dlaczego stara alfa zwolniła, gdy kierowca zobaczył Natalię?

Jakie relacje łączyły Ornellę Coronę z Ajellem i jego synem przed śmiercią jej męża?

Kto jej zasugerował wykupienie ubezpieczenia na życie męża?

Jak naprawdę zginął Sandro Corona?

Dlaczego zginął Camarà? Bo 23 grudnia widział Nadię w czyimś towarzystwie w sali prywatnej.

Kto jest właścicielem ENT?

Uznali, że nie zapiszą odpowiedzi na pytanie o zleceniodawców szantażu Augusta De Rossiego i na ostatnie. Zresztą odpowiedź „tajne służby” byłaby niewystarczająca. Pytanie brzmiało: kto za tym stał?

– A niech to – powiedział Corvu, patrząc na tablicę. – Przy tych wszystkich rzeczach, których nie wiemy, to i tak cud, że w ogóle jacyś winni trafiają do więzienia.

– Oczywiście jeśli to prawdziwi winni – poprawił go Balistreri. – W każdym razie mam jeszcze dwa pytania, jednak wolę, byś ich nie zapisywał.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że to taki przesąd. Pierwsze pytanie jest takie: gdzie był motocykl Adriana dwudziestego czwartego grudnia po południu, kiedy on był w obozie Casilino?

Corvu popatrzył na szefa ze zdziwieniem. Potem zerknął do stenogramów z przesłuchań.

– Co to znaczy?

– Cóż, to znaczy, że nie wiemy co najmniej dwóch rzeczy. I chciałbym, żebyś się nimi zajął. Gdzie był ten motocykl dwudziestego trzeciego grudnia, kiedy zginął Camarà? I gdzie był dwudziestego czwartego, kiedy porwano i zamordowano Nadię?

– Nadal nie rozumiem. Co ma wspólnego motocykl Adriana z tym spod Bella Blu? Motocykl Adriana był przecież crossowy.

Balistreri powiedział mu o swoich rozmowach telefonicznych z Carmen i Cabotem. Corvu znów zmarszczył brwi. Kolejny punkt łączący Nadię i Bella Blu. A Bella Blu oznaczała ENT. Zaś ENT oznaczało poważne kłopoty, co Balistreri już mu wyjaśnił.

– A drugie pytanie, *dottore*? – zapytał wyraźnie już przejęty.

– Zbyt wielu niewidzialnych ludzi jest w tej historii. Ale najłatwiej będzie znaleźć tego na motocyklu.

– Dobrze. Co mam zrobić?

– Zorganizuj pracę, by uzyskać odpowiedzi na te pytania. Z wyjątkiem sprawy ENT i Aliny Hagi sam się tym zajmę. I przyslij mi Margheritę.

Corvu rozejrzał się z zakłopotaniem.

– Wczoraj, kiedy był pan w Neapolu, zapytała mnie, czy może wziąć parę dni wolnego do końca tygodnia.

– Tak nagle? – zapytał Balistreri.

– Tak, to musiała być nagła decyzja. Może wyjechała razem z Angelem, nie wiadomo...

Po południu

To była nieustająca rzeź, gorzej niż na wojnie. Masakra, którą wszyscy mieli gdzieś, z wyjątkiem krewnych ofiar. Wszyscy mówili, że skutery są wybawieniem dla Rzymu, w innym razie ruch uliczny zostałby kompletnie sparaliżowany już dwadzieścia lat wcześniej. Można było zamienić centrum w strefę ruchu pieszego, ale nie chcieli się zgodzić sklepikarze. Można było przenieść na przedmieścia niezliczone urzędy administracji publicznej, ale nie chcieli się zgodzić urzędnicy. Można było przynajmniej poprawić nawierzchnię ulic, zdjęć nierówny bruk, na którym skutery

podskakiwały niczym kręgle, ale nie chcieli się zgodzić asesory miejscy odpowiedzialni za zabytki. Rzeź więc trwała.

Alina Hagi była tylko jedną z wielu ofiar. Protokół z wypadku drogowego, w którym na skuterze ginie dwudziestoletnia dziewczyna, był w Rzymie czystą rutyną. A protokół z jej wypadku, choć bardziej szczegółowy od wielu innych – być może z powodu oskarżenia wniesionego przez jej wuja, prałata Latę – nie zawierał fotografii dziewczyny. Deszczowy wieczór w styczniu 1983 roku, po dwudziestej drugiej. Wielu świadków widziało ją, jak z pełną prędkością wchodzi w zakręt koło Koloseum, trafia na dziurę w bruku, traci przyczepność i rozbija się o platan. Nie miała kasku, wtedy jeszcze to nie było obowiązkowe. Nikt jej nie zajechał drogi, nie było żadnych innych okoliczności.

Przeczytał zawiadomienie prałata Lato o możliwości popełnienia przestępstwa, później przez niego wycofane. Duchowny twierdził, że kilka dni wcześniej ramiona Aliny były całe posiniaczone. Powiedziała mu o tym przyjaciółka Aliny już po pogrzebie. Nie było jednak żadnego bezpośredniego związku z wypadkiem i po miesiącu prałat Lato wycofał oskarżenie.

Właśnie to pytanie Lindy Nardi najbardziej go niepokoiło. *Kiedy zginęła Alina?*

Kierunek jazdy wskazywał, że Alina wyjechała z domu i dokądś się udawała. Po dziesiątej, po zmroku, w deszczowy styczniowy wieczór, na skuterze, z absurdalną prędkością. A Alina Hagi była dzielną dziewczyną, dobrze wychowaną, religijną i miała głowę na karku.

Parokrotnie dzwonił do Angela, ale jego komórka cały czas była wyłączona.

Zadzwoił do Corvu, polecając mu odnalezienie prałata Lato. Corvu poinformował go, że wszystkie elementy śledztwa zostały zorganizowane i idą pełną parą i że Piccolo już nie może się doczekać, aż ruszy za mordercą. Ten entuzjazm niepokoił Balistreriego. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, była góra kobiecych mięśni gotowych na wszystko, byle tylko pomścić krzywdy wyrządzone kobietom.

Pragnienie zadzwonienia do Lindy wracało do niego falami, ale opierał się temu. Nie z dumy. Nie chodziło o żadną próbę sił między nimi. Po prostu bariera, której nie miał sił przekroczyć, miała teraz wyraźną przyczynę. Sekrety są przeszkodą w odwzajemnianiu uczuć.

Spędził dwie godziny, siedząc za biurkiem. Raz jeszcze przeczytał na ekranie komputera wszystkie protokoły. Potem listę pytań z tablicy. Wiedział, że tam się znajduje rozwiązanie, w odpowiedziach na te pytania. Odczytał pierwsze:

Co znaczy R? Co znaczy E? A dalej?

Kiedy zginęła Alina?

Pytanie Lindy dźwięczało mu w głowie.

Kiedy? Dlaczego „kiedy”, a nie „jak”?

Corvu zadzwonił do niego około dziewiątej, kiedy miał już wychodzić do domu. Sam. Bez Lindy pierwszy raz po tylu miesiącach.

– Prałat Lato dziesięć lat temu wrócił do Polski. Ale żyje i zdobyłem numer jego telefonu.

– Świetnie. Wciąż jesteś bardzo skuteczny – pochwalił, lecz Corvu nie załapał, o co chodzi.

– Pozwoliłem sobie również zakłócić spokój mojemu koledze w Watykanie. Dzięki temu znalazłem miejsce pracy Aliny Hagi. Wysłałem panu mailem.

– Dobrze, widzę, że jesteś w szczytowej formie, zaraz przeczytam.

– Jeszcze jedna rzecz, *dottore*. Natalia i ja idziemy teraz na pizzę, jeśli pan i Linda macie ochotę...

– Nie, dziękuję. Nie dziś.

Rozłączył się. Pragnienie zatelefonowania do Lindy stało się nieodparte.

Przeczytam ten mail i zadzwonię do niej.

Mail od Corvu był króciutki. Zaczynał się od numeru telefonu prałata Lato. Potem brzmiał tak: *Parafia, w której Alina Hagi pracowała w 1982 roku, to San Valente przy via Aurelia Antica.*

Ja to zrobiłem, mówi pamięć. Nie mogłem tego zrobić, mówi duma. Ostatecznie pamięć się poddaje.

Linda Nardi patrzyła w dal za kopułą Bazyliki Świętego Piotra, w stronę rzeki, która dzieliła ich teraz.

Z całych sił próbowała przekonać samą siebie, że on zrozumie, a przynajmniej zaakceptuje.

Ale tak się nie stało. Teraz to wiedziała. Od tamtego wieczoru na tarasie. Porozmawiała z matką. Wykonała telefon, który musiała wykonać.

Czwartek, 13 lipca 2006

Przed południem

Całymi latami unikał tego odcinka via Aurelia Antica między dobrze utrzymanymi budynkami zanurzonymi w zieleni drzew. Unikał go nieświadomie, tak jakby system odpornościowy pamięci odepchnął jego świadomość jak najdalej od tego miejsca.

Albowiem wyrzuty sumienia mają twarz, nazwisko i adres.

Dowiedział się, że opiekunem stowarzyszenia wolontariuszy działającego przy parafii San Valente jest jego stary znajomy, ksiądz Paul.

Już kiedy parkował, zauważył, że niewiele tu zostało z obrazu, jaki miał w pamięci. Niski kościół został odmalowany, roślinność była obfitsza i bardziej zadbana, a wielki dom na końcu trawnika co najmniej podwoił rozmiary. Przechodząc krótki odcinek zielonego dywanu trawy, odniósł takie wrażenie, jakby samo to miejsce przeszło od wieku dziecięcego do dorosłości.

Ksiądz Paul został uprzedzony o jego przyjeździe. Wyszedł mu naprzeciw i spotkali się na trawniku. Rude włosy przyprószyła mu siwizna, błękitne oczy spoglądały ostrożniej, z mniejszą niż dawniej otwartością na świat. Uścisk ręki był silniejszy niż tamten, który Balistreri pamiętał, i było oczywiste, że również mężczyzna, który przed nim stoi, jest znacznie silniejszy od niepewnego siebie, chwiejnego chłopaka, którego wtedy poznał. Po raz pierwszy widział go bez sutanny.

Paul przywitał go serdecznie i zaprowadził na tył domu. Drzewo, pod którym rozmawiali po raz pierwszy, urosło. Stały tam stolik i trzy krzesła, na stoliku butelka wody mineralnej, szklanki, palmtop najnowszej generacji i paczka papierosów.

– Nie pomyślałbym, że po tylu latach wciąż jest ksiądz w Rzymie – zauważył Balistreri, kiedy usiedli.

– Ma pan na myśli Rzym czy San Valente?

– Jedno i drugie. Pamiętam księdza jako młodego człowieka, który bardzo chciał podróżować.

Paul się uśmiechnął. Ale już nie tak jak jankeski młokos. Teraz uśmiechał się jak dorosły, pewny siebie i swojego miejsca w życiu człowiek. I doskonale mówił po włosku.

– Ma pan rację. Sam, patrząc wstecz, jestem zaskoczony. Każdego roku myślałem, by wyjechać, i każdego roku proszono mnie, bym został. I powoli, z biegiem lat, San Valente stało się światem, który chciałem poznawać. Wie pan, sieroty i wolontariusze przybywają ze wszystkich krajów świata. Więc nie musiałem już do nich jeździć.

Świergot ptaków na gałęziach drzew mieszał się z radosnymi głosami dzieci w domu.

– Ile ich jest? – zapytał Balistreri, wskazując na budynek.

– Podwoiliśmy liczbę łóżek dziesięć lat temu. Teraz mamy trzydzieścioro dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat. I wolontariuszy, którzy zmieniają się na nocnych dyżurach, zawsze jest ich co najmniej dwoje. Ale mamy dziesiątki takich domów na wszystkich kontynentach.

– A ksiądz opiekuje się nimi wszystkimi?

– Nie, ja zajmuję się tylko doborem i szkoleniem wolontariuszy. I bezpośrednio samym San Valente.

Paul wyciągnął z paczki papierosa. Poczęstował także Balistreriego.

– Pan pali, jeśli dobrze pamiętam.

Balistreri patrzył, jak ksiądz Paul, kalifornijski fanatyk zdrowia i dobrej kondycji, zapala papierosa i zaciąga się dymem z rozluźnionym, pewnym wyrazem twarzy kogoś, kto osiągnął to, co chciał. I nie oparł się pokusie zapalenia z nim, choć był to czwarty papieros tego dnia i zaczynał już czuć zgałę.

– A jego eminencja? – zapytał Paula.

– Kardynał Alessandrini? – Paul się uśmiechnął. – To on jest prawdziwym autorem tego cudu. Gdyby nie jego determinacja, nawet Watykan nie dałby rady wyciągnąć tych sierot z piekła, w którym się znajdowały. Teraz to jest projekt na światową skalę.

– Wciąż jest w Rzymie?

Paul wskazał na widoczną w oddali kopułę Bazyliki Świętego Piotra.

– Kardynał Alessandrini nigdy nie należał do tych, którzy pragną stać w świetle jupiterów. Zawsze lubił decydować, ale tak, by samemu pozostać w cieniu. Teraz jest jednym z najbliższych współpracowników nowego papieża, cały czas jednak mieszka przy via della Camilluccia, tam, gdzieśmy się poznali.

Paul z entuzjazmem opowiedział mu o szczegółach projektu kardynała. O dzieciach uratowanych od haniebnych warunków życia. O dyktatorach, którzy musieli ugiąć się przed siłą i determinacją tego żelaznego człowieka i zgodzić się na ekspatriację wykorzystywanych i molestowanych sierot, ofiar niemoralnych, skorumpowanych rządów. I o ogromnym wpływie, jaki kardynał wywiera na obecnego papieża.

Kiedy zadzwonił jego palmtop, odebrał szybko i zwrócił się do Balistreriego:

– Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, ale pomyślałem, że zrobię panu niespodziankę. Powiedziałem Valeriovi, że pan przyjdzie i...

– Valerio? – zdumiał się Balistreri. – Valerio Bona?

– Oczywiście, że on. Może nie pamięta pan, ale i on od czasu do czasu pomagał tu w parafii.

– Znakomicie go pamiętam. Ale nie sądziłem, że wciąż będzie gdzieś tutaj...

– Valerio skończył informatykę, przez parę lat pracował w IBM, a potem przyszedł

do nas.

– Do was? Nie rozumiem...

– *Dottor* Balistreri, organizacja utworzona przez kardynała Alessandrinięo tak się rozrosła, że przypomina teraz międzynarodowe przedsiębiorstwo. Mamy tysiące sierot, setki wolontariuszy, dziesiątki etatowych pracowników, ponad dwadzieścia domów za granicą. Valerio Bona administruje naszym systemem informatycznym.

Balistreri nie potrafił ukryć niedowierzania.

– Ale wydawało mi się, że nie pałaliście do siebie przesadną sympatią...

Paul wybawił go z zakłopotania.

– Wiem, w tamtym czasie nie dałoby się o nas powiedzieć, że się przyjaźnimy. Ale wtedy byliśmy młokosami, a czas niekiedy czyni cuda.

Valerio Bona pojawił się, idąc takim samym jak wtedy niepewnym krokiem. Wydawał się nieco przygarbiony i nie miał ani jednego włosa na wygolonej czaszce. Podszedł i podał Balistreriemu rękę, nie patrząc w oczy. Na szyi błyszczał mu ten sam złoty krzyżyk co dwadzieścia cztery lata wcześniej.

Nieśmiały i zamknięty w sobie chłopak postarzał się znacznie bardziej niż Paul. Czas nie był dla niego łaskawy. Niespokojne spojrzenie chował za grubymi szklami okularów.

– To naprawdę niespodzianka – powiedział Balistreri. – Pan tu mieszka, Valerio?

– Nie, pracuję w biurze stowarzyszenia, niedaleko stąd, mam tam też niewielkie mieszkanie.

– Ożenił się pan?

– Nie, nie ożeniłem się. Żyję sam. – Powiedział to spokojnie, ale Balistreri wyczuł nutę żalu.

Valerio opowiedział mu o studiach informatycznych, o dużych pieniądzach, które zarabiał, pracując w IBM. I o poczuciu zagubienia i życiowej pustce, jakiej doświadczał, aż wreszcie kardynał Alessandrini spotkał go i zaproponował mu tę pracę. W pewien sposób może wykorzystywać swoją wiedzę w służbie wyznawanej wiary.

– Na początku odmówił – powiedział Paul. – Sądzę, że nie miał ochoty na pracę ze mną.

Valerio uśmiechnął się półgębkiem.

– Może to i prawda, ale potem cię spotkałem i...

– I odkryłeś, że zrobiłem się sympatyczniejszy! *Dottor* Balistreri, sądzą, że jest pan tutaj z powodu tego, co się stało z matką Elisy.

To imię wzbudziło w nim natychmiast dyskomfort. Uznał, że najlepiej od razu uciąć ten temat.

– Nie, nie jestem tu z powodu samobójstwa pani Sordi.

– Nie? – wykrzyknęli jednocześnie Paul i Valerio.

– Nie. Chodzi mi o inną sprawę z tego okresu. Ale to nie ma związku z Elisą Sordi. Valerio słuchał z posępną miną, Paul bardziej z zaciekawieniem.

– W tamtym czasie wśród pracujących w San Valente była jedna Polka – zaczął Balistreri.

– Było tu wiele Polek. Po tym, jak papieżem został Wojtyła...

– Nazywała się Alina, Alina Hagi.

Przez chwilę było słycać tylko krzyki dzieci i śpiew ptaków w nieruchomym lipcowym powietrzu. Potem Paul zapalił papierosa, a Valerio nalał sobie wody.

– Nie przypominacie sobie jej?

– Nie da się o niej zapomnieć – powiedział Paul, wpatrując się w wielki biały budynek sierocińca. – Alina Hagi, nasza niestrudzona blondynka. Pan też ją widział.

Kilkanaścioro dzieciaków w wieku od dziesięciu do trzynastu lat grało w piłkę, sędziowała im dwudziestoletnia z wyglądu blondynka.

Starł się trzymać chłodnej, fotograficznej pamięci i nie dopuszczać do siebie emocji.

– Dziewczyna, która sędziowała mecze i podawała do stołu?

– Tak. Miała w sobie niewyczerpane pokłady energii. Pracowała z dziećmi od paru lat i nawet inne wolontariuszki przychodziły do niej po pomoc albo radę.

– Znaliście jej męża?

Valerio potrząsnął głową.

– Nigdy go nie spotkałem, ale wiedziałem, że jest mężatką.

– Ja go poznałem – rzekł Paul – ale widziałem tylko kilka razy, na początku, on chyba też był Polakiem.

– Rumunem – poprawił go Balistreri. – Nazywał się Marius Hagi.

Zapanowała długa cisza. Balistreri czuł wyraźnie, jak coś niewypowiedzianego gęstnieje w powietrzu.

– Wiecie, jak zginęła? – zapytał wreszcie.

Spotkał spojrzenie Paula. Dostrzegł dezaprobatę ocierającą się o twardość, coś, czego nie było dwadzieścia cztery lata temu.

– Widzę, że nie wyzbył się pan zwyczaju zadawania pytań, na które już zna odpowiedź – odezwał się Paul.

– Alina jeszcze tutaj pracowała, kiedy miała wypadek? – zapytał Balistreri, ignorując komentarz Paula.

– Tak – odparł Paul. – Po śmierci Aliny kardynał Alessandrini odprawił w jej intencji mszę w Watykanie, były na niej wszystkie dzieci i wolontariusze.

– A pan, Valerio, był wtedy tutaj?

– Nie. Wtedy pracowałem dla hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno i studiowałem na uniwersytecie. Potem hrabia mnie już nie chciał, sądzę, że przez to, co powiedziałem o Manfredim, i przez moje zbliżenie do katolicyzmu, w jego opinii

przesadne.

Nie powiedział: „po śmierci Elisy”, jakby tego imienia nie należało wymawiać. Wymówił je Balistreri:

– Alina znała się z Elisą Sordi?

– Absolutnie wykluczone – rzekł natychmiast Valerio. – Elisa nigdy nie bywała tutaj, a Alina nigdy nie jeździła na via della Camilluccia.

W miarę jak te imiona i noszące je osoby wyłaniały się z przeszłości, Balistreri czuł coraz silniej, że nie może ich ignorować, nawet jeśli kto inny był w to zamieszany i związek między śmiercią Elisy a tym, co działo się obecnie, pozostawał wciąż w sferze niejasnych wizji.

– Hrabia wciąż tam mieszka? – zapytał.

– Nigdy nie ruszył się ze swojego domu. Jak pan widzi, wszyscy jesteśmy przygwożdżeni do tych samych miejsc – odparł Paul.

– Manfredi także?

Paul rozważył pytanie, zanim odpowiedział:

– Nie. Jeden Manfredi wyjechał naprawdę. Po samobójstwie Ulli hrabia wysłał go do Kenii, gdzie mają wielkie posiadłości rodzinne. Wiem, że skończył medycynę w RPA.

– Nie przyjeżdża do kraju?

– Czasami odwiedza ojca, ale nie częściej niż raz, dwa razy do roku. Kardynał Alessandrini mówi, że miejscowi traktują go niemal jak bóstwo, bo leczy ich skutecznie, a do tego za darmo i pomaga im w różny sposób. Jak pan widzi, każdy może się zmienić... – dodał z okrutną ironią.

Balistreri nigdy by nie pomyślał, że jest do niej zdolny.

Idealny winowajca, którego chciałem przymknąć, został lekarzem i dobroczyńcą wyrzutków.

– Czy Alina była z kimś szczególnie związana? – zmienił temat.

Paul i Valerio popatrzyli po sobie. Valerio odpowiedział:

– Była taka grupka chłopaków i dziewczyn, bardzo ze sobą zżytych. Alina była w pewien sposób jej centrum i punktem odniesienia.

– Czy któraś z dziewczyn mówiła coś o problemach małżeńskich Aliny?

Paul rzucił Balistreriemu przenikliwe spojrzenie.

– Już panu powiedzieliśmy, że nawet nie znaliśmy jej męża.

Valerio spochmurniał.

– To był świat porządnych katolików, *dottore*. Nie jak...

Nie jak Balistreri i Dioguardi.

Uznał, że pora już iść. Pożegnali się bez serdeczności.

Po południu

Corvu, Piccolo i Mastroianni czekali na niego w biurze. Na roboczy obiad przy biurku Balistreriego zamówili kanapki, wodę i piwo. To było pierwsze takie spotkanie od śmierci Coppoli i każde z nich na swój sposób maskowało ból po stracie kolegi oraz wściekłość z powodu okoliczności, w jakich to się stało.

– Zaczynają się pojawiać pierwsze odpowiedzi – powiedział z zadowoleniem Corvu, podchodząc do tablicy.

– Jak również nowe pytania – dodał Balistreri. Opowiedział im, czego się dowiedział na temat Aliny Hagi.

Corvu podrapał się po głowie.

– Nie całkiem rozumiem. Czy uznajemy, że istnieje związek między tą sprawą a zabiciem Elisy Sordi?

– Nie, ta sprawa nie ma z tym żadnego związku – odparł Balistreri. – Mówimy o tym, że śmierć Aliny Hagi dwadzieścia trzy lata temu, choć niemal na pewno była wypadkiem drogowym, może coś skrywać. I to coś może mieć związek z aktualnymi wydarzeniami.

– Dobrze, w takim razie powiem wam, czego myśmy się dowiedzieli – zaproponował z wahaniem Corvu. – Prawdę mówiąc, to się stało pół roku temu, zaraz po wydarzeniach czwartego stycznia. Później pan wyzdrowiał i sprawy... przybrały taki obrót... – Teraz Corvu był już naprawdę zakłopotany.

– W porządku, Corvu, chcesz powiedzieć, że przestałem się interesować sprawą, okej. Ale teraz już możesz mówić, o co chodzi.

– O Colajacona.

Piccolo natychmiast podniosła głowę.

– Wiedziałam.

Balistreri powstrzymał wszystkich gestem.

– Słuchajcie uważnie – powiedział. – Już jeden z nas zginął. Cokolwiek, powtarzam, cokolwiek sobie tu mówimy, zostaje tutaj, w środku. Tylko ja decyduję, jak to wykorzystać. Nie chcę żadnych osobistych inicjatyw. Zwłaszcza w sprawie Colajacona i ENT.

Zapadła chwila milczenia. Potem Piccolo, jakby przemowa była zwrócona tylko do niej, powiedziała:

– Dobrze, zrozumiałam.

– W takim razie słuchamy cię, Corvu.

– A więc tak: po wydarzeniach czwartego stycznia w gazetach pojawiło się zdjęcie Colajacona. I wtedy Pierre, barman z Bella Blu, zadzwonił do mnie i powiedział, że rozpoznał tego gościa. Powiedziałem mu, że oddzwonię, ale potem pan... w każdym razie zrobiłem to dopiero dzisiaj.

Balistreri zaklął w duchu, a Piccolo miała już coś powiedzieć, lecz ugryzła się w język.

Corvu kontynuował:

– Spotkałem się z nim. I dzięki niemu mamy odpowiedź na czwarte pytanie z naszej listy. Dlaczego Colajacono był tak wyczerpany rano dwudziestego czwartego grudnia? Bo niemal całą poprzednią noc spędził w Bella Blu. Pierre jest tego pewien.

Piccolo nie mogła się powstrzymać:

– W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego, wtedy, kiedy była tam Nadia i kiedy zamordowali Camarà. Co za skurwysyn! To był on...

– Dosyć, Piccolo – wybuchnął Balistreri – nie będę tego więcej powtarzać. Dopóki nie udowodnimy czegoś przeciwnego, Colajacono i Tatò są dwoma barbarzyńsko zamordowanymi i pośmiertnie odznaczonymi policjantami, którzy odkryli zabójcę Nadii. Jednemu z nich złamała pani nos, a drugiego wspólnie z Lindą Nardi szantażowała.

– Ale ja jestem przekonana, że...

– Tu nie wystarczy pani intuicja, tu potrzeba bardzo poważnych dowodów. Których nie mamy. I nie znajdziemy ich nigdy w życiu, jeśli zamiast szukać prawdy, będziemy szukać takiej prawdy, która się nam podoba.

Piccolo straciła panowanie nad sobą.

– A panu jaka prawda będzie się podobała? Chce pan, żeby wszystko się zamknęło na tych pięciu Romach, analfabetach, którzy siedzą w więzieniu, i na tych czterech, których załatwiliście na wzgórzu? A o Colajaconie, który czekał na Ramonę, już pan zapomniał? A o tym, co zrobili Rudiemu z powodu zapalniczki z Bella Blu? A o szantażowaniu wiceburmistrza De Rossiego? A może wierzy pan w bajkę, że Colajacono i Mircea się nie znali?

Zapadła grobowa cisza. Słysząc było tylko brzęczenie nowo zainstalowanego klimatyzatora. Po chwili Balistreri wstał i ciągnąc za sobą zranioną nogę, podszedł do drzwi gabinetu. Otworzył je i Piccolo wyszła.

Potem z powrotem usiadł w fotelu i zwrócił się do obu pozostałych:

– Piccolo jest wyłączona ze śledztwa. Nie wolno wam przekazywać jej niczego, najmniejszego szczegółu.

Milczenie współpracowników aż kipiało od wyraźnej niezgody. Postanowił to kompletnie zignorować.

– Idziemy dalej. Co jeszcze odkryliście?

Corvu był zdruzgotany tym, co się przed chwilą stało, więc kontynuował Mastroianni:

– Sprawdziłem wszystkie alibi z dwudziestego czwartego grudnia i czwartego stycznia. Jeśli chodzi o wieczór, kiedy została zamordowana Samantha Rossi, na sprawdzanie alibi upłynęło za dużo czasu.

– Dobrze. Efekty?

– O dwudziestym czwartym grudnia w przypadku Hagiego już wiemy. Nie ma alibi między osiemną a dziewiętną, kiedy twierdzi, że pojechał do domu po prezenty dla dzieci z Casilina. Nadia została najprawdopodobniej porwana w tym samym czasie. I nie ma także alibi od dwudziestej pierwszej trzydzieści, kiedy inni pojechali na plac Świętego Piotra, a on mówi, że wrócił do domu. Prawdopodobnie około tej godziny Nadia została zabita. Co do Colajacona, nie wiemy, gdzie był między osiemną a dziewiętną, kiedy Tatò poszedł na mszę. Co do czasu późniejszego, mamy tylko słowo Tatò. Jeśli mu wierzymy, ma alibi, jeśli nie, to nie ma.

– A co z Ajellem?

– Był na spotkaniu dobroczynnym, ale nikt dokładnie nie wie, o której godzinie przyjechał. Koktajl zakończył się około dwudziestej przekazaniem czeków z datkami, wśród nich był także jego czek. Potem pojechał do domu świętować Boże Narodzenie z rodziną. Świadcami są żona i syn. Ale nie sprawdziliśmy tego.

– A w nocy z czwartego na piątego stycznia?

– Hagi mówi, że był w domu i spał. Jest chory, o tej porze zawsze śpi. Brak świadków. Wiemy, co wtedy robił Colajacono. Co do Ajella, nie ma pewności.

– Dlaczego?

– Tego dnia o dwudziestej pierwszej na pewno odbyło się otwarcie nowej sali ENT z automatami do gry we Florencji. Ale sprawdziliśmy, że samolot Ajella wylądował na lotnisku Roma-Urbe około dwudziestej trzeciej. Tam wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Prawdopodobnie do domu, bo nie ma po nim śladu w Bella Blu ani w innych rzymskich lokalach należących do ENT. Musimy zapytać bezpośrednio jego.

– Na razie zostawmy Ajella i ENT. Co z motocyklem Adriana?

Włączył się Corvu:

– Wypyaliśmy w Casilinie mnóstwo ludzi, którzy znali Adriana. Tamtego wieczoru przyjechał wraz z innymi metrem, nie motocyklem. Również w drodze na plac Świętego Piotra nie miał motocykla. Na tej podstawie możemy postawić hipotezę, że motocykl został użyty dwudziestego trzeciego grudnia przez mordercę Papy Camarà oraz następnego dnia, żeby wjechać na wzgórze pasterza Vasilego.

– Dobra robota. Teraz skoncentrujcie się na Hagim i jego przeszłości.

Corvu był wyraźnie pośpny z powodu wyłączenia Piccolo ze śledztwa.

– Chciałem jeszcze, jeśli pan pozwoli...

Balistreriego bolały głowa i noga. I brakowało mu Lindy.

– Daj spokój z tym tonem, Corvu. O co chodzi?

– Chciałem panu powiedzieć o Marghericie.

– Nie teraz – przerwał mu. I pożegnał ich.

Alberto nakrył do kolacji w ogrodzie. Przy doskonałym makaronie na zimno i kieliszku białego wina Balistreri wreszcie się trochę rozluźnił.

– Ty też wywiesiłeś włoską flagę przy bramie? Nie wstydz ci?

– Mike, gdybyś miał dorastających synów, tobyś zrozumiał. A poza tym z nas dwóch to ty swego czasu byłeś fanem piłki.

– Ale ja z czasem otrzeźwiałem, a ty zidiociałeś.

– Niemniej nie zaprzeczysz, że piłka wywiera pewien pozytywny skutek. Popatrz, jak się poprawił klimat, kiedy zobaczyliśmy imigrantów świętujących razem z nami i powiewających naszą flagą narodową.

– I to ci się wydaje znakiem postępu, Alberto? Najpierw ich chcemy deportować, ponieważ gwałcą nasze kobiety i mordują naszych policjantów, a potem po jednym meczu piłki nożnej nagle odkrywamy, że są zintegrowani ze społeczeństwem?

– My, Włosi, tacy już jesteśmy. A problem Romów jest złożony. Nie da się go rozwiązać dekretami, tylko zgodą, cierpliwością, pracą...

– Jakbym słyszał Pasqualego. Alberto, wszyscy wiedzą, co trzeba zrobić. Trzeba eksmitować Romów z tych zasyfionych koczowisk w środku miasta.

– No dobrze, Mike, zobaczymy, co zrobi następny burmistrz, kimkolwiek będzie.

– Powiem ci, co zrobi. Wyrzuci ich z Casilina i zobaczymy w gazetach jego zdjęcie, jak zamyka za nimi furtkę. I przeniesie ich gdzie indziej. Czyli robi to, co można by zrobić natychmiast. Tylko że politycy w tym kraju dzielą się na nieudolnych i cynicznych. Mają gdzieś ofiary, chyba że mogą dzięki nim wygrać wybory.

– Mike, jest wielu uczciwych polityków, którzy próbują coś zrobić. Nawet jeśli to prawda, że niektórzy myślą tylko o własnym interesie i o głosach. A poza tym te głosy czemuś służą, na szczęście.

– Na szczęście? Wydaje ci się, że demokracja, w której zamiast o rozwiązywaniu problemów myśli się tylko o grabieży i zdobywaniu głosów, to wielkie szczęście?

Alberto trochę spochmurniał. Te słowa przypominały mu o najgorszych chwilach w życiu brata, kiedy on, by wybawić go z kłopotów, musiał się zniżyć do niegodnych kompromisów.

Całe lata nie słyszał od niego takich słów, zdawało mu się, że Michele zrobił się rozważniejszy albo że przestało go już to wszystko obchodzić. Widocznie samobójstwo Giovanni Sordi wydobyło z niego na powrót całą tę agresję.

– Mike, pamiętasz senatora Tommasa dei Banchi di Aglieno? Myślisz, że z nim u władzy byłoby nam lepiej?

Balistreri zapadł w głębokie milczenie. Pamięć o hrabim należała do tych wspomnień, które powoli wysysały z niego życie.

Nie chciał odpowiadać na to pytanie. Nie potrafił. Musiałby wrócić myślą do zbyt wielu niewygodnych wspomnień: do ojca, matki, nierozwiązanych zabójstw i tych ostatnich straszliwych godzin w Trypolisie, które na zawsze naznaczyły jego życie.

Alberto natychmiast pojął, co siedzi bratu w głowie, więc nie naciskał na odpowiedź. Podał krewetki i zmienił temat.

– Mike, masz wieści od Angela?

– Od paru dni próbuję się do niego dodzwonić na komórkę, ale nie mogę. Wygląda na to, że wyjechał z Margheritą na jakąś bezludną wyspę.

– Rzeczywiście, kiedy dzwonił do mnie, by odwołać pokera, mówił, że wyjeżdża z Rzymu. Pewnie pojechali gdzieś razem.

– Mam nadzieję, że Margherita mu pomoże – powiedział Balistreri. Myślał o Giovannie Sordi i o ich wyrzutach sumienia.

– A ty i Linda? – zapytał Alberto. – Zobaczymy się w weekend?

Balistreri pokręcił głową. Nie wyjaśnił. Alberto nie pytał. Po tylu latach znów poczuł, jak cień klęski okrywa mrokiem duszę brata. Obiecał sobie, że będzie się za niego modlił, modlił tak naprawdę.

Piątek, 14 lipca 2006

Przed południem

Prłat Lato został uprzedzony i już czekał przy telefonie. Miał głęboki, ciepły głos, a w jego włoszczyźnie wciąż słychać było ślady rzymskiego akcentu.

– Czytałem o pańskich nieprzyjemnych doświadczeniach, *dottor* Balistreri, mam nadzieję, że już całkiem pan wyzdrowiał.

– Dziękuję, mam się dobrze. Przepraszam, że niepokoję, ale to ma między innymi związek z bolesnymi dla księdza wydarzeniami sprzed lat.

Po drugiej stronie zapadła chwila milczenia.

– Czytałem w prasie, że ci, którzy strzelali, byli współpracownikami pana Mariusa Hagięgo.

Pana Mariusa Hagięgo. Tak właśnie powiedział.

– Tak – potwierdził Balistreri – ale musiał ksiądz również czytać, że nie tylko wydarzenia tamtego wieczoru, lecz cała nielegalna działalność jego współpracowników była Hagięmu całkowicie obca i nieznana.

– Tak, i to mnie nie dziwi. – Czuć było cień ironii w głosie prałata.

– Zna ksiądz Hagięgo od prawie trzydziestu lat.

– Od siedemdziesiątego ósmego roku. Od dnia, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy z Aliną.

– Alina była księdza siostrzenicą?

– Tak, jedyną córką mojej siostry, która zginęła rok wcześniej wraz z mężem w katastrofie lotniczej. Zabrałem ją do siebie do Krakowa, gdzie się dalej uczyła, i nauczyłem ją pracować z sierotami. Alina miała siedemnaście lat, ale była dojrzała jak ktoś całkiem dorosły. Niestety, miała też w sobie niezwykłą determinację...

– Chodzi księdzu o Mariusa Hagięgo?

Teraz gorycz w głosie prałata była całkiem wyraźna.

– Widzi pan, Alina była silnie ukształtowana przez wiarę i miała autentyczne powołanie do pomagania innym. I wbiła sobie do głowy, że młody Marius jest ofiarą świata, którą ona uratuje od zatracenia.

– Próbował ksiądz odwieść ją od tego pomysłu?

– Niestety, nie od razu wyczułem niebezpieczeństwo. Na początku wyglądało to tylko na przyjaźń, Alina zaangażowała Mariusa w swoją aktywność, on naprawdę wyglądał na biednego chłopaka. Potem, po wyborze kardynała Wojtyły na papieża, zostałem wezwany do Rzymu, a Alina przysłała do mnie z Mariusem, informując, że się

pobierają. On był zamknięty w sobie, ale bystry, nawet zbyt bystry. Było wyraźnie widać, że przemoc, której doświadczył, pozostawiła w nim ślad. Ale nie mogłem zapobiec ślubowi, postawiłem tylko warunek, że pojedą ze mną do Rzymu. Chciałem mieć sytuację pod kontrolą. Ku mojemu zaskoczeniu Hagi zgodził się na to z entuzjazmem. Sam dawałem im ślub.

– A w Rzymie...

– W Rzymie z początku wszystko szło dobrze. Dzięki kardynałowi Alessandriniemu znalazłem Alinie zatrudnienie w sierocińcu przy parafii San Valente. Alina uwielbiała tę pracę, choć nie była dobrze płatna. Sierociniec nie miał wtedy poważnego finansowania. Po krótkim czasie Marius zaczął się angażować w różne interesy, agencje turystyczne, bary, restauracje. Coś niewiarygodnego jak na rumuńskiego imigranta bez żadnego wykształcenia i tak młodego. Czegokolwiek dotykał, zamieniało się w złoto. Kupili mieszkanie niedaleko Koloseum, mieli tysiące przyjaciół...

– Alina była zadowolona?

– Tak, była dumna z Mariusa. A w sierocińcu stała się wzorem dla wszystkich. To trwało prawie trzy lata. Potem, nie wiem dokładnie kiedy, coś się zmieniło. Co niedziela widywałem Alinę i Mariusa, jak przychodzili na Anioł Pański na placu Świętego Piotra. Którejś niedzieli przyszła sama i od tamtej pory Marius już nigdy jej nie towarzyszył. Najpierw mi mówiła, że Marius podróżuje w interesach, potem już nie mówiła nic. Widziałem, jak wędnie, staje się coraz mniej pogodna i coraz bardziej zmęczona. Starłem się z nią porozmawiać, ale uświadomiłem sobie, że nie chce mi się zwierzać. Tak minęło kilka miesięcy, nie widziałem Mariusa aż do Bożego Narodzenia w osiemdziesiątym drugim roku, kiedy w San Valente robili wielkie święto. Marius przyszedł z ogromną ilością prezentów dla dzieci. Spojrzałem na Alinę, myśląc, że zobaczę w niej tę dawną dumę, z jaką patrzyła na Mariusa, ale widziałem tylko ból w jej oczach. Postanowiłem porozmawiać z Mariusem, zapytałem, czy wszystko dobrze.

– Odpowiedział księdzu?

– Powiedział, że zarówno on, jak Alina muszą żyć zgodnie ze ślubem wierności, który sobie złożyli w kościele. Zrozumiałem, że Alina jest zniewolona. I że chodzi o coś, przez co bardzo cierpi.

– Po jej śmierci oskarżył ksiądz Mariusa.

Prłat Lato westchnął głęboko.

– To nie było formalne oskarżenie, tylko zgłoszenie podejrzenia. Dynamika wydarzeń nie pozostawiała wątpliwości, że to wypadek, byli liczni świadkowie. Ale jasne też było, że Alina uciekała, że zginęła, uciekając od Mariusa Hagięgo.

– Miał ksiądz jakiś dowód?

– Niebezpośredni. Alina blisko się przyjaźniła z kilkoma dziewczętami pracującymi w sierocińcu. Zwłaszcza z jedną, były nierozłączne. Kiedy spotkałem ją na pogrzebie

Aliny, była zrozpaczona. Po wszystkim poszedłem z nią na kawę. I wtedy mi opowiedziała, że kilka dni wcześniej zaskoczyła Alinę w łazience w sierocińcu, jak nakładała maść na posiniaczone ręce. Zapytała, kto jej to zrobił, ale Alina nie chciała nic powiedzieć.

– I przyjaciółka Aliny pomyślała o jej mężu.

– A o kim innym? Gdyby to był ktoś inny, Alina by jej powiedziała.

– Oświadczenie zostało wycofane niedługo później.

Głos prałata był pełen gorzkości.

– Nie mogłem prosić tamtej dziewczyny, by zeznawała. Kto wie, jakie nieprzyjemności mogłyby ją za to spotkać. A poza tym: po co? Alina nie żyła.

– Jeszcze o coś chciałbym księdza zapytać: jak się nazywała tamta dziewczyna, przyjaciółka księdza siostrzenicy?

– Raczej nie wiedziałem, a tym bardziej nie pamiętam teraz, tyle już lat minęło...

– Musi mi ksiądz pomóc. Ten mały wątek z przeszłości jest ważny. Muszę się dowiedzieć, co zaszło pomiędzy Aliną a jej mężem.

– I co pan robi, jak się dowie?

Jak Alessandrini. Sąd Ostateczny jest zarezerwowany dla Boga.

– Ja się zajmuję sprawiedliwością ziemską, nie boską. Jeśli nie zna ksiądz jej imienia, proszę przynajmniej ją opisać, popytam wśród starych znajomych, odnajdę ją jakoś.

Ksiądz Lato się roześmiał.

– Mogę zrobić więcej. Kiedyś Alina i jej przyjaciółka poprosiły mnie, bym zrobił im zdjęcie...

Balistreri wstrzymał oddech.

– Mam jego odbitkę na nocnym stoliku. Sądzę, że chciałby je pan zobaczyć.

– Nie wiem, jak mam księdzu dziękować. Przypuszczam, że nie wie ksiądz, co to jest skaner...

– Technologia służy także sprawom Bożym, *dottore*, za parę minut dostanie pan mail z fotografią.

Te kilka minut Balistreri spędził, myśląc o Lindzie.

Wysłałaś mnie do Aliny Hagi. A teraz co mnie czeka?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Sygnał w komputerze oznajmił nadejście maila od prałata Lato. Fotografia miała bardzo dobrą rozdzielczość. W obiektyw patrzyły dwie uśmiechnięte dziewczyny. Alina Hagi i Samantha Rossi.

Spotkali się w biurze Pasqualego około dziesiątej. Jeszcze jako dziecko Pasquali nauczył się od swego ojca i jego chadeckich przyjaciół, jak zwlekać, rozwadniać i obchodzić niewygodne sprawy. I robił to z uśmiechem na ustach i bez litości w sercu,

z biegiem niespełnionego aktora.

Poprawił okulary, przypatrzył się fotografii, którą przyniósł mu Balistreri, i stwierdził:

– Tak, zauważalne podobieństwo.

Nie dodał nic więcej, czekając na to, co ma do powiedzenia Balistreri. Szef sekcji specjalnej podał mu fotografię z zeszłorocznej gazety, z czasów, kiedy zginęła Samantha. Jej matka, Anna, z kamienną rozpaczą na twarzy szła za trumną córki.

– Tak – powiedział Pasquali – to może być matka Samantha w młodych latach. I byłby to nadzwyczajny zbieg okoliczności.

– Uważasz, że to nadzwyczajny zbieg okoliczności? Że żona Mariusa Hagięgo, człowieka zamieszanego w dwa morderstwa w dwa tysiące piątym roku, była już w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim przyjaciółką matki Samantha Rossi, jednej z dwóch ofiar? To ci się wydaje zbiegiem okoliczności?

Tonem głosu Pasquali zmanifestował najwyższą cierpliwość:

– Zwróć uwagę, że Hagi nie jest jeszcze zamieszany w żadne morderstwo, a już zwłaszcza w morderstwo Samantha Rossi, z którym absolutnie nie ma nic wspólnego.

– Chyba że to on jest Niewidzialnym Człowiekiem – rzucił Balistreri.

To też nie stropiło Pasqualego.

– Niewidzialny Człowiek, jak go nazywasz, jest do tego stopnia niewidzialny, że opisali go jedynie winni zabójstwa, by zrzucić z siebie część odpowiedzialności.

Gdybym ci powiedział o głosie, który mówił do Colajacona, że zaraz umrze, uznałbyś, że majaczyłem?

– Dobrze, ale pojedę porozmawiać z rodzicami Samantha Rossi.

– Słusznie, trzeba to zweryfikować – zaaprobował Pasquali.

– I chcę przesłuchać trzech Romów, którzy siedzą w więzieniu za zabójstwo Samantha.

Pasquali skrzywił się lekko.

– Prokurator będzie chciał wiedzieć dlaczego.

– Ze względu na związek ze sprawą Nadii, są nowe okoliczności.

– Związek? – Pasquali wciąż nie chciał brać pod uwagę liter wyrytych na ciele ofiar. – Nie ma żadnego związku, nie ma o czym mówić.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział sucho Balistreri.

Pasquali trochę zeszywniał, miał szósty zmysł, którym nieomylnie wyczuwał poważne problemy. Balistreri opowiedział mu o motocyklu crossowym przy Bella Blu i o takim samym motocyklu należącym do Adriana.

Pasquali słuchał w milczeniu.

– I w związku z tym co? – zapytał chłodno na koniec.

– I w związku z tym to mógł być ten sam motocykl.

– Albo jeden z setek crossowych motocykli jeżdżących po Rzymie.

– Nieczęsto widzę crossowy motocykl w centrum Rzymu, a już zwłaszcza koło nocnych klubów przy via Veneto.

– Ale od czasu do czasu jakiś widzisz, Balistreri. A jako dobry policjant wiesz, że to wystarczy.

Przejsście do zwracania się po nazwisku było jak zawsze jasnym sygnałem: koniec dyskusji. Ale tym razem to nie był koniec.

– Colajacono był w Bella Blu dwudziestego trzeciego grudnia, tego samego wieczoru, kiedy była tam Nadia i kiedy został zabity Camarà.

Minęło parę minut w ciszy, w której rzeczy niewypowiedziane ciążyły tak samo jak wyrażone słowami.

– Mam ci jeszcze jedną rzecz do powiedzenia – zdecydował w końcu Pasquali.

Balistreri przeczuwał, o co chodzi.

– Wiem, że w ostatnich kilku miesiącach regularnie spotykałeś się z Lindą Nardi. Podejrzewam, że widziałeś ten tekst, który wyszedł w numerze z piątego stycznia?

Balistreri z niewzruszonym spokojem popatrzył na fotokopię artykułu: *A gdyby zginął policjant...*

– Tak, czytałem go kilka miesięcy potem, w czasie rekonwalescencji.

Z pewnością to nie jest właściwa okazja, by powiedzieć mu o wszystkim.

– I co o tym sądzisz?

– Nadzwyczajny zbieg okoliczności – zasugerował złośliwie Balistreri.

Ironia chyba się nie spodobała Pasqualemu. Balistreri wyczytał to ze spojrzenia zwróconego ku aniołowi na balkonie. Jakby jego przełożony szukał u niego sił, by zachować cierpliwość.

– Jeśli czytać ten tekst w świetle tego, co się wydarzyło, wyda ci się bardziej ostrzeżeniem niż hipotezą – powiedział Pasquali, przenosząc wzrok na Balistreriego.

– W takim przypadku byłoby to ostrzeżenie całkowicie zignorowane.

– Według ciebie kto mógł być jego adresatem? – zapytał Pasquali, patrząc mu w oczy.

Balistreri był świadomy niebezpieczeństwa, lecz nie zamierzał dłużej być roztropny. Jakby śmierć, o którą się otarł na tamtym wzgórzu, zastrzelenie Krasnala i samobójstwo Giovanni Sordi cofnęły go do jego prawdziwej natury, którą skruszył ciężar gryzącego poczucia winy i wszystkich przeżytych lat.

– Załóżmy, że artykuł był przeznaczony dla tego, kto rozkazał zastawić pułapkę na Colajacona i Tatò, tyle że ukazał się za późno – odparł.

Pasquali nawet nie mrugnął.

– Pułapkę? Ale przecież wszystkie rekonstrukcje wypadków mówią, że Colajacono i Tatò postanowili jechać do szopy Vasilego, by szukać dowodów, i przez przypadek natknęli się na czterech Rumunów, którzy tam byli po to, by te dowody ukryć.

– A jeśli Colajacono i Tatò byli współnikami, którzy okazali się niewygodni? Ktoś

mógł przez jednego z informatorów ściągnąć ich w to miejsce, aby ich wyeliminować, i stąd obecność tych czterech Rumunów – zaproponował Balistreri.

Pasquali spojrział na niego zimno.

– To ty podyktowałaś Lindzie Nardi ten artykuł?

Balistreri się przestraszył, co mogłoby się stać Lindzie, gdyby Pasquali zaczął myśleć, że to ona jest źródłem.

– Zasugerowałem go.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Pasqualego, który czekał na wyjaśnienia.

– Nie tłumaczyłem jej motywów swoich podejrzeń, zgodziła się go opublikować w zamian za pierwszeństwo dostępu do informacji w przyszłości.

Pasquali podniósł słuchawkę i zadzwonił do Antonelli.

– Proszę, niech mi pani przygotuje zioła na nadkwasotę. – A do Balistreriego powiedział, wskazując na barek: – Domyślam się, że wolisz coś innego?

– W czasie rekonwalescencji zupełnie wyeliminowałem alkohol przed kolacją. Gdyby Antonella mogła mi przynieść herbatę...

Pasquali zadzwonił jeszcze raz i poprosił Antonellę o herbatę.

Te obustronne wyznania odrobinę rozluźniły atmosferę. Okazując słabość swoich żołądków, dawali wyraz wzajemnemu zaufaniu, choć na minimalnym poziomie. Dwaj policjanci, których łączyła nadkwasota i strach.

– Colajacono został najpierw wmanewrowany, bo był przydatny, później zrobiono z niego kozła ofiarnego. Ale nieoczekiwana interwencja Coppoli, a potem moja zrobiły z niego bohatera – wyjaśnił Balistreri.

– Przyjmuję część pierwszą – zgodził się Pasquali. – Colajacono został przez kogoś wmanewrowany. Ten ktoś chciał być pewny, że w komisariacie będzie miał sprzymierzeńca, który odpowiednio zajmie się Ramoną, jeśli przyjdzie zgłosić zaginięcie Nadii.

– Pasquali, powiem ci, co mnie poważnie niepokoi. Tamtego dnia byłem w komisariacie Colajacona i spotkałem się z nim. Był zupełnie spokojny, nawet gdy go oskarżyłem, że zastąpił Marchesego i Cutugna specjalnie po to, by uniemożliwić Ramonie zgłoszenie zaginięcia Nadii. Ale później powiedziałem mu coś jeszcze...

Weszła Antonella z ziółkami i herbatą. Pasquali poprosił Balistreriego, by jeszcze poczekał.

– Daj mi wypić trochę ziół, zanim powiesz, co to było. A nawet daj mi chwilę, to sam ci powiem.

Upił trochę, potem zdjął okulary i potarł sobie skronie.

– Tylko taki wariat jak ty, Michele... – rzekł cicho. – Powiedziałaś mi o nadgarstku Vasilego.

Jesteś cholernym sukinsynem, ale nieprawdopodobnie inteligentnym.

– Kiedy mu powiedziałem o zwichniętym nadgarstku Vasilego, zobaczyłem, jak drży

ze strachu. Nagle zrozumiał, że go załatwili. Między szóstą a siódmą, kiedy porwano Nadie, nie miał alibi prawdopodobnie dlatego, że ktoś wtedy wysłał go gdzie indziej. Miał tylko Tatò, którego zasugerowano mu jako towarzysza nocnego dyżuru właśnie po to, żeby nie miał wiarygodnego alibi. I na pewno nie wiedział, że Nadia zostanie zamordowana, pewnie myślał, że chodzi o kolejny szantaż wobec jakiegoś polityka, jak już zrobili z Augustem De Rossim.

– Mówisz, że go świadomie wrobili? – Pasquali był naprawdę zaniepokojony.

– Jak najbardziej. Moim zdaniem to wyglądało tak: najpierw mu mówią, że Nadia ma zrobić numerek jakiemuś politykowi, potem że są kłopoty z pasterzem, który się upił i zabił Nadie. Podają mu informacje, jak znaleźć Vasilego, dzięki temu zalicza sukces. Jest spokojny. Ale nagle dowiaduje się, że nie pasterz był mordercą. Nagle rozumie, kto za tym stoi, ale wie też, że mogą oskarżyć i jego. Już raz był zmuszony pokazać się z Ramoną w Crystalu, kiedy montowali szantaż Augusta De Rossiego. Teraz wiemy, że wezwali go także do Bella Blu dwudziestego trzeciego grudnia, kiedy była tam Nadia. Pomyśl, jak Colajacono musiał się poczuć. Usunął mu się grunt spod nóg.

Pasquali zmarszczył czoło.

– I wywnioskowałeś, że zbuntował się przeciwko swoim mocodawcom, a oni postanowili go uciszyć. Artykuł Lindy Nardi miał służyć temu, by tego wszystkiego uniknąć, tyle że było już za późno. Ale ty przynajmniej mogłeś się powstrzymać i nie mówić Colajaconowi o nadgarstku pasterza.

Trzej policjanci, wśród nich Coppola, zginęli z tego powodu. Bo chciałem ukarać Colajacona za to, że dobierał się do Lindy.

– Powiedzieli Colajaconowi, że ma tylko sprawić, by policja nie szukała jej przez te dwa, trzy dni, kiedy będą używali Nadii do szantażowania polityka. Ja odkrywam przed nim prawdę i wtedy on do kogoś dzwoni. Umawiają się z nim i z Tatò w szopie, żeby ich uspokoić, ale oni przyjeżdżają wcześniej, by szukać dowodów, które obciążą kogoś innego.

– Wytłumacz.

Pasquali był blady jak ściana. I ta jego bladość niepokoiła Balistreriego.

– Na dukcie prowadzącym do szopy Vasilego ludzie z kryminalistyki znaleźli tylko ślady starej alfy pasterza i samochodów Colajacona i Piccolo, żadnych innych nie było.

– Czytałem. Kolejny motyw, by wykluczyć hipotezę Niewidzialnego Człowieka. Jak miałby się stamtąd ulotnić? Odlecieć na skrzydłach? – zapytał Pasquali.

– Mógł zejść pieszo, nie bacząc na chłód i panujące ciemności. Ale musiał jeszcze wejść pod górę, żeby pożyczyć starą alfę. Zgodzę się, że to zbyt skomplikowane.

– A więc nie ma Niewidzialnego Człowieka, wymyślił go sobie Vasile.

– W takim razie kto zabił Nadie, skoro Vasile miał zwichnięty nadgarstek?

– Drugi pasterz, jego wspólnik we włamaniach – odpowiedział natychmiast Pasquali.

– To możliwe, ale wtedy Colajacono tak by się nie bał. Sprawy przybrały inny obrót i on to wiedział. Pojechał z Tatò szukać śladów motocykla crossowego, ale tamci czekali już, by go zabić.

Pasquali zatrzymał się na chwilę i zastanowił.

– Ludzie z kryminalistyki odkryliby ślady motocykla.

– Nie, jeśli motocykl wjechał na górę, omijając główny dukt. Do tego przecież służy motocykl crossowy.

– Więc twoja teoria jest taka, że dwudziestego czwartego grudnia rano Niewidzialny Człowiek wjeżdża na wzgórze na motocyklu crossowym, zostawia go tam i zabiera starą alfę, potem około siódmej wieczorem wraca tą alfą razem z Nadią, zabija ją i odjeżdża na motocyklu.

Balistreri nie skomentował. W tej rekonstrukcji była jedna niespójność, lecz to nie był moment na mówienie o niej.

Pasquali chciał konkluzji.

– I dokąd nas to wszystko prowadzi?

Doskonale wiesz dokąd. Do wspaniałego przykładu integracji, do oświeconego przedsiębiorcy i dobroczyńcy życiowych rozbitków, do pana Mariusa Hagiego.

Balistreri odczekał w milczeniu. Zrobienie kroku dalej nie było jego zadaniem. Jeśli ktoś opiera się logice, to znaczy, że ma w tym jakiś cel.

Pasquali był człowiekiem o wielkim doświadczeniu i wybitnej inteligencji. Wiedział, że ta rozgrywka zbliża się do końca i że trzeba skończyć ją jak najszybciej, by uniknąć katastrofalnej przegranej.

– Znajdę jakiś pretekst, żeby prokurator pozwolił ci przesłuchać trzech Romów, którzy napadli na Samanthę Rossi. Ty idź oczywiście do jej rodziców i wyjaśnij związek z Aliną Hagi. Ale nie mów o literach R i E, nikomu. A zwłaszcza Lindzie Nardi.

– Będę się trzymał od niej z daleka. – Kiedy to mówił, był doskonale świadomy, jak zobowiązująca jest ta obietnica.

Ucieszył się na wieść, że rodzice Samanthy Rossi zmienili mieszkanie. Już sama wizyta w San Valente przywołała nieprzyjemne wspomnienia. Powrót do miejsca, w którym Samantha urodziła się i dorastała, nie był szczytem jego marzeń.

Przyjęli go późnym letnim popołudniem, po pracy. Nowoczesny biały, sterylnie czysty dom. Jak szpital, żeby znieczulić ból.

Anna Rossi była piękną czterdziestolatką. Samantha była do niej bardzo podobna z rysów twarzy, po ojcu odziedziczyła wzrost i postawę. Przyjęli go z chłodną grzecznością, w końcu był tym facetem od niewinnych Romów, tym, który popełnił kardynalny błąd.

Balistreri wiedział, że musi maksymalnie skrócić wizytę, jego obecność była dla nich jedynie kolejnym źródłem cierpienia.

Wolał od razu jasno postawić sprawę.

– Nie jestem tu z powodu waszej córki, przynajmniej nie bezpośrednio.

Kiedy patrzyli na niego ze zdziwieniem, położył na stole fotografię, którą przysłał mu ksiądz Lato.

Smutne spojrzenie Anny Rossi zgubiło się gdzieś we wspomnieniu, które przez moment złagodziło gorzki grymas na twarzy.

– Alina – wyszeptała.

Mąż popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Jaka Alina?

Spojrzała na niego czule.

– Na początku lat osiemdziesiątych była moją najlepszą przyjaciółką. Mówiłam ci o niej parę razy, to ta Polka, która zginęła w wypadku na skuterze na rok przed tym, jak się poznaliśmy.

– Często się pani widywała z Aliną Hagi? – zapytał Balistreri.

Anna Rossi zanurzyła się we wspomnieniach.

– To była niezwykła dziewczyna, prawdziwa siła natury. Wydawała się taką kruchą blondynką, ale była silna i pełna pozytywnej energii. Potrafiła zorganizować wszystko. I umiała pomóc innym, i sierotom, i wolontariuszom, jeśli mieli kryzys.

– Jak ją pani poznała?

– Zbliżyłam się do San Valente przez mojego ówczesnego chłopaka, który studiował prawo i pomagał w parafii przy załatwianiu formalności ekspatriacyjnych dla sierot. Przedstawił mnie kardynałowi Alessandriniemu, a on księdzu Paulowi. To było w osiemdziesiątym pierwszym. Alina była moją instruktorką na kursie wolontariackim. Szybko się zżyłyśmy, byłyśmy niemal nierozłączne, choć ona przebywała tam niemal cały czas, a ja tylko w godzinach wolnych od zajęć na uniwersytecie.

– Znała pani męża Aliny?

– Słabo. Przyjeżdżał po nią wieczorami, by ją zabrać do domu. Bardzo poważny i trochę zamknięty w sobie chłopak. Ale bystry i konkretny. Potem widywałam go coraz rzadziej. Aż do pogrzebu Aliny. – Cień przemknął po twarzy Anny Rossi.

– Przy tej okazji rozmawiała pani z wujem Aliny, księdzem. Pamięta pani?

– Tak, bardzo dobrze. Byłam zdruzgotana, starał się mnie pocieszyć. Opowiedziałam mu wtedy o czymś, co się wydarzyło kilka dni wcześniej.

– O siniakach na rękach Aliny.

– Siniaki były okropne, na obu rękach. Powiedziała mi, że upadła i potłukła się, ale to był oczywisty wykręt. Zapytałam, czy to sprawka jej męża. Zdecydowanie zaprzeczyła.

– Alina dobrze żyła z mężem?

– Na początku na pewno tak. Potem relacje zaczęły się psuć. Tak to widziałam. Nie mogę być absolutnie pewna, ale mówiła o nim coraz mniej i niechętnie.

– Rozmawialiście może tamtego wieczoru, kiedy zginęła? – zapytał Balistreri.

– Tak, zadzwoniła do mnie. Zapytała, czy może u mnie przenocować. Nigdy wcześniej tego nie robiła i nie zapytałam jej o powód. Potem, kiedy tylko wyszła z domu, ten wypadek...

– Może miała kogoś? – zasugerował Balistreri.

Po raz pierwszy na twarzy Anny Rossi zagościł uśmiech.

– Alina Hagi była chodzącą świętą, *dottor* Balistreri. Pobożną katoliczką. Prędzej by padła trupem, niż zdradziła męża.

– Miała pani potem jakiś kontakt z Mariusem Hagim?

– Żadnego. Dużo czasu i wysiłku zabrało mi pogodzenie się z jej śmiercią. Czuję się tak, jakbym straciła rodzoną siostrę. A potem Samantha...

Mąż otoczył ją ramieniem. Spróbował skierować jej uwagę na inny temat.

– Nie wiedziałem o twoim narzeczonym z tamtego czasu.

– O Francescu? To był po prostu chłopak, nie narzeczony, a potem okazało się, że to karierowicz. Alina pomogła mi zobaczyć prawdę, dzięki niej znalazłam w sobie siłę, by z nim zerwać. Byliśmy wspaniałą grupą wolontariuszy, wie pan? Ludźmi, którzy naprawdę w coś wierzą. Tylko że Francesco wykorzystywał wolontariat jako polityczną dźwignię dla swojej kariery, reszta go nie obchodziła.

Anna Rossi wstała, przeszła przez salon i zaczęła przerzucać kartki wielkiego albumu z fotografiami.

– O, jest! – zawołała zadowolona. – To fotografia naszej grupy w osiemdziesiątym drugim.

Przysunęła ją Balistreriemu. Kościół San Valente w tle. Grupa uśmiechniętej młodzieży. Rozpoznał księdza Paula, Valeria, Alinę Hagi i Annę Rossi. A obok Anny Rossi, otaczając ją ramieniem w taki sam sposób jak dzisiaj jej mąż, w nienaganej marynarce i pod krawatem, stał przyszły mecenas Francesco Ajello, aktualny dyrektor Bella Blu i administrator ENT.

Balistreri postanowił ograniczyć pytania do minimum.

– Jak pani chłopak dostał się do wolontariatu?

– Wprowadził go ten chłopak, o tu, byli przyjaciółmi.

I palcem wskazała na wątlą sylwetkę Valeria Bony.

Nadzwyczajny zbieg okoliczności, jak by to ujął Pasquali.

Był piątkowy ciepły wieczór, Pasquali prawdopodobnie już wyjechał na weekend do swego rodzinnego miasteczka i telefonowanie do niego nie byłoby w dobrym tonie. Natychmiast też odrzucił pomysł zawiadomienia Corvu. Pojawienie się na scenie

mecenasa Ajella znów stawiało w centrum śledztwa ENT. Ajello to była ENT. A ENT oznaczała poważne kłopoty. Już stracił Coppolę, a Corvu sam widział, jaki koniec spotkał w Dubaju Belhrouza.

Wiedział, że walka między roztropnością a prawdą to w istocie walka między tym, kim się stał, a tym, kim był wcześniej. W obydwu fazach swego życia był równie nieszczęśliwy, choć odmiennie. Teraz musiał znaleźć jakąś syntezę obu, która pozwoliłaby żywym pozostać przy życiu, a jednocześnie oddać sprawiedliwość zmarłym.

Przy spotkaniu z Paulem i Valeriem zapisał numery ich komórek. Najpierw zadzwonił do Paula, spodziewał się, gdzie go zastanie.

– *Dottor* Balistreri, cóż za nieoczekiwana częstotliwość kontaktów po tylu latach milczenia. Może chciałby pan mnie znowu odwiedzić?

Słyszał w tle okrzyki dzieci i dźwięk sztućców. W San Valente przygotowywali się do kolacji.

– Mogę wpaść teraz?

– Nawet na dłużej, jeśli ma pan ochotę. Właśnie siadamy do stołu, każę nakryć dla pana.

Paul przyjął go przed oświetlonym budynkiem sierocińca. Kilkoro dzieci roznosiło talerze z jedzeniem. Czekali na niego, by zacząć. Paul wskazał mu wolne miejsce między chłopcem o azjatyckich rysach i afrykańską dziewczynką, oboje mogli mieć po jakieś jedenaście, dwanaście lat.

Na kolację było znakomite spaghetti z sosem ze świeżych pomidorów. Dzieci żartowały między sobą i ukradkiem przyglądały się Balistreriemu. Po jakiejś chwili chłopak o azjatyckich rysach zebrał się na odwagę:

– Mam na imię Luk, a ty?

– Ja jestem Michele. Jestem kolegą Paula. A ty dobrze mówisz po włosku.

– Jestem tu już trzy lata. Dzięki Paulowi. On i ksiądz kardynał mnie uratowali.

– Luk, skąd pochodzisz?

Dzieciak odpowiedział bardzo szybko, jakby chciał od razu odrzucić od siebie wspomnienia:

– Z Kambodży.

Afrykańska dziewczynka także zebrała się na odwagę i pociągnęła Balistreriego za rękaw. Była ślicznym dzieckiem o ogromnych oczach.

– A ja jestem Bina, pochodzę z Rwandy. I jestem starsza niż Luk.

Zaczęły mówić jedno przez drugie. Opowiadały wyłącznie o swoim życiu w San Valente, jakby cała ich wcześniejsza egzystencja została całkowicie wymazana. Balistreri zauważył, że Paul co jakiś czas spogląda w ich kierunku. Przez te pół godziny udało mu się zapomnieć o gwałtach, morderstwach, o Hagim, Ajellu i o ENT. Jakby został przeniesiony w inny wymiar, w którym nędzą ludzkiego życia

skapitulowała przed niewinnością i szczęściem tych uratowanych sierot. Pełen chaosu zapał z roku 1982 przemienił się w efektywną organizację rozdającą szczęście. Łatwo mu było zrozumieć, dlaczego Paul jest tak pełen dumy z tego miejsca, w pełni uzasadnionej.

Po podaniu owoców gospodarz skinieniem zaprosił go na zewnątrz. Usiedli pod tym samym co zwykle drzewem w drżącym świetle małego lampionu. Trzynastoletnia na oko dziewczynka przyniosła tacę z kawą. W San Valente wszystko się zmieniło, wszystko dorosło, tak jak ksiądz Paul.

– Kawa i papierosy – zaproponował Paul jakby dla potwierdzenia zmian, które zaszły.

Nie była bezkofeinowa i smakowała doskonale. Balistreri przyjął też od Paula papierosa. To był już szósty tego dnia, po raz pierwszy od wielu lat przekraczał właśnie ustalony limit pięciu sztuk dziennie.

– Spotkałem się dziś z Anną Rossi, przyjaciółką Aliny Hagi.

Paul pokiwał głową.

– Czytałem o tym nieszczęściu z jej córką w zeszłym roku. Kardynał Alessandrini zadzwonił do niej z kondolencjami.

– A pamięta ksiądz chłopaka Anny?

Niemal niedostrzegalny cień przemknął po twarzy księdza Paula.

– Francesco Ajello. Pracował z Valeriem dla hrabiego. Nie przychodził tutaj, pracował w biurze. Studiował prawo i pomagał nam uzyskiwać pozwolenia na wyjazd sierot z krajów ich pochodzenia.

– Hrabia wam go przedstawił?

– Myślę, że tak. Valerio go znał, przedstawił go hrabiemu, a on powiedział o nim kardynałowi. Tak samo jak w przypadku Elisy Sordi.

– Lubił go ksiądz?

Ksiądz Paul zapalił kolejnego papierosa, a Balistreri bez zastanowienia przyjął siódme.

– *Dottor* Balistreri, ja przecież wciąż jestem księdzem. Łatwo pan o tym zapomina.

– Ale wówczas był ksiądz młodym człowiekiem i jak wszyscy młodzi miał swoje sympatie i antypatie. Pamięta ksiądz chyba?

Paul pokręcił głową.

– Pamiętam, co powiedziałem wtedy o Manfredim, i wiem, że to były zatrute owoce gniewu. Miałem już okazję bardzo żałować za te słowa.

– I nie chce mi ksiądz nic powiedzieć o Francescu Ajellu.

– Byłyby to tylko opinie zagubionego chłopaka, jakim wtedy byłem.

Balistreri uznał, że nie będzie naciskał. Zapowiadała się bardzo gorąca noc i takiz weekend. Pograżonego w mroku ogrodu przy San Valente nie owiewała nawet odrobina wiatru. Dzieci poszły spać, pogasły światła i ucichły głosy. Wokół lampionu

leniwie latała ćma.

Pożegnał się z księdzem Paulem i tym nieznośnie spokojnym miejscem z poczuciem, że właśnie wszedł do najmroczniejszej części labiryntu.

Sobota, 15 lipca 2006

Przed południem

Valerio Bona zawsze kochał morze przy brzegach Ostii, najbliższej plaży Rzymu. Rodzice zabierali go tam od dziecka każdego lata. Tam w 1981 roku poznał Elisę Sordi. Ona miała siedemnaście lat, on był osiemnastolatkiem świeżo po maturze, dopiero co zapisany na wydział informatyki. Tamtego lata często spacerowali nad brzegiem morza. Nosił wtedy długie włosy. Potem przyszła jesień. Elisa wróciła do ostatniej klasy liceum ekonomicznego, on zaczął pierwszy rok informatyki. I coś się zmieniło. Dla niego przyjaźń zmieniła się w miłość, dla niej nie.

Balistreri zadzwonił do niego w sobotę o ósmej rano. Valerio właśnie przygotowywał osprzęt swojej żaglówki i jak co weekend gotował się do samotnego wypłynięcia w morze. To był jego czas spokoju, wspomnienia gubiły się wtedy wśród świstu wiatru i łoskotu fal uderzających o kadłub. Ale Balistreri nalegał, by spotkali się natychmiast, i Valerio poczuł się zobowiązany na niego poczekać.

W weekendy ruch uliczny w kierunku wybrzeża się wzmacniał. Balistreri uznał, że lepiej pojechać kolejką. Wyszedł ze stacji na ciągnącą się wzdłuż wybrzeża aleję razem z tłumem ludzi kierujących się na plażę. Valerio czekał na niego oparty o skuter.

– Mam kask dla pana. Jedźmy do portu, porozmawiamy na łodzi.

Od lata 1970 roku Balistreri robił co mógł, by nie wypływać w morze. Uświadomił sobie jednak, że to najlepsze miejsce do rozmowy z Valeriem Boną. Valerio podniósł grota i foka i wybrał kurs pod wiatr, który pozwalał usiąść w cieniu żagli dającym nieco ochłody. Po dziesięciu minutach byli już na szerokich wodach i ucichł gwar dobiegający z zatłoczonej plaży.

Kokpit był wytapetowany fotografiami Valeria w różnym wieku, nieodmiennie za sterami różnych łodzi. Tylko dwa zdjęcia nie pasowały do schematu: na jednym widniał Jan Paweł II, drugie przedstawiało drużynę tegorocznych piłkarskich mistrzów świata.

Za sterem Valerio się rozluźnił. Złoty krzyżyk na szyi błyszczał mu na opalonej skórze. Na łodzi czuł się najbardziej swobodnie, jakby kadłub był jego bezpieczną skorupą, jakby tylko we wnętrzu kokpitu potrafił kontrolować sytuację. Niepewny siebie, niezgrabny chłopak także tym razem został na molo.

Balistreri ze swej strony starał się rozluźnić, jednak najgorsze wspomnienie w całym jego życiu burzyło mu spokój.

– No to jesteście – powiedział tylko. Co pięć minut zapalał papierosa. Żelazne

reguły, które sobie narzucił, sypały się w proch.

– Kiedy przyszedł pan przedwczoraj do San Valente, obaj z Paulem byliśmy przekonani, że to z powodu samobójstwa matki Elisy – powiedział Valerio, patrząc w morze. – A tymczasem chodziło o Alinę Hagi. Zbiło nas to kompletnie z tropu.

Valerio Bona nie umiał zapomnieć. Rozpoczęcie nowego życia po doświadczeniu wielkiej tragedii jest usprawiedliwioną strategią obronną. Starał się: studia, IBM, kariera. Ale coś zmuszało go do powrotu po własnych śladach. Coś, co nie pozwalało mu się zbyt oddalać.

W 1982 roku Paul był tylko niedojrzałym chłopakiem i zdążył z biegiem czasu wydorosnąć, ale Valerio Bona był już wtedy nad wiek dorosły i mógł jedynie się postarzyć.

– Sądzicie, że olewam Elisę Sordi i jej matkę? – zapytał Balistreri.

Valerio się wzdrygnął. Bezpośredniość Balistreriego nie leżała w jego naturze i nigdy jej nie lubił.

– Nie, nie – szepnął – byliśmy tylko zaskoczeni. Ale jest pan tutaj z powodu Aliny Hagi, jak rozumiem.

– I z powodu jej przyjaciółki Anny Rossi i jej ówczesnego chłopaka.

Długie milczenie.

– Robimy zwrot, uwaga na bom – powiedział w końcu Valerio.

Po wykonanym zwrocie słońce zaczęło świecić Balistreriemu prosto w oczy.

– To pan przedstawił hrabiemu Francesca Ajella, prawda? – zapytał, osłaniając oczy przed słońcem.

Sylwetka Valeria była ledwie widoczna na tle ostrego słonecznego światła rażącego oczy Balistreriego.

– Tak, przedstawiłem go hrabiemu, a on zatrudnił go jako stażystę w kancelarii prawnej, która zajmowała się jego posiadłościami, tej samej, w której ja obsługiwałem pierwsze komputery osobiste.

– Gdzie go pan poznał?

– Właśnie tu, w Ostii, podczas regat dwójek w klasie Laser Standard. Miał najpiękniejszą łódź, był z bogatej rodziny. I szukał dobrego sternika. Koło żeglarskie skontaktowało nas ze sobą i zaczęliśmy razem trenować. Zgraliśmy się świetnie, w osiemdziesiątym pierwszym wygraliśmy osiem z dziesięciu regat i tytuł.

– Dlaczego przedstawił go pan hrabiemu?

– Francesco był bardzo zdolny i studiował prawo. Wiedziałem, że kancelaria zajmująca się sprawami hrabiego szuka stażysty, a on chciał gdzieś praktykować.

– I po kilku miesiącach hrabia poznał go z kardynałem Alessandriniem.

– Tak, kardynał szukał bezpłatnej pomocy prawnej przy sierocińcu. Hrabia przedstawił mu Francesca, który ucieszył się, że może pomóc.

– Bardzo to wielkoduszne z jego strony.

– Cóż, byli tacy, jak choćby Paul, co twierdzili, że Francesco to tylko dorobkiewicz, który wszędzie się wkręca. Faktem jest, że był bardzo zdolny.

– I miał dziewczynę, Annę Rossi.

Valerio się zamyślił.

– Jeśli chodzi o kobiety, Francesco raczej się nie ograniczał. Tak, Anna Rossi była jego dziewczyną, ale zapewne niejedyną. On należał do tych, jak by to powiedzieć...

– Do tych, którzy muszą spróbować z każdą – zasugerował Balistreri.

– Z każdą, która im się podoba – dopowiedział Valerio w zamyśleniu.

– A była wśród nich również Elisa Sordi?

Valerio wzdrygnął się znowu i na chwilę stracił kontrolę nad łodzią. Żagle weszły w łopot. Słońce przestało nagle razić oczy Balistreriego i zobaczył przed sobą twarz starca. Głębokie zmarszczki żłobiły chudą twarz Valeria Bony.

Po chwili Bona odzyskał panowanie nad łodzią i nad sobą.

– Elisa była całkowicie nieosiągalna. I nie sądzę, by Francesco znajdował się na szczycie listy jej sympatii.

Wracając kolejką do Rzymu, Balistreri zasnął. Był przypieczony słońcem, wysmagany wiatrem i morzem, przepalony papierosami. We śnie, otoczony radosną paplaniną plażowiczów, spotkał Lindę Nardi. Popatrzył jej na biust, pionowa zmarszczka pojawiła się na jej czole i twarz Lindy Nardi zastąpiła dziecinna, słodka twarz Elisy Sordi.

Po południu

Zaskoczyło go, że hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno natychmiast zgodził się go przyjąć. Albo nie żywił już żalu, albo był zaciekawiony. Bardziej prawdopodobna była druga hipoteza. Ze swej strony Balistreri bardzo chętnie oszczędziłby sobie tej wizyty. Niestety, była konieczna. Pamiętał sprzeczne uczucia szacunku i odrazy, jakie hrabia w nim wywoływał. Poza tym ten człowiek był chodzącym przypomnieniem jego największej porażki dochodzeniowej.

Kiedy katastrofa śledztwa objawiła się w całej swej haniebnej postaci, hrabia rozstał się z nim i jego szefem Teodorim z tą samą lodowatą pogardą, którą okazywał im od samego początku. Z pogardą zmieszaną z politowaniem, jaką istoty wyższe od niechcenia obdarzają imbecyli. Upokorzenie, które towarzyszyło tej pogardzie, paliło go latami, znacznie bardziej niż poczucie winy z powodu tego, co wtedy nawyprawiał.

Rezydencja przy via della Camilluccia była jeszcze bardziej elegancka niż w czasach, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Drzewa urosły, oba trzypiętrowe budynki były świeżo odmalowane.

Wielka zielona brama, przez którą Elisa Sordi wyszła po raz ostatni na krótko przed

finałem mundialu w 1982 roku, była porośnięta bluszczem, podobnie jak stróżówka i domek dozorczy niedaleko bramy.

Naturalnie nie było już pani Giny, którą zastąpił młody imigrant w uniformie. I wszystko to znajdowało się w tym samym mieście co obóz Casilino 900 i dzielnica, w której na dnie studni odnaleziono zwłoki Nadii.

Nim zbliżył się do bramy, wypalił papierosa, przewidując konieczność zachowania całkowitej abstynencji w najbliższym czasie.

– Hrabia oczekuje pana, *dottor* Balistreri. Może pan zaparkować za fontanną – powiedział grzecznie młody portier, otwierając bramę.

Także tu dotarła demokracja. Hrabia musiał się naprawdę zestarzeć.

Słońce oświetlało bliźniacze rezydencje hrabiego i kardynała. Balistreri przejechał przez ogród i okrążył fontannę. Zaparkował swojego starego fiata obok stojącego w cieniu astona martina. Oczywiście nowszej wersji samochodu, który pamiętał. Znajdujący się za basenem i kortem tenisowym budynek B miał opuszczone wszystkie rolety. Balistreri raptownie odwrócił wzrok od dawnego okna pokoju biurowego Elisy Sordi.

Wsiadł do małej windy w atrium budynku A i nacisnął przycisk trzeciego piętra. Po wyjściu zobaczył, że na klatce schodowej mroczne druki przedstawiające starożytny Rzym ustąpiły miejsca wspaniałym fotografiom zielonego płaskowyzu, ogromnego jeziora wielkiego jak morze, niemal białej spienionej rzeki.

Przyjął go młody sekretarz osobisty hrabiego ubrany w dzinsy i koszulkę z logo Lacoste. Wnętrze, które Balistreri pamiętał jako pogrążone w ciemnościach, z zaciągniętymi zasłonami i opuszczonymi do połowy roletami, teraz rozświetlały promienie słońca. Znikły gdzieś ciężkie draperie. Przeszli przez dwa salony. Po czarnych skórzanych sofach i niepokojących kobiercach nie został ani ślad. Wszystko zastąpiły nowoczesne meble i lustra.

Młody człowiek wprowadził go do saloniku z włączoną klimatyzacją, dwoma jasnymi wygodnymi fotelami i całkowicie podniesionymi roletami.

– Hrabia będzie już za moment. Mogę zaproponować coś do picia?

Balistreri poprosił o kawę i usiadł. To było kolejne pogwałcenie reguł zdrowotnych, ale już nie był w stanie funkcjonować na bezkofeinowej. Zerknął na zewnątrz, przeszklone drzwi wychodziły na wielki taras. Zobaczył obszerny parasol i róg biurka z komputerem.

– *Dottor* Balistreri.

Nie usłyszał, kiedy wszedł. Hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno wciąż trzymał się prosto jak struna. Proste, dokładnie zaczesane do tyłu włosy były tylko nieco cieńsze i bardziej przylegały do czaszki, ich czerń przeplatały szare kosmyki. Małą kocią bródkę zastąpiła prawdziwa broda, siwa, krótka i idealnie przystrzyżona. Dwurzędowa niebieska marynarka była idealnie skrojona. Wszystkie zmiany odnosiły

się do otoczenia, lecz nie dotyczyły osoby.

– Panie hrabio... – Balistreri wyciągnął rękę, którą mężczyzna uściśnął tak samo mocno jak przed laty.

– Tu będzie chłodniej i spokojniej. Niech pan siada.

Hrabia nie okazywał najmniejszego nawet zdziwienia, irytacji czy wrogości. Po dwudziestu czterech latach miał przed sobą człowieka, który niesłusznie oskarżył jego syna i przyczynił się do samobójstwa jego żony. Jednak nic w spokojnym spojrzeniu hrabiego nie wskazywało, żeby rozpamiętywał przeszłość. Prawdopodobnie już się nudził, a te odwiedziny podsycaly jego ciekawość.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan od razu przyjąć.

– Nie jestem już tak zajęty jak wtedy, *dottor* Balistreri. Poza tym okoliczności, jak mniemam, będą mniej przykre.

– Tak czy inaczej nie zabiorę panu wiele czasu.

– Tym się proszę nie martwić. Teraz jestem emerytowanym właścicielem ziemskim. Bardzo zajęty wieloma rzeczami, ale jednak emerytowanym. I być może ja też będę chciał o coś pana zapytać. Wie pan, wydarzenia ostatnich miesięcy bardzo mnie poruszyły. Chociaż niezupełnie zaskoczyły.

Balistreri postanowił nie pytać dlaczego.

– Mało brakowało, a między Rumunią a Italią wybuchłaby wojna. – Hrabiego widocznie bawiła ta myśl.

– Ale jak pan widzi, wystarczył jeden dobrze strzelony karny, by wszystko wróciło do normy.

Hrabia przytaknął.

– Zgadza się. Żyjemy w świecie pełnym powierzchowności. To co w tym kraju wartościowe, pogrzebała gruba warstwa śmieci, które strajkujący sprzątacze zostawiają na ulicy.

Rzecz się zmieniają wokół nas, ale nie w nas.

– Wiem, że porzucił pan aktywną politykę wiele lat temu.

Hrabia popatrzył na niego z ironicznym uśmiechem. Wciąż wzbudzał w nim ten sam respekt, ale już nie taki strach jak wtedy. Jakby naprawdę był, jak twierdził, jedynie posiadaczem ziemskim na emeryturze.

– Po wydarzeniach w osiemdziesiątym drugim roku zrezygnowałem z planów przywrócenia monarchii w tym kraju, w którym dzisiaj już nikt nie chciałby panować. Byłem skazany na klęskę, drogi panie.

– Nie odnoszę wrażenia, żeby się pan bał walki, panie hrabio.

– Ta walka była nierówna. Chrześcijanie byli już demokratami, komuniści się nimi stali i przy życzliwej utracie czujności ze strony Watykanu wszyscy zaczęli się demokratycznie bogacić. Zbyt wielu wrogów jak na starego arystokratę idealistę.

Balistreri zaczął odczuwać dyskomfort. Podzielanie choćby drobnej części

poglądów tego człowieka było irytujące. Odkrycie, że są poniekąd podobne do przekonań jego matki, było nie do przyjęcia, wręcz obrzydliwe. Tylko gdy zdarzało jej się mówić, co myśli, Alberto potrafił się przeciwko niej zbuntować, właśnie on, kiedy indziej zawsze pełen szacunku dla niej.

Nie ufajcie katolikom, chłopcy. To religia zbudowana na resentymentach, na złym sumieniu, na żalu. Nie ufajcie moralności słabych, która zabiera radość życia.

Hrabia za to był zupełnie spokojny i swobodny. Rozmawiał z nim tak, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Ale nie przyszedł pan przecież tutaj, by rozmawiać ze mną o polityce. Wyobrażam sobie, że samobójstwo matki tej dziewczyny otworzyło stare rany.

Przychodził po dwudziestu czterech latach, parę dni po samobójstwie Giovanny Sordi. Ksiądz Paul, Valerio Bona, a teraz hrabia: jak mogliby pomyśleć, że chciał rozmawiać o czymś innym?

– W tej chwili jestem tu z innych przyczyn. Niestety albo na szczęście.

Hrabia grzecznie podniósł brew.

– Chodzi o pana niedawne przykre doświadczenia?

– Uczciwie mówiąc, na tym etapie jeszcze nie wiem. Być może, ale nie jestem pewien.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Widzę, że lata nauczyły pana mądrości wątpienia. Zresztą to jedna z nielicznych korzyści podeszłego wieku.

– Muszę zrekonstruować niektóre relacje z przeszłości, a ich część dotyczy pana.

– Zanim odpowiem, chętnie usłyszałbym, w czym mam panu pomóc.

– Jestem policjantem, panie hrabio. Prowadzę bardzo poufne śledztwo.

– Ale wie pan także, że jestem osobą bardzo dyskretną. I może lepiej panu pomogę, gdy będę wiedział, o co chodzi.

Balistreri uznał, że jeśli nie będzie wspominał o ENT i literach wyciętych na ofiarach, może zaryzykować.

– Szukam uciekającego cienia – zaczął.

– Dobrze – powiedział hrabia. – Interesująca sprawa będzie wprost idealnym ożywieniem letniego sobotniego popołudnia. A żeby pana zachęcić... – Nacisnął przycisk pilota klimatyzacji. – To jedyny w domu pokój wyposażony w wyciąg dymu.

Hrabia patrzył z rozbawieniem na jego zaskoczenie. Z pewnym wahaniem, jakby się bał uderzenia szpicrutą w twarz, Balistreri zapalił papierosa.

Hrabia w milczeniu wysłuchał ocenzonej z wątku ENT historii o porwaniu i zamordowaniu Nadii i możliwego współudziału Colajacona.

– Do parafii San Valente doprowadziła mnie z powrotem Alina, zmarła żona Mariusa Hagiego – wyjaśnił Balistreri.

Hrabia milczał. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego czarnych głębokich oczu.

– Tak, pamiętam Alinę Hagi. Któregoś dnia przedstawił mi ją i jej męża kardynał Alessandrini. Dwoje wyróżniających się młodych ludzi. Bardzo energicznych.

Balistreri dobrze wiedział, że nie ma sensu zadawać temu człowiekowi bezpośrednich pytań. Milczał, paląc ze smakiem papierosa.

– Każę moim doradcom finansowym sprawdzić księgi rachunkowe. Wydaje mi się, że dałem Mariusowi Hagiemu jakieś zlecenie do wykonania. Jak wielu innym ludziom, może nawet z przesadną hojnością.

Balistreri poprawił się nerwowo na fotelu. Przejście do tematu Anny Rossi i Francesca Ajella bez odkrywania reszty kart mogło być bardziej skomplikowane.

– Wie pan, czy Alina Hagi była jakoś szczególnie związana z kimś z wolontariuszy?

Hrabia po raz kolejny ironicznie się uśmiechnął.

– Nigdy więcej nie widziałem żony Hagięgo. Jak pan wie, w przeciwieństwie do Ulli nigdy nie bywałem w parafii San Valente ani w innych katolickich miejscach. Jednak jak sądzę, już pan pytał o to księdza Paula i Valeria Bonę.

– Tak, rozmawiałem z nimi. I doszliśmy do bardzo bliskiej przyjaciółki Aliny Hagi, która była wtedy dziewczyną innego pańskiego pracownika.

– A co to wszystko miałyby wspólnego ze śmiercią tej Nadii i z Mariusem Hagim?

Balistreri wybrał jedyną możliwą taktykę.

– Widzi pan, przypuszczamy, że śmierć Aliny Hagi nie była całkiem przypadkowa. Kilka dni przed wypadkiem przyjaciółka widziała, że jej ręce były pokryte siniakami. Nie mamy pewności, czy pobił ją mąż. Ale gdybyśmy znaleźli w przeszłości Mariusa Hagięgo ślady przemocy, uprawdopodobniłaby się hipoteza jego uczestnictwa w tym ostatnim morderstwie.

Logiczne wyjaśnienie. Nie do końca pozbawione luk, ale trzymało się kupy. Hrabia zastanawiał się w milczeniu. Jakby rozważał jakieś odległe wydarzenie. Po chwili podjął decyzję.

– *Dottor* Balistreri, jeśli się panu nie spieszy, chciałbym panu coś pokazać, nim będziemy kontynuować rozmowę. Słońce już zachodzi, więc możemy przenieść się na zewnątrz.

Promienie zachodzącego słońca padały na parkiet przez przeszklone drzwi prowadzące na otoczony wysokimi roślinami taras. Wychodząc, Balistreri zobaczył parasol, stół z komputerem, krzesło i barczyste plecy.

Grób, na którym położyłem kamień zbyt lekki, by mógł się oprzeć upływowi czasu.

Słyszając odgłos kroków, Manfredi się odwrócił i Balistreri stanął jak słup soli. Chłopak ze zniekształconą twarzą stał się normalnie wyglądającym dorosłym. Znikł naczyniak, zginęła zajęcza warga, nie było śladu obrzmiałej powieki. Czarne włosy nie musiały już ukrywać niczego. Chirurgia estetyczna dokonała cudu, dzieła dokończyła medycyna umysłu. Teraz wyraźnie było widać anielskie spojrzenie Ulli oraz orli nos i rysy twarzy hrabięgo. Chirurdzy niewiarygodnie się spisali. Z ledwością dawało się

dostrzec cienkie linie blizn. Imponująca muskulatura była taka sama jak dawniej, ale pokrywała ją naturalna opalenizna. Brzydkie kaczątko przemieniło się w normalnego mężczyznę, wręcz przystojnego przy tym połączeniu ostrych rysów ojca i delikatności matki.

Manfredi wstał i wyszedł im na spotkanie. Urósł jeszcze przez te lata, teraz był o pięćdziesiąt centymetrów wyższy od Balistreriego. Wyciągnął rękę, Balistreri uściskał mu ją bez słowa.

– Cieszę się, że pana widzę, *dottor* Balistreri.

Głos miał spokojny, miękki i głęboki. Uspokajający, taki, jaki powinien mieć dobry lekarz w stosunku do pacjentów. Oczy inteligentne, myślące. Ton pogodny, jakby spotykał starego znajomego, a nie psa gończego, który kiedyś na niego polował.

Balistreri postanowił być szczery.

– Cieszę się z tego, co widzę.

– Zróbmy tak – zaproponował hrabia. – Wy sobie porozmawiajcie, a ja pójdę czegoś poszukać w archiwum.

Usiedli przy stoliku. Balistreri rzucił okiem na ekran komputera. *Paryż – Dziesiąty kongres chorób zakaźnych – Prezentacja profesora Manfrediego dei Banchi di Aglieno z Uniwersytetu w Nairobi.*

– Przedstawiam wyniki naszych ostatnich badań – wyjaśnił Manfredi. – Kongres zaczyna się w poniedziałek w Paryżu, potem w kolejny poniedziałek mam uczestniczyć w jeszcze jednym, tym razem we Frankfurcie. Później wracam do Afryki.

– Powiedziano mi, że od lat mieszka pan w Kenii.

– Od sierpnia osiemdziesiątego drugiego roku. Nasza rodzina ma dużą posiadłość ziemską na granicy z Ugandą. Skończyłem studia w RPA i pracuję w Nairobi. Proszę spojrzeć.

Nowe okno na ekranie komputera. Manfredi w białej koszuli w otoczeniu wielkiej wiwatującej grupy czarnoskórych tubylców i miejscowego establishmentu. Trochę jak szaman, trochę jak święty. Stał przed białym pawilonem przegrodzonym taśmą. *Szpital w Nairobi – Otwarcie nowego oddziału chorób zakaźnych – 25 grudnia 2005.* Parę miesięcy wcześniej.

– Przy finansowej pomocy mojego ojca zbudowaliśmy nowy pawilon leczenia chorób zakaźnych. Niestety, infekcje w Afryce rozprzestrzeniają się równie szybko, jak rosną tamtejsze drzewa i komary. To rodzaj zaprogramowanej eksterminacji, którą powoli ograniczamy. Ale kiedy tylko jest jakiś kongres w Europie, przyjeżdżam do Rzymu, by spędzić trochę czasu z ojcem.

Im dłużej Balistreri na niego patrzył, tym bardziej się zastanawiał, jak to było możliwe. Czy już uformowana ludzka istota może przeżyć traumę, która przemieni ją w zupełnie inną osobę? Bo przecież o to tu chodziło. To był inny człowiek.

Manfredi bardzo spokojnie opowiedział mu wszystko. Po śmierci Ulli ojciec postanowił wysłać go z Rzymu do wielkiej posiadłości rodzinnej w Kenii. Następnie

załatwił mu miejsce w luksusowej klinice i powierzył go najlepszym psychiatrom i chirurgom estetycznym w RPA. Później były studia medyczne w Kapsztadzie, doktorat, badania nad najpoważniejszymi chorobami dotykającymi autochtonów mieszkających na pustkowiach i płaskowyżach. Jednak brakowało w tym opowiadaniu śladu nowych uczuć, żony czy dzieci. Był tylko ojciec.

– Jestem zdumiony – wyszeptał Balistreri. – Nie będę ukrywał, że...

– Wiem – przerwał mu Manfredi spokojnym głosem – to był cud. I pewnie nie byłoby tego wszystkiego, gdybym wciąż siedział w półmroku swojego pokoju z tymi plakatami, muzyką, zniekształconą twarzą...

– Jednak cena była zbyt wysoka – powiedział Balistreri.

Manfredi pozwolił, by to stwierdzenie złało się ze świergotem jaskółek przelatujących nad tarasem zanurzonym w zieleni i cieniu rzucanym przez resztkę zachodzącego słońca.

– Ulla była bardzo nieszczęśliwa. Źle zrobiła, wychodząc za mojego ojca, a będąc wierzącą i praktykującą katoliczką, nie wiedziała, jak odejść.

– Pańska matka stała się ofiarą powierzchowności ocen wielu ludzi. Począwszy ode mnie. Nie sądzę, by mógł mi pan to wybaczyć.

Teraz błękitne spojrzenie Manfrediego powędrowało gdzieś za drzewa, w kierunku bliźniaczego budynku. Wszystkie okna na drugim piętrze były pozamykane. Balistreri starał się nie patrzeć na nie. Zapalił kolejnego papierosa.

– I nie przebaczyłem. – W głosie pobrzmiwała zaledwie nuta dawnej arogancji. – Co pan robił przez te wszystkie lata, *dottor* Balistreri?

– Brałem pigułki na sen.

– A teraz ma pan jeszcze jeden powód więcej, by szukać prawdy.

– Giovanna Sordi.

– Właśnie. Winien to pan bardziej jej niż mnie.

W tej samej chwili wszedł hrabia z dwiema świeżo wyciągniętymi z drukarki kartkami. Podał mu pierwszą. W nagłówku widniał napis: *Mariusz Hagi*.

– Pracował dla mnie tylko raz, wiosną osiemdziesiątego drugiego roku. Chodziło o zorganizowanie wyjazdu mojej żony do obozu Auschwitz. Ulla studiowała wtedy sprawę prześladowania Żydów. Chciała zrozumieć, jaką rolę odegrał Kościół katolicki w relacji z nazizmem, czy mu się opierał, czy też może go usprawiedliwiał. W tamtych czasach nie było jeszcze wycieczek turystycznych do Polski. A Hagi miał na miejscu odpowiednie kontakty, by zorganizować tego rodzaju wyjazd.

– I wyjechała?

– Tak, w maju. Jednak nie korzystaliśmy już więcej z pomocy pana Hagiego, jak sądzę, nie było po temu okazji.

Balistreri rzucił okiem na drugą kartkę.

– Druga osoba, o którą chciał mnie pan zapytać – wyjaśnił hrabia.

– Nie podawałem żadnego nazwiska – zaprotestował Balistreri.

– Nie było takiej potrzeby – powiedział hrabia po prostu.

Podał mu kartkę z nagłówkiem *Francesco Ajello*. Sprawozdanie było zdecydowanie dłuższe niż w przypadku Hagiego. Z datą i opisem każdego wykonywanego zadania. Wszystkie dotyczyły obsługi prawnej nieruchomości posiadanych przez hrabiego. Niekiedy na marginesie widniała wysokość wynagrodzenia. Współpraca zaczęła się w styczniu 1982 roku i skończyła w listopadzie 1985, po niemal czterech latach. Hrabia uprzedził pytanie.

– Ajello skończył studia i otworzył własną kancelarię.

– A od tamtego czasu? – zapytał Balistreri.

– Od tamtego czasu nic w kwestiach zawodowych. Od mecenasa Ajella otrzymuję jedynie każdego roku kartkę na Boże Narodzenie.

– A czy w tamtym okresie przychodził do pracy tutaj?

– Nie, nigdy. To mój dom. A jak pan wie, jestem osobą raczej dbającą o swoją prywatność. Ajello pracował w kancelarii, która zajmowała się moimi sprawami.

– Poznał pan kiedyś jego dziewczynę, przyjaciółkę Aliny Hagi?

– Nie, nie wiedziałem za wiele o młodym Ajellu.

– Ja raz widziałem przyjaciółkę Aliny Hagi.

Obaj zwrócili się do Manfrediego.

– Znał pan Alinę Hagi? – zapytał zaskoczony Balistreri.

– Niezupełnie, ale spotkałem ją tutaj i przedstawiła się. Była bardzo miła, sądzę, że na mój widok wzięła ją litość.

– A co takiego robiła Alina w waszym domu? – zapytał Balistreri.

– Zaprosiła ją Ulla, chciała dostać parę rad przed słynną wyprawą do Auschwitz. Alina przysłała razem z drugą dziewczyną, przypuszczam, że swoją przyjaciółką.

– Pamięta pan imię?

Manfredi potrząsnął głową.

– Nie, nie przedstawiła się. Ale pamiętam, że była przeciwieństwem Aliny Hagi. Jedna niska blondynka, druga wysoka brunetka.

Niewiarygodne. Jedyna cienka nić, za którą podązał bez wielkiego przekonania, rozszepiała się na tysiąc innych, połączonych z przeszłością, którą zakopał na samym dnie swojego sumienia. I te nitki, jak sieć pajęcza, wiązały go i ciągnęły wstecz. Do wspomnienia, które dzięki podejmowanym przez lata wysiłkom zdążyło wyblaknąć.

Postacie z teraźniejszości – Hagi, Ajello, matka Samantha Rossi – mieszały się z osobami z przeszłości. Zastanowił się, gdzie tu jest linia demarkacyjna. Jeśli w ogóle jakaś linia demarkacyjna istnieje. Wyszedł z rezydencji przy via della Camilluccia z tym samym poczuciem, z jakim opuszczał ją wiele lat wcześniej: że prawda jest jednocześnie bardzo blisko i bardzo daleko.

W drodze do domu przejechał przez centrum pełne ludzi tłoczących się

w restauracjach, barach i teatrach. Była wspaniała letnia sobota, wszyscy gdzieś wyszli w poszukiwaniu rozrywki. Spojrzał w stronę kopuły Bazyliki Świętego Piotra, tam gdzie mieszkała Linda Nardi. Wziął do ręki komórkę i wahał się przez dłuższą chwilę. Potem wybrał numer Angela Dioguardiego. Poza zasięgiem.

Wieczorem wrócił do starego, dawno zarzuconego zwyczaju: czysta whisky i papieros przed snem.

Niedziela, 16 lipca 2006

Przed południem

Spał krótko i źle. Nie więcej niż dwie godziny. Przez gorąco, wesołe pokrzykiwania nocnych przechodniów, komary brzęczące wokoło. I przez dręczące myśli, których nie potrafił wybić sobie z głowy. Żołądek palił go od alkoholu, głowa bolała od papierosowego dymu.

Wstał o świcie zupełnie wykończony. Z kuchni pani Fadlun dobiegał aromat pieczonych słodkości. Żydzi odpoczywają w sobotę, ale w niedzielę pracują. Wziął zimny prysznic i jednym haustem wypił czarną kawę. Od razu wypalił papierosa i przygotował się do wyjścia do pracy.

Pragnienie działania wzmagало się w nim wraz z fizycznym i umysłowym zmęczeniem, co było podwójnie niebezpieczne.

O siódmej rano Rzym był słoneczny, cichy, całkowicie opustoszały po sobotnich hulankach. Tylko kilka barów zdążyło podnieść rolety. Kupił gazetę i wypił kolejną kawę. Usiadł przy stoliku, by wypalić następnego papierosa. Załatwienie rozmowy z kardynałem Alessandriniem mogło się okazać albo bardzo łatwe, albo całkiem niemożliwe. Corvu znajdzie jakiś sposób.

Jego zastępca pojawił się w biurze o siódmej trzydzieści. Balistreri tysiąc razy mu powtarzał, że w niedzielę może pozwolić sobie na więcej swobody, ale na próżno. A wraz z Corvu pojawiła się Giulia Piccolo i natychmiast zamknęła się w swoim boksie.

Corvu wyglądał na bardziej zdecydowanego niż zwykle.

– *Dottore*, dużo o tym myślałem. I muszę powiedzieć, że absolutnie się nie zgadzam – powiedział, wskazując boks Piccolo.

Absolutnie. Niezwykle słowo w ustach chłopaka zazwyczaj nieśmiałego i bardzo przestrzegającego hierarchii.

– Ja też o tym myślałem – rzekł Balistreri ku zaskoczeniu swojego zastępcy. – Zawołaj ją, mam nadzieję, że zrozumiała.

Corvu popatrzył na niego, uśmiechnął się i szybko wyszedł.

Piccolo weszła ze spuszczonego wzrokiem.

– *Dottore*, przepraszam – powiedziała, uprzedzając Balistreriego.

– W porządku, Piccolo. Teraz opowiem wam historię, którą znaliście dotąd tylko po części.

Zbliżyli się z entuzjazmem. Słuchali uważnie. Wiedzieli, że sprawa Elisy Sordi

wciąż uważana jest za największy policzek dla sekcji zabójstw i że ich szef był w nią zamieszany, choć nie bezpośrednio. Piccolo dowiedziała się, jak zginął Belhrouz. Balistreri zachował dla siebie jedynie informację o szczegółach śmierci Colajaona. Potrzebował wyrwać się z samotności, lecz nie aż do tego stopnia.

Corvu szybko namierzył swojego zaufanego przyjaciela w Watykanie. Już po paru minutach rozmawiał z osobistym asystentem kardynała Alessandrini.

– Oficjalne spotkanie, jak pan wie, oczywiście nie będzie możliwe. Ale kardynał przyjmie pana nieformalnie, dziś o dziesiątej trzydzieści w auli uniwersyteckiej niedaleko placu Świętego Piotra. Potem idzie na Anioł Pański z papieżem i będzie mu towarzyszył do Castel Gandolfo.

– Dobrze, wy przez ten czas starajcie się zapełnić odpowiedziami tę cholerną tablicę. I znajdźcie Ornellę Coronę, chcę z nią porozmawiać, zanim spotkam się z Ajellem.

– Jeśli pan pozwoli, zabrałbym Natalię na obiad na Janikulum, jutro jedzie na Ukrainę do rodziny. – Corvu miał wygląd winowajcy.

Balistreri postanowił dodać mu odwagi.

– A dlaczego nie pojedziesz z nią na Ukrainę? Zobaczysz trochę świata poza tą twoją Sycylią.

Corvu spojrzał zupełnie zaskoczony.

– Ale przecież jest śledztwo. Przed chwilą powiedział pan, że...

– Zapytaj Natalię, czy chce, żebyś z nią jechał – wtrąciła się Piccolo – a jeśli tak, to ja cię tu zastąpię.

Zostawił ich samych, kiedy wciąż jeszcze żywo dyskutowali. Wyszedł o dziewiątej, by bez pośpiechu przejść się na plac Świętego Piotra. Rzymianie jeszcze spali, ale dziesiątki grup turystów pieszo i w autokarach ścigały już do Watykanu, by spotkać się z papieżem.

Przyszedł przed czasem. Osobisty asystent kardynała wprowadził go do wielkiej auli uniwersyteckiej pełnej młodych księży o wszystkich możliwych kolorach skóry. Zupełnie jak wtedy, kiedy zobaczył go pierwszy raz w jego mieszkaniu. Rozpoznał drobną sylwetkę kardynała stojącego na podwyższeniu i rozdającego dyplomy.

W odróżnieniu od hrabiego Alessandrini nigdy nie wywoływał w nim uczucia niższości. Bardziej niż cokolwiek innego wzbudzał irytację. Ale w 1982 roku był świeżo nominowanym kardynałem, dziś pełnił jedną z najwyższych funkcji w Watykanie. Musiał już mieć koło osiemdziesiątki, był niemal rówieśnikiem nowego papieża. Zupełnie posiwiął, ale jego twarz emanowała tą samą energią i inteligencją. W pewnej chwili Alessandrini dostrzegł go i nie przejmując się protokołem, pozdrowił dyskretnym gestem ręki.

O dziesiątej trzydzieści aula opróżniła się w zaskakująco szybkim tempie i kardynał gestem zaprosił go do siebie.

– Biegna, żeby zająć najlepsze miejsca na spotkanie z Ojcem Świętym – wyjaśnił Balistreriemu, który z zaciekawieniem przyglądał się gromadzie młodych księży.

Kardynał miał swój zwykły wygląd myśliciela, który preferuje działanie. I przywitał go w taki sposób, jakby w czasie ostatnich dwudziestu czterech lat widywali się codziennie.

– Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu. Czytałem, że o włos uszedł pan śmierci.

– Mam się dobrze, eminencjo. Miałem szczęście.

Alessandrini się uśmiechnął. Nie zapomniał dyskusji z młodym Balistrerem, kiedy starał się go przekonać, że jedynie Boskiej sprawiedliwości towarzyszy dar nieomyślności.

Usiedli za katedrą.

– Myślałem wiele o Elisie Sordi przez te lata – powiedział kardynał. – A jeszcze więcej w tym tygodniu, po tym, co zrobiła jej matka.

– Ja również o niej myślałem, eminencjo. I nie znalazłem ani rozwiązania zagadki, ani usprawiedliwienia dla moich ówczesnych grzechów.

Cień przemknął przez twarz kardynała.

– Bóg przebacza wszystkie grzechy. O ile skrucha jest szczerą.

– Ale są i grzechy, za które nie ma przebaczenia, czyż nie?

– Nie, za każdy grzech można zadośćuczynić i otrzymać przebaczenie. Gdyby się pan wypowiadał i miał prawdziwą skruchę, pierwszy z brzegu ksiądz mógłby dać panu rozgrzeszenie.

Balistreri postanowił zmienić temat.

– Dziękuję, że ksiądz kardynał zgodził się mnie przyjąć, umowy między Italią a Watykanem nie pozwoliłyby mi niepokoić eminencji. Poza tym wstyd przyznać, ale...

– Ale nie jest tu pan z powodu Elisy Sordi. Proszę się nie przejmować formalnościami, z przyjemnością panu pomogę. Paul powiedział mi o pańskich odwiedzinach w San Valente.

– Ksiądz Paul, zgodnie z nadziejami eminencji, wyrósł na zrównoważonego dorosłego mężczyznę.

– Paul także wtedy był wartościową duszą, ale bardzo zagubioną. Pomogliśmy mu skanalizować pozytywną energię i bardzo się cieszę, że pan to zauważył.

– Za to Valerio Bona...

– Każda dusza ma swoją drogę. Valerio ma swoje udręki, jak zresztą każdy z nas. Ma trudniej, bo też jest bardziej kruchy. – Kardynał przerwał. Zdawał się nad czymś myśleć. – Alina Hagi. To jej nazwisko przywiodło pana do San Valente.

– Tak, żona Mariusa Hagięgo.

– Marius Hagi. Ma związek z tymi, którzy do pana strzelali?

– Widzę, eminencjo, że jest ksiądz dobrze poinformowany. Hagi był pracodawcą

tych, którzy do mnie strzelali, ale nie ma dowodów, że w jakikolwiek sposób był zamieszany w ich działalność.

– I jest jeszcze śmierć tej młodej Rumunki, miała na imię Nadia, prawda?

– Tak, eminencjo. Chcielibyśmy wiedzieć, czy pan Hagi był w młodości łagodnym i pracowitym człowiekiem, czy też może osobą skora do przemocy. To by nam bardzo pomogło.

Jeszcze jedna pauza.

– Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Elisy Sordi? – zapytał wreszcie kardynał.

Pytanie zaskoczyło Balistreriego. Nie rozumiał, jaki tok myślenia za nim stoi. Niemniej kardynał nie był człowiekiem skłonny do bezcelowych rozważań.

– Nie ma żadnego oczywistego połączenia między tymi zbrodniami. Ale we wszystkich trzech sprawach pojawiają się te same osoby, nie tylko Hagi. Ksiądz Paul na pewno powiedział eminencji także o Annie Rossi i o Francescu Ajellu. A oni mieli pewne związki z sierocińcem przy parafii San Valente i rezydencją przy via della Camilluccia.

– To są dwa bardzo różne i oddalone od siebie miejsca, *dottor* Balistreri.

Atmosfera niemal niezauważalnie się popsuła. Jakby jakaś nieoczekiwana myśl zaczęła dręczyć kardynała.

– Oddalone, eminencjo, ale też ze sobą powiązane. I co najmniej trzy osoby związane z aktualnymi wydarzeniami miały coś wspólnego z San Valente, pośrednio lub bezpośrednio.

– Co mają wspólnego Anna Rossi i Francesco Ajello z pańskim obecnym śledztwem?

Balistreri spojrział mu prosto w oczy. Kardynał wiedział, jaka powinna być odpowiedź. To była informacja zastrzeżona. Nawet najbliższy człowiek papieża nie powinien znać szczegółów śledztwa.

Mimo to Balistreri postanowił powiedzieć niemal całą prawdę.

– Francesco Ajello zarządza klubem nocnym, w którym Nadia była ostatniego wieczora przed śmiercią.

– A Anna Rossi, matka Samantha? Czy sprawy Nadii i Samantha mają jakiś związek?

Tego mu nie mógł powiedzieć. Wystawiłby na zbyt wielkie ryzyko swoich współpracowników. Właśnie opłakał stratę jednego z nich. Choćby i miał przed sobą kogoś w rodzaju świętego, dla Balistreriego kardynał wciąż był tylko człowiekiem. Ze swymi słabościami i tajemnicami.

– Nie mogę tego powiedzieć, eminencjo.

Wydało mu się, że kardynał jest bardziej przejęty niż zachmurzony z powodu odmowy. Jego spojrzenie błędziło gdzieś w kierunku balkonu, na którym za nieco ponad pół godziny miał się ukazać papież. Wyjście młodych księży sprawiło, że cisza

we wnętrzu auli stała się bardziej dojmująca. Balistreri zdał sobie sprawę, że prosi o wiele, może nawet zbyt wiele.

Kardynał podciągnął rękawy czerwonej sutanny jak nastolatek koszulę.

– Ma pan dużo do roboty, Balistreri. Postaram się tym razem mniej panu przeszkadzać.

– Uważa ksiądz kardynał, że utrudniał wtedy śledztwo? – zapytał zaskoczony Balistreri.

Znów to zagubienie w myślach. Alessandrini nie był typem człowieka, który posypywałby sobie głowę popiołem bez powodu.

– Może – powiedział. Ale nie wydawało się, by zamierzał to tłumaczyć.

– Mieliśmy odmienne przekonania. Eminencja miał słuszość, jak się okazało – przyznał Balistreri.

– Tak, tego nadal jestem pewien. Ale pan chce się ode mnie dowiedzieć, czy Hagi był człowiekiem gwałtownym, czy nie. Szczerze mówiąc, nie wiem. Widziałem go z Aliną nie więcej niż dwa, trzy razy.

– Jednak wyrobił sobie ksiądz opinię o nim.

Alessandrini popatrzył na niego z uśmiechem.

– Widzę, że nie zmienił się pan bardzo. Zdaje mi się, że już dyskutowaliśmy na temat niebezpieczeństw, jakie niosą osobiste opinie w tego typu sprawach.

Balistreri przytaknął.

– To prawda, ale nadal jestem przekonany, że pewne odczucia mają zawsze jakiś powód. A to, które mam w odniesieniu do Mariusa Hagiego...

Kardynał przerwał mu gestem.

– Powiedziałem, że tym razem panu pomogę. Mogę powiedzieć jedną rzecz na temat Mariusa Hagiego: mąż Aliny, mężczyzna, którego poznałem, był moralnym absolutystą. Widziałem w jego oczach, że dla niego istnieją tylko ludzie dobrzy i źli. Żadnych niuansów. I gotów był w pojedynkę stawić czoło nawet czterem przeciwnikom. Jednak to nie był ktoś, kto by znajdował przyjemność w duszeniu bezbronnej dziewczyny. Uznałby coś takiego za podłość.

– A Alina? I Anna Rossi?

– Hagi adorował Alinę, jakby była Matką Boską. Annę Rossi widziałem wtedy tylko parę razy, a potem, rok temu, jedynie na pogrzebie córki.

– Pozostaje Francesco Ajello.

Krótką pauzą, znów ten ledwie widoczny dyskomfort, jaki nazwisko Ajella wzbudzało w wielu ludziach.

– Francesco Ajello był bardzo obiecującym i kompetentnym młodym człowiekiem, doskonale wywiązywał się z powierzonych mu zadań. Potem rozszedł się z narzeczoną i oddalił od środowiska San Valente. Z pewnością Paul będzie potrafił powiedzieć panu o nim więcej. Dzisiaj jest nad morzem z naszymi dziećmi, ale jutro znajdzie

go pan w San Valente.

Była jedenasta trzydzieści. Mógłby powiedzieć, że papież na niego czeka, lecz nie zrobił tego.

– Gdybym któregoś dnia musiał się wyspowiadać, rozgrzeszyłby mnie ksiądz kardynał? – zapytał Balistreri, wstając do pożegnania.

Alessandrini położył mu rękę na ramieniu.

– Tak, ale tylko jeśli będzie pan szczerze żałował.

– Ornella Corona jest nad morzem, w swoim domu w Ostii. Będzie czekała na pana po kolacji – oznajmił mu Corvu w południe.

– Dobrze, wykorzystam okazję, że jest mniej ludzi, i do tego czasu popracuję tutaj.

– I jeszcze dzwonił Angelo z Londynu. Pozdrawia pana.

– Z Londynu? – zdziwił się Balistreri.

– *Dottore*, pan chyba żyje w zupełnie innym świecie. Dzisiaj jest finał mistrzostw świata w texas hold'em. Bezpośrednia transmisja zaczyna się o siedemnastej, jeśli chce pan obejrzeć. Angelo jest wśród finalistów.

– Margherita jest z nim? – zapytał.

Corvu wskazał na otwarty list na biurku.

– To od Margherity. Prosi o przedłużenie urlopu na cały tydzień. I o przeniesienie.

Zdziwiony Balistreri spojrział na małe biurko, przy którym pracowała dziewczyna. Stała na nim tylko szklanka ze zwiędłym kwiatem, co wydało mu się złą wróżbą.

– Dobrze, Corvu, możesz iść na obiad z Natalią.

– Chce pan, żebym potem wrócił?

– Słuchaj, Corvu, jest niedziela, twoja dziewczyna wyjeżdża jutro rano. Nie uczyli cię na studiach...

– Dobrze, *dottore*, dziękuję. Ale jeśli potrzebuje pan...

– I powiedz jej, że jedziesz z nią na Ukrainę. Jasno się wyraziłem? – zakomunikował z groźną miną.

Corvu już miał zaproponować, ale ponure spojrzenie szefa kazało mu zniknąć.

Po południu

Przez jakiś czas Balistreri stał przy oknie. Palił, popijał piwo i przyglądał się płynącemu w dole potokowi zgrzanych turystów. Uświadomił sobie, że doszedł już prawie do paczki dziennie i że od dymu, nadmiaru kawy i piwa zaczyna go piec w żołądku. Uznał, że teraz nie będzie się tym przejmował. Potem przypomniał sobie, że nie wziął antydepresantów. I choć był zmęczony, nie czuł przygnębienia. Ani trochę. Tyle rzeczy wydarzyło się w ciągu minionego tygodnia rozpoczętego kolejnym

mundialowym zwycięstwem. Linda go zostawiła. A może to on ją zostawił? Wciąż o tym rozmyślał i nawet tego nie był pewien. Coś się w nim zmieniało. Wspomnienia, które pogrzebał, wracały do niego wraz z tą samą wściekłością, którą dawno temu wyciszył.

Po kryzysie jego przyjaźni z Angelem, tamtego lipca przed dwudziestu czterema laty, kiedy znów zaczęli przegadywać całe noce, niemal zawsze siedząc w zaparkowanym na chodniku samochodzie, zgodnie pomijali milczeniem tamtą przeklętą noc. Jednak na to, co się stało w lipcu 1982 roku, Dioguardi zareagował radykalnie. Wywrócił do góry nogami całą swoją wcześniejszą egzystencję i starał się żyć najlepiej jak potrafił, trochę dla siebie, znacznie bardziej dla innych. Tymczasem Balistreri pozwolił, by z wolna pokonało go poczucie winy.

Uśmierzyłem swój ból, prowadząc życie, które nie było moje, w świecie, którego nie znoszę.

Teraz jednak Giovanna Sordi przyzywała go z powrotem do tamtych wydarzeń. Zaś Angelo znikł, aż w końcu zatelefonował z Londynu, przekazując mu pozdrowienia i nie prosząc, żeby oddzwonił.

Zszedł, by kupić sobie kawałek pizzy i piwo. Potem wypił kolejną kawę i wypalił kolejnego papierosa. Następnie wrócił do biura, spuścił rolety i włączył klimatyzator. Spojrzał na tablicę. Znał już wiele odpowiedzi. Nie wszystkie, ale większość. Jednak teraz pojawiły się nowe pytania. O starych znajomych z 1982 roku.

Włączył telewizor, odszukał właściwy kanał. Pokerowy finał jeszcze się nie zaczął. W czasie niedzielnej sjesty biuro było puste. Wyciągnął się na sofie. Cisza, piwo i półmrok zrobiły swoje.

Zastrzeżony telefon zabrzączał po obiedzie, kiedy Pasquali grał w *tressette*²³ ze starymi kolegami z czasów szkolnych pod zacięzionym portykiem wiejskiego domu koło Tesano.

Przeprosił i poszedł odebrać. Jak zawsze nie powiedział ani słowa, ograniczył się do odebrania.

Usłyszał lodowaty głos, który dobrze znał:

- Ryzyko jest poważne. Zaczynamy eliminować.
- Nie moglibyśmy...
- Nie.

Spróbował słabego oporu:

- Ale moim zdaniem...
- Otrzyma pan bardziej precyzyjne informacje.

Druga strona się rozłączyła. Powłócząc nogami, z kłębowiskiem myśli w głowie, Pasquali wrócił do stolika. I zepsuł świetne karty. Gra była stracona.

Balistreri zerwał się ze snu po paru godzinach, cały spocony i otumaniały. Angelo Dioguardi patrzył na niego z telewizyjnego ekranu, przyciągając do siebie górę żetonów tak dobrze znanym Balistreriemu ruchem.

Obserwował grę bez szczególnego napięcia. Znał na pamięć system gry Angela. Dwadzieścia minut przed końcem zostało tylko dwóch graczy, przy czym Angelo miał wyraźną przewagę nad tym drugim. Teraz musiał jedynie cały czas pasować, aż będzie miał w rozdaniu punkt do *freeze-out*, eliminacji ostatniego przeciwnika.

Gra była praktycznie skończona, tytuł mistrza świata w texas hold'em Angelo Dioguardi miał już w kieszeni, wystarczyło zachować zimną krew i poczekać na jedno pewne rozdanie, by zamknąć rozgrywkę.

Na stole leżały cztery odkryte karty: trójka trefl, szóstka trefl, dziewiątka trefl i dziewiątka karo. Kieszonkowe kamery pozwalające widzom zobaczyć dwie zakryte karty graczy pokazywały u przeciwnika dwa trefle. A więc miał kolor jeszcze przed dobraniem *river*, piątej i ostatniej karty. Dioguardi z kolei miał czwórkę pik i waleta karo, czyli żadnej możliwości wygrania w tym rozdaniu niezależnie od tego, jaka karta wyszłaby jako *river*.

Przeciwnik podbił wystarczająco wysoko, by odwieść Angela od próbowania ostatniej karty, gdyby miał w ręku dwie pary albo trójkę. Banalna sytuacja. Balistreri już czekał, że usłyszy oczywiste *fold*, pasuję.

A potem zobaczył, jak Angelo Dioguardi odwraca się i patrzy prosto w ekran. Natychmiast poczuł, a właściwie był tego absolutnie pewny, że po pierwsze, Angelo zwraca się wprost do niego, i po drugie, zaraz zrobi to samo co podczas pierwszego wieczoru, kiedy się poznali: zaryzykuje wszystko. Że powie: *call*, sprawdzam.

Zwracał się do niego, do Michele Balistreriego. To było ostatnie słowo, które pozostało Angelowi Dioguardiemu, by przekazać mu to, co myśli.

Wszystko za wszystko.

Dla wszystkich obecnych i telewidzów było jasne, że Dioguardi zwariował, bez żadnej potrzeby rzucając na szalę praktycznie już wygrany tytuł. Sędzia odkrył piątą kartę: dziewiątka kier. Przeciwnik Angela zbladł. Długo myślał, wykrzywiając rękę. Mógł zaryzykować wszystko, próbując osiągnąć nieprawdopodobne zwycięstwo. Albo zatrzymać żetony, które miał przed sobą, i spróbować kolejnego rozdania.

– *Fold* – powiedział, kręcąc głową. – Pas.

Angelo miał takie samo nieobecne, obojętne spojrzenie jak tamtego wieczoru, kiedy Balistreri po raz pierwszy widział, jak blefuje przy stoliku w mieszkaniu Paoli. Przeciwnik popatrzył na niego raz jeszcze, potem pokręcił głową i odłożył karty.

Angelo nie uśmiechnął się nawet wtedy, kiedy zabierał pulę. *Freeze-out* przyszedł w następnym rozdaniu. Dioguardi był mistrzem świata.

Kiedy Balistreri wyszedł z biura, słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, ale czapa dusznego gorąca przez cały dzień tak bardzo nagrzała asfalt, że kiedy zmierzał do domu, wciąż lał się z niego pot. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek komórki.

– Corvu, chyba nie wróciłeś do biura?

Corvu nie był typem, który by się łatwo emocjonował. A jednak Balistreri słyszał jego ciężki z przejęcia oddech.

– Biegnę tam po samochód. Gdzie pan jest, *dottore*?

Natychmiast zrozumiał, że stało się coś naprawdę poważnego.

– Czekam na ciebie pod domem – odpowiedział, nie pytając o nic więcej.

Corvu zjawił się pięć minut później.

– Jedziemy do L’Aquila. Dziś po południu znaleziono tam ciało dziewczyny.

– Kolejna prostytutka?

– Nie, studentka uniwersytetu, z zagranicy. Przyjaciele widzieli ją ostatni raz w zeszłą niedzielę wieczorem podczas świętowania zwycięstwa na mundialu, ale nie zgłosili zaginięcia, bo następnego dnia dziewczyna miała jechać do Rzymu i stamtąd lecieć do swojego kraju.

– Jasne, Corvu. Ale nie rozumiem, co ta sprawa ma wspólnego z nami.

– Nazywa się Selina Belhrouz. Siostra adwokata z Dubaju.

Balistreriego sparaliżowało.

To ja zerwałem pakt. Koniec rozejmu.

Na autostradzie Corvu wcisnął gaz do dechy i dojechali na miejsce w ciągu godziny. Ciało znaleziono w studni przy opuszczonej szopie niedaleko Tesano, rodzinnej miejscowości Antonia Pasqualego. Balistreri nie chciał się zatrzymywać nad tym faktem, lecz kiedy przyjechał, zastał przełożonego na miejscu. Spędzał tam weekend i zaalarmowała go liczba policyjnych samochodów, które przejeżdżały koło jego willi.

Wyglądał inaczej niż zwykle – miał na sobie rozpiętą marynarkę i koszulę bez krawata. I był wstrząśnięty.

– Co tu robicie? – zapytał Balistreriego.

– Jeśli pozwolisz, wyjaśnię ci to potem na osobności. A teraz chciałbym zobaczyć, co się stało.

– W takim razie pospiesz się, technicy już prawie skończyli i za chwilę zabiorą ciało. Uprzedzam cię, że...

Ale Balistreri już szedł w stronę studni, na której ułożono nosze z ciałem dziewczyny przykryte prześcieradłem. Przedstawił się lokalnemu komisarzowi.

Miejsce było niemal dokładną kopią rudery pasterza Vasilego: kawałek otwartej przestrzeni, lasek, zrujnowana szopa, studnia. Parę kilometrów od wiejskiego domu Antonia Pasqualego. Nie było nic do oglądania, jedynie ciało dziewczyny. Resztą zajęli się już ludzie z kryminalistyki. Odór rozkładu był tak silny, że wszyscy nałożyli maski. Balistreri i Corvu zrobili to samo.

Sanitariusze czekali, by zabrać ciało do karetki. Lekarz sądowy z L'Aquili kończył robienie notatek.

– Od jak dawna nie żyje? – zapytał go Balistreri.

– Będę wiedział lepiej po autopsji. Ale co najmniej od trzech, czterech dni.

– A przyczyna śmierci?

– Ma na szyi wyraźne ślady duszenia. Nie licząc krwiaków, ran ciętych, przypaleń od papierosa i różnych złamań.

Jak Samantha. Jak Nadia. Jak...

Natychmiast z wściekłością odrzucił wspomnienie tego ostatniego imienia. Ale nie mógł odrzucić uczucia grozy. Wciąż tam było, tkwiło nieruchomo w ciemnym zaułku jego umysłu. Zwrócił się do komisarza:

– Chciałbym zobaczyć ciało, zanim je zabiorą.

– Proszę bardzo. Nie jest to piękny widok, ale domyślam się, że jest pan bardziej przyzwyczajony ode mnie.

Sanitariusze, sarkając, odsunęli prześcieradło aż do stóp. Zwłoki były w fatalnym stanie, ale ślady na szyi były wciąż widoczne. To musiała być energiczna dziewczyna o śniadej skórze, jak jej brat.

– Moglibyście je odwrócić? – poprosił sanitariuszy, którzy niechętnie spełnili życzenie.

Selina miała na dole pleców tatuaż, z tych na wpół ukrytych, które wystają zza majtek. Bardzo wiele dziewczyn miało podobne. Słońce z promieniami. A pośrodku tego słońca wycięto jej wysoką na pięć centymetrów literę V.

Wieczorem

Willa rodziny Pasqualich była urządzona powściągliwie, na obraz i podobieństwo jej właściciela. Żona podała kolację i zostawiła ich samych.

Corvu czuł się wyraźnie niedobrze w tej sytuacji.

– Jeśli panowie woleliby, żebym ich zostawił...

Pasquali go uspokoił:

– To nie jest konieczne. Spróbujmy coś zrozumieć z tego koszmaru.

Jego zazwyczaj gładką, spokojną twarz pokrywały teraz głębokie zmarszczki. Odczekał do końca kolacji, potem podał mocniejsze alkohole, zapalił cygaretkę i zaprosił ich na werandę.

– Tutaj jest przewiewniej, lepiej nam się będzie myślało.

Balistreri zdał sobie sprawę, że nie może już dłużej lawirować. Opowiedział mu, co widzieli w Dubaju, o SUV-ie i śmierci Belhrouza, brata dziewczyny znalezionej w studni. Pasquali jak zwykle okazał się doskonałym słuchaczem i postanowił nie

pytać, dlaczego go o tym nie poinformowali wcześniej.

– Nie wiecie, czy to był wypadek, czy zabójstwo – powiedział na końcu.

– Nie byliśmy pewni – odparł Balistreri. – Aż do dzisiaj.

– Ale i to mógł być zbieg okoliczności – próbował zaproponować Pasquali, bardziej by dodać sobie animuszu niż z przekonania.

– Taki sam jak to, że wrzucili ją do studni obok twojego domu? – rzekł z irytacją Balistreri.

Pasquali wydał z siebie coś w rodzaju pełnego rezygnacji chrząknięcia.

– I jest coś jeszcze – dodał Balistreri.

Opowieść o wydarzeniach i osobach związanych w jakiś sposób z San Valente wyraźnie zdenerwowała Pasqualego.

– Zawracałeś głowę kardynałowi Alessandriniemu? – wymamrotał z niedowierzaniem. – I przyjął cię?

– To bardzo przyjazny człowiek.

– „Przyjazny” to nie jest najwłaściwszy termin na określenie jednego z pięciu najpotężniejszych ludzi w Watykanie. A tak w ogóle o co go chciałeś zapytać?

– ENT jest wmieszana w coś poważnego – uciął Balistreri.

– To wiem nawet ja – odparł coraz bardziej spięty Pasquali – ale nie jest powiedziane, że ma to coś wspólnego z naszymi morderstwami. A co ma z tym wspólnego kardynał Alessandrini? Nie wspominając już o hrabim dei Banchi di Aglieno...

– Znasz hrabiego?

– Wszyscy go znają ze słyszenia. Poza tym gramy w golfa w jednym klubie.

– Przepraszam – wtrącił się nieśmiało Corvu z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Co się dzieje? – zapytał Balistreri zaalarmowany jego przejętą miną.

– To, że było anonimowe zgłoszenie, a ja...

– Corvu, co ty mówisz? – Teraz Balistreri wyraźnie podniósł głos.

– To prawda – wyjaśnił Pasquali. – Dziś około siedemnastej ktoś anonimowo zadzwonił na lokalny komisariat. Powiedział, że ze studni wydobywa się niewyobrażalny smród. Pewnie był to ktoś, kto przechodził obok i nie chciał być wmieszany w sprawę.

Corvu spojrział na Balistreriego, odgadując jego myśli.

– Przepraszam, *dottore*, zupełnie zapomniałem.

– Nie rozumiem, co to zmienia – zdziwił się Pasquali.

Balistreri odrzucił od siebie kolejną złą myśl.

– To już drugie anonimowe doniesienie, pierwsze dostał Colajacono. I mamy trzecią literę, V. Kolejny zbieg okoliczności?

– Dobrze. W tym tygodniu będziesz mógł porozmawiać z trzema Romami, którzy zabili Samanthę Rossi. Ale ani słowa o literach do prasy.

Powiniennem ci powiedzieć, jak zginął Colajacono na tamtym wzgórzu. Tylko że jeszcze nie mogę.

Pożegnali się około jedenastej i wjechali na autostradę. Balistreri był wykończony, piekło go w żołądku. W milczeniu palił papierosa i wpatrywał się w tylne światła jadących przed nimi samochodów.

Udało im się trochę oderwać od sprawy, rozmawiając o Angelu Dioguardim i jego wygranej. Corvu postanowił zatelefonować do Angela do hotelu w Londynie, miał numer. Zadzwoił przez system głośnomówiący.

Usłyszeli typowy angielski sygnał telefoniczny, potem głos kogoś z hotelowej recepcji. Poprosili o przełączenie do pokoju Angela.

– Graziano. – W tle było słycać dźwięk włączonego telewizora.

– Angelo, byłeś wielki. Jadę samochodem, jest ze mną *dottor* Balistreri.

Milczenie. Potem Angelo powiedział:

– *Ciao*, Michele.

Wystarczyły te dwa słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane. Po raz pierwszy, odkąd się znali, Balistreri wyczuł dystans, którego w tej chwili w żaden sposób nie dało się zmniejszyć.

– Gratulacje, Angelo. Któregoś dnia porozmawiamy o tym blefie. – Dał mu sygnał, że zrozumiał przesłanie.

– Któregoś dnia, być może. – Ton Angela nie zachęcał do rozmowy.

Pożegnali się. Corvu był wyraźnie zaskoczony i zakłopotany.

A potem wrócili do nieuniknionego tematu i zaczęli rozmawiać o tym, co wydarzyło się po południu.

– Nie podobają mi się anonimowe zgłoszenia, Corvu, a to już całkiem nie. Zastanawiam się, czy... – Nagle urwał. – Powiedziałeś Ornelli Coronie, że jednak nie odwiedzę jej dziś wieczorem?

– Nie było trzeba. Powiedziała, że tak czy inaczej po kolacji będzie w domu.

– Zadzwoń do niej na komórkę.

Corvu usłyszał u szefa ton, który nie dopuszczał dyskusji, i natychmiast wybrał numer. Komunikat głosowy informował, że telefon jest poza zasięgiem albo wyłączony.

– Zadzwoń na stacjonarny – ponaglił go Balistreri.

– Ale nie mam numeru domu nad morzem. – Teraz Corvu był bardziej zdenerwowany od niego.

– W takim razie – powiedział Balistreri – włącz syrenę i śmigaj do Ostii.

Ornella Corona słyszała ten głos przez telefon. Tak samo jak Selina Belhrouz.

Nie zamienili więcej ani słowa. Droga zajęła im mniej niż godzinę. Corvu wyłączył syrenę dopiero przy samym wjeździe do Ostii. Na wybrzeżu przy otwartych

lodziarniach kręciło się jeszcze mnóstwo ludzi. Wjechali do cichej, spokojnej dzielnicy mieszkalnej. W otoczonej małym ogrodem dwupiętrowej willi Ornelli Coronny było zupełnie ciemno.

Zadzwonili do bramki przy ulicy. Bez odpowiedzi. Zadzwonili jeszcze raz. Nic.

– Wchodzę – powiedział Balistreri.

– Ale *dottore*...

– Ty zostań tutaj.

Corvu się uparł.

– Wezwijmy patrol, nie ryzykujemy...

Jednak Balistreri był już na górze ogrodzenia. Nie miał broni, ale wiedział, że nie będzie mu potrzebna. Jeśli Niewidzialny Człowiek odwiedził ten dom, to już go tu nie ma.

Zeskoczył na ziemię w mrocznym ogrodzie, jedyne światło pochodziło z tyłu domu. Zadzwonił jeszcze raz do drzwi. Nic. Postanowił obejść dom od tyłu i poszukać innego wejścia. Kiedy wyszedł za róg, zobaczył zaparkowanego golfa z zamkniętymi drzwiami. Samochód Ornelli. Na desce rozdzielczej świeciła się dioda.

Stanął i rozejrzał się. Obok niego stała lampa na słupie. Przycisnął wyłącznik i białe światło oświetliło scenę.

Wiedział, gdzie szukać. Dioda w samochodzie sygnalizowała niedomknięty bagażnik.

Ornella leżała w środku, jej szeroko otwarte oczy były pełne przerażenia. Była ubrana, ale legginsy miała opuszczone do połowy ud. Wycięta litera I schodziła od pępka aż do sromu.

Czwartek, 20 lipca 2006

Przed południem

Balistreri spędził kolejne noce między telewizorem a oknem swojego mieszkania. Przy papierosach i whisky, zupełnie nie kontrolując ilości. Bezsenność, domysły na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Codzienna zwyczajność, do której przyzwyczała go w ciągu kilku miesięcy Linda Nardi, wydawała mu się ostatnim spokojnym okresem w jego życiu, ostatnią – i nieudaną – próbą zapomnienia, kim naprawdę jest Michele Balistreri, i przeżycia reszty dni w jakiej takiej zgodzie ze złymi wspomnieniami. Wypychał ją ze złością ze swoich myśli, ale wciąż się w nich pojawiała.

Letni świt zastawał go wycieńczonego nadmiarem myśli, tytoniu i alkoholu. Zaczerwienione oczy, zaniedbany zarost, jeszcze bardziej niechlujne ubranie, wszystko z powodu Lindy i Niewidzialnego Człowieka.

Seryjny zabójca, który wycina litery na ciałach swoich ofiar, czy spisek moich byłych kolegów ze służb? Kogo ścigam? Dwa cienie rozszczepiają się i nakładają na siebie niczym majaki. A może tylko jeden?

Z utalentowanego i sumiennego, choć pozbawionego entuzjazmu policjanta zmieniał się w rozgorączkowanego pół alkoholika, pół kłoszarda. Corvu i Piccolo dzielnie bronili go przed okrutnymi żartami, które krążyły po biurach wydziału kryminalnego. Inna sprawa, że ludzie z innych jednostek nigdy nie zaakceptowali istnienia sekcji specjalnej. A teraz na dodatek jej szef, nielubiany przez podejrzliwych polityków i obgadywany przez zazdrosnych kolegów, przechodził wyraźną zapaść.

Zdecydowanie bronił go zarówno Pasquali, jak kwestor Floris. To były trzy dni medialnego piekła. Na szczęście żadnego z dziennikarzy nie oświeciło i nikt nie połączył odnalezienia ciała Seliny Belhrouz z wiejskim domem Pasqualego. Ale Balistreri, który dobrze znał swojego przełożonego, wiedział, jak bardzo ta myśl go gryzie.

Informacja o literach wyciętych na zwłokach ofiar nie dotarła do mediów. Nawet „głębokie gardła” milczały ze strachu przed konsekwencjami, jakimi zagrozili Pasquali i Floris.

Dzięki temu nikt nie połączył ze sobą obu spraw. Zabójstwo Seliny Belhrouz z racji okoliczności, w jakich odnaleziono zwłoki, porównywano do morderstwa Nadii, jednak nikt nie podawał w wątpliwość winy Vasilego, który siedział w więzieniu. Fala oburzenia dotyczyła głównie śmierci Ornelli Corony. Piękna, zamożna Włoszka, zabita

ot tak w swoim domu nad morzem, prawdopodobnie przez zwyczajnego złodzieja, którego zaskoczyła w ogrodzie i który na dodatek próbował ją zgwałcić, co mu się ostatecznie nie udało. Co więcej, świadkowie widzieli i słyszeli mężczyznę, który kręcił się wieczorem w okolicach willi i rozmawiał przez komórkę w jakimś wschodnioeuropejskim języku, prawdopodobnie po rumuńsku.

Pierwsze ustalenia kryminalistyczne i wyniki badań lekarza sądowego na temat obu zbrodni dawały wystarczająco wiele jasności. W obu przypadkach nie było żadnych śladów linii papilarnych, żadnego śladu organicznego na zwłokach. I już samo to pokazywało słabość teorii mówiącej o złodzieju zaskoczonym przez Ornellę Coronę. Kto wchodzi do obcego mieszkania w chirurgicznych rękawiczkach i kominiarce, by nie zostawić nawet maleńkiego włosa, ma w głowie coś znacznie gorszego niż kradzież. W żadnym z tych dwóch przypadków nie było śladów gwałtu. Były za to znaczące różnice.

Selina Belhrouz została porwana, uprowadzona w odosobnione miejsce, rozebrana i torturowana. Torebka z jej rzeczami osobistymi i telefonem komórkowym zniknęła. To nie wyglądało na rozbój. Złamania, siniaki, oparzenia od papierosa. Albo dzieło sadysty, albo przesłuchanie. Zdążyła stracić przytomność, zanim została uduszona.

Ornella Corona odbyła dobrowolny stosunek seksualny po powrocie z plaży, niedługo przed tym, jak ją zamordowano. Potem wyszła do ogrodu, być może zaniepokojona jakimś hałasem, i tam została zaatakowana i uduszona. Znikł jej „mrugający” zegarek, ale to trochę mało, by za motyw przyjąć kradzież. Legginsy opuszczono jej prawdopodobnie już po śmierci, aby wyciąć literę I. Samochód był otwarty, bo parkowała w przydomowym ogrodzie. Było oczywiste, że morderca wiedział, iż nie ma wiele czasu. Lekarz ustalił, że zgon nastąpił między jedenastą a dwunastą w nocy.

Kampania przeciwko obozowi Casilino 900 i innym koczowiskom rozgorzała gwałtowniej niż kiedykolwiek dotąd i zarząd miasta znów został zapędzony do narożnika. Opozycja bezlitośnie krytykowała władze i tylko Kościół katolicki starał się bronić Romów przed całkowitym potępieniem wszystkich. Na przedmieściach grupy młodych Włochów zaczęły wyrzucać Romów z barów, potem ścigały ich i atakowały. Kiedy policjanci próbowali aresztować młodzika, który skatował rumuńską opiekunkę swojego dziadka, oskarżywszy ją wcześniej o kradzież, stanęła przeciwko nim cała dzielnica, broniąc oprawcy i pochwalając lincz. Wzmocnione oddziały prewencji broniły Casilina 900 i innych koczowisk, a wśród policjantów zaczęła krążyć myśl, czyby nie dać tłumowi wolnej ręki. W lipcowym upale nikt już nie pamiętał o pokoju zawartym niedawno za sprawą mundialowego zwycięstwa, wszystko zmiotła z powierzchni wieść o nowych morderstwach i bardzo niewiele brakowało, by doszło do wybuchu. Ku radości tych, którzy tylko na to czekali.

Balistreri nie widział Lindy Nardi na konferencjach prasowych. Nie pojawił się

nawet żaden jej artykuł na gorący temat. Aż do tego ranka.

O ósmej kwesor Floris i Balistreri spotkali się z Pasqualim w jego biurze.

– To jest gorsze niż tsunami – mruknął ponuro Floris, patrząc w gazetę.

Tytuł był jednoznaczny: *Cztery punkty na tej samej prostej?* Zabójstwa Samantha Rossi, Nadii, Seliny Belhrouz i Ornelii Corony zostały zrekonstruowane według oficjalnej wersji podanej przez policję. Linda Nardi niczego nie komentowała, to był suchy, wierny przekaz tego, co podały oficjalne źródła.

Ale na koniec następowało pytanie: *Gdyby istniał wspólny element łączący te cztery zbrodnie i gdyby śledczy wiedzieli o nim, czy mieliby prawo milczeć dla dobra śledztwa, czy też powinni nam powiedzieć, jak się rzeczy mają?*

Jak zawsze Pasquali zachował zimną krew.

– Linda Nardi zadała nam pytanie. Możemy je zignorować albo na nie odpowiedzieć. Proponowałbym przeanalizować wszystkie za i przeciw.

– Jeśli analiza, którą chcesz przeprowadzić, należy do porządku śledczego, a nie politycznego, sugeruję, żeby dołączyli do nas Corvu i Piccolo.

Pasquali spojrział na kwestora.

– Sądzę, że zanim podejmiemy decyzję polityczną, przyda się nam analiza śledcza.

Pojawili się Corvu i Piccolo. On nieco onieśmielony obecnością kwestora, ona zupełnie na to obojętna.

– Balistreri – zaczął Floris – niech pan nas poprowadzi przez to grzęzawisko.

– Pytanie Lindy Nardi brzmi: czy istnieje element wspólny między czterema morderstwami i czy wiedząc o nim, mamy prawo zachować to dla siebie. Chciałbym przede wszystkim oczyścić przedpole z jakichkolwiek wątpliwości w jednej sprawie. W przeszłości, jak *dottor* Pasquali wie, korzystałem w celach śledztwa z pomocy Lindy Nardi jako kanału informacyjnego. Ale nigdy nie powiedziałem jej ani słowa o literach wyciętych na ciałach dwu pierwszych ofiar. I nie mam z nią kontaktu od jedenastego lipca.

– Dobrze – odezwał się Pasquali – nie ma żadnych wątpliwości co do twojej dyskrecji. Idźmy dalej.

– Mamy cztery wycięte litery, prawdopodobnie tym samym narzędziem – kontynuował Balistreri – skalpelem lub ostrym nożem. R, E, V, I. W tej kolejności, założywszy, że porządek ma jakieś znaczenie i że same litery mają sens. To z pewnością jeden wspólny element tych czterech morderstw. I nie może być dziełem przypadku – zakończył Balistreri, patrząc na Pasqualego.

– I to mogą nie być ostatnie litery – powiedziała Piccolo, chcąc bardziej zmobilizować obecnych.

Balistreri zobaczył, jak kwesor szybkim ruchem chwytą się żelaznej nogi swojego fotela²⁴. Automatyzm przesądu.

– Zgoda – powiedział Pasquali. – Proponuję na chwilę odłożyć na bok litery

i zastanowić się, czy są inne wspólne elementy tych czterech zabójstw.

Corvu podniósł rękę, by poprosić o słowo.

– Zabójstw jest pięć. Jest jeszcze Camarà. Nie licząc tych, którzy zginęli na wzgórzu. Jeśli mamy analizować sprawę zabójstwa tych czterech kobiet, musimy pamiętać, że ze śmiercią Nadii wiąże się śmierć Papy Camarà.

– I że dwa ostatnie morderstwa mogą mieć związek bardziej ze śmiercią Senegalczyka niż z Nadią i Samanthą – wtrącił Balistreri.

– Morderstwa z konieczności – zauważył Pasquali.

– Właśnie. Pierwsze dwa poprzedziła przemoc seksualna i jej ofiarami są dwie kobiety wybrane przypadkowo, choć nad tym musimy się jeszcze zastanowić. Ale jeśli wysuwamy hipotezy co do związku między nimi, to ostatnie dwie ofiary nie są przypadkowe, obie w jakiś sposób były powiązane z dochodzeniem w sprawie śmierci Nadii i motyw zabójstwa może być taki sam jak w wypadku Papy Camarà, czyli usunięcie niewygodnego świadka. Wszystko to pod pozorem kontynuowania tej samej sekwencji mordów. Litery mogą być zwykłą przykrywką.

– Chcesz powiedzieć – zinterpretował Pasquali – że mamy do czynienia nie z seryjnym sadystycznym zabójcą, który atakuje, morduje i naznacza swoje ofiary, ale z przemyślaną zbrodnią, która pociąga za sobą inne, przy czym sprawca może być jeden, ale też może ich być wielu?

Jak gdyby Niewidzialny Człowiek miał dwie różne dusze i dwie różne maski. Ale ręka, która zabija, jest jedna i ta sama.

Corvu zauważył impas i naturalnie zaproponował typowe dla siebie analityczne podejście:

– Jeśli pozwolicie, podejmę pytanie, które postawił *dottor* Pasquali. Jakie są inne podobieństwa między czterema morderstwami? To tutaj... – Corvu spojrział na Balistreriego, jakby prosił go o pozwolenie – ...pojawia się Niewidzialny Człowiek.

Kwestor szeroko otworzył oczy.

– Jaki Niewidzialny Człowiek? – zapytał, patrząc najpierw na Corvu, potem na Balistreriego, na końcu na Pasqualego.

– W sprawie Samanthy – kontynuował Corvu – trzech Romowie zeznają, że był z nimi jeszcze czwarty, który ich upił, naćpał i zachęcił do zaatakowania dziewczyny, a potem znikł. W sprawie Nadii oskarżony Vasile twierdzi, że był człowiek, który do niego zadzwonił i w zamian za użyczenie mu starej alfy przywiózł mu Nadię i butelkę whisky.

– Ale nic takiego nie pojawia się w pozostałych dwóch przypadkach – zaproponował Floris.

– Panie kwestorze – odpowiedział Corvu z szacunkiem – mamy anonimowy telefon, który doprowadza nas do studni z ciałem Seliny Belhrouz, i podejrzanego gościa, który rozmawia po rumuńsku przez komórkę niedaleko willi Ornelli Coronny. No i motocyklistę ze sprawy Papy Camarà.

I zjawę, która z zimną krwią zamordowała Colajacona, oznajmiając mu nadchodzącą śmierć.

– Pomóżcie mi zrozumieć – odezwał się Pasquali. – Załóżmy na chwilę, że wszystkie ofiary zginęły z tej samej ręki i że mordercą jest Niewidzialny Człowiek, jak go nazywacie. Mówicie, że wybór dwóch pierwszych ofiar jest przypadkowy, a przynajmniej dyktują go odmienne powody niż dwóch pozostałych, kiedy chodziło o konieczność zatarcia śladów. Ale o ile potrafię zrozumieć, że Camarà został zabity, bo zobaczył w Bella Blu coś, czego nie powinien zobaczyć, nie rozumiem, co z tym wspólnego mają Selina Belhrouz i Ornella Corona. Co takiego widziały?

– Słyszały przez telefon czyjś głos – rzucił zniecierpliwiony Balistreri.

Wszyscy popatrzyli na niego z konsternacją, Pasquali zaś poruszył się niespokojnie na krześle i obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. W ciszy, która zapadła, Balistreri miał wrażenie, że przeszywają go promienie rentgena.

Strach, który czytam w twoich oczach, niepokoi mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Wreszcie Pasquali westchnął i powiedział:

– Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. I coś ci poradzę. Jeśli masz jeszcze jakieś ukryte karty, wyciągnij je od razu, bo nie sądzę, by zostało nam wiele czasu. Opowiedz o tym głosie. – W jego tonie nie było groźby, raczej zmartwienie i wiele gorzkości.

– Któregoś dnia Ornella Corona odebrała domowy telefon. Dzwoniący powiedział, że jej mąż wyłączył komórkę, i zażądał, by go znalazła i przekazała mu, że ma jeszcze tego wieczoru jechać do Monte Carlo. Nie poprosił, powiedział, że ma to zrobić i tyle. Zaoponowała, mówiąc, że jest już siedemnasta, ale mężczyzna odpowiedział niegrzecznie, że właśnie po to ma do dyspozycji samolot. I rozłączył się.

Zapadło długie milczenie. Mroczny cień ENT zaczynał się rozciągać nad tymi morderstwami. I nikt nie wydawał się zachwycony tym, co to może oznaczać.

– Ta ENT... – zaczął niepewnie Floris.

– Przepraszam, panie kwestorze – przerwał mu Pasquali – chciałbym, żeby Balistreri dokończył swój wywód także w odniesieniu do Seliny Belhrouz.

– W Dubaju brat Seliny Belhrouz na krótko przed wypadkiem, w którym stracił życie, powiedział nam, że kiedy był we Włoszech, jego siostra przez pomyłkę odebrała połączenie na jego komórkę. I to był według niego problem, ponieważ Selina nie powinna była usłyszeć tego głosu.

Pasquali był błady jak ściana. Po raz pierwszy zanotował coś w terminarzu.

– Dobrze – powiedział po chwili, przejmując na powrót kontrolę nad zebraniem – na razie zostawmy ENT na boku. Mamy dwie przypadkowo wybrane kobiety, potem jest Camarà i kolejne dwie kobiety wyeliminowani jako niewygodni świadkowie, zaś wycięte litery służą tylko myleniu tropów. Taka jest twoja teza – zakończył, zwracając się do Balistreriego.

– Nie – odezwała się Piccolo, nie prosząc o pozwolenie. Wszyscy popatrzyli na nią.
– Możemy dyskutować, jak to było w przypadku Samantha, ale Nadia z pewnością nie była wybrana przypadkowo. Skorumpowali i uwikłali w sprawę Colajacona oraz Tatò i kontynuowali plan zabicia Nadii także po tym, jak zobaczył ich Camarà. Potem musieli zabić również jego i zaryzykowali wplątanie w całą sprawę Bella Blu i ENT. Przecież mogli spokojnie odpuścić, wybrać inną ofiarę. Ale nie, chcieli Nadii, z jakiegoś powodu właśnie ona miała być ofiarą.

– Zupełnie nie rozumiem – odezwał się Floris. – To była biedna rumuńska dziewczyna, która się prostytuowała, dlaczego ktoś miałby się na nią wziąć?

– Możliwe, że dziewczyna coś odkryła, jakieś ciemne interesy – zasugerował Corvu.

– Ale to nonsens – powiedział Pasquali. – Zastrzeliliby ją i wrzucili do studni. I tyle. Zamiast tej całej szopki z przejazdem do Bella Blu, z crossowym motocyklem, ze starą alfą, z pasterzem i jego szopą.

Balistreri wiedział, że Pasquali ma absolutną rację. I że rację miała również Piccolo. Nadia nie została wybrana przypadkowo. Ale z jakich powodów, tego w tej chwili nie potrafił zrozumieć.

– A co z tym wszystkim ma wspólnego sprawa Elisy Sordi? – zapytał coraz bardziej zagubiony i przejęty kwestor. – Pasquali powiedział mi, że pan, Balistreri, poszedł przesłuchać hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno i kardynała Alessandrinięgo.

– To była zwyczajna pogawędka, a nie przesłuchanie. I żaden z nich nie miał mi tego za złe. Myśleli, że odwiedziłem ich z powodu wznowienia śledztwa w sprawie Elisy Sordi po niedawnym samobójstwie jej matki, a tymczasem chodziło o coś innego. Wszystko bierze początek od Aliny Hagi, która w tamtych czasach często odwiedzała sierociniec przy parafii San Valente. Jej najlepszą przyjaciółką była późniejsza matka Samantha Rossi, która wtedy chodziła z Franceskiem Ajellem, dzisiaj adwokatem i administratorem ENT, mającym też jakieś związki z Ornellą Coroną.

– Ależ to brzmi jak jakieś science fiction! – zdumiał się kwestor. – Niewiarygodna seria zbiegów okoliczności.

Balistreri pokręcił głową.

– Właśnie. Niewiarygodna. Jeśli to są zbiegi okoliczności.

Jak zawsze wszystko podsumował Pasquali:

– Wróćmy do początku. Do pytania Lindy Nardi. Czy śledczy mają w ręku coś, co łączy cztery morderstwa? Tak. Czy mamy powody, by tego nie wyjawiać? Tak. Gdybyśmy powiedzieli, że w okolicy krąży seryjny zabójca, który wycina litery alfabetu na ciałach ofiar, wybuchłaby panika. Jak długo możemy to jeszcze utrzymywać w tajemnicy? Powiedziałbym, że już naprawdę niedługo, z pewnością piąte morderstwo z wyciętą literą byłoby absolutnie nie do zaakceptowania.

– Co w takim razie pan proponuje? – zapytał kwestor.

Balistreri spotkał się wzrokiem z Pasqualim i zrozumiał, że szef już podjął decyzję.

Historia o głosie, który usłyszały Ornella Corona i Selina Belhrouz, odniosła skutek.

– W takim razie, Balistreri, masz czterdzieści osiem godzin na aresztowanie mordercy. Mając winnego w celi, możemy powiedzieć prasie część prawdy i wybaczą nam kłamstwa.

Pasquali miał ton chłodny, spokojny i zdecydowany. Nie było miejsca na wątpliwości i obiekcje.

Floris popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Przepraszam, *dottor* Pasquali, ale winny, o którym pan mówi, to niby kto?

Pasquali nie miał ochoty na żarty.

– Wywiera wielki wpływ na całą wspólnotę rumuńską. W żadnym z przypadków nie ma alibi. Mówi równie dobrze po rumuńsku i włosku. Mógł korzystać z motocykla Adriana, by wjechać na wzgórze do szopy Vasilego. Matka Samantha była przyjaciółką jego żony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Nadia mieszkała w jego domu. Ci czterej, którzy zamordowali trzech policjantów i mało brakowało, a zabiliby Balistreriego, byli jego chłopcami na posyłki.

– Ale nie mamy dowodów – próbował zaoponować kwestor.

Pasquali spojrzał na Balistreriego.

– Znajdź dowody, Michele. Jutro rano będziesz mógł się zobaczyć z tymi trzema Romami skazanymi za śmierć Samantha. Do piątku chcę, żebyś przygwoździł Mariusa Hagiego zarzutem wielokrotnego morderstwa.

Balistreri wyszedł ze spotkania z poczuciem, że o zbyt wielu rzeczach powiedział Pasqualemu. I z wyrzutami sumienia, że przemilczał tę najbardziej niebezpieczną.

– Domyślam się, że ma pan bardzo poważny powód, by do mnie dzwonić. – Głos był spokojny, ale niezbyt zachęcający.

– Musimy się spotkać – wyszeptał Pasquali.

– Naprawdę nie sądzę – brzmiała pełna chłodu odpowiedź.

– Posunęliście się za daleko, na dodatek jeszcze tuż obok mojego domu! – Pasquali starał się kontrolować drżenie wściekłości w głosie.

– Przypadkowy zbieg okoliczności. – Ironia w głosie była ewidentna.

– Musimy to skończyć, natychmiast – wyszeptał z desperacją Pasquali.

– Tu się zgadzamy. Zajmę się tym, pan jutro niech będzie w gotowości.

Pasquali się rozłączył. Spojrzał na krucyfiks i zaczął się modlić.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Czuł spojrzenie Chrystusa na swojej głowie. Popęłnił straszliwy błąd, a teraz nie miał już żadnego wpływu na przebieg gry. Może nawet od samego początku go nie miał.

– ...i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Był świadomy, że rozmowa z administratorem ENT będzie ostatecznym wyzwaniem rzuconym komuś, kto na wszystkie możliwe sposoby ostrzegął i doradzał, żeby trzymał się od tej sprawy z daleka. Wyzwaniem, które nie może się skończyć inaczej niż kolejnymi naprawdę poważnymi problemami.

Jednak samobójstwo Giovanni Sordi obudziło w nim długo uspięne przez upływ czasu i poczucie winy instynkty, które teraz ożyły z całą mocą. Nie potrzebował już antydepresantów, lekarstw osłonowych na żołądek, ścisłej kontroli papierosów i alkoholu, na nic mu było wczesne chodzenie do łóżka w towarzystwie dobrej książki – i tylko dobrej książki. Nie potrzebował już tych wszystkich starań, by przesunąć jak najdalej w przyszłość spotkanie z Bogiem, jeśli istnieje; nie potrzebował już ani czekać na Jego sąd, ani się go bać. Potrzebował tylko tego, czego szukał od dziecka, za wszelką cenę, nawet gdy to oznaczało kłopoty: prawdy. Bezkompromisowo, przy użyciu siły, jeśli to będzie konieczne, nawet za cenę unicestwienia siebie.

Ajello sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego. Balistreri i Corvu spotkali się z nim przed południem w klubie golfowym. Adwokat właśnie skończył grać ze swoim synem. Usiedli we czterech przy zacienionym stoliku.

– Strasznie dziś gorąco – narzekał Ajello, ocierając pot chusteczką higieniczną, podczas gdy jego syn duszkiem opróżniał puszkę z napojem. – Dopiero wpół do jedenastej i już się człowiek smaży.

– Dziś ma pan wolne, mecenasie? – zapytał Corvu.

Ajello machnął ręką z irytacją, jakby odpędzał muchę.

– Jak wiecie, pracuję w nocy. Ale wczoraj wieczorem zostałem w domu i dzięki temu już o siódmej byliśmy z Fabiem na pierwszym greenie.

Balistreri obserwował ukradkiem chłopaka, który wydawał się zupełnie niezainteresowany rozmową i bawił się najnowszym modelem telefonu.

– Czemu zawdzięczam te odwiedziny? Znaleźliście motocyklistę? – zapytał Ajello, zapalając papierosa.

– Chce pan rozmawiać przy synu? – zagadnął Balistreri.

– Nie widzę problemu, Fabio jest dorosły i nie mamy przed sobą tajemnic.

– Dobrze. Porozmawiajmy o Ornelli Coronie.

Ajello z konsternacją pokręcił głową, a Fabio odłożył palmtopa, by po raz pierwszy popatrzeć na Balistreriego. W jego oczach malowała się bezbrzeżna pogarda chłopaka wobec dorosłego, który tak bardzo odbiega od jego wizji życiowego sukcesu: państwowy urzędnik, źle ubrany, z nieprzystrzyżoną brodą.

– Żyjemy w kraju absurdów – powiedział Ajello. – Tolerujemy tych zwyrodnialców, którzy kręcą się wokół i gwałcą dziewczyny...

– Chciałbym wiedzieć, kiedy po raz ostatni widział pan Ornellę Coronę – powiedział oschle Balistreri zirytowany tą śpiewką.

Ajello przestał się uśmiechać. Popatrzył na swe długie, opalone i świeżo

wypielegnowane dłonie takim wzrokiem, jakby znalazł na nich jakiś błąd manikiurzystki.

– A jaka jest doniosłość tego pytania dla śledztwa? – zapytał z ironią we wzroku.

– Taka, że pomoże jak najdokładniej zrekonstruować to, co robiła pani Corona tego wieczoru, kiedy została zamordowana. Wiemy na pewno, że opalała się w pobliskim zakładzie kąpielowym aż do zachodu słońca. Wyszła z niego sama i prawdopodobnie wróciła prosto do domu. Znaleźliśmy talerz z resztką sałaty i niedopity kieliszek wina. Potem, zanim została zabita, około północy...

Ajello podniósł rękę, by go zatrzymać.

– Fabio – powiedział – miałbyś ochotę podejść do klubowego sklepu i zobaczyć, czy już przyszły nowe torby?

Blondwłosa góra mięśni wstała. Balistreri poczuł na sobie na poły groźne, na poły szydercze spojrzenie.

– Proszę, niech pan kontynuuje – rzekł grzecznie Ajello.

– Zanim została zabita, odbyła dobrowolny stosunek seksualny – zakończył Balistreri.

– Chce pan wiedzieć, czy ze mną? Wciąż nie widzę, jaki związek...

– Jeśli pan tam był, mógł pan coś widzieć lub słyszeć.

– Albo mogłem ją zabić.

– To zależy od pańskiego alibi.

– O tamtej porze pewnie byłem w samochodzie, jechałem do Bella Blu. Około północy pewnie byłem już w klubie.

– W takim razie nie sądzę, by to było prawdziwe alibi, chyba że wyszedł pan z własnego domu, choć sam pan wie, że świadectwo współmałżonka niewiele jest warte.

– Nie przyjechałem tam z domu – powiedział spokojnie Ajello – jechałem z Ostii, byłem z Ornellą Coroną.

Corvu i Balistreri popatrzyli po sobie.

– Naturalnie – dodał Ajello – Ornella żyła, kiedy od niej wychodziłem około jedenastej trzydzieści.

– I wychodząc, widział pan kogoś w okolicy willi?

– Absolutnie nikogo – odparł szybko Ajello.

– Proszę się zastanowić – nalegał Balistreri.

Niewielki cień przebiegł przez nienagannie wypielegnowaną twarz adwokata.

– Nikogo nie widziałem. Ale miałem otwarty szyberdach w samochodzie. I słyszałem głos mężczyzny, który głośno rozmawiał przez komórkę, sądzę, że po rumuńsku.

– Rozpoznałby pan głos Mariusa Hagiego? – rzucił od niechcienia Balistreri.

Długa pauza. Ajello chciał zyskać na czasie, zapalił kolejnego papierosa. Spojrzał

wzrokiem bez wyrazu na Balistreriego.

– Znam to nazwisko – rzekł z wahaniem – ale nie potrafię skojarzyć...

– Mąż Aliny Hagi, najlepszej przyjaciółki Anny Rossi – podpowiedział Corvu.

Balistreri pomyślał, że Ajello mógłby być doskonałym pokerzystą. Ale nie tak bezkonkurencyjnym jak Angelo Dioguardi. Coś jednak przemknęło przez jego twarz. Strach, gniew, poczucie winy. Trudno powiedzieć.

– Anna Rossi – powtórzył po chwili z uśmiechem, odzyskując panowanie nad sobą.

– No proszę. Tyle już lat minęło. Alina Hagi... pamiętam ją, oczywiście. Ale ten jej mąż, Mario...

– Marius – sprecyzował Corvu, chcąc wyprowadzić adwokata z równowagi.

– Marius Hagi. Tak, może ze dwa razy go widziałem. Ale nie przypominam go sobie zbyt dobrze, nie widywaliśmy się już później. Po studiach straciłem kontakt ze środowiskiem przy parafii San Valente, pracowałem dla...

– Hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno – wszedł mu w słowo Corvu.

– Skąd wiecie? – zapytał zaskoczony.

– Sam hrabia nam powiedział. Byliśmy u niego zapytać o Mariusa Hagięgo, a przy okazji pojawiło się pana nazwisko.

Ajello zdawał sobie sprawę z wymownego zbiegu okoliczności, lecz postanowił się zachowywać jakby nigdy nic.

– Poza tym wspominał o panu Valerio Bona – dodał Corvu.

– Valerio Bona! Mój fantastyczny sternik.

– Valerio Bona pracuje dla kardynała Alessandriniego w San Valente razem z księdzem Paulem.

Ajello w milczeniu trawił te informacje. Nie wydawał się ani zaskoczony, ani poruszony.

Balistreri uznał, że nadszedł moment, by przejść do sedna.

– W tamtym czasie popełniono straszne morderstwo, pamięta pan?

Ajello odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie.

– Elisa Sordi, biedna dziewczyna – powiedział natychmiast.

Ton głosu uderzył Balistreriego.

– Znał ją pan?

Ajello pokręcił głową.

– Ledwie, tylko z widzenia. Nigdy nie chodziłem na via della Camilluccia. Ale któregoś dnia Valerio przedstawił mi ją, wypiliśmy razem kawę...

Balistreri zobaczył, że Fabio wraca. Popatrzył na Ajella.

– Pamięta pan, gdzie był w dniu, kiedy zginęła Elisa Sordi?

Ajello posłał mu ironiczne spojrzenie.

– Kolejne pytanie mające istotny związek ze sprawą, *dottor* Balistreri? Cóż, gdyby to był zwykły dzień, pewnie bym nie pamiętał. Ale to był finał mundialu w Hiszpanii.

Pan też oglądał, prawda?

Nie sposób było dociec, czy w pytaniu kryje się ironia.

– W każdym razie spędziłem całe popołudnie na żaglach, pływałem sam, a o siódmej trzydzieści byłem w klubie żeglarskim, żeby razem z kolegami obejrzeć mecz. A potem naturalnie pojechałem pod Koloseum na świętowanie. – Ajello patrzył na niego z widocznym rozbawieniem. – Tamtego wieczoru pewnie i pan świętował, panie Balistreri, prawda?

Tym razem komunikat był nieporównywalnie bardziej czytelny.

Po południu

Letnie burze szaleją zawsze wtedy, kiedy jest najgoręcej. Grzmoty i błyskawice towarzyszyły ich powrotowi do biura, a setki turystów ubranych jedynie w dzinsy i koszulki szukały schronienia w barach i na stacjach metra.

Rozpadało się dokładnie w chwili, kiedy Corvu parkował samochód. To był pierwszy deszcz od początku lipca. Balistreri postanowił wykorzystać okazję i zafundować sobie regenerujący spacer po opustoszałym chwilowo centrum. Wysłał Corvu do biura, a sam w strugach bębniącego po ulicach deszczu skierował kroki w stronę Zatybrza.

R, E, V, I. Przykrywka czy klucz? Tylko te litery mogą połączyć Samanthę, Nadię, Selinę i Ornellę. Ale Niewidzialny Człowiek chce, żebyśmy sami je połączyli. Chce się nacieszyć naszym strachem.

Czuł, jak przemoczona koszula lepi mu się do ciała. Zanurzony w myślach nie zauważył, że znalazł się już nad Tybrem. Po drugiej stronie rzeki było mieszkanie Lindy Nardi.

Kiedy zginęła Alina?

Absurdalne pytanie. Linda Nardi mogła się z łatwością dowiedzieć, kiedy zginęła żona Mariusa Hagiego. Ale jakie to miało znaczenie?

Razem z Anzelem Dioguardim spędzili wieczór 11 lipca 1982 roku, oglądając zwycięski mecz włoskiej reprezentacji w finale mundialu. Tego dnia Elisa Sordi została zabita, a wcześniej była torturowana: bita, cięta ostrym narzędziem, przypalana żarem z papierosa.

Odkąd na scenę śledztwa wróciła parafia San Valente, umysł Balistreriego pracowicie wypierał wszelkie analogie. Ale te analogie istniały. Młoda dziewczyna, bita i torturowana, choć nie zgwałcona, potem uduszona i wrzucona do Tybru. Tyle że bez wyciętej litery.

Nie było żadnego nacięcia? Balistreri, jesteś tego pewien? Nie pamiętasz, jaki byłeś wtedy nieuważny?

Oparł się o balustradę ponad bulwarem. Chłostana deszczem szara powłoka rzeki przesuwała się z wolna. Ciało Elisy Sordi pozostawało w wodzie przez kilka dni. Woda i szczury dodatkowo je zmasakrowały. Z grymasem na twarzy przypomniał sobie fotografię z autopsji. Sińce, przypalenia, ugryzienia... Żadnego nacięcia w kształcie litery.

Ugryzienia? Lekarz sądowy zaznaczył owalną bliznę na tym, co pozostało z lewej piersi. Prawdopodobna przyczyna: ugryzienie, nacięcie, zadrapanie. Nacięcie.

Był przemoczony, samotny, niespokojny i wycieńczony. Paliły go oczy, chwiał się z niewyspania. Spojrzał w stronę Bazyliki Świętego Piotra, w stronę domu Lindy Nardi. Ogarnęło go złe przeczucie i odwrócił się plecami do Tybru.

Kiedy nie myśląc o jedzeniu, wrócił do biura, była już trzecia.

Corvu i Piccolo nie skomentowali jego stanu. Gdyby policjanci pilnujący wejścia do budynku go nie znali, wyrzuciliby go na zbity pysk, wzięwszy za kłozarda.

– Mamy ważne informacje – powiedziała Piccolo.

– Dwie – sprecyzował Corvu.

– Mastroianni jeszcze raz pojechał do Rumunii. Przez mojego kolegę udało się załatwić mu wstęp do tajnego archiwum otwartego po śmierci Ceașescu. Ci dwaj, których mieli zamordować Mircea i Greg, byli emerytowanymi pracownikami MSW, a dokładniej służby bezpieczeństwa, Securitate. Wspaniałe curriculum. Między innymi to oni zabili brata Mariusa Hagiego.

Ten człowiek nie wybacza. Musiała to odkryć także Alina.

– Doskonała wiadomość – powiedział Balistreri. – Nie powiązana bezpośrednio z naszym śledztwem, ale...

– Druga informacja ma związek bezpośredni – odezwała się Piccolo.

Promieniała. A więc znalazła coś na Colajacona, choć dopiero po jego śmierci.

– Po dzisiejszym spotkaniu z Pasqualim poprosiłam Rudiego, by się zastanowił, czy Hagi nie powiedział albo nie zrobił czegoś dziwnego przed południem dwudziestego dziewiątego grudnia, kiedy ja byłam na komisariacie Torre Spaccata i rozmawiałam z Colajaconem. Rudi przypomniał sobie, że przyszedł wtedy z kawą do sali bilardowej, gdzie Hagi kończył rozmowę telefoniczną. Usłyszał tylko ostatnie zdanie, ale sądzę, że to wystarczy.

Piccolo zrobiła przerwę.

Balistreri się zniecierpliwił.

– No dobrze, Piccolo. Co powiedział Hagi?

– Powiedział: „Olej ich, to tylko zmiatacze rajskich ulic”.

Zamknął się u siebie w biurze. Myślał o Mariusie Hagim. Co robił teraz, w dniu, który miał być jego ostatnim na wolności? Jutro Pasquali każe go aresztować za cenę sfabrykowania kolejnych dowodów poza pośrednimi, które wyskakiwały z każdej strony. Na pusty żołądek wypił dwa piwa, poprawił podwójną whisky i wypalił cztery papierosy.

Podkręcił na maksimum klimatyzator i zasunął rolety przed lejącym się z nieba popołudniowym żarem. Zapalił lampkę do czytania i przeniósł ją obok sofy wraz z trzema teczkami. Pierwsza zawierała wszystkie protokoły przesłuchań trzech Romów oskarżonych o napaść na Samanthę i zamordowanie jej. Druga – protokoły przesłuchań Vasilego, domniemanego gwałciciela i mordercy Nadii. Lektura całości zajęła mu ponad dwie godziny.

Potem wziął szkło powiększające i otworzył trzecią teczkę. To był raport z autopsji Elisy Sordi. Wciąż pamiętał. Po dwudziestu czterech latach. Fotografia numer 43. Owalna rana na lewej piersi, owal niepełny z powodu braku fragmentu piersi. Możliwe przyczyny: ugryzienie przez ludzki górny łuk zębowy, nacięcie lub otarcie gałęzią albo kawałkiem metalu w rzece.

Naprawdę gówniane śledztwo, prawdziwa kolekcja niejasności, powierzchowności i absurdu. Podręcznikowy przykład błędów, których nie należy popełniać.

Nie potrzebował szkła powiększającego, by odrzucić hipotezę przypadkowego nacięcia czy zadrapania. Ślad krzywej na tym, co pozostało z piersi, był równy i regularny, jakies ćwierć okręgu. Górny łuk zębowy? Mógł odpowiadać siekaczom centralnym i bocznym oraz kłom. Wziął lupę, żeby zobaczyć lepiej. To nie był ślad elipsy, to był ślad okręgu. Kawałek litery O. Oczywiście żaden lekarz sądowy nie przysiągłby, że to nacięcie. Nacięcie w kształcie litery O.

Ale teraz wiemy już wiele rzeczy, których nie wiedzieliśmy w 1982 roku. Cztery zamordowane młode kobiety: R, E, V, I. I może jeszcze O. Może to ta sama ręka, dzieło Niewidzialnego Człowieka.

Pracował aż do wieczora, opierając się głodowi i pokusie snu. Zawołał Corvu i Piccolo. Trzykrotnie przeczytali razem zawartość teczek Elisy Sordi. Zrobili to, co on powinien był wykonać wiele lat temu. Wszystkie detale, wszystkie alibi. Ale teraz pojawiały się nowe postaci: Hagi, Ajello. I nowe fakty.

Na koniec Corvu zanotował na kartce: *Skontrolować alibi tych osób w kontekście wszystkich morderstw.*

Pasquali i Floris szeroko otworzyliby oczy, czytając niektóre z tych nazwisk, a potem by się sprzeciwili. Ale Balistreri nie miał najmniejszego zamiaru pytać ich o pozwolenie.

Wieczorem

Na koniec dnia Corvu zaproponował, że odwiezie go samochodem do domu.

– Jest pan zmęczony, *dottore*, i jest już późno. Jutro będzie ciężki dzień: przesłuchanie Romów, aresztowanie Hagiego...

– Spokojnie, Corvu. Potrzebuję się jeszcze trochę przespacerować.

Zamiast do domu, znów poszedł nad pełne rozkrzyczanej młodzieży brzegi Tybru. Nie wiedział, dokąd iść, przynajmniej nie w sposób świadomy. Panował duszący, wilgotny upał, szedł z wysiłkiem, paląc jednego papierosa za drugim.

Nogi same poniosły go na most i za rzekę, tam gdzie iść nie powinien, aż na ulicę, przy której mieszkała Linda Nardi. Los zdecydował za niego. Kilka sekund wcześniej bądź później – i wszystko byłoby inaczej. Ale przeznaczenie kazało mu wyjść z za rogu dokładnie w tej samej chwili, kiedy Linda Nardi wchodziła do bramy swojej kamienicy w towarzystwie Angela Dioguardiego, który otaczał ją ramieniem.

Postanowił, że spróbuje się przespać w biurze przy włączonej klimatyzacji. Wrócił tam o północy, w budynku było bardzo niewiele funkcjonariuszy, a na jego piętrze nikogo. Kwiatek w szklance ciągle stał na biurku Margherity, zupełnie już zwiędły. Teraz wiedział z całą pewnością, że przeznaczeniem tego kwiatu od samego początku była śmierć.

Zdjął buty i marynarkę i rozsiadł się wygodnie. Zgasił wszystkie światła, włączył klimatyzator na pełne obroty. Nalał sobie whisky, zapalił papierosa. Poszedł do łazienki. Wyrzucił do sedesu wszystkie lekarstwa: najpierw te na żołądek, potem antydepresanty.

Teraz, kiedy znał już niektóre odpowiedzi, czuł się spokojniejszy. Angelo i Linda. Dwoje dorosłych dzieci. Okrutnych, jak tylko dzieci być potrafią. Zdolnych ukrywać się tak, jak tylko dorośli potrafią. Zdrajców jak tamci dwoje trzydzieści sześć lat wcześniej.

Piątek, 21 lipca 2006

Przed południem

Zastrzeżona komórka zadzwoniła o siódmej, kiedy Pasquali szykował się do wyjścia na mszę, a potem do pracy. Tego ranka był mniej pedantyczny niż zwykle. Zacięcie przy goleniu, nierówny przedziałek.

Głos był ten sam co zwykle.

– Wszystko przygotowane, kończymy dziś rano.

Spróbował zaakcentować swoją rolę:

– O dziesiątej zorganizowałem mu spotkanie, nie będzie nam przeszkadzał.

– Brawo. Załatwi pan to osobiście, bez cudzej ingerencji.

– Musi być uzbrojony. I opierać się aresztowaniu.

Pasquali nigdy nie myślał, że będzie musiał strzelać do kogoś, nawet do wielokrotnego mordercy. Ale jeśli zastrzeli uzbrojonego wielokrotnego mordercę, będzie to więcej niż usprawiedliwione. Nie ośmielił się spojrzeć na krucyfiks, kiedy o tym myślał.

– Naturalnie. A pan zostanie narodowym bohaterem, gwiazdą. – Mieszanina ironii i pogardy.

– Ta sprawa zaszła dalej niż wszystkie uzgodnienia, musimy potem porozmawiać. – To był tylko drobny gest buntu, maksimum, na które pozwalał mu strach.

– Oczywiście. Nasz przyjaciel będzie w apartamencie numer dwadzieścia siedem. Niech pan uważa i nie zabrudzi sobie butów.

Ostatnie szyderstwo z jego wystawionej na szwank nieskazitelności. Tego dnia nie ośmielił się pójść do komunii.

Przyjechali punktualnie o dziesiątej. Piccolo postanowił wziąć ze sobą, by mieć ją pod kontrolą, wciąż miała skłonność do przesadnego reagowania. Trzech Romów dowieźli im z więzienia do aresztu Regina Coeli koło Zatybrza.

Zostawili broń i telefony przy wejściu. Zaprowadzono ich do pomieszczenia, w którym czekała na nich cała trójka z tłumaczem i adwokatem. Choć mieli od osiemnastu do dwudziestu lat, wyglądali na znacznie starszych, niż zapamiętał ich Balistreri.

Piccolo zaczęła od początku. Kiedy przyjechali do Włoch? Co robili? Drobne prace, kradzieże? Jak się poznali? Odpowiadali monosylabami. Niespecjalnie ich obchodziło,

czego od nich chcą. Kiedy doszli do nocy morderstwa, pytania Piccolo stały się bardziej szczegółowe. Do którego z nich podszedł czwarty mężczyzna? Jak wyglądał? Średniego wzrostu, długie, proste czarne włosy, okulary w metalowych oprawkach. Gdzie był, kiedy pili whisky otrzymaną od niego? Może w barze, może na zewnątrz. To on ich zachęcił do wyjścia? Tak. A kokaina? Tak, była jego. Samantha. Kto im poddał pomysł? On. Kto ją zaatakował pierwszy? On. Potem zaciągnęli ją na tamto wysypisko. On miał więcej kokainy i whisky. Opowiadanie robiło się coraz bardziej zagmatwane. Kto ją zgwałcił pierwszy? Kto ostatni? A tamten gdzie był przez cały czas? Gdzieś obok. Słyszeli, jak kaszłał i palił.

– Stop – powiedział Balistreri.

Piccolo skinęła głową, ona też zrozumiała. Zapytała każdego jeszcze raz:

– Gdzie był, kiedy gwałciliście dziewczynę?

Jeden był nieco bystrzejszy.

– Stał z boku, nie widzieliśmy go, ale słyszeliśmy, jak pali i kaszle.

– Nigdy dotąd nie mówiliście o kaszlu – zauważyła Piccolo, sprawdzając protokół.

Chłopak wzruszył ramionami i powiedział po włosku:

– A co to kurwa ma do rzeczy?

Pokazali im najnowsze zdjęcie Hagiego zrekonstruowaną komputerowo, z długimi włosami i okularami.

– Nie – powiedział jeden.

– Nie wiem – drugi.

– Może – trzeci.

Potem pokazali fotografię Hagiego zrekonstruowaną komputerowo, z długimi włosami i okularami.

– Tak, to ten – powiedzieli.

– A kto z was rozmawiał z nim ostatni?

Nie pamiętali. W pewnym momencie mężczyzna znikł, jakby rozpułynał się w powietrzu. Potwierdzili swoją wersję. Samantha żyła, słyszeli jej jęk, kiedy odchodził stamtąd. Tym razem Balistreri nie miał wątpliwości: mówili prawdę, to Niewidzialny Człowiek ją zabił.

Ilekoć ginie telefon komórkowy w jakikolwiek sposób powiązany z działalnością przestępczą, operator sieci telefonicznej dostaje informację, że natychmiast ma zgłaszać policji ewentualne logowanie w sieci jego karty SIM. Wiadomość dotarła do Corvu punktualnie o dziesiątej, akurat kiedy Balistreri i Piccolo wchodzili do aresztu Regina Coeli. Karta SIM Seliny Belhrouz została aktywowana. Operator sieci był bardzo precyzyjny. Karta znajdowała się w Rzymie, gdzieś na terenie obozu Casilino.

Nie mogąc skontaktować się z Balistrerim i chcąc przestrzegać procedur, Corvu poinformował Pasqualego.

– Jedziemy natychmiast, bierzemy dwóch agentów. Bez syreny, nie możemy nikogo przestraszyć – powiedział natychmiast Pasquali.

– Pojadę ja i kilku agentów więcej – zaproponował Corvu. – To może być niebezpieczne, pan nie powinien...

– Sami go aresztujemy. Pan niech się ograniczy do postawienia po jednym samochodzie przy każdym wejściu, ale niech stoją dyskretnie. Widzimy się za pięć minut – uciał Pasquali.

Corvu włożył kamizelkę kuloodporną i szelki z kaburą z beretką. Zawiadomił dwóch agentów. Ze standardowego oddziału do zwyczajnego aresztowania. Ale nie było powiedziane, że aresztowanie będzie zwyczajne. Spróbował raz jeszcze zadzwonić do Balistreriego i Piccolo. Nic. Wysłał obojgu esemesa: *Zadzwońcie natychmiast*.

Pasquali zrobił pośpiesznie trzy rzeczy: włożył kamizelkę kuloodporną, przygotował beretkę i spojrzął na krucyfiks.

– Panie, przebac mi to, co zamierzam zrobić.

Corvu i Pasquali usiedli na tylnym siedzeniu samochodu za dwoma agentami w cywilu.

– No dobrze – powiedział Pasquali – operator sieci zawęził obszar do sześciu baraków. Wchodzimy spokojnie, jak na normalny obchód. W tych dniach często widzą policję, są przyzwyczajeni. Po naszym wejściu nikt nie może wyjść bez przeszukania i sprawdzenia tożsamości.

Corvu zaprotestował:

– *Dottor* Pasquali, myślę, że lepiej będzie zrobić przeszukanie we wzmocnionym składzie.

– Nie. Znajdziemy telefon w śmietniku i nigdy się nie dowiemy, z kim go połączyć. Ja chcę go złapać z tym telefonem w ręku.

– Może być niebezpieczny – zaproponował Corvu.

– Dlatego tu jesteśmy. I chcę być dobrze zrozumiany. Straciliśmy już trzech wartościowych policjantów, a *dottor* Balistreri cudem wyszedł z tego żywy. Jeśli zobaczycie nawet cień pistoletu, strzelajcie i nie czekajcie, aż ktoś to zrobi pierwszy.

Dwaj agenci wyraźnie bali się przeciwstawić Pasqualemu. Patrzyli na Corvu.

– *Dottore* – zaryzykował Corvu – procedura zakłada, że przed strzałem...

Pasquali zgromił go spojrzeniem.

– *Dottor* Corvu, nie pozwolę już więcej, żeby jakiś bandyta strzelał do policjanta. Odpowiedzialność biorę na siebie i niech pan będzie spokojny, nie zabraknie politycznego wsparcia, jeśli otworzy pan ogień do uzbrojonego Rroma w obronie własnej.

Zbulwersowany Corvu opuścił głowę.

– Dobrze, od czego zaczynamy?

– Od przyczepy, która będzie najbliżej wejścia do obozu. Jeden z was puka. Jeśli otworzą, wchodzimy, legitymujemy, przeszukujemy. Dopóki nie znajdzie się telefon tej Belhrouz.

– A jeśli nikt nie otworzy?

– Wchodzimy i przeszukujemy tak samo.

Corvu zdrętwiał. Balistreri będzie wściekły jak dzikie zwierzę.

Vasile potwierdził, że mężczyzna, który do niego zadzwonił 23 grudnia, doskonale mówił po włosku.

– Z obcym akcentem? – zapytała Piccolo.

– Nie wiem, mnie się wydawał włoski.

Potwierdził wersję z zeznania.

– Pamiętasz, jaki miał głos?

– Chropawy. Dużo kaszłał.

Balistreri i Piccolo popatrzyli po sobie. Prokuratorowi to mogło nie wystarczyć. Same dowody pośrednie. Mnóstwo ludzi kaszle. Mnóstwo ludzi ma znajomych, którzy posiadają crossowe motocykle. Zamordowanych w Rumunii agentów bezpieczeństwa nie da się mu przypisać. Jego żona Alina miała wypadek na skuterze, gdy chciała od niego odejść, no i co z tego? Nie miał alibi? Miliony osób nie mają.

Piccolo zacisnęła usta.

– Ale my wiemy, że to był on.

Balistreri wstał. Czuł niepokój. Coś było nie tak. Nigdy nie lubił zbiegów okoliczności. A tu było ich naprawdę wiele. Za wiele.

Muszę powiedzieć Pasqualemu, jak zginął Colajacono. Natychmiast.

Weszli na teren obozu. Pałące słońce wysuszyło na kamień błoto powstałe po wczorajszej burzy. Wszędzie kręciło się dużo ludzi, przede wszystkim kobiet, starców i dzieci, które bawiły się, skacząc na stertę rozwalonych materacy. Rozgrzane w słońcu odpadki wydzielają straszliwy odór, z którym miesza się smród uryny z przenośnych kabin toaletowych. Grupy dzieciaków biegały wokół policjantów. Corvu przeszły ciarki, to było istne szaleństwo. Kabury pod marynarkami były rozpięte i widoczne dla każdego, kto znał się na rzeczy. Corvu widział, jak Pasquali poci się w swoim szarym prążkowanym garniturze i rozgląda wokół, jakby to on był obcokrajowcem.

Po raz ostatni spróbował dodzwonić się do Balistreriego. Wciąż nic, jeszcze byli w Regina Coeli.

Zapukali do drzwi baraku numer 28. Otworzyła bezzębna staruszka z dzieckiem na ręku. Mogła być równie dobrze jego babką, jak matką.

Weszli. W środku panowało gorąco i duszący fetor. Na palniku starej emaliowanej kuchenki gotowała się herbata. Poza kobietą i dzieckiem nie było nikogo.

– Corvu, niech pan tu przeszuka, nie widzę niebezpieczeństw. Ja idę do dwadzieścia siedem – polecił mu Pasquali.

– Ale *dottore*... – zaprotestował Corvu.

Pasquali był już na zewnątrz.

Corvu pomyślał, że Pasquali zawsze musi grać pierwsze skrzypce i dlatego sam chce dokonać aresztowania. Nakazał gestem obu agentom, by poszli z szefem.

– Ma pani tu telefon komórkowy? – zapytał staruszki, rozglądając się wokół. To było absurdałne pytanie, ale musiał je zadać.

Kobieta nie знаła włoskiego. Dziecko zaczęło płakać, kwaśny odór kupy rozszedł się po wnętrzu przyczepy.

Corvu poczuł odruch wymiotny i zbliżył się do okienka, by nabrać powietrza. Stamtąd zobaczył, jak jeden z agentów dobija się do przyczepy numer 27. Pasquali z drugim agentem stali metr dalej. Chwilę później drzwi się otworzyły. To była jeszcze jedna stara kobieta. Trójka małych dzieci skorzystała z otwartych drzwi, wybiegła z przyczepy i zaczęła się kręcić pod nogami policjantów.

Corvu z zaskoczeniem zobaczył, że za przyczepą stoi zaparkowany motocykl crossowy. I nie przejął się widokiem starca w czapce i okularach, który zbliżał się od tyłu do Pasqualego i agentów. A potem usłyszał kaszel.

Zaklął po sardyńsku i odwrócił się tak gwałtownie, że przewrócił kobietę z dzieckiem, którego kupa zleciała na podłogę. Parę sekund zajęło mu przeproszenie i pomaganie jej wstać. Wreszcie wyskoczył na zewnątrz z krzykiem i gotową do strzału berettą w rękę.

Pasquali odwrócił się, ale nie zdążył podnieść pistoletu, który trzymał w rękę. Zobaczył tylko ciemne okulary i krzywy uśmiech Mariusa Hagiego naciskającego spust. Nie miał nawet czasu, by poprosić Boga o przebaczenie grzechów, zanim pocisk rozsadził mu czaszkę. Hagi odrzucił broń daleko od siebie i podniósł ręce w górę. Agenci celowali do niego, drżąc ze strachu i wściekłości.

– Nie strzelać! – zawołał Corvu, biegnąc w ich stronę i trzymając na muszce Hagiego, który patrzył na niego spokojnie, z szyderczym uśmiechem.

– Wezwijcie ambulans i zamknijcie wszystkie wejścia! – rozpaczliwie krzyknął Corvu.

– Nie mam żadnych współników, sam poradziłem sobie z wami wszystkimi – powiedział spokojnie Hagi.

Corvu nie odważył się spojrzeć na zwłoki Pasqualego leżące na ziemi. Kazał zakuć w kajdanki Hagiego, który nie stawiał oporu. Wokół nich zebrał się tłum, inni policjanci biegli z wyciągniętą bronią.

Hagi z rozbawieniem obserwował całą scenę. Uśmiechnął się do Corvu.

– A gdzie pana szef, wielki zamiatacz rajskich ulic?

Po południu

Balistreri odmówił udziału w konferencji prasowej zwołanej na wczesne popołudnie. Razem z Corvu, Piccolo i Mastroiannim obejrzał ją w telewizji w swoim gabinecie. Najpierw zabrał głos minister spraw wewnętrznych. Krótkie słowa pochwały pracy policji i heroicznej ofiary, którą złożył *dottor* Antonio Pasquali, oddając życie, by uwolnić Włochów od zarzewia zła. Obiecał, że w ciągu kilku dni rząd podejmie drastyczne środki wobec wszystkich imigrantów spoza Unii Europejskiej i aby uniknąć przewlekania sprawy w parlamencie, zrobi to, ogłaszając dekret z mocą ustawy.

Na pytanie francuskiej dziennikarki o możliwe zastrzeżenia ze strony ONZ, Watykanu i organizacji humanitarnych, odpowiedział dwoma mało dyplomatycznymi zdaniem:

– Nie oczekujemy zastrzeżeń od nikogo. I nie będą one dobrze widziane.

Potem oddał głos kwestorowi, by zrekonstruował fakty. Floris zachowywał zimną krew, ale był widocznie poruszony. Pokrótce opowiedział o zamordowaniu czterech młodych kobiet, które połączyło wycięcie liter na ich zwłokach. Powiedział o Niewidzialnym Człowieku i przedstawił rekonstrukcję dowodów pośrednich wskazujących na Mariusa Hagiego. Przy którym na dodatek znaleziono telefon komórkowy Seliny Belhrouz. Przypomniał, że czterej Rumuni powiązani z Hagim zginęli w strzelaninie, w której stracili również życie trzej bohaterscy policjanci, a poważnie ranny został szef sekcji specjalnej Michele Balistreri.

Zakończył, mówiąc, że jest pewien, iż aresztowanie Mariusa Hagiego uwolniło miasto od koszmaru. I dodał, że wraz z ministrem spraw wewnętrznych wezwał burmistrza Rzymu na pilne spotkanie. Powiedział właśnie tak: „wezwał”, jakby chodziło o woźnego.

Rozszalała się burza, dziennikarze jeden przez drugiego wykrzykiwali pytania, ale nie było już więcej żadnych oświadczeń.

Corvu był załamany. Bezlitosne migawki telewizyjne pokazywały jego zszarzałą twarz, kiedy ciało Pasqualego wnoszono z Casilina 900, a Hagiego prowadzono do więźniarki, która miała go przetransportować do aresztu. Balistreri robił co mógł, by wysłać chłopaka do domu, ale nie potrafił go przekonać. Tłumaczył mu na wszystkie sposoby, że to nie była jego wina, że tylko nieostrożność Pasqualego i jego chęć występowania na pierwszym planie doprowadziły do tego, co się stało.

– Słuchaj, Corvu, nie ma mowy, byś uczestniczył w przesłuchaniu Hagiego. Jesteś jeszcze w szoku. Złożyłeś już zeznanie. A teraz weź sobie trzy dni wolnego i jedź na Ukrainę do Natalii.

Corvu potrząsnął głową.

– Nie, *dottore*, dziękuję bardzo – powiedział swoim najbardziej upartym tonem. Jednak Balistreri był nieugięty.

– Już ci zarezerwowałem miejsce w samolocie, lecisz dziś wieczorem. A Piccolo uprzedziła Natalię: dziewczyna na ciebie czeka. Mój brat za dwie godziny przyjedzie po ciebie i zawiezie cię na lotnisko.

Teraz muszę cię chronić, Graziano, bo na tym nie koniec. To dopiero początek.

Corvu podniósł głowę. Jego spojrzenie, zwykle poważne i spokojne, teraz było przybite.

– Dziękuję, *dottore* – powiedział, wstając. W ostatnim odruchu obowiązkowości dodał jeszcze: – Przekazałem Mastroianniemu listę alibi, które miałem zweryfikować. Ale to już chyba do niczego się nie przyda...

Piccolo i Mastroianni uściskali go, Balistreri otoczył ramieniem i odprowadził do wyjścia. Czuł, że chłopak drży jak liść.

Byli już na chodniku, kiedy Balistreri zapytał:

– Ile czasu miał Pasquali od chwili, gdy zobaczył Hagiego, do momentu, kiedy próbował strzelić?

– Mniej niż sekundę.

Mniej niż sekundę. A więc trzymał już broń w ręku.

W środku upalnego popołudnia Balistreri po raz drugi tego samego dnia wracał do więzienia Regina Coeli. Przeczuwając, co go czeka, nie zabrał ze sobą Piccolo.

Mecenas Morandi oczekiwał go przed pokojem przesłuchań. Patrzył w ziemię.

– Przykro mi z powodu Pasqualego.

Balistreri popatrzył na niego.

Jest ci przykro tylko z powodu twojej nadszarpniętej reputacji, obrzydliwy skurwysynu.

– To, co się stało, było zupełnie nie do przewidzenia – ciągnął Morandi – ale potwierdza to, co panu ostatnio mówiłem.

– Byłoby lepiej, gdybym został w Dubaju.

– Teraz ma pan winnego. Mój klient wyzna wszystko, bez przemilczeń.

– Doprawdy? Powie mi też, dlaczego zainscenizował kłótnię pod nocnym klubem i wypruł flaki z biednego Camarà?

Balistreri zobaczył, jak adwokat blednie pod opalenizną z solarium.

– Proszę się zadowolić oczywistą prawdą – powiedział lodowatym tonem Morandi.

Balistreri oparł się pokusie rozkwazzenia mu pyska. Odebrali mu śledztwo, a tym razem chciał je doprowadzić do samego końca. Pogratulował sobie samokontroli. Odwrócił się plecami do adwokata i wszedł do pomieszczenia. Morandi podążył za

nim.

Prokurator był już w środku. Zamienił dwa słowa z prawnikiem i zwrócił się do Balistreriego:

– Mecenas Morandi poinformował mnie z góry, że jego klient przyznaje się do wszystkich zabójstw, łącznie z zabójstwem Papy Camarà. Złoży także obszerne wyjaśnienia co do szczegółów.

Hagiego doprowadzono zakutego w kajdanki. Czarnymi oczami spokojnie spoglądał na Balistreriego. Bardzo schudł od ich pierwszego spotkania siedem miesięcy wcześniej. I kaszlał coraz silniej. Ale wzrok błyszczał mu jeszcze bardziej, jakby w kontraście z sinymi workami pod oczami. Teraz już całkiem przypominał demona.

Po wstępnych formalnościach prokurator pozwolił Balistreriemu rozpocząć przesłuchanie.

– Zacznijmy od początku, panie Hagi.

– Dobrze, zacznijmy od Samantha Rossi.

Balistreri pokręcił głową. To był moment na ostateczne i nieodwołalne obranie kierunku.

– Nie, panie Hagi. Początek jest w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku.

Hagi skinął głową, uśmiechając się.

– Elisa Sordi?

Powiedział to tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Wszyscy drgnęli. Prokurator, Morandi, strażnicy. Tylko Balistreri był nieporuszony.

Dostaniesz swój show, to, czego chciałeś. Żeby można było podejść krok bliżej do prawdy.

– Już wtedy bardzo mocno się pan zaangażował, prawda, *dottor* Balistreri? – Teraz szyderstwo było oczywiste.

– Proszę, by odpowiadał pan ściśle na pytania, panie Hagi, i darował sobie komentarze – powiedział prokurator szary na twarzy.

– Chwileczkę – zareagował Morandi, również poruszony – muszę najpierw pomówić z moim klientem. Nie rozumiem, co ma wspólnego Elisa Sordi z tą sprawą.

– Nie trzeba, mecenasie – uspokoił go łagodnie Hagi. – Pan ma tylko zadbać, by ci panowie nie przeinaczyli moich słów. Chcę, żeby wszystko było jak najbardziej jasne, a w tym pomieszczeniu znajdują się słynni partacze. Byli partaczami już dwadzieścia cztery lata temu.

– Kiedy pan poznał Elisę Sordi? – zapytał Balistreri, ignorując pogardliwy komentarz.

– Nie pamiętam dokładnie, jakoś niedługo przed początkiem lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego. Udałem się do kompleksu przy via della Camilluccia i tam natknąłem się na jednego z chłopaków, którego Alina mi przedstawiła. Elisa była z tym chłopakiem.

– Jak się nazywał?

Hagi wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, taki jakiś mydłek. Za to dziewczyna... mmm, to dopiero był łakomy kąsek.

Chce nas sprowokować, zachowaj spokój.

– Z jakiego powodu udał się pan na via della Camilluccia? – zapytał Balistreri.

– Za pośrednictwem Aliny dostałem małe zlecenie. Miałem zorganizować pewnej pani podróż do obozu w Auschwitz.

– Pamięta pan nazwisko?

– Pochodziła z zagranicy, z północnej Europy. A jej mąż był włoskim arystokratą o bardzo długim nazwisku.

– Dobrze. Wróćmy do tego później. Poznał pan Elisę Sordi. A potem?

– Co chce pan wiedzieć?

Balistreri zauważył, że prokurator i Morandi wiercą się na krzesłach i wymieniają nic nie rozumiejące spojrzenia.

– Co było później?

Hagi spojrzał na niego bezczelnie.

– Zorientował się pan, że ta rana na piersi to była litera O? Nie wtedy, wtedy był pan za młody. Ale teraz już pan wie?

Morandi o mało nie spadł z krzesła, prokurator zbladł i zerwał się raptownie na równe nogi.

– To była pana pierwsza litera? – zapytał beznamiętnie Balistreri.

– Obciążone kamieniami ciało zabrałem na środek rzeki w małej łodzi, pomyślałem, że i szczury chętnie jej skosztują.

Balistreri gestem nakazał prokuratorowi i strażnikom spokój. Gra Hagiego była jasna: chciał sprowadzić wszystkich do własnego poziomu.

– I dlaczego z taką troską ukrył pan to arcydzieło? – zapytał.

– Nie byłem pewny, czy nie zostały jakieś ślady organiczne albo linie papilarne na ciele. Dlatego pomyślałem o rzece.

Balistreri doszedł do najtrudniejszego momentu.

– Alina, pańska żona, odkryła wszystko?

– Już panu mówiłem, że nie zamierzam rozmawiać o mojej żonie. W każdym razie nigdy bym jej nie zrobił krzywdy.

– Pozwolę sobie w to wątpić, panie Hagi. Wiem, jaki koniec spotkał dwóch bandytów, którzy zabili w Rumunii pańskiego brata.

Hagi wzruszył ramionami.

– Mam gdzieś pańskie wątpliwości, Balistreri.

– Ile ich pan zamordował w ciągu tych dwudziestu czterech lat między śmiercią Elisy i Samantha?

– Żadnej – odpowiedział bez zastanowienia Hagi – i nie mam powodu, by kłamać. Śmierć Aliny zmieniła moje życie.

– Dlaczego więc zabił pan Samanthę w zeszłym roku?

– Bo w zeszłym roku zachorowałem. Rak płuc.

Prokurator spojrział na Balistreriego, który wykonał uspokajający gest i kontynuował:

– Znajdzie się sposób, by to potwierdzić. Wracając do sprawy, odkrywa pan, że jest chory, i tylko z tego powodu wraca do starego występku? Nie wierzę.

Hagi otarł chusteczką strużkę krwi płynącą z kącika ust.

– Jeśli chcecie, żebym dalej mówił, rozkujcie mnie. Chcę zapalić.

Prokurator spojrział na Balistreriego, który skinął głową. Jeden ze strażników zdjął Hagiemu kajdanki. Balistreri poczęstował go papierosem i podał mu ogień błękitną zapalniczką z logo Bella Blu. Po chwili Hagi mówił dalej.

– Alina poznała prawdę, była zbyt inteligentna. Pobiłem ją, bo chciała mnie zadenuncjować. Na jakiś czas się uspokoiła. Potem wtrąciła się Anna Rossi, zobaczyła u Aliny siniaki, zasugerowała jej, by ode mnie odeszła i przeprowadziła się do niej. Tamtego przekłętego wieczoru starałem się ją zatrzymać, ale Alina wsiadła na skuter i uciekła do tej dziwki.

Kolejny atak kaszlu, znów krew na chusteczce. Wściekłość i nienawiść deformowały mu twarz.

– Ja nie zapominam ani przysług, ani krzywd. To była czysta przyjemność, wydać jej córkę na pastwę tych trzech Romów. Ale największą przyjemność sprawia mi myśl o tej chwili, kiedy będziecie wyjaśniać Annie Rossi, że jej córka zginęła z pańskiej winy.

Balistreri pogratulował sobie, że nie wziął na przesłuchanie Giulii Piccolo. Nikt nie byłby jej w stanie powstrzymać przed zmasakrowaniem Hagięgo. Pomieszczenie było nasycone nienawiścią jak komora pełna toksycznego gazu. Morandi trzymał się za głowę i patrzył z niedowierzaniem, bledy jak ściana prokurator nie robił już nawet notatek. Strażnicy wyglądali tak, jakby byli gotowi rzucić się na Hagięgo i rozerwać go na strzępy.

– Dlaczego pan zabił Nadię? Co ona miała z tym wspólnego?

– Nadia była niemal idealną kopią Aliny. Chciałem się symbolicznie zemścić na niej za żonę, która zrujnowała mi życie, uciekając ode mnie i umierając w taki sposób.

Z góry przygotowana odpowiedź, zbyt naciągana. Widać, że nie chce o tym mówić.

– Żona zrujnowała panu życie, ponieważ odkryła, że jest pan mordercą, i zginęła, uciekając od pana. Czyja to wina, panie Hagi?

– Żona nie zdradza męża, trwa przy nim bez względu na okoliczności. To ludzie z parafii San Valente nastawili ją przeciwko mnie, jej wuj prałat, wasza pieprzona katolicka religia...

– Nie mógł pan zmienić celu? W przypadku Nadii ryzyko było ogromne po tym, jak Camarà zobaczył was w sali prywatnej klubu i jak ona zabrała stamtąd zapalniczkę, taką samą jak ta, którą panu przed chwilą zapaliłem papierosa.

W tym momencie Hagi się zawahał.

– Była idealnym sobowtórem, trudno by znaleźć drugą tak podobną. A co do tego głównianego czarnucha, to wyprucie mu flaków na chodniku było dziecinną igraszką.

– A Selina Belhrouz i Ornella Corona? Co one mają wspólnego z pańską zemstą?

Hagi długo kaszlał, wypluwając krew na chusteczkę.

– Nie podobały się panu litery? To V i takie ładne I?

O pewnych rzeczach nie chce mówić. Spróbujemy od innej strony.

– Panie Hagi, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku mamy pięć liter. W kolejności: O, R, E, V, I. Zechce pan wyjaśnić ich znaczenie?

– Raczej nie – odpowiedział Hagi, jakby chodziło o zabawę towarzyską – ale dam panu wskazówkę. Powinien pan wziąć pod uwagę również moją żonę Alinę, zabitą, jak pan twierdzi, przez moje niegodziwości.

– A jaka to będzie litera?

– Po prostu jej inicjał, A.

– A więc O, A, R, E, V, I. No dobrze, co to znaczy?

Hagi popatrzył na niego. Wzrokiem godnym Lucyfera.

– Widzę, że nic z tego, co mówię, nie zaskakuje pana. W takim razie zadbam o to, by dostarczyć panu coś nowego, nad czym będzie pan musiał pogłótkować.

Balistreri już wcześniej zrozumiał, co Hagi zamierza powiedzieć. W tej krótkiej chwili poczuł pewność, że nie ma przed sobą zwykłego seryjnego zabójcy, ale że chodzi o bezlitosną machinację, której początku ani końca wciąż jeszcze nie znali.

– Niech pan poczeka na kolejną literę, Balistreri.

Fiorella Romani, lat dwadzieścia trzy, wnuczka Giny Giansanti, dawnej dozorczyńni posesji przy via della Camilluccia, świeżo po studiach i dopiero co przyjęta do pracy w banku, jak co dzień o godzinie siódmej trzydzieści wyszła ze swego domu na przedmieściu, by złapać metro i dojechać na czas do pracy. Jednak do biura już nie dojechała. Kiedy nie wróciła do domu o szóstej wieczorem, jej matka, Franca, kilkakrotnie próbowała się do niej dodzwonić, ale telefon komórkowy córki był wyłączony. Po obdzwonieniu wszystkich znajomych zdecydowała się zawiadomić policję.

– Upłynęło sporo czasu – stwierdził Mastroianni na początku zebrania w gabinecie Balistreriego – więc całkiem możliwe, że Hagi porwał ją o siódmej trzydzieści, kiedy tylko wyszła z domu, i od razu wykończył, pogrzebał w jakimś lasku albo wrzucił do rzeki czy studni, a potem pojechał do Casilina, żeby zabić Pasqualego.

Balistreri słuchał w milczeniu, paląc i przeglądając raport Mastroianniego z przeszukania w mieszkaniu Hagiego. Znaleźli elementy przebrania Niewidzialnego Człowieka: peruki, okulary, czapki z daszkiem.

– A, i mam tu jeszcze pracę, którą wykonał Corvu – dodał Mastroianni.

Weryfikacja wszystkich alibi, o którą Balistreri go prosił.

Żeby uniknąć kłopotów, nie przesłuchali w sprawie zeszłorocznych morderstw ani hrabiego, ani jego syna, ani kardynała Alessandrinięgo. Corvu ograniczył się do bardzo dokładnego sprawdzenia oficjalnych wydarzeń.

Dzienniki wydawane w Nairobi publikowały fotografie z inauguracji nowego szpitalnego pawilonu w dniu 25 grudnia rano w obecności Manfrediego, hrabiego Tommasa, kolegów Manfrediego i władz miasta. Corvu sprawdził także, że jedyny samolot, z którego mógł skorzystać Manfredi, by wczesnym rankiem dostać się do Nairobi, wylatywał z Zurychu o północy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego grudnia, zaś ostatni samolot z Rzymu do Zurychu wylatywał dwudziestego czwartego o osiemnastej, czyli zanim jeszcze Nadia wsiadła do starej alfy. Ani na listach pasażerów, ani w biurze paszportowym nie było śladu wskazującego na obecność Manfrediego w Rzymie. Wobec tego kiedy zamordowano Nadię, Manfredi był w Nairobi. Jednak w przypadku morderstw Samantha, Seliny i Ornelii ani hrabia, ani Manfredi nie mieli pewnego alibi.

Również obecność kardynała w Watykanie przez całe popołudnie i wieczór 24 grudnia była udokumentowana, jednak nie dało się z absolutną pewnością ustalić, czy w tym czasie nie opuszczał jego terytorium. W dniu śmierci Samantha Rossi duchowny był w Madrycie, ale godzina jego powrotu nie była znana. Tego wieczoru, kiedy straciła życie Ornella Corona, był sam w swoim mieszkaniu.

Ajello, Paul i Valerio zostali przesłuchani. Okazali więcej niepokoju i zaskoczenia niż gniewu. Paul i Valerio 24 grudnia byli razem w sierocińcu na kolacji wigilijnej z dziećmi, można było ustalić, co robili przynajmniej od godziny dwudziestej. Ajello tego wieczoru, kiedy została zamordowana Samantha, na pewno był na otwarciu klubu w Mediolanie, miał na to wielu świadków. Absurdalny zbieg okoliczności sprawił, że kiedy została zamordowana Ornella Corona, wszyscy trzej przebywali w Ostii. Ajello uprawiał z nią seks, Paul zabrał dzieci nad morze i został na noc razem z nimi, Valerio samotnie pływał na żaglówce i nikt nie wiedział, o której godzinie dobił do brzegu. Jeśli chodzi o sprawę Elisy Sordi, nikt po tylu latach nie był w stanie potwierdzić alibi Ajella.

Rezultat był jasny: jedynie Hagi nigdy nie miał alibi. Sam zresztą przyznawał się do popełnienia wszystkich morderstw.

Balistreri czuł się wyczerpany. Widział wokół siebie spojrzenia kolegów oscylujące między współczuciem, pogardą i szyderstwem.

Przed zapadnięciem zmroku zadzwonił do niego kwestor.

– Balistreri, to jest katastrofa, poczynając od ofiar i ich rodzin, a kończąc na medialnym rozgłosie i konsekwencjach politycznych.

– Panie kwestorze, mamy do czynienia z czymś bardzo złożonym i precyzyjnie zaplanowanym.

– A więc nie wierzy pan, by Marius Hagi sam to wszystko zorganizował.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. To może być dopiero początek.

– Początek? – wybuchnął zdesperowany Floris. – Pięć kobiet zamordowanych w barbarzyński sposób, w tym pierwsza dwadzieścia cztery lata temu. Potem Camarà, Colajacono, Tatò, Coppola, pan ciężko ranny, a teraz Fiorella Romani i Pasquali! Co to znaczy, że to może być dopiero początek? Ma wybuchnąć trzecia wojna światowa?

Balistreri nie miał nic, czym mógłby go uspokoić. Na dodatek fakt, że Pasquali miał już broń w ręku, kiedy agenci pukali do drzwi przyczepy, uwierał go jak cierni.

Był zbyt mądry, żeby iść samemu do Casilina 900 i zamknąć sprawę z pistoletem w ręku. Chyba że ktoś go zastraszył.

– Muszę ponownie porozmawiać z Hagim – powiedział Balistreri.

– I czego się pan spodziewa po tym potworze?

– On ma swój plan. Jeśli chcemy uratować Fiorellę Romani, musimy się na niego zgodzić.

– Zgodzić? Co to ma znaczyć? – zapytał poirytowany Floris.

– Fiorella Romani już nie żyje albo umrze wkrótce. Jeśli Hagi gdzieś ją ukrył, a my jej nie znajdziemy, umrze w męczarniach. Jeśli jednak...

– Jeśli jednak?

– Jeśli jednak chce, żebyśmy ją znaleźli, będzie z nami prowadził grę.

– Ale o czym pan mówi? – zapytał kwestor całkiem już zdesperowany.

– Ta sprawa jest naprawdę bardzo skomplikowana – odparł Balistreri.

Floris ciężko westchnął zupełnie wyczerpany. Był człowiekiem statecznym, wrażliwym na ludzką niedolę, szanowanym. A teraz nie miał żadnego punktu odniesienia, był jak przykuty łańcuchem do kwestorskiego stołka, który ktoś ustawił na ruchomych piaskach.

Wieczorem

Było już zupełnie ciemno, kiedy Balistreri po raz trzeci tego dnia wracał do więzienia Regina Coeli. Obraz Angela z Lindą nie przestawał go dręczyć. Odrzucał go z wściekłością, próbując skoncentrować się na Hagim i Fiorelli Romani. Ale tamten obraz prowadził go w sam środek jego koszmarów, do Afryki, do lata 1970 roku.

Corvu zadzwonił do niego z Kijowa, pytając, jak się mają sprawy. Balistreri powiedział mu, że Hagi przyznał się do wszystkiego, nawet do zamordowania Elisy

i wycięcia litery O na jej ciele. Potem powiedział o porwaniu Fiorelli Romani.

– Wobec tego jutro wracam, *dottore*. Natalia cieszy się, że tu jestem, ale ja już nie wytrzymam.

– Dobrze, Corvu. W takim razie jeszcze dziś poproszę kwestora, żeby w trybie natychmiastowym przeniósł cię w piękne góry twojej Sardynii do liczenia miejscowych kóz. Wtedy się uspokoisz. – I rozłączył się.

Wszedł do pomieszczenia razem z prokuratorem i Morandim, który czuł się w obowiązku wymamrotać coś jeszcze, co Balistreri całkowicie zignorował.

Po kilku godzinach przerwy Hagi wyglądał na wypoczętego. Pilnujący go przez cały czas strażnicy powiedzieli, że coś zjadł i nawet się przespał. Ale badania lekarskie, które odbyły się zaraz po pierwszym przesłuchaniu, potwierdziły, że cierpi na zaawansowany nowotwór płuc. Lekarze byli pewni, że nie zostało mu wiele czasu.

– Jest pan zmęczony, Balistreri. Ma pan coraz większe i coraz ciemniejsze worki pod oczami. Jak tak dalej pójdzie, umrze pan na zawał wcześniej niż ja na raka – powiedział radośnie Hagi.

– Niech się pan mną zbytnio nie przejmuje. Chodzi mi o Fiorellę Romani. Żyje? Hagi zdawał się dokładnie rozważać pytanie.

– Myślę, że tak. Oczywiście to zależy od jej odporności.

Prokurator nie wytrzymał:

– Niech pan się cieszy, że jest w cywilizowanym kraju, tu nikt nie może tak torturować jak siepacze Ceaușescu pańskiego brata. Gdyby to ode mnie zależało, nie wahałbym się ich naśladować, gdybym miał dzięki temu odnaleźć dziewczynę.

Hagi spojrzał na niego z politowaniem.

– Nie byłby pan zdolny wyrwać mi włos z głowy, nawet gdybyśmy przebywali na odludnej wyspie bez żadnego prawa. Jesteście takimi samymi niedołęgami jak w ostatnich latach imperium rzymskiego. Z czasem ci, których wy nazywacie barbarzyńcami, zgwałcą wasze kobiety, zabiorą wam domy i cały kraj, a wy będziecie na to bezradnie patrzeć.

Włączył się nawet Morandi:

– Panie Hagi, zaklinam pana, niech pan uratuje Fiorellę Romani, sąd weźmie to pod uwagę.

Hagi się roześmiał.

– Umrę, zanim zdążę zobaczyć sędziego. Ale jestem gotowy uratować Fiorellę Romani. Pod pewnymi warunkami.

Balistreri pochylił się w stronę Hagięgo.

– Co pan chce w zamian?

– Tylko prawdy, Balistreri. To byłoby proste, gdyby tylko nie był pan takim niedołągą.

Prokurator i Morandi popatrzyli po sobie, nie rozumiejąc.

Ale Balistreri był na to przygotowany, wiedział, o jaką prawdę chodzi.

O tę, której nie odnalazłem. O tę, której przez te wszystkie lata nie szukałem. Sądziłem, że uda mi się odpokutować, jeśli odmówię sobie prawdziwego życia.

– To oznacza rozmowę z babką Fiorelli Romani i wznowienie śledztwa w sprawie śmierci Elisy Sordi, a w tym czasie Fiorella może umrzeć – powiedział. Prokurator i Morandi patrzyli na niego takim wzrokiem, jakby mówił po chińsku.

– Damy radę utrzymać ją przy życiu jeszcze przez jakiś czas. Ale radzę panu pospieszyć się tym razem. Fiorella nie przeżyje następnych dwudziestu czterech lat.

Wtrącił się prokurator:

– Nie rozumiem, już pan się przyznał, że zabił Elisę Sordi. O jakiej prawdzie mówimy?

Hagi spojrział na nich wszystkich z pogardą i nienawiścią.

– Nigdy nie powiedziałem, że ją zabiłem. Powiedziałem tylko, że wrzuciłem jej ciało do Tybru. Jesteście stadem nieudaczników, tak samo jak Balistreri, zamiatacz rajskich ulic. Chcę prawdy, tylko ona może uratować Fiorellę Romani.

Kwestor wraz z prokuratorem zgodzili się, by śledztwo zostało wznowione. I że należy przesłuchać Ginę Giansanti, obecnie osiemdziesięcioletnią staruszkę. Jej córka Franca, matka Fiorelli, poinformowała ich, że babka porwanej jest chora i od ponad dwudziestu lat mieszka w Apulii, na przedmieściach rodzinnego Lecce. Wojskowy samolot miał czekać na Balistreriego i matkę Fiorelli następnego ranka.

Była już prawie północ, kiedy Balistreri wyszedł z więzienia Regina Coeli. Wypalił co najmniej trzydzieści papierosów i wypił dziesięć albo więcej filiżanek kawy. Fizycznie i psychicznie był zdruzgotany. Ignorowanie obelg i zachowań Hagiego było przeraźliwie trudne, nerwy miał napięte do granic, myśli dzikie i niekontrolowane.

Pewnie teraz ją całuje na tarasie, tam gdzie ja się zawahałem. A potem zabierze ją do łóżka...

Droga z Regina Coeli do domu prowadziła przez chaos zatybrzańskich uliczek, tym większy, że była piątkowa noc. Trąbiące samochody, głośnie muzyka, lody, młodzież z butelkami piwa kręcąca się między samochodami. Mimo to nic nie słyszał, nie dostrzegał, jakby szedł w tunelu z jednym jedynym możliwym wyjściem.

A gdyby coś wyciął na ciele innej dziewczyny? Tak brzmiało pytanie Lindy Nardi, kiedy po raz pierwszy poszli razem na kolację, 30 grudnia 2005 roku. Czas najwyższy się dowiedzieć, skąd jej to przyszło do głowy.

Nie myl śledztwa z własną wściekłością. Zatrzymaj się natychmiast, Michele. Póki jeszcze możesz.

Lecz nogi już same go niosły w kierunku jej domu. Dobrze po północy stanął pod bramą. Spojrział w górę i zobaczył słabe światło w jej oknach. Wciąż jeszcze miał

klucze. Ciężko dysząc, wspiał się po schodach.

Tylko drzwi Lindy były na ostatnim piętrze. Zamek błyszczał w półmroku, ewidentnie wprawiono nowy. Zadzwoił do drzwi. Usłyszał zbliżające się kroki. Miał pokusę, by uciec, ale stał przygwożdżony pod drzwiami jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym.

– Kto tam? – rozległ się głos Lindy.

– To ja.

Chwila milczenia, potem Linda uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

W jej spojrzeniu nie było zaskoczenia. Był smutek.

– Czego chcesz, Michele?

– Musimy porozmawiać. Teraz.

Zobaczył od razu pionową bruzdę, która przeorała jej czoło. Mogłaby powiedzieć: „Nie, nigdy”. Albo: „Nie teraz, porozmawiamy jutro”. Ale to nie było w stylu Lindy Nardi.

Może wygonić cię ze swojego życia, ale nie sprzed swoich drzwi.

Kiedy zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi, Angelo Dioguardi stał na środku niewielkiego salonu ledwie oświetlonego lampą stołową. Miał bardziej niż zwykle zmierzwione włosy, zmęczone oczy, głębsze zmarszczki.

– On musi wyjść – powiedział Balistreri do Lindy.

Nie czekając na jej odpowiedź, Angelo przeszedł obok nich w stronę drzwi. Gdy się mijali, Balistreri poczuł, że Angelo się waha, jakby chciał coś powiedzieć, podjąc ostatnią próbę wyjaśnienia. Ale to tylko ich myśli się skrzyżowały. Angelo wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Linda patrzyła na niego z założonymi rękami. Nie była gniewna.

– Słucham cię, Michele.

Była taka piękna. Nigdy jeszcze nie widział jej tak pociągającej. Bluzka zapięta niemal pod samą szyję, kryjąca ten biust, który tyle razy sobie wyobrażał, ale dopiero teraz pragnął go pieścić i całować. Spodnie miała jak zwykle luźne, lecz właśnie dlatego tym bardziej intrygujące, chciałby zagłębić w nich ręce. Sięgnąć tam, gdzie zapewne przed chwilą były ręce Angela.

Stłumione przez ostatnie miesiące pożądanie wybuchło nagle z całą swą brutalną siłą, tak wielką, że niemal się zachwiał. Poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Powinien był ją przytulić. Powinien był powiedzieć, że jej nie rozumie, ale jej ufa. Powinien był jej obiecać, że zrobi dla niej wszystko, dosłownie wszystko, nawet jeśli nie będzie rozumiał. Powinien był. Ale nie chciał, już nie. Teraz Linda Nardi była jedynie kobietą, której pragnął, kobietą z krwi i kości. Kobietą, która go rzuciła i wpadła w ramiona jego najlepszego przyjaciela.

Z zaskoczeniem usłyszał swój własny chropawy głos:

– Kto ci powiedział o nacięciu na ciele Samantha Rossi?

W jej oczach był smutek. Linda była smutna z jego powodu, a to było już dla niego nie do zniesienia.

– Ty mi powiedziałaś, Michele, swoją reakcją tamtego wieczoru w restauracji.

Do pożądania dołączyła frustracja, do frustracji wściekłość rozchodząca się po całym jego ciele jak heroina, która weszła w krwiobiegu.

– Gówno prawda, ktoś ci musiał powiedzieć, wiedziałaś już wcześniej.

– Miałam wątpliwości, ale twoja reakcja tamtego wieczoru dała mi pewność – powiedziała zupełnie spokojnie.

– Nie wierzę ci. Zresztą... – Zawahał się na moment przed dokończeniem zdania, które na zawsze spali między nimi wszystkie mosty. Po raz pierwszy od lat wezbrała w nim niepohamowana wściekłość, ta sama, którą czuł młody Michele Balistreri, kiedy coś nie szło tak, jak oczekiwał. Ta sama, którą próbował pogrzebać na dnie Morza Śródziemnego latem 1970 roku.

Linda próbowała go teraz zatrzymać:

– Angelo nie ma z tym zupełnie nic wspólnego.

– Doprawdy? Jeśli ktoś kłamie w jednej rzeczy, może kłamać w każdej. Robiłaś mi tu za pielęgniarkę, żeby być pewna, że wyzdrowieję i od nowa zacznę polować na Niewidzialnego Człowieka? Chciałaś mieć materiał na wyłączność, kiedy go znajdę? – Słyszał, jak jego głos podnosi się coraz bardziej.

– Michele, to cię niszczy. Wyjdź z tej klatki teraz albo już nigdy ci się nie uda.

– Powinienem być cię zerznąć jak pierwszą lepszą sukę. Nie tak jak w tych twoich pierdołach o świętej Agnieszce.

Teraz patrzyła na niego inaczej. Miała w oczach żal. I pożegnanie.

– Tak, Michele, powinieneś być to zrobić. Może wtedy byś nareszcie zrozumiał, o co tu chodzi.

Słowa, spokój, z jakim zostały wypowiedziane, jej oczy błyszczące w półmroku. Wszystko to sprawiło, że nagle cofnął się w czasie o trzydzieści sześć lat i znalazł się dokładnie w tym momencie swojego życia, którego żaden wyrzut sumienia nie przemienił dotąd w skruchę.

Uderzenie posłało Lindę na ścianę. Jedną ręką zablokował jej oba nadgarstki, drugą pociągnął za włosy, zmuszając ją, by na niego spojrzała. Pocałował ją gwałtownie, próbując wcisnąć język do ust. Nie skarżyła się ani nie opierała. Była bezwładna, bezbronna.

Rozwścieczyła go ostatecznie ta jej pasywność, brak najmniejszej choćby próby obrony. Zerwał z niej bluzkę i biustonosz i zaciągnął ją na sofę. Nie opierała się, zakryła jedynie piersi skrzyżowanymi ramionami, kiedy ściągał z niej buty i spodnie. Potem wszedł na nią, sapiąc z pożądania i wściekłości.

– Pieprzyłaś się już dziś?

Odwróciła spojrzenie, by nie patrzeć mu w oczy, a on rozerwał jej majtki. Musiał

się podnieść, by rozpiąć spodnie. Był gotowy. Ale w tej krótkiej chwili rozdzielania ciał, w mdłym świetle i w całkowitej ciszy przerywanej tylko jego ciężkim oddechem, Balistreri zobaczył postać półnagiej kobiety, porozrywane ubrania, pierś zasłoniętą ramionami, odkryty srom. Mogła być Elisą, Samanthą, Nadią, Ornellą, Aliną albo świętą Agnieszką. Mogła być tamtą kobietą, o której nigdy nie zapomniał, kobietą z sierpniowej nocy w 1970 roku.

I tak jak Linda przepowiedziała, dostrzegł pierwszą iskierkę prawdy. To było tylko odczucie, nie prawdziwa myśl. Z niedowierzaniem i przerażeniem cofnął się o krok i zatoczył. Zrzucił ze stołu lampę, która spadła na podłogę i potłukła się, pogrążając mieszkanie w całkowitej ciemności. A on wykorzystał tę ciemność, by uciec w noc.

Sobota, 22 lipca 2006

Przed południem

Balistreri pojawił się na lotnisku po kolejnej nieprzespanej nocy z brodą w nieładzie, w brudnym, wygniecionym ubraniu. Śmierdział papierosami i alkoholem. Nie potrafił rozróżnić, czy ta mieszanina podniecenia i wyczerpania, którą odczuwa, jest efektem odstawienia antydepresantów, czy też skutkiem następujących po sobie szybko wydarzeń.

Chuj mnie to teraz obchodzi. Dotrę do samego dna tej sprawy, nieważne jak głęboko się ono znajduje.

Ostatni raz widział Francę Giansanti dwadzieścia cztery lata wcześniej, tego przekłętą poranka, kiedy Ulla rzuciła się z tarasu, a dozorczyńni wróciła z Indii wraz ze swoją częścią prawdy. Kobieta była nieco zakłopotana, widząc go w tak opłakanym stanie, ale nie dała tego po sobie poznać.

W czasie lotu Franca płakała i opowiadała o Fiorelli. Kiedy mąż Franki zmarł na raka, Fiorella miała trzynaście lat. Kardynał Alessandrini znalazł jej miejsce w szkole z internatem, gdzie miała dobre warunki do nauki. Po maturze pojechała do Mediolanu i ukończyła studia na tamtejszym uniwersytecie katolickim. Od niedawna pracowała w jednym z banków w Rzymie.

Myśli Balistreriego krążyły od Lindy Nardi do Fiorelli Romani, zamkniętej bez jedzenia i wody w jakiejś opuszczonej szopie, gdzie ktoś ją kiedyś znajdzie zmarłą z głodu.

Gdy wylądowali, czekał już na nich samochód z dwoma agentami. Przejechali przez wspaniałe barokowe centrum Lecce, rozgrzane już porannym słońcem. Na obwodnicy natknęli się na sobotni korek i Balistreri nakazał włączyć syrenę.

– Moja matka choruje na serce. Nie powiedzieliśmy jej, co się stało z Fiorellą.

Doskonale pamiętał oschłą dozorczynię, jej religijność i niechęć do zwierzeń. Zapowiadało się niełatwe spotkanie.

– To może się okazać konieczne, żeby ją przekonać do mówienia, pani Franco.

Zatrzymali się przed szeregowcem stojącym przy spokojnej podmiejskiej ulicy. Franca zadzwoniła do bramki, Gina wyszła otworzyć. Jej surowa, zamknięta twarz była pomarszczona ze starości. Doły pod oczami, drżenie rąk i spuchnięte kostki wskazywały wyraźnie na zły stan jej zdrowia.

Mieszkanie było pełne krucyfiksów i fotografii ojca Pio, papieża i kardynała Alessandrini, nie licząc mnóstwa zdjęć córki i wnuczki. Wspomnień z życia, które

zbliżało się do kresu.

– Po samobójstwie matki Elisy nie dziwię się, że mnie pan odwiedza – przywitała go Gina Giansanti. – Przyjechał mnie pan aresztować?

– Rzeczywiście jestem tu, żeby porozmawiać o Elisie Sordi, ale nie przyjechałem po panią. Choć istotnie, mam pewne wątpliwości, czy dwadzieścia cztery lata temu nie zapomniała nam pani czegoś powiedzieć.

– I wątpliwość tego rodzaju przychodzi panu do głowy po tak długim czasie? – odparła pani Gina z niezmienną po tylu latach hardością.

Wtrąciła się Franca:

– Mamo, widziałas w telewizji tego Rumuna, który zabił wysokiego rangą policjanta i wszystkie te kobiety?

– Pewnie. Mówili, że to bydlę przyznało się też do zabicia Elisy Sordi.

– Nie, mamo. On mówi, że zabił je wszystkie, ale nie Elisę Sordi.

Twarz Giny Giansanti całkowicie ukryła się w zmarszczkach.

– To o co chodzi z tym Cyganem?

– Był tam – odpowiedział Balistreri. – Pracował dla hrabiego dei Banchi di Aglieno.

– Hrabia... – mruknęła Gina z taką samą jak dawniej niechęcią. – Tylko on mógł dać pracę takiej bestii.

– To nie wina hrabiego, on nie wiedział, jakim człowiekiem jest Hagi. Ale proszę, niech pani się postara sobie przypomnieć, czy jest coś, czego nam pani wtedy nie powiedziała.

– Nie – odparła zdecydowanie Gina – nie ma absolutnie nic, czego bym wam nie powiedziała.

Balistreri spojrzał na Francę Giansanti. Kobieta gryzła wargi.

– Mamo, to bardzo ważne. Chcę, żebyś mi przysięgła na życie Fiorelli, że niczego nie ukrywasz przed panem Balistrerim.

Gina Giansanti oburzyła się na córkę.

– Jak śmiesz żądać ode mnie przysięgania na życie Fiorelli? – wysyczała z całym oburzeniem i władczością matek z południa.

– Bo jeśli kłamiesz, Fiorella umrze – odparła Franca.

Balistreri zobaczył, jak blady cień śmierci pokrywa i przemienia postać Giny. Nie było granic bólu, który Marius Hagi potrafił zadawać swoim ofiarom, nawet siedząc w więzieniu i używając Balistreriego jako narzędzia.

– Nie rozumiem – wyjąkała. Nagle przeobraziła się w starą, drżącą, cierpiącą na serce kobietę.

Franca nie potrafiła już powstrzymać łez.

– Ten człowiek porwał Fiorellę i gdzieś ukrył. I powiedział, że pozwoli jej umrzeć, jeśli nie powiesz prawdy.

Gina Giansanti się zachwiała.

– Boże mój, Panie mój, zmiłuj się nade mną. – Objęła córkę, płacząc w milczeniu.

Balistreri widział łzy dwóch drobnych kobiet złączonych w uścisku, ich złamane bólem ciała, kościste ręce matki obejmujące mocno ramiona córki. Przypomniawszy sobie, że już raz je tak widział, w tamten deszczowy świt przed bramą posesji przy via della Camilluccia. I stanął mu przed oczami obraz kardynała Alessandriniego ściskającego rękę Giny Giansanti.

Przypomniawszy sobie wyraźnie dźwięk filiżanki wypuszczonej z rąk przez komisarza Teodoriego i rozpadającej się w kawałki na podłodze. Kres rojeń o wszechmocy Michele Balistreriego. Początek powolnego pożegnania z życiem.

Elisa Sordi wychodziła, kiedy ja wsiadałam do taksówki o ósmej wieczorem.

Złorzeczył samemu sobie, że jej uwierzył. Że nie chciał myśleć, że nie zareagował: ani wtedy, ani przez te dwadzieścia cztery lata. Że zabrakło mu odwagi, by iść za swoim instynktem i przekonaniem, że nie zwrócił uwagi na chrześcijańskie przekonanie, iż wiara idzie przed moralnością, że zlekceważył słowa kardynała Alessandriniego o wyższości sprawiedliwości boskiej nad ziemską.

Ile razy od tamtego dnia Gina Giansanti musiała wspominać swoje kłamstwo, zanim zaczęła przeklinać samą siebie za to, że je powiedziała? Jak wielki dług spłaciła tym kłamstwem, którego dziś nie mogła już dłużej podtrzymać?

Balistreri wiedział, że ma bardzo mało czasu.

– Pani Gino, zrozumiałem. Ale musi mi pani powiedzieć, kiedy naprawdę widziała pani Elisę Sordi po raz ostatni.

Gina Giansanti spojrzała na niego z bólem malującym się na twarzy.

– Elisa zadzwoniła do mnie krótko przed piątą, zanim przyjechał pan z Angelem Dioguardim. Poszłam do niej, by wziąć pracę, którą wykonała, i zanieść ją kardynałowi. Była zadowolona, że już skończyła. Wtedy ostatni raz ją widziałam. Biedna dziewczyna...

Franca Giansanti w osłupieniu patrzyła na matkę. Balistreri nie pytał o nic więcej, w tym momencie nie miał na to czasu.

– Muszę natychmiast wracać – powiedział.

Staruszka objęła go i na chwilę położyła mu głowę na piersi.

– Bardzo pana proszę, niech pan uratuje moją wnuczkę.

W samochodzie Balistreri spojrzał na ślady łez, które Gina Giansanti zostawiła na jego marynarce. Wilgotne strużki spłynęły z kołnierza wprost do serca, przynosząc ze sobą złe wspomnienia.

Dwadzieścia cztery lata wcześniej na posesji przypominającej rajski ogród grupa osób, które pozostawały poza wszelkim podejrzeniem, kłamstwami i przemilczeniami, wprowadziła w błąd niedoświadczonych, nieuwważnych policyjnych śledczych.

Balistreri pomyślał o biednym Teodorim i niechlubnym końcu jego kariery,

o wszystkich, którzy stracili życie za sprawą także tego nieszczęsnego kłamstwa. Prawda, której wszyscy szukali, została pogrzebana na dwadzieścia cztery lata przez jedno kłamstwo.

Wszyscy razem, przesłuchujący i przesłuchiwni, przyczynili się do tego, że straszliwa zbrodnia pozostała bez kary, i wprawili w ruch piekielny mechanizm, którego ofiar nie skończyli jeszcze liczyć.

Po południu

W drodze powrotnej ponownie studiował dokumenty ze sprawy Elisy Sordi. Fałszywe zeznanie Giny Giansanti wywróciło do góry nogami całe śledztwo, zdjęło podejrzenie z Manfrediego i pozostałych potencjalnych winnych powiązanych z posesją przy via della Camilluccia. Ponieważ Gina Giansanti mówiąc, że widziała Elisę wychodzącą z pracy o dwudziestej, zapewniła alibi wszystkim. Mundialowy finał zaczynał się o dwudziestej trzydzięci, potem było ogólne świętowanie i każdy miał jakiegoś znajomego gotowego zaświadczyć, że absolutnie nic nie łączyło go ze sprawą.

Ale teraz wszystko wróciło do punktu wyjścia, do karty zegarowej podbitej przez Elisę o osiemnastej trzydzięci. A między osiemnastą trzydzięci a dwudziestą porządnego alibi nie miał nikt. A już na pewno nie Valerio, Manfredi ani Paul. Hrabia pojechał do ministra spraw wewnętrznych i należało zrekonstruować szczegóły jego wizyty. Kardynał Alessandrini pojechał do Watykanu, co będzie raczej trudne do sprawdzenia. I byli jeszcze inni ludzie, których należało dołączyć: Hagi, Colajacono, Ajello. Kto u diabła po tylu latach będzie pamiętał, gdzie byli 11 lipca 1982 roku?

Samolot wylądował w Rzymie wczesnym popołudniem. Balistreri przejechał taksówką przez nagrzane miasto, opuszczone przez mieszkańców i pełne turystów. Na murach znów pojawiło się mnóstwo napisów przeciwko imigrantom. Na skrzyżowaniach widział, jak niewysocy Pakistańczycy, zajmujący się zwyczajowo czyszczeniem szyb samochodowych, z widoczną obawą zbliżają się do kierowców. Przejeżdżając obok dworca Termini, uświadomił sobie, że zniknęły wszystkie stragany z podróbkami znanych marek odzieżowych, przy których zwykle stali Afrykańczycy. I nigdzie nie było nawet śladu Rumuna. Ulotnili się wszyscy.

Kiedy dotarł do biura, Piccolo i Mastroianni już na niego czekali. Nie skomentowali jego koszmarne wyglądu. Klimatyzacja była włączona, rolety opuszczone. Balistreri od razu zauważył zmiany na tablicy, odpowiedzi zapisano drukowanymi literami.

Co znaczy R? Co znaczy E? I co dalej? A WCZEŚNIEJ? PO V JEST I. PRZED O JEST A.

Dlaczego Colajacono chciał zastąpić Marchese i Cutugna? Dlaczego wiedział, że Ramona może przyjść do komisariatu w sprawie Nadii?

I skąd to wiedział? Powiedział mu Mircea.

Dlaczego Colajacono padał ze zmęczenia już 24 grudnia rano? BO POPRZEDNIĄ NOC SPĘDZIŁ W BELLA BLU.

Dlaczego wysłano Ramonę do wiceburmistrza Augusta De Rossiego? By móc go zaszantażować i wymusić zmianę decyzji w głosowaniu.

Kto go szantażował? Mircea i Colajacono. I HAGI.

W czym imieniu i dlaczego? TYCH SAMYCH CO W DUBAJU.

Czy w sprawie Samantha istnieje Niewidzialny Człowiek? I kim on jest? Istnieje, I JEST TO MARIUS HAGI.

Czy to ten sam, który zatelefonował do Vasilego w sprawie wypożyczenia jego starej alfy? TAK.

Kiedy stłukł się reflektor w starej alfie? TO NIE MA ZNACZENIA.

Gdzie był Hagi 24 grudnia między godz. 18 a 19, kiedy ktoś zabierał Nadię z ulicy? A po 21? NAJPIERW POJECHAŁ ZABRAĆ NADIĘ, POTEM JĄ ZABIŁ.

To samo pytanie w odniesieniu do Colajacona i Ajella. NIE WIADOMO, ALE TO NIE MA ZNACZENIA.

Gdzie był Hagi tej nocy, kiedy zginął Coppola i pozostali? JESZCZE NIE WIADOMO.

To samo pytanie w odniesieniu do Ajella. NIE WIADOMO, ALE TO NIE MA ZNACZENIA.

Czy Mircea i Greg byli winni morderstwa w Rumunii? Kim były ofiary? TO DAWNI AGENCI BEZPIEKI, KTÓRZY ZAMORDOWALI BRATA HAGIEGO.

W jakich okolicznościach zginęła Alina Hagi w styczniu 1983 roku? UCIEKAŁA OD MARIUSA HAGIEGO.

Dlaczego Colajacono chciał, by właśnie Tatò mu towarzyszył, choć ten powinien być u siostry? TAK MU PORADZONO, TO BYŁA PUŁAPKA, ŻEBY NIE MIAŁ DOBREGO ALIBI.

Dlaczego stara alfa zwolniła, gdy kierowca zobaczył Natalię? HAGI WZIAŁ JĄ ZA NADIĘ.

Jakie relacje łączyły Ornellę Coronę z Ajellem i jego synem przed śmiercią jej męża? JUŻ WTEDY ICH ZNAŁA.

Kto jej zasugerował wykupienie ubezpieczenia na życie męża? AJELLO.

Jak naprawdę zginął Sandro Corona? W WYPADKU, MOŻE PODOBNYM DO TEGO W DUBAJU.

Dlaczego zginął Camarà? Bo 23 grudnia widział Nadię w czyimś towarzystwie w sali prywatnej.

Kto jest właścicielem ENT? CI SAMI CO W DUBAJU, SZANTAŻOWALI WICEBURMISTRZA DE ROSSIEGO.

GDZIE BYŁ HAGI, KIEDY ZGINĘŁA ORNELLA CORONA? BYŁ U NIEJ, ŻEBY JĄ ZABIĆ.

GDZIE BYŁ AJELLO, KIEDY ZGINĘŁA ORNELLA CORONA? BYŁ U NIEJ NIEWIELE WCZEŚNIEJ.

CO ZNACZĄ LITERY R, E, V, I, O, A?

JAKA BĘDZIE NASTĘPNA?

CO ŁĄCZY HAGIEGO, BELLA BLU, DUBAJ, WICEBURMISTRZA DE ROSSIEGO ITD.?

CZY FIORELLA ŻYJE? I GDZIE SIĘ ZNAJDUJE?

Charakter pisma należał do Piccolo, ale Balistreri rozpoznał sposób myślenia

Corvu.

– Skąd dzwonił? – zapytał prosto z mostu podwładną.

– Wrócił i zamknął się w domu. Mówi, że skoro pan go nie chce widzieć, bierze urlop i zamierza spędzić go w Rzymie.

Balistreri postanowił zignorować pełen dezaprobaty ton głosu Piccolo. Seria nieszczęść zadzierzgnęła nierozzerwalną więź solidarności między jego dwojgiem zastępców.

– Niech pani mu powie, żeby tu natychmiast przyjechał. Brakuje najważniejszych pytań.

Piccolo uśmiechnęła się i wysłała natychmiast esemesa. Balistreri odniósł wrażenie, że był już wcześniej napisany. Potem podszedł do tablicy i dodał kolejne pytania:

DLACZEGO WŁAŚNIE NADIA?

DO KOGO NALEŻAŁ GŁOS, KTÓRY USŁYSZAŁY PRZEZ TELEFON ORNELLA I SELINA?

CZY HAGI PRZEPROWADZIŁ WSZYSTKO SAM?

Corvu zjawił się po kwadransie ze spuszczoną głową.

– Co powiedziała Natalia? – zapytał go Balistreri.

– Że powinienem wrócić, zamknąć tę sprawę i wtedy przyjechać na Ukrainę. O ile nie wyśle mnie pan do liczenia kóz.

– Nawet one by z tobą nie wytrzymały.

Kiedy Corvu wpatrywał się w świeżo dopisane pytania na tablicy, Balistreri opowiedział o tym, co usłyszał od Giny Giansanti.

– A więc to pewne, że istnieje jakiś związek z Elisą Sordi? – zapytała Piccolo.

– Tak, wszystko zaczyna się tam, u Aliny Hagi i w parafii San Valente. Hagi chce prawdy. Dlaczego?

– Żeby zemścić się na kimś, kto go zniszczył. Widzieliśmy, jaki jest okrutny i mściwy. Czekał całe lata na zabójców swego brata – zasugerował Corvu.

– Hagi odegrał jakąś rolę w śmierci Elisy – wyjaśnił Balistreri – i Alina się o tym dowiedziała, od Ulli, jak sądzę. Wtedy następuje między nimi kryzys, ona od niego ucieka i ginie w wypadku.

– A Hagi w swojej chorej głowie obwinia o wszystko mordercę Elisy – dodała Piccolo – jakby to on zabił Alinę.

– Właśnie – ciągnął Balistreri. – Ale gdyby znał tożsamość mordercy, zemściłby się sam, nie brak mu środków i wyobraźni. Wiedział za to, że Gina Giansanti kłamała, i z zemsty wybrał jej wnuczkę na ostatnią ofiarę. Pytanie tylko, czy wiedział to już wtedy, w osiemdziesiątym drugim, czy też dowiedział się później?

– Ale skąd miał się dowiedzieć? – zapytał Mastroianni.

Balistreri się zastanowił. Odpowiedź była oczywista.

Hagi wiedział, że Elisa była martwa już tamtego wieczoru o ósmej.

Corvu zaczął liczyć.

– Teraz już wiemy, że Elisa wyszła o osiemnastej trzydzieści, jak wskazywała jej karta zegarowa. I że nikt nie ma niepodważalnego alibi. W półtorej godziny ktoś znajomy mógł zwabić ją pod byle pretekstem w odosobnione miejsce, zaatakować, torturować i zabić. A potem obciążyć kamieniami, wrzucić do Tybru i wrócić w sam raz na mecz.

Balistreri słuchał uważnie. Corvu kontynuował:

– Potem mamy litery. – Nieomal słyszeli, jak pracuje jego analityczny umysł. – Myślałem o tym przez kilka ostatnich godzin. Hagi podkreślał, że powinniśmy wziąć pod uwagę także A, inicjał imienia jego żony, którą zaliczył do ofiar. I powiedział, że brakuje jeszcze jednej litery. I teraz: jeśli przez chwilę założymy, że to nie jest mylenie śladów...

– Ale tylko przez chwilę – rzuciła mało przekonana Piccolo.

– Dobrze, Corvu. Zakładamy, że jest, jak mówisz. Powiedzmy, że w tych literach ukryte jest przesłanie. Jakie? – zapytał Balistreri.

– Jakie według was może być najbardziej banalne znaczenie ciągu liter? – zapytał Corvu.

Mastroianni powiedział ze śmiechem:

– Imię mordercy, jak w kryminale.

Balistreri zauważył, że Corvu się nie śmieje.

Piccolo zaoponowała:

– Nie rozumiem, Graziano. Przecież wiemy, kto jest mordercą, to Hagi.

– Ale nie jest mordercą Elisy Sordi. Doskonale zna szczegóły zbrodni, mówi jednak, że to nie on. I nie widzę powodu, dla którego miałby kłamać, jedno morderstwo więcej w jego przypadku niewiele zmienia. Poza tym ten człowiek umiera.

– Dobrze, Corvu, idź dalej – zgodził się Balistreri.

– Hagi powiedział, że brakuje ostatniej litery, tej, która zostanie wycięta na ciele Fiorelli Romani. Ja myślę, że to będzie L.

Balistreri patrzył na niego, intensywnie myśląc.

Zbyt proste. Albo zbyt skomplikowane.

– A co u diabła miałyby znaczyć OAREVIL? – zapytał Mastroianni.

– Chwileczkę – wtrącił Balistreri. – Dlaczego Hagi w ogóle miałby robić coś takiego?

– Żeby zasugerować nam rozwiązanie. Bo wie, kim jest morderca, i chce, byśmy znaleźli dowody i przyskrzynili go, zanim on zdechnie na raka.

– Ale Corvu, gdyby on wiedział, kto to jest, już sam by go zdążył wykończyć – zaoponował Mastroianni.

Psychologiczne podejście Piccolo kazało jej znowu zaoponować:

– Chyba że Hagi woli, by przez resztę życia gnił w więzieniu. Zemsta gorsza od kuli.

Hagi cierpiał całe życie z powodu śmierci Aliny. Oko za oko.

Balistreri podjął decyzję.

– Uprzedźcie prokuratora i sędziego śledczego. Dziś jest sobota, Bona będzie na swojej łodzi w Ostii. Jedźcie po niego, zobaczmy, czy masz rację. Ale najpierw zorganizuj mi jeszcze jedno spotkanie z kardynałem Alessandriniem.

Około czwartej po południu zadzwonił do kwestora, by poinformować go o swoich zamiarach.

– Ależ Balistreri, kardynał Alessandrini nie zgodzi się na przesłuchanie. A umowy między Italią a Watykanem są jasne, nie możemy go do niczego zmusić.

– Niech mi pan pozwoli to załatwić samemu, to będzie nieformalne spotkanie, nie wierzę, by odmówił.

– Ale naprawdę istnieje jakiś związek?

– Tak. Wszystko zaczyna się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Według Hagiego człowiek, który zabił Elisę Sordi, stał się również przyczyną jego kryzysu w małżeństwie z Aliną. Oczywiście może w ten sposób wrabiać jakiegoś Bogu ducha winnego biedaka, ale to ryzyko musimy podjąć.

– Te litery zaczynają się w osiemdziesiątym drugim roku wraz z Elisą Sordi. Trochę za wcześnie – zaproponował Floris.

– Panie kwestorze, absolutnym priorytetem nie jest wykrycie mordercy Elisy Sordi. Na to czekaliśmy wiele lat. Teraz musimy uratować Fiorellę Romani, jeśli żyje. Elisa Sordi jest kluczem do tego, by Hagi powiedział nam, gdzie jest Fiorella.

– Pogrzeb Pasqualego odbędzie się w poniedziałek po południu, za czterdzieści osiem godzin. Rząd i władze miasta boją się, że jeśli do tego czasu nie rozwiążemy sprawy, prasa nas zniszczy. Mnie to nie obchodzi, ale bardzo mi zależy na odnalezieniu tej dziewczyny.

Linda patrzyła na kopułę Świętego Piotra oświetloną popołudniowym słońcem. Tyle było rzeczy, o których mogła mu powiedzieć. Ale zasadniczo żadna z nich niczego by nie zmieniła. On nie był tym, kogo potrzebowała. Kiedyś tak. Ale teraz już nie.

Teraz potrzebowała kogoś, kto potrafiłby zagrać za wszystko w jednym jedynym rozdaniu. I tym mężczyzną był ktoś inny.

O godzinie piątej tego skwarne popołudnia Balistreri dotarł na plac Świętego Piotra pełen księży, zakonnic i turystów. Kapelan kardynała poinformował go, że Alessandrini przyjmie go w swoim prywatnym gabinecie. Tym razem same znajomości Corvu nie wystarczyłyby do otwarcia przed Balistrerim watykańskich bram, jednak porwanie

Fiorelli Romani wyrwało je z zawiasów.

Podążył za kapelanem cichymi, szerokimi korytarzami wykładanymi marmurem, z religijnymi freskami na ścianach. Zastał Alessandrinię w szarych spodniach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami, siedzącego za biurkiem, na którym wznosiły się sterty papierów. Tym razem przyjął go bez uśmiechu i przeszedł od razu do rzeczy.

– *Dottor* Balistreri, obawiam się, że miał pan rację co do Hagiego. Wydawało mi się, że jego kodeks moralny nie przewiduje zabijania kobiet. Najwyraźniej popełniłem błąd.

Balistreri nie skomentował. Nie miał ani czasu, ani cierpliwości na bezużyteczne dywagacje. Wybrał już drogę prowadzącą do prawdy, mozolną, ale konieczną.

– Eminencjo, jestem tu z dwóch powodów. Jeden jest zawodowy, drugi osobisty, choć oba są ściśle połączone. Chciałbym zacząć od osobistego.

Alessandrini jak zawsze zrozumiał w lot.

– A dlaczego chce się pan wypowiedzieć właśnie u mnie, *dottor* Balistreri?

– Nikt nie oceni lepiej, czy moja skrucha jest wystarczająca. Jest też drugi osobisty motyw, o którym wolałbym porozmawiać podczas spowiedzi.

Alessandrini zdjął z wieszaka kardynalską sutannę i zarzucił ją na siebie.

– Chodźmy do wewnętrznej kaplicy. O tej porze nikogo w niej nie ma.

Balistreri podążył za Alessandriniem krótkim korytarzem. Kaplica była bardzo mała. Panował w niej przyjemny chłód i półmrok, pachniała kadzidłem. Kilka prostych kłęczników, ołtarz, konfesjonał. Alessandrini wszedł i zamknął drzwiczki, Balistreri uklęknął przy kratce, przez którą widział tylko kontur twarzy kardynała.

– Mów, słucham.

Dobiegający z mroku konfesjonału głos kardynała brzmiał inaczej. Był jakiś bliższy, ale też w pewnym sensie bardziej odległy.

– Ostatni raz spowiadałem się ponad czterdzieści lat temu, w gimnazjum, kiedy księża chcieli, żebym został ministrantem.

– Pan nie nakłada terminów ważności, nie przejmuj się tym.

– Przez te czterdzieści lat popełniłem mnóstwo grzechów. Ale niektóre są gorsze od innych.

– Nie musisz opowiadać wszystkich. Wystarczą te, przez które cierpisz najbardziej, te, których ciężar czujesz do dziś.

Balistreri zaczął opowiadać to, czego nigdy dotąd nikomu nie mówił, choć przed samym sobą powtarzał niezliczoną ilość razy.

– Jako dziecko mieszkałem w Libii, w Trypolisie. Miałem przyjaciela, bardzo bliskiego przyjaciela. I dziewczynę, którą kochałem.

Po raz pierwszy opowiadał komuś tę historię, która naznaczyła całe jego życie. A mówiąc to, przechodził na nowy, głębszy poziom zrozumienia. Jego wina była bardzo ciężka, ale jeszcze cięższy był sposób ekspiacji, jaki wybrał: stopniowe

odmawianie sobie życia narzucone sobie niczym miliony *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*.

Alessandrini wysłuchał całej historii w zupełnym milczeniu, bez słowa komentarza.

– A teraz, eminencjo, wiedząc to wszystko, rozgrzeszyłby mnie ksiądz?

Znał odpowiedź, zanim jeszcze ją usłyszał.

– Żałujesz, synu?

Surowe katolickie wychowanie. Silny, zaborczy ojciec. Nastolatek niezdolny stać się tym, kim ojciec chciał go widzieć, młody człowiek, który by uciec od tej porażki, wymyślił sobie przeciwstawny ideał ukształtowany na wzór filmowych bohaterów swojej młodości. Honor, odwaga, lojalność.

– Eminencjo, nieustanna skrucha, pragnienie zbawienia i przebaczenia nie przydały mi się na nic, chyba tylko na to, by umrzeć jeszcze przed śmiercią.

Głos Alessandriniego był podobny do szeptu:

– Synu, jeśli chcesz przebaczenia od Boga, musisz przestać osądzać religię i pozwolić, by to Bóg cię osądził.

W gruncie rzeczy to właśnie chciał usłyszeć. Z tego miejsca wyrastał jego młodzieńczy bunt. I do tego miejsca wracał, do jedyne go prawdziwego źródła niezgody między nim a jego bratem Albertem, która ciągnęła się przez lata. Do jedynej rzeczy, o którą kłócili się na poważnie i o której z czasem zapomniał.

Nietzsche. Mama. „Nie ich miłość dla ludzi, lecz bezsilność ich miłości do ludzi przeszkadza dzisiejszym chrześcijanom, nas – spalić”.

Balistreri już wstał z klęczek.

– Eminencjo, jeśli jest jakaś kara do wycierpienia, zniosę ją tu, na tej ziemi, jakiegokolwiek natury ona będzie. Ale nie będzie o niej decydował ani Bóg, ani ksiądz.

Alessandrini westchnął i wyszedł z konfesjonału. Stanęli naprzeciwko siebie. Teraz byli przeciwnikami, nareszcie równymi sobie.

– Jest jeszcze jedna sprawa, eminencjo. Zawodowa.

Po chwili milczenia Alessandrini westchnął po raz drugi.

– Chce pan mówić o Elisie Sordi, *dottor* Balistreri?

– Tak, eminencjo. O tamtym wieczorze w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, kiedy chciałem w spokoju obejrzeć mecz piłki nożnej.

– Był pan młody, Balistreri. Dziś nie popełniłby pan tamtych błędów.

– Nie o tych błędach myślałem. Przez wszystkie te lata mówiłem sobie, że niemożliwe było znalezienie mordercy w świętującym zwycięstwo tłumie. W ten sposób starałem się zagłuszyć wyrzuty sumienia. Powoli pochowałem Elisę Sordi w ciemnym zakątku pamięci.

– A teraz już tak nie jest?

– Eminencjo, jak ksiądz wie, Marius Hagi przed swoim aresztowaniem zdążył jeszcze porwać Fiorellę Romani. Dziś rano byłem w Lecce i rozmawiałem z panią Giną.

Milczenie, które teraz zapadło, trwało znacznie dłużej. Balistreri uświadomił sobie, że wreszcie udaje mu się kontrolować gniew, który czuje wobec Alessandrini, i przetwarzać go na pozytywną energię. Bez wątpienia kardynał uczynił dobro wielu ludziom. I zło nielicznym. Z jakiegokolwiek powodu dwadzieścia cztery lata wcześniej poprosił Ginę Giansanti, by skłamała, pozostawało faktem, że to kłamstwo było nie do przyjęcia i stało się przyczyną śmierci następnych osób. Żadna ziemka sprawiedliwość by go nie uniewinniła. I żaden Bóg. Ale teraz ta myśl nie miała znaczenia. Potrzebna była prawda. Ta, której żądał Hagi, by ułaskawić Fiorellę Romani.

Kardynał poszedł do jednego z klęczników. Balistreri pozwolił mu modlić się bez przeszkód. Był nieco odurzony zapachem kadzidła, wycieńczony z bezsenności i napięcia, stłamszony zdradą Lindy i Angela i przepełniony obrzydzeniem do siebie za to, co zrobił poprzedniego wieczoru. Ale właśnie to pasmo szaleństw przywróciło go do życia, zmobilizowało do szukania prawdy, jakakolwiek ona się okaże.

Po paru minutach kardynał zaprosił go gestem do siebie. Balistreri ukląkł obok niego.

– Gina Giansanti nie jest temu winna. To ja poprosiłem ją, by powiedziała, że Elisa Sordi tamtego wieczoru wyszła o ósmej. Wiedziałem, jak się z nią skontaktować w Indiach, poinstruowałem ją, co ma powiedzieć. Nie chciała ratować Manfrediego, ale przysięgłem jej, że to nie on zamordował Elisę. Zrobiłem to także dla Ulli, święć, Panie, nad jej duszą. Niestety, Gina wróciła do Rzymu zbyt późno, by uratować tę nieszczęśliwą kobietę.

– Wszystko to już wiem, eminencjo, ale zastanawiają mnie powody.

Alessandrini wyraźnie cierpiał.

– Aby uratować niewinnego, Balistreri. W swojej pysze uzurpowałem sobie prawo do naprawienia błędów, które sprawiedliwość ziemka zamierzała popełnić. Manfredi był niewinny. Wiedziałem to wtedy i wiem to nadal z absolutną pewnością.

– Więc powinien to ksiądz powiedzieć policji. Tu jesteśmy na ziemi, w niezawisłym świeckim państwie. Winien ksiądz dostarczyć nam dowody, które posiadał, zamiast zniekształcać rzeczywistość.

– Nie mogłem, byłem związany tajemnicą spowiedzi. To, co wiedziałem, nie mogło być ujawnione.

– Tu chodziło o morderstwo popełnione we Włoszech, nie w Watykanie, eminencjo. Mógłbym kazać księdza aresztować.

Obaj wiedzieli, że nie mogli. Nawet gdyby Alessandrini wyznał, że osobiście zamordował Elisę i wszystkie pozostałe dziewczyny. Ale duchowny miał ważniejszy od niepotrzebnych gróźb Balistreriego powód, by mówić: życie Fiorelli Romani.

– Między osiemnastą czterdzieści pięć a dziewiętnastą czterdzieści pięć Manfredi nie był na siłowni, ale też nie zamordował Elisy Sordi. Nie mogłem wam tego jednak

powiedzieć i postanowiłem ratować go przed niesłusznym oskarżeniem za pomocą kłamstwa Giny Giansanti.

– Eminencjo, musi mi ksiądz podać przyczyny swej pewności. Już wcześniej wiele ksiądz zrobił dla Fiorelli Romani, jeśli chce ksiądz ją teraz uratować, muszę znać prawdę. Tę prawdziwą.

Również Alessandrini żył ze swoimi demonami przez te dwadzieścia cztery lata. A teraz jako chrześcijanin i jako człowiek musiałby żyć z jeszcze gorszymi upiorami, gdyby także Fiorella Romani zginęła. Podjął jedyną możliwą decyzję.

– Ulla była bardzo religijna, ale to raniło zasady hrabiego. W tajemnicy przed nim spowiadała się u mnie niemal codziennie.

– Także po śmierci Elisy?

Alessandrini przytaknął.

– Tamtego dnia po południu, jeszcze zanim rozpoczął się mecz, zdarzyło się coś straszliwego. Hrabia był wtedy na zebraniu partyjnym. Po obiedzie Ulla poszła się położyć. Była bardzo pobudzona, dlatego wzięła tabletkę nasenną i głęboko zasnęła. Około piątej obudził ją głośny hałas dochodzący z pokoju Manfrediego. Słyszała przeraźliwy lament, jakby konało jakieś zwierzę. Weszła bez pukania. Manfredi był cały we krwi, która płynęła z cienkich ran na jego ciele. Wtedy pojawił się hrabia i kazał Ulli wyjść, ale ona została pod drzwiami i podsłuchiwała.

– I co usłyszała?

Alessandrini zignorował pytanie.

– Po dwudziestu minutach hrabia ją zawołał. Dał Manfrediemu silny środek uspokajający i opatrzył go. Rany okazały się powierzchowne. Zabronił Ulli mówić, co się stało, inaczej zaciąży to nieodwołalnie na przyszłości Manfrediego. Potem wyszli razem, on do ministra, ona na zakupy, Manfredi na motocykl. Hrabia kazał mu jechać na siłownię, tak jak zwykle.

Balistreri próbował uporządkować myśli, które kłębiły mu się w głowie.

– Kiedy Ulla powiedziała eminencji o tym wszystkim?

– Tego samego popołudnia, przed finałowym meczem. Kiedy hrabia zmieniał ubranie przed wizytą u ministra, Ulli udało się przekonać Manfrediego, żeby zamiast na siłownię pojechał z nią do mnie, do Watykanu. Ulla zatelefonowała do mnie z prośbą o spotkanie, kiedy pan, Balistreri, był w moim mieszkaniu, a Angelo Dioguardi stał na tarasie i przeglądał efekty pracy Elisy Sordi.

Balistreri przypomniał sobie tamten telefon. I pośpiech kardynała chwilę później.

– Ulla przyjechała do księdza z Manfredim do Watykanu?

– Tak, w tajemnicy przed hrabią, bo on zabronił Ulli wciągać Manfrediego w cokolwiek, co miało związek z Kościołem katolickim. Niedługo po szóstej przyjechali na motocyklu Manfrediego, ja czekałem na nich przed bocznym wejściem do Watykanu. Poszliśmy do mojego prywatnego gabinetu.

– O czym rozmawialiście?

– Manfredi się wyświadał, po raz pierwszy w życiu. Biedny chłopak, był zdruzgotany.

– Zdruzgotany z jakiego powodu, eminencjo?

– To była spowiedź, *dottor* Balistreri. Tak samo jak pańska chwilę temu. Nikomu nigdy nie wyjawię jej treści. Ale i mnie zależy na życiu Fiorelli Romani, więc przysięgam panu na Dziewicę Maryję, że Manfredi był ze mną od osiemnastej trzydzięci do dziewiętnastej trzydzięci, a więc nie mógł zabić Elisy Sordi.

– Ależ to absurdalne! Dlaczego Ulla nie powiedziała prawdy, by go uniewinnić? – zaoponował Balistreri.

– Nie zna pan dobrze hrabiego Tommasa dei Banchi di Aglieno. Ulla bała się mu powiedzieć, że zabrała Manfrediego do spowiedzi. Gdyby to zrobiła, zniszczyłaby swoje małżeństwo, a także więź ojca z synem. Kiedy z nią rozmawiałem, zaklinała mnie, bym milczał, związała mnie na zawsze tajemnicą spowiedzi. Poprosiłem więc Ginę Giansanti, by skłamała.

Balistreri wiedział, że tłumaczenie jest sensowne, ale tamto kłamstwo miało poważne konsekwencje. Alessandrini nie mógł udawać, że ich nie widzi.

– Są jeszcze inne osoby, które skorzystały na kłamstwie Giny Giansanti, eminencjo.

– Wiem. I dlatego mówiłem o pysze. Bo uznałem, że uratowanie niewinnego będzie ważniejsze od ukarania winnego. W rzeczywistości myślałem, że policja wyłuska prawdziwego mordercę z tłumu ludzi na zewnątrz.

– I nie sądzi ksiądz kardynał, że mordercą może być ktoś znacznie bliżej, ktoś, komu Gina Giansanti również zapewniła decydujące alibi?

– Nie – odparł sucho Alessandrini – zupełnie w to nie wierzę. Valerio Bona nie zrobiłby nic takiego. A Paul jest poza podejrzeniem, był w San Valente i nie ruszał się stamtąd.

– Zdaje mi się, że równie dobrze może się eminencja mylić.

– Mogłem się mylić co do Hagiego. Ale nie co do Valeria Bony i Paula.

Balistreri postanowił nic nie mówić o mającym za chwilę nastąpić przesłuchaniu Valeria Bony.

– Jest jeszcze hrabia – powiedział natomiast.

– Oczywiście – powiedział Alessandrini. – Jestem jeszcze ja, *dottor* Balistreri. Jednak teraz proszę mi wybaczyć, muszę się zająć żywymi.

Kardynał wstał, przeżegnał się i wyszedł. Rozmowa była skończona.

Balistreri wrócił do biura autobusem, wmieszany w tłum spalonych słońcem turystów w szortach i rzymian, którzy wychodzili na ulice dopiero teraz, gdy minął najgorszy skwar.

Kiedy dojechał na miejsce, Valerio Bona czekał już na niego w pokoju przesłuchań. Balistreri chciał, żeby poczuł presję. Valerio był dawnym przyjacielem Elisy i nie miał alibi. A litery wyryte na ciałach dziewczyn składały się w jego imię.

W towarzystwie Valeria zjawiała się młoda prawniczka, która razem z nim chodziła na żagle. Prokurator uznał, że skoro śledztwo w sprawie Elisy Sordi wiąże się ze śledztwem głównym, to i on je poprowadzi. Balistreri usiadł naprzeciwko Valeria, Piccolo i Corvu mając po bokach.

– Czy możemy poznać powody zatrzymania mojego klienta? – zwróciła się do prokuratora prawniczka.

– Wznowiliśmy śledztwo w sprawie śmierci Elisy Sordi, ponieważ pojawiły się nowe elementy. *Dottor* Balistreri przesłucha pani klienta, potem zdecydujemy, czy są podstawy, by go zatrzymać.

Valerio spojrzał na niego zaskoczony.

– A więc wznowił pan śledztwo! Kiedy ostatnio się widzieliśmy...

– Nowe informacje pojawiły się w ostatnich kilku godzinach. Niektóre dotyczą bezpośrednio pana. Musimy zrekonstruować wydarzenia z popołudnia jedenastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

– Ale dlaczego? Czemu to ma służyć? – zaproponowała prawniczka. – Marius Hagi przyznał się do winy.

Balistreri dobrze pamiętał Valeria Bonę. Brak pewności siebie. Niepokój. Niewielka odporność na stres.

– Hagi nie zamordował Elisy Sordi – stwierdził sucho Balistreri.

Zobaczył, jak Valerio blednie i zaczyna męczyć złoty krzyżyk, który jak zwykle miał na szyi.

– Najważniejsza z nowych informacji – kontynuował Balistreri – jest taka, że Elisa Sordi mogła zostać zamordowana w każdej chwili, począwszy od osiemnastej trzydziści. O tej godzinie wyszła z pracy. Nie o dwudziestej.

To, co w tej krótkiej chwili wyczytał z twarzy Valeria Bony, było pełnym niedowierzania zdumieniem kogoś, kto po dwudziestu czterech latach słyszy, że ma zapłacić rachunek. Ale było tam coś więcej niż tylko strach. Również odrobina ulgi. To połączenie zaskoczyło Balistreriego.

– Rozumiem, że w tej chwili nie planujecie wyjawic, na czym opiera się to nowe przekonanie – wtrąciła prawniczka.

– W rzeczy samej – odparł sucho Balistreri. – A więc, panie Bona, zacznijmy od końca. Gdzie pan był tamtego dnia po godzinie osiemnastej trzydziści?

– Pan to wie, już wtedy mówiłem. Zobaczyłem Elisę zaraz po obiedzie niedaleko bramy posesji przy via della Camilluccia. Potem pojechałem na skuterze do parku Villa Pamphili. Usiadłem pod drzewem i zacząłem się uczyć do egzaminu. Około ósmej trzydziści wróciłem do domu, by obejrzeć z rodziną mecz. Później poszedłem spać.

Przyjaciele rodziny poświadczyli to już wtedy.

– Wiem. Świątował pan z przyjaciółmi wszystkie inne zwycięstwa reprezentacji. Ale po tym najważniejszym poszedł pan spać.

– Jak już wtedy powiedziałem, byłem przejęty egzaminem, chciałem się wyspać.

– I z powodu tego egzaminu, do którego pan ostatecznie nie podszedł, postanowił pan nie iść na świętowanie zwycięstwa Italii. Nie wierzę panu. Widziałem na pańskiej łodzi zdjęcie tegorocznej reprezentacji mundialowej. Myślę, że był pan wstrząśnięty, panie Bona. Z powodu tego, co się stało tamtego popołudnia.

Valerio Bona już cały drżał.

– Nie, tamtego dnia już z nią nie rozmawiałem. Przysięgam na Boga.

Balistreri dostrzegł wszystkie skrajne emocje przebiegające przez twarz Valeria. Ból, wstyd, wyrzuty sumienia.

Pokręcił głową.

– Nie wierzę panu. I proszę zostawić na boku Boga. Są inne powody, dla których nie mogę panu wierzyć, poważne powody.

Prawniczka straciła cierpliwość i zwróciła się do prokuratora:

– Myślę, że potrzebujemy tu większej jasności.

Prokurator kiwnął głową w stronę Balistreriego, który kontynuował:

– Uważamy, że w serię morderstw z ostatniego roku, przypisanych Mariusowi Hagiemu, mógł być zamieszany ktoś jeszcze. Znał pan Hagię już w osiemdziesiątym drugim roku. I nie ma pan alibi w przypadku tych morderstw. Co więcej, wiemy, że w dniu, kiedy zabito Ornellę Coronę, był pan w Ostii na łodzi.

Oczy Valeria Bony napełniły się przerażeniem.

– Pan żartuje... – wymamrotał.

– Ani trochę. I tym razem nie będę ani powierzchowny, ani rozkojarzony. Dojdę do samego końca. Radzę panu dobrze to przemyśleć, panie Bona. Chcę wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia.

Prawniczka poprosiła o chwilę przerwy, by porozmawiać z Valeriem na osobności. Balistreri wykorzystał to na papierosa w swoim gabinecie.

– Jest winny – powiedział Corvu.

– Ja nie wiem – powiedziała Piccolo.

– Jest z pewnością winny, ale nie wiem czego, i w tym cały problem – burknął Balistreri.

Kiedy weszli do pomieszczenia, natychmiast spotkał się wzrokiem z Valeriem Boną. Spojrzenie miał pełne rezygnacji. Ale także ulgi, niemal determinacji. Mocno ścisnął krzyżyk zawieszony na szyi.

– Mój klient złoży dobrowolne oświadczenie dotyczące wydarzeń z jedenastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku po południu – oznajmiła prawniczka – i odpowie na wszystkie wasze pytania tego dotyczące. Nie odpowie

natomiast na żadne pytanie odnoszące się do niedawnych wydarzeń, deklaruje bowiem, że nie ma z nimi nic wspólnego.

– Dobrze – zgodził się Balistreri. – A więc, panie Bona, słuchamy, a potem zdecydujemy co dalej.

Valerio był zdeterminowany, wyglądał jak dziecko, które dało się przekonać do zażycia gorzkiego lekarstwa i chce to zrobić jak najszybciej, byle już mieć to za sobą.

– W parku Villa Pamphili nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Byłem pewny, że Elisa kogoś ma, i chciałem, żeby mi to powiedziała prosto w oczy. Chwilę po piątej poszedłem na via della Camilluccia, żeby z nią porozmawiać. Zaparkowałem skuter za rogiem i zobaczyłem pana, *dottor* Balistreri, z hrabią Tommasem, który właśnie przyjechał. Musiała być za piętnaście szósta. Pan i hrabia zamieniliście dwa słowa, potem on wszedł do budynku A, a pan ruszył dalej, do budynku kardynała.

Balistreri przytaknął. Pamiętał dokładnie każdą sekundę.

Chciałem iść do niej.

Valerio nabrał powietrza w płuca i mówił dalej:

– Schowałem się za rogiem. Zobaczyłem biegnącego Paula, prawdopodobnie spotkał się pan z nim po drodze. Wsiadł do swojego volkswagena razem z Giną Giansanti, która szła na mszę, i pojechali.

Wtedy, kiedy ja patrzyłem na to okno i nie potrafiłem się zdecydować.

– Brama do budynku B była otwarta. Wszedłem. Winda była zajęta, to pan jechał na górę. Odczekałem chwilę, nie mogłem się zdecydować. Później zebrałem się w sobie i wszedłem po schodach na drugie piętro.

Valerio Bona przerwał. Na jego twarzy odbijało się tamto przerażenie.

– Wiedziałem, że Elisa mnie nie wpuści, ale drzwi do biura były przymknięte, nie zatrzaśnięte. Wszedłem do środka i natychmiast uderzyła mnie absolutna cisza. Pomyślałem, że wyszła po papierosy i nie domknęła drzwi. Zatrzymałem się przed jej pokojem.

Valerio przerwał, by zaczerpnąć oddechu. I w tej samej chwili, zanim jeszcze otworzył usta, zanim otworzył te drzwi zamknięte przez dwadzieścia cztery lata, Balistreri uświadomił sobie, że błąd, który wtedy popełnił, był znacznie gorszy, niż sobie przez cały ten czas wyobrażał. Widmo, które niewyraźnie dostrzegł, kiedy zaatakował Lindę Nardi, zaczęło powoli nabierać niewyraźnych kształtów.

– Gdybym wtedy nie wszedł do środka, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Zostałbym w IBM, ożeniłbym się, miałbym dzieci. Ale byłem zrozpaczony. Tak bardzo chciałem z nią porozmawiać. Wszedłem. Ciało Elisy leżało na podłodze pod ścianą. Miała rozerwaną bluzkę i biustonosz, krew na piersiach. Jedno oko czarne i opuchnięte, rozciętą wargę, krwiak na policzku. Nie podszedłem, ale stałem tam przez chwilę. Potem wyskoczyłem za drzwi i uciekłem. Minutę później byłem na skuterze.

Prokurator patrzył z niedowierzaniem na Balistreriego. A Balistreri patrzył na

Valeria Bonę. Nie było mu go ani trochę żal. W głębi serca czuł najprawdziwszą wściekłość. Gdybyż tamtego przekłętą dnia miał oczy, uszy, serce!

Otrząsnął się z niepotrzebnych mętnych myśli. Uratować Fiorellę Romani. To była jedyna prawdziwa, pilna, fundamentalna rzecz do zrobienia. A droga została już wyznaczona, musiał tylko zmieść z niej wszystkich, którzy będą mu na niej przeszkadzali.

– Możliwości są dwie, panie Bona. Pierwsza jest taka, że pan kłamie i że to pan zabił Elisę Sordi poza jej biurem między osiemnastą trzydzieści a dwudziestą. Druga jest taka, że mówi pan prawdę. W tym przypadku proszę mieć świadomość, że gdyby powiedział pan to od razu, morderca siedziałby już od wielu lat w więzieniu.

– Wiem, i dręczyło mnie to przez te wszystkie lata. Nie powiedziałem prawdy, bo się bałem. A w ciągu następnych dni czułem się całkiem zagubiony. Ciało zostało znalezione w Tybrze, dozorczyńni mówiła, że Elisa wychodziła o ósmej wieczorem. Niemal uwierzyłem, że miałem halucynacje.

Wyspowiadałeś się z tego? Ksiądz cię rozgrzeszył? Ile razy musiałeś odmówić Ojczy nasz i Zdrowaś Mario? Myślisz, że to wystarczy, by dostać się do raju?

Cała jego wrogość wobec ludzi, którzy go oszukali i na długie lata zamknęli w ciasnej klatce winy, skupiła się na Valeriu Bonie. Jakby wylana na niego agresja mogła anulować miniony czas.

– Mam nadzieję, że pan kłamie, panie Bona. Mam nadzieję w pana interesie, bo jeśli to, co pan teraz mówi, jest prawdą, pańskie milczenie spowodowało śmierć czterech dziewczyn, młodego Senegalczyka i czterech policjantów oraz samobójstwo matki Manfrediego i matki Elisy.

Valerio patrzył na niego skamieniały z przerażenia. Ręce z poobgryzanymi palcami rozpaczliwie szukały krzyżyka. Oczy błędziły gdzieś w pustce.

Wtrąciła się prawniczka:

– Mój klient może być co najwyżej oskarżony o składanie fałszywych zeznań w sprawie Elisy Sordi. Z resztą nie ma nic wspólnego.

Nie było już roztropności, równowagi, żalu. Tylko kontrolowana wściekłość i Fiorella Romani.

– Oczywiście, pani mecenas. – Głos Balistreriego był lodowato zimny. – Z prawnego punktu widzenia tak jest. Ale pani klient jest praktykującym katolikiem, wierzącym w Sąd Ostateczny, raj i piekło.

Zrobił to, co bez wahania uczyniłby dwadzieścia cztery lata temu i na co później przენigdy by się nie powazył, gdyby nie ten dzień, kiedy Giovanna Sordi zleciała ze swego balkonu, podczas gdy cała Italia znowu eksplodowała radością.

Popatrzył z pogardą na Valeria Bonę wtłoczonego w swoje krzesło.

– Wierzył pan, że da się pogrzebać własne winy, odmawiając przyjęcia pensji w IBM albo dbając o działanie komputerów w sierocińcu? Chce pan zobaczyć

fotografie zwłok tych młodych kobiet zamordowanych z powodu pańskiego tchórzostwa?

Dostrzegł pełne dezaprobaty spojrzenie Piccolo, wzgardę prawniczki, zażenowanie prokuratora i Corvu.

Hagi, ty draniu, cierpienie, którym szafujesz, nie zna końca. A ja jestem dobrze wybranym instrumentem twojej zemsty.

Valerio Bona podniósł twarz zalaną łzami, twarz starca.

– Ma pan rację, *dottor* Balistreri, mojej winy nie da się umniejszyć. Ale to Bóg mnie osądzi. Panu mogę tylko ofiarować tę spóźnioną prawdę.

– W takim razie niech pan ją wypowie do końca. Pańska łódź zrobiła zwrot, kiedy zapytałem pana, czy wśród dziewczyn Francisca Ajella była też Elisa.

Valerio zamknął oczy.

– Zobaczył ją w Ostii, kiedy Elisa przyszła oglądać mnie na regatach. Poprosił, żebym go z nią poznał, odmówiłem.

– I co dalej? – zapytał Balistreri. – Z pewnością było coś jeszcze.

– Tamtego popołudnia, kiedy uciekałem z pokoju Elisy i biegłem po skuter, porsche Francisca Ajella było zaparkowane za rogiem.

Niedawna aborcja, nieznany kochanek.

Balistreri zamienił parę słów z prokuratorem. Nie było wystarczających przesłanek, by aresztować Valeria Bonę. Zatrzymano mu tylko paszport i pozwolono odejść. Co do Ajella, prokurator miał się postarać o nakaz od sędziego jeszcze tego wieczoru.

Teraz priorytet był inny. Zrekonstruować drogę, którą przebyło ciało Elisy od pokoju biurowego przy via della Camilluccia do koryta Tybru.

Przez telefon usłyszał od osobistego sekretarza hrabiego, że jego pracodawca przebywa za granicą, ale w domu jest Manfredi i nie widzi przeszkód, by go przyjąć. Postanowił pójść sam. Na via della Camilluccia pojawił się w porze obiadowej. Dzielnica była opuszczona, wszyscy mieszkańcy wyjechali na weekend do swoich letnich domów, na jachty albo do restauracji w centrum. Posesja była pogrążona w ciszy. Tylko rolety na ostatnim piętrze budynku A były podniesione.

Młody sekretarz zaprowadził go na taras. Po chwili pojawił się Manfredi. Był milczący. Tym razem atmosfera była wyraźnie inna od tej sprzed kilku dni, żadnych uśmiechów ani grzecznościowych formułek. Balistreri postanowił nawiązać do ich ostatniej rozmowy.

– Zeszłej soboty prosił mnie pan, bym odkrył prawdę o Elisie Sordi. Od tamtego czasu wiele osób mnie o to prosiło.

Manfredi patrzył na niego uważnie inteligentnymi oczami Ulli. Teraz jednak można w nich było dostrzec również zimną arogancję ojca.

- Potrzebował pan aż tylu zachęt, Balistreri? Nie interesowała pana prawda?
- W osiemdziesiątym drugim wszyscy nas okłamaliście, przez was nic nie mogliśmy odkryć.

Balistreri usłyszał wściekłość we własnym głosie i zmusił się do samokontroli.

Wściekłość nie jest skrótem drogi do prawdy.

– I co w związku z tym? To wy jesteście policją, nie my. A w osiemdziesiątym drugim pan był rozkojarzony przez swoje słabostki i na dodatek uprzedzony. Według pana oszpecony chłopak, i to arystokrata, był idealnym winowajcą.

– Dobrze, więc zapytam pana o to od razu. Zabił pan Elisę Sordi?

Manfredi odezwał się pogardliwym tonem odziedziczonym po ojcu:

– Po tym wszystkim, co się stało, jeszcze raz zaczyna pan od tego pytania?

– Z konieczności. Albo wyjaśnimy ostatecznie tę sprawę, albo do niczego nie dojdziemy. A tym razem będzie pan musiał być bardziej przekonujący. Idzie o życie kolejnej młodej kobiety. Nie mam już ani czasu, ani cierpliwości, by wysłuchiwać kolejnych kłamstw.

Z jakiegoś powodu Manfredi uśmiechnął się półgębkiem, potem skinął głową.

– Dobrze, nareszcie widzę u pana determinację, Balistreri. Prawda o Elisie Sordi jest potrzebna, by uratować tę młodą kobietę?

– Tak. Taka jest cena, jakiej żąda Marius Hagi, człowiek, którego aresztowaliśmy.

Mógłbym zapytać, czy go znasz. Ale nie potrafiłbym ocenić, czy nie kłamiesz.

Manfredi w milczeniu przyjął informację i nie pytał o więcej.

– Dobrze. Opowiem panu historię, której nie powtórzę nigdy więcej i nikomu w żadnych okolicznościach. Powinna panu wystarczyć do uratowania tej dziewczyny.

– Słucham pana.

– Bardzo mi się podobała Elisa Sordi. Panu też, prawda?

Balistreri poczuł się niezręcznie, lecz nic nie powiedział.

– Podobała się panu i wszystkim innym, którzy kręcili się wokół niej. Ale wy chcieliście ją tylko zabrać do łóżka. A ja byłem pechowcem, który się zakochał. Po południu tego dnia, kiedy miał się odbyć finał mundialu – ciągnął Manfredi – Rzym stanął w miejscu. Po prostu pustynia. Jedni byli nad morzem, inni odpoczywali. Jakby wszyscy rzymianie mieli osobiście zagrać w wielkim finale. Ale Elisa przysłała do pracy. Przed południem zobaczyłem, jak wchodzi. Potem widziałem, jak idzie na przerwę obiadową i jak wraca w towarzystwie Valeria Bony. Kłócili się, zostawiła go przed bramą i poszła do biura.

– Gdzie wtedy byli pana rodzice? – zapytał Balistreri.

– Ojciec w hotelu Camilluccia, niedaleko stąd, na zebraniu partyjnym. Matka wzięła coś na sen. Oba budynki były opustoszałe, tylko Elisa i ja byliśmy na nogach. To była jedyna okazja, by spokojnie z nią porozmawiać. Co by pan zrobił na moim miejscu?

Balistreri nie odpowiedział. Przed oczami wyobraźni przesuwwały mu się wydarzenia

tamtego popołudnia. Kiedy był rozpalony, na wpół pijany, podniecony czekającym go wieczorem i nocą. Kiedy chciał być wolny, by robić to, co lubił najbardziej. Oglądał to w zwolnionym tempie, chwilę po chwili.

Chciałem pójść do niej.

Manfredi mówił dalej:

– Miałem nadzieję, że choć trochę się jej spodobam. Wiedziałem, że nie jest z Valeriem, ale wydawało mi się, że kogoś ma. Nie potrafiłem przestać o tym myśleć, to była obsesja. Kręciłem się między moim pokojem a tarasem, parę razy brałem zimny prysznic. W końcu się zdecydowałem.

Prawda. Ta, z której wypowiedziałeś się kardynałowi Alessandriniemu.

– Zobaczyłem, jak Gina Giansanti wchodzi do budynku i chwilę potem wychodzi.

– Która była godzina? – zapytał Balistreri.

– Nie wiem dokładnie, ale myślę, że krótko po piątej. Przeszedłem piwnicami, które łączą oba budynki, tak żeby Giansanti nie widziała mnie z portierni. Wszedłem po schodach. Drzwi były zamknięte. Zapukałem i zawołałem ją. Elisa rozpoznała mój głos i wpuściła mnie od razu. Powiedziała, że cieszy się, że mnie widzi, i że akurat przyda się jej moja pomoc. Miała kłopot z uruchomieniem nowego komputera, coś nie chciało działać. Wiedziałem, co trzeba zrobić, w pięć minut wszystko było naprawione.

Balistreri spojrział w kierunku okna biura Elisy Sordi. Za opuszczoną żaluzją widział pograżony w półmroku salonik Lindy Nardi z poprzedniego wieczoru. Bo już się domyślał, jaki będzie ciąg dalszy.

– Elisa pocałowała mnie w policzek, by mi podziękować. Wziąłem ten pocałunek za zaproszenie, przyciągnąłem ją do siebie, by pocałować ją w usta. Odepchnęła mnie, choć bardzo łagodnie i z uśmiechem. Myślę, że chciała tylko zmniejszyć napięcie i zbagatelizować sprawę, ale właśnie wtedy zobaczyłem swoje odbicie w lustrze i pomyślałem, że jej uśmiech to szyderstwo. Krew uderzyła mi do głowy.

Kto walczy z potworem, niech baczy, by sam się przy tym nie stał potworem. A gdy długo spoglądasz w otchłań, również otchłań spogląda w ciebie.

– Popchnąłem ją na ścianę. Zablokowałem jej nadgarstki jedną ręką, drugą rozerwałem bluzkę i biustonosz. Nie stawiała oporu, była sparaliżowana ze strachu.

Manfredi zamilkł. Nie wyglądał na udręczonego tym wspomnieniem. Musiał tysiąc razy przerobić je z psychiatrą w Kenii. Zwalniał opowieść tylko po to, by Balistreri dobrze ją zrozumiał.

– Brak reakcji z jej strony rozwścieczył mnie jeszcze bardziej. Wymierzyłem jej cios pięścią w twarz, myślę, że złamałem jej kość policzkową. Uderzyła głową w ścianę i upadła. Patrzyłem na nią przez chwilę, oddychała. Powoli się uspokoiłem. Żeby się upewnić, że żyje, wyjąłem lusterko z jej torebki i zbliżyłem do ust. Oddychała.

– Żyła? – upewnił się Balistreri.

– Tak, żyła z pewnością. Ale ja nie wiedziałem, co robić, byłem zrozpaczony.

Drżałem ze strachu, słysząc wjeżdżającą na najwyższe piętro windę. Potem usłyszałem, że Angelo Dioguardi dzwoni do drzwi i wita się z kardynałem Alessandriniem. Wtedy wzięłem klucze Elisy, które były w drzwiach, zamknąłem biuro i wróciłem biegiem do domu tą samą drogą, przez piwnice. Zajęło mi to mniej niż pięć minut.

– Nie zrobił pan nic dziewczynie, kiedy leżała zemdlona?

– Chce pan wiedzieć, czy gasiłem na jej ciele papierosy i czy ją udusiłem? Absolutnie nie.

Balistreri postanowił iść dalej, do wycięcia litery O na ciele dziewczyny mógł wrócić później.

– I co pan zrobił po powrocie do domu?

Manfredi spojrzał na niego ze spokojem.

– A pan co by zrobił na moim miejscu?

– Zawołałbym ojca. Zwłaszcza gdyby to był wpływowy człowiek.

– Zadzwoń do niego natychmiast z telefonu na tarasie i wszystko mu opowiedziałem. Kazał mi iść do pokoju i nie ruszać się stamtąd. Powiedział, że za dwie minuty będzie z powrotem i wszystko załatwi. Zanim wróciłem do pokoju, przez lornetkę popatrzyłem w dół i zobaczyłem pana. Stał pan przy portierni, palił papierosa i rozmawiał z Giną Giansanti. Potem wróciłem do swojego pokoju.

Rzuciłem okiem w stronę tarasu na szczycie budynku A. Szybki błysk, potem nic. Tego dnia Manfredi był nieśmiały.

– Po chwili matka usłyszała pański lament – powiedział Balistreri.

– Tak, weszła do mnie. Pociąłem się nożem. Prawie ją zaatakowałem, kiedy wyrwała mi go z rąk. Na szczęście ojciec przyjechał i powstrzymał mnie.

Stanął dokładnie naprzeciwko mnie nienagannie ubrany i bez kropelki potu na ciele mimo panującego upału. „Powiedziano mi, że jest pan przyjacielem pana Dioguardiego i komisarzem policji. Jest pan tu służbowo?”

– Ojciec wyprosił Ullę i dał mi środek uspokajający. Udało mu się mnie uspokoić. Obiecał, że moje życie się zmieni, że pomogą nasi krewni w Afryce. On porozmawia z Elisą, przeprosi ją, da jej stałą pracę. W ciągu tych kilku minut zadecydowało się całe moje życie. Na dobre i na złe.

Zatrzymałem się pod oknem bogini. Jedyne, które było otwarte. Tym razem na parapecie stał kwiatek, który dziewczyna musiała tam umieścić, kiedy na okno nie padało już palące słońce. Nie wiedziałem co dalej, przez kilka minut stałem niezdecydowany, patrząc w górę. Potem wszedłem do środka, znalazłem windę i nacisnąłem przyciski z numerem 2 i numerem 3. Angelo czekał na mnie na klatce schodowej na piętrze kardynała.

– Dałem ojcu klucze do biura Elisy. Powiedział mi, żebym zachowywał się jak zawsze, czyli jechał na siłownię i został tam aż do przyjazdu gości na mecz. A w tym czasie, kiedy on będzie na spotkaniu z ministrem spraw wewnętrznych, z którym był

umówiony, jego zaufany człowiek porozmawia z Elisą.

Balistreri doskonale pamiętał.

– Widziałem, jak wyjeżdżaliście, on z Ullą samochodem, pan na motocyklu. Ale nie pojechał pan na siłownię.

Manfredi opowiedział dokładnie tę samą wersję, którą Balistreri usłyszał od kardynała. Był z Ullą u Alessandrinięgo. Hrabia nigdy się o tym nie dowiedział. A więc wolał skończyć w więzieniu, niż mu to powiedzieć. Później nigdy nie miał dość odwagi, by wyznać ojcu prawdę.

– A następnego dnia? Kiedy Elisa nie przyszła do pracy, a pojawiła się policja?

Manfredi się zastanowił.

– Ojciec nie powiedział mi, co się stało. Wieczorem po meczu nakazał mi zaprzeczać, że spotkałem się z Elisą Sordi tamtego dnia.

– Kiedy wyłowiono zwłoki Elisy z Tybru, nie pytał pan o wyjaśnienia?

– Nie miałem odwagi. Zna pan mojego ojca. Powtórzył, że mam zaprzeczać, jakobym widział się z Elisą. Zapytałem go, czy mi wierzy, że zostawiłem ją przy życiu. Powiedział, że to nie ma znaczenia. Mówił, że musimy to przetrwać, potem wysłał mnie do Kenii, a tam będę szczęśliwy. Nawet kiedy mnie zamknęliście, powtarzał mi, że wszystko się ułoży, jeśli tylko będę silny i cierpliwy.

– A pańska matka? Nie sugerowała, by użyć pańskiego alibi? Powiedzieć, że był pan z nią u kardynała Alessandrinięgo?

– Była zupełnie rozstrojona. Ulla zabiła się o świcie dzień po moim aresztowaniu.

– Manfredi, muszę pilnie porozmawiać z pańskim ojcem.

– Obawiam się, że wcześniej niż jutro wieczorem to będzie niemożliwe. Ojciec wyjechał trzy dni temu. Teraz jest w Ugandzie ze swoim bratem Giulianem i moim kuzynem Rinaldem. Pływają po Nilu Białym. W tej okolicy nie ma nawet zasięgu telefonii komórkowej. Ale jutro wieczorem będzie w Nairobi i wsiądzie w samolot do Frankfurtu, gdzie mamy się spotkać w poniedziałek rano. Ja stamtąd wrócę do Afryki, a on do Rzymu, więc będzie pan mógł się z nim zobaczyć.

– A więc twierdzi pan, że nie wie, co tamtego dnia robił pański ojciec. Przez dwadzieścia cztery lata nigdy go pan o to nie zapytał. I prosi pan mnie, bym odkrył prawdę? – zapytał z gniewem Balistreri.

– Może pan nie dać temu wiary, ale nie rozmawialiśmy już potem o Elisie Sordi ani razu, jakby nigdy nie istniała. On nie pytał mnie, czy ją zabiłem, ja nie pytałem jego, jak zginęła i jak stąd znikła. Ktoś zabił Elisę Sordi po tym, jak ją zaatakowałem. Pan oskarżył mnie, ponieważ to było najbardziej oczywiste rozwiązanie. Ulla się zabiła, bo nie widziała wyjścia z tej sytuacji.

Balistreri spojrział mu prosto w oczy.

– Nie czuje pan wyrzutów sumienia za to, co zrobił pan z Elisą Sordi?

Manfredi odwrócił się w stronę okna pokoju biurowego Elisy.

– Dzisiaj potrafię patrzeć na to okno, łatwiej mi to przychodzi niż panu. Nie zmieniłem nawet domu, choć założę się, że pan przez te wszystkie lata zrobił wszystko, by nawet nie przejeżdżać przez tę okolicę. Wyrzuty sumienia to bezużyteczne uczucie. Proszę popatrzeć na mnie, na to, co zrobiłem dla biednych w Afryce. A pan w tym czasie źle spał po nocach.

Manfredi spojrział na niego. W jego wzroku było coś gorszego od nienawiści, coś głębszego i bardziej bolesnego.

– Już czas, żeby się pan na coś przydał, Balistreri. Nie da się na pana patrzeć. Proszę jechać do domu, wziąć prysznic, przyszyty brodę, zjeść rano porządne śniadanie. Bo jeśli pana umysł jest w takim samym stanie jak pana ciało, dla dziewczyny nie ma już żadnej nadziei.

Balistreri wstał. Manfredi pożegnał go w drzwiach, nie podając mu ręki.

– Niech pan się postara uratować przynajmniej tę dziewczynę, Balistreri. Niech pan się postara bardziej niż o swoją duszę.

Wieczorem

O dziesiątej wieczorem Balistreri wrócił do biura. Był wykończony. Ajello zapadł się pod ziemię. Corvu sprawdził w domu, żona powiedziała, że adwokat wyjechał na roboczy weekend i nie wie, jak się z nim skontaktować. Kazali sprawdzić przejścia graniczne, porty, lotniska. Wszystko na nic.

Balistreri uznał, że trzeba powtórnie porozmawiać z Hagim i powiedzieć o tym, co zrobili, byle uratować Fiorellę Romani, jeśli jeszcze żyje. Prokurator był absolutnie przeciwny przekazywaniu Hagiemu zastrzeżonych informacji ze śledztwa, ale Floris zgadzał się z Balistrerim i to on zadzwonił do mecenasa Morandiego na komórkę, proponując nieformalne spotkanie na więziennym spacerunku, bez adwokata, tylko Balistreriego z Hagim. Morandi okazał się bardzo pomocny i powiedział, że zaraz zaproponuje to Hagiemu. Po dziesięciu minutach oddzwonił do Florisa, mówiąc, że jego klient zgadza się na spotkanie.

Corvu i Piccolo zawieźli Balistreriego do Regina Coeli około dwudziestej trzeciej. Musieli włączyć syrenę, by przedrzeć się przez zatłoczone centrum. Bary i restauracje na Zatybrzu pękały w szwach od opalanej, wyplązowanej i nasmarowanej nawilżającymi kremami ludzkiej masy, która wróciła znad morza i rozlała się teraz po mieście w poszukiwaniu alkoholu, rozrywki i orzeźwienia.

Balistreri był wykończony po długim dniu, który zaczął się lotem do Lecce i rozmową z Giną Giansanti. Ale uratowanie Fiorelli Romani nie pozwalało na odpoczynek. Hagi był już gotowy, czekał w kajdankach na spacerunku. Balistreri zauważył, że przez te kilka godzin jego wygląd znacznie się pogorszył, kaszlał też coraz

silniej i niemal bez przerwy. Ciało Hagiego niszczało błyskawicznie, ale jego mroczna dusza wciąż się opierała.

– Czujecie się pan na siłach, by chodzić, czy może każe przynieść dwa krzesła? – zapytał go Balistreri.

– Już wyglądam na umierającego, prawda? A pan się boi, że umrę za wcześnie. Proszę zauważyć, że pan wygląda dziś gorzej ode mnie. Niech mnie pan każe rozkuć i zapali mi papierosa.

Balistreri spełnił jego prośbę. Prostokątny spacerownik był pusty, oświetlony reflektorami. Powietrze było ciepłe i lepkie, z niedalekiego Zatybrza dochodził uliczny hałas i ludzki gwar. Spacerowali, paląc w milczeniu.

– Zrobiłem to, o co pan prosił.

– Dobrze. Słucham pana.

– Najpierw musi mi pan dać słowo, że Fiorella Romani żyje.

W czarnych oczach Hagiego zapaliła się ciekawość.

– Wierzy pan w moje słowo?

– W tym przypadku tak.

– Dobrze. Nie mogę być pewien, czy żyje, ale z pewnością była w doskonałym zdrowiu, kiedy mnie aresztowaliście, i nie mam powodu sądzić, że już umarła. Teraz niech mi pan powie, kto zamordował Elisę Sordi.

Balistreri opowiedział mu wszystko: o Ginie Giansanti, Alessandrini, Valeriu i Manfredim. Patrzył, jak Hagi przyjmuje każdą informację.

– To wszystko? – zapytał na koniec.

– Muszę przesłuchać hrabiego i Ajella, bez nich nie możemy iść dalej.

– Dlaczego? – zapytał Hagi.

– Dlatego, że musimy się dowiedzieć, co hrabia zrobił z kluczami. Kogo wysłał do Elisy. Czy poszedł tam on, czy Ajello. I czy dziewczyna jeszcze wtedy żyła. Chyba że pan wie coś więcej, co by było użyteczne.

Hagi spojrział na niego.

– Doprawdy, oto całe pana śledztwo. Od dwudziestu czterech lat.

– Ale wszyscy kłamali – zaprotestował Balistreri.

– Otóż to, wszyscy kłamali. Choć wy, katolicy, macie na to odpowiednie przykazanie, jeśli się nie mylę.

– Panie Hagi, zrobię, cokolwiek pan mi każe, ale chcę, żeby Fiorella Romani wróciła żywa do swej matki. Nie możemy czekać na hrabiego, to za długo.

– W istocie, to za długo – powiedział Hagi. Brutalna siła tego zdania zawisła między nimi.

Hagi patrzył na niego w milczeniu. Balistreri czuł przyplływające fale zmęczenia, miał wciąż przed oczami swój atak na Lindę Nardi i wyobrażenie Fiorelli Romani związanej w jakiejś grocie. Jego ciało poddawało się senności, podczas gdy duch

walczył o jasność umysłu, chwytając się nadziei na uratowanie Fiorelli. Nagle inny obraz pojawił się w jego wyobraźni.

– Pan był na wzgórzu tego wieczoru, kiedy do mnie strzelano – powiedział zniechęcony, jakby budził się ze snu.

– Oczywiście, w końcu to ja byłem ich szefem – przyznał po prostu Hagi.

– I to pan zabił Colajacona, a mnie oszczędził?

Hagi się uśmiechał.

– Odbiegamy od tematu, Balistreri. To pan ma mi powiedzieć, kto zabił Elisę Sordi.

– Kto wyciął litery na ciałach?

Hagi miał napad kaszlu. Znów krew wypłuta na ziemię.

– Ten, kto wyciął literę na ciele Elisy Sordi – odpowiedział powoli, kiedy przestał kaszleć.

Balistreri nie miał wątpliwości: Hagi był z nim szczery.

– A więc pan już wie, kto to jest...

– Balistreri, znów to samo. To pan ma się dowiedzieć. Od lat kręci się pan w kółko. Wie pan, ile szkód narobił przez swoją gówniarzerię? Gdyby nie pan... – Kaszel nie pozwolił mu dokończyć.

Gdyby nie moja gówniarzeria, Alina Hagi wciąż by żyła. Jedyne przyszłość jest w naszych rękach.

– Litery prowadzą do Valeria Bony – powiedział Balistreri.

Hagi spojrzał na niego i roześmiał się.

– Litery? Zapomniał pan o dwóch matkach-samobójczyniach, poza tym są jeszcze dwie.

– Jeszcze dwie litery? – zdumiał się Balistreri.

– Naprawdę pan myśli, że morderca chodzi i wycina własne imię na ofiarach? Człowieku, gdzie pan jest? W angielskim kryminale z dziewiętnastego wieku? Nie oskarżył pan chyba tego biedaka Valeria Bony, co?

Doskonale wiesz, draniu, bo właśnie ty podprowadziłeś mnie do takiego wniosku.

Hagi patrzył na więzienny mur, jakby mógł ze swojego miejsca zobaczyć rozszalałe nocne życie.

– Zaczyna pan się naprawdę przejmować, Balistreri? A kardynał Alessandrini okazał skruchę za to, co zrobił? Będzie o tym myślał przez kolejne lata, kiedy będzie sobie odmawiał modlitwy razem z papieżem?

Balistreri zrozumiał, że przegrał. Nie miał więcej kart w talii. Fiorella Romani była zgubiona.

Na spaceriak wbiegli zdyszani Corvu i Piccolo.

– Valerio Bona powiesił się na maszcie swojej żaglówki – wyrzucił z siebie jednym tchem Corvu.

Oczy Hagięgo zapłonęły zainteresowaniem. Diabelski uśmiech pojawił się na chorej

twarzy.

– Nareszcie ktoś zaczął żałować naprawdę.

Balistreri zachwiał się jak pod ciosem.

Powiedział mi, że to Najwyższy będzie go sądzić, nie ja.

Spojrzał na Hagiego.

– Valerio Bona nie zabił ani Elisy, ani innych. On tylko...

– Tylko kłamał, jak wszyscy. Bardzo wielka wina. Ale nie wszyscy zapłacili taką cenę jak ja. Teraz dla nich też przyszedł moment zapłaty. Tylko że sędzią nie jest wasz dobry Bóg, panie Balistreri. Sędzią jestem ja.

– Panie Hagi, ja też jestem gotów zapłacić swoją cenę, byle pan uwolnił Fiorellę Romani.

Hagi oparł się o mur.

– Niech mi pan da jeszcze jednego papierosa – powiedział, kaszląc.

O dziwo, dym uciszył kaszel. Hagi wypluł na ziemię skrzep krwi.

– Chcę odpowiedzi do jutra w południe, Balistreri. Jeśli da mi pan właściwą, Fiorella Romani przeżyje. I niech pan uważa, bo ja już coś wiem. Jeśli spróbuje mnie pan oszukać, Fiorella zginie.

– Co mam zrobić?

– Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego kardynał Alessandrini zmusił Ginę do kłamstwa. Niech pan to z niego wydobędzie, niech wyzna do końca swoje grzechy. Niech mi pan udowodni, że potrafi być policjantem także za bramą raję.

Balistreri wysłał Corvu i Piccolo do domu, umawiając się z nimi na ósmą rano. Z więzienia wyszedł samotnie, krótko po północy tego wyjątkowo długiego dnia. Sobotnie imprezowanie po tej stronie Tybru kręciło się w najlepsze. Sznury trąbiących samochodów, tłum ludzi z lodami i piwem, przepełnione ogródki restauracyjne.

Minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, od kiedy uciekł z mieszkania Lindy i od siebie. Ruszył naprzód, zataczając się ze zmęczenia. Wszyscy go oszukali: Gina Giansanti, kardynał Alessandrini, Manfredi, hrabia, Valerio Bona, Ajello. Nawet Angelo i Linda. Aż się okazało, że jest w teatrze marionetek, w którym za wszystkie sznurki pociąga Marius Hagi.

Potrzebował się wypaść i uporządkować wzburzone myśli rozproszone jak kartki, które wiatr zdmuchnął ze stołu. Ale żeby zasnąć, potrzebował spokoju.

Nie dzwonił pod ten numer od ponad dwóch lat. Antonella odebrała po pierwszym sygnale. Była w domu, sama, i powiedziała, że na niego czeka.

Zastał ją w starym dresie, z zapłakanymi, podkrążonymi oczami. Mimo wszystko Pasquali był dla niej uprzejmym i poprawnym szefem, rzecz rzadka w tych czasach. Balistreri jednak wiedział, że te łzy były w jakiejś części zmarnowane. Pasquali

pojechał do obozu Casilino z bronią w ręku przekonany, że zastrzeli Mariusa Hagiego i zamiecie całą sprawę pod dywan. Ale ktoś sprytniejszy i potężniejszy od niego postanowił inaczej i zastawił na niego śmiertelną pułapkę. Tylko że mówienie o tym Antonelli nie miało sensu.

Widząc, w jakim przyszedł stanie, położyła go na kanapie z głową na swoich kolanach i zapaliła marihuanę, której przez wszystkie lata, kiedy byli razem, zawsze z obrzydzeniem odmawiała.

– W jakiej formie był ostatnio Pasquali? – zapytał.

– W takiej jak ty teraz. U Pasqualego przesunięty węzeł krawata albo krzywy przedziałek oznaczał to samo co twój aktualny stan kompletnego rozpadu. – Wyciągnęła rękę i wzięła ze stołu niewielką książeczkę. – Robiłam porządki w gabinecie Pasqualego, Michele. W tajnej szufladzie był ten terminarzyk.

To była mała czarna książeczka wielkości karty do gry w pokera. Kalendarz na 2006 rok. Balistreri pomyślał o terminarzu Krasnala, który dał mu jego syn. O tym, który w istocie sprowokował wznowienie sprawy. Przejrzał kalendarzyk Pasqualego, choć oczy same mu się zamykały. Nie było tam imion ani notatek. Tylko niektóre daty zaznaczone kółkiem.

Antonella powoli gładziła go po włosach i policzku. Dobrze pamiętał te daty. Wreszcie zamknął oczy i zasnął.

Niedziela, 23 lipca 2006

Przed południem

Obudził się na kanapie Antonelli. Dzwoniła jego komórka, którą rzucił gdzieś w pokoju. To był Corvu, czekali na niego w biurze, była już ósma trzydzieści. Kiedy brał zimny prysznic, przygotowała mu podwójną kawę i tosty. Wypalił dwa papierosy, popijając je kawą.

– Nie jesteś już na diecie od kawy i tytoniu, Michele? – W jej głosie nie było nagany. Nawet więcej, Antonella zdawała się to pochwalać.

– Lekarstwa też wyrzuciłem do kibla. Wraz z niektórymi starymi myślami.

Uśmiechnęła się.

– Pozostaje ci tylko jeszcze wrócić do seksu. A może już wróciłeś?

Pocałował ją lekko w usta i zadzwonił po taksówkę.

Corvu, Piccolo i Mastroianni byli w biurze od szóstej rano i pracowali od nowa nad rekonstrukcją okoliczności śmierci Elisy Sordi.

– Sprawdziłem wszystkie możliwe alibi w świetle tego, czego się dowiedzieliśmy wczoraj. Pozwoliłem sobie nawet ponownie zweryfikować alibi Angela Dioguardiego

– powiedział Corvu niemal przeproszającym tonem.

– Bardzo dobrze zrobiłeś, Corvu. Słuchamy.

– A więc tak. Mamy pewność, że Elisa Sordi żyła jeszcze o piątej, kiedy odebrała telefon od matki, co wynika z billingów. Krótco przedtem albo krótko potem przysłała do niej dozorczyńni, zabrała wykonaną przez nią pracę i zaniósła kardynałowi Alessandriniemu. Potem do Elisy przyszedł Manfredi, choć może już tam był, kiedy odbierała telefon od matki. Został jakieś dwadzieścia minut, a w tym czasie *dottor* Balistreri i Dioguardi podjechali pod bramę i rozmawiali z Giną Giansanti. Kiedy Angelo wjechał na górę do kardynała, Manfredi był jeszcze w biurze Elisy. Słyszał, jak kardynał osobiście otwiera drzwi Dioguardiemu. Manfredi zostawił Elisę ranną, jeśli mu wierzymy. Zamknął drzwi na klucz, wrócił do siebie i zadzwonił po hrabiego, który był w hotelu Camilluccia, pięć minut drogi od domu, sprawdziliśmy to. Potem Manfredi wyszedł na taras i przez lornetkę zobaczył, jak *dottor* Balistreri rozmawia z dozorczynią. Następnie zaszył się w swoim pokoju, gdzie zaczął się ciąć i lamentować, aż obudził matkę. Hrabia pojawił się po chwili, przy bramie spotkał komisarza, zamienił z nim dwa słowa i wszedł na górę. W tym samym czasie Gina Giansanti przygotowywała się do wyjścia na mszę. *Dottor* Balistreri ruszył w stronę budynku B i po drodze spotkał księdza Paula, który właśnie wychodził. Potem wjechał

windą na trzecie piętro, gdzie czekali na niego Angelo Dioguardi i kardynał. Ksiądz Paul wyszedł razem z Giną Giansanti. Ona poszła na mszę, on pojechał do San Valente.

Corvu przerwał, sprawdzając swoje drobiazgowo notatki.

– Valerio Bona wykorzystał nieobecność dozorczyń, która pojechała z księdzem Paulem, i wszedł do budynku B za panem komisarzem, do pokoju Elisy. Zobaczył, że dziewczyna nie żyje. To znaczy: Valerio sądził, że jest martwa. Manfredi przysięga, że zostawił ją ranną. Jeden z nich kłamie albo po prostu się myli. Wszyscy, którzy pozostali, opuścili posesję około osiemnastej. Sześć osób. *Dottor* Balistreri, Angelo Dioguardi i kardynał Alessandrini zeszli na dół i zobaczyli, że hrabia z Ullą wyjeżdżają samochodem, a Manfredi wsiada na swój motocykl. Od tamtej pory wiemy na pewno i bez wątpliwości, gdzie przebywało pięć z tych sześciu osób. *Dottor* Balistreri i Angelo Dioguardi jadą oglądać mecz, kardynał, Ulla i Manfredi są w Watykanie. Co do hrabiego, wiemy, że jechał do ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Policja sprawdziła wtedy rejestry w ministerstwie, według nich wszedł o osiemnastej pięćdziesiąt i wyszedł o dziewiętnastej trzydzieści pięć.

– Corvu, chcę, żebyś zdobył pełną kopię rejestrów ministerstwa.

– Ale *dottor* Balistreri... – zaprotestował słabo Corvu.

– Wiesz, jak to zrobić, Corvu. Zrób to i basta. A teraz przejdźmy do teraźniejszości.

– Balistreri wskazał na tablicę, na której wypisano litery w porządku chronologicznym.

O (Elisa)

? (Ulla)

A (Alina)

R (Samantha)

E (Nadia)

? (Giovanna)

V (Selina)

I (Ornella)

? (Fiorella).

– Są trzy imiona z pytajnikami – sprecyzował Corvu.

– Możemy iść za wskazówką Hagiego dotyczącą Aliny, jego żony – powiedział Mastroianni. – Tam gdzie nie ma wyciętej litery, powinien być inicjał imienia.

– Faktycznie – powiedział Corvu – choć mam wątpliwości co do ostatniej litery. – Zależy od tego, co zastaniemy, pomyślał. Ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem myśli na głos.

– W porządku chronologicznym mamy O, U, A, R, E, G, V, I, F. Ale właściwa kolejność może być inna – zauważyła Piccolo.

– Czytałem wiele prac o podobnych przypadkach. Porządek to część tej manii i zawsze jest ważny.

Balistreri się zniecierpliwiał.

– Te litery nic mi nie mówią.

A jednak jakieś wspomnienie poruszyło się w jego umyśle. Nabierało kształtów, przybliżało się i zanim zdążył je nazwać, rozplywało się w nicości. Gdzieś już widział podobną sekwencję liter.

Głos zabrała Piccolo:

– Co do Valeria Bony, nie ma żadnych wątpliwości, że to samobójstwo. Zaraz po przesłuchaniu pojechał do Ostii, dwóch świadków widziało, jak o zmroku wsiada do swojej łodzi i wypływa w morze. Kiedy tylko wyszedł z portu, zakotwiczył w spokojnym miejscu, jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Strażnik zobaczył go koło dwudziestej drugiej. Valerio Bona powiesił się na salingu. Nie ma wątpliwości, że wszystko zrobił sam.

Piccolo pozwoliła sobie na chwilę przerwy. Wahala się.

– Zostawił kartkę – powiedziała na końcu. – To bez wątpienia jego pismo. Przeczytać?

Rzuciła niepewne spojrzenie na Balistreriego.

– Dalej, Piccolo, niech pani czyta.

Spojrzała na bilecik i przeczytała:

– „Powinniśmy byli powiedzieć wtedy prawdę, ale zabrakło nam odwagi. Bogu powierzam swoją karę”.

– Do kogo jest zaadresowana? – zapytał Balistreri.

– Nie ma adresata – odpowiedziała Piccolo. – Ale jest coś jeszcze. Po zakończeniu przesłuchania z komórki Valeria Bony dzwoniono tylko raz. Sprawdziliśmy u operatora sieci, odpowiedział nam natychmiast. To numer centrali Watykanu.

Tym razem kapelan kardynała Alessandriniego był nieugięty. Kardynał odprawiał mszę, następnie miał oprowadzić małżonkę jakiejś głowy obcego państwa po Kaplicy Sykstyńskiej, a zaraz potem musiał przejrzeć przemówienie na Anioł Pański, które papież miał wygłosić w południe w Dolinie Aosty, gdzie spędzał wakacje.

Balistreri wiedział, że przebrał miarę. Ale był zdecydowany wymusić to, czego potrzebował. Życie Fiorelli Romani było ważniejsze od kryzysu w relacjach państwa włoskiego i Watykanu.

Zadzwoił do Florisa o dziewiątej, poszedł do niego i wyłuszczył swój plan. Kwestor wysłuchał go w skupieniu, z przerażeniem i niedowierzaniem jednocześnie. Na końcu uśmiechnął się do niego i uścisnął mu rękę.

Potem Floris zadzwonił bezpośrednio do ministra spraw wewnętrznych. Minister oczywiście się sprzeciwił, lecz kwestor zwrócił mu uwagę, że Balistreriego nie da się okiełznać i jeśli nie dostanie tego, czego chce, bez wątpienia skontaktuje się z Lindą Nardi i zwoła konferencję prasową.

Minister zadzwonił do sekretarza stanu w Kancelarii Premiera, który był w stałym i dobrym kontakcie z kręgami watykańskimi. Dopiero bezpośrednia groźba konferencji prasowej, w czasie której Balistreri obciąży kardynała bezpośrednią odpowiedzialnością za śmierć Fiorelli Romani, przekonała podsekretarza, by zadzwonił do Alessandriniego. Prosił o wybaczenie, powiedział, że Balistreri jest niekontrolowalny i zostanie jak najszybciej zdjęty z urzędu, ale zasugerował, że lepiej będzie, jeśli Kościół, już i tak oskarżany o bronienie Romów, postara się uniknąć kolejnych kłopotów. Kardynał dał Balistreriemu pół godziny, punktualnie o dziesiątej w Kaplicy Sykstyńskiej. Balistreri, choć mieszkał w Rzymie od tak wielu lat, nigdy jeszcze tam nie był.

Kapelan Alessandriniego był poirytowany i zde gustowany, widząc, jak koszmarne zaniedbany jest Balistreri. Alessandrini pojawił się punktualnie, ubrany w kardynalską purpurę. To jeszcze bardziej uwydatniło kosmiczny dystans dzielący obu mężczyzn. A Balistreri miał tylko kilka minut, by go pokonać.

Przyjęcie było bardzo chłodne.

– Myślałem, że już skończyliśmy ze wzajemnymi spowiedziami – powiedział na wstępie Alessandrini – ale przejdźmy się, może to pomoże pańskiemu duchowi, który mam nadzieję, jest w lepszym stanie od pańskiego wyglądu zewnętrznego.

Ruszyli powolnym krokiem. Balistreri starał się zebrać wszystkie siły. Był tu tylko z jednego powodu i nie mógł sobie pozwolić, by odwiodła go od niego ani pogarda kardynała, ani wspaniałe freski, które ludzie z całego świata przyjeżdżali podziwiać.

– Eminencjo, ma pan niewiele czasu. A Fiorella Romani ma go jeszcze mniej.

– Już powiedziałem panu wszystko, co mogłem, *dottor* Balistreri.

– Marius Hagi poinformował nas, że Fiorella Romani umrze dziś po południu, chyba że ksiądz mi powie...

Alessandrini podniósł rękę, by mu przerwać, i zatrzymał się przed freskiem Sądu Ostatecznego na ścianie ołtarzowej: dominująca postać Chrystusa, władczy i pełen spokoju gest, surowe spojrzenie zwrócone na tych, którzy zagłębiali się w piekielne czeluści. A obok niego Dziewica Maryja, pełen rezygnacji gest tej, która nie może już nic zrobić w sprawie sądu oraz pełne łagodności spojrzenie zwrócone na wstępujących do królestwa niebieskiego.

– Co pan widzi, *dottor* Balistreri? – zapytał Alessandrini.

– Widzę Boga, który wzbudza strach. A obok niego smutną kobietę, która o niczym nie decyduje. Widzę przerażonych biedaków po jednej i po drugiej stronie. Może to i jest sprawiedliwość, ale nie widzę tu miłosierdzia.

Alessandrini się zamyślił.

– Kiedyś spaliliby pana na stosie, Balistreri. Także zło ma swój udział w zamyśle Bożym. Chrześcijanie tacy jak Gina Giansanti wiedzą to i przyjmują jako próbę. W oczekiwaniu na ten widok, na to, co pan widzi na fresku. Kiedy to Bóg wymierzy

sprawiedliwość.

Wykład z teologii. Nie chce mi pomóc. Albo nie może. Otóż i zamysł Boży!

Balistreri wyciągnął z kieszeni kopertę. Pokazał fotografie. Elisa, Samantha, Nadia, Selina, Ornella. Przypalenia, rany, sińce, litery wyryte na ciele.

Alessandrini nie wziął zdjęć do ręki. Raptownie ruszył w kierunku wyjścia. Balistreri spojrzął z rozpaczą na zegarek. Jego czas się skończył. Zobaczył ceremoniarza czekającego z żoną głowy obcego państwa. Kardynał był już daleko, kiedy nagle się odwrócił.

– Nich pan przekaze Mariusowi Hagiemu treść naszej rozmowy. I powie mu, by wysłuchał przemówienia na Anioł Pański.

Zadzwoił na komórkę Florisa, by zrelacjonować mu treść rozmowy, kiedy znów wracał z Corvu do więzienia Regina Coeli, przeciskając się przez uliczne korki. Przedpołudnie zrobiło się już upalne.

– Premier i minister spraw wewnętrznych są bardzo zaniepokojeni – powiedział mu kwestor.

– Ze strachu o relacje z Watykanem, bo na pewno nie z powodu Fiorelli Romani.

– Balistreri, ja mam gdzieś mój stołek. Ale dosyć już ludzi mamy do opłakania, niepotrzebne polemiki nie zbliżają nas do celu. Niech pan da Hagiemu cokolwiek.

– Ten człowiek umiera, panie kwestorze. Mamy mu do zaofiarowania tylko prawdę.

– Co pan zamierza zrobić?

– Mogę jedynie zaufać kardynałowi Alessandriniemu. Przekażę Hagiemu to, co mi powiedział.

– Ale on nic panu nie powiedział! – zaprotestował Floris.

– Niech to Hagi osądzi.

Napisy na murach kamienic wzywały do podpalenia koczowisk. Niektóre slogany podpisane były przez pseudoobywatelskie organizacje. Plakaty polityczne nawoływały do drastycznych rozwiązań.

Jeśli Fiorella Romani umrze, rozpocznie się masakra. Hagi to wiedział od samego początku. To część jego planu.

Przyjechali do więzienia o jedenastej trzydzieści. Hagi czekał w pokoju przesłuchań. Przed telewizorem, o co Balistreri poprosił służbę więzienną.

Balistreri dokładnie zrelacjonował mu wszystko: sprawę alibi, kartkę od Valeria, rozmowę z kardynałem Alessandriniem o fresku Sąd Ostateczny.

Hagi z zadowoleniem odnotował informacje o telefonie Valeria Bony do Watykanu, jednak naprawdę go podekscytowało streszczenie rozmowy z Alessandriniem. Kazał sobie je powtórzyć dwa razy ze źle maskowaną satysfakcją.

Potem zwrócił się do Balistreriego:

- No więc? Co z odpowiedzią na moje pytanie?
- Da ją panu papież na Anioł Pański.
- W takim razie niech mi pan da zapalić.

W środku było to zabronione, ale Balistreri uznał, że ma to gdzieś, i sam także zapalił.

W południe rozpoczęła się transmisja z Les Combes w Valle d’Aosta, gdzie papież spędzał kilka dni wakacji.

- *Drodzy bracia i siostry!*

Papież był uśmiechnięty i w dobrej formie. Mówił o Bliskim Wschodzie, wyraził solidarność z nieszczęsnymi ludźmi. Potem zmienił temat:

– *Obchodziliśmy wczoraj wspomnienie liturgiczne świętej Marii Magdaleny, uczennicy Pańskiej, która zajmuje ważne miejsce w Ewangeliach...*

Mówił dalej o Marii Magdalenie, potem przeszedł do konkluzji. Balistreri zobaczył, że Hagi zaczyna słuchać uważniej.

– *Historia Marii z Magdali przypomina nam fundamentalną prawdę: uczniem Chrystusa jest ten, kto w doświadczeniu ludzkiej słabości zdobył się na pokorną prośbę o Jego pomoc, został przezeń uleczony i wszedł na drogę bliskiego naśladowania Mistrza, stając się świadkiem jego miłosiernej miłości, silniejszej od grzechu i śmierci.*

Papież zakończył ponownym wspomnieniem sytuacji na Bliskim Wschodzie. Potem zaczął odmawiać Anioł Pański.

- Możecie zgasić.

Hagi był pogrążony w myślach. Wydawało się, że jego uwagę przykuło coś odległego, może żal po czymś czy po kimś. Potem spojrzał na okrągły zegar wiszący na ścianie. Dwunasta czterdzieści.

- Chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie, panie Balistreri.

– Kardynał kłamał z pychy, wydawało mu się, że potrafi odróżnić dobro od zła, a teraz korzy się jak Maria Magdalena przed Bogiem, prosząc o pańską pomoc, panie Hagi. Kłamał z obawy, że obciążymy winą za tę straszliwą zbrodnię dwóch młodych ludzi, których on uważał za niewinnych. Jednym jest Manfredi. Co do drugiego...

Hagi kaszlał jeszcze bardziej, oczy miał znów mocniej podkrążone i głębiej wpadnięte. Balistreri widział, jak żyły pulsują mu pod niemal przezroczystymi skrońmi, jak kości policzkowe wystają nad coraz bardziej zapadniętymi policzkami.

Umiera. A Fiorella Romani wraz z nim.

- I co pan teraz robi, panie Balistreri?

– Przysięgam, że morderca Elisy Sordi zostanie ukarany, kimkolwiek jest... Ale zaklinam, niech pan uwolni Fiorellę Romani, która niczemu nie jest winna.

- Myśli pan może, że Alina, moja żona, była czemuś winna?

Balistreri wiedział już, że to był powód, który dał początek genialnemu szaleństwu

Mariusza Hagię. Pokręcił głową.

– Nie, pańska żona nie była winna niczemu. Ale ją zabił strach przed panem i nieszczęśliwy wypadek, a nie morderca, który torturuje, dusi, wycina litery...

Hagi mu przerwał:

– To wasza przeklęta katolicka religia ją zabiła! Zabiła ją Anna Rossi, Valerio Bona, kardynał Alessandrini, ten młody ksiądz o rudych włosach...

– Ksiądz Paul.

Hagi wpadł we wściekłość, kaszlał, pluł krwią.

– Tak, ksiądz Paul, który jadł obiad z Elisą Sordi tamtej przeklętej niedzieli, w ostatnim dniu jej życia. Wiem to od Aliny, widziała ich w barze niedaleko parafii. I widziała także Valeria Bonę, jak ich śledził.

To dlatego Valerio zatelefonował do Alessandrinię do Watykanu, zanim się powiesił. Żeby mu o tym przypomnieć.

– Alina była przerażona z pańskiego powodu, panie Hagi. Z powodu czegoś, o czym nie chce pan nam wciąż powiedzieć. A jednak pana żona nie należała do strachliwych.

– W takim razie wytłumaczę to panu dokładnie, Balistreri. Ulla podsłuchiwała rozmowę telefoniczną hrabiego. Opowiedziała o niej Annie Rossi, matce Samanthy. A ona powiedziała Alinie, że to ja wrzuciłem ciało Elisy do rzeki. I moją żonę, biedną naiwną dziewczynę, przeraziła wizja cholernego piekła, którym wasz Bóg grozi każdemu, nawet jeśli się milczy, by chronić własnego męża.

Balistreri nie dowierzał.

– I ci wszyscy ludzie zostali zabici tylko po to, by ukarać kogoś, kto nastawił Alinę przeciwko panu? Zemsta po dwudziestu czterech latach? Mógł pan to chyba wcześniej załatwić.

– Wiele razy o tym myślałem, ale nie znam nazwiska głównego winowajcy, tego, kto zabił Elisę Sordi i spowodował całą resztę. Bo ja wrzuciłem jej ciało do rzeki, ale kiedy zabrałem ją z tamtego biura, już nie żyła, tego jestem pewien.

– A teraz pan wie, kto to był?

– Nie, panie Balistreri, przez pana wciąż jeszcze nie wiem. Ale od roku wiem o tym – wskazał na zapluta krew chusteczkę – i nie mogę już czekać, nie mam więcej czasu. Pan jest mi potrzebny, by znaleźć winnego.

– Co pan chce osiągnąć, działając w ten sposób? Poznać nazwisko mordercy? A może wywołać masakrę Rumunów w całej Italii? Zmienia pan ten kraj w piekło oszalałych rasistów.

Hagi spojrział na niego z szyderstwem.

– Takich jak ten krasnal, któremu tamtej nocy strzeliłem w plecy...

Balistreri stracił panowanie nad sobą i rzucił się na niego. Czuł, jak krew napływa mu do głowy i rozsadza skronie, kiedy ścisnął Hagię za szyję. Strażnicy przybiegli, aby go powstrzymać. Na szczęście jeden z nich był górą mięśni, która bez trudu

oderwała Balistreriego od Hagiego.

Hagi pluł krwią i kaszłał, trzymając się za gardło. Ale wciąż patrzył szyderczym wzrokiem na Balistreriego znajdującego się w żelaznym uścisku przez strażników.

– Wezwijcie lekarza! – zawołał Corvu.

– Nie trzeba, to nic poważnego – powiedział Hagi, masując sobie szyję. Potem zwrócił się do Balistreriego: – Widzi pan, jak niewiele trzeba, żeby zabić? Ale pan już od dawna sam to wie, nieprawdaż?

– Dość tego – powiedział Corvu. – Odprowadźcie tę bestię do celi.

– Nie – powiedział Hagi. – Teraz jedziemy po Fiorellę Romani.

– Puśćcie mnie, już dobrze – powiedział Balistreri do strażników, którzy zwolnili uścisk, ale ustawili się pomiędzy nim a Hagim.

– Hagi, pan nigdzie nie jedzie – rzekł Corvu.

– No to pożegnajcie się z Fiorellą Romani. Będzie pan miał kolejnego trupa na sumieniu, Balistreri. Zresztą co to zmienia, jeden trup mniej, jeden więcej...

On chce twojej wściekłości. Chce, żebyś stał się taką samą bestią jak on.

Ta myśl go uspokoiła.

– Już panu nie wierzę, Hagi. Nawet pan nie wie, czy ona jeszcze żyje.

Hagi rzucił okiem na zegar ścienny. Za minutę pierwsza.

– Niech pan włączy komórkę, Balistreri.

Jest jeszcze coś, co chce zrobić: zniszczyć cię. To jego cena za uratowanie Fiorelli.

Gdy tylko telefon podłączył się do sieci, rozległ się dzwonek.

– Słucham – powiedział Balistreri.

Głos po drugiej stronie był pełnym przerażenia szeptem:

– Jestem Fiorella Romani, proszę was, przyjedźcie po mnie i przywieźcie mi Titti!

Koniec połączenia.

Balistreri zadzwonił do matki Fiorelli.

– Co to jest Titti?

Głos Franki Giansanti drżał.

– To jej ulubiona maskotka z dzieciństwa, kurczak Titti, dostała go od mojej matki. *Dottor Balistreri, co się dzieje?*

– Proszę nam zaufać. Dam pani znać jeszcze dziś.

Żeby wywieźć Hagiego z aresztu, nawet zakutego w kajdanki i z towarzyszeniem eskorty, potrzebna była zdecydowana interwencja kwestora u dwóch ministrów: spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.

– To szaleństwo, Balistreri. Ale wolę, żebyśmy wszyscy poszli na dno, byle tylko zrobić co się da i uratować tę dziewczynę – powiedział Floris.

– Panie kwestorze, porządny gość z pana.

– Dzięki, z pana też. Niech pan będzie ostrożny.

Balistreri odruchowo sięgnął pod prawe ramię i dotknął pustej kabury na beretę, którą zdeponował w więziennej wartowni.

Wrócił do pokoju.

– Gdzie mamy jechać, panie Hagi?

– Jak słyszę, jest piękna słoneczna niedziela. Dlatego dzisiejsze popołudnie spędzimy nad morzem. Pojadę z panem samochodem.

– Pojedziemy policyjną furgonetką – powiedział Corvu.

Ale Hagi był odmiennego zdania.

– Nie, weźmiemy normalny samochód, chcę cieszyć się widokiem z okna, to moja ostatnia wycieczka w życiu, jak sędzę. A jeśli nie będę nic widział, nie będę mógł wskazać wam drogi.

Po południu

Zorganizowali kolumnę pięciu samochodów: dwa pierwsze i dwa ostatnie z czterema uzbrojonymi agentami służby więziennej w każdym. Pomiędzy nimi samochód bez policyjnych oznaczeń. Corvu za kierownicą, Piccolo obok niego, Balistreri z tyłu razem z zakutym w kajdanki Hagim. Wyjechali o drugiej trzydzieści w samym środku popołudniowego skwaru. Termometr na tablicy rozdzielczej samochodu wskazywał czterdzieści stopni na zewnątrz.

– Jedźcie wzdłuż via Pontina w kierunku morza – nakazał Hagi.

Kiedy opuszczali centrum miasta, Hagi milczał. Zachłannie wpatrywał się w chodniki pełne turystów, w Tyber, ogródki restauracji. Na ulicach nie było wielkiego ruchu, w takim upale mieszkańcy Rzymu byli albo na plaży, albo na okolicznych wzgórzach. Dojechanie do via Pontina, szerokiej niczym autostrada drogi prowadzącej w stronę morza na południe od Rzymu, zajęło im zaledwie dwadzieścia minut.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Corvu.

– Cały czas prosto, mamy czas. – Widok rozciągający się za oknem zdawał się całkowicie pochłaniać uwagę Hagięgo.

Balistreri zrozumiał, że podróż nie będzie krótka.

– Niech mi pan zdejmie kajdanki i da zapalić, Balistreri – rozkazał Hagi.

– Kajdanków nie zdejmujemy – powiedział Corvu.

– W takim razie możemy zawrócić. To moje ostatnie papierosy i chcę je wypalić, mając wolne ręce, tak jak do tej pory.

– Niech mu pani uwolni prawą rękę i przykuje lewą do fotela – powiedział Balistreri do Piccolo.

Potem podał Hagiemu zapalonego papierosa.

– Nie ma pan już zapalniczki z Bella Blu? – zapytał Hagi, zaciągając się dymem.

A więc chcesz porozmawiać, draniu. Dobrze, porozmawiajmy.

– Kto czeka na nas nad morzem? – zapytał Balistreri.

Hagi się roześmiał.

– Niech pan nie będzie taki niecierpliwy, zobaczy pan, jak przyjedziemy. Ale jeśli ma pan inne pytania, może na niektóre odpowiem. Proszę korzystać z okazji, mam dziś dobry humor.

Balistreri zauważył ostrzegawcze spojrzenie Corvu w lusterku wstecznym. Ale miał już dość zachowywania ostrożności. Wydawało mu się, że wreszcie wie, kto zabił Elisę Sordi, ale to już nie miało znaczenia dla uratowania Fiorelli Romani. Widział obraz całości podobny do mozaiki, w której brakowało jeszcze pewnych twarzy, zwłaszcza jednej.

– Dobrze, panie Hagi, zacznijmy od Samantha Rossi. Dlaczego ona?

– Już panu powiedziałem. To Anna Rossi powiedziała Alinie, że zająłem się zwłokami Elisy, i przekonała ją, że powinna uciec ode mnie. To tak samo, jakby ją sama zabiła. Mógłbym zemścić się wprost na Annie. Ale sprawdziłem na własnej skórze, że największe cierpienie sprawia śmierć ukochanej osoby. Dlatego wybrałem jej córkę. Bardzo proszę, powiedzcie tej pani, że gdyby nie wściubiła nosa w nie swoje sprawy, jej córka by żyła.

Usłyszał głęboki oddech Giulii Piccolo i uspokajająco położył jej rękę na ramieniu. Hagi chciał ich sprowokować, ale musieli zachować spokój i skoncentrować się na jedynym celu tego dnia: na uratowaniu Fiorelli Romani.

– A dlaczego Nadia?

– Uf, zadaje pan pytania, na które już odpowiedziałem. Przypominała mi Alinę, a Alina mnie zdradziła.

Odpowiedź zupełnie nie przekonywała Balistreriego.

– To mi się wydaje mocno naciągane. Tym bardziej po tym, jak Camarà zobaczył pana z Nadią w sali prywatnej klubu Bella Blu.

Hagi pokręci głową.

– To nie byłem ja. Z Nadią mogłem się zobaczyć, kiedy tylko chciałem, a tam był ktoś, kto chciał ją poznać.

Piccolo odwróciła się gwałtownie.

– Colajacono! – krzyknęła.

Hagi kaszlał i śmiał się jednocześnie.

– Pani jest durna i zafiksowana na tym biedaku. Colajacono został tam wtedy zaproszony, żeby dało się go jeszcze bardziej powiązać z wydarzeniami, które miały nastąpić. Biedaczek, sądził, że chodziło o polityczny szantaż i że Nadia do tego nam była potrzebna. Pożyteczny idiota.

– Ale to pan zatelefonował do Vasilego, pan wjechał motocyklem Adriana na

wzgórze po starą alfę, zostawił tam motocykl, zabrał Nadię z ulicy, zawiózł ją do Vasilego i odjechał motocyklem... – Piccolo nagle urwała zagubiona.

Hagi się śmiał.

– Brakuje pani czegoś, prawda? A kto zabił Nadię?

– Nie – sprostował Corvu. – Pan pojechał motocyklem na wzgórze i tam go zostawił, wziął samochód, potem zabrał Nadię z ulicy około szóstej trzydzieści. Zwolnił pan, bo wziął Natalię za Nadię, udało się panu trafić na moment, że Nadia była sama.

– Żadne „udało mi się”. Nic mi się w życiu nie udało przez przypadek. Ja po prostu miałem dobrego pomocnika – powiedział spokojnie Hagi.

Balistreri już zrekonstruował tę część.

– Tego, któremu instrument nie stawał, kiedy był z Ramoną, dzięki czemu miał pan czas zabrać Nadię. Tego, z którym podjechał pan motocyklem po starą alfę potrzebną, żeby zabrać Nadię z via di Torricola. Potem osobno zjechaliście ze wzgórza, jeden motocyklem Adriana, drugi starą alfą. O osiemnastej zabrał pan z ulicy Nadię, kiedy ten drugi zajmował Ramonę. Później przekazał pan Nadię i samochód swojemu pomocnikowi. To on zawiózł ją do Vasilego, podczas gdy pan pojechał do domu, gdzie zostawił ukryty motocykl, a potem do Casilina, żeby zabrać prezenty dla dzieci.

Corvu i Piccolo spojrzeli z zaskoczeniem w lusterko wsteczne. Hagi klasnął w ręce.

– Brawo, Balistreri, zaczyna pan coś rozumieć po tych wszystkich latach. Niech pan mówi dalej, sam pan zobaczy, jak daleko zajdzie...

Balistreri zignorował prowokację i ciągnął:

– Pański pomocnik odczekał dwie godziny. W tym czasie Vasile uprawiał seks z Nadią, aż wreszcie zasnął zmożony alkoholem. Potem udusił Nadię i wyciął na jej ciele literę E. Alessandrini miał co do pana rację: nie jest pan typem, który gwałci, dusi i nacina dziewczyny.

Hagi przytaknął.

– Wolę sprawiać cierpienie tym, którzy pozostają przy życiu, nie tym, którzy umierają. Taka jest moja specjalność, panie Balistreri.

Balistreri nie skomentował i kontynuował rekonstrukcję wypadków:

– Po zakończeniu świętowania w Casilinie, kiedy inni udawali się na plac Świętego Piotra, pan pojechał motocyklem po swojego pomocnika. Zostawiliście na wzgórzu starą alfę i zjechaliście na dół motocyklem.

Hagi wyglądał na szczerze zadowolonego z postępów, jakie robił Balistreri, jakby wreszcie ktoś potrafił zrozumieć jego plan i podziwiać jego wielkość.

– Otóż to, Balistreri, właśnie tak. To on wyciął litery na wszystkich, łącznie z Elisą Sordi. Brzydka rzecz, ja nie byłbym do tego zdolny, ale mój pomocnik już taki jest. On lubi te rzeczy.

– Współpraca nawiązana dwadzieścia cztery lata temu – mówił dalej niewzruszony Balistreri. – Hrabia myślał, że Manfredi nie zabił Elisy, chciał, żeby ktoś porozmawiał

z nią, uspokoił ją i zaproponował jej ugodę. Dlatego najpierw zadzwonił po Francesca Ajella.

Hagi lekko skłonił głowę.

– Brawo, Balistreri, widzę, że dziś pański umysł funkcjonuje. Francesco miał złożyć jej ofertę w zamian za milczenie, ale kiedy wszedł do biura, dziewczyna była już martwa. I zadzwonił po mnie. Wysprzątaaliśmy dokładnie całe biuro, potem zanieśliśmy ciało do bagażnika mojego samochodu. Ajello pojechał oglądać mecz z przyjaciółmi, a ja zabrałem zwłoki nad rzekę. To było bardzo nieprzyjemne zadanie, zanim wrzuciłem ją do Tybru, musiałem jeszcze ponacinać i przypalać ciało papierosami, by upozorować długie tortury. Ale teraz już jestem zmęczony, Balistreri. Niech mi pan da jeszcze jednego papierosa i zostawi mnie w spokoju.

Przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. Hagi palił w milczeniu, patrząc na następujące po sobie tabliczki miejscowości. Pratica di Mare. Pomezia. Anzio. Nettuno. Była prawie czwarta trzydzieści i niemal żywej duszy na skwierczącej od słońca Pontinie.

Balistreri był niespokojny. Coś mu się nie zgadzało. Ten upór, by na ofiarę wybrać Nadię, był absurdalny. Gdyby nie ona i rozbity reflektor starej alfy, na Hagiego nie padłby nawet cień podejrzenia.

– Chciałbym porozmawiać o literach – niespodziewanie odezwał się Corvu.

– To młodzieńcza pasja mojego pomocnika udoskonalona z biegiem czasu – odparł Hagi, jakby chodziło o sztukę albo dyscyplinę sportową.

– Chciałbym wiedzieć, czy Ulli i Giovanni Sordi powinniśmy przypisać inicjał imienia tak samo jak pańskiej żonie.

To pytanie rozbawiło Hagiego.

– Pasjonują pana zagadki, prawda? Ja uważam je za dziecinadę, a nawet za coś niebezpiecznego dla mojego pomocnika. Ale jemu zależy na skompletowaniu napisu. Inicjał U jest właściwy dla Ulli. Zaś matka Elisy od śmierci córki nosiła na nadgarstku bransoletkę z grawerunkiem.

– Złote serce z literą „E” – zadziałała niezawodna pamięć Corvu.

– Ale już jest jedno „E” zaraz przed nią, wycięte na ciele Nadii – zaprotestował Balistreri.

– Dziś jest pan niezwykle bystry, Balistreri. To prawda, są dwa E, jedno po drugim. Mój pomocnik to bardzo dokładny człowiek, trochę jak Corvu. Uparł się, że potrzeba dwóch. Zresztą zabicie Giovanni Sordi było dla niego przyjemnością.

– Zabicie? – powtórzyła oszołomiona Piccolo.

Hagi chichotał, kaszłąc i plując krwią w chusteczkę.

– Genialne posunięcie, które ułatwił ten wasz idiotyczny mundialowy finał. Mój pomocnik spotkał się z nią tego dnia rano na mszy. I powiedział, że wyjawি jej prawdę o śmierci córki. Ale w zamian ona musi dołączyć do niej jeszcze tego wieczoru.

– Nie wierzę – powiedział Corvu. – Pani Giovanna była dewotką zniszczoną przez cierpienie, ale nie była głupia, nie uwierzyłaby mu.

– Widzi pan, mojemu pomocnikowi łatwo przyszło ją przekonać. Powiedział jej, że zna imię mordercy i poda jej w zamian za skok z balkonu. Kazał sobie przysiąc na Dziewicę Maryję, że to zrobi. Zresztą czy była po temu lepsza okazja niż kolejny finał mundialu? Kto wie, może gdyby Italia nie wygrała w karnych, starsza pani nie rzuciłaby się z okna. Ale w tym przypadku już on by zadbał, by jej pomóc. – Hagi kaszłał i chichotał.

Piccolo odwróciła się z furją, Balistreri rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– A jak udało się pana pomocnikowi przekonać ją, że naprawdę zna imię mordercy?
– zapytał Corvu.

– Bardzo prosto. Wyjawiał jej szczegóły, który mógł znać tylko ktoś, kto uczestniczył w ataku na Elisę. A on bez wątpienia mógł.

– W takim razie – podsumował Corvu – sekwencja jest taka: O, U, A, R, E, E, V, I i jeszcze jedna litera.

Hagi był szczerze rozbawiony tą dociekliwością.

– Widzę, że Corvu nie może się oprzeć tej zagadce, tak go pociąga. Skoro tak, dam mu małą podpowiedź. Kolejność jest poprawna, brakuje tylko pierwszej litery.

Corvu wziął zakręt, klnąc w czystym sardyńskim. Piccolo odwróciła się z iskrami w oczach i wyciągniętą bronią. Balistreri wystawił rękę między lufę pistoletu a twarz Hagiego.

– Piccolo, niech pani zabierze broń i skuje go z powrotem.

Starał się panować nad sobą. Ale niepokój, który odczuwał przed chwilą, powoli zamieniał się w podenerwowanie. Coś tu było nie tak. Jakby coraz bardziej przybliżało się trzęsienie ziemi, którego epicentrum było gdzieś daleko.

Prawda nigdy nie jest prostą. Prawda jest okręgiem. Pierwsza litera. Przed Elisą Sordi.

Telefon Angela Dioguardiego zadzwonił, kiedy stał na tarasie Lindy Nardi. Dochodziła piąta trzydzieści po południu.

Wrócił do mieszkania. Leżała skulona na kanapie, ubrana tak, jakby jej było zimno.

– To ksiądz Paul – powiedział. – Chce mi powiedzieć coś ważnego. Za godzinę w San Valente.

Smutno skinęła głową. Może właśnie nadszedł decydujący moment. Uśmiechnęła się do niego, czule pogładziła go po ręce.

– Dziękuję, Angelo.

Hagi popatrzył na znaki drogowe. Uprzedzały o zjeździe do Sabaudii za kilometr.

– Już niedługo będziemy na miejscu. Corvu, niech pan skręci do Sabaudii – powiedział.

Piccolo przez komórkę wydała instrukcje eskortującym ich agentom.

Cała kawalkada skręciła, przejechała długą, wysadzaną drzewami aleją i dotarła do białego placu w centrum Sabaudii z dzwonnica i monumentalnymi prostokątami faszystowskiej architektury. Stamtąd skierowali się ku plaży. Przybrzeżny teren pełen był samochodów zaparkowanych między wydmiami i wspaniałymi nadmorskimi willami. Jechali w ślimaczym tempie we wciąż oślepiających promieniach słońca, wzdłuż morza pełnego pływających ludzi, otoczeni rodzinami w kostiumach kąpielowych raczącymi się lodami albo rurkami z kremem. Hagi wybrał najbardziej absurdalny z możliwych scenariuszy, taki, by śmierć powoli wypełniła przestrzeń życia niczym bezbarwny i bezwonny, ale śmiertelny gaz w pięknym salonie pełnym ludzi.

– Brama wjazdowa do następnej willi jest otwarta – powiedział Hagi. – Zatrzymajmy się przed nią na chwilę. – Spojrzał na zegarek na ręku Balistreriego. – Dobrze, niemal piąta trzydzieści, jesteśmy nieco przed czasem. A więc zdążę wam powiedzieć, co macie robić, by ta podróż nie była na darmo.

– Co więc mamy robić? – zapytał cierpliwie Balistreri.

– Mój pomocnik jest w tym budynku z dziewczyną. Od piątej trzyma pistolet przy jej skroni, więc jeśli spróbujecie wtargnąć, Fiorella Romani umrze. Musicie zostawić mnie samego, to go przekonam, że odnajdziecie tego, kto zamordował Elisę Sordi.

– Nie ma mowy! – wyskoczył Corvu.

– Więc droga wolna – powiedział spokojnie Hagi.

– Pański pomocnik wiedział, że przyjedzie pan dziś o tej porze? – zapytał Balistreri.

– Oczywiście, to spotkanie było już wcześniej umówione. Wiedział, że ma zadzwonić o pierwszej na pańską komórkę, i zrobił to. Jeśli nie wejdę do środka o piątej trzydzieści, zabije ją. Jak pan widzi, jesteśmy bardzo precyzyjni, niczego nie zostawiamy przypadkowi – rzekł zadowolony z siebie Hagi.

Bawi się, to jego wielkie przedstawienie. Ale przygotowuje nam niespodziankę na sam koniec.

Mała, może pięcioletnia dziewczynka zapukała z uśmiechem w szybę samochodu, potrząsając lodem w wafelku. Hagi pomachał jej ręką. Mężczyzna w kajdankach, któremu zostało już niewiele życia. A jednak był wesoły i pogodny jak uczeń na szkolnej wycieczce nad morze. Balistreri starał się opanować rosnący niepokój. Wyjeżdżał z Rzymu z poczuciem, że ma wszystko pod kontrolą: wiedział, kto zabił Elisę Sordi, wiedział, kto czeka na niego w Sabaudii. Teraz nie był już tego tak pewny.

– Chcę pana słowa, że Fiorella żyje i że ją uwolnicie – powiedział.

– Musicie dać mi czas. Muszę wyjaśnić mu wszystkie kłamstwa, które powiedziano dwadzieścia cztery lata temu, i przekonać go, że sprawiedliwość jednak zatriumfuje.

Przysięgam na pamięć mojej żony, że Fiorella Romani wróci żywa do rodziny.

– Nie mogę zdjąć panu kajdanek – rzekł Balistreri. – Stanę przed willą i od czasu do czasu będę pana wywoływał. Jeśli mi pan nie odpowie, wchodzimy.

Hagi się uśmiechnął.

– Okej, ale proszę się nie martwić o moją integralność cielesną. Mój pomocnik nigdy by mnie nie skrzywdził. A teraz muszę już iść albo będzie za późno.

Wyprowadzili go z samochodu. Wątki, idący odrobinę chwiejnym krokiem człowieczek w kajdankach, kaszlący i plujący krwią na rozpalony słońcem asfalt, przystanął na chwilę, by nacieszyć oczy widokiem na morze i panującą dookoła zwykłą, banalną radością. Patrząc na niego, zawieszzonego w tym krótkim momencie między życiem a śmiercią, Balistreri nabrał pewności, że i on wraz z Hagim stoi na tej samej niepewnej granicy.

A potem Hagi wszedł do środka.

Gdyby w moim życiu był ojciec, całe życie nie upłynęłoby mi na szukaniu prawdy. Gdyby w moim życiu był ojciec, nasze cierpienia, cierpienia udreńczonych nastolatków, nigdy by się nie spotkały. Gdyby w moim życiu był ojciec, nie byłoby tych wszystkich zamordowanych kobiet. Niewidzialny Człowiek, obsesja Balistreriego, jest zatrutym owocem wielu win i wielu wyrzutów sumienia. Z moim włącznie.

Już od pół godziny Hagi przebywał w środku, Balistreri coraz bardziej nerwowo czekał z Corvu i Piccolo pod drzewem w ogrodzie, kilka metrów od hałaśliwych wczasowiczów. Od czasu do czasu wywoływał Hagięgo, który odpowiadał:

–Wszystko w porządku, rozmawiamy.

O szóstej trzydzieści Hagi spokojnie pojawił się w drzwiach. Zwrócił się do Balistreriego:

– Mój pomocnik chce, żeby pan osobiście przysiągł mu, że złapie mordercę Elisy.

– Nie ma mowy – odezwał się Corvu. – *Dottor* Balistreri nigdzie nie pójdzie, a pan już wraca.

Hagi popatrzył na Balistreriego.

– Przysięgam na moją żonę, że Fiorella Romani jest w środku i żyje. Jeśli pan wejdzie, przysięgam, że Fiorella wróci żywa do Rzymu. Inaczej...

Balistreri wiedział, że tylko wchodząc do tego domu, uratuje dziewczynę. Spojrzał na tętniącą życiem plażę, potem na ciemność za drzwiami cichej willi. Był gotowy zapłacić swoją cenę. Przypomniał mu się absurdalny, pozbawiony sensu błąd Angela Dioguardiego w telewizji.

Wszystko za wszystko.

Odwrócił się do Corvu i Piccolo.

– Okej. Jeśli nie wyjdę za dwadzieścia minut, wchodźcie.

Zobaczył, jak Piccolo z wściekłością wyciera łzę goryczy, usłyszał sardyńskie przekleństwa Corvu. Zaczęły się kolejne dyskusje i obiekcje, Balistreri uspokoił swoich zastępców, potem wszedł za Hagim do willi. Była szósta piętnaście.

O szóstej dwadzieścia na klatce schodowej Angelo i Linda się uściskali.

– Jesteś pewny? – powiedziała w ostatnim przyływie wątpliwości. To był ostatni moment, potem już nie będzie odwrotu.

– Najzupełniej – odparł, wchodząc do windy. Jakby zgarniał przed sobą stertę żetonów przed decydującym rozdaniem.

Dom był pogrążony w mroku i chłodny, okiennice zamknięte, światła zgaszone. Fiorella Romani siedziała przywiązana do krzesła, zakneblowana i skuta kajdankami. Ale żywa.

– Jestem z policji, Fiorello. Za chwilę zabiorę cię do domu, jeszcze tylko parę minut.

Dziewczyna drgnęła z emocji, Balistreri pogładził ją uspokajająco po włosach.

Hagi siedział w fotelu. W skutych kajdankami rękach trzymał wycelowany w niego pistolet.

– Niech pan siada, Balistreri. Mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia, zanim się pożegnamy na zawsze.

Balistreri usiadł naprzeciwko Hagiego. Był gotów spojrzeć prosto w twarz zła.

Życie polega na tym, by umrzeć dzisiaj po to, aby uratować niewinną osobę.

– Oczekuję, że dotrzyma pan obietnicy, panie Hagi – powiedział Balistreri, wskazując na Fiorellę.

– Zawsze dotrzymuję obietnic, Balistreri. Ale również mszczę się za doznane krzywdy. A to jest nasze ostatnie spotkanie.

Wyglądał jak wcielenie Lucyfera. Czarne worki pod oczami, krzaczaste brwi, przekrwione od gorączki białka oczu.

– Niech mi pan zapali ostatniego papierosa, Balistreri, i położy na stoliku, ale się nie zbliża.

Trzymając w jednej ręce pistolet, Hagi wziął zapalonego papierosa i wsadził sobie do ust. Z zewnątrz przeciskały się do środka nieliczne promienie słońca i dobiegały stłumione głosy plażowiczów. Granicę między życiem a śmiercią stanowiła drewniana okiennica wyblakła od słońca i soli.

Hagi łapczywie zaciągnął się dymem i wygodnie rozsiadł w fotelu. Z rozkoszą

smakował każdą chwilę własnego triumfu. Nie wyglądało, by się spieszył.

– Dlaczego to wszystko, Hagi? Zmowa z maniakalnym zabójcą i służbami specjalnymi, wszyscy ci martwi ludzie, wśród których byli także pańscy rumuńscy przyjaciele.

– To moi żołnierze, Balistreri. Zginęli w wojnie przeciwko waszemu cywilizowanemu narodowi fałszywych dewotów, kurewskich żon i skorumpowanych polityków. Jak ci, którzy intrygowali w sprawie Elisy Sordi i nastawiali Alinę przeciwko mnie. Ale wszyscy zapłacą za swoje winy.

– Rozumiem zemstę na Valeriu Bonie, Annie Rossi, kardynale. Rozumiem zemstę na mnie, bo pozwoliłem umknąć prawdziwemu mordercy Elisy. Ale co z tym mają wspólnego służby, Romowie, ENT, Dubaj...?

Hagi łąpczywie zaciągał się resztą papierosa.

– Rok temu zdiagnozowano u mnie raka płuc. Nieuleczalnego. Musiałem się spieszyć, a wojna błyskawiczna wymaga pieniędzy i sprzymierzeńców, Balistreri.

– Wciągnął pan Romów w tę historię, panie Hagi, by wzbudzić we Włochach nienawiść do nich. Pan i ta część służb, której pozwolił się pan wykorzystać.

– Balistreri, służby wykorzystały mnie, a ja wykorzystałem służby. Ja chcę zemsty, oni chcą wywrócić raz na zawsze polityczną równowagę, na której wasz gówniany kraj opierał się przez ostatnie sześćdziesiąt lat. I liczą na to, że wywołają falę powszechnej niekontrolowanej przemocy przeciwko Romom. Pomogliśmy sobie nawzajem z wielką przyjemnością.

– Jednak nic takiego się nie stanie. Włosi mają wiele wad, może i są rasistowscy, fałszywi i skorumpowani, ale nie są skorzy do brutalności i samosądów. Nigdy nie będzie powstania przeciwko Romom, a tym bardziej przeciw Rumunom.

– Myli się pan, Balistreri. Kolejny raz się pan myli. Następne morderstwo będzie straszliwe. Ofiarą będzie młoda Włoszka. I zostanie zmasakrowana. Włosi się ruszą, zapewniam. – Diabelski uśmiech, a raczej grymas. – A pan, Balistreri, będzie oglądał tę masakrę z siedzenia w pierwszym rzędzie.

Rozdajesz cierpienie tym, którzy przeżyją, nie zmarłym. Cierpienie wieczne.

Balistreri poczuł, że lodowacieje. Nagle zrozumiał, że był rozgrywany od samego początku.

Nie oni pojмали Mariusa Hagiego. To on ich wyszukał i sprowadził tutaj. Do tej willi nad morzem, między radość i śmierć.

– Pan kaszłał, kiedy masakrowali Samanthę i kiedy rozmawiał pan przez telefon z Vasilem. Specjalnie stłukł pan reflektor starej alfy, by ułatwić śledztwo. Wreszcie wybrał pan Nadię tylko dlatego, że można ją było powiązać z panem. Sam ściągnął pan do siebie policję, dał się złapać, by wreszcie przyjechać tutaj.

Lodowate oczy Hagiego patrzyły na niego ironicznie. Wraz z ostatnim zaciągnięciem żar papierosa oświetlił jego twarz w mroku.

– Wreszcie się pan boi, Balistreri?

Hagi był tylko połową zła. Drugą połową był Niewidzialny Człowiek, który zamordował te dziewczyny i oszczędził mu życie tamtej nocy na wzgórzu.

Wciąż nie dowierzając, Balistreri poczuł zimne ostrze strachu. Nigdy nie bał się śmierci, odkąd trzydzieści sześć lat wcześniej przestał kochać samego siebie. Ale to był strach gorszy od śmierci, strach przed śmiercią za życia. Kara orzeczone przez diabła, nie przez Boga.

Niewidzialny Człowiek czuł się jednocześnie pełen euforii i odrobinę przybity. Już niedługo, jeszcze tego wieczoru rachunki zostaną wyrównane, wszyscy jego wrogowie zniszczeni, a wielki plan w pełni zrealizowany. Pomyślał o tym, przez co sto kilometrów dalej przechodzi teraz Balistreri, i pozwolił sobie na uśmiech.

To jeszcze nic wobec tego, jak będzie cierpiał później. Ale ja już nie będę miał żadnej misji do spełnienia.

Wyjechał z Sabaudii kwadrans po trzeciej, kiedy informator dał mu znać, że pięć policyjnych samochodów z Mariusem Hagim opuściło więzienie Regina Coeli. Przed wyjazdem zdążył jeszcze w nadmorskiej restauracji położonej niedaleko willi zjeść doskonałego strzępiela pieczonego w soli i popić kieliszkiem białego wina.

Do Rzymu przyjechał o piątej, w samą porę na pierwsze zadanie, które wykonał z łatwością. Kolejny rachunek wyrównany, kolejny wróg zniszczony.

Kwadrans po szóstej zaparkował pod domem. O szóstej dwadzieścia pięć zobaczył, jak tamten mężczyzna wyjeżdża swoim samochodem. Sztuczka zadziałała, przez godzinę będzie sama, a Hagi zajmie Balistreriego w Sabaudii. Wystarczająco dużo czasu, by zrobić sobie wspaniałe święto i zostawić ślady, które Hagi zabrał z obozu Casilino, by rzucić oskarżenie na Romów.

Postanowił odczekać dziesięć minut. Dla pewności, że mężczyzna nie zawróci. Była szósta trzydzieści. Jeszcze pięć minut.

O szóstej trzydzieści Balistreri nagle wstał. Hagi nic nie zrobił, by go zatrzymać, ograniczył się tylko do pójścia w ślad za nim z pistoletem w dłoni. Zrozumiał dobrze: Hagi chciał zająć go jak najdłużej, ale nie mógł go zabić. Taka była umowa między Hagim a Niewidzialnym Człowiekiem.

Przeszedł szybko przez korytarz i otworzył drzwi, które prowadziły do piwnicy. Natychmiast poczuł mdlący zapach śmierci. Nawet nie pomyślał, by chwycić za berettę. Kiedy szedł w mroku po drewnianych schodach, czuł, że każdy stopień przybliży go jednocześnie do zła i do prawdy.

Znalazł się w wilgotnym, mrocznym pomieszczeniu, za jego plecami stanął Hagi

z pistoletem w dłoni. Przez półotwarte drzwi na końcu piwnicy przebijało światło. Zapach śmierci pochodził stamtąd. Otworzył na oścież.

Mecenas Francesco Ajello leżał na plecach. Był nagi, ręce i nogi przywiązane miał do czterech rogów łóżka, do gardła wepchnięto mu odciętego penisa i jądra. Wnętrznosci wyciągnięto na zewnątrz przez ogromne rozcięcie na brzuchu i rozrzucono na prześcieradle i posadzce.

Balistreri poczuł odruch wymiotny i zachwiał się. Hagi popchnął go tak, że padł na ziemię w wymioty, krew i wnętrznosci. Potem wycelował w niego pistolet.

– Niech pan się nie rusza.

W przebłysku świadomości Balistreri przypomniał sobie, że Hagi tylko stara się zyskać na czasie i że nie może go zastrzelić.

Poderwał się z rozpaczliwą siłą na nogi. Hagi cofnął się o trzy kroki i skutymi rękami przystawił sobie pistolet do skroni. Po raz ostatni spojrział demonicznym wzrokiem, oszalałym z nienawiści karmionej przez całe życie.

– Pierwsza litera to „Y”, a ty już jesteś martwy, Balistreri.

Potem wystrzelił. Była szósta trzydzieści pięć.

O szóstej trzydzieści pięć Niewidzialny Człowiek metodycznie sprawdził użyty niedługo wcześniej pistolet, skalpel noszący jeszcze ślady krwi Ajella i uniwersalny klucz do otwierania drzwi. Miał czterdzieści pięć minut, będzie pozorował kradzież z włamaniem. W foliowej torebce przyniósł włosy i kawałki paznokci dwóch Romów z Casilina 900, które dał mu Hagi.

Nałożył rękawiczki chirurgiczne. Właściwie zbyt ostrożność, nikt nie będzie szukał w środku jego DNA. Wyruszył na ostatnią misję. Bramę na dole otworzył z łatwością. Nie wsiadł do windy. Każdy krok po tych schodach oddalał go od starego nieznośnego cierpienia i przybliżał do życia.

Gdyby za pierwszym razem, z nią, sprawy potoczyły się inaczej, może nie zabiłbym wszystkich pozostałych. Z początku często sam siebie o to pytałem. Po tylu latach nie wiem już nawet, ile ich było, i moje pytanie brzmi inaczej: Czy byłbym lepszą istotą, gdybym w przebłysku szaleństwa zabił tylko ją jedną?

Podczas gdy Corvu z agentami przeszukiwał willę, a Piccolo zajmowała się Fiorellą Romani, Balistreri w paru słowach poinformował o wszystkim kwestora, który uprzedził go, że już wysłał po nich śmigłowiec, by przyspieszyć bieg spraw. Po paru minutach, o szóstej czterdzieści pięć, on, Corvu, Piccolo i Fiorella Romani byli już w powietrzu.

Niebo zasnuło się chmurami i zbierało się na jedną z tych pięknych burz, które

z upływem czasu nauczył się kochać. Jednak dzisiaj przypomniła mu ona o szarym świcie tego dnia, kiedy Ulla dei Banchi di Aglieno rzuciła się ze swego tarasu.

Targany niepokojem nałożył słuchawki i wyciągnął się na fotelu. Z wysoka widział plażowiczów biegnących w poszukiwaniu schronienia przed deszczem, którego pierwsze krople spadały na plażę.

Pierwsza litera to Y. A ostatnia nie została wyryta na ciele Fiorelli Romani. Y
O U A R E E V I?

Przypomniał sobie, gdzie już widział ten napis: YOU ARE EVIL – Jesteś złem.

Tam, gdzie od samego początku czułem, że trzeba szukać. Już w 1982 roku.

– Linda – wyjęczał. – Linda.

Śmierć przed śmiercią, Balistreri. Twoje wieczne potępienie.

O szóstej czterdzieści Niewidzialny Człowiek wszedł bez przeszkód do środka, nie robiąc hałasu. W mieszkaniu było cicho i spokojnie.

Zachodzące słońce prześwitywało przez drzwi prowadzące na taras. Siedziała tam zwrócona plecami do mieszkania i patrzyła w stronę Bazyliki Świętego Piotra.

– *Ciao, Lindo* – powiedział Niewidzialny Człowiek. Czekał dwadzieścia cztery lata, by móc powiedzieć znowu te dwa słowa, które skierował do swojej pierwszej ofiary, do Y.

Odwróciła się powoli, spokój malował się na jej twarzy.

– *Ciao, Manfredi.*

Widziała już jego zdjęcia, na których ze zoperowaną twarzą, w białej koszuli, uśmiechnięty otwierał nowy pawilon szpitala w Nairobi o poranku w dniu Bożego Narodzenia, kilka godzin po tym, jak w Rzymie zabił Nadie.

Kiedy poznała go w Kolegium Karola Wielkiego, był taki sam jak ona: inteligentny, wrażliwy i samotny. I ciężko naznaczony przez deformację twarzy i obecność koszmarne ojca, tak jak ją nazaczyła nieobecność ojca, którego nigdy nie znała. Był chłopakiem udręczonym poszukiwaniem miłości, która upewniłaby go, że warto żyć.

Linda myślała o tym tyle razy przez te wszystkie lata.

Gdyby pierwszy raz, wtedy z nim, sprawy potoczyły się inaczej, gdybym wzięła pod uwagę tylko to, jak jest inteligentny, wrażliwy i nie odrzuciła go przez zdeformowaną twarz, może Manfredi nie zabiłby wszystkich pozostałych.

Jednak w ciągu tych ostatnich dwunastu miesięcy rozumiała, że niezależnie od zmian, które zaszły na twarzy Manfrediego, nic już nie może cofnąć tego, kim stał się ten samotny chłopak. Dobroczynca najbiedniejszych Afrykanów i morderca niewinnych kobiet. Chłopak-potwór, który chciał zostać księciem z bajki, był teraz księciem z bajki, który pozostał potworem i nie przestanie mordować. Siewcą cierpienia i śmierci pragnącym ukarać świat, który go odrzucił.

Manfredi zbliżył się do Lindy.

– Zapowiedziałem ci swoją wizytę.

– Tak, tą karteczką rok temu. A potem te dziewczyny, zabite i naznaczone. Wiedziałam, że prędzej czy później tutaj przyjdiesz. To było nieroztropne.

To prawda, pomyślał Niewidzialny Człowiek. Ta karteczka była nieroztropną słabością. Ale pragnienie, by wzbudzić w niej przerażenie, było nieodparte. Poza tym jest przecież niezwykły.

– Dobrze, Lindo, na szczęście mamy trochę czasu na to, co zamierzam. Moja twarz podoba ci się teraz bardziej niż wtedy?

– Widziałam już wiele twoich zdjęć, Manfredi. Zrobionych w Afryce.

– Doprawdy? A kto ci je dał?

– Angelo Dioguardi. Dziesięć dni temu pojechał do Kenii, żeby ich poszukać. I odkrył także wszystkie te młode miejscowe dziewczyny, zamordowane i naznaczone nacięciami przez ostatnie dwadzieścia cztery lata.

Manfredi się roześmiał.

– Ćwiczyłem dla ciebie, Lindo. Z miejscowymi to nie było tak zabawne, ale nabrałem wprawy przy Samancie, Nadii, Selinie i Ornelli.

– Jeśli mnie zabijesz, Angelo Dioguardi cię zadenuncjuje.

Manfredi popatrzył na pistolet, który trzymał w rękę, dotknął skalpela w kieszeni. Będzie miał dużo radości.

– Wiesz, Lindo, dziś wyrównuję rachunki ze starymi wrogami i zawodnymi współnikami. Z jednego wyprułem flaki przed obiadem, potem odwiedziłem tę glizdę, księdza Paula, powiernika Elisy. Zanim go zabiłem, zmusiłem go jeszcze, by zadzwonił do Angela i poprosił, by pojechał do niego. Angela chciałem oszczędzić, bo tylko on nie oskarżył mnie w osiemdziesiątym drugim i jest jedynie niegroźnym chujkiem. Ale skoro tak się rzeczy mają, zajmę się tobą, a potem poczekam tu na niego, będę musiał i z nim zrobić porządek.

Komórka Lindy zaczęła dzwonić. Najpierw ona spojrzała na wyświetlacz, potem Manfredi.

– To Michele Balistreri.

Wtedy, za pierwszym razem, każdy z nas mógłby się znaleźć na moim miejscu. To nimi, żyjącymi bez wyrzutów sumienia i bez honoru, pragnę się zająć. A szczególnie jednym.

Było trochę za wcześnie na ten telefon, coś musiało pójść niezgodnie z planem. Kolejna nieostrożność, jak ten bilecik wrzucony do skrzynki pocztowej Lindy rok temu. Dwie słabości genialnego planu. Ale to było usprawiedliwione ryzyko, przerażenie Lindy Nardi i Michele Balistreriego było niczym miód na jego serce.

Wziął komórkę Lindy i odebrał.

– Halo, Linda? – Głos Balistreriego był rozpaczliwym krzykiem na tle ogłuszającego

łoskotu łopat śmigłowca.

- Nie – powiedział Manfredi spokojnym tonem.
- Angelo, to ty? – zapytał Balistreri zbity z tropu.
- Nie, Balistreri. Pamiętasz tę noc na wzgórzu? Ja jestem śmiercią.

Manfredi rozłączył się, kierując pistolet w stronę Lindy. Był trochę niezadowolony, ponieważ musiał się teraz spieszyć, a miał nadzieję, że spędzi z nią więcej czasu. Ale ta rozmowa była nagrodą za wszystko. Balistreri spędzi resztę swoich dni, przeklinając siebie.

– Przykro mi, Lindo, niestety muszę się spieszyć. Niedługo Balistreri przyjedzie płakać nad twoimi zwłokami.

Zawahała się. Wciąż miała dla niego odrobinę współczucia, zrozumienia całego cierpienia, które sprawiło, że stał się tym, czym jest. To, że odrzuciła Manfrediego, popchnęło go do przemocy, do pierwszej zbrodni. Słodki chłopak, który naprawdę kochał Lindę. Odrzuciła go, ponieważ jego twarz była zdeformowana. A on ją zniszczył i wyruszył w swoją podróż śmierci.

To nie jest zemsta za to, co mi zrobiłeś. To za wszystkie te zamordowane dziewczyny. Za wszystkie, które zabiłbyś jeszcze. Ponieważ ty jesteś złem, Manfredi.

Zamknęła oczy.

– Zabij go – powiedziała cicho.

Manfredi wyczuł obecność za plecami, zanim jeszcze usłyszał:

– Jestem tutaj, Manfredi.

Rozpoznał głos i uśmiechnął się. Z pewnością nie bał się tego dorosłego chłopca bez jaj, zresztą nigdy nikogo się nie bał. Odwrócił się powoli, bez pośpiechu, przygotowując się do strzału.

Jednak Angelo Dioguardi już od dawna był przygotowany na tę chwilę. Jego beretta combat combo kaliber 40 wystrzeliła pięć pocisków jeden po drugim.

Śmigłowiec z Balistrerim wylądował na dachu ministerstwa o siódmej. Piccolo zabrała Fiorellę Romani do biura, a on razem z Corvu popędzili na syrenie do mieszkania Lindy Nardi. Dojechali w mniej niż dziesięć minut.

– Corvu, zaczekaj na dole i nie pozwól nikomu wejść na górę.

Corvu zaprotestował, ale Balistreri już wbiegał po schodach z pistoletem w rękę i sercem podchodzącym do gardła.

Linda nie żyje. Życie się skończyło.

Drzwi do mieszkania były uchylone. Wbiegł i zatrzymał się. Linda spoczywała na kanapie. Angelo Dioguardi siedział sztywno obok niej, drżały mu ręce. Koło jego stóp leżała beretta combat combo. Ciało Manfrediego było na posadzce w kałuży ciemnej krwi.

Balistreri poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, a kolana uginają się pod wpływem napięcia i nagromadzonego przez całe życie zmęczenia. Kiedy przykucnął obok nich, jego wycieńczone ciało przeszedł dreszcz.

Chciał objąć ich oboje, ale ramiona odmówiły mu posłuszeństwa. Chciał podzielić ich desperację i radość, lecz nie mógł otworzyć ust.

Nareszcie rozumiał. Nie tylko to, co było już oczywiste, ale także to, co cierpienie zagrzebało w czasie, również te prawdy, które są niemożliwe do wypowiedzenia. Popatrzył na swoje ręce, potem na Angela, potem na ciało Manfrediego.

Wtedy, za pierwszym razem, każdy z nas mógłby się znaleźć na jego miejscu. Wszyscy jesteśmy zdolni zabić. Ja, Hagi, Manfredi, nawet Angelo.

Później Angelo otworzył usta. Spojrzenie miał zagubione w próżni.

– Michele, między mną a Lindą nigdy nic nie było.

Zdanie patetyczne i nie na miejscu, niepotrzebne, a jednak konieczne. Oto cały Angelo Dioguardi. Taki jak dawniej sympatyczny, serdeczny chłop, trochę ślamazarny i prostoduszny, pokerzysta o międzynarodowej sławie i człowiek, który pomaga potrzebującym, zupełnie jak Manfredi.

Z tym chłopakiem, a potem mężczyzną przez ostatnie dwadzieścia cztery lata spędził wiele nocy na grze w pokera i rozmowach w samochodzie aż do świtu. A teraz on poświęcił się zamiast niego. Zrobił dla niej to, czego on zrobić nie chciał.

Dzisiaj zabiłbym tylko wtedy, gdybym był zmuszony. Ale ona chciała, by Niewidzialny Człowiek zginął, a nie trafił do więzienia. I Angelo był właściwym człowiekiem do tego zadania.

– Wiem, Angelo, teraz już wiem. Ale powinniście mi to byli powiedzieć, ja powinienem to zrobić, nie...

– Tak było właściwie, Michele, to musiałem być ja.

Balistreri opuścił głowę i pogładził go. Nie mógł się temu oprzeć. Potem popatrzył na Lindę. Ale ona nie patrzyła na niego. Nigdy już na niego nie popatrzy. Trzymała za rękę Angela jak małe dziecko, które trzeba ochronić.

Zamiast wezwać policję, Balistreri polecił Corvu wejść na górę i we dwóch kazali sobie wszystko dokładnie opowiedzieć.

Linda była niezwykle spokojna. Nie patrząc ani razu na Balistreriego i nie wypuszczając ręki Angela, zaczęła opowiadać swoją historię:

– Oboje chodziliśmy do Kolegium Karola Wielkiego, ja byłam w gimnazjum, on w liceum. Manfredi był inteligentnym, wrażliwym chłopakiem. Nikt nie był zdolny słuchać mnie i rozumieć tak dobrze jak on.

Balistreri patrzył na nią, próbował nawiązać kontakt wzrokowy. Ale tego, czego w jej oczach szukał, już tam nie było.

– Byliśmy oboje zranieni przez życie. Ja bez ojca, on z ojcem nadmiernie obecnym w jego życiu i z tą zdeformowaną twarzą.

Linda zamilkła na chwilę. Zdawała się szukać dobrze wyważonych słów, by dać wyraz tym straszliwym wspomnieniom.

– Któregoś dnia, to był początek osiemdziesiątego drugiego roku, przechadzaliśmy się w położonym na uboczu zakątku parku Villa Borghese. Manfredi wyznał mi miłość i próbował mnie pocałować, ja uśmiechnęłam się, by oddramatyzować swoją odmowę, on poczuł się wyśmiewany i wymierzył mi policzek, a potem zaczął mnie okładać.

Znów pauza, znów nie spojrzała na Balistreriego.

– Nie udało mu się mnie zgwałcić, był impotentem. Wtedy wpadł w szał. Wrzeszczał, że jest taki przez swoją twarz i przez nas, przez dziewczyny, bo szydzimy z niego. Wyglądał jak obłąkany. Wyjął z kieszeni nożyk i wyciął mi małą literę Y między piersiami.

Odruchowo podniosła rękę do piersi, tych znieważonych piersi. Kiedy Balistreri chciał ją pojąć, właśnie piersi, nie srom, zakryła ręką.

– Wreszcie mnie puścił. Udało mi się dotrzeć na pogotowie. Policji powiedziałam, że zaatakowała mnie grupa narkomanów, jedynie matce wyznałam prawdę.

– Dlaczego nie zgłosiłyście przestępstwa?

– Byłam wykolejoną dziewczyną, często upaloną marihuaną, bez wielkich oporów sypiałam z chłopakami. Odrzuciłam tylko jego, najbardziej wrażliwego, jedyne, któremu naprawdę na mnie zależało. I wiesz czemu? Z powodu jego twarzy.

– Miałaś wszelkie prawo tak zrobić, Lindo. To był twój wybór.

Wreszcie odwróciła się i spojrzała na niego.

– Tak, to był mój wybór. Ale jemu nie dałam wyboru, ani wtedy, ani dzisiaj.

– Nie pomyślałaś, że może to samo zrobić innym dziewczynom?

– Na początku nie, również dlatego go nie oskarżyłam. Potem, kiedy w telewizji podano, że został aresztowany pod zarzutem zamordowania Elisy Sordi, chciałam go oskarżyć. Ale jego matka popełniła samobójstwo i powiedziano, że to wszystko była pomyłka. Nie chciałam, by znów przeze mnie cierpiał.

– A z tobą się już nie kontaktował?

– Nie. Manfredi pojechał do Afryki, a ja zaczęłam życie od nowa. Przy ogromnej pomocy mojej matki udało mi się zapomnieć. Przez lata myślałam o Manfredim nie jak o potworze, ale jak o ofierze. Mojej ofierze.

Znał już Lindę Nardi. Zło, które wyrządził jej Manfredi, przyjęła z wyrozumiałością świętej Agnieszki.

– A potem wrócił – powiedział Balistreri.

Linda skinęła głową.

– Rok temu, po śmierci Samantha Rossi, znalazłam w skrzynce na listy bilecik. Było na nim napisane: *Wróciłem*.

Jedyny prawdziwy błąd Niewidzialnego Człowieka. To było silniejsze od niego, silniejsze od niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiał, pisząc ten bilecik. On, niezwyknięty, musiał wzbudzić przerażenie w Lindzie Nardi, swojej pierwszej porażce, od której zaczęła się jego przekłeta działalność.

– Dlaczego nawet wtedy tego nie zgłosiłaś? – zaprotestował Balistreri.

– Na początku nie byłam nawet pewna, że to on. Ty nie chciałeś mi powiedzieć, czy na ciele Samantha wycięto jakąś literę. Zleciłam więc śledztwo prywatnemu detektywowi, ale okazało się, że nie da się potwierdzić pobytu Manfrediego w Italii, kiedy zginęły Samantha i Nadia.

– Potem powiedziałem ci, że klient Ramony był impotentem, i wtedy zrozumiałaś, że to on – przypomniał sobie Balistreri.

– Tak. I powiedziałaś mi też wtedy o śmierci Aliny Hagi. Więc zaczęłam myśleć również o Elisie Sordi. A po samobójstwie Giovanni Sordi zrozumiałam, że trzeba go powstrzymać. Raz na zawsze.

Ponieważ twoja tolerancja jest równa twojej determinacji. Ja bym go aresztował, a ty chciałaś, by zginął.

Raz jeszcze okazało się, że czyta mu w myślach.

– Dzięki wpływom ojca uznano by go za chorego psychicznie i wsadzono do szpitala psychiatrycznego zamiast do więzienia. Potem uciekłby do Afryki. I dalej by zabijał kobiety.

Balistreri spojrział na Dioguardiego.

– I przekonałaś Angela, by ci pomógł.

– W pojedynkę nie mogłam tego zrobić. Wyjaśniłam Angelowi sytuację, opowiedziałam mu wszystko. Ale pomysł był od początku do końca mój, on nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Angelo słabo zaprotestował, lecz mówiła dalej:

– Powiedział „tak” i przygotowaliśmy się. Angelo był cały czas ze mną, czekaliśmy, aż Manfredi znajdzie sposób, by się do mnie zbliżyć. Dzisiaj, kiedy zadzwonił ksiądz Paul, zrozumieliśmy, że to już. Angelo wyszedł w taki sposób, żeby Manfredi mógł go zobaczyć. Potem przez podziemny garaż wrócił do domu i schował się w kuchni, zanim jeszcze Manfredi wszedł po schodach.

Balistreri zamknął oczy. Zabójstwo z premedytacją. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności łagodzące, karą będzie wieloletnie więzienie dla obojga.

O tym jednak nie mogło być mowy. Nawet jeśli Manfredi zasługiwał na jakikolwiek inny rodzaj sprawiedliwości, to już była sprawa Boga, jeśli istnieje. Niezależnie od krzywd, jakich doznał w swoim życiu, łącznie z tymi, które wyrządzili mu Balistreri, Linda czy Dioguardi, Manfredi żył o dwadzieścia cztery lata za długo, mordując w tym czasie wiele osób. Angelo Dioguardi i Linda Nardi zrobili to, co powinien był zrobić on, gdyby jeszcze miał jaja.

Balistreri i Corvu poinstruowali ich dokładnie, co powinni, a czego nie powinni mówić policji. Potem zadzwonili do Florisa i dopiero kiedy Balistreri dogadał się z kwestorem, zawiadomiono policję.

Nikt nie zapytał Balistreriego i Corvu, o czym rozmawiali z Angelem i Lindą przez ponad pół godziny, zanim zawiadomili kwestora. Nawet ślad tej rozmowy nie figurował w żadnym raporcie. Nie bacząc na oczywisty konflikt spowodowany więzami przyjaźni, Floris i prokurator zgodzili się, żeby to Balistreri i Corvu odebrali zeznania od obojga. Nikt inny ich nie przesłuchiwał, prokurator ograniczył się do zaprotokołowania odpowiedzi.

Wersja Dioguardiego była bardzo prosta. Od lat chodził na strzelnicę, był tam także tego dnia wraz ze swoją kochanką Lindą Nardi, miał na to świadków. Potem pojechał do Lindy na obiad, zabrał torbę ze słuchawkami, rękawicami i bronią, bo wolał ich nie zostawiać w zaparkowanym na ulicy samochodzie.

O szóstej dwadzieścia zszedł do samochodu, by poszukać otwartego kiosku z papierosami, ale kiedy tylko ruszył, przypomniał sobie, że zostawił portfel z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym w torbie z bronią u Lindy w kuchni. Wrócił do domu wejściem od garażu. Linda była na tarasie, on poszedł do kuchni po portfel.

Stamtąd usłyszał głos Manfrediego, groźby pod adresem Lindy, wyznanie, że to on zabił wszystkie dziewczyny, telefon od Balistreriego. Wyciągnął berettę z torby i wyszedł na taras. Manfredi stał do niego plecami. Wtedy rozkazał mu rzucić pistolet i podnieść ręce. Ale Manfredi odwrócił się do niego i wycelował broń, więc strzelił do niego pięć razy.

Wieczorem

Podczas spotkania późnym wieczorem z kwestorem i szefem policji nikt nie zagłębiał się w niewiarygodny ciąg zbiegów okoliczności: powrót Dioguardiego z garażu, nabity pistolet na podorędziu. A przede wszystkim nikogo nie dziwiło nadzwyczajne tempo reakcji Dioguardiego: kiedy Manfredi odwrócił się, by strzelić, położył go trupem. Jakby nie tylko broń miał gotową, ale i był nastawiony na to, żeby zabić.

Tak więc wykluczono zarówno przekroczenie granic obrony koniecznej, jak i zabójstwo z premedytacją.

Rekonstrukcja ruchów Manfrediego okazała się bardzo prosta. Wyjechał z via della Camilluccia już po spotkaniu z Balistrerim w sobotę wieczorem i dołączył do Ajella w jego willi w Sabaudii, gdzie adwokat pilnował Fiorelli Romani. W niedzielę rano wrzucił Ajellowi do picia środek nasenny i przywiązał go do łóżka. Kiedy adwokat się obudził, wypatroszył go. Kolejny niewygodny świadek mniej, podobnie jak Colajacono i Pasquali.

Potem spokojnie wyjechał z Sabaudii, zjadłszy obiad w restauracji. W portfelu miał jeszcze rachunek. Zadzwoił z komórki do księdza Paula, co potwierdziły billingi, i poprosił o spotkanie.

Przyjechał do San Valente krótko po piątej. Paul był sam, dzieci wraz z wolontariuszami pojechały nad morze. Wymusił na nim, by zadzwonił do Angela Dioguardiego i umówił się na spotkanie. Potem zaprowadził go do piwnicy, zastrzelił, zamknął ciało w komórce, a klucze zabrał. W końcu pojechał do Lindy Nardi. Ciało księdza Paula policja odnalazła w jednej z komórek w San Valente tego samego wieczoru.

Ramona natychmiast rozpoznała Manfrediego na fotografii, którą mailem wysłali jej do Bukaresztu. To on był tym klientem, przez którego straciła dużo czasu, bo nie miał wzvodu. Hagi przekazał mu Nadię wraz ze starą alfą i wrócił po niego motocyklem Adriana do szopy na wzgórzu po tym, jak Manfredi zabił dziewczynę. Zostawili motocykl w garażu Hagiego i wzięli auto z wypożyczalni, do niego Manfredi zabrał Ramonę.

Hagi odwiózł go na lotnisko Roma-Urbe, gdzie zdali samochód, a na Manfrediego czekał samolot należący do ENT, by zabrać go do Zurychu, skąd regularnymi liniami odleciał do Nairobi. Dzięki temu, mimo dwóch godzin różnicy czasu, zdążył na uroczyste otwarcie pawilonu szpitalnego. Pytanie, dlaczego nazwisko Manfrediego nie pojawiło się na liście pasażerów, pozostawało otwarte, ale na to Balistreri miał własną odpowiedź.

Wszystko to była czysto robocza rekonstrukcja, nie było żadnych dowodów obecności Manfrediego na miejscu zbrodni, nawet w przypadku śmierci Ajella i Paula. Co do Giovanny Sordi, możliwe, że podszedł do niej w niedzielę rano po mszy. Manfredi był z Elisą, kiedy zadzwoniła do niej matka, więc znał treść tej rozmowy, czym przekonał Giovannę Sordi. Kolejna spekulacja na potrzeby śledztwa.

Jedyną pewną rzeczą była napaść na Lindę Nardi. Podczas tego długiego wieczornego spotkania w dniu 23 lipca wszyscy – przedstawiciel rządu, kwestor, prokurator, śledczy – byli zgodni, że należy wyciszyć całą sprawę. Tragiczny koniec Manfrediego zbagatelizowano i wyłączono ze sprawy. Ot, dawny kolega z Kolegium Karola Wielkiego podrywał Lindę, kłótnia z aktualnym chłopakiem i tragiczny finał. Żadnych seryjnych zabójców, żadnych skalpeli, nic.

Winą za morderstwa młodych kobiet zostanie obciążony Marius Hagi, który zawsze był obecny na miejscach zbrodni. Doskonały kozioł ofiarny. Hagi zginął podczas wymiany ognia z policją w czasie dramatycznej akcji uwalniania Fiorelli Romani. Mecenas Ajello był jego współnikiem, Hagi zamordował go, kiedy wszedł do willi. Jak mógł to wszystko zrobić, skoro był nieuzbrojony i skuty kajdankami, nie wyjaśniono.

Młody hrabia Manfredi dei Banchi di Aglieno nie miał nic wspólnego ze śmiercią

młodych kobiet, również z morderstwem w 1982 roku. Sprawa Elisy Sordi pozostawała nierozwiązana.

Hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno dowiedział się o tragicznym incydencie, w którym stracił życie jego syn, od skonsternowanego szefa policji, kiedy był jeszcze na lotnisku w Nairobi i czekał na nocny lot do Frankfurtu.

Balistreri zaakceptował to wszystko bez zastrzeżeń. Udało mu się też uzyskać gwarancję, że nazwisko partnera Lindy Nardi, który przypadkowo zastrzelił Manfrediego dei Banchi di Aglieno, będzie utajnione w archiwach prokuratury. Słaby sekret, ale pozwoli mu przynajmniej zyskać na czasie.

Noc z niedzieli na poniedziałek, 23/24 lipca 2006

Balistreri wysłał wszystkich do domu i na całą noc zamknął się w gabinecie. Myślał o tym, co powiedział Marius Hagi. *Wojna błyskawiczna wymaga pieniędzy i sprzymierzeńców, Balistreri. Służby wykorzystały mnie, a ja wykorzystałem służby. Pomogliśmy sobie nawzajem.*

W pewnym momencie swego życia Marius Hagi spotkał Manfrediego i stali się sprzymierzeńcami. Przypadkowe spotkanie? Bardzo mało prawdopodobne. Ktoś ich ze sobą skontaktował. Ktoś, kto dobrze znał ich obu, wiedział, gdzie są źródła ich nienawiści, skąd się bierze ich pragnienie zemsty. Hagi chciał się zemścić na środowiskach katolickich, które zbuntowały Alinę przeciw niemu. Manfredi nienawidził młodych kobiet, które upokarzały go w młodości.

Najpierw Linda, potem Elisa: obie okaleczył, lecz żadnej nie zamordował.

I tak wraz z Hagim wybrali pierwszą ofiarę: młodą kobietę, Samanthę, doskonałą dla Manfrediego, a tym bardziej dla Hagiego, córkę Anny Rossi, która zbuntowała Alinę przeciw mężowi. Ale to im nie wystarczyło. Byli jeszcze inni personalni wrogowie: Linda Nardi, w oczach Manfrediego główna winowajczyni. I naturalnie ten impertynent Michele Balistreri, który sprowokował samobójstwo jego matki i pozwolił fruwać na wolności prawdziwemu mordercy Elisy. Tu połączyły się ich losy.

Corvu jak zwykle okazał się skuteczny, pociągnął za właściwe sznurki i dostał fotokopię rejestru spotkań ministra spraw wewnętrznych z niedzieli 11 lipca 1982 roku. Zgodnie z rejestrem hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno wszedł do ministerstwa o osiemnastej pięćdziesiąt i wyszedł o dziewiętnastej trzydzieści pięć. Nic nowego, Balistreri wiedział to już dwadzieścia cztery lata wcześniej.

Jednak co innego chciał zobaczyć w tym rejestrze: podpis osoby, która potwierdzała spotkania i godziny. Podpis młodego asystenta ówczesnego ministra, Antonia Pasqualego.

Przejrzał terminarzyk Pasqualego, który dała mu Antonella, zawierający zakreślone daty i nieliczne notatki:

3 stycznia 2006 B. end

11 lipca 2006 B. restart

16 lipca 2006 dang!!

20 lipca 2006 my call

21 lipca 2006 okay 27.

Śmieszny szyfr, nie skrywał niczego. Zresztą Pasquali zapisywał to dla siebie, by pamiętać o kontaktach z głosem, który wydawał mu polecenia. Tym samym, który miały nieszczęście usłyszeć Selina Belhrouz i Ornella Corona.

3 stycznia 2006. Belhrouz zostaje zabity w Dubaju.

11 lipca 2006. Balistreri wznawia śledztwo po rozmowie z narzeczoną Camarà i Fredem Cabotem.

16 lipca 2006. Zostają zabite Selina i Ornella. *Danger!* Niebezpieczeństwo. Ciało Seliny znaleziono niedaleko jego domu.

20 lipca 2006. Pasquali dzwoni po raz pierwszy i ostatni, żądając wyeliminowania Hagiego.

21 lipca 2006. Pasquali otrzymuje zielone światło, by wyeliminować Hagiego w przyczepie numer 27. To pułapka.

To był plan doskonały i tylko bilecik wysłany przez Manfrediego do Lindy sprawił, że się nie powiódł. Jednak Manfredi nie mógł sobie tego odmówić. Pragnął wzbudzić w Lindzie przerażenie, a po jej śmierci przyprawić Balistreriego o wieczne wyrzuty sumienia. To było dlań znacznie ważniejsze od wszystkich zabitych i naznaczonych dziewczyn.

Ale Balistreri rozpoznawał w tym planie coś jeszcze. Coś, co przekraczało samą tylko doskonałość wykonania, coś wielkiego, co nosiło w sobie oznaki konkretnej życiowej filozofii. Rozpoznawał autentyczny podpis autora.

Każdy szczegół został dokładnie zaplanowany, połączony z resztą i zrealizowany. Zemsta Hagiego na katolickim świecie, który zabrał mu Alinę, i odwet Manfrediego na wszystkich kobietach umiejętnie włączono w znacznie szerszy plan obliczony na destabilizację włoskiej demokracji. Plan, który opierał się na podskórnym rasizmie i niechęci wobec Romów i Rumunów, na strachu wielu Włochów przed barbarzyństwem napływającym ze Wschodu. Młode kobiety zgwałcone, torturowane i zamordowane – oczywiście przez Romów z koczowisk. Żeby ludzie w końcu uciekli się do samosądów. Wtedy do zaprowadzenia spokoju już nie wystarczyłaby sama policja, trzeba by wezwać wojsko. A wówczas pojawiłby się nowy, silny przywódca polityczny, niewiukłany w to całe nieszczęście i nieskorumpowany, wspierany przez przyjazną mu część służb specjalnych. Człowiek honoru.

Wszystko podporządkowano temu projektowi, nawet prywatne wendety Hagiego i Manfrediego.

Nocne kluby i sale automatów do gry używane do prania brudnych pieniędzy za pośrednictwem ENT – tajnego sejfu zdegenerowanej części służb – która finansowała

całą operację i znalazła się w obszarze śledztwa przypadkowo, dzięki zapalniczce wziętej przez Nadię z Bella Blu. Wspólnicy, beużyteczni albo niebezpieczni – Belhrouz, Colajacono, Pasquali, Ajello – zostali zdyskredytowani i zabici. Dawni oskarżyciele – Giovanna Sordi, Valerio Bona, ksiądz Paul – popchnięci do samobójstwa albo uśmierceni. Konieczne ofiary – Samantha, Nadia, Selina, Ornella – zamordowane bez litości. Przypadkowe przeszkody – Camarà – wyeliminowane od razu.

Okrutny odwet na dwojgu najgorszych wrogach, Lindzie Nardi i Michele Balistrerim, na ludziach, którzy zniszczyli życie Manfrediemu, kiedy jeszcze był młodym chłopakiem. I absolutnie cyniczne wykorzystanie Rumunów, Hagiego i jego pracowników, instrumentalizacja Romów i koczowisk, zrobienie z nich armatniego mięsa koniecznego do rozszerzenia planu poza granice osobistej zemsty i obrócenia go przeciwko całej demokratycznej klasie politycznej, rządowi i opozycji oraz Watykanowi.

Skutki były widoczne: morderstwa słusznie bądź niesłusznie przypisano Romom, koczowiska i Casilino 900 wciąż wzbudzały wściekłość już i tak gorących włoskich głów, pełne nienawiści napisy na murach, crescendo publicznych deklaracji wrzucających do jednego worka Romów i Rumunów, rosnące napięcie w relacjach z Bukaresztem. I tylko Watykan konsekwentnie bronił praw tych ludzi atakowanych już z każdej innej strony.

Oczywiście cichy plan Pasqualego miał na celu tylko tyle, by ułatwić zmianę władzy w samym Rzymie. Ale był ktoś nad nim, ktoś, kto mierzył wyżej, dalej i znacznie odważniej: gdyby słynna włoska dziennikarka została zgwałcona, poddana torturom i zabita we własnym mieszkaniu z widokiem na kopułę Bazyliki Świętego Piotra, gdyby wszystko zostało tak zorganizowane, że za przyczyną fałszywych dowodów podrzuconych przez Manfrediego winą obarczono by Romów, w kraju doszłoby do wybuchu. Przy pomocy zdegenerowanej części tajnych służb rozpoczęłyby się niemożliwe do powstrzymania polowanie na Cygana, zaczęłyby się pojawiać głosy wzywające do „czystości etnicznej”. Efektem byłby ostry kryzys dyplomatyczny z Rumunią, poważne napięcie w relacji z Unią Europejską, która z pewnością zaczęłaby wzywać rząd włoski do aresztowania i osądzenia swych obywateli winnych ataków na Romów i Rumunów.

I w tym momencie włoska demokracja znalazłaby się na skraju przepaści, w którą ktoś chciał ją zepchnąć. Gdyby Italia nie usłuchała tych wezwań, zostałaby wyrzucona z europejskiej wspólnoty. Gdyby usłuchała, wściekli i skutecznie podżegani ludzie wyszliby na ulice, obaliliby rząd i parlament. A Watykan, zapędzony do narożnika, tym razem siedziałby cicho.

Niezależnie od rozwoju wydarzeń – i tego szef sekcji specjalnej był absolutnie pewien – w pogotowiu czekało gotowe rozwiązanie: silny człowiek o nienagannym

życiorysie, który pojawiłby się w odpowiednim momencie, żeby zaprowadzić porządek.

Balistreri znał to doskonale: absolutne przekonanie o słuszności własnych racji i o wielkości doznanych krzywd, wykorzystywanie cudzego życia jak pionka na szachownicy, nieograniczone prawo do obrony własnego honoru. Rozpoznawał ten styl, przecież jako młody chłopak zaczynał tak samo.

Pozostawał ostatni aspekt zemsty Hagiiego i Manfrediego: kto naprawdę zamordował Elisę Sordi. Zgodnie z ich absurdalną i pokreconą logiką właśnie ten człowiek naprawdę był odpowiedzialny za wszystkie ich nieszczęścia i nie mógł pozostać bez kary. Hagi i Manfredi zginęli, nie poznawszy imienia, które niewyraźnie zamajaczyło Balistreriemu w chwili, gdy napadł na Lindę Nardi.

Teraz, gdy wszystko było jasne, teraz, gdy miał już wszystkie odpowiedzi, zastanowił się, co by na jego miejscu zrobił młody Balistreri.

Strzał w tył głowy. Ale potem jego współnicy poprzysięgliby zemstę, a ja nie mógłbym chronić wszystkich przez wieczność. Zamordowaliby Angela, Lindę, mnie, Alberta z rodziną, Corvu, Piccolo, Mastroianniego.

Zastanowił się, co by zrobił dorosły Balistreri.

Oskarżam go i aresztuję. Porządny proces, sprawiedliwa kara. Skutek ten sam co wyżej. A nawet gorzej, bo postawienie przed sądem jego współników byłoby zbyt trudne.

Dręczyło go to całą noc. Hrabia myślał tak jak on, nie jak kardynał. Nie czekałby na sąd Boży. Co więc należało zrobić?

Poniedziałek, 24 lipca 2006

Przed południem

O świcie, pod pretekstem konieczności natychmiastowej identyfikacji zwłok Manfrediego i wykorzystując fakt, że hrabia był jeszcze w drodze, Balistreri wezwał jego osobistego sekretarza, domowników i dozorcę posesji. Zabrano ich do kostnicy i przed wejściem kazano zdeponować wszystkie metalowe przedmioty, łącznie z kluczami.

– Przetrzyście ich pod pozorem jakiejś biurokratycznej procedury, dopóki nie wrócę – rzekł Balistreri do Piccolo, zabierając klucze do mieszkania hrabiego.

Wziął ze sobą Corvu i Mastroianniego. Przyjechali na via della Camilluccia o siódmej trzydzieści i bez przeszkód weszli do pustego mieszkania. Od razu skierowali się do pokoju Manfrediego, w którym on i Teodori przesłuchiwali chłopaka w 1982 roku. Nic się tam nie zmieniło z wyjątkiem przenośnego komputera, nowego wielkiego lustra w prywatnej łazience i okien bez ciężkich zasłon.

Ściany wciąż były wytapetowane plakatami grup heavymetalowych. To coś, co zapadło mu w pamięci, znajdowało się w ciemnym kącie, do którego Manfredi się schronił podczas burzliwej rozmowy z nim i Teodorim.

Mężczyzna w masce szatana i dziesięć małych postaci kobiecych. Każda z nich miała na sobie koszulkę z wymalowaną jedną literą, z której spływały krople białej krwi. Dziesięć liter tworzyło nazwę albumu: YOU ARE EVIL.

Otworzył wszystkie szuflady, potem zaczął szperać pod ubraniami w szafie. Było tam wszystko. Brakujący kolczyk Elisy Sordi, bluzka z inicjałami S. R., wytarta na łokciach koszulka Nadii, okulary typu „kujonka krótkowidz” należące do Seliny Belhrouz, mrugający zegarek Ornelli Coronny.

Sfotografowali wszystko, niczego nie ruszając.

Wreszcie na dnie szuflady z bielizną znalazł złożoną na pół kartkę. Rysunek ołówkiem, dobrze wykonany. Rozpoznał perspektywę, to był widok z tarasu. Rysunek przedstawiał okno i zwiędły kwiat. Pod spodem widniało jedno zdanie napisane innym ołówkiem, znacznie później. Balistreri rozpoznał charakter pisma Manfrediego.

Gdyby za pierwszym razem, z Lindą, sprawy potoczyły się inaczej, może nie zabiłbym wszystkich pozostałych. Z początku często sam siebie o to pytałem. Po tylu latach nie wiem już nawet, ile ich było, i moje pytanie brzmi inaczej: Czy byłbym lepszą istotą, gdybym w przebłytku szaleństwa zabił tylko ją jedną?

Balistreri włożył kartkę do kieszeni.

Po południu

Państwowy pogrzeb Pasqualego odbył się po południu w obecności prezydenta, premiera, polityków, urzędników wysokiego szczebla i policjantów. Setki zwykłych obywateli zebrały się na mszę pod jednym z kościołów w centrum, na dziedzińcu i pobliskim placu, gdzie rozlokowały się wozy transmisyjne różnych stacji telewizyjnych.

Po publicznych egzekwiach trumnę przewieziono na Campo Verano, gdzie odbył się pogrzeb prywatny. Tam na prośbę wdowy w kaplicy cmentarnej odprawiono cichą mszę, tylko dla najbliższych współpracowników, przyjaciół i krewnych z abruzyjskiej miejscowości, w której Pasquali urodził się i wychował.

Balistreri wszedł ostatni i zajął miejsce z tyłu. Z przyjemnością wdychał zapach kadzidła i cieszył się chłodem grubych murów broniących wnętrza przed panującym na zewnątrz czterdziestostopniowym upałem. Uczestniczył we mszy, stojąc. Inni, w tym Corvu i Piccolo, siedzieli w ławkach z przodu.

Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem.

Te słowa wzięły go z zaskoczenia. Nie był na nie przygotowany.

Związła, cicha ceremonia odbywała się dalej.

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Słowa, przeciwko którym zbuntował się w 1970 roku. Słowa, które dotarły do niego niespiesznie, z nieubłaganą pewnością przeznaczenia, paraliżując to, co jeszcze zostało z jego życia.

Obok niego stanął hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno. Nie bił się w piersi, ale przyjął zaproszenie na spotkanie, o które Balistreri go poprosił.

Oto i on, najwyższe zło, jedyny architekt wielkiego planu, mężczyzna, którego głos w słuchawce telefonu napełniał Pasqualego przerażeniem, ojciec, który nie zawahał się instrumentalnie potraktować prywatną zemstę syna, żeby posłużyła jego planowi zdestabilizowania kraju, człowiek, który siał śmierć na swojej drodze nie dla pieniędzy, ale dla władzy, w imię ślepego, totalnego przekonania o słuszności swoich ideałów.

Mężczyzna, który musiał się poddać tylko jeden jedyny raz w życiu, nie będąc w stanie poznać nazwiska tego, kto zamordował Elisę Sordi po tym, jak jego syn ją pobił, okaleczył i zostawił bez świadomości w biurowym pokoju.

W milczeniu wyszli na zewnątrz i nie czekając na koniec mszy, ruszyli na przechadzkę wśród grobów.

Z Balistreriego lał się pot, tymczasem hrabia był jak zawsze nienaganny, dokładnie

uczesany, bez jednej kropli potu na ciemnym garniturze.

Nocny lot z Afryki w pierwszej klasie nie zmęczył go. Tylko zmarszczki w kącikach oczu były nieco wyraźniejsze.

To ojciec, który właśnie stracił syna. Swoją jedyną piętę Achillesową. Moje ubezpieczenie na życie.

– Mam kilka minut, Balistreri. Muszę ukłonić się wdowie po moim serdecznym przyjacielu Pasqualim i zobaczyć się z ministrem spraw wewnętrznych, który chce mi złożyć kondolencje. Potem, zanim wrócę do Afryki, muszę zająć się z prawnikami przewiezieniem trumny z Manfredim do Kenii. Nie chcę, by był pochowany w Italii, jego prawdziwą ojczyzną jest Kenia.

Balistreri był przygotowany do tego, co zamierzał powiedzieć, ale ten pozbawiony litości i nieznający strachu człowiek był kimś znacznie bardziej złożonym niż zwyczajny wróg.

To on jest największym wcielonym złem, nie Hagi ani nie Manfredi.

Nie miało sensu relacjonować hrabiemu, co się stało. Wiedział już wszystko, a tego, czego jeszcze nie wiedział, dowie się w ciągu paru dni. Nie miało sensu grozić mu i mówić o jego telefonach do Pasqualego zapisanych w śmiesznym terminarzyku. Nie było dowodów, hrabia zgniótłby go jak robaka.

– Proponuję panu pakt – powiedział w końcu Balistreri.

Hrabia, powoli idąc naprzód i nie okazując szczególnego zainteresowania, wysłuchał opisu niezaprzeczalnych dowodów winy Manfrediego. Nie wydawał się zaskoczony ani tym bardziej przejęty.

– Zrobię tak, by nikt się o tym nie dowiedział. Pański syn pozostanie w pamięci wszystkich jako dobroczyńca ubogich. W zamian chcę, by dał mi pan słowo, że nie zabije i nie każe zabić nikogo więcej.

Hrabia spojrzał na niego. W jego oczach nie było gniewu, nie było groźby – znów była w nich ta subtelna pogarda jak wtedy, w 1982 roku.

– Szkoda wielka, że stał się pan kimś takim, Balistreri. Znam pana zyciorys, jako młody człowiek dobrze się pan zapowiadał, buntował się pan przeciwko siłom obskurantyzmu i korupcji. Naprawdę szkoda. Zmarnował pan życie.

– Nie zależy panu na tym, by syna wspomiano jako dobroczyńcę, a nie jako mordercę?

Hrabia zatrzymał się wśród grobów.

– Manfredi nie był mordercą, panie Balistreri. Uczyniły go nim uprzedzenia tak zwanego zachodniego społeczeństwa, zbudowanego na mieszczańskim hedonizmie i katolickiej hipokryzji. To był dobry, wykształcony i przestraszony chłopak. Kobiety odrzucały go z powodu wyglądu jego twarzy. I z tego samego powodu pan go oskarżył. O popełnienie zbrodni, której nie popełnił i której sprawcy do dzisiaj nie znamy. A potem został zmanipulowany nawet przeze mnie, własnego ojca. To ja poznałem go

z Mariusem Hagim, żeby włączyć ich osobiste pragnienie zemsty do realizacji moich planów.

– Manfredi nie wiedział, że Hagi i Ajello przenieśli ciało Elisy Sordi, okaleczyli je i wrzucili do Tybru?

– Nie miał pojęcia. Nie znał wtedy ani Hagięgo, ani Ajella. Za to ja wiedziałem od mojego brata, co Manfredi robił w Afryce. Wiedziałem o zabójstwach, o literach wyciętych na skórze... Wiedziałem, że mój syn jest chory i że nie ponosi za to winy. Rok temu Hagi przyjechał mi powiedzieć, że ma raka płuc i że przed śmiercią zabije Annę Rossi. Manfredi był wtedy w Rzymie, rozmawialiśmy o tym wszyscy trzej na tarasie przez całą noc. I postanowiliśmy, że najbardziej skuteczne będzie zabicie Samantha Rossi. Ale wszystko ma swój początek, panie Balistreri, a pan jest jego istotną częścią.

Hrabia wskazał na trzy kamienie nagrobne. Balistreri odwrócił się i zamarł.

Pośrodku był grób Elisy Sordi. Po bokach groby Amedea i Giovanni.

– Niech pan popatrzy. Tam pod spodem pochowano jedyną rzecz, która mi zawsze umykała. Prawdę. Nazwisko prawdziwego mordercy Elisy. Niech je pan stamtąd wygrzebie. Wtedy i ja dotrzymam paktu, ma pan moje słowo.

Hrabia spojrział na niego raz jeszcze, potem odwrócił się i odszedł.

Balistreri popatrzył na trzy groby. Było bardzo gorąco, ale na wszystkich trzech stały świeże kwiaty.

Poniedziałek, 31 lipca 2006

Na wszystkich poziomach hasło brzmiało jednakowo: *sedymencja*. Rząd, zarząd miejski, opozycja, Watykan, służby, policja – wszyscy byli zgodni: należało pozwolić, by kurz zgodnie ze swoją naturą opadł i pokrył stare meble pamięci.

Ten krwawy lipiec jeszcze tylko przez chwilę zaprzętał uwagę lokalnych i międzynarodowych mediów. Zresztą dziennikarze nigdy nie dowiedzieli się prawdy. To nie było ani konieczne, ani rozropne. Dowiedzieli się tyle, ile świat polityki uzgodnił z Watykanem. Marius Hagi, niezrównoważony Rumun naturalizowany w Italii, ze swoją bandą, przy współudziale właściciela nocnych lokali Francesca Ajella, zabił cztery młode kobiety i czterech wartościowych członków sił porządkowych: Coppolę, Tatò, Colajacona i *dottor* Antonia Pasqualego. Zabójstwa księdza Paula i Manfrediego, niepowiązane ze sobą, nie miały nic wspólnego z tamtymi morderstwami. Hrabia Tommaso dei Banchi di Aglieno wyjechał do Kenii z prochami syna, ofiary zabójstwa w afekcie, które nastąpiło w wyniku kłótni o kobietę.

W końcu lipca gazety zajęły się już najnowszymi kłótniami w lokalnej polityce, papieskimi wakacjami i futbolowym biznesem.

Kwestor Andrea Floris zmusił Balistreriego, Corvu i Piccolo, żeby wzięli cały sierpień wolnego – coś, czego nie robili od lat. Corvu i Piccolo pojechali na motocyklową wycieczkę po Ukrainie i Albanii wraz z Rudim i Natalią jako przewodnikami. Balistreri przyjął zaproszenie swojego brata i cały miesiąc spędził w jego domu w Dolomitach.

Zanim wyjechał z Rzymu, wielokrotnie próbował się skontaktować z Lindą Nardi, ale zarówno jej telefon domowy, jak i komórka dzwoniły do woli i nie miał od niej żadnej odpowiedzi.

W ostatni wieczór przed wyjazdem, 31 lipca, umówił się z Antonellą na pożegnalną kolację. Usiedli przy drewnianym stoliku na jednym z licznych trotuarów Zatybrza, jak zawsze pełnego ludzi. Przy pizzy i piwie Antonella, opalona i pogodna, wydała mu się jeszcze piękniejsza. Nosiła fryzurę, która odjęła jej lat, oczy jej błyszczały, a skóra była bardziej elastyczna i miękka.

– Wyglądasz zjawiskowo.

– Po pogrzebie Pasqualego kompletnie się wyłączyłam. Pięć dni morza i spa. Od piętnastu lat nie wypoczywałam tak jak teraz.

– Brawo, wreszcie pozwoliłaś sobie na to, żeby inni się o ciebie zatroszczyli, zamiast jak dotąd troszczyć się o wszystkich.

– Oj tak, zajęli się mną wspaniale. Maseczki na twarz, opalanie, masaże

relaksujące... – Rzuciła mu wiele mówiące spojrzenie. – Choć nie do końca relaksujące, bo zabrakło materii pierwszej.

Balistreri czuł się tak lekko, jak nigdy od wielu lat. Postanowił iść za ciosem. Na szczęście toaleta restauracji była wystarczająco przestronna, czysta i odosobniona. To była szybka sprawa, trochę niewygodna, ale niezwykle satysfakcjonująca dla obojga.

Potem szli, lekko się zataczając, nieco podpici, aż do domu Antonelli, śmiejąc się do rozpuku z dwojga dorosłych, których dopadło nagle pożądanie, tak że uprawiali seks na sedesie w toalecie restauracyjnej.

W jej mieszkaniu kochali się długo, z większym spokojem i mniejszym pożądaniem. Potem, wyciągnięci na łóżku przy zgaszonych światłach i oknach otwartych na rześkość nocy i ciszę, ona paląc zwyczajowego jointa, gładziła go po włosach, on sączył trzecią whisky.

Leżeli obok siebie wyczerpani, lecz żywi. Tak jak teraz – choć każde z odmiennych powodów – nie czuli się od lat. Balistreri nie zdał sobie sprawy, że podała mu jointa. Jego rozżarzona końcówka była punkcikiem w półmroku podążającym za ruchem ręki.

Wyciągnięty na wznak patrzył na starą powalę z kasetonami. Mimo półmroku doskonale widział rysunek, jaki zostawił na niej czas.

Kobiety odrzucały go z powodu jego twarzy. I z tego samego powodu został oskarżony. Ale to nie on był mordercą.

Widział plamy, które na drewnie zostawiły wilgoć i czas.

Chłopak z impotencją. Niemożliwa do spełnienia miłość. Niedawna aborcja.

Pęknięcia na drewnie w tych miejscach, gdzie najintensywniej pracowały korniki.

Zwiędły tulipan na parapecie Elisy. Świeży tulipan na jej grobie.

Teraz jego oczy opuściły ciało i unosiły się w stronę sufitu.

Powinienem być cię zerznąć jak pierwszą lepszą sukę. Tak, Michele, powinieneś być to zrobić. Może wtedy byś nareszcie zrozumiał, o co tu chodzi.

Kiedy napastował Lindę, dotarł do niego przebłysk prawdy. Potem cały wysiłek skierował na ratowanie Fiorelli Romani. Odstawił na bok tamto przeczucie, lecz wrócił do niego, gdy stojąc nad trzema grobami, zawarł pakt z hrabią. Jednak jego umysł okazał się leniwy i niechętny do działania, niezdolny naszkicować winnego, motyw i okazję. Marihuana i whisky mieszały się w jego ciele pośród nocnej ciszy, obok kobiety, z którą przed chwilą się kochał.

Kasetony na suficie były obrysem twarzy, pęknięcia – zmarszczkami, plamy – oczami i ustami. Nagle ją zobaczył, zobaczył tę twarz wstrząśniętą i pełną rozpacz: zobaczył winnego, motyw i okazję.

Naszemu najsilniejszemu instynktowi, naszemu instynktowi despotie oddajemy w niewolę nie tylko rozum, ale i sumienie.

Epilog

Przyjechałem w Dolomity pierwszego sierpnia. Alberto czekał na mnie razem z żoną i dwoma synami. Umieścili mnie w obszernym, cichym pokoju gościnnym z widokiem na górskie szczyty.

I tak rozpocząłem długie letnie wakacje. Spałem długo, jeździłem rowerem, rzucając wyzwanie stromym wzniesieniom i karkołomnym zjazdom, grałem z bratankami w tenisa, towarzyszyłem szwagierce na zakupach, gwarzyłem o wszystkim i o niczym z bratem, jego rodziną i przyjaciółmi.

Ciekawiły mnie nawet dwie jaskółki oknówki o czarnych lśniących główkach, które ulepiły gniazdo pod okapem dachu. Któregoś dnia, kiedy ptaki wyleciały z gniazda, wszedłem po drabinie i zobaczyłem w środku dwa złożone jaja. Z początkiem pierwszego tygodnia sierpnia wykluły się dwa pisklaki i samiec znikł. Szwagierka wyjaśniła mi, że na równinach małe wykluwają się w czerwcu, ale tu, tysiąc pięćset metrów wyżej, jaja pękają w sierpniu i od tej chwili wyłącznie na samicy spoczywa obowiązek karmienia młodych, co trwa jakieś dwadzieścia dni. Siedząc i wygrzewając się w słońcu, patrzyłem, jak samiczka wraca z robakiem w dziobku witana niecierpliwym świergotem młodych. Złapałem się na pełnym emocji odliczaniu dni, które dzieliły dwie małe oknówki od pierwszego wylotu z gniazda, a mnie od pierwszego jesiennego deszczu.

Nie myślałem o pracy. Żadnych przestępstw, żadnych trupów, żadnych winnych. Od czasu do czasu – to było nieuniknione – myślałem o Lindzie i Angelu i zatracalem się w prowadzonych w wyobraźni rozmowach z nimi, jakby nic się nie zmieniło. Potem pośpiesznie uciekałem od tych myśli i znajdowałem schronienie w odpoczynku i otaczającej mnie przyrodzie.

Późnym popołudniem siadałem w zacienionym miejscu wielkiego ogrodu, przed porośniętymi zielenią górami, i spoglądałem na punkciki domów w dolinie pode mną. Codziennie miałem nadzieję na deszcz, który nie przychodził. Czekałem na zachód słońca, czując, jak dni robią się coraz krótsze i rześkie powietrze zajmuje miejsce dusznego upału. Potem, kiedy zapadał zmierzch i punkciki domów zaczynały jarzyć się światłami, wraz z innymi wracałem do domu.

W ostatnią sobotę sierpnia pierwsza mała oknówka wyrwała się z gniazda i sfrunęła na ziemię niedaleko ode mnie, w miejscu, gdzie kończyła się trawa, a zaczynało skalne urwisko. Kiedy zastanawiałem się, jak pomóc jaskółce, ptaszek spojrział w stronę gniazda, skąd patrzyła na niego matka razem z drugim pisklakiem. Potem wzbił się w powietrze i poleciał w dolinę, szczebiocząc z radości.

Tego wieczoru Alberto uprzedził mnie, że dzwonił Angelo. Nazajutrz miał wpaść w odwiedziny. Przyjechał na lunch swoim zdezelowanym samochodem, przywożąc prezenty dla chłopaków i mojej szwagierki. Wyglądał inaczej. Był bardziej pewny siebie i jakiś swobodniejszy.

Zjedliśmy razem w ogrodzie, rozmawiając o banalnych sprawach: o końcu wakacji, początku zajęć szkolnych, pokerowych turniejach. Po posiłku Alberto ogłosił, że zabiera żonę i synów do sąsiedniej miejscowości na jarmark z okazji końca lata. Pretekst, by zostawić nas samych. Przed wyjazdem mój brat chwycił nas obu pod ramię.

– Kiedy Angelo wróci z Australii, odnowimy czwartkowe pokery z Grazianem.

Rozczulające, jak mój brat się starał, by zabrzmiało to przekonująco – bardziej dla siebie niż dla nas. Potem pojechali.

Ciszę w ogrodzie przerwał rozpaczliwy świergot. Drugie piskłę oknówki, znacznie mniejsze od pierwszego, leżało na ziemi pod samym gniazdem. Zaniepokojona samiczka wlatywała i podskakiwała obok niego. Wyglądało na to, że ptaszek zranił się w skrzydło, pewnie spadł przy pierwszej próbie lotu.

Patrzyliśmy, nie wiedząc, co zrobić. Ostatecznie postanowiliśmy zostawić to samiczce i usiedliśmy na trawie na skraju doliny, z butelką whisky i papierosami. Wiele lat wcześniej usiedlibyśmy i rozmawiali o kobietach, pokerze i Paolu Rossim. Teraz paliliśmy w milczeniu, kontemplując góry i rozciągającą się pod nami dolinę. Jedyнным dźwiękiem w okolicy był świergot dwóch oknówek.

Dwóch starych przyjaciół i ich wspomnienia. Bardzo wiele pięknych i kilka wyjątkowo złych.

Bardziej by przerwać milczenie niż z innego powodu, rzuciłem pytanie:

– Wiesz, gdzie jest?

– Dzwoniła do mnie w połowie sierpnia, wyjeżdżała do Afryki. Rozpoczęła zbiórkę funduszy dla fundacji imienia Manfrediego. Spotkała mnóstwo ofiarodawców, chce wybudować szpital podobny do tego w Nairobi.

Nie zaskoczyło mnie to ani nie oburzyło. Linda Nardi była istotą nie z tego świata, to już wiedziałem.

– Ona uważa, że gdyby wtedy nie odtrąciła Manfrediego, nie zaczęłby zabijać innych kobiet – wyjaśnił Angelo.

– Poza tym Elisa nie mogła zająć w ciążę z Manfredim, Linda wiedziała to z własnego doświadczenia – dodałem.

Angelo potwierdził skinieniem głowy skupiony na jakiejś dalekiej myśli.

– Linda wie, że Manfredi zaatakował i pobił Elisę, ale też wie, że to nie on ją zabił.

Nie zapytałem, dlaczego Linda jest tego taka pewna. Odpowiedź już znałem.

– Rzykowaliście życie, Angelo. Wystarczyłaby chwila wahania i Manfredi zabiłby was oboje.

Popatrzył na mnie.

– Są momenty, kiedy nie waham się ani trochę, Michele. Staralem się pokazać ci to na wszystkie możliwe sposoby.

Ciemny obłok, który pojawił się nie wiadomo skąd, niespodziewanie zakrył słońce i podmuch chłodnego wiatru poruszył źdźbła trawy. Jednym haustem opróżniłem szklankę whisky, by powstrzymać przeszywający mnie dreszcz. Angelo Dioguardi spokojnie patrzył w dolinę.

– Przed wyjazdem byłem na cmentarzu – powiedziałem. – Na wszystkich trzech grobach były świeże kwiaty.

Angelo pokiwał głową.

– Elisa uwielbiała tulipany. Opowiedziała mi o pewnej tureckiej legendzie, która głosi, że te kwiaty narodziły się z kropel krwi przelanych z miłości przez młodą dziewczynę.

Miałem przed oczami ten kwiat, w 1982 i w 2005 roku. Ale nie chciałem go widzieć.

– Tulipan na parapecie Elisy. Tulipan w szufladzie Manfrediego. Tulipan na biurku Margherity. Wszystkie zwiędłe, Angelo. Z wyjątkiem tych świeżych, które zaniósłeś na jej grób.

Angelo Dioguardi spojrział na mnie przepaszająco z takim samym dziecinny uśmiechem, jaki zapamiętałem z pierwszego wieczoru naszej znajomości, kiedy związał się w łazience w sprowokowanych wymiotach, by pomóc mi poderwać dziewczynę. Inne życie, ten sam mężczyzna. Ten sam, który przez tyle lat przepaszwał za swoje świetne pokerowe blefy. Teraz przepaszwał mnie za blef, którym zagrał wszystko za wszystko z życiem. Wygrywając i przegrywając wszystko za jednym razem.

– Margherita trochę ją przypomina – kontynuował – jest pełna życia, ufna, niedoświadczona. Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, powiedziała, że uwielbia tulipany. Przez chwilę łudziłem się, że mogę znowu zacząć żyć. Potem pomyślałem o matce Elisy, o tym, jak rzuca się z balkonu, i przypomniałem sobie, kim naprawdę jestem.

Kim jesteś, Angelo Dioguardi? Jeden jedyny raz w całym swoim życiu zbłądziłeś z powodu tej młodej bogini. I trafiła ci się niechciana ciąża. Michele Balistreri podsumowałby wszystko brutalnym „Żegnaj, ślicznotko”. Ale ty wziąłeś na siebie wszystko: kłamstwa powiedziane narzeczonej i kardynałowi, aborcję, płacz i wyrzuty sumienia Elisy, która zamierzała powiedzieć wszystko księdzu Paulowi. I przez jedną chwilę, jedną jedyną w całym twoim życiu, zmiażdżony tymi wszystkimi ciężarami, dałeś się ponieść rozpacz i wściekłości.

Zrobiło się rześko. Niebo zasnuły czarne chmury i dały się słyszeć pierwsze grzmoty. W oddali zamigotały błyskawice.

Reakcją Angela Dioguardiego na to, co się stało, była otwarta konfrontacja z życiem,

podjęcie starań, by kochać bliźniego i czynić dobro wielu ludziom. Ale to nie mogło mu wystarczyć. Kiedy Linda Nardi poprosiła go o pomoc w sprawie Manfrediego, wyjawiał jej całą prawdę i zgodził się go zabić. To miał być kolejny akt zadośćuczynienia za jego niewyobrażalnie ciężki grzech.

Angelo chciał mi wyjaśnić to, co już wiedziałem i czego za nic nie chciałem usłyszeć.

– Kiedy wszedłem do Alessandriniego, był wściekły. Dowiedział się, że Paul był na lunchu z Elisą, i kazał mi ją zwolnić. Byłem przerażony, bałem się, że Elisa powie Paulowi o aborcji, oboje coraz częściej rozmawiali ze sobą. Potem Alessandrini i ja zawołaliśmy cię z tarasu, a kiedy ty do nas szedłeś, powiedziałem kardynałowi, że idę do łazienki.

Powinienem być razem z tobą pójść do Alessandriniego. Ale łzawiły mi oczy z niewyspania, przepalenia, przepicia i oślepiającego popołudniowego słońca, zaślepiąło mnie idiotyczne pragnienie spotkania Elisy...

– Wiem, Angelo. Dzwoniłem wczoraj do kardynała. Nie rozumiał powodu mojego pytania, ale wciąż pamiętał, że poszedłeś do łazienki.

Angelo kontynuował niepotrzebne wyjaśnienia:

– Nie poszedłem do łazienki, tylko do Elisy. Chciałem z nią porozmawiać, uspokoić ją, pocieszyć. Pół minuty i byłem na drugim piętrze. Drzwi były zamknięte na klucz, co mnie zdziwiło. Teraz już wiemy, że to Manfredi je zamknął. Otworzyłem swoimi kluczami. Elisa leżała nieruchomo na ziemi z opuchniętym okiem i policzkiem, półnaga, krwawiła z rany na piersi. Zobaczyłem na stole list, który pisała do Paula, opowiadała w nim o naszym romansie i o aborcji. Włożyłem go do kieszeni i straciłem głowę.

Valerio sądził, że jest martwa. Manfredi przysięga, że zostawił ją ranną. Jeden z nich kłamie albo po prostu się myli.

To powiedział Corvu na zakończenie szczegółowej analizy wszystkich alibi. Tymczasem obaj mówili prawdę. Manfredi zostawił ją przy życiu, a kilka minut później Valerio znalazł ją martwą.

– Szedłeś do nas, Michele. Miałem pół minuty, to była jedyna okazja.

Powinienem być to zrozumieć od razu, kiedy cię zobaczyłem na klatce schodowej, całego rozedrganego, i potem, kiedy przez całą tę koszmarną noc widziałem, jaki jesteś rozbity i zrozpaczony. Powinienem być zrozumieć, kiedy patrzyłem, jak więdnie ten kwiat na biurku Margherity. Robiłeś wszystko, by mi powiedzieć w typowy dla siebie sposób.

Angelo Dioguardi po raz ostatni uśmiechnął się przepaszająco.

– Była tam poduszka, na której siedziała. Jej użyłem. Trzydzieści sekund później byłem na klatce schodowej i czekałem na ciebie.

Całe życie można zniszczyć w chwili szaleństwa. Poduszka przyciśnięta do twarzy na wpół już martwej dziewczyny. Łódź zakotwiczona przy afrykańskim wybrzeżu

i chłopak, który wkłada piankowy kombinezon do nurkowania.

Wiedziałem, że przez te wszystkie lata nie było dnia, by nie myślał o Elisie. Że cierpienie jej rodziców sprawiało mu udrękę każdej nocy. Że w przeciwieństwie do mnie starał się zadośćuczynić choć po części, czyniąc ludziom tyle dobra, ile tylko było możliwe. Ale wiedziałem też, że to jego ręce przyciskały tę poduszkę.

Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Popatrzyłem na samiczkę krążącą wokół swego zranionego pisklęcia. Gdzieś bardzo blisko rozległ się grzmot, góra niemal zadrżała w posadach, rozpaczliwy świergot oknówki nagle umilkł. Pisklę znieruchomiało. Matka niepewnie patrzyła w moją stronę.

Każdy z nich mógłby znaleźć się na moim miejscu.

To zdanie napisał Manfredi dei Banchi di Aglieno, wcielone zło, na które wszyscy polowaliśmy, schwytaliśmy w pułapkę i zniszczyliśmy w końcu. Zło, które się zaczęło ot tak, w jednej chwili szaleństwa.

Rozpadało się na dobre. Siedzieliśmy bez słowa, patrząc, jak słabnie blade światło dnia. Deszcz moczył nam włosy, twarz, ciało, wlewał się do butów. Potem zapadł zmierzch i jeden za drugim punkciki domów w dolinie zaczęły rozbłyskać światłami.

Oknówka spojrzała po raz ostatni na swoje pisklę. Potem wzbiła się w powietrze i odleciała. Sama. Nie była szczęśliwa, ale świergotała.

Podziękowania niech przyjmie zespół Wydawnictwa Marsilio, przede wszystkim Marco Di Marco i Jacopo De Michelis nie tylko za swój ogromny profesjonalizm, ale też za niezwykłą pasję, z którą wykonują swoją pracę. A także Filiberto Zovico i Chiara De Stefani za bezpieczne przeprowadzenie mnie po słabiej mi znanych drogach.

Dziękuję moim pierwszym i jedynym trojgu czytelnikom, którzy poznali tę książkę w trakcie jej pisania, cierpliwym i wielkodusznie mi doradzającym, co znalazło odbicie w książce: mojej żonie Milenie i dwojgu wspaniałym przyjaciółom, Valerii i Fabriziowi.

-
- 1 *Movimento sociale italiano*, Włoski Ruch Społeczny (Socjalny) – postfaszystowska partia włoska, działająca w latach 1946–1995, z biegiem czasu łagodząca swoje pierwotnie radykalne oblicze (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
 - 2 *Dottore, dottor* (z akcentem na ostatnie „o”), niekiedy – zwłaszcza w Rzymie – skracane do formy *dottò*, a w rodzaju żeńskim występujące w formie *dottoressa*, to stopień naukowy doktora, ale także tytuł grzecznościowy, którym obdarza się we Włoszech każdego, kto ukończył studia wyższe, a czasem nawet stosuje się go na wyrost. Choć obecnie używa się go coraz rzadziej, w czasach, w których rozgrywa się akcja powieści, wciąż był istotnym elementem włoskiego kolorytu.
 - 3 *Penne all'arrabbiata* – typowe dla rzymskiej kuchni pierwsze danie: jeden z najbardziej tradycyjnych formatów makaronu, *penne*, czyli krótkie, ukośnie cięte rurki, z wściekle (stąd nazwa) pikantnym sosem z pomidorów, czosnku, bardzo ostrej papryczki i drobno siekanej zielonej pietruszki.
 - 4 Czołowy napastnik włoskiej drużyny narodowej i król strzelców na mundialu w 1982 r.
 - 5 Dziesiąta Flotylla Lekka, X Flotylla MAS albo Decima MAS – elitarny uderzeniowy oddział specjalny włoskiej marynarki wojennej, dla niepoznaki nazwany podobnie jak flotylla kutrów torpedowych. W 1943 roku jego dowódca odmówił poddania się aliantom i przeszedł na służbę Niemiec, powołując z ochotników nową jednostkę o tej samej nazwie.
 - 6 Chodzi o referendum ustrojowe, które odbyło się 2 i 3 czerwca 1946 roku. W jego wyniku obalono monarchię i wprowadzono we Włoszech ustrój republikański.
 - 7 Fryderyk Nietzsche, *Między dobrem a złem*, przeł. P. Pieniążek, Kraków 2005.
 - 8 Banda della Magliana (banda z Magliany) – aktywna głównie we włoskiej stolicy organizacja przestępcza działająca najintensywniej w latach 1975–1992. Nazwa pochodzi od rzymskiej dzielnicy będącej matecznikiem bandy.
 - 9 Kwesor – szef jednostek policyjnych działających na terenie włoskiej prowincji, odpowiednika naszego powiatu.
 - 10 *Manipulite* (Czyste ręce) – wielkie śledztwo, rozpoczęte w 1992 roku przez prokuraturę w Mediolanie, które objęło ponad 150 firm i co najmniej 40 ważnych polityków (w tym ówczesnego i dwóch byłych premierów), doprowadzając do rozwiązania wielu partii (w tym rządzącej od pięćdziesięciu lat Chrześcijańskiej Demokracji) i całkowitego przebudowania sceny politycznej w kraju. Większość komentatorów włoskiego życia politycznego jest zgodna, że śledztwo nie zostało doprowadzone do końca.
 - 11 Nazwa obozowiska wzięła się od ulicy, przy której się znajduje, i numeru administracyjnego: via Casilina 900. Z przerwą w latach 2010–2013 istnieje ono do dziś.
 - 12 W policji włoskiej *vice questore aggiunto* (dosł. wicekwesor dołączony) to najwyższa ranga w korpusie komisarzy. Odpowiada mniej więcej młodszemu inspektorowi w polskiej policji (a podpułkownikowi w siłach zbrojnych).
 - 13 Sisde, S.I.S.De, *Servizio per le informazioni e la sicurezza democratica* (Służba informacji i bezpieczeństwa demokratycznego): nazwa włoskich tajnych służb do ich reformy przeprowadzonej w 2007 roku.
 - 14 Matka Boska Pomocna, patronka miejscowości Sciacca w prowincji Agrigento na Sycylii.
 - 15 Bożonarodzeniowa babka drożdżowa z bakaliami.
 - 16 Tangentopoli (Łapówkogród) – termin ukuty przez Piera Colaprica, dziennikarza śledczego dziennika „La Repubblica”, oznaczający układ powiązań polityków i ludzi biznesu panujący we Włoszech pod rządami chadecji, ujawniony w ramach śledztwa *Manipulite*.
 - 17 Typowe dla Rzymu i całego regionu Lazio ciasto w formie słodkiej bułeczki z dodatkiem orzeszków piniowych, rodzynek i skórki pomarańczowej, najczęściej podawane po głębokim nacięciu od góry i wypełnieniu powstałej szczeliny bitą śmietaną.
 - 18 *Corvu* to po sardyńsku kruk.
 - 19 Zdecydowana większość urzędów centralnych Republiki Włoskiej (m.in. izba deputowanych, senat, siedziby szefa rządu i prezydenta) znajduje się w lewobrzeżnym Rzymie. Watykan leży na prawym brzegu Tybru.
 - 20 W większości włoskich regionów soczewica to obowiązkowy element noworocznej kolacji. Zgodnie z przesądem ma zapewniać pomyślność finansową w nowym roku.
 - 21 Rodzaj grubej wieprzowej kielbasy, z wyglądu przypominającej salami, ale spożywanej na gorąco. Również, obok soczewicy, tradycyjny element kolacji sylwestrowej w wielu regionach Włoch.
 - 22 Typowa we Włoszech gra na stole bilardowym: bile wprawia się w ruch rzutem innej kuli, zamiast uderzeniem

bilardowego kija.

[23](#) Jedna z popularniejszych gier na Półwyspie Apenińskim, rozgrywana kartami typu włoskiego (talia złożona z 40 kart, inne nazwy i oznaczenia kolorów).

[24](#) Włosi dotykają żelaza z takich samych przyczyn, dla jakich Polacy odpukują w niemalowane drewno.